

JONATHAN MABERRY

FABRYKA

SMOKÓW



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Część pierwsza. Łowcy

Część druga. Zabójcy

Część trzecia. Bogowie

Część czwarta. Potwory

Epilog

JONATHAN MABERRY

FABRYKA SMOKÓW

Przełożyła Anna Studniarek

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *The Dragon Factory*

Copyright © 2010 by Jonathan Maberry

Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Jaonna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce oraz opracowanie graficzne okładki: Dark Crayon

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-66065-56-7

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227213000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Prolog

1.

Tydzień wcześniej

Otto Wirths był drugim największym zbrodniarzem w historii ludzkości. W porównaniu z nim Hitler, Stalin, Attyła, a nawet Aleksander Wielki byli amatorami, pozerami, którzy do pięt nie dorastali Ottonowi i liczbie jego ofiar.

Tylko jeden człowiek był gorszy.

Cyrus Jakoby.

Naprawdę się tak nie nazywał – w pewnym sensie w ogóle nie miał prawdziwego nazwiska. Podobnie jak Otto, Cyrus był dziwadłem. Podobnie jak Otto, Cyrus był potworem.

Jeszcze tydzień wcześniej o nich nie słyszałem. Właściwie nikt nie słyszał. Tydzień wcześniej nie znajdowali się na listach obserwowanych, nie poszukiwały ich władze żadnego kraju, ich imion nie przeklinał ani nie wypowiadał w gniewnych modłach żaden człowiek na planecie Ziemia.

Jednakże wspólnie uczynili więcej zła niż ktokolwiek inny. Wspólnie bez większego rozgłosu zamordowali dziesiątki milionów ludzi.

Dziesiątki milionów.

Wieczorem, kiedy siadali do kolacji, nie rozpamiętywali dawnych osiągnięć. Mistrz sportu nie rozpamiętuje eliminacji. Dla nich zawsze liczyło się to, co nadchodziło. Co miało wkrótce nadejść.

Tydzień wcześniej, siedem dni, zanim w ogóle o nich usłyszałem, Otto Wirths umieścił duży cyfrowy zegar na ścianie nad rozbudowaną stacją roboczą, przy której spędzali z Cyrusem całe dnie. Zegar ustawiono, by odliczał sekundy i minuty. Otto ustawił go na 10 080. Dziesięć tysięcy i osiemdziesiąt minut.

Sto sześćdziesiąt osiem godzin.

Siedem dni.

Tydzień.

Po naciśnięciu przycisku start Otto i Cyrus stuknęli się kieliszkami najdroższego szampana „Perrier-Jouët”, którego butelka kosztowała ponad sześć tysięcy dolarów.

Sączyli musujący trunek, uśmiechali się i patrzyli, jak mija pierwsze sześćdziesiąt sekund, a później drugie.

Zegar Wymierania zaczął tykać.

2.

Teraz

Kuliłem się w ciemności. Krwawiłem i miałem połamane kości. A może i coś nie po kolei w głowie.

Drzwi były zabarykadowane. Zostały mi trzy naboje. Trzy naboje i nóż.

Walenie w drzwi brzmiało jak grzmot. Wiedziałem, że nie wytrzymają.

Tamci dostaną się do środka.

Gdzieś wciąż tykał Zegar Wymierania. Jeśli nie opuszczę tego pomieszczenia do czasu, gdy zakończy odliczanie, zginie więcej ludzi niż w czasie Czarnej Śmierci i wszystkich innych pandemii razem wziętych.

Sądziłem, że uda mi się ich powstrzymać.

Musiałem ich powstrzymać. Poza mną nie było nikogo.

Nie moja wina, że zająłem się tym tak późno. Ścigali nas, mieszali nam w głowach i zwodzili na manowce, a kiedy zorientowaliśmy się, czemu mamy stawić czoło, czas prawie się skończył.

Próbowaliśmy. Przez ostatni tydzień pozostawiłem za sobą ślad trupów – od Denver, przez Kostarykę, po Bahamy. Niektóre z tych ciał należały do ludzi. Inne, cóż, do diabła, nie mam pojęcia, jak można by je określić.

Walenie stało się głośniejsze. Drzwi wyginały się do środka, podobnie jak zasuw. Jeszcze kilka sekund i albo zamek, albo zawiasy się poddadzą. A wtedy tamci wpadną z wyciem do środka. I staną naprzeciwko mnie.

Byłem ranny. Krwawiłem.

Miałem trzy naboje i nóż.

Podniosłem się i stanąłem zwrócony twarzą do drzwi, w lewej ręce trzymałem pistolet, a w prawej nóż.

Uśmiechnąłem się.

Niech przyjdą.

Część pierwsza

Łowcy

Nie ma lepszego polowania niż polowanie na człowieka, a ci, którzy polowali na uzbrojonych ludzi dostatecznie długo i zasmakowali w tym, już nigdy nie mieli potem ochoty na nic innego.

Ernest Hemingway, „On the Blue Water”,
Esquire, kwiecień 1936 r.

Rozdział pierwszy

***Cmentarz Najświętszego Zbawiciela,
Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 8.04
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 56 minut***

– Detektyw Ledger? – Mężczyzna wyciągnął identyfikator. – NSA.

– Może pan to przeliterować?

Na jego twarzy przypominającej betonowy bloczek nie pojawił się nawet ślad uśmiechu. Dorównywał mi wzrostem i sylwetką, a trzy towarzyszące mu zbiry były jeszcze większe. Wszyscy mieli ciemne okulary na nosach i amerykańską flagę w klapie. Dlaczego takie rzeczy zawsze muszą się przytrafiać właśnie mnie?

– Chcielibyśmy, żeby nam pan towarzyszył – powiedział gość o płaskiej twarzy.

– Dlaczego?

Znajdowaliśmy się na parkingu Cmentarza Najświętszego Zbawiciela w Baltimore. W jednej ręce trzymałem bukiet żonkili, a w drugiej butelkę wody mineralnej. Koszulka drużyny baseballowej Orioles zasłaniała pistolet za paskiem dzinsów. Wcześniej, gdy odwiedzałem grób Helen, nie zabierałem broni, ale przez ostatnie kilka miesięcy dużo się zmieniło. Życie stało się o wiele bardziej skomplikowane i nie ruszałem się nigdzie

nieuzbrojony. Nawet tutaj.

Drużyna Zbirów bez wątpienia miała broń. Trzech praworęcznych i jeden leworęczny. Niewielkie wybrzuszenia rysowały się nawet pod starannie skrojonymi garniturami. Leworęczny był największy z całej bandy, wyglądał jak łoś na sterydach, a jego nos sprawiał wrażenie, jakby oberwał po kilka razy z każdej strony. Gdyby doszło co do czego, on próbowałby mnie obezwładnić. Goście po obu jego stronach byli przystojniaczkami – trzymaliby się na dystans i wyciągnęli broń. W tej chwili stali w odległości około czterech metrów ode mnie, a sportowe płaszcze mieli rozpięte. Dobra robota.

– Chcielibyśmy, żeby nam pan towarzyszył – powtórzył Błoczek.

– Usłyszałem pana. I spytałem: „Dlaczego?”.

– Proszę, detektywie.

– Kapitanie Ledger. – Wypowiedziałem te słowa lodowatym tonem, choć nie przestawałem się uśmiechać.

Nie odpowiedział.

– Życzę miłego dnia – stwierdziłem i zacząłem się odwracać.

Gość obok Błoczka – ten z krzywym nosem – położył mi dłoń na ramieniu.

Zatrzymałem się i spojrzałem w dół na jego wielką dłoń, a później do góry na jego twarz. Nie odezwałem się, a on nie zdjął ręki. Było ich czterech, a ja jeden. Nos pewnie myślał, że to daje im dużą przewagę, a ponieważ goście z NSA są twardzi, pewnie miał rację. Z drugiej strony oni wierzą we własne przechwałki, a to się czasem potrafi zemścić. Nie wiedziałem, ile wiedzieli o mnie, ale jeśli ten błazen położył na mnie rękę, to pewnie nie wiedzieli dosyć. Postukałem żonkilami w jego nadgarstek.

– Mógłby pan?

Zdjął rękę, ale podszedł bliżej.

– Niech pan tego nie komplikuje.

– „Dlaczego?” nie jest skomplikowanym pytaniem –

stwierdziłem.

Jego warga drgnęła w cieniu uśmiechu.

– Bezpieczeństwo narodowe.

– Bzdura. Sam jestem w bezpieczeństwie narodowym.
Zwróćcie się do mnie odpowiednimi kanałami.

Bloczek dotknął ramienia Nosa i odsunął go na bok, a sam spojrzał mi w oczy.

– Dostaliśmy polecenie, by pana sprowadzić.

– Kto podpisał rozkaz?

– Detektywie.

– I znów to samo.

Bloczek sapnął przez nos.

– Kapitanie Ledger. – W jego słowach było tyle jadu, że mógłby przepalić pancierz okrętu wojennego.

– Jak się pan nazywa? – spytałem.

Tak szybko schował identyfikator, że nie zdążyłem przeczytać.

– Agent specjalny John Andrews – odpowiedział po chwili wahania.

– Wie pan co, Andrews, rozegramy to w następujący sposób. Ja pójdę tam i położę kwiaty na grobie mojej najstarszej i najbliższej przyjaciółki, kobiety, która koszmarnie w życiu cierpiała i umarła paskudną śmiercią. Zamierzam przez chwilę z nią posiedzieć i mam nadzieję, że macie dość klasy, by zapewnić mi odrobinę prywatności. Jeśli chcecie, obserwujcie mnie, ale nie siedźcie mi na głowie. Jeśli nadal tu będziecie, kiedy skończę, możemy znów spróbować z pytaniem „Dlaczego?”, a wtedy zdecyduję, czy pójdę z wami.

– Co to za bzdury? – warknął Nos.

Andrews popatrzył na mnie.

– Taki jest plan działania, Andrews. Może pan go przyjąć albo nie.

Mimo rozkazów i profesjonalnego chłodu był odrobinę wytrącony z równowagi. Sam fakt, że się zawahał, świadczył, że

w tym wszystkim coś śmierzdziało. Jeśli miałbym zgadywać, nie do końca wiedział, o co chodzi, i dlatego jeszcze nie spróbował podejścia siłowego. Byłem agentem federalnym, powiązany z Bezpieczeństwem Krajowym – na ile mógł wiedzieć – a do tego wszystkiego ze stopniem wojskowym. Nie mógł mieć gwarancji, że jeśli popełni błąd, nie zaszkodzi to w jakiś sposób jego karierze. Patrzyłem mu w oczy, gdy zastanawiał się nad taktyką.

– Dziesięć minut – stwierdził w końcu.

Powinienem jedynie skinąć głową i pójść na grób Helen, ale fakt, że zaczepili mnie w tym właśnie miejscu, naprawdę mnie wnerwił.

– Wiecie co... – cofnąłem się, ale na twarzy wciąż miałem uśmiech – kiedy minie dziesięć minut, zaczniacie wstrzymywać oddech.

Mrugnąłem radośnie, a palec wskazujący ręki, w której trzymałem butelkę, wycelowałem w Nosa. Później odwróciłem się i ruszyłem między nagrobkami, czując na plecach gorąco ich spojrzeń jak celowniki laserowe.

Rozdział drugi

***Cmentarz Najświętszego Zbawiciela,
Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 8.06
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 54 minuty***

Grób Helen znajdował się na drugim końcu cmentarza, w jednej z nowszych części. Cały teren był płaski jak deska, ale krypty i większe pomniki zapewniały minimalną osłonę. Choć psy mnie widziały, mogłem sobie pozwolić na pewną swobodę, pod warunkiem zachowania ostrożności. Kątem oka widziałem, jak Nos i jeden z pozostałych gości – blondyn o urodzie surfera – idą drogą dojazdową, by zejść mnie z boku.

Uśmiechnąłem się. Ta czwórka razem mogła mieć szansę. W chwili gdy się rozdzielili, utracili całą przewagę poza obserwacją. Przy obecnej odległości mogłem doprowadzić do walki dwóch na jednego albo z Błoczkiem i jego wsparciem, albo z Nosem i Surferem. Taki stosunek sił mi odpowiadał.

Do grobu dotarłem na autopilocie. Przełożyłem kwiaty i butelkę z wodą do lewej ręki, a prawą wsunąłem do kieszeni. Ćwiczyłem ukradkowe szybkie wybieranie i teraz paznokciem kciuka wybrałem numer i trzycyfrowy kod sytuacji.

Przychodzenie tutaj zawsze bolało, ale rezygnacja z cotygodniowych odwiedzin bolała jeszcze bardziej. W ciągu dwóch lat od samobójstwa Helen zdarzyło mi się to może cztery

razy. W tym raz przed tygodniem, bo właśnie przeprowadzałem nalot na laboratorium w Wirginii, gdzie para całkowicie ześwirowanych naukowców próbowała stworzyć nowy szczep wirusa SARS, przenoszony drogą powietrzną, a następnie sprzedać go terrorystom. Musieliśmy ich zniechęcić. Uznałem, że Helen by mi wybaczyła.

Kiedy położyłem kwiaty na jaskrawozielonej trawie na jej grobie, komórka zawibrowała mi w kieszeni.

– Wybacz mi, kochanie – szepnąłem, dotykając chłodnego nagrobka – ale muszę to wyjąć.

Wyciągnąłem telefon i ukląknęłam, jakbym się modlił, by osłonić komórkę ciałem. Otworzyłem ją. Na wyświetlaczu nie było imienia, ale wiedziałem, że to mój szef.

– Ten rano zapowiada się ciekawie. – „Ciekawie” było umówionym hasłem.

– Linia jest bezpieczna. Raport – polecił pan Church.

Pracowałem dla niego od prawie dwóch miesięcy i wciąż nie znałem jego prawdziwego nazwiska. Ludzie mówili o nim Diakon, pułkownik Niesamowity, Kościelny albo jeszcze inaczej, lecz kiedy się poznaliśmy, przedstawił się jako pan Church, więc tego nazwiska używałem. Oceniałem, że jest po sześćdziesiątce, ale nie było tego po nim widać. Moi chłopcy zakładali się, czy jest byłym rewolwerowcem z Delty, czy może szpiegiem CIA, który awansował do kierownictwa.

– Wnerwiliśmy ostatnio kogoś w Waszyngtonie?

– Dziś rano jeszcze nie. A czemu pan pyta?

– Jestem na cmentarzu. Paru sztywniaków z NSA poprosiło mnie, żebym im towarzyszył, twierdząc, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego, ale odpowiadali wymijająco, kiedy próbowałem się dowiedzieć, o co chodzi.

– Jakies nazwiska?

– Tylko jedno. John Andrews. – Opisałem jego i pozostałych. – Nie machają nakazami, ale wyraźnie widać, że to nie prośba.

– Muszę zadzwonić w parę miejsc. Niech pan nic nie robi do chwili, aż oddzwonię.

– Te zbiry na mnie czekają.

– Przeszkadza to panu?

– Nie bardzo.

– Mnie też nie.

Rozłączył się. Uśmiechnąłem się do ważek, które unosiły się nad nagrobkiem Helen, i pozwoliłem, by minęło kilka minut. Wewnątrz się gotowałem. O co w tym wszystkim chodzi? Choć wiedziałem, że nie zrobiłem nic aż tak złego, by zasłużyć na takie traktowanie, w środku wciąż czułem się winien. To dziwne, bo nie myślałem, że obecność glin tak wpływa na inne gliny.

Jak na razie nic nie miało sensu. Zamknąłem ostatnią misję i nie miałem nic nowego w kolejce, a ostatni raz otarłem się o NSA przed miesiącem, ale tamto zadanie skończyło się ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Żadnych nadeptanych odcisków ani urażonych uczuć. Dlaczego więc chcieli mnie zwinąć?

Mój licznik niepokoju podskoczył o parę punktów, kiedy zobaczyłem, jak przez bramę przejeżdżają dwa rządowe fordycy crown victoria i parkują po obu stronach mojego jeepa explorera. Wysiedli z nich czterej kolejni agenci NSA i szybko zajęli stanowiska przy oczywistych drogach wyjścia. Cztery wyjścia, cztery dwuosobowe drużyny. Bloczek stał przy samochodach, a Nos i kolejny agent między moim samochodem a wyjazdem.

– A niech to.

Komórka zawibrowała, a ja odebrałem.

– Niech pan mnie posłucha. Najwyraźniej nadeptaliśmy na odcisk komuś w Waszyngtonie i sytuacja się skomplikowała. Jak pan wie, prezydent przechodzi operację wszczepienia bypassów, a do czasu jej zakończenia oficjalnie rządzi wiceprezydent. Wice nigdy nie lubił WDN i mówił to głośno. Wygląda na to, że próbuje

go rozwiązać.

– Na jakiej podstawie?

– Jakimś sposobem przekonał prokuratora generalnego, że szantażowałem prezydenta, by dał WDN niespotykane uprawnienia i swobodę działania.

– Ale to w pewnym sensie prawda.

– W bardzo dużym uproszczeniu, w każdym razie NSA może zgodnie z prawem aresztować cały personel WDN, zając wszystkie obiekty i tak dalej.

– Czy on może to zrobić?

– Tak. Pełni obowiązki głównodowodzącego. Choć kiedy prezydent się obudzi i znów obejmie władzę, wice pewnie będzie miał kłopoty z tego powodu, ale to dopiero za kilka godzin, a wice może w tym czasie narobić dużo szkód. Cioteczka Sallie mówi, że dwa śmigłowce NSA wylądowały na Floyd Bennett Field. Ci mają nakazy.

Cioteczka Sallie była zastępczynią Churcha i dowódcą Hangaru, kwatery głównej WDN na Brooklynie. Nie miałem okazji jej poznać, ale wśród personelu WDN krążyły najdziwniejsze pogłoski na jej temat.

– Wice nie ma dużo czasu – stwierdził Church. – Musimy go powstrzymać do chwili, kiedy prezydent odzyska władzę. Ja mogę opóźnić działania prokuratora generalnego.

Prawie się roześmiałem.

– Tu chodzi o MindReadera, prawda?

– Najpewniej.

MindReader był systemem komputerowym, który Church albo stworzył, albo zamówił – wciąż nie wiedziałem, która wersja jest prawdziwa – a który mógł obejść wszelkie zabezpieczenia i dotrzeć do każdego twardego dysku, dopóki istniało jakiegokolwiek łącze, przewodowe lub bezprzewodowe, i wydostać się z niego bez pozostawiania śladów. O ile wiedziałem, na całym świecie nie było niczego podobnego, i uważam, że wszyscy

powinniśmy być za to wdzięczni – to MindReader sprawiał, że WDN pozostawał o krok przed głównymi siatkami terrorystów. Moja przyjaciółka major Grace Courtland zwierzyła mi się z podejrzenia, że to dzięki MindReaderowi Church miał wystarczająco silną pozycję, by prezydent i inni urzędnicy rządowi nie stali mu nad głową. Skuteczność WDN zależała od swobody działania, bo dzięki niej unikaliśmy biurokracji, która tak spowolniła Bezpieczeństwo Krajowe.

MindReader był bardzo niebezpiecznym narzędziem z wielu różnych powodów, a wszyscy mogliśmy jedynie mieć nadzieję, że Church jest człowiekiem dość dalekowzrocznym i prawym, by używać go jedynie we właściwych celach. Gdyby wice przejął kontrolę nad systemem, bylibyśmy ugotowani. Poza tym Church nie oddałby MindReadera w cudze ręce. Nie wierzył w szlachetniejsze pobudki polityków. Rozsądnie.

– Major Courtland mówi, że trzy nieoznaczone humvee zaparkowały przed Magazynem – stwierdził Church.

– Jaki plan ma wice?

– Nie wiem. Wątpię, by nawet jako pełniący obowiązki prezydenta zaryzykował użycie siły, by nas powstrzymać. To daje nam trochę pola manewru.

– Ale dlaczego chce mnie? Nie mam dostępu do MindReadera, o ile osobiście mnie pan do niego nie zaloguje.

– On tego nie wie. Oddziały NSA otoczyły cztery pozostałe biura WDN i dowódców oddziałów. Szykują obławę. Ale cokolwiek robią, musi być bezkrwawe, i dlatego pewnie agent Andrews dał panu kilka minut z panią Ryan.

– Może, ale wezwał wsparcie. Właśnie wjechały dwa kolejne samochody. Dużo Indian, tylko jeden kowboj.

– Uda się panu wydostać?

– Zależy, jak będę mógł się do tego zabrać.

– Niech się pan nie da pojmać, kapitanie, albo zniknie pan w systemie. Minie pół roku, zanim pana znajdę, a wtedy już na

nic mi się pan nie przyda.

– Aż czuję tę miłość – mruknąłem, ale on mnie zignorował.

– Sytuacja jest delikatna – ostrzegł mnie Church. – Jeśli ktoś naciśnie na spust, wykorzystają to, by zlikwidować WDN.

– Może będę musiał poszczerbić paru z tych chłopców.

– Z tym mogę żyć.

Rozłączył się.

Kiedy chowałem telefon do kieszeni, kątem oka zobaczyłem ruch. Moje dziesięć minut minęło. Andrews i jego Drużyna Zbirów się zbliżali.

Ci goście nie powinni tu przychodzić. Nie tutaj.

– W porządku – powiedziałem. – Zatańczmy.

Rozdział trzeci

***Deck, na południowy zachód od Gila Bend,
Arizona,
sobota, 28 sierpnia, 8.07
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 53 minuty***

Szaleństwo to miła odmiana. A jego świadomość wyzwala.

Cyrus Jakoby od lat znał tę swobodę i zadowolenie. Traktował je jak narzędzie, które wykorzystywał tak często, jakby było bronią. Z jego punktu widzenia nie stanowiło w najmniejszym stopniu ograniczenia. Nie wtedy, gdy jest się świadomym kształtu i zasięgu osobistego szaleństwa, a Cyrus znał każdy centymetr i gram swojego.

– Wygodnie panu, panie Cyrusie?

Obok stał jego wieloletni pomocnik i towarzysz, Otto Wirths, chudy mężczyzna ubrany w białą liberię. Jego oczy miały odcień błota, a usta i lewe nozdrze przecinała blizna po ranie zadanej nożem. Wypowiadał się z mocnym niemieckim akcentem, a jego ciało kojarzyło się z patyczakiem. On jeden wciąż mógł się zwracać do Cyrusa, używając jego prawdziwego imienia – a w każdym razie imienia, które stało się prawdziwe dla nich obu.

– Jak najbardziej, Otto – mruknął Cyrus.

– Dziękuję.

Cyrus oparł się o ścianę ozdobnych poduszek zdobionych

jaskrawym haftem przedstawiającym różnorodne mitologiczne zwierzęta. Na kolanach trzymał tacę z lunchem, na której błyszczały srebrne sztucce i rżnięte szkło. Cyrus nie jadał śniadań – jajka we wszelkiej postaci uważał za obrzydliwe – i nie wstawał przed trzynastą. Cały harmonogram pracy, czasu wolnego i snu w Decku odzwierciedlał ten fakt, a Cyrusa radowała świadomość, że może zmienić cały wzorzec życia, by dostosować je do swojego punktu widzenia. Kiedy poprawiał się na łóżku, Otto przeszedł przez sypialnię i położył świeże kwiaty przed dużym olejnym portretem samicy rezusa, której przed laty nadali imię Gretel. We wszystkich pozostałych pomieszczeniach obiektu znajdowały się wysokiej jakości wydruki obrazu, podobnie jak w każdym pomieszczeniu Ula – ich tajnej fabryki w Kostaryce. Cyrus niemalże oddawał cześć zwierzęciu i często powtarzał, że zawdzięcza mu więcej niż jakiegokolwiek istocie ludzkiej, którą poznał w życiu. To dzięki temu rezusowi ich kampania przeciwko czarnym i homoseksualistom okazała się ogromnym sukcesem, a liczbą ofiar śmiertelnych przewyższyła drugą wojnę światową. Otto w pełni się zgadzał, choć osobiście sądził, że wieszanie wydruków było niejaką przesadą.

Na stoliku pod obrazem spoczywało duże podświetlone pleksiglasowe pudełko, otoczone niemal równie wielkim szacunkiem, jak obraz. W jego wnętrzu kłębiło się stado jętek. Przez rurki do środka wpadało powietrze o stałej temperaturze. Malutkie owady były pierwszym prawdziwym sukcesem Cyrusa i Ottona. Tamten zespół w Instytucie Badań nad Komórkami Macierzystymi w Edynburgu wciąż chełpił się odkryciem tak zwanego genu nadrzędnego nieśmiertelności w mysim DNA, choć nie mieli pojęcia, jak wykorzystać jego potencjał. Otton i Cyrus – wraz z grupą współpracowników, którzy niestety już nie żyli – rozwiązali tę zagadkę przed czterdziestu laty. I znaleźli odpowiedź w skromnej jętce.

– Co dziś mamy w planach?

Otto zwinnie strzepnął serwetkę z irlandzkiego lnu i założył ją za dekolt zapinanej na guziki piżamy Cyrusa.

– Wbrew pańskiej rekomendacji pan Sunderland pozwolił, by Bliźnięta przekonały go do próby przejęcia systemu komputerowego MindReader. Najwyraźniej wydaje im się, że wyrosły z Pangei.

Cyrus machnął lekceważąco ręką.

– Przejąć go? Nonsens. Nie będzie działał.

– Oczywiście, że nie.

– Sunderland powinien o tym wiedzieć.

– Wie – mruknął Otto. – Ale jest chciwy, a chciwość sprawia, że nawet bystrzy ludzie robią głupie rzeczy. Sądzę jednak, że ma gotowego kozła ofiarnego na wypadek, gdyby mu się nie powiodło. Jak się pewnie stanie. Jego to nie dotknie i nie dotknie nas.

– Może zaszkodzić Bliźniętom.

Otto się uśmiechnął.

– Wyhodował je pan, by były zaradne.

– Hm. Co jeszcze mamy?

– Przeprowadziliśmy udane próby w Nigerii, Zimbabwie, Beninie i Kenii, jeśli zaś chodzi o nasze terytorium, próby w Luizjanie powinny wkrótce przynieść wymierne efekty.

– Nie za szybko. Nie chcemy, żeby CDC...

Otto cmoknął.

– Będą wyłączeni z gry na długo, nim to do nich dotrze. I nie będą zdolni czegokolwiek zrobić, kiedy nasi rosyjscy przyjaciele zniszczą ich system.

– Rosjanie. – Cyrus pociągnął nosem. – Nie wiem, czemu darzysz tych tępaków taką sympatią.

– Sympatią? – Otto się uśmiechnął. – Użyłbym innego słowa, panie Cyrusie, ale musi pan przyznać, że są entuzjastyczni.

– Odrobinę za bardzo entuzjastyczni, jak na mój gust. Kiedyś byłeś wyjątkowo subtelny, Otto. Wykorzystywanie czerwonej

mafii jest... Nie wiem. – Machnął ręką. – Takie stereotypowe. I oni nie są „nami”.

– Stać nas na nich, a jeśli zostaną wyeliminowani, co z tego? Nie stracimy przyjaciół. I czy ktoś w ogóle wpadłby na pomysł, że to właśnie my korzystamy z usług zbirów z byłego Specnazu? Nawet jeśli Rosjanie będą działać bardzo niezgrabnie, nikt nie spojrzy w naszą stronę. A w każdym razie nie do chwili, gdy będzie już za późno.

Cyrus zrobił nadąsaną minę.

– Żałuję, że nie mamy paru Berserków. To jedyny przypadek, kiedy muszę przyznać, że Bliźnięta poradziły sobie lepiej od nas.

– Może. Moje źródła twierdzą, że mają pewne problemy behawioralne z Berserkami. – Otto spojrział na zegarek. – Kupcy z Północnej Korei wyjeżdżają i chcą się pożegnać.

Cyrus pokręcił głową.

– Nie, to nudne. Wyślij jednego z moich dublerów. Poślij Mila, on jest dobrze wychowany.

Otto ułożył sztucę.

– Zastrzelił pan Mila przed dwoma tygodniami.

– Naprawdę? Dlaczego?

– To był wtorek.

– Ach tak.

Cyrus sądził, że wtorek jest najnudniejszym i najmniej użytecznym dniem tygodnia, i próbował ożywić ten najgorszy moment każdego tygodnia odrobiną pikanterii.

– Szkoda Mila. – Cyrus przyjął kubek herbaty. – Był dobry.

– Owszem. Ale było, minęło, panie Cyrusie – mruknął Otto. – Poślemy Kimballa.

– Jesteś pewien, że jeszcze go nie zabiłem?

– Jeszcze nie.

Cyrus spojrział na niego z ukosa, ale Otto jedynie mrugnął do swojego pana. Nie uśmiechnął się jednak.

– Może w przyszły wtorek powinienem zabić ciebie.

– A kiedy skończy mi pan grozić, poszukam sobie schowka na szczotki, żeby się ukryć.

– Co jeszcze mamy dziś w planach?

– Najnowsza partia Nowych Ludzi została wysłana do Ula. Carteret i pozostali teraz ich warunkują. Mamy zamówienie na sześćdziesiąt kobiet i dwustu mężczyzn. Obecna partia wystarczy, by je zrealizować, ale jeśli dostaniemy większe zamówienia, których się pan spodziewa, będziemy musieli zwiększyć produkcję o dwadzieścia procent.

– Zrób to. A skoro mowa o Nowych Ludziach, czy ten idiota van der Meer próbował targować się o cenę jednostkową?

– Próbował.

– I?

– To nie jest rynek kupującego.

Cyrus z zadowoleniem pokiwał głową. Już przeznaczył część pieniędzy na nową linię badań. Coś, co rozważał przez te długie godziny w basenie do deprivacji sensorycznej. Zawsze najlepiej mu się myślało w tym miejscu, gdzie czuł się połączony z całym wszechświatem, gdzie mógł otworzyć każdą komnatę swojego nieskończonego umysłu. Uniósł ciężką pokrywę znad talerza i przyjrzał się posiłkowi. Cztery plastry białego mięsa z piersi rozłożone jak karty do gry, w gęstym kremowym sosie. Nie rozpoznawał struktury mięsa, choć warzywa były znajomymi egzotykami – małe ziemniaczki, całe główki karłowatych brokułów i hybryda szpinaku z marchwią. Otto wziął od niego pokrywę.

– Coś nowego? – spytał Cyrus.

– Właściwie starego.

– Ach tak?

– Pierś dodo w kremowym sosie z białym winem.

Cyrus klasnął w dłonie jak dziecko.

– Cudownie! – Sięgnął po widelec, ale się zawahał. – Próbowałeś?

– Oczywiście.

– I?

– Nie smakuje jak kurczak.

Cyrus roześmiał się.

Otto zacisnął wargi.

– Nieco bardziej przypomina dziczyznę. Trochę jak bielik amerykański, ale mniej żylaste.

Cyrus podniósł nóż i widelec.

– Nie chciałbym popsuć panu apetytu, sir – dodał Otto – ale muszę przypomnieć, że Bliźnięta są w drodze. Niemal z całą pewnością chcą omówić kwestię Berserków. – Cyrus zaczął protestować, ale Otto uniósł uspokajająco dłoń. – Proszę się nie martwić, podjęliśmy zwyczajowe środki ostrożności. Zobaczą i usłyszą dokładnie to, co spodziewają się zobaczyć i usłyszeć.

Cyrus odkroił kawałek mięsa dodo i przeżuł je z namysłem. Otto czekał cierpliwie.

– Chcę, żeby w trakcie rozmów prowadzono skanowanie termiczne.

– Już się tym zajęliśmy. Sprawdzono czujniki wszystkich krzeseł w prywatnym ogrodzie. Jeśli dodamy do tego nowe czujniki gęstości pary wodnej, doktor sądzi, że odczyty będą wiarygodne w zakresie od siedemdziesięciu do siedemdziesięciu trzech procent. Jeśli będą kłamać, najpewniej się tego dowiemy.

– Ta dwójka jest bystra – ostrzegł Cyrus.

– Muszą być. – Otto się uśmiechnął. – I nie, sir, to wbrew pozorom nie jest aż tak służalcze, jak zabrzmiało. W rzeczywistości darzę Bliźnięta sporym szacunkiem.

– Do pewnego stopnia – poprawił go Cyrus.

– Do pewnego stopnia – zgodził się Otto.

– Moi młodzi bogowie. – Cyrus przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, a na jego wargach pojawił się słaby uśmiech. Zamrugał i spojrzał na Ottona. – A co z KIMami?

– Jeden Szesnaście i Jeden Czterdzieści Cztery dobrze się

rozwijają. Dziś przechodzą czwartą serię badań psychologicznych, a jeśli rezultaty nam się spodobają, możemy włączyć ich do Rodziny. Dziewięćdziesiąt Pięć ma wysokie oceny na zajęciach z chirurgii i chyba mu się to spodobało. Cecha rodzinna. Większość pozostałych się rozwija.

– Upewnij się, że nie będą widoczni. Nie chcę, żeby Hekate albo Parys ich zobaczyli.

Otto pokiwał głową.

– Jak mówiłem, zobaczą tylko to, co chcemy, żeby zobaczyli. Jedynym dzieckiem, które Bliźnięta zobaczyły... i które kiedykolwiek zobaczą, jest Osiemdziesiąt Dwa, a on nadal jest w Ulu.

Cyrus zawahał się.

– Co z Osiemdziesiąt Dwa? – A kiedy Otto nie odpowiedział, mówił dalej: – Wciąż wiąże z nim nadzieje. Czuję z nim większe pokrewieństwo niż z pozostałymi.

– Wiem, ale widział pan wyniki jego badań psychologicznych, panie Cyrusie. Wie pan, co mówią o nim lekarze.

– Co? Że nie można mu zaufać? Że jest wypaczony? Do diabła, ja w to nie wierzę – warknął Cyrus z nagłą złością w głosie. – Lekarze się mylą!

Jego służący założył ręce na piersi i oparł się o wezglowie.

– To już trzecia grupa lekarzy, która doszła do dokładnie takich samych błędnych wniosków. Jak bardzo jest to prawdopodobne?

Cyrus odwrócił głowę i wpatrzył się w dziesiątki bukietów stojących wzdłuż jednej ze ścian. Jego pierś uniosła się i opadała, kilka razy zaczynał mówić, ale w końcu nie wypowiedział swoich myśli. To była stara kłótnia, coś, z czym zmagali się we dwóch od prawie trzech lat. Wściekłość Cyrusa, gdy poznał wyniki Osiemdziesiąt Dwa, była ogromna, niszczycielska. Cała poprzednia szóstka lekarzy została stracona. Cyrus zrobił to własnoręcznie, udusił ich strunami wiolonczeli, które wyrwał

z instrumentu należącego do Osiemdziesiąt Dwa.

– Niech znów przeprowadzą testy – powiedział cichym głosem, który nie pozostawiał miejsca na dyskusję. – Niech znów przeprowadzą każdy jebany test.

– Już wydałem takie polecenie. Posłałem nowy zespół specjalistów do Ula, a oni przeprowadzą je ponownie. Ile razy będzie trzeba.

Cyrus spojrział na niego, po czym znów się odwrócił.

– Ach tak, to powinno pana ucieszyć. – Otto zręcznie zmienił temat. – Ten nowy Hindus, Bannerjee, rozwiązał problem erozji gazowej w czujnikach-meduzach. Wpompujemy kilkanaście do odrzutowca Bliźnięt, kiedy będą tankować.

Cyrus uśmiechnął się i znów odwrócił. Odkroił kawałek mięsa i wrócił do posiłku.

– Daj Bannerjee premię. Nie. Zaczekaj, aż będziemy pewni, że uda nam się wytropić Bliźnięta do miejsca, w którym ukrywają się przede mną. Jeśli znajdziemy Fabrykę Smoków, Bannerjee dostanie jako premię podwójną pensję, jako dodatek do ustalonej wypłaty.

– To bardzo szczodre, sir.

– I powiedz mu, że patent na ten laminat, który wymyślił do czujników, należy do niego, choć doceniłbym piętnaście procent jako dziesięcinę.

– „Dziesięcinę”?

– Nazwij to, jak chcesz. Łapówka, cokolwiek.

– Doktor Bannerjee bez wątpienia z radością odda panu dwadzieścia procent.

– Na starość robisz się chciwy, Otto.

Niemiec złożył mu ukłon.

– Uczyłem się tego u stóp wielkiego mistrza.

Cyrus śmiał się, aż się zadławił, a później, gdy już wykrztusił kawałek brokuła, zaśmiał się znowu. Otto włączył telewizor, ustawił podzielony ekran na BBC World News i CNN, a dołem

bezustannie pełzały ceny akcji na rynkach nowych technologii i biotechnologii. Poprawił poduszki wokół Cyrusa, ułożył kwiaty w dwudziestu siedmiu wazonach wokół pokoju i upewnił się, że pistolet przy łóżku nie jest naładowany. Lepiej nie ryzykować.

Rozdział czwarty

*Biały Dom,
sobota, 28 sierpnia, 8.07
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 53 minuty*

– Panie wiceprezydencie – powiedział doradca – wszystkie oddziały się zgłosiły. Wszyscy są na stanowiskach.

– Wszyscy?

– Tak jest, sir, a oddziały wyznaczone do przejęcia pojedynczych agentów już zaczęły działać; główne siły znajdują się przed wejściem do każdego obiektu. Wydałem rozkaz działania.

William Collins, wiceprezydent i pełniący obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych, pokiwał głową i znów usiadł na fotelu. Dłońmi – pokrytymi odciskami dłońmi hutnika, na które tak często zwracano uwagę w materiałach prasowych – energicznie potarł twarz, aż zarumieniły mu się policzki. Sapnął i złożył dłonie. Doradca drgnął.

– Ile czasu minie, zanim się czegoś dowiemy?

– Agenci dowodzący będą się odzywać pojedynczo, gdy zabezpieczą swoje cele. Każda sytuacja jest inna i uświadomiłem im, jak ważna jest delikatność i konieczność zrobienia tego we właściwy sposób, a nie szybko.

Wiceprezydent spojrzał na niego ostro.

– Szybkość jest tu cholernie ważna, nie sądzisz?

Doradca natychmiast odezwał się uspokajająco.

– Oczywiście, sir, ale należy to zrobić właściwie. Zgodnie z literą prawa.

– Tak, tak, jasne. Informuj mnie.

Odchylił się do tyłu na fotelu i zaczekał, aż doradca wyjdzie. Wówczas odwrócił się do drugiego mężczyzny obecnego w pomieszczeniu, starego krokodyla w garniturze wartym pięć tysięcy dolarów. Twarz mężczyzny była tłusta, pomarszczona i czerwona od nadciśnienia, ale spokojna, a jego oczy patrzyły z wyrachowaniem i rozbawieniem.

– Chryste, lepiej, żeby się udało, J.P. – mruknął wiceprezydent.

Jonas Paul Sunderland, starszy senator z Teksasu i jeden z najgłośniejszych orędowników rozwoju biotechnologii, uśmiechnął się.

– Uda się, Bill. Nie panikuj. – Zagrzechotał lodem w szklaneczkę ze szkocką i pociągnął łyk. – Mamy dobrych ludzi na właściwym miejscu.

– Gra toczy się o wysoką stawkę, J.P.

Sunderland uśmiechnął się do niego.

– Oczywiście. Ale nawet jeśli się nie powiedzie, ty wyjdiesz z tego jako prawdziwy patriota, a o mnie nikt nawet nie pomyśli. Wszystko jest dobrze zaplanowane, a ty masz prawo po swojej stronie, co jest miłe. W tej sytuacji jesteśmy dobrymi gośćmi.

– Na papierze.

– Pewnie, na papierze, ale tym papierem jest konstytucja, więc się uspokój. Jeśli będziesz wyglądał na zestresowanego, zrobisz wrażenie, jakbyś miał coś na sumieniu.

Wiceprezydent pokręcił głową.

– Nie doceniasz tego prezydenta, J.P. Myślisz, że to zielony dzieciak, który nie wyjmuje głowy z tyłka, ale on jest bystrzejszy, niż ci się wydaje.

Sunderland nie wypowiedział serii rasistowskich inwektyw, które cisnęły mu się na usta.

– Masz o nim zbyt wysokie mniemanie – stwierdził jedynie.

– Może. Jeśli tak, to dlatego, że stoi za nim Church. A może to Church go tak naprawdę kontroluje? Tak czy inaczej, musimy wziąć pod uwagę Churcha. Atakujemy bezpośrednio jego i prezydenta.

J.P. Sunderland wzruszył ramionami, jakby Church i jego wpływy nie miały znaczenia, choć w rzeczywistości znał Churcha – i jego możliwości – w większym zakresie, niż wiceprezydent mógł kiedykolwiek pojąć. Sunderland dokończył szkocką, podniósł się z trudem z krzesła i potoczył do stolika, by nalać sobie kolejną – dużo szkockiej z symboliczną odrobiną coli. Później przygotował nowego drinka dla wiceprezydenta. Collins nie przegapił kolejności jego działań.

– Boże, chciałbym tylko, żeby już było po wszystkim.

Wiceprezydent wyrwał szklaneczkę z ręki Sunderlanda, rozchlapując część zawartości na suszkę. Skrzywił się i pośpiesznie wypił połowę, aż się zakrztusił. Sunderland wydawał się rozbawiony, gdy podszedł chwiejnym krokiem z powrotem do krzesła i opadł na nie z westchnieniem. Collins popatrzył ze złością na resztki trunku.

– I chcę dostać ten pieprzony komputer.

– Wszyscy czegoś chcemy, Bill. Ty chcesz, żeby twój urząd odzyskał władzę, jaką miał w czasach Cheney'a, a ja chcę tego, czego chcę.

A tym, czego chcę, jest usunięcie zagrożenia ze strony tego systemu komputerowego, pomyślał Sunderland.

MindReader był dla nich obu najważniejszy. Dla Collinsa zdobycie go liczyło się mniej niż jego uciszenie. Sunderland widział go jako drogę na skróty do licencji na drukowanie pieniędzy. Jego obecni partnerzy w interesach, Bliźnięta Jakoby – ta para błyskotliwych białoskórych dziwolągów – mogli wykorzystać MindReadera, by wydobyć nawet najstaranniej zaszyfrowane dane badawcze ze wszystkich innych laboratoriów

genetycznych na świecie. Bliźnięta obeszy większość ograniczeń, przed jakimi stali inni genetycy – niewystarczające zrozumienie genomu – kradnąc informacje z różnych źródeł. W efekcie znajdowały się wiele kroków przed innymi, ale dotarły do ściany, gdyż ich obecny system komputerowy – Pangea – nie mógł ukraść już nic więcej. Jakoby byli gotowi zapłacić absurdalne sumy za MindReadera, ale, popijając szkocką, Sunderland bawił się pomysłem, by jedynie wydzierżawić im system. Czemu miałyby oddawać krowę?

W ten sposób mógłby wydzierżawić system również ich ojcu, Cyrusowi Jakoby. Sunderland wielce podziwiał starego Jakoby i podzielał wiele jego poglądów w kwestiach politycznych, etnicznych i społecznych. MindReader mógłby posunąć plany Cyrusa do przodu o rząd wielkości. A Cyrus bez wątpienia zapłaciłby za tę przewagę.

Inną kwestią, która go niepokoiła, był jego własny brat, Harold, który zbliżył się do Bliźnięt Jakoby i często polował z nimi i ich przyjaciółmi. Harold nie był szczególnie bystry, a gdyby MindReadera kiedykolwiek skierowano w stronę Jakoby, odnalazłby Harolda – to zaś doprowadziłoby do J.P. i wszystkich ustaw, do których przyjęcia chciał doprowadzić. Harold był tak naprawdę jedynym możliwym do wytropienia powiązaniem, choć sam nie odgrywał większej roli. Ale wiele dobrych planów zostało zaprzepaszczonych przez obecność tępych krewnych.

Nie wspomniał o tym Collinsowi. Sunderland wierzył w filozofię „tylko tyle, ile jest konieczne”, a gdyby Collins wiedział, to albo by stchórzył, albo zażądał wielkiej łapówki.

Sunderland popijał szkocką i patrzył, jak wiceprezydent panikuje.

Tym, co interesowało ich obu, były cztery projekty ustaw o biotechnologii, które właśnie trafiły do Kongresu. W chwili obecnej absolutnie nic nie mogło połączyć projektów z osobistymi zainteresowaniami Collinsa albo prywatnym

majątkiem Sunderlanda.

Gdyby MindReader został zwrócony w tę stronę, wszystko mogłoby się zmienić. Jakiegokolwiek związki, gdyby zostały ujawnione, doprowadziłyby do upadku Collinsa, końca jego kariery politycznej i uczyniłyby z niego pariasa w świecie biznesu. To była dźwignia, którą Sunderland wykorzystał, by przekonać Collinsa do podjęcia działania. Gdyby projekty ustaw zostały zablokowane z powodu podejrzenia wykorzystania poufnych informacji lub osobistych interesów, koszty byłyby ogromne. Wiele badań musiałoby zostać przeniesionych do innych krajów, a to bywało drogie i czasochłonne. Krajowe licencjonowanie badań i zgoda na nie przyspieszały przyznawanie patentów, co sprawiało, że leki, linie komórkowe i procedury szybciej trafiały na rynek.

Sunderland popijał drinka i uśmiechał się uspokajająco i przyjaźnie na użytek wiceprezydenta.

– Lepiej, żeby się udało – powtórzył wiceprezydent.

Sunderland milczał.

Siedzieli na skórzanych fotelach, rozdzieleni wielkim biurkiem i oceanem osobistych różnic, popijali szkocką i czekali na dzwonek telefonu.

Rozdział piąty

*Cmentarz Najświętszego Zbawiciela,
Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 8.16
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 44 minuty*

Goście z NSA podzielili się na cztery drużyny, zajmując rogi wielkiego kwadratu z grobem Helen w samym środku. Niezbyt odkrywczym, ale sensownym.

Upewniłem się, że widzą, jak się im przyglądam, co z kolei sprawiło, że jeszcze bardziej odwrócili się w moją stronę. Stali wyprostowani i próbowali robić wrażenie twardzieli. Uwierzcie mi, byłem pod wrażeniem.

Ale mimo wszystko nieźle sobie radzę w pokera, a w tej grze to, co ma się na twarzy, liczy się tak samo, jak to, co ma się na ręce.

Wstałem i ruszyłem w stronę agenta Andrews, nieco przy tym zwiesiłem ramiona i wypuściłem powietrze, by robić wrażenie mniejszego, niż byłem w rzeczywistości. On już widział mnie z bliska, ale drugie wrażenie też się liczy. Po drodze pociągnąłem z butelki kilka łyków wody.

– Jest pan gotów pójść z nami, kapitanie Ledger?

– Nadal czekam na „dlaczego” albo nakaz.

Twarz Andrews była jeszcze bardziej nieruchoma i domyślałem się, że skontaktował się z przełożonymi.

– Przybyliśmy tu na podstawie rozporządzenia wykonawczego dotyczącego kwestii bezpieczeństwa narodowego. Nie musimy udzielać w tej chwili żadnych wyjaśnień.

Towarzysz Andrews przechylił się lekko w prawo – pewnie chciał mi pokazać, jak wielki ma tors.

Na te słowa udałem zaskoczenie, zatrzymałem butelkę wody w połowie drogi do ust i spojrzałem ponad szyjką na Andrews.

– Chce pan powiedzieć, że to sam prezydent wydał ten rozkaz? Andrews nawet nie zamrugął.

– Nasze rozkazy pochodzą bezpośrednio z Białego Domu.

Sprytne sformułowanie, co powiedziało mi, że wiedział o manewrze wiceprezydenta. Bardzo ostrożnie dobierał słowa.

– W porządku – powiedziałem i pociągnąłem łyk wody.

Andrews zamrugął zaskoczony.

Splunąłem mu wodą w oczy i rzuciłem butelką w drugiego gościa – wiedziałem, że go to nie zaboli, ale sprawiło, że się wzdrygnął i zrobił unik. Zanim minął efekt zaskoczenia, rzuciłem się na nich. Chwyciłem Andrews za włosy i klapę marynarki, podciąłem na wysokości goleni i zakręciłem. Moja stopa zadziałała jak punkt podparcia, a połączenie jego ciężaru i szybkości mojego piruetu sprawiło, że wzniósł się w powietrze, jakby nic nie ważył. Rzuciłem nim w stronę szerokiej, płaskiej piersi drugiego agenta i obaj padli na ziemię. Usłyszałem głośne sapnięcie i krzyk bólu, kiedy drugi gość uderzył o ziemię pod ciężarem Andrews. A Andrews nie był zawodnikiem wagi piórkowej.

Nie marnując czasu, pobiegłem w stronę zaparkowanych samochodów. W kieszeni na biodrach trzymałem nóż sprężynowy, który otworzyłem szybkim ruchem nadgarstka. Przebiegając obok forda Andrews, błyskawicznie przebiłem jedną oponę, później zrobiłem to samo z drugim rządowym sedanem. Zanim jednak dobiegłem do swojego eksplorera, Nos i Surfer wbiegli mi na drogę. Z Nosa był szybki sukinsyn, dotarł

do mnie osiem kroków przed swoim wsparciem. Tępak.

Kiedy znajdował się trzy kroki ode mnie, schowałem nóż do kieszeni i skręciłem tak, by wpaść na niego. Był potężnym mężczyzną, zamierzał mnie przewrócić i biegł tak szybko, że nie miał szans zejść mi z drogi. Szarpnąłem się w bok i uderzyłem go wyprostowanym prawym przedramieniem w podstawę nosa. Krąży miejska legenda, że uderzenie w podstawę nosa może wbić kawałki kości w mózg – nawet niektórzy nauczyciele karate utrzymują, że to prawda, ale to niemożliwe z przyczyn fizjologicznych. Jednak cios miażdżący nos, zwłaszcza przy dużych prędkościach, może doprowadzić do gwałtownego szarpnięcia głowy do tyłu, wypełnić przewody Eustachiusza krwią, wystrzelić fajerwerki przed oczami i generalnie sprawić, że człowiek czuje się tak, jakby trzymał głowę w bębnie, w który wali kijem oszalala małpa.

Nos poleciał do tyłu, jakby ktoś wyszarpnął mu dywan spod nóg, i był nieprzytomny zanim jeszcze uderzył o ziemię. Po czymś takim będzie wymagał poważnej chirurgii nosa, ale nie powinien być mnie dotykać. Nigdy, a już szczególnie tutaj, na grobie Helen. Takie rzeczy traktuję bardzo osobiście.

Kiedy upadł, Surfer zbliżył się do mnie i w biegu sięgnął po broń, ale ja wyciągnąłem swój pistolet i wycelowałem w niego.

– Weź go dwoma palcami i odrzuć – poleciłem. – Już.

Zrobił to. Czterech pozostałych agentów zbliżało się do nas, najbliższy znajdował się w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów. Kopnąłem Surfera w jaja, po czym chwyciłem go za krótkie włosy i wykorzystałem jako tarczę, biegnąc tyłem do explorera.

Obróciłem Surfera i spoliczkowałem go tak mocno, że czekał go tydzień chodzenia w kołnierzu ortopedycznym, a kiedy osuwał się na ziemię, otworzyłem zamek explorera i zanurkowałem za kierownicę. Od chwili, kiedy rzuciłem ludzką tarczę, do momentu, gdy z rykiem wyjechałem przez bramę

omentarza, mieli co najmniej sześć okazji, by strzelić do samochodu albo do mnie. Nie zrobili tego, co uznałem za bardzo interesujące.

Rozdział szósty

***Bliźnięta Jakoby, przestrzeń powietrzna nad
Arizoną,
sobota, 28 sierpnia, 8.18
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 42 minuty EST***

Hekate Jakoby siedziała naga na skraju łóżka i wyglądała przez okno odrzutowca na kłębiące się morze chmur poniżej. Uwielbiała kontrast najczystszej bieli i dziesięciu tysięcy odcieni szarości. Był dla niej jakby zwierciadłem.

Jej brat, Parys, stał w bokserkach z czarnego jedwabiu, które o wiele bardziej kontrastowały z jego śnieżnobiałą skórą. Parys zawsze nosił ciemne barwy, by podkreślić biel szczupłego, muskularnego ciała. Hekate wołała łagodniejsze odcienie, nie czuła się tak swobodnie ze swoją białą skórą, choć w rzeczywistości oboje byli absurdalnie piękni. Myśleli tak nawet ludzie, którzy ich nienawidzili.

Kobieta na łóżku jęknęła i przewróciła się na drugi bok. Narkotyki miały przestać działać za około godziny, ale do tego czasu odrzutowiec wyląduje w Arizonie, a załoga zajmie się dziewczyną. Zostanie nakarmiona, opłacona i dostanie wszelkie odpowiednie instrukcje. Jeśli Hekate i Parysowi spodoba się raport personelu, może znów zabawią się z dziewczyną w drodze powrotnej. Jeśli nie, dziwka zostanie odwieziona do najbliższego miasteczka i dostanie dość gotówki na bilet autobusowy.

Cyfrowe nagranie ich spotkania zostanie wypalone i dodane do biblioteki Bliźniąt. Biblioteka była indeksowana według płci, koloru włosów, rasy i liczby partnerów. Mieli również trzy – jak na razie – dyski w eleganckich czarnych pudełkach. Te były wyjątkowe – nagrania spotkań, po których ich uroczce zabaweczki zostały skremowane, a prochy rozsypano nad oceanem. Nie z powodów ceremonialnych – to był po prostu skuteczny sposób pozbycia się ciała.

– Niezła zabawa – mruknął Parys. – Dziewczyna była pełna werwy. Masz ochotę na martini?

– Poproszę. Podwójne.

Parys spojrzał na znad barku na Hekate i dostrzegł, że wpatruje się w śpiącą kobietę.

– Co się z tobą dzieje? Zakochałaś się?

– Nie, jedynie podziwiam architekturę – odparła w zamyśleniu Hekate. – Dwie cebulki w martini.

Dziewczyna miała dwadzieścia lat, obfity biust, opalone ciało i bujne kręcone rude włosy. Miała też piegi i kilka skomplikowanych tatuaży – chińskie znaki i celtyckie plecionki. Była wszystkim, czym nie była Hekate. Hekate, choć piękna – wysoka, szczupła i blada jak lód, z włosami o barwie śniegu i oczami ciemnymi jak dojrzałe jagody – nie była kalifornijską blondynką. Jej piersi były małe, a sutki miały odcień przydymionego różu. Jedyнным znamieniem na jej idealnej skórze była mała blizna w kształcie gwiazdki, w tym samym odcieniu przydymionego różu, co jej sutki. I jeszcze mały tatuaż po wewnętrznej stronie lewego uda, na którym dwa groźne smoki – nie zwyczajne węże – owijały się wokół skrzydlatej laski. Łuski smoków i symetria ich ciał sugerowały podwójną helisę.

Parys miał identyczny tatuaż w górnej części lewej łydki i taką samą bliznę na piersi. Blizna była ich osobistym znakiem. Cieleśna więź, jak często mawiał ich ojciec, znak ich wielkości i przypomnienie tego, co tato nazywał ich niebiańskim

dziedzictwem. Zostali naznaczeni w chwili urodzin, kiedy lekarze przeprowadzający nieplanowane cesarskie cięcie na ich matce wyjęli bliźnięta przytulone do siebie zakrwawionymi policzkami. Z początku lekarze obawiali się, że bliźnięta są zrosnięte w sposób, który będzie wyzwaniem dla chirurgów, ale kiedy noworodki zostały ostrożnie wyjęte z łona umierającej matki i umieszczone w inkubatorze, rozdzieliły się, co rozerwało delikatną skórę na ich piersiach. Były złączone jedynie w tym miejscu i nie stała im się żadna krzywda, poza blizną w kształcie gwiazdki na piersi każdego z dzieci. Gwiazda nigdy nie zbladła.

Przyjmujący poród ginekolog położnik, głęboko wierzący katolik ze szpitala w Cancún, dokąd pośpiesznie zabrano ich matkę po tym, jak straciła przytomność podczas przyjęcia bożonarodzeniowego w jednym z większych hoteli, zobaczył znak w chwili, gdy położna ogłosiła oficjalny czas narodzin. Dwunasta zero jeden w noc Bożego Narodzenia.

– *Milagro!* – ogłosił lekarz i przeżegnał się. Cud.

Pisano o nich w gazetach na całym świecie. Bliźnięta, albinosy o niesamowicie niebieskich oczach, urodzone o północy w chwili, gdy Wigilia przechodziła w Boże Narodzenie. Pierwsze narodziny w święto, a oboje byli naznaczeni gwiazdą przypominającą Gwiazdę Betlejemską. Historia, choć absurdalna, została podchwycona przez prasę na całym świecie. Śmierć ich matki i przypadkowa zbieżność jej imienia – Mary – uczyniły z niej opowieść o pięknie rodzącym się z tragedii. Nim Bliźnięta Jakoby przeżyły minutę, już stały się legendą.

Hekate jedną dłonią dotknęła blizny, a palcami drugiej przesunęła po gładkiej i nietkniętej dolinie między piersiami śpiącej dziewczyny. Jak by to było być zwyczajną? – zastanawiała się Hekate. Nie po raz pierwszy.

Nawet we śnie dziewczyna poczuła dotyk i znów jęknęła. Hekate pochyliła się i pocałowała gładkie miejsce między piersiami rudowłosej, zawahała się, po czym polizała skórę,

smakując mieszankę potu, perfum i naturalnego piżma. Zastanawiała się, jak naprawdę smakowałoby jej ciało, gdyby kiedykolwiek odważyła się ugryźć. Zastanawiała się, jak krew zmieniłaby smak.

– Dobry Boże – mruknął Parys, podchodząc z drinkami – czy ciebie da się zaspokoić?

Hekate podniosła głowę i uśmiechnęła się. Brat nigdy jej do końca nie rozumiał, co jej nie przeszkadzało. Miała w sobie takie rzeczy, które lepiej, by pozostały niezrozumiane. Wzięła martini i pociągnęła łyk.

– Mmm, doskonale.

Parys wypił łyk swojego drinka, odstawił kieliszek na stolik przy łóżku i zaczął się ubierać. Włożył czarne spodnie, grafitową koszulę i mokasyny bez skarpetek – konserwatywny strój pasujący do okazji. Zgodnie z planem po raz drugi w miesiącu odwiedzali ojca w jego laboratorium w Arizonie. Tak naprawdę było więzieniem, ale przekonali ojca, że potrzebuje bezpiecznego schronienia przed błotnymi ludźmi i rządem – a przynajmniej tymi elementami rządu, które nie wisały u cycka Jakoby. Cyrus sprawiał wrażenie przekonanego do konieczności budowy ukrytej bazy, a do tego jeszcze pozwolili mu zaprojektować ją zgodnie z jego „wizją”, co jeszcze bardziej go ugłaskało. Baza, którą stworzył, miała kształt dodekaedru – Cyrus utrzymywał, że to kluczowa forma uświęconej geometrii – i zwana była Deckiem. Bliźnięta wbudowały w nią setki urządzeń bezpieczeństwa i nadzoru i pozwoliły, by Cyrus dowiedział się o niektórych z nich – jednak o innych z pewnością nie miał pojęcia.

– Cholernie żałuję, że nie wybudowaliśmy jego laboratorium gdzieś bliżej – jęknął Parys. – Pieprzona Arizona? W sierpniu? Poza tym brak mu stylu.

– Stylu?

– Daj spokój, przecież to tajne laboratorium z prawdziwym szalonym naukowcem w środku. Straciliśmy okazję, by być cool.

– Tajne bazy w wydrążonych wulkanach wyszły z mody całe pięć minut temu. – Hekate prychnęła. – Poza tym tato raczej nie jest doktorem No.

– Jest bystrzejszy. I źlejszy. Czy takie słowo w ogóle istnieje?

– Nie. Ale to prawda, tato sprawia, że „szalony naukowiec” staje się naprawdę „szalony”.

Zaśmiali się i stuknęli kieliszkami.

– Miałaś ostatnio jakieś wieści od niego?

Hekate popijała martini i wciąż patrzyła na kobietę, którą przez ostatnie trzy godziny dzieliła się z bratem. Mimo wódki wciąż czuła jej zapach i smak. Dziewczyna smakowała latem i wolnością.

– Ten jego Otto dzwonił do mnie z tuzin razy w ciągu ostatniego tygodnia. Hm. Zastanawiam się, czy Otto kwalifikuje się jako jego zły pomocnik, czy pacholek?

– Zdecydowanie zły pomocnik – uznała Hekate.

– Pewnie tak. W każdym razie powiedział, że tato chce dostać sekwencer genów nowej generacji, ten szwedzki, który był na okładce *Biotech Times*.

– I co z tego? Niech go sobie ma.

– Chce dwa, a ja myślę, że chce je tylko dlatego, że były na okładce.

– A kogo to obchodzi? Kup mu cały pokój.

– On już ma cały pokój sekwencerów 454 Life Sciences – jęknął Parys. – Mówi, że są do niczego, a jego służący z trudem powstrzymują go przed rzuceniem się na nie z miotaczem ognia.

Hekate wzruszyła ramionami.

– Czemu robisz taką aferę? Jeśli Alfa chce dwadzieścia nowych komputerów, niech je ma. Możemy obciążyć jego rachunek. Bóg jeden wie, że ostatnio przynosił nam dużo pieniędzy i stać nas, żeby kupić mu nowe zabawki. Co cię to obchodzi?

Parys prychnął, gdy jego siostra powiedziała „Alfa”. Tato zaczął się tak nazywać przed miesiącem i upierał się, by dzieci

w kontaktach z nim używały wyłącznie tego określenia. Personel ojca musiał się do niego zwracać „Najwyższy Lordzie Alfa”. Przez poprzednie dwa lata reagował wyłącznie wówczas, gdy zwracano się do niego per Pomarańczowy, co było niejasnym nawiązaniem do rasy obcych, o której pochodzeniu i naturze ufolodzy wciąż debatowali. Parys niechętnie ustępował – miał taką żyłkę na czole, która zaczynała pulsować za każdym razem, gdy musiał ułożyć wargi w kształt jednego z tych imion. Podobał mu się jedynie Merlin, przydomek, którego ojciec używał, kiedy on i Hekate byli nastolatkami.

Hekate uniosła brew.

– Nie patrz tak na mnie – warknął Parys. – Nie jestem skąpy czy, nie daj Boże, „gospodarny”, po prostu coraz trudniej odróżnić jego konieczne prośby od bezsensownych kaprysów. Jak basen wypełniony rtęcią.

Hekate dopiła martini i wstała. Była równie wysoka jak brat – dokładnie metr osiemdziesiąt – i miała nogi, o których pisały wszystkie kolorowe magazyny, od *Vogue* po *Maxima*. Najczęściej przewijała się fraza „nogi jak alabaster”. I inne tego rodzaju bzdury, które pochlebiały Hekate, kiedy była nastolatką, ale teraz uważała je za wyświechtane. Pozostawiła jedynie niewielki trójkąt srebrzystobiałych włosów łonowych, a kiedy uniosła nogę, by włożyć figi, światła kajuty odbiły się w złotych kolczykach w jej wargach sromowych. Kolczyki w sutkach były platynowe. Z okazji dwudziestych siódmych urodzin rozważała przekłucie brwi, choć była całkowicie przekonana, że na ten widok tato dostałby zawału. W jego oczach Bliźnięta były nietknięte poza bliznami w kształcie gwiazdy. Powtarzał im raz za razem, że czystość jest ważna, choć żadne z jego wyjaśnień, dlaczego jest ważna, nie miało sensu. Coś o trzymaniu otwartego kanału dla niebiańskiej boskiej siły, która miała przez nich przepływać.

Włożyła krótką jasnozieloną spódniczkę i białą satynową

bluzkę, która odbijała światło, kiedy się poruszała. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na stercie głębokich poduch w jednym kącie learjeta i machała sandałem na dużym palcu stopy.

Wzmianka o basenie rtęci jej nie zaskoczyła. Był absurdalnie drogi – 5 dolarów i 35 centów za sto gramów – a jednocześnie uderzająco piękny. Dziesięć tysięcy galonów falującego płynnego metalu. Kupili go przez różne firmy, które do nich należały, co wywołało na rynku przejściowy run na ten metal, a w niektórych pismach naukowych wciąż spekulowano, że ktoś gdzieś pracował nad czymś nowym, co zaskoczy świat.

– Do czasu, kiedy znudził się eksperymentem nad świadomością metalu – zauważyła – cena rynkowa wzrosła o dwadzieścia sześć centów za uncję. Zarobiliśmy fortunę.

– Nie o to chodzi – mruknął z irytacją Parys. – Im bardziej pogarsza się jego stan i im bardziej staje się skłonny do przesady, tym trudniej oddzielić jego zwariowane bzdury od prawdziwych badań.

– I dlatego płacimy Changowi, Bannerjee i Hopewellowi, żeby potwierdzali jego prace.

– Głupi, głupszy i najgłupszy? To idioci.

Hekate uśmiechnęła się pobłaźliwie do brata i lekko pokręciła głową.

– Wcale nie i ty o tym wiesz. To najlepsi z najlepszych.

Parys prychnął i dopił drinka.

– Z Ottonem zawsze u boku taty ci trzech idioci nie mogą się zbliżyć. Chyba musimy zaprosić go na parę dni do Fabryki Smoków.

– To szaleństwo! Od lat próbował poznać jej lokalizację. Nie ma mowy, że go tam zabierzemy!

– Nie zamierzam mu posłać biletu na samolot. Przylecimy po niego, a co zobaczy i czego się dowie, będzie zależało tylko od nas. Możemy zasłonić okna odrzutowca, możemy podać mu coś, żeby przespał podróż, cokolwiek, żeby nie wiedział, gdzie

znajduje się Fabryka Smoków. Ale naprawdę sędzę, że tropikalne powietrze dobrze mu robi, a my moglibyśmy spędzić z nim trochę więcej czasu. I może udałoby nam się zorientować, czy jest całkowicie ześwirowany, czy tylko na wpół szalony. Moglibyśmy pokazać mu Berserków i to, co przygotowujemy do obozów pracy. On...

Rozległ się cichy brzęczyk, oznaczający, że samolot rozpoczyna podejście do lądowania. W tej samej chwili zadzwoniła komórka Parysa. Chodził po całej kajucie, głównie słuchał, od czasu do czasu coś mruknął.

– Cholera! – powiedział w końcu i przerwał rozmowę. Zarumienił się.

– Co się stało? – spytała Hekate. – Kto dzwonił?

– Sunderland. Mają problemy ze zdobyciem systemu komputerowego. Najwyraźniej natknęli się na większy opór, niż się spodziewali.

– On ma całe NSA!

– Wiem, wiem.

Hekate zagryzła wargę i przez dłuższą chwilę wyglądała przez okno.

– Potrzebujemy tego systemu. Pangea nie wystarczy do następnego etapu. Potrzebujemy MindReadera.

Choć byli błyskotliwi, duża część ich transgenicznych badań tak naprawdę nie była ich zasługą. Większość została wykradziona. Zaawansowany system komputerowy, który dostali od Alfy, Pangea, pozwolił im przeniknąć do jednostek głównych wielu z najważniejszych laboratoriów genetycznych i skopiować bazy danych. Dzięki temu posiadali wiedzę większą niż ktokolwiek inny, i to o kilka rzędów wielkości. Niestety Pangea miała już swoje lata i niektóre nowoczesne zapory zaczynały im sprawiać kłopoty. Jedyne systemem komputerowym zdolnym do przeniknięcia przez te zapory był MindReader, który do tego łatwiej odszyfrowywał dane.

Próbowali już umieścić kreta w WDN, by ukraść MindReadera albo zdobyć jego specyfikacje. Dostali cynk, że organizacja ma pewne dziury w zabezpieczeniach, ale ciągle wpadali na ścianę i zmarnowali ponad milion dolarów, którego nie mogli już odzyskać. Wykorzystanie wiceprezydenta było wielkim planem Sunderlanda, który już wyciągnął od Jakoby sporo gotówki, żeby wprowadzić go w życie. Gdyby to się nie powiodło, nie mieli najmniejszych szans na zwrot pieniędzy od tego tłustego chwalipięty. Jak się zgadzali, była to jedna z wad bycia kryminalistami. O ile nie mogli pociągnąć za spust, kwestia odpowiedzialności po prostu nie istniała, a Sunderland nie był kimś, kogo mogli się pozbyć.

– Pozostaje jeszcze Denver – stwierdził Parys po długim milczeniu. – Reakcja taty, kiedy mu o tym powiedzieliśmy, świadczy, że musi tam być coś niesamowitego. Może nawet schemat MindReadera.

– Raczej wczesne badania genetyczne – ostrzegła go Hekate. – Możliwe, że marnujemy czas.

– Możliwe – rzucił obojętnie Parys.

Jednym z wielu celów gambitu Sunderlanda z wiceprezydentem było zaangażowanie WDN w takim stopniu, by nie zauważyli, że w Denver cokolwiek się dzieje. Odkrycie zapisków należących do jednego z najstarszych współpracowników Alfya było wielką sprawą. Bliźnięta od jakiegoś czasu podejrzewały, że Alfa miał powiązania z pionierami badań genetycznych, a legendarny skarbiec danych oparty na masowych tajnych badaniach na ludziach od dawna był Świętym Graalem czarnego rynku genetyki. Nikt nie wiedział do końca, co się w nim znajdowało, ale od lat siedemdziesiątych kilkunastu ludzi zostało zamordowanych w czasie poszukiwań. Alfa wspominał o tym kilka razy i przebiegle skłonił Bliźnięta do poszukiwań, ale kiedy powiedzieli, że chyba mają wyraźny ślad prowadzący do archiwum w pobliżu Denver, próbował udawać,

że to był przelotny kaprys. Bliźnięta mu nie wierzyły. W oczach Alfy kryło się pragnienie, które je zelektryzowało.

Bliźnięta wykorzystywały te odwiedziny u Alfy jako sposób na odwrócenie jego uwagi, a gambit Sunderlanda jako sposób na odwrócenie uwagi WDN. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Parys i Hekate otrzymaliby zawartość tych archiwów przed powrotem do Fabryki Smoków.

– Masz rację, jakby przyszło co do czego – Hekate się uśmiechnęła – mamy przecież plan B. I C.

– I plan D – dodał wesoło.

Uniosła kieliszek, a on się z nią stuknął. Następnie wziął jej kieliszek i znów go napełnił.

– Do czego tato potrzebuje nowego sekwencera? – spytała Hekate.

– Oczywiście nie powiedział. Nigdy nie mówi, chyba że może zorganizować wielką prezentację. Boże, on czasem traktuje to jako jeden wielki pieprzony telewizyjny show. Kiedy naciskałem na wyjaśnienia, wybełkotał jakieś bzdury, które nie miały nawet uzasadnienia naukowego. Nie chce mi nic mówić, jeśli ciebie przy tym nie ma. Chce, żeby obie połówki Arkturiańskiej Wspólnoty były świadkami.

– „Arkturiańska Wspólnota”. Czy to nasza nowa nazwa?

Parys pokiwał głową i pociągnął łyk wódki.

– Cóż, lepiej niż Gwiazdne Dzieci – mruknęła Hekate. – Brzmiało jak nazwa glamrockowej kapeli z późnych lat siedemdziesiątych. Mam nadzieję, że w końcu zdecyduje się na Ziggy’ego Stardusta i Pajaki z Marsa.

Mimo ponurego nastroju Parys uśmiechnął się szeroko.

– A co powiesz na Kosmiczne Dziwactwa?

– A to by już było zbyt bliskie prawdy w reklamie.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Dziewczyna jęknęła i obróciła się na drugi bok. Hekate miała już dość patrzenia na nią i przykryła ją prześcieradłem, a w kącikach jej ust pojawił się

szydrczy uśmiech. Jak mogła uważać te wielkie wymiona za atrakcyjne?

Parys przygotował nowe drinki, jeden podał jej.

– Nie myślisz, że on podejrzewa – spytała cicho. – Prawda?

– Podejrzewa, co robimy czy co zaplanowaliśmy na niego?

– I jedno, i drugie.

Parys wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć – przyznał. – Tato myśli, że wciąż rządzi. Ale tak naprawdę, jakie to ma znaczenie? Nim zyska pewność, będzie za późno, by mógł cokolwiek zrobić.

Ich odrzutowiec opuścił klapy i zaczął opadać w stronę pustyni.

Rozdział siódmy

Gmina Akpro-Missérété, Ouémé, Republika Beninu Jedenaście dni wcześniej

Doktor Panjay wyszła z namiotu i zdjęła maskę, odsłaniając głęboko zaniepokojoną i przestraszoną twarz. Zdjęła lateksowe rękawiczki, a jej dłonie drżały tak bardzo, że za pierwszym razem nie trafiła do kosza na odpady medyczne. Usłyszała szelest klapy namiotu i kiedy się odwróciła, w blasku popołudniowego słońca stał jej współpracownik, doktor Smithwick. Mimo opalenizny był blady jak ściana. Stał obok Panjay, zdjął zakrwawione rękawiczki i wrzucił je razem z maską i fartuchem do kosza na odpady medyczne.

– Widzisz, dlaczego poprosiłam cię, żebyś tu przyjechał? Żebyś sam to zobaczył? – Panjay spojrzała mu w twarz. – Thomas, co my zrobimy?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Poza wysłaniem próbek i naszych notatek nie wiem, co możemy zrobić. To wykracza poza moje umiejętności, Rino.

– Dziękuję, że przyjechałeś. Ale może powinnam cię lepiej przygotować.

Smithwick znów spojrzał w stronę dużego namiotu. Po opuszczeniu klapy nie widział rzędów łóżek polowych, zajętych przez rolników z doliny rzeki Ouémé. Sześćdziesięcioro dwoje ludzi.

– Czy to wszystkie przypadki? – spytał.

Zagryzła wargi i pokręciła głową.

– Nie. To najzdrowsze przypadki.

– Ja... nie rozumiem...

– Od kiedy przybyłam tu przed trzema tygodniami, zgłosiło się trzystu pacjentów z objawami. Większość miała poziom hemoglobiny rzędu sześciu do ośmiu gramów na decylitr, z dużą ilością retikulocytów. Niektórzy wykazywali objawy hiposplenizmu z ciałkami Howella-Jolly'ego.

– Zbadałaś ich wszystkich?

– Tak. I pięćset przypadkowo wybranych osób z tych samych miasteczek lub gospodarstw. Wszyscy, bez wyjątku, mieli oznaki hemoglobiny sierpowatej. Sprawdziłam ich HbS w ditonianie sodu i w każdym przypadku hemoglobina robiła wrażenie mętnej.

– Chryste Panie!

– Nie każdy ma objawy, ale kiedy się pojawiają, widzimy szeroki zakres. Mieliśmy niedokrwistość skutkującą jałową martwicą kości, przypadki priapizmu i martwicy penisa u mężczyzn, bakteryjne zakażenia kości. Lista jest długa. Każdy objaw z podręcznika. Nawet objawy występujące typowo w różnych odmianach pojawiają się u tych samych pacjentów, w tym udary w związku ze zwężeniem naczyń krwionośnych. Mieliśmy dziewiętnaście przypadków niedokrwienych udarów mózgu u dzieci i liczne krwotoki wewnątrzmożgowe u dorosłych. I częste przypadki zakażeń bakteriami *Streptococcus pneumoniae* i *Haemophilus influenzae* u pacjentów, którzy przeszli jakikolwiek zabieg chirurgiczny. Nie tylko usunięcie śledziony, każdy zabieg.

– Jakie są przyczyny zgonów?

– Niewydolność nerek. U wszystkich.

Jej słowa uderzyły Smithwicka jak seria ciosów. Zatoczył się do tyłu i złapał za drzewko, żeby nie upaść.

– Wszyscy?

– Każdy. Każdy chory.

– Niemożliwe. – Oblizął wargi. – Masz mapę? Możesz mi pokazać, gdzie zgłoszono przypadki?

Pokiwała głową.

– Wiedziałam, że będziesz chciał ją zobaczyć, więc już jest gotowa.

Rina Panjay poprowadziła go przez niemal opustoszałą wioskę. Słyszeli cichy płacz ludzi pochylonych nad świeżymi grobami na cmentarzu i samotne zawodzenie odbijające się echem z pokoju dziecka, gdzie osamotniona matka siedziała i kołysała się, przyciskając do piersi lalkę. Oczy Panjay były czerwone od łez, które przez ostatnie tygodnie wylała nad wioską. Czuła się zużyta, zniszczona, całkowicie bezradna.

Weszli do niewielkiego betonowego budynku Światowej Organizacji Zdrowia, który normalnie służył jako szpital dla tego wiejskiego rejonu Ouémé. W szpitalu nie przebywali obecnie żadni pacjenci – wszystkich przeniesiono do dużego namiotu rozstawionego pośrodku pola, z dala od miasteczka i studni.

Do ściany przypięto dużą mapę rejonu, upstrzoną setkami kolorowych pinesek. Resztę tej ściany i część sąsiedniej pokrywały od podłogi do sufitu wydruki cyfrowych zdjęć ofiar. One również były zakodowane kolorowymi pineskami. Ofiary bez objawów oznaczono białymi pineskami. Ofiary z aktywnymi objawami czerwonymi, a zmarłych czarnymi. Panjay wskazała na punkt na mapie.

– Tam zgłoszono pierwszy przypadek. Następny był tutaj, a kolejny tutaj.

Mówiąc, stuknęła w punkty na mapie, a blada twarz Smithwicka pobieliała jeszcze bardziej.

– Nie – szepnął.

Panjay opuściła rękę. Nie potrzebowali niczego poza pineskami na mapie. Wzór rysował się wyraźnie. Student

pierwszego roku medycyny zrozumiałby implikacje, a dla Thomasa Smithwicka, doświadczonego epidemiologa WHO, obraz był tak wyrazisty, że wręcz krzyczał.

– To niemożliwe, Rino. To, co opisujesz, nie może być anemią sierpowatą. Musiałaś się pomylić. Próbki musiały zostać skażone.

Pokręciła głową z wyraźnym zmęczeniem.

– Nie. Sprawdziłam wyniki w trzech różnych laboratoriach. Dlatego zadzwoniłam do ciebie. Nie wiem, co robić. Nie zostałam do tego wyszkolona.

To było prawdą. Rina Sanjay była świetnie wyszkolonym młodym lekarzem, właśnie skończyła staż w szpitalu klinicznym Uniwersytetu Kalifornijskiego, a wcześniej przez jakiś czas pracowała na oddziale ratunkowym Northeastern Hospital w Filadelfii. Umiała przyjąć poród, zdiagnozować zakażenie HIV i przeprowadzać drobne zabiegi chirurgiczne. Ale wszystkie testy wskazywały na to samo – anemia sierpowata. Choroba dziedziczna.

Smithwick z kolei przez dwadzieścia sześć lat pracował w Światowej Organizacji Zdrowia. Walczył w pierwszym szeregu, by powstrzymać rozprzestrzenianie się wirusa HIV w Afryce. Pracował również przy dwóch ostatnich epidemiach eboli w Ugandzie i Demokratycznej Republice Konga. W innych okolicznościach nie byłby właściwym specjalistą w tej sytuacji.

– To, co opisujesz, jest niemożliwe – upierał się. – Anemia sierpowata nie jest zakaźna. To choroba o charakterze czysto dziedzicznym. Ale to, to... – Machnął ręką w stronę mapy. – Ta mapa pokazuje rozprzestrzenianie się choroby zakaźnej.

Rina Panjay milczała.

– To niemożliwe – powtórzył Smithwick. – Choroby dziedziczne nie są zakaźne.

– Mogła zmutować?

– Tak szybko? I z taką wirulencją? – Pokręcił głową. – Nie. Niemożliwe, żeby do tego doszło. Nie przez dziesięć tysięcy

pokoleń mutacji.

– W takim razie jak to się stało?

Powietrze między nimi trzeszczało od napięcia, gdy Smithwick walczył ze słowami, które rodziły mu się na języku. Odpowiedź była równie prosta, jak niedorzeczna. Równie prosta, jak groteskowa.

– Teoretycznie da się to zrobić – powiedział. – Celowo. W laboratorium. Terapia genowa i jakiś gospodarz, może wirus, ale to nie miałyby sensu. Terapia genowa ma cel. To nie. To jest...
– Szukał słowa.

– Złe? – podpowiedziała.

Przez długi czas nie odpowiadał, po czym pokiwał głową.

– Jeśli to rzeczywiście czyjeś dzieło, to mogło powstać tylko w jednym celu. By krzywdzić. By celowo krzywdzić.

Doktor Panjay spojrzała na mapę, a później jej spojrzenie przeniosło się na setki kolorowych zdjęć przypiętych do ściany. Wiele przedstawiało ludzi, których znała. Ponad pięćdziesięcioro pochodziło z tej wioski. Wszyscy mieszkańcy, których przebadala, mieli pozytywny wynik testu na tę nową odmianę anemii sierpowatej. Wszyscy.

– Musimy poinformować WHO – powiedziała Panjay. – Musimy ich ostrzec...

– Nie – przerwał jej Smithwick. – Musimy ostrzec wszystkich.

Wpatrywał się w pineski.

– Wszystkich – powtórzył cicho, ale w głębi serca bał się, że jest już za późno. Zdecydowanie za późno.

Rozdział ósmy

***Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 8.25
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 35 minut***

Rzeczy rzadko są takimi, jakimi się wydają na pierwszy rzut oka. Po opuszczeniu cmentarza przejechałem osiem kwartałów, gwałtownie zawracając, ostro zakręcając i robiąc wszystkie inne sztuczki, których gliniarze uczą się od przestępców próbujących zgubić ogon. Nic. Nikt mnie nie śledził. Tego byłem pewien.

– Niech to diabli – powiedziałem i natychmiast zjechałem z ulicy na parking dużego pawilonu handlowego.

O NSA trzeba wiedzieć kilka rzeczy – nie są głupi, nawet w najgorszych momentach, i nie są niezręczni.

Wysiadłem z samochodu, zamknąłem go i pobiegłem, jakby gonili mnie wszyscy diabli. Nie śledzili mnie, bo nie musieli. Nie widziałem jej ani nie słyszałem, ale byłem gotów postawić całą swoją kolekcję winyli Muddy’ego Watersa, że jeden z chłopaków Bloczka umieścił pluskwę na moim samochodzie. Albo śledzili mnie z nadzieją, że zaprowadzę ich do jakiegoś miejsca ważnego dla WDN, albo zamierzali zapędzić mnie w zasadzkę. Nie zamierzałem czekać, by się dowiedzieć. Uciekałem.

Już się do mnie zbliżali. Dwie przecznice od miejsca, w którym porzuciłem explorera, wypadłem za róg i zobaczyłem czarny samochód jadący ulicą i kierujący się w stronę, z której właśnie

przybyłem. Kiedy mnie mijał, spojrzałem prosto w zaskoczoną twarz agenta Johna Andrewsa. Bloczka.

Cholera.

Widziałem go tylko przez chwilę, co jednak wystarczyło, by dostrzec, jak grymas frustracji na jego twarzy zmienia się w szeroki uśmiech zadowolonego ogara. Zaczął wrzeszczeć na kierowcę, a ja uskokzyłem w bok i pobiegłem uliczką. Usłyszałem za sobą krzyki. Andrews i jego kumple biegli za mną z niepokojącą szybkością.

W porządku, pomyślałem, skoro tak bardzo wam na mnie zależy, to zobaczymy, czy dotrzycie mi kroku.

Pędziłem dalej, przeskakując nad śmieciami, prześlizgnąłem się przez otwór w siatce, dałem susa na zielony pojemnik na śmieci i jak pajak wspiąłem po drabince pożarowej. Jestem spory, ale kiedy mam odpowiednią motywację, biegam jak gepard na amfie.

Andrews, mimo swoich rozmiarów, był jeszcze szybszy. Znajdował się niecałe dziesięć metrów ode mnie, kiedy wbiegłem w zaśmieconą ślepią uliczkę. Gdyby nie marnował tchu na wrzaski, mógłby mnie złapać, zanim dotarłem do jej końca. Błąd. Podskoczyłem najwyżej, jak mogłem, złapałem siatkę w trzech czwartych wysokości i wspiąłem się po niej jak przestraszona wiewiórka. Złapałem się za wspornik, zrobiłem niezgrabne salto, gubiąc po drodze monety i kluczyki z kieszeni, wylądowałem przykucnięty, upadłem na bok i wykorzystałem impet, by się podnieść. Całość nie wyglądała zbyt ładnie, ale znów zerwałem się do biegu.

Nie oglądałem się. Słyszałem, jak Andrews uderza o siatkę, ale jego eleganckie buty nie nadawały się do wspinaczki i spadł. Usłyszałem odgłos uderzenia o ziemię, a jego przekleństwa goniły mnie aż do końca uliczki. Andrews wrzeszczał, żebym się zatrzymał, ale nie wyjął broni. Coraz dziwniej i dziwniej. Wolałem nie wiedzieć, w jaki sposób dałby upust frustracji,

gdyby udało mu się przykuć mnie do uchwytu w cichym pokoju przesłuchań, więc biegłem dalej.

Uliczka była pusta, więc dałem z siebie wszystko, ale w chwili, gdy miałem wypaść na otwartą przestrzeń, przed jej wylotem z piskiem opon zatrzymał się drugi ford, całkowicie go blokując. Dwaj agenci zaczęli otwierać drzwi, ale ja się nie zatrzymywałem. Podskoczyłem, uderzyłem w maskę i zsunąłem się po niej na jednym pośladku. Kiedy wylądowałem, agent po stronie pasażera próbował mnie złapać, ale gwałtownie odwróciłem się w jego stronę, uderzyłem go bykiem i rzuciłem na maskę dokładnie w chwili, gdy drugi agent próbował powtórzyć mój ślizg. Zderzyli się ze sobą i zsunęli po masce na ziemię.

Nie chciałem robić krzywdy tym gościom, ale słowa pana Churcha odbijały się echem w mojej głowie. „Nie daj się pojmać, kapitanie, albo znikniesz w systemie”.

Nazwijcie to programem motywacyjnym.

Trzeci agent pojawił się znikąd, przeskoczył nad kumplami i pobiegł za mną. Bloczek i jego towarzysz byli zbyt daleko, więc pozwoliłem, by kierowca dogonił mnie dwie przecznice dalej. Przebiegłem na skos przez boisko do koszykówki, rozpraszając grupkę czarnych nastolatków. Krzyczeli na nas, jak to zwykle robią dzieciaki, a ja wtedy dałem im prawdziwy powód do wrzasków. Kiedy dotarłem do linii rzutów wolnych na drugim końcu, skierowałem się w stronę cienkiego metalowego słupka podtrzymującego zardzewiałą obręcz, na której pozostały jedynie poszarpane resztki siatki. W chwili gdy kierowca zaczął mnie doganiać, podskoczyłem, złapałem słupek obiema rękami i zakręciłem się wokół niego. Uderzyłem butami w pierś kierowcy i rzuciłem nim w stronę rzędu przepelnionych koszy na śmieci. To nie był groźny upadek dla sprawnego fizycznie dorosłego, ale był głośny i malowniczy. Kiedy ruszyłem dalej, słyszałem za plecami oklaski dzieciaków. Przynajmniej ktoś mnie

doceniał.

Wiedziałem, że miałem szczęście, i w porządku. Przy następnej okazji pójde do kościoła zapalić świeczkę. Na razie musiałem wykorzystać swoje szczęście aż do końca. Żałowałem, że nie miałem czasu, by odciąć jednego z tych zbirów od reszty stada, zaciągnąć do opuszczonego pokoju i przekonać, że wyznanie grzechów jest dobre dla duszy. Ale wątpiłem, że którykolwiek z agentów wie więcej, niż Church mógł się dowiedzieć, a poza tym potencjalna nagroda nie była warta ryzyka.

Dlatego skręciłem w lewo, w stronę niskiego bloku, przebiegłem korytarzem do tylnego wyjścia, przeskoczyłem parę płotów, prawie pozwoliłem, żeby zaskoczony bulterier odgryzł mi tyłek, dotarłem do kolejnej płataniny uliczek i ruszyłem zakosami przez Zachodnie Baltimore. Byłem białym gościem biegnącym przez niebezpieczną czarną dzielnicę, ale wyglądałem jak wariat i wyglądałem jak glina, a te dwie rzeczy sprawiają, że ludzie dowolnego koloru skóry tracą ochotę, by się wtrącać.

Dwie przecznice dalej zwolniłem kroku i zapłaciłem jakiemuś nastolatkowi pięćdziesiąt dolców za czapkę drużyny Orioles. Pot płynął mi po ciele i zbierał się w butach, koszulka lepiła się do ciała, wyraźnie podkreślając kształt pistoletu za paskiem. Czulem na sobie spojrzenia wszystkich na ulicy, ale wiedziałem, że nikt nie podkabluje gościa uciekającego przed glinami – nawet jeśli on też wygląda jak glina. Wszedłem do najbliższego spożywczaka i kupiłem za dużą pamiątkową koszulkę z Baltimore. Kucnąłem na ulicy i pocierałem nią o chodnik, aż była brudna i podarta, a wtedy włożyłem ją na koszulkę Orioles. W czapce na bakier i luźnym podkoszulku, który wyglądał, jakby nie był prany od czasów rządów Clintona, wyglądałem jak bezdomny. Za każdym razem, gdy wychodziłem za róg, coraz bardziej wcielałem się w tę rolę, opuściłem głowę, zacząłem powłóczyć nogami, drgałem i mamrotałem pod nosem w różnych językach. W końcu

każdy, kto na mnie spojrzał, mógłby przysiąc, że jestem ćpunem szukającym kolejnej działki. Gdzieś po drodze dołączyło do mnie dwóch prawdziwych ćpunów i całą trójką ruszyliśmy zakosami w głąb Zachodniego Baltimore, aż nie pozostał żaden ślad, którym mogła podążać NSA.

Pół godziny później ukradłem samochód i wyjechałem z miasta.

Rozdział dziewiąty

*Deck,
sobota, 28 sierpnia, 8.35
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 25 minut EST*

Otto i Cyrus przechadzali się korytarzami Decku, uśmiechali do robotników i techników i kiwali głowami.

Pomijając trójkę naukowców – Hindusów – wszyscy mieli białe twarze i aryjskie pochodzenie. W niektórych przypadkach, jeśli pracownik był wyjątkowo cenny, pozwalano na pewne wątpliwości co do rodowodu. Obaj mężczyźni wiedzieli, że w ostatecznym rozliczeniu pozostawało to bez znaczenia, bo nikt z tu obecnych, ani robotnicy i technicy, ani KIMowie, ani nawet Otto i Cyrus, nie należał do przyszłości. Byli ramionami, na których stanie kolejne ewolucyjne stadium ludzkości. Otto i Cyrus byli zadowoleni i uradowani tym faktem, pozostali po prostu nie wiedzieli.

– Jak się mają sprawy w Wilmington? – spytał Cyrus, gdy stanęli na platformie widokowej wznoszącej się nad zoo.

Na dole znajdowało się czterdzieści osobnych klatek, a w powietrzu unosiły się krzyki i wrzaski zwierząt. Para wodna niosła bogaty aromat ziemi, łajna i piżma. Zoo znajdowało się sto metrów pod pustynią Arizony, ale robiło wrażenie tropikalnego lasu.

– Rosjanom udało się wydobyć informacje od Gilpina, tego

komputerowca, który pracował dla Bliźniąt. Udało mu się potwierdzić zawartość archiwów Haeckla.

– Czy Gilpin żyje?

– Wątpię. Dowódca Rosjan przekazał nam informacje przed zaledwie kilkoma minutami. Jednak Gilpin potwierdził, że archiwa Haeckla znajdują się w miejscu zwanym Deep Iron, niedaleko Denver.

Cyrus wydawał się zadowolony.

– Kogo mamy w okolicy?

– W Denver? Nikogo, ale posłałem oddział.

– Kolejnych Rosjan?

Otto wzruszył ramionami.

– Lepiej ich niż kogoś z naszych.

Patrzyli na zwierzęta. Młody mamut trąbił i uderzał potężnymi przednimi nogami o ściany klatki. Nad ich głowami fruwało stado gołębi wędrownych. Cyrus oparł przedramiona na balustradzie i przyglądał się, jak opiekunowie za pomocą wyciągarki i pętli asekuracyjnych ostrożnie zdejmują z elektrycznego wózka uśpionego wilka straszego. Samica została zapłodniona in vitro, ale już dwa razy poroniła. Embriolog – jeden z Hindusów – sądził, że znaleźli przyczynę problemu. Gen, który kodował błędną sekwencję hormonalną.

– Jest piękna, nie sądzisz?

Otto chrząknął. Nie interesowało go przywracanie wymarłych gatunków. Dla niego było to drogie hobby, marnujące czas i siłę roboczą, które można by wykorzystać do ważniejszych projektów, jednak dla Cyrusa była to życiowa pasja. Przywrócić przeszłość, a później ulepszyć ją tak, by wyruszyła w przyszłość silniejsza i bardziej rozwinięta.

– Tak musi się czuć Bóg – mruknął Cyrus. Powtarzał te słowa co najmniej trzy albo cztery razy w tygodniu.

Otto milczał.

W sąsiedniej klatce tygrys szablastozębny z lodowatą

cierpliwością przyglądał się opiekunom. Nawet z tego miejsca tygrys przypominał Cyrusowi córkę, Hekate. Takie same oczy, taka sama arktyczna cierpliwość. Spojrzał na zegarek, który nie był ustawiony na realny czas, lecz został zsynchronizowany z Zegarem Wymierania. Patrząc na mijające sekundy, Cyrus poczuł, jak wypełnia go wielkie szczęście.

Rozdział dziesiąty

***Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 8.45
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 15 minut***

Przyznam, że się bałem.

Zdarzało mi się być w większym niebezpieczeństwie. Do diabła, przed dwoma dniami byłem w większym niebezpieczeństwie, więc nie o to chodziło. Ale w czasie jazdy zacząłem się trząść, bo NSA – pieprzona Agencja Bezpieczeństwa Narodowego – próbowała mnie aresztować. Jeśli wcześniej nie mieli usprawiedliwionego powodu, to teraz z całą pewnością go dostali, a ja zaczynałem żałować sposobu, w jaki rozegrałem całość.

Jasne, Church ostrzegł mnie, żebym nie dał się zwinąć. Przyjąłem i zrozumiałem tę informację, ale wiedziałem, że uszkodziłem tych gości bardziej tylko dlatego, że otoczyli mnie na grobie Helen. Gdyby przyszli po mnie na parkingu mojego bloku, może skończyłoby się na paru siniakach. Ale byłem pewien, że co najmniej dwóch z nich trafiło do szpitala, a paru innych będzie miało sińce, które przez wiele dni będą im przypominać o spotkaniu z Joe Ledgerem, najstarszym nastolatkiem świata.

Parę razy skręciłem w przypadkowych miejscach, upewniając się, że nie mam ogona.

Mój najlepszy przyjaciel, Rudy Sanchez – który jest też moim psychiatrą i był psychiatrą Helen aż do jej samobójstwa – od lat próbował nauczyć mnie panowania nad niektórymi z mniej dojrzałych impulsów. Nazywa je prymitywnymi pierwotnymi reakcjami na bodźce negatywne. Myślę, że mu staje, kiedy może używać takich słów.

Mój szef może uważać, że jestem niezły, a goście z oddziału Echo pewnie sądzą, że jestem opanowany i pozbierany, ale Rudy zna prawdę. Mam dość bagażu życiowego, żeby otworzyć sklep z walizkami, i mnóstwo odcisków, na które lepiej, żeby nikt nie nadepnął. Nie reagowałem dobrze na brak szacunku dla Helen – nawet wynikający z braku wiedzy o jej istnieniu. Chciałbym wierzyć, że gdyby nacisnęli mnie mocniej, nie dostałbym małego rozumu. Chciałbym wierzyć w wiele rzeczy.

Za mocno ścisnąłem kierownicę. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej gniew zastępował strach. Nie chciałem, by te uczucia mieszały mi w głowie. I tak już miałem w niej jeden wielki śmietnik. Wyciągnąłem komórkę i próbowałem zadzwonić do Rudy'ego, ale nie odebrał.

– Cholera – warknąłem i rzuciłem telefon na siedzenie.

I jechałem szybko, donikąd.

Rozdział jedenasty

*Hebron, Luizjana,
sobota, 28 sierpnia, 8.55
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
99 godzin, 5 minut*

Rabin Scheiner był starym mężczyzną, ale miał błyszczące zielone oczy i twarz przyzwyczajoną do uśmiechu. Kiedy jednak szedł obok swojego siostrzeńca, doktora Davida Meyera, zaciskał wargi w wąską linię, a w jego oczach malował się niepokój.

– Jesteś pewien, Davidzie? – spytał przyciszonym głosem, by pielęgniarki i pacjenci na oddziale nie mogli go usłyszeć.

David Meyer potrząsnął plikiem papierów, który trzymał w ręku.

– Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe testy, a laboratorium w Baton Rouge potwierdziło nasze wyniki.

– To przykre, Davidzie, ale tak się zdarza. Lepiej ode mnie wiesz, że na tę chorobę nie ma lekarstwa, a najlepsze, co możemy zrobić, to prowadzenie badań przesiewowych wśród młodych ludzi i doradzanie im przed zawarciem małżeństwa. Informowanie o ryzyku.

– I o to właśnie chodzi, rabbi – powiedział Meyer z naciskiem.
– Przeprowadziliśmy te badania. Mamy tu bardzo wielu Żydów aszkenazyjskich, głównie potomków rodzin, które uciekły z Nadrenii w latach trzydziestych, kiedy zrobiło się niebezpiecznie. Właściwie każdy w Hebronie, Tefce

i Muellersville został przebadany, nadal dostajemy granty z Izraela na wykorzystanie reakcji łańcuchowej polimerazy, a ta technika jest bardzo dokładna. Znamy nosicieli i rozmawialiśmy z nimi. Gdyby te przypadki przydarzyły się grupie znanych nosicieli, nie zadzwoniłbym do ciebie.

– W takim razie nie rozumiem. *Haaretz* donosił, że choroba została właściwie zwalczona. Sam mi powiedziałeś, że od 2003 roku w żadnej żydowskiej rodzinie w Stanach nie urodziło się dziecko z tą chorobą.

Meyer wziął rabina za ramię i zaprowadził go do niewielkiej alkowy.

– Wiem, wiem. – Meyer był czerwony ze zdenerwowania, a na czole miał krople potu. – Jednakże w ciągu ostatniego miesiąca kliniki w całej okolicy zaczęły informować o pacjentach zgłaszających się z klasycznymi objawami: niewyraźna mowa, trudności z przemyśleniem, niepewny krok, spastyczność, gwałtowne i nagłe pogorszenie stanu umysłowego i różnorakie choroby psychiczne, w tym psychoza typowa dla schizofrenii. Jeden albo dwa objawy występujące u dorosłych nie sugerowałyby choroby Taya-Sachsa, ale kiedy pięć albo sześć z nich występuje u każdego pacjenta, co mogłem pomyśleć? Pielęgniarki pobrały próbki do badań, przeprowadziliśmy własne testy enzymatyczne, ale ponieważ nie dają tak precyzyjnych wyników jak PCR, wysłałem próbki do laboratorium w Baton Rouge. – Potrząsnął plikiem papierów. – To są wyniki.

Rabin Scheiner niechętnie przyjął dokumenty od Meyera i szybko je przejrzał. Odczytał na głos komentarz:

– Postać dorosła choroby Taya-Sachsa zdarza się rzadko i przeważnie ujawnia u pacjentów w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat. Często bywa błędnie diagnozowana i zwykle nie jest śmiertelna.

Podniósł wzrok.

– Czyli masz kilkunastu pacjentów, którzy zachorowali?

Meyer powoli pokręcił głową.

– Rabbi. Miałem jedenastu pacjentów tutaj, w Hebronie, w Tefce było dziewięciu, a w Muellersville sześciu.

Rabin zwrócił uwagę na sformułowanie.

– Powiedziałeś, że „miałeś” jedenastu pacjentów.

Meyer popatrzył na niego ponuro.

– Troje już zmarło. Kolejnych dwoje, cóż, zapadło w śpiączkę. Stan pozostałych pogarsza się na moich oczach. Mięśnie niezbędne do przełykania ulegają zanikowi i paraliżowi. Zaintubowaliśmy ich, przeprowadziliśmy nawet kilka tracheotomii, ale paraliż rozprzestrzenia się bardzo szybko. Nie wiem, jak ich leczyć.

– Nie ma lekarstwa. – To nie było pytanie. – Niech Bóg nam wszystkim pomoże,

– Naukowcy badają możliwości terapii genowej i innych sposobów leczenia, ale nawet gdybyśmy mieli ją gotową, tym ludziom kończy się czas.

– To wszystko dzieci?

Meyer pokręcił głową.

– Nie. I to przeraża mnie najbardziej. Postać niemowlęca i dziecięca są śmiertelne, ale dorosła nie. A jednak każdy z tych pacjentów ma ponad dwadzieścia lat. Niektórzy nawet czterdzieści albo pięćdziesiąt. To nie ma sensu.

– Czy... czy choroba mogła zmutować?

– Najwyraźniej tak się stało, ale jak? Została niemal zwalczona. Pokonaliśmy ją. Nie mieliśmy ani jednego przypadku tu, w Hebronie, i w innych miastach, a większość tutejszych mieszkańców to Amerykanie w drugim albo nawet w trzecim pokoleniu. Nie zawieraliśmy małżeństw wyłącznie w obrębie wspólnoty Żydów aszkenazyjskich, co oznacza, że statystyka powinna być po naszej stronie.

Rabin Scheiner położył dłoń na ramieniu młodego lekarza.

– Bądź silny, Davidzie. Powiedz mi, co teraz zrobisz?

– Muszę to zgłosić. Teraz, kiedy mam wyniki badań genetycznych, mogę poprosić o pomoc największe szpitale uniwersyteckie.

– A co z tymi ludźmi od chorób? Co z Centrami Kontroli i Prewencji Chorób w Atlancie? Zwróciłeś się do nich, kiedy kilka lat temu miałeś problem z botulizmem...

– Nie – sprzeciwił się Meyer – to mutacja genetyczna, nie patogen. Nie jest zakaźna w sposób, który mógłby wywołać epidemię.

Spojrzenie rabina Scheidera było przenikliwe, badawcze.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. To choroba dziedziczna. Nie można się nią tak po prostu zarazić.

Rabin pokiwał głową i wyjrzał z alkowy na pacjentów na oddziale.

– Jesteś pewien? – powtórzył.

Rozdział dwunasty

***Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 9.05
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
98 godzin, 55 minut***

Po dwudziestu minutach jazdy uruchomiłem szyfrowanie i zacząłem dzwonić.

Na linii Churcha odezwała się poczta głosowa. Jego nagrana wiadomość brzmiała „Mów!” i miałem ochotę warknąć, ale pozostawiłem jedynie prośbę o oddzwonienie.

Później zadzwoniłem do Grace, ale ona odebrała jedynie po to, by powiedzieć mi, że wyszła z budynku, żeby „wycząić ferajnę szemranych frajerów z federalnymi odznakami, którzy mnie wpienili, więc lepiej zrobię z nimi porządek”. Im bardziej Grace się denerwuje, tym więcej brytyjskich wyrażen używa. Czasem rozumiem co najwyżej dwie trzecie z tego, co mówi, a przecież angielski to mój język ojczysty.

W końcu udało mi się połączyć z Rudym Sanchezem. Przed kilku laty mój ojciec – który do niedawna był komendantem policji w Baltimore – załatwił Rudy’emu fuchę policyjnego psychologa, a związki Rudy’ego ze mną sprawiły, że trafił do WDN. To trochę jak kiepska opera mydlana. Rudy wciąż przez parę dni w tygodniu pracuje w policji, a dziś powinien być w swoim biurze niedaleko oceanarium. Mało kto o nim wiedział, więc może udało mu się uniknąć zgarnięcia przez NSA.

– Joe! – odebrał, a ton jego głosu świadczył, że już wie, co się dzieje. – Bogu dzięki!

– Słyszałeś?

– Oczywiście, że słyszałem! – warknął.

Następnie powiedział coś o wiceprezydencie w podwórkowej odmianie hiszpańskiego, tak szybko, że niewiele zrozumiałem, poza niejasnymi aluzjami do cudzołożenia z bydłem. Kiedy wreszcie zwolnił, spytał:

– *Dios mio*, kowboju, nic ci nie jest?

– Mam na sobie brudne ciuchy, włóczyłem się z ćpunami i jadę kradzionym samochodem, w którym ktoś się chyba złał...

– Dobra, dobra, pojmuję, masz kiepski dzień. Słyszałem, że to ostatnio częste.

– Nic o tym nie wiem, Rude, jestem szpiegiem, który nie może wyjść ze śmiertelnego zimna[1].

– Aha. Ja też chyba uciekam. W pewnym sensie. Pan Church kazał mi się gdzieś przyczaić, więc siedzę w kościele Świętej Anny. Malują go, więc w środku jestem tylko ja z grupą robotników stawiających rusztowania.

– Posłuchaj. Zadzwońłem z kilku powodów. Po pierwsze, żeby kazać ci uważać na siebie. Nadal oficjalnie jesteś konsultantem policji w Baltimore. Jeśli cię zwiną, zagraj tę kartę. Niech zadzwonią do mojego taty.

Mój ojciec kandydował na stanowisko burmistrza Baltimore, a eksperci uważali, że ma je w kieszeni. Miał przyjaciół po obu stronach odznaki.

– Mam go na szybkim wybieraniu – zapewnił mnie Rudy. – A ta druga rzecz?

– Dwie rzeczy. Goście z NSA przyszli po mnie, kiedy byłem na cmentarzu.

– Auć. Jak się czujesz?

– Upuściłem trochę pary, kiedy spuściłem im łomot.

– Ale wciąż ją w sobie masz.

– Tak, i to ta druga rzecz. I Helen też w tym jest. W pewnym sensie. Dzień zaczął się dziwnie, zanim jeszcze się obudziłem.

– Jak to?

– Wiem, że pora nie jest odpowiednia, ale to mi ciąży i muszę zabić czas do chwili, gdy Church się do mnie odezwie...

– Nie przepraszaj. Mów.

– W porządku. Jutro jest rocznica samobójstwa Helen.

– Och, *dios mio* – powiedział z prawdziwym bólem w głosie. Przez to wszystko, co się wydarzyło przez ostatnie dwa miesiące, zapomniał. – Joe, ja...

– Śniłem o tym ostatniej nocy, człowieku. Śniłem, że jej siostra Colleen dzwoni do mnie, by powiedzieć, że Helen od wielu dni nie odbiera telefonu. Śniłem, że tam idę. Każdy szczegół, Rudy, od kluczyków do samochodu leżących na stoliku przy drzwiach po pękające drewno, kiedy kopniakiem otworzyłem drzwi Helen. Pamiętam smród w korytarzu i jaki paskudny się stał, kiedy dostałem się do środka. Pamiętam jej twarz, całą napuchniętą. Pamiętam nawet butelkę środka do udrażniania rur, z której się napiła. Podartą i poplamioną naklejkę.

– Joe, ja...

– Ale tu się zaczyna naprawdę gówniana część, Rude, najgorsza.

Czekał w milczeniu.

– We śnie, kiedy podszedłem do jej ciała, wiedząc, że jest martwa, i to od wielu dni, kiedy stanąłem nad nią, a później ukląknę i wziąłem ją w ramiona...

Przerwałem i nie wiedziałem, czy uda mi się dokończyć.

– Nie śpiesz się, Joe – powiedział łagodnie. – Będzie boleć mniej, kiedy wypowiesz to na głos.

– Nie sędzę. Nie tym razem.

– Dlaczego, Joe? Powiedz mi, co się stało, kiedy trzymałeś Helen w ramionach.

– Widzisz, chodzi o to... Podniosłem jej ciało i przytuliłem,

dokładnie tak, jak zrobiłem to wtedy, kiedy to się stało. A jej głowa tak jakby opadła na bok, jak wtedy. Ale, kurwa, człowieku, to nie Helen trzymałem.

– Powiedz mi...

– To była Grace.

Rudy milczał, czekał na resztę, ale nie było nic więcej. Wtedy sen się skończył.

– Obudziłem się zlany zimnym potem i już nie zasnąłem. Całą noc oglądałem transmisje procesów sądowych i powtórki *Zaklinacza psów*, cokolwiek, żeby nie zasnąć.

– Joe, tu nie chodzi o siłę. Jest oczywiste, że darzysz Grace uczuciem, a oboje macie wyjątkowo niebezpieczną pracę.

– Cholera, wiedziałem, że tego nie zrozumiesz – warknąłem i od razu pożałowałem swoich słów. – Przepraszam, Rude, zapomnij. Chciałem powiedzieć, że wiedziałem, że nie uda mi się tego wyjaśnić we właściwy sposób.

– To powiedz mi, jaki jest właściwy sposób, kowboju.

– Ja... – Milczałem przez chwilę, krążąc bez celu po ulicach. – Wiem, że moja „sympatia” do Grace jest nierozsądna. Rozumiem, zanotowałem. Ale w tym wszystkim było coś, co wydawało się dziwne, brudne i niewłaściwe. Niewłaściwe w sposób łączący się z poczuciem winy.

– Co masz na myśli?

– Jakbym ją zawiódł. Tak jak zawiódłem Helen.

– Joe, rozmawialiśmy o tym tysiące razy. Nie byłeś odpowiedzialny za życie Helen. Nie byłeś jej obrońcą. Wszyscy lekarze zgadzali się, że została doprowadzona do stanu, w którym mogła sama zatroszczyć się o siebie. Odwiedzałeś ją najczęściej, jak mogłeś, częściej niż ktokolwiek. Częściej niż jej własna rodzina.

– Ale przyjąłem tę robotę w oddziałach specjalnych Bezpieczeństwa Krajowego, przez co całe tygodnie przebywałem poza domem. Nie próbuj mi powiedzieć, że nie miałem pojęcia,

jak ta robota wpłynie na regularność moich odwiedzin u Helen.

– Co nadal nie znaczy, że to twoja wina. Nie władasz planetą, Joe. A nawet gdybyś z nią mieszkał, gdyby chciała zakończyć swoje życie... co wyraźnie było jej zamiarem... poczekałaby, aż zaśniesz albo pójdziesz wziąć prysznic, i zrobiłaby to, co w końcu zrobiła. Nie można uratować kogoś, kto nie chce zostać uratowany.

Nie miałem ochoty znów się z nim w to zagłębiać, więc zmieniłem temat.

– Dlaczego w takim razie we śnie widziałem Grace? Mówisz, że czuję się za nią odpowiedzialny?

– Mam nadzieję, że nie.

– Przecież nie jesteśmy zakochani – sprzeciwiłem się.

Rudy nie odpowiedział, a później rozległ się trzask.

– Pan Church do mnie dzwoni, Joe. Lepiej odbiorę.

– Jasne.

– Ale, Joe...

– Tak.

– Musimy do tego wrócić.

– Pewnie, Rude, kiedy opadnie pył.

A nad Amazonką spadnie śnieg, dodałem w myślach.

Zatrzasnąłem komórkę i jechałem dalej świadom, że sam siebie wpędzam w szaleństwo.

¹ Aluzja do powieści Johna le Carrégo „Ze śmiertelnego zimna” (*The Spy Who Came in from the Cold*), uznanej za najlepszą powieść szpiegowską wszech czasów (przy. red.).

Rozdział trzynasty

***Wilmington, Delaware,
sobota, 28 sierpnia, 9.09
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
98 godzin, 51 minut***

To było rutynowe zatrzymanie, klasyczna akcja bez użycia broni, po której raport był krótki i nudny.

Starszy sierżant sztabowy Bradley Sims – Starszy dla wszystkich, którzy go znali, zastępca dowódcy oddziału Echo, Joe Ledgera – stał na szpicy i pukał do drzwi. Podobnie jak dwaj towarzyszący mu agenci miał na sobie nijaki granatowy garnitur z rządowej dostawy, białą koszulę i czerwony krawat. Flaga w klapie, słuchawka i ciemne okulary. Korytarz motelu był kiepsko oświetlony, więc zdjął okulary i wrzucił je do kieszeni płaszcza. Wyglądał na kogoś z NSA, FBI albo dowolnej innej agencji podlegającej Departamentowi Sprawiedliwości, może agenta średniego szczebla dowodzącego niezbyt ryzykowną misją w terenie. Ubrał się stosownie. W kieszeni miał dokumenty FBI, choć przez całe życie ani razu nie postawił stopy w Quantico. W samochodzie mieli jeszcze identyfikatory ATF – Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych – i DEA.

Wojskowy Departament Nauki nie działał pod egidą Departamentu Sprawiedliwości, nie należał też do coraz większej sieci agencji podlegających Bezpieczeństwu Krajowemu. WDN

był samodzielny i odpowiadał jedynie przed prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie mieli identyfikatorów. Nie byli glinami. Jednak dokumenty Starszego Simsa były całkowicie autentyczne. Zapukał do drzwi.

– FBI! – powiedział donośnym głosem zawodowego sierżanta. – Proszę otworzyć drzwi.

Z przyzwyczajenia zrobił krok w bok, żeby między nim a tym, kto znajdował się w środku, znalazła się wzmacniana futryna, a nie tylko drzwi. Tak robili gliniarze – i żołnierze. Starszy służył w wojsku od osiemnastych urodzin, kiedy się zaciągnął, a od tego czasu minęły dwadzieścia dwa lata z okładem. Towarzyszący mu agenci byli potężniejsi i młodszy. Wyglądali jak para olbrzymów. Po lewej stał Wielki Bob Faraday, były agent terenowy ATF. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a jego mięśnie groziły rozerwaniem przydziałowej marynarki. Po prawej Królik – nieszczęśnik w rzeczywistości nazywał się Harvey Rabbit – który wstąpił do WDN po ośmiu latach służby jako sierżant zwiadu marines. Królik był pięć centymetrów wyższy od Faradaya, a jego sylwetka, choć również umięśniona, bardziej pasowała do siatkówki – w którą do niedawna grał na poziomie igrzysk panamerykańskich. Służba w Iraku powstrzymała go przed udziałem w olimpiadzie, ale nie miał o to żalu.

Nikt nie odpowiedział na pukanie.

– Może nie ma go w domu – zasugerował Królik.

– Jest sobota rano – sprzeciwił się Wielki Bob. – Gość nie ma roboty ani przyjaciół. Jest tu albo w Starbucksie.

– Może zapukam głośniejszo – zaproponował Starszy.

Tak zrobił. Żadnej reakcji.

– Wyważmy je – zdecydował Starszy.

– Tak jest.

Wielki Bob ominął Starszego i podszedł do drzwi. Wielki Bob miał uda jak przęsła mostu, a na siłowni zawsze brał maksymalny ciężar na nogi. Już dwa razy kopniakiem całkowicie

wyrwał drzwi z zawiasów i liczył na hattrick. Starszy wzruszył ramionami i odsunął się na bok.

– Udanej zabawy.

Starszy i Królik wyciągnęli broń i po cichu ją odbezpieczyli. Mężczyzna, którego mieli aresztować, Burt Gilpin, był maniakiem komputerowym w średnim wieku, który jakimś sposobem włamał się do systemów kilku najważniejszych uniwersytetów zajmujących się badaniami z dziedziny medycyny, wirusologii i genetyki. Zaprojektował skomplikowane witryny z widmowymi podstronami i przekierowywał maile w taki sposób, by móc reklamować skradzione dane i sprzedawać je temu, kto da najwięcej. Gilpin znał się na komputerach i zabezpieczeniach, ale MindReadera zaprojektowano w taki sposób, by dostrzegał pewne wzorce związane z kluczowymi tematami. Genetyka i wirusologia były wielkimi czerwonymi flagami i system od razu go namierzył, a Church zainteresował się nim osobiście, ponieważ metoda Gilpina była nieco podobna do MindReadera. Nikt inny nie powinien mieć tej technologii, więc Church chciał sobie od serca porozmawiać z Gilpinem.

Starszy zapoznał się ze szczegółami zadania i wziął ze sobą pierwszych dwóch członków oddziału Echo, którzy stawili się tego dnia. W policyjnej kartotece Gilpin miał jedynie mandaty za złe parkowanie, nigdy nie służył w wojsku, nie należał do klubu strzeleckiego i nie zarejestrował broni – nie chodził nawet na siłownię. Wysłanie Starszego, Królika i Wielkiego Boba było przesadą, ale również wymówką, by na chwilę wyrwać się za miasto.

– Kop – powiedział Starszy.

Wielki Bob uniósł stopę, ale kiedy miał kopnąć, Królik dostrzegł cień zasłaniający judasz w drzwiach pokoju w motelu.

– Czeka!

I wtedy właśnie drzwi się rozpadły, przez drewno i gips

wyleciały pociski dużego kalibru i wbiły się w Wielkiego Boba Faradaya.

Potężny mężczyzna wrzasnął, gdy dwie kule wbiły mu się w nogę – jedna zmiądzzyła goleń, a druga trafiła pod rzepkę i wybiła otwór w udzie, rozrywając mięśnie i o milimetry mijając tętnicę udową. Trzy kolejne trafiły go wysoko w brzuch. Kevlarowa kamizelka ma spłaszczać pociski i powstrzymywać je przed wbiciem się w ciało. Impet wciąż uderza jak młot, ale z połamanymi żebrami można przeżyć.

Kevlar nie powstrzymuje jednakże powleczonych teflonem pocisków ze stalowym rdzeniem. Uliczne zbiry i gangsterzy nie bez powodu nazywają je zabójcami gliniarzy. Kule przeszły Wielkiego Boba Faradaya, jakby był nagi. Połączony impet rzucił nim do tyłu z taką siłą, że uderzył w drzwi pokoju naprzeciwko, wyrwał je z futryny i wpadł do środka.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu sekundy.

W ciągu następnej sekundy Starszy i Królik rzucili się na ziemię i poza linię ostrzału, podczas gdy kule wciąż siekały ościeże. Setki pocisków wyrywały bryły cementu i kawałki listew ze ścian, a w powietrzu uniosła się chmura poszarpanych odłamków. Obaj wiedzieli, że Wielki Bob jest wyłączony. Wyłączony, a może nawet martwy.

Starszy przycisnął się do podłogi, wyciągnął rękę i wycelował do pokoju. Zaczął strzelać, choć wiedział, że nie ma wielkich szans, by w cokolwiek trafić – ale odpowiedź ogniem mogła przeszkodzić w ataku, a on musiał kupić trochę czasu.

– *Zakroj dwieri!* – ryknął ktoś.

Choć Starszy nie rozumiał słów, rozpoznał język. Rosyjski. To nie miało sensu.

Zużył cały magazynek, a wtedy nagle w środku rozległ się przenikliwy krzyk. Udało mu się przypadkiem trafić.

– *Boże moj!*

Starszy zobaczył, że Królik podczołgał się bliżej i był gotów

powtórzyć jego sztuczkę ze strzelaniem na ślepo. Popatrzyli sobie w oczy i Królik samym ruchem warg zapytał: „Rosjanie?”. Starszy pokiwał głową i nie pozostało już nic do powiedzenia. Zamek broni Starszego się zablokował, a wtedy Królik sięgnął za zmiążdżoną ościeżnicę i zaczął strzelać. Odpowiedział mu gwałtowny ogień. Starszy gwałtownie cofnął rękę – przypominała kaktus najeżony drobnymi drzazgami od kostek palców po nadgarstek.

Kiedy Starszy upuścił magazynek i założył nowy, Królik poderwał się błyskawicznie i spojrzał przez niewielki otwór w ścianie. Natychmiast się cofnął, a w tej samej chwili pociski zaczęły powiększać dziurę. Powidok tego, co zobaczył, wypalił mu się w mózgu. Dał znak Starszemu. Czterech mężczyzn w szeregu. Jeden ranny. Tym, czego nie potrafił przekazać, była obecność piątego mężczyzny, nagiego, przymocowanego taśmą do krzesła i zakrwawionego. Gilpin.

Starszy kazał gestem Królikowi zaatakować z lewej, a sam wziął prawą. Odliczył palcami do trzech, jednocześnie odwrócili się w różne strony i otworzyli ogień przez zniszczone drzwi. Zero trafień, zresztą wcale się tego nie spodziewali. Pierwszy strzał miał ich osłonić, gdy zajmowali stanowiska, i dać ułamek sekundy, by zlokalizowali cele. Czterech mężczyzn w niewielkim pokoju. Brak osłon. Obaj zobaczyli wszystko, czego potrzebowali. Ich następne pociski wbiły się w Rosjan, trafiając w nogi, lędźwie, torsy i głowy. Impet uderzeń sprawił, że Rosjanie zaczęli się cofać, co wyglądało jak puszczony od tyłu film z idącymi ludźmi. Ich karabiny maszynowe sypały kulami, ale ostrzał Królika i Starszego sprawił, że nie mieli szans wycelować. Był to idealny kontratak, który zmienił pokój w strzelnicę.

Zamek broni Królika się zablokował, a Starszy powoli wystrzelił dwa ostatnie pociski, żeby osłonić towarzysza i dać mu czas na przeładowanie. Później upuścił pusty magazynek i założył ostatni.

Ale to nie było konieczne. Ostrzał ze środka ucichł.

Królik i Starszy poderwali się, chwycili za osmalone krawędzie zniszczonej ściany i błyskawicznie, z bronią w ręku, wpadli do pokoju.

Nic się nie poruszało, poza chmurą dymu falującą jak mgła na cmentarzu.

Królik kopniakiem otworzył drzwi do łazienki:

– Czysto!

– Czysto! – odkrzyknął Starszy, gdy sprawdził cały niewielki pokój.

Kopnął broń z dala od bezwładnych i zakrwawionych rąk Rosjan.

– Zabezpiecz i zgłoś to – rozkazał.

Sam obrócił się na pięcie i wybiegł na korytarz, żeby zobaczyć, co z Wielkim Bobem.

Królik zgłosił do centrum dowodzenia WDN, że Wielki Bob jest ranny, a oni z kolei poinformowali miejscową policję i pogotowie. Sprawdził stan Gilpina, ale mały haker był równie martwy jak Rosjanie, jego ciało pokrywały ślady po brutalnych torturach, a gardło zostało poderżnięte.

– Niech to diabli – mruknął Królik i dołączył do Starszego w korytarzu.

Starszy przeciął nożem sprężynowym koszulę Faradaya i paski jego kevlarowej kamizelki. Królik pociął koszulę na kawałki, które wcisnęli w trzy rany wlotowe na piersi Wielkiego Boba i trzy o wiele większe rany wylotowe na plecach. Starszy wziął krawat Faradaya i użył go jako opaski uciskowej, by powstrzymać upływ krwi ze zmiążdżonej nogi.

Wielki Bob był nieprzytomny, miał na wpół przymknięte oczy, a jego wargi bladły coraz bardziej z powodu ogromnego upływu krwi i początków wstrząsu. Obaj mężczyźni zdjęli własne marynarki i użyli ich jako prowizorycznego koca. Słyszeli już odległe syreny.

Królik trzymał na kolanach głowę Wielkiego Boba.

– Chryste, nie jest dobrze.

Starszy przez pół życia ćwiczył karate i dużo wiedział o anatomii. Przyjrzał się umiejscowieniu ran i pokręcił głową.

– Myślę, że pociski otarły się o jego wątrobę i jedną nerkę. Musi też mieć uszkodzone płuca, ale nie słysząc, żeby świzczał.

– Czy to źle?

– Niedobrze. Płuco mogła już wypełnić krew.

Syreny były głośniejsze, tuż na zewnątrz. Usłyszał krzyki, a później tupot stóp, gdy korytarzem w ich stronę biegli ratownicy medyczni i umundurowani gliniarze. Ratownicy precyzyjnie przeszli obok nich i zaczęli opatrywać rany, ale wysłuchali fachowej oceny Starszego.

– Teraz my się tym zajmujemy, sir – powiedzieli, a wtedy agenci się wycofali.

Kiedy gliniarze ich otoczyli, Królik pokazał identyfikatory. Ktoś w WDN musiał zadzwonić gdzie trzeba, bo policjanci traktowali ich z szacunkiem i nawet nie zbliżali się do miejsca zbrodni. Operator z WDN zapewnił Starszego, że Jerry Spencer, szef ich działu kryminalistyki, jak najszybciej zjawi się na miejscu.

Starszy stał w drzwiach i patrzył na rzeź.

– To nie ma sensu. – Królik patrzył ponad ramieniem Starszego. – Czy ja już zupełnie zwariowałem, czy ta banda błaznów mówiła po rosyjsku?

– Też mi tak brzmiało. Albo coś z tych okolic.

– Rosyjska mafia? – zasugerował Królik.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem, chłopaczku. Ale ci goście byli zawodowcami. Byli policjanci albo wojskowi. Wiedzieli, jak zrobić zasadzkę na pukającego do drzwi.

Na podłodze przy przewróconym stole leżało urządzenie przypominające palmtopa. Ktoś, pewnie jeden z Rosjan, podłączył je kablami do twardego dysku Gilpina.

– Wygląda na to, że ściągali jego towar.

Królik trącił stopą urządzenie. Ostrzał zupełnie je zniszczył, tak samo jak dysk.

– Nie da się ocenić, czy ściągali dane, by je zabrać, czy przekazywali je dalej. Może torturowali go, żeby podał im hasła.

– I to wszystko z powodu hakera?

– Wydaje mi się, że właśnie wdepnęliśmy w cudze gówno.

Królik chrząknął.

– Teraz to nasze gówno. Czy Bob przeżyje, czy nie, chcę, żeby ktoś dostał za to po dupie. Ktokolwiek to zlecił.

– Tajes – mruknął Starszy. – Kapitan nie będzie zachwycony.

– Lepiej do niego zadzwońmy.

– Dziś jest na cmentarzu.

– O tym chciałby wiedzieć – zaczął mówić Królik, ale zanim wybrał numer, zadzwonił telefon Starszego.

Starszy spojrział na kod.

– Oho. Sama gruba ryba. – Otworzył komórkę. – Sir.

– Zostałem poinformowany – powiedział pan Church – że doszło do incydentu i jeden z naszych jest ranny. Raportujcie.

Starszy powiedział mu wszystko.

– Ratownikom nie spodobało się to, co zobaczyli. Wielki Bob jest teraz w karetce. Właśnie mieliśmy dzwonić do kapitana Ledgera.

– Wykreście to, starszy sierżancie. Mamy poważniejszy problem.

Church powiedział im o NSA.

– Możliwe, że jak na razie nie zwrócili na was uwagi, bo działaliście pod przykrywką FBI, ale teraz ogary pójdą w las.

– Czego pan od nas oczekuje?

– Kiedy pojawi się kapitan Ledger, znajdziemy wam transport lotniczy i we trzech udacie się na zachód. Straciliśmy kontakt z naszym oddziałem z Denver, ten incydent może nie być powiązany z tym wszystkim... i może być o wiele ważniejszy. Chcę, żebyście zniknęli. Nie wychylajcie się do czasu, aż

nawiążecie kontakt z major Courtland, kapitanem Ledgerem albo mną. Nie dajcie się złapać. Możecie wykorzystać w tym celu dowolne metody poza użyciem siły ze skutkiem śmiertelnym. – Przeczytał listę możliwych lokalizacji i kazał Starszemu, by odczytał je z powrotem. – Udajcie się do każdej z nich po kolei. Czekać dziesięć minut. Jeśli kapitan Ledger się nie pojawi, ruszajcie do kolejnej z listy, aż się spotkacie. On będzie miał dalsze instrukcje.

– Tak jest, sir. – Starszy się zawahał. – Ale co z Wielkim Bobem? Zamierzaliśmy pojechać do szpitala, kiedy Jerry Spencer tu dotrze.

– Agent Spencer nie będzie potrzebował waszej pomocy i nie będzie jej chciał, starszy sierżancie, a jeśli chodzi o sierżanta Faradaya, będzie miał ochronę. Mam znajomych w Wilmington, którzy go przypilnują. Chcę, żebyście z sierżantem Rabbitem zniknęli, raz dwa trzy.

Rozłączył się.

Królik, który pochylił się, żeby wszystko słyszeć, cofnął się i spojrzał na Starszego.

– Co tu się wyprawia, do kurwy nędzy?

– Nie wiem, chłopaczku, ale szef kazał nam brać dupy w troki, więc spadamy.

Królik zwlekał jeszcze przez chwilę, najpierw spojrzał na ciała rozciągnięte w pokoju, a później przeniósł wzrok na plamy krwi w miejscu, w którym leżał wcześniej Wielki Bob.

– Skurwysyn musi zapłacić – powiedział Królik.

Starszy pokiwał głową.

– Tajes.

I wyszli.

Rozdział czternasty

Cotonou, Benin *Sześć dni wcześniej*

Doktor Arjeta Hlasek odchyliła się do tyłu na krześle, złożyła razem dłonie i oparła na nich spiczastą brodę. Na jej twarzy malowała się mieszanina wątpliwości, troski i niepokoju. Dwójka lekarzy, która siedziała po drugiej stronie jej biurka, wyglądała na zmęczonych i głęboko zestresowanych, oczy mieli podkrążone z wyczerpania. Oboje siedzieli prosto i bawili się stertami wyników badań i raportów z laboratoriów, które trzymali na kolanach.

– Ja... nie wiem co powiedzieć – zaczęła doktor Hlasek. – To, co opisaliście, jest co najmniej niepokojące. Nie wiem, naprawdę.

Młodsza z jej gości, doktor Rina Panjay, pochyliła się, mówiła cicho, ale z naciskiem.

– Doktor Hlasek, przeprowadziliśmy badania. Mamy wyniki z dwóch różnych laboratoriów, a one potwierdzają to, co pokazały nasze testy.

– Ona ma rację, Arjeto – zgodził się Thomas Smithwick. – I rozumiem twoje wahanie. Ja też nie uwierzyłem, kiedy Rina mi powiedziała. Przeprowadziłem wszystkie testy, jakie przysły mi na myśl... większość po kilka razy. Wyniki wszystkich badań laboratoryjnych wyglądają tak samo, tu nie ma miejsca na margines błędu.

– Ale – na twarzy doktor Hlasek pojawił się półuśmiech – choroba genetyczna, która w tajemniczy sposób wyewoluowała

w patogen przenoszony przez wodę? To bez precedensu.

Smithwick zawahał się, zanim powiedział:

– Nie wykraczałoby to poza możliwości laboratorium pracującego nad bronią biologiczną.

– Myślicie, że to właśnie znaleźliście? Nową broń biologiczną, która w jakiś sposób wydostała się poza kwarantannę i zakaziła źródła wody w Ouémé? To trudne do przełknięcia, Thomasie. Kto by zrobił coś takiego? A ponadto, kto by ufundował badania tego rodzaju? To absurd, wymysł.

– Nie słuchała pani? Mamy w tej chwili ponad trzystu zakażonych – warknęła doktor Panjay, ale zaraz pożałowała tonu swojego głosu.

Doktor Arjeta Hlasek była dyrektorem regionalnym Światowej Organizacji Zdrowia i miała duże wpływy polityczne w ONZ. Była jednym z najbardziej szanowanych lekarzy w Szwajcarii, a zespoły, do których należała, trzy razy nominowano do Nagrody Nobla. Hlasek nie była jednak cierpliwa ani tolerancyjna i zmiażdżyła Panjay spojrzeniem lodowatych niebieskich oczu.

Doktor Panjay spuściła wzrok i wymamrotała przeprosiny.

– Arjeto – powiedział Smithwick uspokajającym tonem – moja młoda towarzyszka jest wyczerpana. Znalazła się w samym środku tej sprawy, troszczyła się o dziesiątki pacjentów w klinice, a w terenie zbierała próbki i pomagała chować zmarłych. W tej chwili jedzie na oparach.

– Doceniam pracowitość i poświęcenie – stwierdziła surowo doktor Hlasek. – Ale wciąż trudno mi to przełknąć. Nasza organizacja opiera się na prawdzie. W poprzednich latach popełnialiśmy błędy, które osłabiły zaufanie publiczne i wsparcie finansowe.

Smithwick pokręcił głową, sam zaczynał tracić cierpliwość.

– To nie jest kolejna wpadka, jak ta panika z ebolą w ubiegłym roku, ale prawdziwy kryzys, wsparty niezbitymi dowodami. –

Wziął cały plik notatek i rzucił je na biurko Hlasek. – To pilna sprawa i wymaga pilnych działań.

Szwajcarka wydeła policzki, przyjrzała się dokumentom, a później dwojgu lekarzom.

– Zrozumcie mnie, proszę, Thomasie i doktor Panjay – zaczęła mówić wyważonym tonem. – Podejmę działania. Ale do tego trzeba podejść z najwyższą ostrożnością. Położyliście mi na biurku bombę zegarową. Jeśli macie rację, a ostrzegam, że zatrudnię kolejne laboratorium, by zweryfikowało wyniki tych badań, podejmiemy działania, ale to może bardzo szybko wymknąć się spod kontroli. Biorąc pod uwagę napięcia polityczne i religijne, jak również niski poziom opieki zdrowotnej i edukacji, musimy zaplanować, jak ujawnić te informacje.

– Ale ludzie umierają! – powiedziała z naciskiem Panjay.

– Tak – zgodziła się Hlasek – i wielu jeszcze umrze, zanim zweryfikujemy wyniki i opracujemy strategię, jak sobie z tym radzić. Jeśli jednak nie będziemy działać z najwyższą ostrożnością, o wiele więcej ludzi zginie w wybuchu paniki. Thomasie, widziałeś to na własne oczy. Opowiedz jej.

Smithwick pokiwał głową i poklepał Panjay po dłoni.

– Ona ma rację. Panika sprawia, że przerywają się linie komunikacyjne, które dla tych ludzi są całkiem dosłownie liniami ratowniczymi. Miałabyś masy ludzi uciekających dokąd oczy ich poniosą, co uniemożliwiłoby skuteczne leczenie, a do tego watażków i kryminalistów napadających na nasze magazyny, by zdobyć leki, żywność, wodę pitną. Nie, doktor Hlasek ma rację. Jeśli nie zachowamy ostrożności, jedynie dolejemy oliwy do ognia, który odkryłaś.

Panjay odwróciła się, by ukryć łzy w oczach. Jej umysł wypełniały twarze wszystkich mieszkańców miasteczka, w którym prowadziła klinikę. Połowa już umarła, reszta była chora. Rozumiała, co mówili Hlasek i Smithwick, mogła przyjąć, że to prawda, ale wiedziała również z całą pewnością, że to

wyrok śmierci na wszystkich w miasteczku. Może wszystkich w regionie.

Czuła na sobie spojrzenia pozostałych lekarzy i, choć dużo ją to kosztowało, pokiwała głową.

– Dobrze – stwierdziła Hlasek. – Wykonam kilka telefonów, by nadać sprawom bieg. Musimy się upewnić, że możemy zaufać wszystkim pozostałym, którzy o tym wiedzą. Każdy musi zrozumieć, jak ważne jest, by nie nadawać sprawie rozgłosu do czasu, aż będziemy gotowi zacząć działać. Komu jeszcze powiedzieliście?

– Tylko mieszkańcom wioski – odparła Panjay niewyraźnie. – I moim dwóm pielęgniarkom. Są w klinice.

– Nie chcę być niedelikatna, ale jakiej są rasy? Jak wiecie, choroba dotyka czarnoskórych mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej. Musimy polegać na osobach, u których prawdopodobieństwo zarażenia jest najmniejsze, inaczej ryzykujemy śmierć naszych pracowników. Naszych oddziałów w terenie, jeśli wolno mi to tak to określić.

Panjay odchrząknęła.

– Obie moje pielęgniarki są Afrykankami. Czarnoskórymi Afrykankami. Jedna pochodzi z Angoli, druga z Ghany. Podjęliśmy wszelkie środki zapobiegawcze...

– Z pewnością to wystarczy. Sama zadzwonię do nich do kliniki. I jeszcze dziś po południu wyślemy ciężarówkę z zapasami.

Wstała.

– Doktor Panjay, doktorze Smithwick, pewnie uważacie mnie za potwora bez serca, ale zapewniam was, że doceniam powagę sytuacji i szanuję wasze wysiłki. Chcę również podziękować wam, że zwróciliście się bezpośrednio do mnie. Będziemy współpracować i zrobimy wszystko co konieczne, by poradzić sobie z tą przerażającą sprawą.

Hlasek wyciągnęła rękę, a oni ją uścisnęli. Nie usiadła, kiedy

Smithwick i Panjay wychodzili.

Kiedy odeszli, opadła na krzesło i przez długą minutę wpatrywała się w stertę wyników badań. Później podniosła słuchawkę i wybrała długi numer międzynarodowy.

– Otto – powiedziała, kiedy rozmowa została odebrana. – Mamy problem.

– Mów.

Przekazała mu wszystko, co powiedzieli jej Panjay i Smithwick. Mężczyzna po drugiej stronie, Otto Wirths, słuchał cierpliwie, a później westchnął.

– To było nieostrożne, Arjeto. Powinniśmy dojść do tego punktu dopiero za trzy dni. – Cmoknął z dezaprobatą. – Jesteś pewna, że wie o tym tylko czworo ludzi? Dwoje lekarzy i pielęgniarki?

– Tak. Najpierw przyszli do mnie.

– Ile mamy czasu, zanim ktoś inny zgłosi się z podobnym raportem?

– Nie wiem. Choroba wciąż jest ograniczona do gminy Akpro-Missérété. Mogę po cichu wprowadzić kwarantannę. Powiedzmy na dwa tygodnie. Góra trzy.

– Potrzebujemy tylko tygodnia, ale pełnego tygodnia. Dowiedz się, w którym hotelu zatrzymali się lekarze.

– Nie chcę mieć tego na głowie, Otto. Nagłówki w gazetach nie pomogą.

Otto się roześmiał.

– Pożar instalacji elektrycznej w tanim hotelu w Cotonou trafi co najwyżej na nagłówki lokalnych gazet w Cotonou. A jeśli chodzi o pielęgniarki, coś się załatwi.

– Rób, co musisz, ale mnie w to nie mieszaj.

Otto znów się zaśmiał i rozłączył.

Doktor Hlasek odłożyła słuchawkę i wpatrywała się w stertę raportów. Później wstała, obciągnęła spódnicę, podniosła raporty na temat wybuchu epidemii anemii sierpowatej i zaniósła je do

niszczarki.

Rozdział piętnasty

***Druid Hill Park, Baltimore,
sobota, 28 sierpnia, 10.13***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 47 minut***

Przez kolejną godzinę jeździłem bez celu, później zaparkowałem za multipleksem i wymieniłem tablice rejestracyjne z innym samochodem. Zajrzałem do McDonalda, żeby trochę się obmyć, a później zamknąłem się w kabinie toalety, oparłem o ścianę i spróbowałem wszystko ogarnąć. Znowu uderzyła mnie prawdziwość wszystkiego i szok pokonał adrenalinę. Ręce mi drżały, zmusiłem się, żeby stanąć nieruchomo i oddychać powoli, głęboko, aż panika nieco ustąpiła.

Uciekałem przed NSA i istniała realna możliwość, że cały WDN zostanie zlikwidowany. Gdyby tak się stało, byłbym w czarnej dupie. Zrezygnowałem z szansy studiów na akademii FBI. Moja stara praca w policji Baltimore pewnie wciąż na mnie czeka, gdyby doszło co do czego, lecz wilczy bilet raczej nie pomógłby mi w karierze.

Ale przede wszystkim od kiedy dowodziłem oddziałem Echo w WDN, zacząłem oglądać świat i jego mechanizmy z zupełnie innej perspektywy – i widziałem, jak różne świry próbują go zniszczyć. Wiedziałem, że WDN robi mnóstwo dobrego. Niech to diabli, nawet ja robiłem dużo dobrego. Zniszczenie tej organizacji uczyniłoby o wiele więcej złego niż tylko

zrujnowanie mojej kariery. Jak wiceprezydent mógł nie dostrzegać wartości Wojskowego Departamentu Nauki? Do diabła, przed niecałymi dwoma miesiącami uratowaliśmy życie jego żony!

Tak naprawdę chyba po prostu nie mogłem uwierzyć, że działania wiceprezydenta wynikały z przekonania, że Church szantażuje prezydenta. To mi się wydawało niewłaściwe. Może na starość robię się cyniczny, ale miałem wrażenie, że gdzieś tam kryje się coś więcej.

Oczywiście miałem szansę jedną na bilion, że kiedykolwiek dowiem się, o co chodzi. Może Churchowi się uda, o ile nie trafił do więzienia. Zadzwoiłem do niego, ale nie odbierał. Cudownie.

Smród toalety przywrócił mnie do rzeczywistości. Umyłem ręce i opuściłem niechlujne pomieszczenie. Na zewnątrz kupiłem torbę hamburgerów i colę, po czym wsiadłem do samochodu i pojechałem do parku Druid Hill w północnozachodnim Baltimore. Zaparkowałem i wszedłem do parku, po drodze pożerałem hamburgery, żeby uzupełnić białko. Włóczyłem się przez jakiś czas, żeby upewnić się, że nikt mnie nie śledzi, a następnie usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na jednym ze stołów w pawilonie nad jeziorkiem i wyjąłem komórkę.

Tym razem Church odebrał po drugim sygnale. Nigdy nie mówi „halo”. Po prostu słucha. Skoro ktoś zadzwonił, rozpoczęcie rozmowy należy do niego.

– Ten ranek był dość męczący, szefie.

– Gdzie pan jest?

Powiedziałem mu.

– Jak mój oddział?

– Powiem panu, kapitanie, ale na wypadek gdyby ktokolwiek znajdował się w zasięgu wzroku, proszę nic po sobie nie pokazywać. To nie są dobre wieści.

Powiedział mi o Wielkim Bobie Faradayu. W pawilonie nie było nikogo poza mną, ale i tak niczego po sobie nie pokazałem.

Pilnowałem też, by mówić spokojnym głosem, ale w moim wnętrzu kwas przepalał sobie drogę z żołądka do mózgu.

– To byli Rosjanie? – Gdyby ktoś oceniał po tonie mojego głosu, równie dobrze mogliśmy rozmawiać o wynikach ligi baseballa z poprzedniego sezonu. – Mógłby mi pan wyjaśnić, jakim sposobem mój oddział został zaatakowany przez rosyjskich strzelców w Wilmington?

– Dziś brak nam odpowiedzi. Przepuszczamy ich odciski przez bazy FBI i Interpolu. Zbyt wcześnie na wyniki, ale pewnie coś znajdziemy.

– Od kiedy NSA wynajmuje Rosjan do brudnej roboty?

– Nie robią tego i jak na razie nie mamy żadnego dowodu na powiązanie Wilmington i NSA poza pechowym zbiegiem okoliczności, że wydarzyło się to w tym samym dniu, co nalot wice na WDN.

– Myśli pan, że nie ma związku?

– Powiedziałem, że nie mamy dowodów. I, jeśli mam być szczerzy, to mało prawdopodobny scenariusz. – Milczał przez chwilę. – Właściwie w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin wydarzyło się wiele niezwykłych rzeczy. W ostatnich tygodniach kilku moich starych współpracowników zginęło w niezwykłych okolicznościach, a właśnie dostałem wiadomość, że mój bliski przyjaciel ze Stuttgartu został wczoraj zamordowany.

– Przykro mi to słyszeć. Czy ma to związek z aferą z NSA?

– Ponownie, nie mamy dowodów, ale moja tolerancja dla zbiegów okoliczności szybko się wyczerpuje.

– Domyślam się. – Westchnąłem. – Wielki Bob się wylize?

– Na razie trudno powiedzieć. Trafił do dobrego szpitala i znajduje się pod najlepszą możliwą opieką, ale ma odmę płuca, uszkodzoną wątrobę, nerkę i śledzionę. Pewnie straci śledzionę, a jeśli nie będzie miał dużo szczęścia, część nerki lub nawet całą.

– Kiedy ten cały bajzel z NSA ucichnie, dopadnę ich.

– W to nie wątpię. Może pan wykorzystać wszelkie możliwe środki. Carte blanche.

– Dzięki.

– Utrata podwładnych jest trudna, kapitanie. I nie robi się łatwiejsza.

– Cholerna racja i wkurwia mnie, że nie mogę być tam ze swoimi ludźmi z powodu tego cholerstwa.

Oddział Echo liczył w tej chwili jedynie trzech aktywnych agentów. Sześcioro kolejnych było już prawie gotowych, by dołączyć, ale przebywali w Szkocji, gdzie szkolili się w terenie z doborowym oddziałem Zapory, najbardziej tajnej z brytyjskich jednostek specjalnych. Z Wielkim Bobem w szpitalu został mi tylko Starszy i Królik. Nagle poczułem, że są w dużym niebezpieczeństwie.

– Jeśli to pana pocieszy, nie jest pan jedynym na liście najbardziej znienawidzonych przez wice. Do szpitala w Brooklynie trafiło dwóch agentów NSA. Próbowali użyć siły, by aresztować Cioteczkę Sallie, ale nie poszło tak, jak się spodziewali. Jakiś czas na chorobowym i kilka miesięcy rehabilitacji, a powinni się wylizać.

– Auć.

– Jest coś jeszcze, co prawdopodobnie ma związek z Wilmington. Straciliśmy kontakt z oddziałem Jigsaw z Denver.

– Z całym oddziałem?

– Tak. Piasta się zamknęła, ale Jigsaw był na misji, a cisza w eterze zapanowała na trzydzieści minut przed tym, jak NSA próbowała wyważyć drzwi.

Piasta była ośrodkiem WDN w Denver. Raz przez trzy dni współpracowałem z oddziałem Jigsaw i to byli twardzi goście. Ich dowódca, Hack Peterson, wcześniej służył w Delta Force i wyglądał, jakby na śniadanie zjadał pitbulle.

– I myśli pan, że NSA mogła aresztować cały oddział, bo ja nie?

– Kapitan Peterson mógł coś zwęszyć i zniknąć – stwierdził

Church – ale mam bardzo złe przeczucia. Chciałbym, żeby się pan tam udał.

– Kiedy?

– Teraz. Ktoś odbierze pana z parku. Rozpozna pan kierowcę. Proszę się udać do wyjścia najbliższej autostrady I83, powiedzmy za dwadzieścia minut.

– Wolałbym tego nie mówić, ale to może nie być najlepszy moment na podróżowanie. Wydaje się, że rząd chce dostać moją głowę na talerzu.

– Co pan powie. Jest mi pan potrzebny w Denver. W kilku bezpiecznych lokalizacjach czeka prywatny transport. – Odczytał mi je i podał harmonogram spotkań. – Niech pan się uda do jednej z nich i skieruje na zachód. Starszy sierżant sztabowy Sims i sierżant Rabbit już dotarli do pierwszej lokalizacji. Zamierzałem polecić im, by na pana zaczekali, ale na wypadek gdyby został pan aresztowany, posłałem ich przodem. Spotkają się z panem na drugim końcu.

Sukinsyn nie marnował czasu.

– W normalnych okolicznościach zaczekałbym, aż zajmie się tym biuro w Los Angeles, ale ono zostało zamknięte i jest pan jedynym starszym oficerem w terenie. Poza tym sprawa z Denver zapowiada się na coś wielkiego.

– To znaczy?

– To znaczy, że zaczyna wyglądać jak zadanie dla WDN. Z dużym prawdopodobieństwem wiąże się ze zgonami moich współpracowników za granicą i pewnymi starymi sprawami, które uważaliśmy za zamknięte przed laty. Teraz wygląda na to, że się myliliśmy. Kiedy znajdzie się pan w powietrzu, odbędzie pan telekonferencję z doktorem Hu, który wyśle panu nagranie otrzymane przez nas z anonimowego źródła.

– Nagranie czego?

– Wolałbym, żeby najpierw je pan obejrzał i wyciągnął własne wnioski, ale jest naprawdę fascynujące.

– Mógłby pan podkreślić jasność wypowiedzi?

Church mnie zignorował.

– Proszę się ze mną skontaktować, kiedy pan je obejrzy. To paskudny dzień, kapitanie, i napięcie sięga zenitu. Musi być pan opanowany. Proszę przekazać to również swoim ludziom. Ta druga sprawa, robota w Denver, jeśli okaże się tym, czego się spodziewam, to naprawdę duża sprawa.

– Większa niż polowanie na czarownice zorganizowane przez wiceprezydenta?

– Potencjalnie tak.

– Świetnie. W porządku, zobaczę, co da się zrobić, ale jeszcze jedno w związku z wiceprezydentem: jeśli komuś jeszcze w WDN stanie się krzywda, nawet zgodnie z prawem i polityką, to będę chciał zrobić trochę zamieszania.

– Mówi pan o zemście, kapitanie?

– A jeśli nawet? – warknąłem.

Usłyszałem odgłos, który mógł być krótkim śmiechem.

– Chciałem się upewnić, że myślimy o tym samym.

Po tych słowach się rozłączył.

Rozdział szesnasty

***Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 10.15***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 45 minut***

Pan Church zatrzasnął telefon i położył go na biurku przed sobą. Był potężnym mężczyzną o szerokich barach, krępy i silny. We włosach miał pasma siwizny, a na twarzy stare blizny, które jednak nie zdradzały jego prawdziwego wieku, jedynie świadczyły o intensywnym użytkowaniu. Ich obecność sprawiała, że emanował wrażeniem surowości, które ludzie w jego otoczeniu wyczuwali, nawet jeśli nie umieli zdefiniować.

Przez ponad minutę tkwił w fotelu, duże dłonie opierając po obu stronach telefonu leżącego niemal na samym środku zielonej suszki. Siedział tak nieruchomo, że można by go pomylić z rzeźbą. Jego oczy były jedynie cieniami za szklami przyciemnianych okularów.

Po lewej miał szklankę z wodą, bez lodu. Obok niej talerzyki z waniliowymi wafelkami. Po dwóch pełnych minutach pan Church wybrał ciastko, odgryzł kawałek i przeżuł z namysłem. Strzepnął okruch z czerwonego krawata.

Następnie obrócił się z fotelem i sięgnął po telefon służbowy. Wystukał kod, by uruchomić szyfrowanie, a następnie wybrał szczególny numer. Musiał odczekać cztery sygnały.

– Brierly – powiedział krótko mężczyzna.

– Lindenie, wiem, że jesteś zajęty, ale chcę, żebyś posłuchał mnie bardzo uważnie. Protokół Pożar Lasu.

– Ach, to ty. Miałem nadzieję, że zgubiłeś mój numer.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem. Proszę, potwierdź, że połączenie jest zaszyfrowane, byśmy mogli kontynuować.

Brierly wydał odgłos, który mógł być przekleństwem, ale potwierdził szyfrowanie. Linden był dyrektorem regionalnym Secret Service i bezpośrednio odpowiadał za bezpieczeństwo prezydenta, kiedy głównodowodzący przechodził operację serca w wojskowym szpitalu Waltera Reeda. Jedno potknięcie, a trafiłby do biura terenowego w Dakocie. Z drugiej strony, gdyby wszystko poszło jak z płatka, mógłby to być ostatni punkt w jego CV, konieczny, by zostać najmłodszym w historii dyrektorem całego Secret Service. Znajdował się pod wielką presją.

– Oto kod Pożar Lasu.

Church wyrecytował ciąg cyfr i liter, który go identyfikował i potwierdzał jego prawo do prowadzenia tej rozmowy.

Brierly odczytał kod z powrotem, przesuując jedną cyfrę i dodając kolejną.

Church powtórzył kod, dokonując podobnej zmiany.

– Potwierdzono. Protokół Pożar Lasu jest aktywny.

– Zgadzam się.

– Właśnie aktywowałeś Prezydencki Alarm, przyjacielu. Lepiej, żeby były w nas wycelowane głowice albo na trawniku Białego Domu wylądowali Marsjanie. Wiesz, co się dziś dzieje?

Mimo niewielkiego zniekształcenia dźwięku przez szyfrowanie w głosie Brierly’ego wyraźnie brzmiał sarkazm.

Church wypowiedział cztery słowa.

– Wiceprezydent próbuje zlikwidować WDN.

– Co?

Church wyjaśnił.

– Chryste Panie – warknął Brierly – prezydent pośle go za to na

krzesło elektryczne. Poważnie mówię. Nawet jeśli Collins ma po swojej stronie prokuratora generalnego, nie może wierzyć, że uda mu się postawić cię przed sądem.

– On najwyraźniej tak sądzi.

– To dziwne. Nieźle go znam i to zupełnie nie w jego stylu. Po pierwsze, nie ma jaj do czegoś takiego.

– W takim razie dziś rano je sobie wyhodował. Na razie założmy, że nie spróbowałyby takiej zagrywki, gdyby nie miał w ręku ciekawych kart. Jakie to karty i jak je ostatecznie rozegra, zobaczymy prędzej czy później.

– Zaczynam mieć złe przeczucia, dlaczego do mnie zadzwoniłeś.

– Posłuchaj mnie, Linden. Jeśli wice dostanie MindReadera, dostanie też wszystko, co jest przechowywane w MindReaderze. Zastanów się nad tym przez chwilę.

Brierly nie potrzebował chwili.

– Jezu!

– Tak.

– Nie możesz go odłączyć? Wyjąć twardego dysku i ugotować go impulsem elektromagnetycznym?

– Pewnie, a wtedy stracilibyśmy analizę taktyczną czterdziestu sześciu baz danych powiązanych z terrorystami, w tym dwóch planów zamachów, które przysłało do nas wasze biurko. Jeśli MindReader oślepnie, wraz z nim oślepnie Secret Service, spora część DEA, CIA, FBI i ATF, a Bezpieczeństwo Krajowe wyląduje z papierowym workiem na głowie. Stracimy szansę na wymianę danych z MI6 i Zaporą, nie wspominając już o pewnych agencjach w Niemczech, Włoszech i Francji. Będziemy grać w pokera pustymi kartami.

– Jezusie, Maryjo i Święty Józefie, Church. Powinieneś od początku dzielić się tym systemem ze wszystkimi.

– Naprawdę? Chciałbyś zobaczyć, jak wszyscy od wiceprezydenta w dół mają całkowity dostęp do twoich danych?

Chciałbyś dać każdemu w każdej agencji możliwość odczytania wszystkich tajemnic i dotarcia do wszystkich plików bez pozostawiania śladów? Chciałbyś, żeby opinia publiczna poznała wszystkie osobiste sprawy prezydenta?

– Ja...

– Dwa słowa, Lindenie: „Houston Marriott”.

– Nie mów tego nawet żartem – wysyczał Brierly.

– Nie żartuję i nie grożę. W chwili, gdy prezydent nie sprawuje władzy, MindReader i WDN są w niebezpieczeństwie. Będę się mocno trzymał, ale chyba żaden z nas nie chce zobaczyć, co się stanie, jeśli to się zmieni w przepychankę między NSA a moimi chłopakami.

– Mają przewagę liczebną i siły ognia.

– Wydaje mi się, że poznałeś major Courtland i kapitana Ledgera. Widziałeś ich w działaniu? Na kogo byś postawił?

– To nie strzelanina w OK Corral.

– Nie powinno do tego dojść – zgodził się Church – ale wice się nie patyczkuje. Do tego jest dobrze zorganizowany i wykorzystuje wiele jednostek. Nic z tego nie przeszło przez maile ani oprogramowanie zarządzające, więc musiał ustalać wszystko przez telefon albo twarzą w twarz. Wie dość o MindReaderze, by go obejść, przygotowując tę operację.

– Wydajesz się spokojny – zauważył Brierly.

Church odgryzł kęs ciastka i nic nie powiedział.

– Mówisz o puczu.

– Nie, to nie jest zwrócone przeciwko prezydentowi i w stosownej chwili wice pewnie w stosowny sposób przekaże władzę. Ale w ostatecznym rozliczeniu może doprowadzić do upadku prezydenta. Może wice o tym wie, a może nie, ale skutek będzie ten sam. Wobec czego pośrednio jest to atak na prezydenta.

– Bez jaj.

– Czas jest tu niezmiernie ważny z innego powodu – dodał

Church. – Właśnie zaczęliśmy dodawać kawałki układanki, która może być znaczącym zagrożeniem. Zagrożeniem przez duże Z. Pewnie i tak jesteśmy już spóźnieni, taka jest natura tych rzeczy, ale jeśli wszyscy moi ludzie będą uciekać przed NSA albo się ukrywać, możemy w ogóle wylecieć z wyścigu. Wice musi odwołać psy, żebyśmy mogli wrócić do pracy.

Brierly westchnął.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– A co podpowiada ci lojalność?

– Zmiana pracy wydaje się dobrym pomysłem. Podobno w supermarketach brakuje ludzi.

Church zjadł kęs ciastka, wypił trochę wody i czekał.

– Nie mogę obezwładnić lekarza i zmusić go do obudzenia prezydenta. On wraca teraz do siebie, ale są odpowiednie protokoły.

– Tak, a Pożar Lasu jest jednym z nich.

– Wyrzucą mnie z tego powodu z pracy.

– Nie, jeśli prezydent przejmie kontrolę, zanim stracimy MindReadera.

Brierly zastanawiał się nad tym przez dłuższy czas. Church mógł zjeść drugie ciasteczko.

– W porządku – powiedział w końcu – ale kiedy głównodowodzący wróci do gry, zrzuć całą winę na ciebie.

– Żaden problem.

– A jeśli nam się nie uda? Jeśli wice przejmie kontrolę nad twoimi archiwami?

– To mogłoby wymagać rozwiązań alternatywnych, o których nie możesz ode mnie usłyszeć. Nawet nieoficjalnie.

Brierly zaklął.

– Lindenie – powiedział cicho Church – to nie ja zacząłem tę walkę i nie wiem, dlaczego wice tak wiele ryzykuje, ale nie możemy pozwolić, by przejęli MindReadera. Twoim zadaniem jest upewnić się, że nie zaczną działać zbyt kreatywnie, próbując

go zatrzymać.

– „Kreatywnie” nie brzmi uspokajająco.

– Bo nie jest. Dlatego obaj zrobimy wszystko, co konieczne, by takie rozwiązanie nie okazało się niezbędne. Będę robił, co w mojej mocy najdłużej, jak się da, ale chciałbym jak najszybciej usłyszeć od ciebie, że burza minęła.

– W porządku. Znajdę ordynatora chirurgii i zobaczę, czy uda mi się przemówić do jego patriotyzmu.

– Znasz mój numer.

Po tych słowach Church się rozłączył.

Odłożył telefon na suszkę. Położył dłonie po obu jego stronach i siedział w milczeniu w swoim cichym biurze.

Rozdział siedemnasty

*Deck,
sobota, 28 sierpnia, 10.16
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 44 minuty EST*

Otto odłożył słuchawkę.

– Lądują.

On i Cyrus stali w centrum dowodzenia Decku. Wokół nich setki techników pracowały przy stacjach roboczych. Drugi rząd stacji roboczych umieszczono na metalowej werandzie otaczającej centralną przestrzeń. Stukot tych wszystkich palców na klawiszach był muzyką dla uszu Cyrusa.

Przezroczyste panele podłogi odsłaniały umieszczone pod centrum dowodzenia dwa oddzielone od siebie chłodzone pomieszczenia. W tym po lewej tłoczyło się pięćdziesiąt połączonych w sieć sekwencerów firmy 454 Life Sciences. Technicy w białych samowystarczalnych kombinezonach pracowali między komputerami, ciągle sprawdzając ich działanie i monitorując każdą najmniejszą zmianę. W pomieszczeniu po prawej, które wyglądem przypominało nieco browar, ogromne zbiorniki bez przerwy hodowały wirusy.

Zbiornik bezpośrednio pod stopami Cyrusa wytwarzał zmodyfikowaną genetycznie wersję wirusa brodawczaka ludzkiego, która miała atakować Latynosów. Jasne, czasami przechodził również na białą populację, ponieważ czystość

rasowa – niestety, przynajmniej w oczach Cyrusa i Ottona – była bardziej mitem niż prawdą, ale zachorowalność na raka szyjki macicy u Latynosek wynosiła 85%, a u białych kobiet zaledwie 6%. Syntetyczne podłoże, którego używali, pozwalało o 400% przyspieszyć wzrost. Zbiorniki działały od tak dawna, że według oceny Ottona powinni mieć dość, by rozpocząć fazę drugą Fali Wymierania w ciągu szesnastu tygodni zamiast przewidywanych wcześniej trzydziestu miesięcy. Cyrus żałował jedynie, że nie zdecydowali się na tę nową metodę przed rokiem, by wszystko było gotowe w tym samym czasie, co reszta fazy pierwszej.

Na tę myśl Cyrus miał ochotę zacząć płakać, skakać i krzyczeć z radości.

– Powinniśmy się zamknąć – poradził Otto.

– Wiem, wiem. – Cyrus machnął ręką z irytacją. – Po prostu żałuję, że muszę to zrobić.

– Nie możemy pozwolić, żeby Bliźnięta zobaczyły...

Cyrus uciszył go spojrzeniem.

– Pewnie nawet tu nie przyjdą.

Cyrus wiedział jednak, że Otto ma rację. Podejmowanie niepotrzebnego ryzyka było nierozsądne nawet w najlepszych czasach, ale w chwili gdy Fala Wymierania znajdowała się tak blisko – tak wspaniale, cudownie blisko – niczego nie można było pozostawić przypadkowi. A żaden z nich nie ufał Bliźniętom.

– Żałuję, że nie możemy ich wtajemniczyć – powiedział Cyrus.

Otto odwrócił głowę, by Cyrus nie widział, jak przewraca oczami. Zaczęli tę dyskusję, zanim Bliźnięta osiągnęły wiek pokwitania, i mnóstwo razy rozważali wszystkie możliwe aspekty.

– Ich profile psychologiczne wyraźnie sugerują, że byliby przeciwni Fali.

– Wiem.

– Ich ideologia jest zbyt...

– Wiem.

Otto zacisnął wargi.

– Panie Cyrusie, w tej właśnie chwili ląduje samolot.

Cyrus westchnął.

– Dobrze, niech to diabli.

Machnął ręką i odwrócił się.

Odszedł powoli, z rękami za plecami i pochyloną w zamyśleniu głową. Przy drzwiach zatrzymał się i patrzył, jak stalowe płyty powoli wsuwają się na miejsce, by ukryć pomieszczenia poniżej. Zaczęły działać potężne urządzenia hydrauliczne i na oczach Cyrusa opuściły się żaluzje, zasłaniające prawie osiemdziesiąt procent techników. Podniosła się fałszywa ściana, ukrywająca długi na osiemset metrów korytarz łączący Deck z magazynem wirusów pod rozpalonymi piaskami Arizony. Cały proces zajął niecałe trzy minuty, a kiedy się zakończył, pomieszczenie wyglądało wręcz staroświecko. Nowocześnie, owszem, ale na skalę wystarczającą jedynie do prowadzenia badań, nie masowej produkcji. Cyrus znów westchnął. Przygnębiało go, że musi to ukrywać przed własnymi dziećmi. I podobnie przygnębiało go, że własne dzieci okazały się tak poważnym rozczarowaniem.

– Będę w ogrodzie – powiedział do Ottona. – Przyprowadź ich tam do mnie.

Otto uklonił się i odprowadził go wzrokiem.

Rozdział osiemnasty

*Deck,
sobota, 28 sierpnia, 10.22
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 38 minut EST*

Telefon Parysa zadzwonił, kiedy ich samolot hamował na pasie.

– Tak? – odebrał melodyjnym głosem.

– To ja – powiedział J.P. Sunderland.

– I...

– Remis. Zaatakowaliśmy wszystkie bazy WDN, w których mogła się znajdować stacja robocza MindReadera, ale bez rozporządzenia wykonawczego pozwalającego strzelać, udało nam się doprowadzić jedynie do impasu. Właściwie, dzieciaku, kilku naszych agentów trafiło do szpitala, a służby od wybrzeża do wybrzeża nadstawiają uszu. Za coś takiego wiceprezydent zostanie pewnie zaciągnięty przed oblicze podkomisji.

– Innymi słowy, zasadniczo spieprzyłeś sprawę. – Głos Parysa brzmiał lodowato.

– Zasadniczo tak.

– Mógłbyś przynajmniej robić wrażenie skruszonego.

– Pocałuj mnie w dupę, śnieżynko. – W głosie Sunderlanda nie było złości. Był zbyt doświadczonym graczem, by z powodu słabych kart na rękę albo nawet kilku kolejnych słabych rozdań stracił panowanie nad sobą. – Mieliśmy najwyżej pięćdziesiąt procent szansy powodzenia i wszyscy od początku o tym

wiedzieliśmy. To był pomysł twój i twojej siostry. Ja od początku się sprzeciwiałem, o czym dobrze wiesz. To marnowanie środków, które można by lepiej wykorzystać w późniejszym terminie.

– Potrzebujemy tego systemu. Bez MindReadera rzeka pieniędzy wyschnie, J.P.

– Później poćwiczę śpiewanie bluesa. Na razie wygląda na to, że NSA zostanie powstrzymane na wystarczająco długo, by władza wróciła do prezydenta. I, jak mówiłem, możemy przez to stracić wiceprezydenta.

– Jaka wieeelka szkoda. Wolny świat od tego upadnie.

– W porządku, kogo obchodzi, jeśli on pójdzie na dno? Chodzi o to, że numer z NSA miałby więcej kopa, gdybyśmy wprowadzili go w życie po śmierci grubej ryby.

– Kogo?

– A jak myślisz?

Parys się roześmiał.

– Co chcesz mi powiedzieć? Że planujesz wykończyć Churcha? Lubił słowo „wykończyć”.

– Ja? Do diabła, nie, ale krążą pogłoski, że jest do odstrzału. Church i paru innych kłopotliwych gości. Gdybym nie wiedział, że twój tatko jest na smyczy, powiedziałbym, że to robota w jego stylu. Ale to bez znaczenia. Przy odrobinie szczęścia, ktokolwiek przyjął zlecenie na niego, załatwi je, nim opadnie kurz po dzisiejszym szambie. Inaczej Church może zacząć się rozglądać, żeby sprawdzić, co niesie wiatr, a tego nie chcemy.

Hekate pochylała się nad Parysem, żeby też słyszeć rozmowę. Popatrzyli sobie w oczy i wymienili się spojrzeniem „on ma rację”.

– I co teraz? – spytał Parys.

– Teraz pozwolimy, żeby cała sprawa z NSA rozegrała się do końca. Wciąż minie trochę czasu, zanim prezydent przejmie wodze, więc można powiedzieć, że WDN ma przez resztę dnia

związane ręce. Może nawet jeszcze jutro, ale to już zaczyna brzmieć jak myślenie życzeniowe. Później pozwolimy, by wiceprezydent zagrał resztę swoich kart. Rzucił parę kozłów ofiarnych wilkom w Kongresie, bla, bla, bla, a później przejdziemy do kolejnego etapu.

Parys spojrział na Hekate, która pokiwała głową.

– W porządku, J.P. Masz jeszcze jakieś pomysły, jak zdobyć MindReadera?

– Kilka. Ale żadnego, który moglibyśmy wykorzystać, dopóki Church nie zniknie.

– Cholera.

Sunderland zaśmiał się. Był to głęboki, gardłowy, głodny śmiech niedźwiedzia, który wyrzucił łososa na brzeg rzeki.

– A teraz porozmawiajmy o Denver.

Rozdział dziewiętnasty

*Druid Hill Park, Baltimore,
sobota, 28 sierpnia, 10.31*

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 29 minut*

Czekałem przy wyjściu na kierowcę, który miał mnie zabrać, kiedy zadzwonił mój telefon. Spojrzałem na ekran. Grace. W normalnej sytuacji bym się uśmiechnął, tym razem jednak dostałem krótkiego ataku paniki na myśl, że coś jej się stało.

– Halo?

– Joe. – W jej głosie brzmiał niepokój.

– Hej. Dżem? – Zakodowane pytanie o szyfrowanie.

– Oczywiście, pierdolona fujaro.

– Ładnie się wyrażasz. Całujesz premiera tymi ustami?

Kazała mi się odpierdolić, ale powiedziała to ze śmiechem. Odetchnąłem z ulgą.

Grace Courtland, agentka brytyjskiego wywiadu, a obecnie szefowa regionalnego biura WDN w Baltimore, była w jednej trzeciej moją miejscową szefową, w jednej trzeciej towarzyszką broni, która stała u mojego boku w czasie najdziwaczniejszych i najstraszliwszych walk, od kiedy zacząłem dla nich pracować, i w jednej trzeciej moją dziewczyną – a nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek miał bardziej interesującą, skomplikowaną i seksowną dziewczynę. Nie mówiliśmy o naszym związku i staraliśmy się go nie ujawniać, ale też oboje byliśmy realistami.

Przyjeliśmy do wiadomości, że współpracujemy z setką doskonale wyszkolonych obserwatorów, więc nasz mały romans został już pewnie dawno obgadany.

– Cieszę się, że słyszę twój głos – powiedziałem.

– I nawzajem. Miałam wizję, jak leżysz w bagażniku samochodu NSA z pierdolonym czarnym workiem na głowie.

– Bardzo się starali do tego doprowadzić. Mam nadzieję, że nie dzwonisz ze złymi wieściami. Za chwilę przestanę odbierać telefon.

– Tak. Słyszałam o twoim Faradayu. Cholerny koszmar, Joe. Tak mi przykro.

Wiedziałem, że mówi szczerze. Grace straciła wielu podwładnych w czasach, gdy była jednym z dowódców polowych Churcha.

– Dzięki.

Grace przeszła do WDN – właściwie na stałe – z Zapory, brytyjskiej organizacji, która była wzorcem dla opartych na nauce grup szybkiego reagowania, takich jak nasza. Church poprosił właśnie o nią, a on zwykle dostawał to, o co prosił.

– Ale mam dla ciebie nowe informacje. Jerry Spencer jest na miejscu zbrodni. Znajomi pana Churcha z Wilmington załatwili mu fałszywe dokumenty. Jest w mieszkaniu Gilpina i zadzwoni, kiedy rozwieje się dym.

– To już coś.

Poczułem odrobinę ulgi. Jerry Spencer był kiedyś gliną w Waszyngtonie, ponad dwadzieścia lat pracował jako detektyw w wydziale zabójstw, po czym trafił do tego samego oddziału specjalnego Bezpieczeństwa Krajowego, co ja. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto umiałby lepiej od niego rozpracować miejsce zbrodni. Krążyły nawet plotki, że FBI zamierzało go zwerbować, żeby wykładał w Quantico, kiedy skończy dwadzieścia pięć lat pracy w policji, ale WDN dotarł do niego wcześniej i teraz Jerry prowadzi nasze laboratorium

kryminalistyki.

– Grace, dobrze wiedzieć, że WDN nie został zmuszony, żeby całkowicie zamknąć dziś interes. Pewnie już wiesz o Denver?

– Tak. Próbowалам dostać pozwolenie, żeby zabrać tam oddział Alfa, ale jesteśmy tu zbyt starannie zamknięci. Church powiedział mi, że Starszy i Królik są w drodze, a ty do nich dołączysz.

– Mówił ci coś o swoich przyjaciółach, którzy zostali zabici?

– Wspomniał o tym, ale nie wchodził jeszcze w szczegóły. Mówił też coś o wideo, które mam obejrzeć, kiedy będę miała chwilę. Nie mam pojęcia, co to za nagranie, ale Church robił wrażenie poważnie zdenerwowanego.

Uśmiechnąłem się na tę myśl.

– Church? Zdenerwowany? Skąd wiesz?

– Jego krawat był odrobinę krzywo. U niego to oznacza apokalipsę. Jest jedynym znanym mi gościem, który nawet na własnej sekcji zwłok pojawiłby się w starannie wyprasowanym garniturze i dyktował lekarzowi, jak prowadzić badania.

– I to nie jest żart. Ale posłuchaj, wiesz może, co się szykuje? Church był jeszcze bardziej tajemniczy niż zwykle.

– Zawsze się tak zachowuje, kiedy zostanie zaskoczony. Niczego nie zdradza do chwili, aż zorientuje się w sytuacji, a wtedy zrzuca nam to wszystko na głowy. Jeśli zwleka, to znaczy, że sam szuka informacji. – Zawahała się. – Przypuszczam, mój drogi, że twój cyniczny umysł podąża tymi samymi ścieżkami, co mój.

– Pewnie. Już wcześniej tak było. Okruch tu, fragment tam, i nagle siedzimy w tym po dziurki w nosie. Nienawidzę tej części roboty, Grace. Czuję się tak, jakby ktoś gdzieś zapalił lont, a ja widzę jedynie smużkę dymu.

– Cholerna racja. Cokolwiek to jest, wiąże się z czymś, co jest przechowywane w obiekcie w Denver, zamieszani są Rosjanie, ma również coś wspólnego z kradzieżą danych. A do tego coś

w słowach Churcha trąciło mi zimną wojną. Kiedy opowiadał o współpracownikach, którzy zostali zabici, wspomniał, że pochodzili głównie z Wielkiej Brytanii i Niemiec, i że działali razem na początku lat osiemdziesiątych.

– Niemcy i Rosja, Wielka Brytania i Ameryka. Masz rację, zimna wojna to dobre skojarzenie. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę to wideo. Ale przede wszystkim chcę wejść do gry. Wiem, że to nie jest właściwy punkt widzenia, ale wyjazd do Denver kojarzy mi się z ucieczką.

– Wiem. A ja mam wrażenie, że zostałam zamknięta w klatce. – Odetchnęła. – Jak się trzymasz, stary?

– Doskonale, dziecinko.

– „Dziecinko”?

– Przepraszam. Major Dziecinko.

– Cholerni Jankesi – jęknęła.

To nie była chwila na wesołe przekomarzanki i szybko je przerwaliśmy.

– To zabawne – powiedziałem – ale zawsze znajdą się tacy goście, którzy robią wrażenie pomalowanych kevlarem, którzy nigdy nie zostają trafieni, a Wielki Bob miał tego mnóstwo.

Po mojej pierwszej misji w szeregach WDN, po której skład oddziału Echo zmniejszył się o połowę, Wielkiego Boba przyjęliśmy jako pierwszego. Wielki Bob był przyjazny, pracowity, i choć jako żołnierz dorównywał najlepszym, miał przy tym łagodne serce. Nagle zadrzałem, kiedy uświadomiłem sobie, że już zacząłem opisywać jego zalety, jak to się robi, kiedy ktoś umrze.

– Jest wojownikiem – dokończyłem niezręcznie.

– To fakt.

Zobaczyłem zbliżający się samochód, jego kierowca zamrugał światłami.

– Mój transport tu jest. Muszę kończyć.

– Ja też. Mam za drzwiami ferajnę wpienionych frajerów

z NSA. Lepiej pójdę i zobaczę, czy uda mi się zrobić z nimi porządek.

- Uważaj na siebie, dziecinko.
- Major Dziecinko.
- Tak jest.
- Bądź ostrożny, Joe.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozłączyła się. Może to wina jej londyńskiego akcentu, może zniekształceń szyfrowania, a może moje własne popieprzone emocje, ale to zabrzmiało prawie jak „Bądź ostrożny, *love*”. Zastanowiłem się nad tym. Nie, nie wpakowałaby się w takie emocjonalne bagno. Nie ze współpracownikiem. Prawda?

Zatrzasnąłem telefon i na chwilę zamknąłem oczy, przywołując wspomnienie ostatniego razu, kiedy widziałem Grace. Wczoraj rano, gdy opuściła moje łóżko. Wysoka, opalona i zgrabna, niesamowite nogi, kształtne krągłości i spojrzenie, pod którym od razu się rozpływałem albo natychmiast przeszywał mnie prąd. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo takiego jak ona i uważałem się za szczęściarza, że w ogóle się poznaliśmy. Wielka szkoda, że poznaliśmy się jako towarzysze broni w wojnie przeciwko terroryzmowi, wojnie, która nie miała końca. Wojny to doskonały grunt dla trwałej miłości, ale wojownicy nie powinni sobie pozwalać na zakochanie. Ryzyko staje się wtedy o wiele większe.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na nadjeżdżający samochód, zmuszając się do skupienia na obecnym kryzysie.

Rozdział dwudziesty

*Magazyn, regionalne taktyczne biuro
terenowe WDN w Baltimore,
sobota, 28 sierpnia, 10.32
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 28 minut*

Major Grace Courtland była szczupłą, bardzo ładną i wściekłą. Przed rzuceniem się na dowódcę oddziału NSA powstrzymywały ją jedynie resztki jej własnego panowania nad sobą i podwójne ogrodzenie pod napięciem.

Dowódca był wielkim blondynem w typie futbolisty, w lustrzankach i ze słuchawką w uchu. Pięciu pozostałych agentów stało za nim jak spartańska falanga, a ulicę przed regionalnym taktycznym biurem terenowym WDN w Baltimore – w skrócie zwanym Magazynem – wypełniały rządowe pojazdy wszelkich marek i modeli.

Major Courtland miała ze sobą jedynie dwóch strażników – McGorana i Tafoyę, parę twardych byłych żandarmów wojskowych zwerbowanych przez WDN. W sierpniowym upale strażnicy nosili spodnie khaki i koszule polo zapinane na trzy guziki. Obaj trzymali karabiny M4 oparte na lewej ręce. Żaden się nie uśmiechał.

Dowódca krzychał do Grace:

– Mam nakaz przeszukania i przejęcia tego budynku i całej jego zawartości, jak również nakaz aresztowania major Grace

Courtland, doktora Williama Hu, kapitana Josepha Ledgera oraz pana Churcha, imienia nie podano!

– Podetrzyj sobie nim dupę – powiedziała Grace.

– Ten budynek jest własnością federalną, pani major, a to należycie doręczone wezwanie.

Grace zaplotła ręce na piersiach.

– Zgodnie z rozporządzeniem wykonawczym G15/WDN, dyrektywa siedemdziesiąt jeden, odmawiam wam wstępu do tego zastrzeżonego obiektu.

Dowódca warknął i potrząsnął nakazem.

– To rozporządzenie wykonawcze oficjalnie unieważnia wszelkie wcześniejsze dyrektywy i przekazuje cały ten obiekt pod nadzór Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Rozkazuję pani wyłączyć prąd w tym ogrodzeniu, otworzyć bramę i poddać się mojemu oddziałowi.

Grace pochyliła się najbliżej ogrodzenia, jak się odważyła, świadoma melodyjnego brzęczenia dziesięciu tysięcy woltów przepływających po drutach. Przywołała dowódcę gestem, a on pochylił się, wyraźnie przekonany, że chciała z nim porozmawiać bez świadków. Ona jednak wskazała na dokument, który trzymał jak tarczę na wysokości piersi.

– Widzisz coś? – spytała z uśmiechem.

Nawet patrząc z ukosa, dowódca mógł zobaczyć jaskrawoczerwony punkcik. Światło trafiło w sam środek kartki, a jego przefiltrowany blask padał na koszulę dowódcy, odrobinę na lewo od jego krawata.

– A teraz popatrz na swoich ludzi – mruknęła Grace.

Poruszając się bardzo ostrożnie, dowódca obrócił głowę najpierw w lewo, a później w prawo, i zobaczył pół tuzina czerwonych światełek celowników laserowych tańczących na piersiach agentów.

Dowódca podniósł wzrok na okna Magazynu. Dolne szyby podniesiono, a w pomieszczeniach panowała ciemność. Nie

widział broni, ale był wystarczająco doświadczony, by rozpoznać zagrożenie. Snajperzy nie wystawiali luf przez okna – siedzieli w cieniu, gdzie ich broń i celowniki nie odbijały słonecznego blasku i gdzie w cichej ciemności mogli starannie wybierać cele. Jednak nawet z takiej odległości dostrzegał czerwony blask laserowych celowników w niemal każdym oknie. Jego opalona twarz pobladła.

– Oszałała pani, pani major?

– Jestem piekielnie wściekła – zgodziła się.

– Jeśli zrobicie krzywdę komuś z nas, będzie to zdrada. Mamy prawo...

Przerwała mu:

– Jeśli nas zmusicie, pożałujecie tego.

Pięć kolejnych czerwonych kropek pojawiło się na piersi dowódcy.

– Ja... – zaczął mówić, ale był zupełnie zagubiony.

– Oto jak to rozegramy. – Zielone kocie oczy Grace błyszcząły. – Ty i twoi Hunowie przestaniecie szturmować ten zamek. Wsiądźcie do samochodów. Możecie sobie dzwonić, do kogo tylko chcecie. Możecie odjechać albo zostać, ale dopóki nasi szefowie sobie tego nie wyjaśnią, przestaniesz mi machać tym papierem pod nosem i przestaniesz mi grozić. W ten sposób nie stracisz twarzy. Ale potraktuj poważnie moje słowa i nie myśl sobie: nie wejdiesz do tego kompleksu. Nie na mojej warcie.

– Będzie pani tego żałować, pani major.

– Żałuję wielu rzeczy. A teraz, jeśli można, odpierdol się.

Cofnęła się od ogrodzenia. Laserowe światełka podążyły za agentami NSA do samochodów i przez następną godzinę muskały okna zaparkowanych pojazdów. Kiedy przyjechały następne auta NSA, by wspomóc oblężenie, kolejne laserowe światełka sięgnęły do nich, by przypomnieć, kto ma przewagę taktyczną wysokości. Nad nimi słońce powoli wypalało kolejne minuty dnia.

Rozdział dwudziesty pierwszy

*Biały Dom,
sobota, 28 sierpnia, 10.36
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 28 minut*

J.P. Sunderland zatrzasnął telefon, westchnął i zerknął na wiceprezydenta Billa Collinsa, który siedział za biurkiem z głową w dłoniach.

Sunderland odchrząknął.

– To był Mike Denniger, mój człowiek w Secret Service.

Na te słowa wiceprezydent poderwał głowę.

– Coś się stało prezydentowi?

– To spojrzenie pełne nadziei nie najlepiej świadczy o twoim współczuciu – mruknął Sunderland. Ponieważ Collins w odpowiedzi jedynie spiorunował go wzrokiem, kontynuował: – Denniger mówi, że było dużo przyciszonych rozmów między Lindenem Brierlym a lekarzami. Nie był wtajemniczony w tematykę tych rozmów, ale odniósł wrażenie, że lekarze kłócili się z Brierlym. Domyślam się, że ktoś dotarł do Brierly’ego i przekonał go, by przyspieszył proces wybudzania prezydenta.

– To musiał być Church.

– Nie oficjalnymi kanałami.

– On nie używa oficjalnych kanałów.

– Pewnie nie.

Siedzieli w milczeniu, na zegarze mijały kolejne sekundy.

W końcu odezwał się Collins.

– Co robimy? Czekamy, aż prezydent się obudzi, wpadnie w szał, i wtedy rzucamy mu kozła ofiarnego, czy rozgrywamy to tak, jak byśmy się zorientowali, że zostaliśmy oszukani, i idziemy najpierw do prokuratora generalnego? Przedstawiamy mu swoją historyjkę i liczymy, że będzie po naszej stronie?

Sunderland się zamyślił. Mimo spokojnej miny bardzo się pocił. W zamyśleniu poklepał się po kieszeni, by sprawdzić, czy na pewno ma flakonik z tabletkami nitrogliceryny.

– Nadal jest szansa, oczywiście niewielka, że dopadniemy MindReadera, zanim prezydent się obudzi i odzyska władzę. Nawet jeśli Brierly zmusi doktorków, żeby coś zrobili, wciąż mamy pewnie sześć albo siedem godzin. Wykorzystajmy ten czas.

– I co mamy zrobić? Trzymać kciuki?

– Może pomóc.

Collins prawie się roześmiał.

– Jezu.

– Denniger mnie powiadomi, jeśli w szpitalu zacznie się coś dziać. Gdyby wydawało się, że już po wszystkim, możesz zadzwonić do prokuratora generalnego. Tak będzie najlepiej, Bill. Jeśli zadziałasz zbyt szybko, będziesz wyglądał na słabego. Jeśli pozwolisz, żeby prezydent dał ci klapsa, zrobisz wrażenie zbrodniarza. Ale jeśli w ostatniej chwili uratujesz sytuację, będziesz cholernym bohaterem.

– A jeśli w tym czasie zdobędziemy MindReadera?

– To po cichu staniesz się najbogatszym wiceprezydentem w historii. – Sunderland otarł uśmiechniętą twarz. – Tak czy inaczej, nie możesz przegrać.

– Jezu, nie mów tak – warknął Collins. – Jeszcze zapeszysz.

Rozdział dwudziesty drugi

*Druid Hill Park, Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 10.41*

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 27 minut*

Samochód zatrzymał się przy krawężniku, a ja pochyliłem się, by spojrzeć przez okno pasażera na mężczyznę za kierownicą.

Doktor Rudy Sanchez uśmiechnął się do mnie nerwowo.

– Cześć, marynarzu, jesteś nowy w tym mieście?

– Bardzo śmieszne – mruknąłem, wsiadając.

Rudy jest niższy i okrąglejszy ode mnie, zazwyczaj jeździ przestronnym cadillakiem DTS, ale tym razem musiałem się wcisnąć do dwudziestoletniego geo prizma, w którym brakowało mi miejsca na nogi.

– Co to ma być, do diabła?

– Pan Church mówił, że mam nie zwracać na siebie uwagi, więc pożyczyłem samochód od swojej sekretarki, Kittie. Powiedziałem, że mam pilne wezwanie, a moje auto jest w warsztacie, i dałem jej pieniądze na taksówkę do domu.

Samochód pokrywały łąty przydymionego złotego lakieru i szarej szpachli. W środku śmierdziało dymem papierosowym. Wiszący na lusterku odświeżacz do powietrza w kształcie choinki od razu się poddał.

– Jezu, Rude, powinieneś lepiej płacić tej dziewczynie. Nawet moja babcia nie wsiadłaby do czegoś takiego.

- Twoja babcia nie żyje.
- A i tak nie wsiadłaby do czegoś tak kijowego.
- To dobre auto i nie zwraca na siebie uwagi, zgodnie z poleceniem. A uciekinier nie powinien odgrywać primadonny.
- Zamknij się i jedź – mruknąłem.

Rudy powiedział coś niestosownego w potocznym hiszpańskim i skręcił na wjazd prowadzący na I-83. Najwyraźniej wiedział, dokąd jedzie. Przez pierwsze kilka minut nic nie mówił, ale mimo dmuchającej zimnem klimatyzacji wciąż się pocił.

- Jak zostałeś wrobiony w odgrywanie szofera?
- Nie było mnie w Magazynie, kiedy to wszystko się zaczęło. El Jefe zadzwonił i kazał cię odebrać.
- Ile wiesz?
- Dość, by być śmiertelnie przerażonym. – Po minucie dodał: – Nienawidzę polityków.

Nie mogłem się z tym nie zgodzić, więc jechaliśmy dalej w milczeniu.

Po jakimś czasie stwierdził:

- Nie mogę uwierzyć, że udzielam pomocy komuś poszukiwanemu przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. Nie mogę uwierzyć, że ten ktoś jest moim najlepszym przyjacielem. I nie mogę uwierzyć, że wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki wniósłby fałszywe oskarżenie tylko po to, by zrealizować swoje cele polityczne.

Kilometr później dodał:

- Nie, w to akurat mogę uwierzyć, ale cholernie mi się nie podoba, że to prawda.
- Ja też nie jestem zachwycony. Oczywiście oskarżenia nie są całkowicie bezpodstawne, Rude.

Rudy odetchnął głęboko przez nos.

- Tak, to też mi się cholernie nie podoba. To znaczy, że obaj wierzymy, że Church jest dobrym gościem, może nawet tym dobrym gościem. Jeśli istnieje ktoś, kto ma wystarczająco silną

wolę i sztywny kręgosłup moralny, by nie nadużywać czegoś w rodzaju MindReadera, to jest nim właśnie on. Nie jestem pewien, czy sam umiałbym się oprzeć pokusie. Ale z drugiej strony, jak bardzo popieprzony jest nasz świat, że trzeba aż szantażować prezydenta i kongresmenów, żebyśmy mogli wykonywać swoją pracę, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że nasza praca wiąże się z powstrzymywaniem najbardziej skrajnych terrorystów. Powiedz mi, Joe, czy to brzmi jak normalny świat?

– Ty tu jesteś psychiatrą, bracie, ty mi powiedz.

– Gdyby udało mi się zrozumieć logikę działania umysłów polityków, napisałbym bestsellerową książkę i przez następne dwa lata występował w telewizji.

– To zdecydowanie przyjemniejsze niż wożenie uciekinierów starym rżemem.

– Większość rzeczy jest od tego przyjemniejsza. Jak się czujesz, kowboju?

– Nie podoba mi się, jak się rozwija sytuacja. I martwię się o Wielkiego Boba.

– Powinniśmy zadzwonić do szpitala, żeby się dowiedzieć, co z nim?

– Nie. Został zarejestrowany pod fałszywym nazwiskiem, żeby NSA go nie znalazło. Church dostaje informacje o jego stanie. Przekaze nam.

Rudy zaciskał dłonie na kierownicy tak mocno, że zbieleły mu kostki, i co kilka kwartałów ulic posyłał mi spojrzenie. Zanim zdążył spytać, powiedziałem:

– Tak.

– Co tak?

– Tak, czuję to. Wielki Bob. NSA. Czuję to.

– Masz prawo to pokazać, wypuścić z siebie. Pokiwałem głową.

– We właściwym miejscu o właściwej porze.

– Czyli nie teraz?

– Nie.

– Nawet ze mną?

– Rude, jesteś moim najlepszym przyjacielem i moim psychiatrą, więc możesz robić rzeczy, na które większości nie pozwalam. Możesz mnie spytać o cokolwiek i pewnie w końcu wszystko ci powiem. Ale nie teraz.

– Miałeś dziś dużo stresów, kowboju. Naprawdę myślisz, że to najlepsze rozwiązanie?

Znów pokiwałem głową.

– Kiedy żołnierz wraca z wojny, psychiatrzy podejmują decyzje. Ostukują, obmacują, pytają i zastanawiają się, jak odseparować żołnierza od stresu walki, uwolnić go od grzmotu pola bitwy.

– Ach. – Uniósł brwi. – Ale my wciąż jesteśmy na polu bitwy.

– Tak.

– Uważasz, że jesteśmy w samym środku czegoś.

– Tak.

– Czegoś większego od NSA? Ta sprawa z Rosjanami, czymkolwiek jest.

– Czymkolwiek jest, tak.

– Innymi słowy, to nie jest właściwa pora na składanie sprawozdania.

– Zgadza się.

Pokiwał głową. Rudy jest najlepszym towarzyszem. Wie, kiedy należy przestać wiercić dziurę w brzuchu, kiedy należy dać więcej swobody, nawet w ciasnym samochodzie. Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.

Zjechaliśmy pierwszym zjazdem z autostrady JFX i ruszyliśmy na północny zachód, wydawałoby się, że bez określonego celu. Dwadzieścia minut później Rudy skrzył jednak na wiejską drogę, którą przejechaliśmy półtora kilometra, aż dotarliśmy do niedużego, ale luksusowo wyposażonego prywatnego lotniska.

Zakręcił jeszcze kilka razy i w końcu zatrzymaliśmy się kilkanaście metrów od nowoczesnego learjeta.

Stopnie były opuszczone, pilot siedział na samej górze, czytał *Forbesa* i popijał kawę z papierowego kubka z logo Starbucksa. Kiedy zaparkowaliśmy, złożył gazetę i zszedł po stopniach, by nas przywitać.

– Kapitan Ledger? – spytał, wyciągając rękę. – Jestem Marty Hanler.

Uśmiechnąłem się.

– Marty Hanler, ten pisarz?

– Tak.

Rudy aż zagwizdał. Thrillery szpiegowskie Hanlera zawsze trafiały na pierwsze miejsce list bestsellerów. Cztery z nich zekranizowano. W ostatnim grał Matt Damon, miałem w domu DVD.

– Leci pan z nami? – spytałem.

– Tak będzie najprościej. To ja pilotuję tego ptaszka.

Rudy zamrugał.

Hanler był rozbawiony naszymi reakcjami.

– Zadzwoił do mnie stary kumpel i powiedział, że trzeba cię podrzucić.

– „Kumpel”? – powtórzyłem.

– Tak. Wasz szef. Diakon.

– On jest pańskim „kumpem”?

Hanler był po sześćdziesiątce, opalony, z przerzedzającymi się siwymi włosami. Błyszczące niebieskie oczy i zadbane zęby. Mrugnął.

– Nie zawsze pisałem książki, chłopcy.

– Aha.

Hanler mocno ścisnął mi rękę, a do tego miał spojrzenie, które widywałem u innych starych zawodowców. Spojrzenie z gatunku „wszędzie byłem, wszystko widziałem, wszystkich zakopałem”.

– Chodź – powiedział. – Diakon prosił, żebym zabrał cię do

Denver.

– Powodzenia, Joe – powiedział Rudy, a ja odwróciłem się zaskoczony.

– Chwileczkę, nie lecisz ze mną?

Pokręcił głową.

– Church chce, żebym był na miejscu i pomagał personelowi radzić sobie ze wszystkim, co się dzieje.

– A kto pomoże z tym cholerstwem tobie?

– Mój dobry przyjaciel Jose Cuervo.

– Ach tak. – Uścisnęliśmy sobie ręce. – Tymczasem nie wychylaj się i nie panikuj.

– A ty uważaj na siebie, kowboju.

– Jak zawsze.

Przerwał nam Hanler.

– Kiedy już przestaniecie się przytulać, to może moglibyśmy wznieść się w powietrze.

Pokazałem mu środkowy palec, a on uśmiechnął się szeroko. Trzy minuty później lecieliśmy już na zachód w stronę Denver.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wytwórnia wody butelkowanej MacNeil- Gunderson, Asheville, Północna Karolina Dwa tygodnie wcześniej

Hester Nichols była nerwową kobietą. Od dwudziestu lat nadzorowała produkcję butelkowanej wody w dużej fabryce w górach w pobliżu Asheville. Była na miejscu, kiedy MacNeil odkupił fabrykę od upadłego producenta napojów gazowanych, do którego należała od lat pięćdziesiątych, i kiedy Gunderson wykupił połowę udziałów w okresie mody na wodę źródlaną w latach dziewięćdziesiątych. Od czasu, gdy została awansowana z nadzorcy urzędów na kierownika produkcji, przetrwała trzy inspekcje Agencji Żywności i Leków, dwa audyty i strajk kierowców. Każde z tych wydarzeń było stresujące, ale było też częścią jej pracy, a ona znosiła je jedno po drugim.

Teraz jednak naprawdę się bała.

Nie chodziło jedynie o poważne twarze inspektorów kontroli jakości z Gundersona, którzy na każdym kroku procesu butelkowania wody stali za plecami pracowników. Nie chodziło nawet o obawę, że urząd skarbowy jakimś cudem odkryje nowy rachunek w zagranicznym banku, który założył dla niej Otto Wirths.

Hester martwiło, że nie wiedziała, co było w wodzie.

Otto powiedział jej, że jest niegroźne. Ale miał dziwny

uśmiezek na poblżnionej twarzy i ten uśmiezek nawiedzał Hester dniem i nocą.

Stała na metalowym pomoście, mocno zaciskając palce na balustradzie, i patrzyła z góry na halę produkcyjną.

MacNeil-Gunderson miał trzy fabryki. Dwie w Północnej Karolinie i jedną w Vermoncie. Ta była największa – ogromny obiekt, drugi co do wielkości w południowych Stanach – a Hester nadzorowała butelkowanie i wysyłanie tysiąca dwustu butelek wody na minutę. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Była to jedynie kropla w morzu 170 miliardów litrów wody butelkowanej na całym świecie, ale interes przynosił duże zyski.

Jej fabryka nie kłopotowała się wodą źródlaną, ale wybrała bardziej lukratywny rynek wody oczyszczonej. Hester nadzorowała instalację najnowocześniejszych filtrów odwróconej osmozy, urządzeń poprawiających smak i zapach dzięki zastosowaniu węgla aktywnego. Woda była sterylizowana za pomocą ozonu, a później przepuszczana przez urządzenia dodające minerały, po czym wlewała się jak płynne złoto do plastikowych butelek. Fabryka była w pełni zautomatyzowana, z jedynie szkieletową załogą mechaników i techników kontroli jakości obecnych na miejscu. Przy tak niewielkiej liczbie pracowników o wiele łatwiej było coś przemycić, a w obecnej sytuacji gospodarczej nieliczni odważyliby się narobić hałasu. Pomijając spedycję, w MacNeill-Gundersonie nie było związków zawodowych, co też pomagało.

Zanim przed czterema miesiącami Otto podszedł do niej na parkingu supermarketu, główną troską Hester było udzielanie dyplomatycznych odpowiedzi na pytania prasy na temat źródła wody. Gazeta z Charlotte puściła reportaż, według którego fabryki oczyszczanej wody wykorzystywały wodę z dowolnego źródła, w tym z kranów, morza, bagien, rzek, zatrutych studni, a nawet ścieków. Gazeta podkreślała ten fakt, a pomijała

milczeniem to, że kluczowe było tu oczyszczanie. A woda była rzeczywiście czysta. A przynajmniej tak czysta, jak wymagało FDA.

Aż do czasu Ottona Wirthsa.

Wirths zaproponował Hester absurdalną sumę. Kwotę, od której miękły jej kolana i od której rzeczywiście zaparło jej dech w piersi. Więcej, niż Hester mogłaby zarobić przez dwadzieścia lat jako kierownik. Wirths pokazał jej dokumenty, według których był prezesem Gundersona. Mógł ją wyrzucić, ale nigdy nawet tym nie zagroził. W zamian zaoferował jej pieniądze, a to wystarczyło, by kupił jej współpracę. A może i duszę. Hester nie była pewna. Chciał od niej tylko dwóch rzeczy – by pozwoliła mu wprowadzić do fabryki specjalistów kontroli jakości i by nie zwracała uwagi na dodatki, które postanowią dorzucić do wody.

– Nie wpłyną na smak ani zapach. – Wirths mrugnął przebiegle. – Ale nie pij jej, moja droga.

Kiedy Hester się zawahała, dopisał kolejne zero do kwoty, którą jej zaproponował. Hester prawie zemdląła.

Przez pełną minutę walczyła ze swoim sumieniem.

Wszystko wydarzyło się na początku maja, a teraz zbliżał się koniec sierpnia. Siedemset dwadzieścia tysięcy butelek wody na godzinę. Milion siedemset dwadzieścia osiem tysięcy butelek na dobę. Przez cztery miesiące.

Co było w butelkach? Pytanie dręczyło ją każdego dnia i każdego dnia pieniądze na tym zagranicznym rachunku wydawały się coraz mniejsze. Każdego dnia zastanawiała się, czy sprzedała duszę za stanowczo zbyt małą kwotę.

Tak mocno zaciskała palce na balustradzie, że ich kostki pobielały. Patrzyła z góry na halę produkcyjną, a dudnienie maszyny uderzało w nią jak pięści.

Co było w tych butelkach?

Dobry Boże, pomyślała, co jest w tej wodzie?

Rozdział dwudziesty czwarty

W pobliżu Barawy, Somalia 8 dni wcześniej (piątek, 17 sierpnia)

N'Tabo zatrzymał się po dwunastym okrążeniu i zapalił papierosa. Wypalał jednego za każdy tuzin okrążeń kompleksu, nagradzając się za kolejne cztery kilometry amerykańskim marlboro. Lubił mentolowe. Księżyc był jak biała blizna od ciosu nożem na tle nieskończonej czerni nieba. Widział jedynie nieliczne gwiazdy – reflektory na ogrodzeniu tłumily blask pozostałych. N'Tabo to nie przeszkadzało. Rzadko patrzył w gwiazdy.

Zaciągnął się marlboro, ciesząc się drapaniem mentolu w gardle, lodowatym mrowieniem głęboko w płucach. Żona mówiła, że za dużo pali. On uważał, że ona ma zbyt płaski tyłek. Każdy miał problemy.

Karabin na jego ramieniu był ciężki – stary AK-47, przed dziesięcioma laty dostał go od szefa. Odrzut kopał jak krowa, a pasek pozostawił trwałe zgrubienie na jego ramieniu od łopatki aż po sutek. Żadne wyściełanie ani aloes nie pomagały. Wierzył, że będzie nosił ten ślad aż do śmierci. Oczywiście zakładał, że i tak umrze przed trzydziestką. Ekipa szefa – zastępcy wodza, jak się sami nazywali – pewnie zastrzeli go z nudów, bo obsikiwał niewłaściwe drzewo albo po prostu dlatego, że był pod ręką. Tacy już byli. W ciągu ostatnich sześciu lat w taki sposób zginęli trzej przyjaciele N'Tabo. Dla rozrywki albo za złamanie nieistniejących zasad. N'Tabo żałował, że Amerykanie nie

wrócili. Przynajmniej jego ojciec i dwaj wujowie zginęli w prawdziwej bitwie, w Mogadiszu. Allah nagradzał śmierć w bitwie. Jak nagrodzi śmierć z nudy?

Papieros prawie się wypalił i N'Tabo westchnął. Tuż pod powierzchnią świadomości pragnął, by wydarzyło się coś – cokolwiek – co przerwałoby monotonię. Myśl prawie już przeobraziła się w słowa, kiedy usłyszał ten odgłos.

Zamarł z dłonią uniesioną do papierosa w ustach. Usłyszał coś czy to jedynie umysł go oszukiwał, wykorzystując zwyczajne odgłosy dżungli? Nie po raz pierwszy zresztą.

Próbował odtworzyć dźwięk w umyśle. Chrząknięcie. Niskie, ciche, jakie mógłby wydać ktoś, kto po ciemku na coś wpadł. N'Tabo wypluł papierosa i odwrócił się, unosząc karabin. Bez zastanowienia odnalazł dłońmi znajome uchwyty i wyteżył słuch.

Ale była tylko cisza. Odruchowo odciął się od zwyczajnych odgłosów gęstego lasu i pustyni, która go otaczała. Dźwięk dochodził z zachodu, z tego fragmentu dżungli, który oddzielał kompleks od najbliższego miasteczka. N'Tabo czekał, nie odważył się krzyknąć. Gdyby alarm okazał się fałszywy, zostałby co najmniej wychłostany łańcuchem. W poprzednim tygodniu wychłostano dwóch mężczyzn. Jeden umarł, a plecy drugiego były zakażoną masą poranionego ciała na połamanych kościach.

Dlatego N'Tabo stał z karabinem wycelowanym w czarną ścianę nicości i czekał.

Dziesięć sekund. Dwadzieścia.

Powoli minęła minuta. Jedynym odgłosem był brzęk marokańskiej stacji radiowej dochodzący z wnętrza kompleksu i śmiech zastępców wodza, grających w pokera w budynku, w którym spali.

Od strony lasu nic.

Odczekał kolejną pełną minutę, a później powoli, jeden sztywny mięsień po drugim, rozluźnił się. To nie było nic takiego.

I wtedy ktoś powiedział:

– Tutaj.

Głos był niski, gardłowy, warczący. I dochodził z za jego pleców.

N'Tabo nic nie zrozumiał. Znał cztery języki – somalijski, barawa, arabski i angielski – ale ta osoba mówiła po afrykanersku, w języku, którego nigdy nie słyszał.

Co i tak nie miało znaczenia. Podskoczył i obrócił się, a w chwili gdy wylądował, wydarzyły się trzy rzeczy. Zobaczył człowieka, który się odezwał – dziwną, masywną sylwetkę na tle ostrych świateł kompleksu. N'tabo otworzył usta, by krzyknąć. A postać gwałtownie wyciągnęła w jego stronę potężną rękę i zacisnęła ją na gardle. Wszystkie te trzy rzeczy wydarzyły się w ułamku sekundy.

N'Tabo próbował krzyknąć, ale dłoń była zbyt silna – niesamowicie silna – i z jego miażdżonego gardła wydobyło się jedynie syknięcie. Próbował strzelić, ale karabin został mu wyrwany z uścisku z taką siłą, że dłoń N'Tabo złożyła się do tyłu w nadgarstku i kilka małych kości popękało, a ich końce przecięły ścięgna. Ból był ogromny, ale mężczyzna nie mógł wykrzyknąć na głos udręki. Pod naciskiem żelaznych palców jego gardło zaczęło się zapadać, słyszał też, jak trzeszczą kości karku. Uwięzione w płucach powietrze paliło jak kula ognia.

N'Tabo zamachnął się drugą ręką na mężczyznę, który go trzymał. Zebrał wszystkie siły i poczuł, jak jego pięść uderza w ramiona, rękę i twarz. Napastnik nawet nie drgnął. Przypominało to bicie rzeźby, skóra na kostkach palców N'Tabo pękła na twardej kości policzkowej napastnika.

Inna, o wiele bardziej nieprzenikniona ciemność zaczęła otaczać N'Tabo, rozkwitała w jego oczach jak czarne maki. Ostatnim obrazem, jaki zobaczył, zanim opanowała go całkowicie, był szereg masywnych sylwetek wyłaniających się z cieni, podskakujących absurdalnie wysoko i chwytających za

szczyt ogrodzenia z blachy falistej, który znajdował się dobre cztery metry nad ubitym piaskiem. Jedna po drugiej postacie przeskakiwały na drugą stronę.

Uszy N'Tabo wypełniał szum krwi, ale usłyszał jeszcze dwa charakterystyczne dźwięki.

Pierwszymi były odgłosy wystrzałów i wysokie krzyki cierpiących ludzi.

Później usłyszał, jak jego własne kręgi pękają z trzaskiem jak pełny worek rzucony na luźny żwir. N'Tabo wyraźnie usłyszał odgłos własnej śmierci. I odszedł.

Rozdział dwudziesty piąty

*W locie,
sobota, 28 sierpnia, 10.47
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 13 minut EST*

Miałem leara dla siebie. Opadłem na duży skórzany fotel obrotowy obok samoobsługowego barku, który w czasie tego lotu cieszył się dużą popularnością. Jestem pewien, że czarna kawa z dodatkiem burbona nie była rozsądnym posunięciem, ani z punktu widzenia taktycznego, ani medycznego, biorąc pod uwagę to, przez co przeszedłem i co mogło mnie jeszcze czekać, ale głównie mnie to obchodziło. Dobrze smakowała, a ponieważ nie chciałem, żeby poczuła się samotna, wypilem drugą. Pożarłem też sześć paczek solonych orzeszków. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego nie mogli umieścić solidnych rozmiarów porcji w jednym opakowaniu.

Kiedy znaleźliśmy się na wysokości przelotowej, Hanler uruchomił autopilota i wrócił, żeby pokazać mi, jak używać urządzenia do wideokonferencji. Później wrócił do kokpitu i włączył starą płytę Boba Segera. Albo nie chciał brać w tym udziału, albo jego obecne powiązania z Churchem nie obejmowały tajemnic WDN.

Nacisnąłem przycisk na pilocie i na ekranie natychmiast pojawił się obraz w czasie rzeczywistym, pochodzący z kamerki internetowej w Magazynie. Przez dziesięć sekund widziałem

puste pomieszczenie, a później do środka wszedł doktor Hu i usiadł naprzeciwko. Miał na sobie dzinsy i koszulkę z Punisherem pod białym fartuchem, który pewnie nie był prany od poprzedniej zimy. Na kieszeni zamiast jego nazwiska wyhaftowano „Szalony naukowiec”. Hu był Amerykaninem chińskiego pochodzenia i geekiem nad geekami, który kierował działem naukowym WDN. Nazwanie go błyskotliwym byłoby sporym niedopowiedzeniem, ale był też gruboskórnym dupkiem. Gdyby doszło do pożaru i miałbym do wyboru uratować jego albo swoją ulubioną parę skarpetek, przysmażyłby się. On nienawidził mnie równie mocno, więc nasz związek cechowała niejaka równowaga.

– Kapitanie.

– Doktorze.

Samo ciepło i sympatia. Jak w świątecznym odcinku specjalnym.

– Pan Church powiedział ci cokolwiek o nagraniu?

– Jedynie, że pochodzi z anonimowego źródła i wiąże się z tym, co się szykuje.

– Z powodu tego wideo Hack Peterson wziął do roboty oddział Jigsaw – wyjaśnił Hu. – Dostaliśmy je przed dwoma dniami. Przepuściliśmy twarze wszystkich ludzi na nagraniu przez nasze oprogramowanie identyfikujące i mieliśmy kilka trafień. Pan Church dołączy do naszej konferencji, by je z tobą omówić. Najważniejsze, że jedna z tych twarzy należy do człowieka znanego z powiązań z liczącymi się organizacjami wywrotowymi w czasach zimnej wojny. Nie pytaj mnie o szczegóły, bo lord Vader nie raczył jeszcze się nimi ze mną podzielić.

Zimna wojna, pomyślałam. Grace miała rację.

– Wiesz, Church może podsłuchiwać tę rozmowę.

Powiedziałem to, bo miałem ochotę być wredny, a Hu przez chwilę robił wrażenie wytrąconego z równowagi, zaraz jednak potrząsnął głową. Bardziej do samego siebie niż do mnie.

– W każdym razie chodzi o to, że pan Church rozpoczął wyszukiwanie MindReaderem na temat tego człowieka i odkrył, że niemal wszystko na jego temat zostało wymazane z rządowych baz danych. MindReader nie mógł odzyskać danych, ale dostrzegł ślady.

– „Ślady”?

– Możesz je sobie wyobrazić jako blizny pozostawione w miejscach, w których dane zostały wymazane z twardych dysków. To jak w kryminalistyce, każdy kontakt pozostawia ślady.

– Poza MindReaderem.

– No tak, poza MindReaderem. Szefa chyba dręczy też, że usunięcie tak wielu informacji wymagałoby systemu bardzo podobnego do MindReadera. Oczywiście, MindReader nie pozostawiłby śladów, więc nie szukamy kogoś, kto używa naszego własnego systemu, ale niepokojąco bliskiego.

– Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

– Nikomu się nie podoba. W każdym razie użyliśmy MindReadera, żeby przeprowadzić szeroko zakrojone poszukiwania wzorców i związków, i zlokalizowaliśmy krewnych Gunnara Haeckla, mężczyzny z nagrania. Rzeczy, które ten drugi system, choć dobry, przegapił. Dotarliśmy do archiwów sądowych dotyczących majątku rodziny i nierozstrzygniętych sporów. Jego jedynym żyjącym krewnym był wuj, który zmarł w roku 1978.

– I co z tego?

– I wszystko, co należało do wuja, jest przechowywane w miejscu zwanym Deep Iron, prywatnym, ściśle strzeżonym magazynie półtora kilometra pod parkiem Chatfield State u podnóża Gór Skalistych, na południowy zachód od Denver. Dziś o świcie pan Church wysłał Petersona i jego oddział do obiektu. Peterson nie zgłosił wejścia.

– Jakie archiwa są tam przechowywane?

– Nie wiemy. System Deep Iron określa je jako „archiwa”. Równie dobrze może to być kolekcja wycinków z gazet. Deep Iron magazynuje różne rzeczy. Ludzie przechowują jachty, wytwórnie filmowe stare taśmy, co zechcesz. Jak również około miliona ton papieru i starych mikrofilmów.

– A my nie wiemy, jaki to ma związek z nagraniem?

– Nie, więc Church próbuje nam znaleźć jakieś odpowiedzi. Twój Starszy Sims już jest w Kolorado.

– Jeszcze raz powiesz, że Starszy jest „mój”, a skończysz ten dzień jako dziewczyna.

Zamrugął.

– To nie miała być obelga na tle rasowym – próbował się bronić. – Tak mi się powiedziało. No wiesz, oddział Echo to twoje chłopaki i w ogóle.

– Doktoru, w szkole nigdy nie byłeś na czasie i teraz też nie jesteś, więc nawet nie próbuj.

Udał, że poprawia okulary na nosie, ale zrobił to środkowym palcem. Przepływająca między nami miłość była wręcz namacalna.

– Nagranie – podpowiedziałem. – Czy w końcu je zobaczę?

Zamiast mi odpowiedzieć, odchrząknął i próbował zrobić poważną minę.

– Co wiesz o kryptozoologii?

– Krypto... czym?

– Kryptozoologii – powtórzył, tym razem wolniej. – Zależnie od tego, kogo spytasz, to albo któraś z pomniejszych gałęzi biologii, albo pseudonauka. Tak czy inaczej, zajmuje się poszukiwaniem kryptyd... zwierząt, które nie pasują do żadnych znanych nam istot, żywych lub skamieniałości.

– Chyba się zgubiłem.

Uśmiechnął się krzywo.

– To proste. Kryptydy to zwierzęta, w których istnienie wierzą niektórzy ludzie, ale które zwykle nie są realne.

– Że co? Jak potwór z Loch Ness?

Posłał mi spojrzenie z gatunku „a niech to, jaskiniowiec nawet coś wymyślił”, ale pokiwał głową.

– I Wielka Stopa, Diabeł z New Jersey, El Chupacabra i mnóstwo innych.

– Proszę, nie mów mi, że gubiłem nogi, próbując uciec przed NSA tylko po to, by wyruszyć na polowanie na Wielką Stopę. Właśnie przestawałem darzyć cię całkowitą niechęcią, doktorku, więc nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił.

Jego uśmiech sprawiłby, że nawet cytryna by się pomarszczyła.

– Nie – powiedział z przesadną cierpliwością – nie szukamy Wielkiej Stopy. Jednak zdarzały się przypadki, kiedy odnaleziono rzekomo mitologiczne istoty. Aż do niedawna ogromne głowonogi uważano za mit. A dwieście lat temu pierwsi ludzie, którzy donosili o znoszącym jaja ssaku o płetwiastych łapach, kaczym dziobie i z jadowitym żądłem byli nazywani kłamcami, ale teraz wiemy, że dziobak istnieje.

– Dziobaki są jadowite?

– Tylko samce – prychnął. – Niektóre z tych zwierząt mogą być UMA, Niezidentyfikowanymi Tajemniczymi Zwierzętami, których z braku fizycznych dowodów istnienia, śladów albo DNA, nie udaje się sklasyfikować w obrębie znanej biologii. Inne to relikty, to znaczy żyjący przedstawiciele gatunków, które uważano za wymarłe lub tak bliskie wymarcia, że żywe osobniki są niezmiernie rzadkie.

– Rany, to fascynujące, doktorku. Tak na marginesie, czy ktokolwiek wspomniał, że wiceprezydent pieprzonych Stanów Zjednoczonych Ameryki chce nas wszystkich aresztować?

Hu patrzył na mnie przez chwilę.

– To ekscytujące. Innym bardziej egzotycznym przykładem jest latimeria, duża ryba uważana za wymarłą przed ponad sześćdziesięcioma milionami lat. Tymczasem jedna z nich w roku

1938 wpadła w sieci południowoafrykańskiego trawlera. Od tamtej pory ich żyjące populacje napotymano w wodach otaczających Indonezję i Południową Afrykę.

Chrząknąłem.

– Jasne, widziałem je w Instytucie Smithsona.

– Kryptozoolodzy zazwyczaj szukają bardziej sensacyjnych przykładów megafauny, takich jak Wielka Stopa, zamiast nowych gatunków chrząszczy czy much. I, zanim zapytasz, megafauna oznacza „duże zwierzęta”. W biologii to określenie oznacza każde zwierzę ważące więcej niż czterdzieści kilo. I od czasu do czasu znajdujemy relikty albo UMA, które jednak istnieją.

– W porządku, rozumiem, że dla was, geeków, to jak porno, ale jeśli z jakiegoś powodu muszę je zobaczyć, to, na litość boską, przejdźmy do tego.

– Chciałem, żebyś o tym pamiętał, zanim odtworzę nagranie.

– Church powiedział, że chce, żebym je zobaczył bez wcześniejszych założeń, żebym mógł wyrobić sobie własne zdanie.

Spojrzenie Hu wyraźnie świadczyło, że uważa mnie za niezdolnego do czegoś tak skomplikowanego jak „własne zdanie”. Postukał w klawisze.

– To wideo zostało przesłane do nas z nieznanego źródła. Ktoś zalogował się w kawiarence internetowej w São Paulo, założył konto na Yahoo, wysłał nagranie i porzucił konto. Włamaliśmy się do Yahoo, ale wszystkie informacje użyte do założenia konta były fałszywe. Mamy tylko plik.

– Wysłany do kogo?

– Na stare konto mailowe pana Churcha. Nie pytaj mnie o adres, bo nie chciał mi powiedzieć. Stwierdził jedynie, że już z niego nie korzysta, ale od czasu do czasu je sprawdza. – Zatarł ręce w sposób, jaki dotychczas widziałem jedynie u szalonych naukowców w kiepskich filmach. – A teraz patrz! Gwarantuję, że

to cię ruszy.

Nie mylił się.

Rozdział dwudziesty szósty

***Centra Kontroli i Prewencji Chorób, Atlanta,
Georgia,
sobota, 28 sierpnia, 10.48
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 12 minut***

– Mamy wirusa – powiedział Judah Levin. Nie mógł ukryć uśmiechu.

To był stary dowcip w dziale informatyki CDC, a odpowiedzią zawsze był śmiech albo chociaż jęk.

Jego szefowa, Colleen McVie, podniosła wzrok znad papierów na biurku. Opuściła okulary i obdarzyła go półuśmiechem.

– O ile to nie jest coś pilnego, idź ćwiczyc swoje żarty na kimś innym. Siedzę po uszy w rozliczaniu wynagrodzeń, a może nie chcesz dostać pensji?

– Pensja się przyda, ale rzeczywiście mamy wirusa, Colleen. Kilka sekretarek się poskarżyło. To program, który dotarł do nas przez...

– Zajmij się nim – przerwała mu. – Mamy pięćdziesiąt wirusów tygodniowo.

– W porządku – odparł i wyszedł z jej gabinetu.

Wrócił do głównego biura, gdzie kilka sekretarek stało przy ekspresie do kawy. Judah kazał im się wylogować, a one potraktowały to jako znak, że mogą nic nie robić. Wzruszył ramionami – to nie jego sprawa, a Colleen i tak przez cały dzień

będzie siedzieć nad wypłatami.

Wirus na pierwszy rzut oka niczego nie niszczył, ale był nowy i na tyle dziwnie skonfigurowany, że zwrócił jego uwagę, zwłaszcza że przyszedł jako komunikat odbicia w odpowiedzi na codzienny biuletyn mailowy CDC.

Judah usiadł przy jednej ze stacji roboczych, obok na małym stoliku na kółkach otworzył laptopa i zalogował się na obu komputerach. Wszystko łądowało się normalnie aż do ekranu wprowadzania hasła. Wykorzystał jedno z bezpiecznych haseł IT, które uruchamiało system, ale przekierowywało go na jego laptop. Ekran znów załadował się normalnie. Przeprowadził kilka skanów w poszukiwaniu oprogramowania szpiegowskiego, ale bez rezultatu.

Zmarszczył czoło. To było dziwne, bo wyraźnie widział ostrzeżenie przed wirusem. Nacisnął kilka klawiszy i przeprowadził inne wyszukiwanie. Nic. Bardzo dziwne.

Zalogował się do biurowego systemu pocztowego i poszukał maila, w którym najprawdopodobniej znajdował się wirus. Zniknął.

Bez słowa wstał, podszedł do sąsiedniego biurka i się zalogował. Takie same efekty – żadnego śladu maila, żadnego śladu wirusa. Powtórzył to jeszcze cztery razy, ale w systemie nie było ani śladu maila ani wirusa.

Judah wziął telefon jednej z sekretarek i wybrał numer do Toma Ito, swojego asystenta. Kiedy Ito odebrał, spytał:

– Przeprowadzałeś dziś rano przeszukiwanie systemu pod kątem mailowego wirusa?

– Nie, a czemu pytasz. Chcesz, żebym je przeprowadził?

Judah wyjaśnił sytuację.

– To dziwne, Jude. Mamy problem?

Judah zastanawiał się przez chwilę.

– Nie. Daj spokój. Jeśli go nie ma, to go nie ma. Nie ma się czym przejmować.

Rozłączył się i podszedł do sekretarek.

– Posłuchajcie, system wydaje się czysty, ale jeśli coś znów się pojawi, od razu do mnie zadzwońcie.

Rozdział dwudziesty siódmy

*Deck,
sobota, 28 sierpnia, 10.49
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 11 minut*

Cyrus Jakoby przyjął dzieci w ogrodzie, który został tak pięknie zaprojektowany, że goście mogli swobodnie uwierzyć, że przebywają na świeżym powietrzu, nie zaś kilkaset metrów pod rozpaloną arizońską pustynią. Cyrus nie wstawał z rattanowego krzesła z wysokim i szerokim oparciem. W białym tropikalnym stroju robił wrażenie chłodnego i opanowanego. Bliźnięta ukłoniły mu się. Nigdy nie obejmowały ojca i tylko z rzadka ścisnęły jego dłoń. Kłanianie się było ich zwyczajem. Oboje złożyli klasyczne ukłony w stylu chińskim, a ojciec skinął im głową jak cesarz i wskazał, że mogą usiąść.

Ich krzesła były w takim samym stylu, jak jego, choć nie tak duże, a wcześniejsze doświadczenia podpowiadały Hekate, że wykonano je z drobnymi i starannie zaplanowanymi niedoskonałościami. Siedzenia były zbyt głębokie, więc musieli albo przycupnąć na samym brzegu, albo oprzeć się wygodniej, ale wtedy ostra krawędź siedziska wbijała się w delikatne ciało pod kolanami. Nóżki odrobinę różniły się od siebie długością, więc siedzieli nieco wykrzywieni, co po jakimś czasie wywoływało skurcze i bóle odcinka lędźwiowego kręgosłupa i mięśni skośnych brzucha. Do tego krzesła ustawiono na zboczu,

którego pochyłość maskowały rozrośnięte krzewy i wywołująca złudzenia optyczne mozaika z kolorowych płytek. Wszystko to w sumie oznaczało niewygodę i brak równowagi, przez które gość czuł się wyraźnie gorszy od gospodarza, siedzącego wyżej i zdecydowanie wygodniej na dużym krześle. A choć siedzisko Cyrusa zaprojektowano w stylu rustykalnym, zachowywał się, jakby spoczywał na tronie.

Hekate już dawno znalazła najwygodniejszą pozycję – na wpół odwrócona, ze złączonymi kolanami i stopami zapartymi o ziemię, by nie ześlizgnąć się na niewłaściwą stronę krzesła. Meble jej się podobały i już dawno przestała się zastanawiać, dlaczego nie podzieliła się swoimi wnioskami z bratem.

Parys niezręcznie skrzyżował nogi, a później znów je rozprostował.

– Dobrze cię widzieć, ojcze.

Cyrus przyglądał się kolibrom fruującym między egzotycznymi kwiatami.

– Dobrze cię widzieć, Alfo – poprawiła go Hekate.

Cyrus popatrzył na nich, jakby dopiero ich dostrzegł.

– A jak się miewają moi młodzi bogowie?

– Dobrze, Alfo – odparła Hekate. – A ty wyglądasz dziś wyjątkowo zdrowo.

Parys kaszlnął, by ukryć prychnięcie, a Cyrus udał, że tego nie dostrzega.

– Jak wiecie, ulegam samoodnowie.

– Oczywiście. – Hekate nie miała pojęcia, o co mu chodziło, ale zrobiła zadowoloną minę.

– Zanim omówimy kwestię, która sprawia, że macie takie zatroskane miny – powiedział gładko Cyrus – chciałbym się dowiedzieć, jak wygląda spedycja.

Hekate wzruszyła ramionami.

– Cała sieć dystrybucji jest na swoim miejscu. Mamy trzy statki transportowe z wodą niegazowaną i gazowaną w drodze do

Afryki, jak również sześć ładunków już na miejscu w magazynie w Akrze w Ghanie, cztery w Calabarze w Nigerii i po dwa w Libreville w Gabonie, Lomé w Togo i w Tangerze. Dwa z naszych brazylijskich statków zatrzymają się w Callao w Peru i Guayaquil w Ekwadorze. Następne w kolejności są dostawy do Chile i Panamy. Dostawy lokalne do Nowego Jorku, Luizjany i Missisipi możemy załatwić drogą wodną lub koleją.

Oczy Cyrusa na chwilę się zamgliły, a jego skórę pokrył rumieniec, jakby wieści poruszyły go na poziomie niemal erotycznym. Hekate już wcześniej dostrzegła tę reakcję, ale niczego po sobie nie pokazała.

Chwila minęła, gdy Parys się roześmiał.

– Czy to nie ironiczne, że jedno z największych światowych przedsięwzięć kryminalnych utrzymuje się w dużej mierze z produkcji filtrowanej wody?

– Tak. – Na twarzy Cyrusa pojawił się wilczy uśmiech. – Życie jest pełne uroczej ironii. Ale nie zapominajmy, że nielegalne interesy nie przetrwają bez legalnych interesów. Nawet ci makaroniarze z mafii to rozumieją.

Wszyscy roześmiali się na te słowa, ale śmiech Hekate był równie sztuczny i przemyślany, jak jej ojca, o czym dobrze wiedziała. Nie miała jedynie pojęcia, co tak bawiło Cyrusa. Przeprowadziła testy toksykologiczne na przypadkowo wybranych próbkach z każdej dostawy wody i na ile umiała to ocenić, w środku była jedynie przefiltrowana woda i dość minerałów, by maniacy zdrowego trybu życia wierzyli, że rzeczywiście coś dostają za pieniądze, które wydawali na zwykłą kranówkę. Może czas przeprowadzić zupełnie inne testy.

– Ojciec – zaczął mówić Parys, po czym poprawił się z niezadowolonym chrząknięciem. – „Alfo”, przechodzimy do fazy trzeciej południowoafrykańskiego przedsięwzięcia. Przeprowadziliśmy trzy próby Berserków w terenie, z różnymi rezultatami, ostatni poprzedniej nocy w Somalii. Chcielibyśmy...

– „Różnymi”? – przerwał mu Cyrus.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy, Alfo – wyjaśniła Hekate. – Nasi klienci niepokoiłi się pewnymi anomaliami behawioralnymi. Niestety, wyniki prób potwierdziły, że ten niepokój nie był bezpodstawny.

– Jakiego rodzaju anomaliami?

Hekate popatrzyła na Parysa, który machnął ręką z miną „ty to zaczęłaś”. Odetchnęła głęboko i zaczęła mówić.

– Podczas drugiej i trzeciej próby w terenie udokumentowaliśmy wzrost agresji do poziomu przekraczającego przewidywania modelu komputerowego. Mówiąc krótko, obiekty stały się zbyt agresywne.

– Oczywiście, że są agresywni – warknął Cyrus. – To zabójcy. Mają być brutalni. Co to za bzdury?

Na dźwięk jego podniesionego głosu z krzaków za jego plecami wyszła bezgłośnie dwójka zwierząt. Hekate i Parys wręcz komicznie się na nie zagapili, bo na pierwszy rzut oka przypominały duże psy, dogi albo mastyfy, ale gdy wyszły z cienia na światło, wrażenie to okazało się błędne. Zwierzę po lewej Cyrusa było większe z dwójki, samica o potężnych barach, na których kołysał się paskudny łeb. Patrzyła na Hekate nienawistnymi żółtymi ślepiami polującego lwa. Syczała cicho na Bliźnięta i drapała ziemię wysuniętymi pazurami, które pozostawiły rysy na płytkach. Drugie zwierzę, mniejsze, ale potężniejsze w barach, powoli i bezgłośnie okręgało polanę.

Hekate i Parys znieruchomieli. Parys próbował śledzić wzrokiem krążące stworzenie, ale Hekate nie mogła oderwać spojrzenia od wielkiego zwierzęcia. W kieszeni miała pistolet gazowy z ładunkami usypiającymi, ale wiedziała, że jeśli stwór się poruszy, nie zdąży go wyjąć. Naprężone mięśnie istoty świadczyły o jej napięciu.

Parys zawsze był lepszym aktorem i jako pierwszy odzyskał panowanie nad sobą. Znow skrzyżował nogi i uniół brew, jakby

oceniał rasowego pudła.

– Urocze – mruknął. – Jak je nazywasz?

– Otto nazywa je tygrysogarami.

– Nuda.

– To nie będzie nazwa katalogowa – warknął Cyrus, zaraz jednak jego głos złagodniał. – Pracujemy nad czymś bardziej wpadającym w ucho. Ta duża to Izyda, jej partner to Ozyrys.

Poruszając się od niechcienia, Parys sięgnął za koszulę i wyciągnął swój pistolet gazowy. Wykonano go z mieszanki polimerów o dużej gęstości i wyposażono w naboje gazowe, które wystrzeliwały pociski kaliber .32 wypełnione szklanymi strzałkami. Położył go na udzie i oparł palec na kabłąku spustu. Nic przy tym nie mówił.

Cyrus uśmiechnął się i klasnął językiem. Ozyrys usiadł po jego prawej. Izyda przestała syczeć, ale nie odrywała wzroku od Hekate. Zwierzęta siedziały prosto, ich ciała były nieruchome jak kamienne rzeźby podtrzymujące nogi tronu. Co jakiś czas jedno z nich powoli mrugało, co przypominało Bliźniętom o ich realności i możliwościach.

– Hm, dają się wyszkolić. – Parys pokiwał głową z aprobatą. – Zwiążą się z kilkoma opiekunami?

– W pewnych granicach, ale kiedy przyjdzie co do czego, będą chronić tego, kto nakarmił je jako pierwszy. Szybko nawiązują więź z pierwotnym ludzkim opiekunem, ale można je nauczyć, by tolerowały innych. – Opuścił dłoń i pogłaskał większe z pary zwierząt po łbie. – Bardzo pilnuję, by być pierwszą osobą, z którą wiąże się każde z moich zwierząt.

– Są piękne.

Hekate czuła spojrzenie zwierząt jak fizyczny dotyk.

– Są paskudne jak ghule – prychnął Cyrus. – Ale nie o urodę mi chodziło. Piękno może być przerażające, jednak nie u psa stróżującego.

– A to są psy? – spytał Parys.

Cyrus wzruszył ramionami.

– Formalnie rzecz biorąc, w sześćdziesięciu procentach są psami. Reszta to kombinacja użytecznych linii genetycznych. Zostały zaprojektowane na zamówienie jako poruszające się swobodnie zwierzęta strażnicze. Nic nie może im dorównać.

Hekate wpatrywała się z otwartymi ustami w Izydę, a wielkie zwierzę patrzyło na nią i w głąb niej z siłą, która była namacalna, i osobowością, która wydawała się znajoma. Hekate nic nie powiedziała, ale kiedy zamrużyła, zwierzę zrobiło to samo.

Parys nie zwracał uwagi na siostrę. Ukrywał uśmiech wywołany stwierdzeniem Cyrusa, że te stwory są doskonałe. Parys osobiście nie zgadzał się z tą oceną, ale nie chciał dyskutować z ojcem na ten temat. W domu, w laboratorium, które Parys i Hekate nazywali Fabryką Smoków, miał własne psy strażnicze i pomyślał, że ciekawie by było porównać Żądła z tymi tygrysogarami. Żądła były przełomem w tworzeniu chimer. Bliźniętom udało się stworzyć zwierzęta łączące geny ssaków i owadów, co było wielkim osiągnięciem morfogenetyki i otworzyło przed nimi wiele drzwi. To była jedna z zalet łączenia wyników badań z tak wielu źródeł, co zawdzięczały Pangei. Walka jego Żądła i tygrysogarów mogłaby im przynieść duże zyski. Już trochę zarobił na boku, poddając standardowe psy do walk terapii sterydowej i genowej. To byłby bardziej ograniczony rynek, ale im mniej dostępny towar, tym wyższa cena.

– Moglibyśmy przed końcem dnia znaleźć klientów na dwadzieścia par tych stworów – stwierdził. – Jedno zdjęcie i podstawowa charakterystyka w mailu, a mógłbyś dyktować ceny.

Cyrus pokręcił głową.

– Sprzedają pary związanych ze sobą braci, ale nie dostaniecie żadnej suki.

– To obniży cenę.

– Ale pozwala zachować rynek – poprawiła go Hekate, na co

ojciec skinął głową. – Chcemy sprzedawać ryby, a nie uczyć naszych klientów, jak łowić ryby.

Parys wzruszył ramionami. To była jedna z kwestii, w których jego ojciec i siostra zawsze się zgadzali. Sam Parys wolał bez ustanku wprowadzać na rynek nowe produkty, zamiast troszczyć się o istniejące.

– W takim razie przynajmniej pozwól mi zebrać zamówienia na samców.

– Porozmawiaj z Ottonem. – Cyrus machnął ręką i zmienił temat. – A co z Berserkami?

Hekate wygładziła spódnicę.

– Z przyczyn, których nie umiemy określić, procedura transgeniczna ma kilka niespodziewanych efektów ubocznych. Z jednej strony wydaje się, że siła fizyczna o dziesięć procent przekracza spodziewaną, ale inteligencja maleje. Nie są idiotami, jednak wygląda na to, że za bardzo polegają na instynkcie, a zbyt mało na rozumowaniu. Tyle że naszych klientów niepokoi ich poziom agresji. Jeśli z każdą kolejną misją będą się stawać coraz bardziej agresywni, jest bardzo prawdopodobne, że ich zachowanie w pewnym momencie przestanie się poddawać kontroli. To skróci okres ich przydatności w terenie.

Cyrus otworzył usta, by odpowiedzieć, ale wtedy wtrącił się Parys.

– Rozumiemy, że zaplanowana żywotność produktu jest elementem każdego rozsądnego systemu produkcyjnego, ale to stanowczo za szybko. Spodziewaliśmy się przedstawić wyczerpujące raporty po sześciu próbach w terenie, ale poziom agresji wzbudził zaniepokojenie już w chwili, kiedy udostępniliśmy klientom raporty wstępne. Moglibyśmy jakoś wyjaśnić wzrost poziomu agresywnego zachowania o trzy albo cztery procent, dorzucić jakiś bełkot o naturalnej zmienności organizmów transgenicznych i tak dalej, ale mówimy tu o wzroście o piętnaście i siedem dziesiątych procenta między

próbą pierwszą a trzecią.

Cyrus zacisnął wargi.

– Ach. Rozumiem. To więcej niż nasz najgorszy scenariusz w modelowaniu komputerowym.

– O prawie osiem procent – stwierdziła Hekate. – I towarzyszy mu porównywalny spadek wyższych procesów poznawczych. Nie możemy sfałszować danych na temat tak znacznej zmiany zachowania.

– Czy występuje ona jedynie u GMO?

Organizmy modyfikowane genetycznie łatwiej było wprowadzić na rynek, ale często pojawiały się u nich anomalie zachowania i inne problemy związane z nakładającym się działaniem genów. Produkty inżynierii genetycznej były o wiele bardziej stabilne, ale wymagały wyhodowania od embrionów do pełnej dojrzałości. W przypadku Berserków oznaczało to od piętnastu do dwudziestu lat. Bliźnięta wybrały szybszą drogę modyfikacji poprzez wykorzystanie wirusowych nośników wprowadzających fragmenty egzogenego DNA. Ten proces był szybszy, ale ryzyko niespodziewanych mutacji rosło.

– Oczywiście – odparła – ale też nasze produkty inżynierii genetycznej nie są dość dojrzałe, by przeprowadzić próby w terenie.

Cyrus odchylił się do tyłu, zwiesił brodę na pierś i rozważał problem. Hekate i Parys czekali, gdy się zastanawiał.

– Wątpię, byście napotkali podobne problemy w przypadku zwierząt będących dziełem inżynierii genetycznej. Inny projekt, inne rezultaty. Ale w przypadku modyfikowanych zwierząt trudno zapanować nad przypadkową niezgodnością genów. Nawet jeśli stłumicie ekspresję genu, nie usuwacie go, a niechciane cechy mogą się pojawić.

Bliźnięta czekały. Oboje o tym wiedzieli, ale przerywanie Cyrusowi nie pomagało w zapewnieniu sobie jego współpracy. Cyrus myślał przez chwilę, zmrużył oczy i skierował wzrok do

wewnątrz.

– Jakie kroki podjęliście? – spytał.

– Jeszcze żadnych – wyjaśniła Hekate. – Próba w Somalii odbyła się wczoraj w nocy i nasi ludzie wciąż analizują dane.

Parys pokiwał głową.

– Ale rozważaliśmy pewne pomysły. Czasowy inhibitor dopaminy uruchamiający się w chwili rozpoczęcia misji. Nim Berserkowie rozpoczną w pełni atak, poziom dopaminy obniży się na tyle, by zaczęli się uspokajać.

Cyrus się skrzywił.

– To plasterek, nie lekarstwo. Poza tym żaden z inhibitorów dopaminy, który moglibyśmy wykorzystać, nie jest niezawodny. Żadnego nie wypróbowano na czymś choćby odrobinę podobnym do Berserków. Dodajmy do tego jeszcze nagły przypływ adrenaliny i inne czynniki. Poświęcilibyście sześć miesięcy na próby dobrania właściwej dawki, a później kolejne sześć, by dopasować ją do każdego pojedynczego Berserka. – Pokręcił głową. – W teorii brzmi dobrze, ale jest niepraktyczne. Leki nie są odpowiedzią.

Parys zrobił zdeglustowaną minę.

– Wiemy, Alfo, i dlatego tu jesteśmy. Mamy pięćdziesiąt pomysłów, ale żadnego nie da się wprowadzić w życie w czasie, który nam pozostał. Mamy umowy z ustaloną datą dostawy. Zmarnowaliśmy dużo czasu na początku tego roku, kiedy musieliśmy poradzić sobie z niespodziewanymi efektami dysonansu poznawczego. Klienci chcą dostać swoje towary.

– Pieprzyć klientów! – warknął Cyrus. Tygrysogary u jego boku zeszywniały. – I pieprzyć waszych sprzedawców, jeśli nie mają pomysłu, jak obrócić to na waszą korzyść.

– Nasi ludzie mogą...

– Wasi ludzie to idioci, Parysie! – Kiedy Cyrus się złościł, jego starannie wypracowany amerykański akcent zniknął, a zastępował go szorstki akcent niemiecki. – Otto mógłby

sprzedać ten produkt do jednorazowego użytku i dostać niemal tyle samo, co wasza dwójka za dłuższe wykorzystanie i prawo własności. – Bliźnięta drgnęły, a Parys odwrócił wzrok. – Jaką dajecie w tej chwili gwarancję?

– Osiemnaście do dwudziestu czterech miesięcy przy dziewięćdziesięciu procentach sprawności – powiedziała cicho Hekate.

Cyrus patrzył na nich przez chwilę, w końcu się uśmiechnął.

– Daliście dwa lata na transgenicznego żołnierza? Jestem szalony, moi młodzi bogowie, ale myślę, że wy dwoje jesteście o rząd wielkości bardziej szaleni.

Mimo wszelkich wysiłków Bliźnięta zarumieniły się ze wstydu.

Parys odezwał się cicho:

– Potrzebowaliśmy kupca, który mógłby sfinansować...

– Nie! – warknął Cyrus. – Nie przynosicie sobie wstydu usprawiedliwieniami. Mieliście być ponad coś takiego i powinniście przynajmniej udawać.

Izyda warknęła znacząco, ale tym razem jej warczenie było skierowane tylko w stronę Parysa. Hekate dostrzegła tę zmianę.

Cyrus uniósł palce przed twarzą.

– Kiedy zawieraliście tę umowę, brakowało wam gotówki. Czy wciąż tak jest?

– Cóż – zaczęła mówić Hekate – nie. Same polowania przyniosły ponad dwieście milionów, a...

– W takim razie, jak powiedziałem, pieprzyć klientów. Powiedzcie im, co może zrobić produkt, a czego nie. Nie dyskutujcie z nimi. Powiedzcie im.

– Tak, Alfo – powiedział Parys.

– Tak, Alfo – powiedziała Hekate.

Cyrus obdarzył ich szerokim ojcowskim uśmiechem.

– A teraz, moi młodzi bogowie, zobaczmy, co uda się zrobić, by rozwiązać wszystkie wasze problemy.

Rozdział dwudziesty ósmy

***Przestrzeń powietrzna nad Denver,
sobota, 28 sierpnia, 10.55
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
97 godzin, 5 minut EST***

Pochyliłem się w fotelu i patrzyłem, jak Hu naciska przycisk odtwarzania i na ekranie ożywa las.

– Dźwięk pojawia się i znika... głównie znika.

– Nie moglibyście go oczyścić? Przepuścić przez jakieś filtry albo coś?

– To jest wersja poprawiona. Oceniając po kącie ujęcia i sposobie, w jaki obraz podskakuje, nagranie najpewniej pochodzi z taniej kamerki przypinanej do klapy. Żadnego dodatkowego mikrofonu zbierającego dźwięk. Zresztą szelest ubrania i oddech kamerzysty zagłuszają większość odgłosów.

Obraz z kamerki zmienił się, gdy jej właściciel zaczął przeciskać się przez gęsty tropikalny las. Od czasu do czasu słyszeliśmy urywki dźwięku, głównie dyszenie albo świst dużych liści ocierających się o jego pierś. I kilka fragmentów rozmowy. Nie dość, by zrozumieć słowa, ale wystarczyły, by domyślić się, że kamerzyście towarzyszy kilka osób.

Po minucie albo dwóch obraz zmienił się, gdy kilka osób minęło kamerzystę, by ruszyć przodem przez dżunglę. Naliczyłem pięciu białych mężczyzn, w większości po czterdziestce lub pięćdziesiątce. Wszyscy sprawni, ale nie

twardzi. Z wyjątkiem tego, który ich prowadził, gościa o surowej twarzy, jak wykutej z granitu. Reszta wyglądała, jakby mięśnie wyrobili sobie na siłowni. Zadbane zęby, kosztowna opalenizna. Wszyscy nosili drogie strzelby, najlepsze na rynku, z wszelkiego rodzaju dodatkami. Strzelba prowadzącego była równie dobra, ale wyposażona jedynie w porządną celownik. Jego broń robiła wrażenie często używanej, ale w idealnym stanie.

– Polowanie na grubego zwierza – zauważyłem.

Hu jedynie się uśmiechnął.

Grupa mężczyzn przebiła się przez ścianę listowia na szerszy szlak, który doprowadził ich do sporej polany, wyglądającej, jakby w tym miejscu dżunglę wycięto i wypalono. Poczerniałe kikuty roślinności ledwie sięgały mężczyznom do kostek.

Szli przez kilka minut, a później zatrzymali się, by napić się z manierek. Przez większość czasu nie było słycać dźwięku, choć dotarło do mnie kilka urywków słów. „Afryka”, kilka obelg o charakterze rasowym, a później coś, co brzmiało jak „Fala Wymierania”, ale obaj mężczyźni żartowali i nie dosłyszałem końca zdania, kiedy dźwięk ucichł.

– To z całą pewnością nie jest Denver – powiedziałem. – Wygląda jak brazylijski las deszczowy. Oczyszczony teren przeznaczony na pastwiska dla bydła, pewnie należy do sieci barów szybkiej obsługi.

– McMuu – zgodził się Hu. – Zidentyfikowaliśmy dwa gatunki ptaków na nagraniu. – Zatrzymał obraz i dotknął ekranu. – Ta papuga tutaj to *Amazona aestiva*, inaczej amazonka niebieskoczelna, która z całą pewnością żyje w Brazylii.

Znów zaczął odtwarzać nagranie i razem patrzyliśmy, jak mężczyźni rozproszyli się w szeregu zwróconym w stronę punktu po drugiej stronie polany, niewidocznego dla kamery.

– Dokładnie tam! – zawołał jeden z nich, a ja dopiero pół sekundy później zorientowałem się, że tak naprawdę powiedział: „*Gleich da drüben!*”.

Inni krzyczeli, a później dźwięk znów ucichł.

– To niemiecki – zauważył Hu.

– Wiem, ale jeden z pozostałych gości, ten w australijskim kapeluszu, powiedział coś po afrykanersku, choć wydaje mi się, że pod południowoafrykańskim kryje się jeszcze jakiś inny akcent. Być może też niemiecki.

Piątka mężczyzn, jak również nasz niewidoczny kamerzysta, wciąż skupiała się na punkcie po drugiej stronie polany. Nagle jeden z nich pokazał palcem.

– Tam jest! – powiedział po angielsku z brytyjskim akcentem. – Znaleźliśmy go!

– *Gelukwensing!* – krzyknął Afrykaner. „Gratulacje”.

Wszyscy gapili się wstrząśnięci tym, co zobaczyli. Paru dosłownie stało z otwartymi ustami.

– Strzelby! – syknął Brytyjczyk i wszyscy unieśli broń.

– Jeszcze nie, jeszcze nie! – warknął Afrykaner po angielsku z silnym akcentem. – Czekajcie, aż przegonią go w naszą stronę.

– Dobry Boże – mruknął jeden z mężczyzn z wyraźnym akcentem z Luizjany. – Popatrzcie tylko na to!

– *Hou jy daarvan, meneer?* – wymamrotał Afrykaner, po czym powtórzył po angielsku: – Podoba się wam, panowie?

– Jest piękny – szepnął piąty mężczyzna, z czystym akcentem z zachodniego Teksasu.

Nasz niewidoczny kamerzysta zrobił kilka kroków w głąb polany i odwrócił się w stronę jej przeciwnego krańca. Dźwięk pojawiał się i znikał, dzięki czemu usłyszeliśmy jedynie hałas bębnowy i pałek uderzających o metalowe garnki, gdy brązowi mężczyźni w powycieranych dżinsach i szortach wyłonili się spośród drzew, goniąc przed sobą samotne zwierzę. Z początku było jedynie bezkształtną białą smugą, niewyraźną na tle zieleni i szarości linii drzew, ale z każdą sekundą zbliżało się do kamery i grupy myśliwych.

Przez minutę myślałem, że to koń.

Później serce podjechało mi do gardła.

– Co, do kur...

Myśliwi wycelowali.

– Nie – wyszeptalem.

Dźwięk znów ucichł, więc wszystko rozegrało się w groteskowej ciszy, gdy cztery lufy poderwały się do góry i w stronę środka polany poleciały czerwone płomienie. Zwierzę odwróciło się do ucieczki, ale przy pierwszym kroku potknęło się i padło na przednie nogi. Było śnieżnobiałe i piękne, nagle jednak na jego bokach pojawiły się plamy, jak czerwone maki. Strzelby znów wystrzeliły, a dźwięk wrócił na chwilę, dzięki czemu usłyszeliśmy echo wystrzałów i wysoki krzyk umierającego zwierzęcia.

Później wszyscy mężczyźni ruszyli biegiem, kamerzysta razem z nimi, i obraz zaczął nieznośnie podskakiwać. Grupa zwolniła do truchtu, a później marszu, i zatrzymała się w półokręgu wokół leżącego, krwawiącego zwierzęcia, które dyszało z wysiłkiem i patrzyło na nich przerażone.

– Ja trafiłem go pierwszy! – powiedział mężczyzna z Luizjany.

Dźwięk ucichł do trzeszczenia, co było ulgą, bo nie słyszeliśmy ostatniego, rozpaczliwego wrzasku zwierzęcia, gdy Amerykanin podszedł bliżej, z wydętą piersią i policzkami zarumienionymi z ekscytacji. Postawił stopę na barku zwierzęcia, wyciągnął pistolet i wycelował w jego głowę. Ale Afrykaner dotknął ramienia mężczyzny, by poprawić ustawienie celownika laserowego, a później broń wystrzeliła raz jeszcze w przerażającej ciszy. Krew wystrzeliła fontanną i ciało zwierzęcia zadrżało po raz ostatni. Później znieruchomiało w ten charakterystyczny, ostateczny sposób.

– A niech to wszyscy diabli – powiedziałem.

Nagranie skończyło się, kiedy Afrykaner kucnął z dużym nożem myśliwskim w ręku i zaczął oparwiać zwierzę. Ekran pociemniał, a ja siedziałem przez minutę w oszołomionym

milczeniu.

Na ekranie znów pojawił się Hu.

– Czegoś takiego nie ogląda się każdego dnia.

Popatrzył na mnie, a to, co zobaczył na mojej twarzy, sprawiło, że przestał się uśmiechać.

– Co to ma być? Czy to jakaś chora gra? – spytałem ostro. – To zwierzę...

– Setki razy oglądaliśmy ten plik – przerwał mi Hu. – Jeśli to charakteryzacja, to nigdy nie widziałem czegoś tak dobrego.

– Ale to niemożliwe. Nie może być prawdziwe.

– Mnie się wydawało całkowicie prawdziwe.

– Ale to niemożliwe. To zwierzę. To był... był...

Hu pokiwał głową.

– To był jednorożec – dokończył za mnie i na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

Interludium

Chihuahua, Meksyk Szesnaście tygodni wcześniej

Miał umysł jak owad. Zimny, efektywny, niezagracony przywiązaniem, nieskażony uczuciem. To czyniło z niego doskonałego zabójcę.

Gdyby miał w sobie choć odrobinę ludzkich uczuć, mógłby być sławny, lub nawet osławiony, ale nigdy nie szukał chwały, a pragnienie uznania uważał za głupi błąd. Ryzyko podejmowane przez amatorów.

Conrad Veder nigdy nie popełniał błędów, głupich albo nie.

Przyjmował zlecenia wyłącznie dla zysku, a nawet i to robił w sposób wyważony. Nie był chciwy. Chciwość oznaczała podatność, ster, za pomocą którego można by nim kierować. Vederem nie dało się kierować. Dla niego zdobywanie pieniędzy oznaczało, że może sobie pozwolić na pewne wygody i że będzie miał kapitał konieczny do dokonania pewnych inwestycji, które pozwoliłyby mu przejść na emeryturę wystarczająco młodo, by rzeczywiście się nią cieszyć. Kiedyś na Florydzie widział naklejkę na zderzak z napisem „Emerytura marnuje się na starych” i całkowicie się z nią zgadzał. Miał czterdzieści sześć lat, a ze swoich różnorodnych inwestycji i portfeli akcji – które utrzymywał pod fałszywymi nazwiskami – już mógł wydobyć jedenaście milionów euro. Przyjemna sumka, ale potrzebował większego zabezpieczenia przed niestabilnością współczesnego rynku walutowego.

Przy obecnej stawce, wynoszącej milion za zabójstwo, i pewnym zatrudnieniu w postaci dwóch do trzech zleceń rocznie uznał, że mógłby przejść na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat z wystarczająco dużą sumą na koncie, by swobodnie żyć z odsetek. Przy odpowiednim zarządzaniu pieniędzmi kapitał przyrastałby szybciej, niż zdążyłby go wydawać, i pozwoliby mu spokojnie dożyć do dziewięćdziesiątki, niezależnie od sytuacji dolara na światowym rynku. Poza tym jeden z jego ludzi pracował na rynku walutowym i przejście na dolary kanadyjskie pod koniec roku 2007 już pozwoliło mu zarobić niezłą sumę.

Obecne zlecenie Vедера miało być trzecim w tym roku, a była dopiero połowa maja. Przed Bożym Narodzeniem mógł się spodziewać czwartego i piątego, co oznaczałoby drugi z kolei rok zakończony sześcioma milionami dolarów. Miłe podsumowanie trzydziestego roku pracy płatnego zabójcy.

Za swoje pierwsze zabójstwo na zlecenie Veder dostał pięćset dolarów, a był wtedy w dziesiątej klasie. Nie poczuł zupełnie nic, gdy zamordował żonę swojego nauczyciela wiedzy o społeczeństwie. Zrobił to szybko i czysto. I dostał pieniądze. Pamiętał to teraz jedynie dla celów mentalnej buchalterii. Nigdy nie czuł się związany emocjonalnie ze swoimi celami. To również była głupota, w dodatku granicząca z zaburzeniami psychicznymi, a Veder był spokojny, że jest zdrowszy na umyśle niż większość. Królowie, prezydenci i generałowie często byli o wiele bardziej poruszeni wyrokami śmierci, które wydawali, nawet jeśli ich stanowiska dawały im takie prawo. Veder rozwiązywał problemy i uważał, że niczym się nie różni od agentów Delta Force, Mossadu czy innej tajnej grupy płatnych zabójców. Nie potrzebował więcej dowodów winy czy usprawiedliwienia zabójstwa niż oni. Jediną prawdziwą różnicą było to, że oni mieli wsparcie, a Veder rzadko z niego korzystał i zwykle go nie potrzebował – a poza tym zarabiał znacznie

więcej.

Najbliżej idealizmu znajdował się przez krótki czas, gdy współpracował z oddziałem strzelców wyborowych zatrudnionym przez międzynarodową grupę ludzi interesu, którzy współdziałali dla osiągnięcia jednego z tych wielkich celów, „ulepszenia gatunku” czy coś w tym rodzaju, ale choć Veder chętnie przyjmował ich pieniądze i od czasu do czasu wysłuchiwał tyrad dotyczących kwestii światowej polityki lub narodowościowych, nigdy nie nawrócił się na ich sprawę. Zgodził się dołączyć do ekipy czterech elitarnych zabójców – niestety, nazwanych niedorzecznie Bractwem Kosy – i wykonał z nimi kilka zadań. Kiedy program upadł, żałował stałego dopływu gotówki, ale w rzeczywistości naprawdę odpowiadała mu swoboda i prostota życia samotnego agenta. Mniej komplikacji, żadnych tyrad.

Teraz siedział w barze w cieniu ratusza miasta Chihuahua, który niczym gotycka katedra wznosił się na Plaza de Armas. Pił letnią wodę mineralną i czekał na przybycie łącznika. Mężczyzna się spóźniał – pasywno-agresywne zachowanie, które często mu się zdarzało – ale Veder to nie obchodziło. Nie pozwalał, by takie rzeczy go prowokowały. Popijał wodę, pogryzał kukurydziany placek tamal i pozwalał, by jego owadzi umysł przetwarzał wszystkie dane, które docierały do jego zmysłów.

Wcześniej tego ranka przeszedł powoli ulicami na północ od Plaza Hidalgo, by obejrzeć polityczne malowidła ściennie Aaróna Piñy Mory na murach rządowego pałacu. Podobały mu się wystarczająco, by na nie popatrzeć, ale nie dość, by w nie zainwestować. Zabił trochę czasu, a teraz, gdy siedział, czekając na swojego łącznika, odtwarzał w głowie oblicza z malowideł Mory. Przydatne ćwiczenie – przypominanie sobie kształtów uszu, zarysów kości policzkowych, grubości warg, kształtów nosów. Gdyby którykolwiek z mężczyzn na tych murach – Benito Juárez, Simón Bolívar albo Miguel Hidalgo – wciąż żył, Veder

rozpoznały go w tłumie o zmierzchu.

Kiedy jego łącznik, spocony Portugalczyk nazwiskiem DaCosta, w końcu się pojawił, Veder nie narzekał, nie komentował. Zaczekał, aż DaCosta usiądzie i zamówi piwo. Kiedy piwo przyszło, a kelner odszedł, DaCosta zaczął rozmowę.

– Miałeś udaną podróż?

Veder nie odpowiedział.

Doświadczenie podpowiadało mu, że DaCosta będzie gadał przez kilkanaście minut, narzekał na gorąco albo niewygodę podróży, chwalił się wynikami w golfa albo kobietami, rozprawiał na temat dolara i peso. Veder mu na to pozwalał. Zagadnięcie go w najdrobniejszej kwestii byłoby proszeniem się o dygresję, która jeszcze by to wszystko wydłużyła. Kiedy mały, gruby mężczyzna wreszcie skończył, zmienił się z rozgadanego turysty w człowieka interesu. Rozejrzał się wokół, żeby się upewnić, czy nikt nie siedzi dość blisko ich stolika, by ich podsłuchiwać, a później sięgnął do wewnętrznej kieszeni białej letniej marynarki i wyjął kopertę, z której wydobył kilka kolorowych odbitek formatu 10 na 15 centymetrów. Umieszczał je jedna po drugiej na stole, jakby wróżył z kart. Twarzy było siedem. Pięciu mężczyzn, dwie kobiety, każde z nich w średnim wieku albo starsze.

Rozpoznał cztery z siedmiu twarzy, choć popatrzył na nie, nie okazując zainteresowania, i spojrzał chłodno na DaCostę. Czekał.

– Zlecenie dotyczy ich wszystkich.

– Jedna lokalizacja czy różne?

DaCosta oblizał wargi.

– Co najmniej pięć lokalizacji, choć może pojawić się okazja, by czworo z nich znalazło się w jednym miejscu w jednym czasie. Pogrzeb zawsze przyciąga tłumy, tak?

Veder pociągnął łyk wody.

– Siedem celów oznacza siedem czeków.

– Zgodziłeś się wziąć to zlecenie.

– Nie, zgodziłem się z tobą spotkać i wysłuchać, na czym polega.

– Zawsze wykonujesz zadanie...

– Tylko jeśli się na nie zgodzę – stwierdził spokojnie Veder. – Na to się nie zgodziłem.

– Nie jest dla ciebie zbyt trudne, prawda? – DaCosta uśmiechnął się szeroko, wypowiadając te słowa.

Veder nie odpowiedział.

DaCosta wypił parę łyków piwa. Veder czekał, pewien, że DaCosta dostał pozwolenie, by zapłacić pełną cenę za wszystkie siedem zleceń, ale równie pewien, że mężczyzna próbował znaleźć sposób, by część zapłaty przejąć dla siebie.

– Kim są cele? – spytał Veder, próbując popchnąć rozmowę dalej, a jednocześnie nie zdradzić swojego zainteresowania.

DaCosta opisał ich jedno po drugim, podawał nazwiska i krótki opis. Rozłożył zdjęcia jak karty.

– Omówiłeś tylko sześcioro – stwierdził Veder. Skinął w stronę ostatniego zdjęcia w rzędzie i upewnił się, że jego głos nie zdradza uczuć. – Kim on jest?

– Ach – DaCosta uniósł brwi i ściszył głos – to o wiele większe wyzwanie.

– Wyzwania bywają kosztowne.

DaCosta skrzywił się, wyraźnie pożałował, że użył tego sformułowania.

Veder popatrzył na zdjęcie.

– Jak on się nazywa?

Mężczyzna miał surową twarz o ostrych rysach i bezkompromisowe spojrzenie. Veder miał doskonałą pamięć i znał tę twarz z bardzo dawnych czasów. Widział ją tylko raz, bardzo krótko, w celowniku – ale w tłumie było zbyt wielu ludzi, a strzał nie był pewien, więc ostatecznie się nie zdecydował. Było to jedno z zaledwie trzech morderstw, których nie udało mu się dokonać, i to w ramach tego samego zadania. Później wszystko

się zmieniło, a zlecenia się skończyły, gwałtownie i krwawo, gdy jego pracodawcy zginęli albo się rozproszyli.

DaCosta się zawahał.

– I tu się pojawiają komplikacje. – Skrzywił się, wypowiadając ostatnie słowo. – Ten mężczyzna to gruba ryba w nowej rządowej agencji stworzonej przez Amerykanów. Jak Bezpieczeństwo Krajowe, ale mniejsi i bardziej agresywni. On jest jej szefem, a jego grupa wtrącała się do wielu projektów mojego klienta. Jego śmierć powstrzyma ich dalszy udział, a przynajmniej spowolni ich tak, że da się nad nimi zapanować.

– Jak się nazywa? – powtórzył Veder.

– Ma dziesiątki nazwisk, zależnie od tego, kogo spytać. Kiedy mój klient spotkał go po raz pierwszy, znano go pod kryptonimem „Książd”.

– Czy ma prawdziwe nazwisko?

DaCosta wzruszył ramionami.

– Nie mam pewności, ale ostatnio przedstawiał się jako „pan Church”.

Veder wpatrzył się w zdjęcie. Tak, tę twarz znał. Jego pracodawcy obawiali się go najbardziej ze wszystkich. Veder uznał za interesujące, że los lub przypadek sprawił, iż ten cel – i dwa pozostałe, które rozpoznawał – po tylu latach pojawił się w polu jego widzenia. Uznał to za bardzo eleganckie, bardzo porządne.

– Siedem zabójstw, siedem honorariów – powiedział beznamyślnie, a w jego głosie brzmiała stanowczość, którą zauważył nawet DaCosta.

– Jasne, jasne – mruknął DaCosta ze śladem niechęci w głosie. – Nie ma problemu.

Veder patrzył przez chwilę na zdjęcia, szczególnie Amerykanina o wielu nazwiskach, a w końcu je podniósł.

– Nie ma problemu – zgodził się.

Część druga

Zabójcy

Nie istnieje flaga dostatecznie wielka, by przykryć wstyd zabijania niewinnych.

Howard Zinn

Rozdział dwudziesty dziewiąty

*W locie,
sobota, 28 sierpnia, 11.09
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
96 godzin, 51 minut EST*

- Pierdolony jednorożec? – spytałem. – Co to za bzdury?
- Żadne bzdury. A przynajmniej pan Church traktuje to bardzo poważnie. – Hu przerwał, kiedy rozległ się *Marsz imperialny*. Spojrzał na komórkę. – O wilku mowa.
- To twój dzwonek?
- Tylko dla pana Churcha – wyjaśnił Hu i otworzył komórkę. – Tak? Pewnie. Jasne, już pana wprowadzam.
- Obraz podzielił się, by uwzględnić pana Churcha siedzącego w swoim gabinecie.
- Ta wideokonferencja jest szyfrowana, więc wszyscy mogą mówić otwarcie – powiedział.
- Co to za bzdury z tym wideo...? – zacząłem, ale on uniósł dłoń.
- Na początek najważniejsze. Z pewnością ucieszy pana wiadomość, że stan sierżanta Faradaya się polepszył i obecnie jest krytyczny, ale stabilny. Stracił śledzoną, ale lekarze są optymistami.
- Dzięki Bogu. To pierwsze dobre wieści tego dnia.
- Niestety, to wszystkie dobre wiadomości, jakimi mogę się podzielić – odparł Church. – NSA nadal próbuje szturmować

bramy, a prezydent jeszcze nie wrócił do siebie w stopniu wystarczającym, by ponownie objąć stanowisko. Innymi słowy, nadal jesteśmy uciekinierami.

– Cudownie. Czy ktoś z naszych został pojmany?

– Nie wiadomo. Znamy położenie dziewięćdziesięciu trzech procent naszego personelu. Wśród pozostałych siedmiu procent jest kilku agentów, którzy najpewniej się ukryli. I cały oddział Jigsaw.

– Cholera.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. Nie było najmniejszych szans, by NSA zgarnęło całą ekipę Hacka Petersona.

– Jakie jest pańskie zdanie na temat nagrania z polowania? – spytał Church.

– Brednie. Animacja komputerowa może wszystko.

Hu gwałtownie pokręcił głową.

– To nie są efekty specjalne. Wzięliśmy trzech gości z Industrial Light and Magic, no wiesz, tej firmy George’a Lucasa, i oni...

– Do diabła, skąd ich wzięliście? – przerwałem mu.

– Mam znajomych w branży – stwierdził Church.

Stłumiłem uśmiezek. Church zawsze miał jakiegoś znajomego „w branży”, niezależnie od tego, o jaką branżę chodziło.

– Może nam pan załatwić Arkę Przymierza? – spytałem beznamiętnie.

– Tę prawdziwą czy tę z filmów? – spytał Church z poważną miną.

– W każdym razie chodzi o to – Hu powrócił do tematu – że ci goście z ILM oglądali nagranie na różnych monitorach, przez wszelkiego rodzaju filtry i liczniki. Przeliczyliśmy nawet cienie na grzywie w odniesieniu do jego ruchów i kąta padania promieni słonecznych. Mówiąc krótko, był prawdziwy.

Prychnąłem.

– W takim razie to był koń z dopinką.

– Niezbyt stosowne określenie – zauważył Church.

– Wie pan, co miałem na myśli.

– Zbadaliśmy nagranie – wtrącił Hu – i ten róg się nie chwieje. Nie ma żadnych dowodów, że zwierzę miało jakieś nakrycie łba albo coś zamocowanego na czole. Róg zdaje się ma niecałe pół metra długości i jest względnie wąski u nasady. Z pewnością by się kołysał, gdyby na miejscu utrzymywała go uprząż. Stwór potrzasał łbem, a później się przewrócił, róg zaś nie poruszał się w sposób, jakiego można by oczekiwać, gdyby był sztucznie przymocowany do czaszki.

– W takim razie nie mam nic do powiedzenia – stwierdziłem. – Musiałem być na zwolnieniu, kiedy w akademii policyjnej omawialiśmy mityczne zwierzęta.

Church sięgnął po waniliowy wafelek i odgryzł kęs.

– Możemy wykluczyć naturalną mutację – powiedział Hu. – Róg był umieszczony dokładnie na środku czoła, nie było też żadnych innych widocznych oznak deformacji, które pewnie by się pojawiły, gdyby to był wybryk natury.

– A zabieg chirurgiczny? – spytałem.

– Możliwy, ale mało prawdopodobny, bo potrzeba by wielu zabiegów chirurgii estetycznej, by ukryć blizny po operacji, a niczego nie dostrzeżliśmy. Nawet po bardzo udanych zabiegach tego rodzaju pozostają ślady. Ale nie odrzucajmy jeszcze tej możliwości, bo to najrozsądniejsza sugestia. Oczywiście o ile to zwierzę nie jest żyjącym przedstawicielem gatunku, który dotychczas uważano za mityczny.

– Wydawało mi się, że źródłem mitu jednoroźca były pierwsze spotkania podróżników z nosorożcami – zauważyłem.

– Pewnie tak – zgodził się Hu. – I z narwałami, waleniami, które mają pojedynczy kieł wyglądający niemal dokładnie tak, jak róg zwierzęcia na nagraniu. W dziewiętnastym wieku ludzie sprzedawali kły narwali, twierdząc, że to rogi jednoroźców.

– Jakież inne sugestie? – spytał Church.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale domyślałem się, że podobnie jak ja nie jest skłonny uwierzyć w teorię o kryptydach.

– Zawsze pozostaje genetyka – zasugerował Hu, a kiedy dostrzegł moją minę, dodał: – Nie, nie mówię o odzyskiwaniu DNA wymarłych gatunków i innych numerach w stylu *Parku jurajskiego*. Mówię o radykalnej inżynierii genetycznej. Transgenika to przenoszenie genów z jednego gatunku do innego.

– W porządku – powiedziałem powoli – ale z czym można by sparzyć konia, żeby dostać jednoroźca, bo jakoś nie wyobrażam sobie koni i narwali splecionych w miłosnym uścisku?

Nawet Church uśmiechnął się na te słowa.

– Nie chodzi o krzyżowanie – wyjaśnił Hu. – Jest zbyt kłopotliwe, a do tego staje się staromodne. Transgenika to manipulacja genetyczna w stadium embrionalnym. Ktoś mógł wziąć geny nosoroźca albo narwala i wprowadzić je do DNA konia, by stworzyć to, co zobaczyliśmy na nagraniu.

– Czy to możliwe? – spytałem.

– Gdybyśmy cofnęli się w czasie o miesiąc, powiedziałbym, że nie. Ale. – Nacisnął guzik na pilocie i na ekranie pojawiło się zdjęcie martwego zwierzęcia. – Popatrzmy na to. Inżynieria genetyczna rozwija się wykładniczo. Istnieją kozy, których mleko zawiera pajęczy jedwab. Otrzymały geny pajaka krzyżaka. W Kanadzie mają całą farmę takich kóz.

– Jezu, to niepokojące – powiedziałem.

Hu robił wrażenie podekscytowanego i wyraźnie się rozkręcał.

– Właściwie istnieją dwa dobre sposoby, by tego dokonać. Albo przekształca się embrionalne komórki macierzyste rosnące w kulturze tkankowej, dodając pożądane DNA, albo wprowadza się pożądany gen do przedjądra zapłodnionego jajeczka. Od wielu lat robiliśmy to z myszami. Bardzo łatwo się na nich pracuje.

– Założę się, że byłeś wyjątkowo niepokojącym dzieckiem – wymamrotałem. Hu posłał mi wściekle spojrzenie. – W porządku. Mamy kogoś, kto tworzy dziwaczne zwierzęta. Niech żyje szaleństwo. Ale dlaczego ktoś miałby nam przesłać to nagranie i dlaczego w ogóle nas to obchodzi? Wydaje się, że mamy grubsze ryby do złapania.

– Zanim do tego dojdę, chciałbym usłyszeć pańskie przypuszczenia. Gdyby takie zwierzę istniało lub zostało stworzone, kto chciałby na nie polować? I dlaczego?

– Polowanie na coś naprawdę wyjątkowego? To proste.

– Jak to?

– Na studiach miałem współlokatora, którego ojciec polował na grubego zwierza. Znacie ten typ, człowiek interesu, którego geny łowcy-zbieracza nie są aż tak recesywne, jak powinny być. W każdym razie płacił za informację o kotach, a jeśli przyszła wiadomość o jakimś wyjątkowo dużym, on i jego kumple kupowali bilety na lot gdzieś w obrębie Stanów, do Meksyku albo gdzieś daleko w głąb dżungli. Każdy z członków jego grupy brał strzelbę małego kalibru i tylko trzy naboje. To było wyzwanie. Mały kaliber i ograniczona amunicja zwiększały ryzyko, zwłaszcza jeśli zwierzę było duże. Kiedy na Boże Narodzenie pojechałem ze współlokatorem do domu jego ojca, na ścianie wisiało pięć łbów dużych kotów. Ogromnych kotów. Rekordowych rozmiarów kotów. Jego marzeniem było polecieć do Azji, ale wtedy właśnie zakazano polowania na tygrysy. – Przerwałem. – Kiedy byliśmy na ostatnim roku studiów, ojciec współlokatora poleciał na „konferencję”, podobno do Japonii. Nie było go przez parę tygodni. Pięć miesięcy po jego powrocie „przyjaciel” podarował mu łeb tygrysa. Współlokator mi o tym opowiedział. Nigdy go nie spytałem, czy jego ojcu jakimś sposobem udało się zapolować na tygrysa. Współlokator był wściekły, bo podobnie jak ja nie wierzył, że jego ojciec powiesiłby na ścianie cudze trofeum.

Church pokiwał głową.

– Zgadza się z panem.

Hu zmarszczył czoło.

– A ja nie. Mówicie, że ktoś stworzył genetycznie modyfikowane jednorożce jedynie dla łowców trofeów?

– A dlaczego nie? – odparłem. – Jeśli to nagranie, jak twierdzisz, jest prawdziwe, to sądzę, że oglądamy prywatne polowanie. Publiczne polowanie zostałoby opisane wszędzie w internecie i w każdej gazecie. A jeśli wziąć pod uwagę, ile ojciec mojego kolegi płacił za duże koty, mogę sobie jedynie wyobrazić, o ile więcej ktoś by zapłacił za polowanie na naprawdę wyjątkowe zwierzę.

– Tak – powiedział powoli Church. – Wyjątkowo bogaci zapłaciliby fortunę. Miliony. Doskonała ocena, kapitanie, a to z kolei łączy się z mężczyznami na wideo. Przepuściliśmy ich przez oprogramowanie do rozpoznawania twarzy i głosów i jak na razie wydaje się, że zidentyfikowaliśmy trzech z pięciu. Jeden z nich to Harold S. Sunderland, brat senatora J.P. Sunderlanda z Teksasu. Harold jest zasadniczo bogatym próżniakiem, który żyje z pieniędzy rodziny. Jego brat, J.P., to mózg, i to on jest jednym z największych zwolenników ustawodawstwa dotyczącego biotechnologii. Naciska na fundusze celowe na badania genetyczne dla celów rolnictwa. MindReader nie znalazł bezpośredniego powiązania finansowego między Sunderlandem a zyskami z biotechnologii, ale w świetle tego nagrania będę bardzo zaskoczony, jeśli czegoś nie wygrzebiemy.

– Powtórzę: i co z tego?

– J.P. Sunderland to bardzo bliski przyjaciel wiceprezydenta Williama Collinsa.

– Auć. To bardzo dziwny obrót spraw.

– Owszem, a my wciąż usiłujemy się zorientować, w jaki sposób zainteresowanie Sunderlanda zaawansowaną genetyką wiąże się z kruczatą wiceprezydenta przeciwko WDN.

– To może być jedynie zbieg okoliczności – wtrącił Hu, ale obaj go zignorowaliśmy.

– Kim są inni goście na nagraniu?

– Ach – powiedział Church – i tu dochodzimy do sedna sprawy. Mężczyzna prowadzący polowanie, co może pan o nim powiedzieć?

Wzruszyłem ramionami.

– Jest Niemcem próbującym udawać południowoafrykański akcent. A może Niemcem, który mieszkał w RPA dość długo, by akcenty się nałożyły. Kim on jest?

– Jeśli jest tym, za kogo go uważamy, a oprogramowanie rozpoznało go z wysokim prawdopodobieństwem, to on jest powodem, dla którego nagranie jest czymś ważniejszym niż tylko naukową ciekawostką i przenosi nas na naprawdę niebezpieczne terytorium. Sądzymy, że nazywa się Gunnar Haeckel. Z pewnością pan o nim nie słyszał, ale w swoim czasie należał do grupy zabójców zwanych Bractwem Kosy. Mimo dość melodramatycznej nazwy byli grubymi rybami. I do tego bardzo się izolowali: czterej członkowie nigdy się nie spotykali, by nie mogli zidentyfikować się nawzajem, gdyby zostali pojmani. Każdy z zabójców miał kryptonim: Haeckel był Północą, pozostali Wschodem, Zachodem i Południem. Kryptonimy nie wydają się powiązane z ich pochodzeniem i być może nie miały żadnego znaczenia poza ukrywaniem ich prawdziwych nazwisk. Działali przez kilka lat w późnym okresie zimnej wojny. Jesteśmy całkowicie pewni, że trzej członkowie Bractwa zostali zlikwidowani.

– Ale Haeckel uciekł? – spytałem.

– Nie. Gunnar Haeckel powinien być martwy.

– Proszę, niech mi pan nie mówi, że jest zombie.

Church zignorował moje słowa.

– Haeckel i Bractwo mieli swój udział w pewnych paskudnych sprawach, które zostały zakończone w ostatnich latach zimnej

wojny. Byli zbirami grupy o równie tajemniczej nazwie – Koteria – składającej się z niemieckich emigrantów, w tym wielu nazistów, którym udało się uniknąć powojennych procesów. Haeckel był synem nazistowskiego naukowca i, choć urodził się po wojnie, był bezlitosnym zabójcą z wieloma nacięciami na kolbie karabinu. Aż do tej pory wierzyliśmy, że został ostatecznie usunięty z planszy.

– „Usunięty z planszy”? – powtórzył Hu.

– Zabity – wyjaśniłem. Zwróciłem się do Churcha: – Jak pewne jest pańskie źródło informacji na temat śmierci Haeckla?

Jego oczy zamigotały za przyciemnionymi szklami.

– Osobista wiedza.

Jego słowa zawisły w powietrzu, wszyscy je rozważaliśmy.

– Istnieją trzy możliwości – stwierdziłem. – Cztery, jeśli Haeckel miał brata bliźniaka.

– Nie miał.

– Syna?

– Jedyne dziecko, o którym wiemy, było dziewczynką. Zmarła w wieku dwóch lat w wypadku samochodowym, w którym zginęła też żona Haeckla. Haeckel był w tej sprawie podejrzanym. Mężczyzna na nagraniu wygląda na pięćdziesiątkę. Jeśli Haeckel wciąż żyje, w kwietniu skończy pięćdziesiąt jeden lat. To musi być ten sam człowiek.

– W porządku, w takim razie oprogramowanie do rozpoznawania twarzy może się mylić, chociaż z tego, co pan mówił, jest to mało prawdopodobne, co oznacza, że nie został wyeliminowany tak skutecznie, jak pan sądził. Mówi pan, że ma pan osobistą wiedzę na ten temat, ale czy mógłby się pan mylić?

– Mam kopię raportu z autopsji. Zawiera szczegółowe zdjęcia każdego etapu sekcji. Kiedy tylko będziemy mieli z głowy NSA, drogą dyplomatyczną wyślę do RPA prośbę o ekshumację grobu Haeckla. Jak również o wszelkie próbki tkanek, które wciąż mogą być przechowywane w szpitalu w Kapsztadzie, który

przeprowadził sekcję. – Church odchylił się w fotelu. – Nie umiem wyjaśnić, dlaczego na tym nagraniu wydaje się żywy i zdrowy. Przynajmniej jeden z myśliwych ma nowy model broni, więc wiemy, że to nie jest stary materiał. Dopóki nie dowiemy się więcej, musimy działać zgodnie z założeniem, że Haeckel jakimś sposobem przeżył. Tak naprawdę jednak powinniśmy się przejmować tym, co sobą reprezentował. Koteria stanowiła bardzo poważne zagrożenie dla ludzkości. Lista przypisywanych im zbrodni jest długa, choć większości z nich dopuszczali się przez trzech lub czterech pośredników, wykorzystując organizacje terrorystyczne opłacane przez łańcuszek fikcyjnych firm.

– Jaki był ich cel?

– Na początek czystki etniczne, maczali palce w najbardziej gwałtownych konfliktach na tle rasowym w drugiej połowie dwudziestego wieku. Mieli ogromne zasoby, z których finansowali powstańców, buntowników, pucze. Wysłali nawet tajnych agentów, by celowo zatruwali źródła wody pitnej w Afryce i Izraelu. Podejrzewa się ich o pomoc w rozprzestrzenianiu chorób, które nękają kraje Trzeciego Świata. W kilku przypadkach finansowali obie strony ludobójczego konfliktu, ponieważ służyło to ich celowi zabijania wszystkich, którzy nie byli „czysti”.

– Czyli mówimy tu o nazistowskim ideale eksterminacji. Zabić Żydów, Cyganów, czarnych, każdego, kto nie jest jasnowłosym i niebieskookim synem Odyna.

Church pokiwał głową.

– Śmierć Adolfa Hitlera nie zakończyła ludobójstwa. Jednak światowym rządóm bardziej opłacało się ukrywać je przed opinią publiczną, nazywać je czymś innym. Obwiniać organizacje terrorystyczne i różne odłamy. – W głosie Churcha brzmiała nietypowa gorycz. – Ale proszę mnie zrozumieć, panie kapitanie, to już od dawna nie jest część niemieckiej kultury ani

nawet aryjskiego ideału. Niemcy stoją po naszej stronie w wojnie przeciwko ludobójstwu o charakterze etnicznym. Nie, ci mężczyźni i kobiety są ukrytym w cieniach narodem samym w sobie. Nie chcą już przeobrazić jednego narodu, ale cały świat.

– A Haeckel był zabójcą na usługach tych dupków?

– Był. Być może wciąż jest. – Church poprawił okulary, a jego głos znów brzmiał neutralnie.

– A ja chyba rozumiem, dlaczego to nagranie tak pana poruszyło. Jeśli to zwierzę jest tworem jakiegoś nowomodnego projektu genetycznego, jeśli Haeckel pracuje dla jego twórców i jeśli to są te same gnidy, ta Koteria, to znaczy, że uchylili się przed pańskim ciosem, przez wiele lat pracowali w tajemnicy i bawią się najnowocześniejszą genetyką.

– Tak – powiedział Church.

Doktor Hu uśmiechnął się do mnie.

– Mówiłem ci, że nagranie tobą wstrząśnie.

– Tak, cieszę się, że ci się podoba, doktorku.

– Ej. – Podwinął rękaw, by pokazać jasnobrażową skórę. – Ja też jestem na liście do wyeliminowania. Ale trzeba podziwiać ich rozmach. Wyobraźnię.

– Niech mnie diabli, jeśli to zrobię.

– Kiedy wróci pan do Magazynu – powiedział Church – przedstawię panu dokładniejszy opis działań Koterii i prób jej likwidacji. Tymczasem musi pan wiedzieć, że mamy tylko dwa powiązania z Gunnarem Haecklem, a Haeckel jest naszym jedynym powiązaniem z Koterią, jeśli ona wciąż istnieje. Pierwszym jest to nagranie, choć wciąż nie wiemy, kto je wysłał i dlaczego. Drugim zawartość magazynu Deep Iron. Może nie ma tam nic ważnego, ale jeśli wziąć pod uwagę, że oddział Jigsaw zniknął w trakcie tej właśnie misji, możemy chyba założyć, że istnieje związek.

– Rozumie pan w ogóle coś z reszty, tę uwagę o „Fali Wymierania”?

– Nie, ale uruchomimy wyszukiwanie przez MindReadera. Trudno czegoś szukać, mając tak mały punkt zaczepienia. Inaczej po prostu użyłbym Google'a.

– A użył pan Google'a?

Zignorował pytanie.

Rozległ się cichy brzęczyk i usłyszałem głos Hanlera.

– Proszę zapiąć pasy, kapitanie. Podchodzimy do lądowania.

– Cele misji? – spytałem Churcha.

– Pańskim priorytetem jest zlokalizować i zabezpieczyć to, co rodzina Haeckla tam przechowywała. Drugim celem jest zlokalizowanie oddziału Jigsaw.

Jego ponura mina świadczyła, że również nie podoba mu się kolejność priorytetów.

– Działamy tu bez wsparcia – dodał Church. – Wolałbym, by na spotkanie wyszli panu antyterrorysty, Zespół Rozwiązywania Sytuacji Zakładniczych i Gwardia Narodowa, ale w obecnej sytuacji nie mogę się do nich zwrócić. Ma pan Simsa i Królika. Udało mi się wysłać do nich pojazd wsparcia technicznego, co oznacza, że będziecie mieli broń i kamizelki kuloodporne, ale żadnego lepszego sprzętu. I nie mamy żadnych innych ludzi.

– Trzech z nas na misji, w czasie której zaginął tuzin agentów? Doskonale.

– Proszę pana o wiele, ale niech mi pan uwierzy, jeśli mówię, że to niezmiernie ważne. Może pojawić się przeciwnik, o którym nie wiemy.

– Jeśli mamy nowego wroga, szefie, oni mogą mieć przeciwnika, o którym nie wiedzą.

Church popatrzył na mnie z namysłem.

– Udanych łowów, kapitanie.

Rozdział trzydziesty

Tor wyścigów konnych Sandown Park, Surrey, Anglia Dziewięć tygodni wcześniej

Wygląd Clive'a Monroe'a zupełnie nie odpowiadał temu, kim był w tym momencie, za to idealnie pasował do tego, kim był kiedyś. Miał na sobie elegancki szary garnitur w delikatne prążki, wypastowane oksfordki i melonik. Przynajmniej jego ubranie pasowało do bankiera inwestycyjnego, który przyjechał z Londynu, żeby rozerwać się na wyścigach w Sandown. Miał nawet parasol w samochodzie i starannie przycięty wąsik. Mógłby występować na plakatach reklamujących brytyjski biznes.

Nieuważny przechodzień mógłby się pomylić, ale każdy, kto napotkał spojrzenie Clive'a Monroe'a, zmieniał zdanie. Jego oczy były ciemnobrązowe i lodowate. Nie pozbawione uczuć, ale wypełnione wykalkulowanym i świadomym chłodem. Bezlitosne spojrzenie. Kiedy się uśmiechał, wesołość nigdy nie sięgała tych oczu, które nie były też nigdy rozproszone ani nieuważne. Kiedy Clive Monroe kogoś oceniał, robił to dokładnie. Nie tylko w spodziewanym sensie biznesowym, ale w każdym innym. Można by uwierzyć, że wiedział, co człowiek w danej chwili zrobi, co powie.

Co było oceną ze wszech miar słuszną.

Clive Monroe od dwudziestu lat był bankierem inwestycyjnym, a jego oczy i chłód czyniły go onieśmielającym

przeciwnikiem, czy to w kwestiach dotyczących portfela akcji, czy na polu golfowym.

Dwadzieścia lat wcześniej był innym człowiekiem wykonującym inny zawód, a w tamtych czasach umiejętność oceny sytuacji i innych ludzi utrzymywała go przy życiu, gdy inni wokół niego ginęli.

Monroe minął bukmacherów i skierował się w stronę zarezerwowanych łóż, gdzie miał się zjawić na drinka między trzecim a czwartym wyścigiem. Nigdy nie obstawiał na wyścigach, choć lubił przeglądać historie każdego z koni i porównywać ich pochodzenie i możliwości z obecnymi warunkami pogodowymi, układem i nachyleniem toru oraz liczbą przeszkód. Gdyby obstawiał, zarobiłby na dwóch z trzech wyścigów, które odbyły się tego dnia. Kiedy spędzał cały dzień na torze, podsumowywał swoje teoretyczne zakłady i wygrane. W poprzednim roku byłby trzydzieści tysięcy funtów do przodu, nawet biorąc pod uwagę konia, na którego by postawił w wyścigu 2000 Guineas, a który upadł na trzeciej przeszkodzie, przewracając dwóch innych faworytów.

Wspiął się po schodach do jednej z szeregu oszklonych łóż, gdzie przywitali go lord Mowbry i trzech konserwatywni posłowie, dobrze znani z miłości do koni. Mowbry z rzadka oddalał się od świata wyścigów konnych i większość interesów prowadził w przerwach między nimi.

Uścisnęli sobie ręce i kelner w bieli przyniósł Clive'owi jego ulubionego drinka – gin z tonikiem z dodatkowym tonikiem. Choć Clive brał tabletki na malarię, której dorobił się na cuchnących bagniskach Afryki Zachodniej, wciąż preferował bogaty w chininę tonik. Stare przyzwyczajenia. Wznieśli toast i usiedli na skórzanych fotelach.

– Rozważyłeś naszą propozycję? – spytał szorstkim głosem lord Mowbry po wyjściu kelnera.

Clive pociągnął łyk drinka i wzruszył ramionami.

– Czy chodzi o pieniądze? – spytał Sheffield, najstarszy z parlamentarzystów.

– Nie, pieniądze są w porządku. Bardzo szczodra oferta.

– W takim razie skąd to wahanie, do diabła? – spytał ostro Mowbry.

Był głową bogatej rodziny i właścicielem tak wielu firm, że już dawno nie traktował nikogo z szacunkiem. Clive to rozumiał i nigdy się nie obrażał.

– Jest mi dobrze tu, gdzie jestem w tej chwili – wyjaśnił Clive. – Od dawna pracuję u Enfielida i Martyna. Za dwa lata mogę przejść na emeryturę z pełnym uposażeniem i spędzić ostatnie lata życia na wyścigach.

– Z nami mógłbyś zarobić więcej – nalegał Sheffield.

– Gdyby chodziło o pieniądze, Cyrilu, byłbym tam na dole i stawiał na Blue Boots w czwartym wyścigu.

– To kolejna kwestia – zauważył jeden z pozostałych posłów. – Chodzisz na wyścigi, ale nigdy nie obstawiasz. Co to za zabawa?

– Każdy znajduje sobie rozrywkę w inny sposób.

– A poza tym to bez znaczenia, do cholery – warknął Mowbry. – Już powiedział, że pieniądze go nie interesują. – Mowbry przeszył Clive’a spojrzeniem przenikliwych niebieskich oczu ponad haczykowatym nosem i surowymi ustami o arystokratycznym wykroju. – Potrzebujemy cię w tym przedsięwzięciu, Monroe. Wiesz, jak myślą ci ludzie. Nikt nie zamydli ci oczu. Cały plan opiera się na udziale człowieka, który ma doświadczenie w tego typu sprawach.

Clive’a bawiło, że ani Mowbry, ani pozostali nawet nie zająknęli się o tym, co dokładnie planują. Docenił tę powściągliwość, choć jednocześnie w myślach zaszufładkował tych potężnych i bogatych mężczyzn jako amatorów. Co innego zarobić fortunę na handlu walutami, jak Sheffield, albo na hodowli genetycznie zmodyfikowanych zwierząt, jak dwóch pozostałych, Bakersfield i Dunwoody, albo na rolnictwie, jak to

robiła przez ostatnie pięćset lat rodzina Mowbry'ego, ale ci ludzie wkraczali tu na zupełnie inne terytorium. W uproszczeniu ich plan polegał na zakupieniu hurtowo wyników badań genetycznych od zbankrutowanych firm z byłego Związku Radzieckiego. Efekty milionów godzin badań leżały bezużytecznie w różnych państwowych i prywatnych przedsiębiorstwach w Rosji, Tadżykistanie i na Łotwie. Większość była już przestarzała, gdyż zostały porzucone w kryzysie po rozpadzie Związku Radzieckiego, ale Mowbry i jego zagraniczni partnerzy wiedzieli, że duże części tego materiału mogły wspomóc istniejące badania ich klientów. Kluczem było zdobycie danych i użycie nowoczesnych komputerów do oddzielenia nieprzebadanych albo zbyt mało przebadanych obszarów badań od plew powszechnie dostępnych informacji. Radzieccy naukowcy często prowadzili wyjątkowe badania, omijając lub ignorując międzynarodowe zakazy dotyczące pewnych aspektów badań na ludziach i zwierzętach.

Na pomysł wpadł pierwotnie Mowbry, który kupił kiedyś kilka starych dysków. Niespodziewanie znalazł na nich przydatne dane na temat transgenicznego łososi, które umożliwiły jego niewielkiej firmie wyhodowanie łososi średnio o osiem procent większych niż zwykle. Ten wzrost o osiem procent zapewnił mu milionowe zyski. Mowbry dyskretnie nabył inne wyniki porzuconych badań, z których większość okazała się marnowaniem czasu i pieniędzy, ale przed dwoma laty odkrył badania na temat hormonów wzrostu dla bydła, których nie dało się porównać z niczym. Jego hodowle bydła w Ameryce Południowej i Środkowej zmieniły się w kopalnię złota.

Jedyny problem polegał na tym, że wszystko wyszło na jaw. Inni kupcy zaczęli walczyć o te same badania, a państwo rosyjskie próbowało rościć sobie prawa do większości z nich. Materiały musieli zdobyć jak najszybciej, zanim wojna kupców uczyni całość nieopłacalną. Dostali parę dodatkowych lat, kiedy

amerykańska gospodarka załamała się jesienią roku 2008, ale teraz, kiedy biotechnologię uważano powszechnie za najbezpieczniejsze pole inwestycji, znów zaczynało się szaleństwo.

Prawdziwy problem polegał na tym, że większość najlepszych materiałów była dostępna jedynie na czarnym rynku albo za pośrednictwem dawnych radzieckich wojskowych. Chciwych, bezdusznych i bezwzględnych ludzi, którzy nie kierowali się normalnymi zasadami biznesu. Ani nawet uznanymi zasadami tajnego międzynarodowego biznesu. Mowbry i jego towarzysze potrzebowali człowieka, który posługiwał się tym samym językiem i który niegdyś żeglował po tych niebezpiecznych wodach. Kogoś, kto sam był niebezpieczny. Kogoś takiego jak Clive Monroe.

– Powiedziałeś, że pieniądze cię nie interesują – odezwał się cicho Mowbry. – Sprawdźmy to, Monroe. Rozmawialiśmy i jesteśmy gotowi dodać jeszcze pół miliona funtów. Nazwijmy to premią za podpisanie umowy.

Clive złożył dłonie i oparł brodę na czubkach palców.

Pół miliona w dodatku do trzech milionów, które już proponowali. Choć nie pokazał tego po sobie, ta kwota sprawiła, że puls mu przyśpieszył. Kiedy przed dwudziestu laty opuścił MI6, pozostawił za sobą rozgrywki wywiadów i brudne intrygi, które się z tym wiązały.

A jednak wciąż zachował sieć kontaktów. Na wszelki wypadek. Aż do tej pory wierzył, że kontakty te przydadzą mu się na wypadek, gdyby ojczyzna znów go potrzebowała, ale w miarę upływu lat zrozumiał, że starzy Zimni Wojownicy należeli do innej epoki. Teraz jego siatka była więcej warta dla ludzi takich jak ci tutaj, a on nie był już bohaterem narodowym, lecz towarem niczym się nieróżniącym od rzeczy, które Mowbry i jego koledzy kupowali i sprzedawali każdego dnia. Mimo wszystko trzy i pół miliona funtów. Nieopodatkowane, przelane

na zagraniczne konto.

– Gdybym się zgodził – powiedział powoli, patrząc na drapieżne błyski w oczach każdego z mężczyzn – moje nazwisko nie pojawi się w żadnych archiwach. Nie podpisujemy żadnych dokumentów, nie zasiadam w żadnych zarządach, nie jestem wymieniony jako doradca. W gruncie rzeczy jestem duchem. Co najwyżej jestem znajomym, który od czasu do czasu spotyka się z kilkoma dżentelmenami na wyścigach.

– Żaden problem – stwierdził Sheffield.

– Drugi warunek. Premii w wysokości pół miliona odpowiada podobna po zakończeniu. Jeśli uda mi się wydobyć badania z Czeczenii i Wilna...

– I Kazachstanu – dodał jeden z parlamentarzystów.

Clive przytaknął.

– Te trzy. Jeśli uda mi się zdobyć wszystkie trzy, dostaje drugą premię.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, ale Mowbry wpatrzył się w Clive'a.

– Dobrze.

– Ostatni warunek – stwierdził Clive.

– Masz duże oczekiwania – mruknął Sheffield.

– A wy o wiele prosicie. Ostatnia część nie podlega negocjacji. Robię to dla was, a później koniec.

Żaden z pozostałych mężczyzn nie wydawał się zadowolony. Mowbry zmarszczył czoło i pokręcił głową.

– Czy możemy dojść do porozumienia, że kiedy będzie po wszystkim, będziemy mogli omawiać z tobą inne projekty? A ty za każdym razem będziesz mógł zdecydować.

Clive się uśmiechnął.

– W takim przypadku moje stawki mogą wzrosnąć.

– Nie jesteśmy Arabami targującymi się o dywan, Monroe. Wiemy, ile jesteś wart, i jeśli pojawią się kolejne badania, które musimy mieć, zgłosimy się ze stosowną ofertą.

Clive Monroe zastanawiał się przez pełne trzy minuty. Mowbry i pozostali milczeli, każdy bał się powiedzieć coś, co mogłoby wszystko popsuć.

– Dobrze – powiedział Clive i wstał.

Pozostali również się podnieśli, uścisnęli sobie ręce, klepali Clive'a po plecach i gratulowali sobie nawzajem.

– Czas na szampana – uznał Mowbry. Wyjął butelkę schłodzonego bollingera z wiaderka z lodem i uniósł ją, by wszyscy mogli się jej przyjrzeć. – Wiedziałem, że się zgodzisz, Monroe. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Nagle butelka szampana wybuchła, zalewając ich winem, bąbelkami i małutkimi odłamkami szkła. Nie było huku ani syku gazu z butelki. Po prostu się rozpadła, a zawartość opryskała łożę. Mowbry pozostał, ściskając w dłoni szyjkę, w której wciąż tkwił korek.

– Kurwa! – zaklął Sheffield, obmacując ubranie.

Cofnął się, jakby chciał się oddalić od plamy na garniturze.

Mowbry wydawał się wstrząśnięty i zawstydzony.

– Dobry Boże – powiedział zdumiony – butelka musiała zostać potrząśnięta albo...

Przerwał i wpatrzył się w Clive'a. Mężczyzna był podobnie zachlapany szampanem, ale na jego twarzy malował się dziwny uśmiezek, jakby właśnie przypomniał sobie coś całkiem zabawnego. Jego oczy utraciły swój zwyczajowy chłód i patrzyły na pozostałych bez skupienia.

– Mój drogi. – Mowbry ostrożnie wyciągnął rękę do Clive'a, obawiając się, że wybuchająca butelka go zraniła. – Twoja pierś...

Clive spuścił wzrok. Jego krawat wisiał przekrzywiony, a marynarka była rozpięta. Idealnie białą koszulę plamił nie tylko jasny trunek. Pośrodku jego piersi rozkwitł czerwony kwiat, jego szkarłatne płatki rozwijały się, znikając pod połami marynarki.

– Ja...

Kolana nagle ugięły się pod nim i padł na podłogę z głuchym łupnięciem kości o dywan.

Sheffield przeniósł wzrok z Clive'a na potłuczoną butelkę, a później, tknięty przerażającym przeczuciem, na duże panoramiczne okno. W hartowanym szkłe pojawił się niewielki otwór, od którego rozchodziła się siatka pęknięć.

Drugi strzał roztrzaskał całą tafłę szkła, a kula – niesłyszalna i niewidzialna – wbiła się nad lewą brwią Clive'a i wypadła z tyłu głowy. Kości i mózg splamiły tył łoży. Trzask grubego szkła i przerażone krzyki czterech mężczyzn stłumiły odgłos padania ciała Clive'a Monroe'a na dywan. Z dużej odległości dobiegł ich odgłos wystrzału.

* * *

Trzysta metrów od nich, w głębi zagajnika w pobliżu przeciwległego łuku toru, Conrad Veder upuścił karabin na ziemię. Kupił go do tego zlecenia i wyposażył w odpowiedni celownik. Zdjął długie gumowe ochraniacze rękawów i plastikową maskę spawalniczą. Nigdy nie dotykał ich gołymi rękami, a wszelkie ślady prochu strzelniczego pozostały na nich. Wrzucił je do płytkiego rowu, który wykopał wcześniej, wylał cały pojemnik gazu do zapalniczek i rzucił zapałkę. Natychmiast zapłonął ogień. Veder ściągnął gumowe rękawiczki chirurgiczne i również je dorzucił.

Ruszył szybko między drzewami, z gałęzi jednego z nich zdjął beżowy płaszcz i filcowy kapelusz. Na skraju zagajnika czekała para kaloszy, które włożył na sportowe buty rozmiar 10, popularne, niedrogie i żadnej znanej marki. Pewnie połowa ludzi na wyścigach nosiła podobne. Z nogami ukrytymi w kaloszach, w płaszczu i kapeluszu wyglądał odpowiednio do swojej roli – pracownika wyścigów. Jednego z bezimiennych, pozbawionych

twarzy ludzi, których zadaniem było stać w różnych miejscach wzdłuż torów i mieć oko na upadki i inne problemy. Veder od trzech tygodni pracował na torze. Wyszedł spomiędzy drzew, przeszedł przez tor i przebył kolejny zagajnik, z którego wyłonił się na końcu trybun. Tam dołączył do tłumu, który kłębił się i krzyczał zdezorientowany, gdy rozeszły się pogłoski o morderstwie. Po jakimś czasie oddalił się ostrożnie, udał do łazienki, zdjął płaszcz, kapelusz i kalosze i zostawił je w kabinie. Spod plastikowego worka na śmieci w koszu wydobył niewielką paczkę, która zawierała nowe buty, niebieską wiatrówkę z nazwą miejscowej drużyny piłkarskiej, okulary w drucianych oprawkach i lornetkę. Odklejony wąsik spuścił w toalecie. Kiedy znów wmieszał się w tłum, był jednym z setek ludzi, którzy wyglądali, ubierali się i zachowywali jak zaskoczeni widzowie na popołudniowej imprezie, która nagle stała się o wiele ciekawsza.

Było to jego drugie zabójstwo od czasu, kiedy przyjął od DaCosty zlecenie na siódmkę. Pierwsze było prostsze – otrucie mężczyzny na wózku, którego niegdyś błyskotliwy umysł zaginął w mrocznym labiryncie wczesnej postaci Alzheimera. Dwóch załatwionych, pozostała jeszcze piątka.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Deck,

sobota, 28 sierpnia, 14.06

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
93 godziny, 54 minuty EST*

– Bliźnięta nadal przebywają w pokoju personelu – stwierdził Otto. – Przepytyują Bannerjee i swoich pozostałych szpiegów. Zanim pan spyta, tak. Bannerjee i pozostali zostali poinstruowani. Powinni wszystko skończyć w ciągu paru godzin. Jeśli pan chce, może pan jeszcze zostać w zbiorniku.

– Nie. – Cyrus wyszedł ze zbiornika deprywacji sensorycznej. – Skończyłem. – Spojrzał z ukosa na Ottona. – Co się stało?

– Straciliśmy kolejnego. – Otto podał mu płaszcz kąpielowy.

Woda spływała po nogach Cyrusa Jakoby, zbierając się w słonej kałuży na podłodze. Odwrócił się i wyciągnął ręce, by Otto mógł włożyć płaszcz.

– Kolejnego kogo?

– Badacza. Daniela Horsta.

– Wirusologa?

– Epidemiologa.

– Jak?

– Stłukł lustro w łazience i podciął sobie żyły. Wykrwawił się w wannie.

Cyrus skrzywił się i ruszył bosy w stronę stacji roboczej w kącie. Wywołał katalog personelu, odnalazł Daniela Horsta

i wpisał hasło, by uzyskać dostęp do najnowszego profilu psychologicznego mężczyzny. Przejrzał go i skrzywił się jeszcze bardziej.

– Wszystko tam jest – powiedział łagodnie Otto. – W notatkach po sesji. Hastings i Stenner zwrócili uwagę na wzrastający poziom stresu u Horsta, częste bóle głowy, nerwowość, brak kontaktu wzrokowego. Dużo oznak depresji i obniżonej samooceny. Dodatkowo co wieczór odwiedzał bar dla personelu. Klasyka.

– Przegapiliśmy to – stwierdził Cyrus.

– Nie dostrzeżliśmy – poprawił go Otto. – Byliśmy zajęci czymś innym.

– To moja wina. Od tygodni zaniedbuję lekturę profili personelu.

– Żaden z nas nie zauważył tego z tego samego powodu. Musimy delegować więcej obowiązków, panie Cyrusie. Jeśli próbujemy zrobić wszystko sami, stajemy się niedbali. – Zawahał się. – Musimy wprowadzić więcej KIMów do Rodziny. Muszą wziąć się do pracy.

– Chciałbym mieć Osiemdziesiąt Dwa...

Cyrus pozwolił, by jego słowa zawisły w powietrzu.

– Nie jest gotów.

– A pozostali tak?

– Niektórzy. Dosyć, by przejąć część obciążenia.

Cyrus wzruszył ramionami.

– Śmierć Horsta może oznaczać problemy.

– Nie. Sprzątaczką, która go znalazła, zgłosiła się od razu do kierownika nadzoru, a on skontaktował się ze mną. Odizolowałem sprzątaczkę, przy najbliższej okazji poleci do Ula. Kierownik nadzoru to jeden z Haeckelów, więc nie ma obaw, że się wygada.

– Dobrze, dobrze – mruknął w zamyśleniu Cyrus. – Czy mamy jakąś historyjkę, by ukryć zniknięcie Horsta?

– Był potrzebny w Ulu. Można rozpuścić pogłoski, że dostał awans i udał się do Ula, by kierować nowym działem. Elementem pogłoski będzie twierdzenie, że robił wrażenie tak bardzo zestresowanego, bo zamartwiał się, czy naprawdę dostanie awans. Wcześniej zadziałało, a taka pogłoska robi dobrze na morale i wydajność zespołu.

Cyrus pokiwał głową. Personelowi wysłanemu do Ula nie pozwalano na powrót do Decku. Poza kilkoma szczególnymi wyjątkami – Otto i Cyrus, KIMowie, kilku Haeckelów i jeden czy dwóch kluczowych naukowców – nikt nie podróżował między obiektami. Poza tym kręgiem nikt nawet nie wiedział, gdzie znajduje się drugi obiekt. Często rozsiewali fałszywe pogłoski. Niektórzy wierzyli nawet, że istnieje Laboratorium Gdzieś w Meksyku, a w Australii mają otworzyć nowy obiekt, choć żadna z tych plotek nie była prawdziwa. Ta wiara dobrze im służyła, gdy było konieczne, by zniknął ktoś z personelu.

Ostatnie samobójstwo było niepokojące. Liczba samobójstw wśród personelu działów wirusologii i epidemiologii była wysoka. Uzależnienie od narkotyków i alkoholizm zdarzały się jeszcze częściej, choć prowadzone ostatnio wyrwykowe badania moczu i krwi zmniejszyły ryzyko, że do laboratorium zaczną się wtaczać upojeni technicy. To była bolesna lekcja.

– Nad czym pracował Horst?

– Choroba Taya-Sachsa.

– Skąd ten stres? Z pewnością go sprawdziliście...

– Tak. Nie jest Żydem, nigdy nie miał liczących się żydowskich przyjaciół, nigdy nie umawiał się z Żydówką. Jego nieufność wobec Żydów rzucała się w oczy w czasie początkowej oceny i rozmów kwalifikacyjnych. Miał nawet bardzo wysokie wyniki w niechęci do Żydów, jeśli chodzi o zatrudnienie i granty w jego dziedzinie.

– W takim razie dlaczego miał depresję?

– A dlaczego większość samobójców słabnie? Chodzi zawsze

o to samo. Sumienie. Niezależnie, co robimy, by temu zapobiec, docierają do punktu, w którym ich wizja i wiara w Nowy Porządek przegrywają ze strachem.

– Strachem przed czym? – warknął Cyrus.

– Najpewniej potępieniem. W takiej czy innej postaci.

– Bzdura. Sprawdzamy ateizm u każdego członka naszego personelu naukowego.

– Większość ateistów to ukryci agnostycy albo rozczarowani wierzący.

– I co z tego?

– Jak pan zauważył w licznych przemówieniach do personelu, panie Cyrusie, trwa wojna. Powiedzenie, że w okopach nie ma ateistów, jest bardzo prawdziwe. Nawet jeśli ta wiara jest chwilowa i warunkowa.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

– Ależ nie, panie Cyrusie. Chcę powiedzieć, że to dowód na istnienie wrodzonej słabości, którą zmyje Fala Wymierania.

Cyrus mocniej owinął się płaszczem i podszedł do okna. Wychodziło na zbiorniki produkcyjne i techników w białych kombinezonach, którzy się wokół nich kręcili.

– Powinniśmy bardziej się postarać, by odnaleźć gen, który kontroluje sumienie – stwierdził Otto.

– Tym, czego nie rozumiem, a powinienem rozumieć, jest: dlaczego i jak to się dzieje, skoro wszystkich członków zespołu naukowego poddaliśmy systematycznej i dogłębnej terapii, by dezaktywować VMAT2.

VMAT2 – pęcherzykowy transporter monoamin 2 – było białkiem, które transportowało monoaminy takie jak dopamina, norepinefryna, serotonina i histamina z komórkowego cytozolu do presynaptycznych pęcherzyków. Genetyk Gene Hamer jako pierwszy wyraził przekonanie, że gen był bardziej aktywny u ludzi o silnych przekonaniach religijnych, a mniej u tych, którzy mieli je słabe lub byli ich pozbawieni. Cyrus uznał to za

prawdopodobne, zgadzał się również z kilkoma podobnymi poglądami neuroteologicznymi. Spędził lata na badaniu powiązań między poziomem N,N-dimetylotryptaniny w szyszynce a wierzeniami.

– Nikt z zespołu nie powinien być zdolny do jakichkolwiek przekonań religijnych – powiedział szorstko Cyrus.

– Już wcześniej prowadziliśmy tę dyskusję, panie Cyrusie. Powiedział mi pan, że nie do końca akceptuje pan teorię „genu Boga”.

– Nie to powiedziałem, do diabła. – Cyrus pochylił się w stronę Ottona i zaczął krzyczeć. – Powiedziałem, że nie wierzę, iż wyjaśnia całą wiarę! Nie wyjaśnia prawdziwej wiary. Fałszywą wiarę może kontrolować genetyka. Wiarę w ideały i bóstwa, które w sposób oczywisty nie są powiązane z boską ścieżką rasowego rozwoju. Nikt z czystą linią genetyczną, nikt, kto wierzy we właściwy i jedyny sposób, nie wymaga genu wiary. To fundamentalna prawda samej wiary. To tak zwana tajemnica wiary, którą te katolickie świny dręczą się od ponad dwóch tysięcy lat.

Otto wytarł ślinę Cyrusa z koszuli.

– Skoro pan tak mówi.

Cyrus wyprostował się, ale spojrzenie wciąż miał wściekłe, a twarz zaczerwienioną.

– Terapia genowa musi być nieskuteczna!

– Oczywiście, sir. O to musi chodzić.

– Znów przeprowadzimy sekwencjonowanie. I nowy cykl terapii genowej.

– Naturalnie.

– Nie życzę sobie kolejnych niedogodnych ataków wyrzutów sumienia.

– Broń Boże – powiedział z uśmiechem Otto.

Wyszedł, nim Cyrus zaczął rzucać przedmiotami.

Rozdział trzydziesty drugi

*Prywatne lotnisko w pobliżu Denver,
Kolorado,
sobota, 28 sierpnia, 14.29
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
93 godziny, 31 minut EST*

Starszy i Królik czekali na mnie, kiedy wysiadłem z odrzutowca. Mieli czarne mundury polowe i kabury pod pachami, ale poza tym żadnej widocznej broni. Żaden nie wyglądał na szczęśliwego. Ostatnio to częste.

Hanler uściśnął im dłonie, ale pozostał przy samolocie, kiedy my ruszyliśmy w stronę niewielkiego hangaru na skraju lotniska. Stała tam furgonetka Mister Softee, ale mężczyzna, który opierał się o jej tył, nie robił wrażenia kogoś, kto na co dzień sprzedaje lody włoskie. Wyglądał zupełnie jak aktor Ving Rhames, jeśli pominąć protezę nogi i blizny od odłamków na twarzy.

– Kapitanie – powiedział Starszy – to starszy sierżant Cegła Anderson, szef wsparcia terenowego biura w Denver.

Przydomek doskonale pasował do mężczyzny, a jego uścisk mógł zmiażdżyć półtoracentymetrową rurę.

– Dobrze pana poznać, kapitanie. Sporo słyszałem.

– Wyglądasz, jakbyś sam mógł opowiedzieć niejedno. Jak się wyslizgnąłeś NSA?

– Słyszeli, że jestem kaleką. Wysłali po mnie tylko dwóch ludzi.

– Wzruszył ramionami. – Nie poszło tak, jak zaplanowali.

– Nie niepełnosprawny, tylko w pełni sprawny – mruknął Królik.

– Jaki jest plan? – spytałem.

Cegła wzruszył ramionami.

– Gruba Ryba w centrali powiedział, że mam wam zapewnić wszelkie możliwe wsparcie. Deep Iron znajduje się pół godziny stąd. Udałem, że jestem potencjalnym klientem, i spytałem, czy mógłbym zajrzeć do nich w tym tygodniu. Spytałem o godziny pracy. Teraz mają otwarte. Szef działu sprzedaży jest na miejscu. Nazywa się Daniel Sloane. To jego dane. – Cegła podał mi kartkę z numerami kontaktowymi, a później cienką teczkę. – To podstawowe informacje, które wyciągnąłem z ich strony internetowej. Specyfikacje i inne takie.

– Dobra robota. – Otworzyłem teczkę, rzuciłem okiem i zamknąłem ją. – Poczytam w drodze. Jak wygląda sprawa sprzętu? Mam pistolet i dwa magazynki. Możesz mnie doładować?

Potężny mężczyzna uśmiechnął się szeroko, zaprowadził nas na tył furgonetki i otworzył drzwi. Pojazd był arsenałem na kółkach. Zobaczyłem wszelkiego rodzaju broń palną używaną na nowoczesnych polach bitwy, od pięciostrzałowych rewolwerów po granatniki przeciwpancerne.

– O, jak rany. – Starszy uśmiechnął się szeroko. – Mógłbym się popłakać z radości.

– To coś jak Gwiazdka, co nie? – zgodził się Królik.

* * *

Kilka minut później jechaliśmy boczną drogą, która skręcała w stronę Gór Skalistych. W czasie jazdy czytaliśmy o obiekcie i rozmawialiśmy o nim. Deep Iron kryło się u podnóża Gór Skalistych na południowy zachód od Denver, zostało

wybudowane w ogromnym kompleksie wapiennych jaskiń, które przecinały ten region. Archiwa przechowywano na różnych naturalnych „piętrach” systemu jaskiń, a materiały o najwyższym priorytecie – to znaczy te, za których zmagazynowanie ludzie byli skłonni zapłacić najwięcej – umieszczono na najniższych poziomach, prawie półtora kilometra pod ziemią. Wystukałem bezpieczny numer do Magazynu WDN w Baltimore i poprosiłem o połączenie z szefem działu komputerowego, Bugiem.

Naprawdę nazywał się Jerome Taylor, ale od tak dawna był geekiem, że nawet rodzina nazywała go Bug. Jego zrozumienie wszystkiego, co miało obwody i mikroprocesory, graniczyło z empatią.

– Cześć, kapitanie – powiedział radośnie, jakby wszystko, co się działo, nie było dla niego bardziej realne niż wydarzenia w grze komputerowej. – O co biega?

– Bug, posłuchaj, Starszy, Królik i ja jesteśmy w Denver, w miejscu zwanym Deep Iron i...

– Jasne. Wielki magazyn. Nakręcili w nim kilka filmów s.f. w...

– Wspaniale. – Przerwałem mu, zanim mógł mi opowiedzieć wszystkie szczegóły, od źródła celulozoidu po rozmiar buta gońca na planie. Naprawdę był wielkim geekiem i pewnie dorównywał w tym Hu. – Zobacz, czy uda ci się włamać do ich systemu.

Prychnął.

– Nie obrażaj mnie.

Zaśmiałem się.

– Potrzebuję planów wszystkich poziomów. I dokładnej lokalizacji wszystkiego, co wiąże się z Haecklem. Doktor Hu ma podstawowe informacje, ale ja chcę, żebyś wszedł głębiej i zgrał wszystko na mojego palma.

– Jak szybko?

– Godzinę temu.

– Daj mi dziesięć minut.

Minęło dziewięć.

Kiedy oddzwonił, powiedział:

– W porządku, masz plany poziomów i przeszukiwalną bazę danych wszystkich klientów. W ich katalogu jest tylko jeden Haeckel. Imię Heinrich. To spory bunkier, dziewięć na dwanaście metrów, zlokalizowany na poziomie J.

Wywołałem plan na palmie i zakląłem cicho. Poziom J znajdował się na samym dnie, półtora kilometra pod ziemią.

– Co możesz mi powiedzieć o przechowywanych tam materiałach?

– Chwileczkę. – Słyszałem, jak stuka w klawisze. – W porządku, główny dysk mówi, że „archiwa”, ale mają osobną bazę danych na raporty z inspekcji, a te wymieniają skrzynie na akta, trzysta pięćdziesiąt jeden sztuk. Bunkier ma dwa wejścia, oba zamknięte na klucz przez prawników zajmujących się masą spadkową. Zawartość określono jako mieszane archiwa papierowe. Jedna skrzynia jest oznaczona jako MF. Zgaduję, że to mikrofizyki albo mikrofilmy.

– Masz jakiś pomysł, czego dotyczą materiały?

– Nie. Według opisu skrzynie zostały zapieczętowane przez Haeckla przed śmiercią, a może je otworzyć jedynie osoba będąca potwierdzonym członkiem rodziny. Nie wymieniono jednak żadnego żyjącego krewnego. Jego majątek spadkowy zapewnia fundusze na utrzymanie i nadzorowanie całości przez kancelarię prawniczą. Pieczęcie są sprawdzane co roku. Wygląda na to, że robi to prawnik. Przez te wszystkie lata było ich kilku, wszyscy z tej samej firmy. Birkhauser i Bernhardt z Denver. Świadkiem sprawdzenia jest przedstawiciel Deep Iron. Najwyraźniej wszystko nadal tam jest, bo nie udało się znaleźć krewnych. Włamię się do kancelarii i zobaczę, czy oni coś mają.

Podziękowałem mu i przekazałem informacje Starszemu i Królikowi.

– Żadnego spadkobiercy – zastanawiał się Starszy – poza

Gunnarem Haecklem, który najwyraźniej zmartwychwstał i poluje na jednorożce w Ameryce Południowej. Co za świat.

Królik uśmiechnął się szeroko.

– Nie zamieniłbym tej roboty na żadną inną.

– Jesteśmy na miejscu – stwierdził Cegła.

Rozdział trzydziesty trzeci

*Centra Kontroli i Prewencji Chorób, Atlanta,
Georgia,
sobota, 28 sierpnia, 14.31
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
93 godziny, 29 minut*

– Hej, Jude – odezwał się Tom Ito – pamiętasz tego wirusa, o którego pytałeś wcześniej? Tego, który się pojawił, a później tak sobie zniknął?

– Pewnie, a co z nim?

– Wrócił. Zaloguj się do programów mailowych.

Judah obrócił się na krześle i zaczął stukać w klawisze laptopa. Kolejne ekrany programów używanych przez sekretarki do obsługi maili, newsletterów i alertów pojawiły się jako kaskada okien.

Ito spojrzał mu przez ramię.

– Popatrz na automatyczne odpowiedzi. Widzisz, jest ich osiem. A w nich wirus.

Judah przeniósł maile do kwarantanny i uruchomił oprogramowanie wykrywające wirusy. Na ekranie wyskoczyło ostrzeżenie. Załadował izolowane środowisko i w nim otworzył jedną z zainfekowanych wiadomości. Dzięki temu mogli obejrzeć treść maila i kod pod osłoną potężnej zapory, która nie pozwalała, by zawartość wydostała się do głównego systemu.

Wiadomość zawierała informację, że wysłany przez CDC alert

mailowy nie mógł zostać dostarczony, ponieważ skrzynka mailowa adresata była pełna. To się zdarzało bardzo często. Jednak oprogramowanie wykryło trojana, rodzaj szkodliwego programu, który udawał, że pełni pożyteczną funkcję w systemie operacyjnym, a w rzeczywistości służył innym ukrytym celom, od zbierania informacji w rodzaju numerów kart kredytowych i wpisywanych haseł po niszczenie komputerów. Wiele „darmowych” programów i towarów w Internecie, takich jak wygaszacz ekranu, kasyna, porno i oferty zniżek, zakażało użytkowników trojanami. Na poziomie rządów i biznesu zdarzały się często.

– Trojan? – spytał Ito.

– Na to wygląda. Ale nie mogę zablokować nadawcy, bo wykorzystuje odpowiedzi na naszą własną listę mailingową, żeby się rozsyłać.

– Może ktoś włamał się na konta kilku naszych subskrybentów i wykorzystuje ich adresy?

– Prawdopodobnie. – Judah zmarszczył czoło. – W porządku, musimy zidentyfikować maile, z których dostajemy zwroty, i zablokować tych subskrybentów. Wyślij wiadomość do wszystkich.

Ito wrócił do swojego boksu, by się tym zająć, a Judah w tym czasie wysłał wirusa do US-CERT – United States Computer Emergency Readiness Team, części Bezpieczeństwa Krajowego zajmującej się bezpieczeństwem systemów komputerowych. CDC było organizacją rządową, a choć zagrożenie nie było wielkie, formalnie liczyło się jako cyberatak. Ktoś w CERT odbierze ostrzeżenie o nowym wirusie i doda go do bazy danych. Jeśli dostrzegą trend, zostanie wysłany alert, a CERT bardzo często dostarczał uaktualnienia do różnych systemów operacyjnych, które chroniły przed dalszymi incydentami. Taka była rutyna i Judah przez ostatnie lata wysłał setkę podobnych maili.

To powinno wystarczyć.

Tak się nie stało.

Tego dnia nie dostali kolejnych komunikatów odbicia. Ani następnego. Gdyby Judah mógł porównać obecną wiadomość z tymi, które pojawiły się na komputerach wcześniej – a później zniknęły – zauważyłby, że adresy, z których przyszły, nie były takie same. Podobnie zawartość i sam trojan. Nadawcy maili byli ostrożni.

Kiedy podobne problemy z mailami pojawiły się w biurach Narodowych Instytutów Zdrowia w Bethesda w stanie Maryland, centrali i wielu biurach regionalnych Światowej Organizacji Zdrowia, Centrum Koordynującego ds. Informacji i Usług Medycznych, Agencji ds. Substancji Toksycznych i Rejestru Chorób, Centrum Koordynującego ds. Chorób Zakaźnych oraz Biura Koordynującego ds. Przygotowania na Atak Terrorystyczny i Zarządzania Kryzysowego, jak również dziesiątek innych organizacji zajmujących się zarządzaniem kryzysowym w ochronie zdrowia, nie zabrzmiały alarmy. Każda grupa dostała zupełnie inną wiadomość niż pozostałe. Nic nie zostało uszkodzone i poza niewielką irytacją nie było żadnych reakcji. Wirusy i spam były zbyt powszechne.

Prawdziwe zagrożenia wciąż jeszcze nie zostały wysłane.

Na Zegarze Wymierania nadal pozostały dziewięćdziesiąt trzy godziny i dwadzieścia dziewięć minut.

Rozdział trzydziesty czwarty

***Magazyn Deep Iron, Kolorado,
sobota, 28 sierpnia, 15.11***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
92 godziny, 49 minut EST***

Deep Iron wyglądało jak stacja uzdatniania wody. Zza bramy widzieliśmy jedynie kilka średniej wielkości budynków i całe kilometry ogrodzenia pod napięciem. Według informacji przysłanych przez Buga obiekty na powierzchni wykorzystywano jako przechowalnie wyposażenia i garaże. W głównym budynku znajdowało się kilka biur, ale przede wszystkim był wielką skrzynią otaczającą sześć przemysłowych wind, z których dwie mogły pomieścić tuzin terenówek. Prawdziwe Deep Iron mieściło się pod powierzchnią. Górne poziomy magazynów zaczynały się na głębokości około stu metrów, a reszta jeszcze głębiej.

Cegła zawiózł nas przed główną bramę. Nie było strażników. Wymieniliśmy spojrzenia, Królik otworzył drzwi i wyszedł z auta. Sprawdził budkę strażników, na chwilę zbliżył się do ogrodzenia, po czym wrócił. Na jego twarzy malował się grymas.

– W budce strażników pusto, żadnych śladów walki. Ogrodzenie jest elektryczne, ale nie ma w nim prądu.

Starszy wskazał na mojego palma.

– Według informacji Buga Deep Iron ma własną elektrownię.

Wyjąłem komórkę i wybrałem numer Daniela Sloane'a,

kierownika działu sprzedaży, ale nikt nie odbierał i w końcu odezwała się poczta głosowa. Zadzwoiłem do głównego biura, z tym samym skutkiem.

– W porządku, zachowujemy się, jakbyśmy byli na terytorium wroga. Odbezpieczyć broń. Królik, otwórz bramę.

Królik otworzył bramę, a później wskoczył na tylny zderzak furgonetki. Wjechaliśmy na teren kompleksu. Cegła szybko przejechał wzdłuż wewnętrznej strony ogrodzenia. Na parkingu dla personelu stało jedenaście aut. Żadne z nich nie było pojazdem WDN. Zatrzymaliśmy się przy budce strażników na tyłach, ale ona również była pusta. Kazałem Cegle ruszyć w stronę biura, zaparkowaliśmy przed nim pod kątem, by opancerzona narożna część furgonetki była zwrócona w stronę okien. Już mieliśmy na sobie kevlarowe kamizelki i ukryliśmy się za stalowymi drzwiami furgonetki, tam wcisnęliśmy do kieszeni zapasowe magazynki i założyliśmy noktowizory na hełmy. Żaden z nas nie powiedział tego na głos, ale wszyscy myśleliśmy o oddziale Jigsaw. Dziś rano przybył ich tu tuzin i zaginęli. Ukrywali się? Czy wciąż istniała taka możliwość? A może naprawdę zaginęli w akcji?

Teraz nasza trójka wchodziła do nieznanego, ogromnego kompleksu jaskiń, który być może pochłonął cały Jigsaw. Żadnego wsparcia poza Cegłą, a on miał jedną nogę. Nie mogliśmy nawet wezwać policji stanowej albo Gwardii Narodowej.

Dostrzegłem spojrzenia, jakie wymienili Starszy i Królik, i tym bardziej starałem się zachować pokerową twarz, kiedy zacząłem wpychać do torby granaty błyskowo-hukowe.

Popatrzyłem na Cegłę.

– Nie obraż się, stary, ale będziesz mógł położyć ogień osłonowy, gdybyśmy go potrzebowali?

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie trzeba dwóch nóg, żeby pociągnąć za spust, kapitanie.

Ten tu mały Softee – poklepał bok furgonetki – ma wbudowanych parę sztuczek jak z Bonda.

Cegła wspiał się na tył furgonetki, rozłożył nieduże krzeselko na ścianie najbliższej budynku i pogrzebał przy wyposażeniu wiszącym na szynie. Rozległ się syk i metalowa skrzynia na podłodze otworzyła się, ukazując sześciostrzałowy ciężki karabin maszynowy chłodzony powietrzem, który podniósł się i zablokował na miejscu. Cegła sięgnął nad nim i otworzył metalową klapkę z boku furgonetki, po czym z promiennym uśmiechem odwrócił się w naszą stronę.

– Na całej podłodze są szyny, więc karabin można przesuwać na boki i do tyłu. Z przodu i z tyłu mam granatniki, a karoseria furgonetki to gruba na ponad centymetr stal z warstwą ceramiczną. Mam dość naboju, by zacząć wojnę, i pewnie dość, by ją zakończyć.

– A niech mnie diabli – stwierdził Starszy.

– Szefie – odezwał się Królik – czy możemy go posłać do środka i zaczekać tutaj?

Cegła się roześmiał.

– Pięć lat temu, dzieciaku, przyjąłbym tę propozycję.

– Doskonale – powiedziałem. – W porządku, stary, jeśli nie ma prądu, najpewniej nie będziemy mogli korzystać z telefonów stacjonarnych, a kiedy zejdziemy głębiej, stracimy też łącza komórkowe i satelitarne. Nie wiem nawet, jak ocenić, ile czasu może nam to zająć, ale jeśli Churchowi uda się zmusić NSA do wycofania, bardzo bym docenił, gdybyś wezwał wszystkich amerykańskich agentów z bronią i posłał ich w dół za nami.

– Ma pan złe przeczucia w tej sprawie, kapitanie?

– A ty nie?

– Cholera. Czulem swędzenie między łopatkami od chwili, gdy się dziś obudziłem.

– Miej też oko na niebo – dodał Starszy. – Nie widzieliśmy żadnych pojazdów, które tu nie pasują. Ci dowcipnisie mogli

przylecieć śmigłowcem.

– Mam też parę pocisków ziemia-powietrze, gdybym ich potrzebował – odparł Cegła.

Naprawdę żałowałem, że nie ma dwóch sprawnych nóg.

– Gdybyś posłał kogoś w dół za nami, podaj im dzisiejszy kod.

Tego dnia hasłem był „drozd”, a odzewem „kanarek”. Każdy w dziale taktycznym WDN, kto zalogował się po drugiej nad ranem, musiał je znać. Każdego, kogo mieliśmy napotkać na dole, a kto go nie znał, czekał jeszcze gorszy dzień niż nas.

Zsynchronizowaliśmy zegarki i sprawdziliśmy sprzęt. Skinąłem im.

Mimo nieznanego, które na nas czekało, cieszyłem się, że mogłem wreszcie przestać uciekać, a zacząć polować.

* * *

Królik jako pierwszy przebiegł nisko pochylony między furgonetką a rogami budynku, podczas gdy my go osłanialiśmy. Pomijając szmer gumowych podeszew jego butów na asfalcie parkingu panowała całkowita cisza. Nie było żadnego wiatru, a słońce mieliśmy za plecami. Królik przycisnął się do ściany i osłaniał Starszego, który podbiegł do niego, a później obaj osłaniali przód i tył, kiedy ruszyłem w ich stronę. Nie widzieliśmy Cegły, ale świadomość, że podąża za nami metalowe oko karabinu, była dużym pocieszeniem. Cegła wyglądał na żołnierza, który zazwyczaj trafiał w to, w co celował, a wątpiłem też, by kiedykolwiek przyłapano go na drzemce.

Drzwi do biura były szeroko otwarte. Przykucnęliśmy po obu stronach i wpuściliśmy do środka fiberskop. Nic. Królik sprawdził, czy nie ma potykaczy albo innych pułapek, ale niczego nie znalazł. Weszliśmy do środka.

Według danych dostarczonych przez Buga na każdej zmianie

służbę pełniło czterech strażników, dwa dwuosobowe zespoły składające się z byłych żołnierzy i policjantów. Od razu ich odnaleźliśmy i od razu wiedzieliśmy, że właśnie wpakowaliśmy się w coś dziwnego i nieznośnie paskudnego.

Czterej strażnicy zostali zabici, wśród ofiar był też piąty mężczyzna w garniturze. Sloane, kierownik działu sprzedaży. Każdy został wielokrotnie postrzelony, ale ich ciała były w trudnym do opisanie stanie. Nogi i ręce połamane i wyrwane ze stawów, zmiażdżone głowy, brutalnie oszpecone twarze.

Nie mogłem zatrzymać się i patrzeć, mieliśmy zbyt wiele do zrobienia. Ruszyliśmy w głąb budynku i jako trzyosobowy oddział sprawdzaliśmy kolejne pomieszczenia. Zmienialiśmy się, jeden otwierał drzwi i wchodził do środka, a dwaj pozostali zapewniali osłonę ogniową. W budynku było sześć pomieszczeń. Głównie biura i łazienka. Nic i nikogo.

Wróciliśmy do wartowni.

– Najświętsza Maryjo – szepnął Królik.

Starszy i ja weszliśmy do środka i sprawdziliśmy ciała.

– Liczne postrzały, kapitanie – stwierdził. – Duży kaliber.

– Jak dawno?

– Jeszcze są ciepłi. Może dwie godziny, nie więcej.

Postukałem go w ramię i wskazałem na plamy krwi na podłodze i ścianach. Istnieją trzy główne kategorie plam krwi: ścieki, rozpryskowe i rozmazy. Te pierwsze powstają w wyniku działania grawitacji na krew wypływającą z ran. Plamy rozpryskowe powstają z krwi pod ciśnieniem – na przykład z rozerwanej tętnicy – lub w wyniku gwałtownego ruchu, na przykład gdy ktoś strzepuje krew z palców. Istnieją również rozmazy, kiedy coś zaplamionego krwią wejdzie w kontakt z powierzchnią. Odciski stóp, odciski palców i tym podobne.

Widzieliśmy po trochu wszystkiego, całość jednak wyglądała niewłaściwie. Na ścianach były rozpryski, ale nie ułożone liniowo, jak zazwyczaj po wytrysku krwi z tętnicy. Te były

zupełnie przypadkowe. Starszy przyglądał mi się przez chwilę, a później poszedł w moje ślady, obliczając ilość i rozmieszczenie krwi. Następnie spojrzął z góry na rozszarpane ciała.

– To jest jakieś serio popieprzone cholerstwo.

– Mów do mnie jeszcze.

Zniżył głos.

– Te wzory miałyby sens tylko wtedy, gdyby ktoś wytrząsnął krew z tych chłopaków. Jakby otrząsał ręcznik. Albo nimi rzucał. Ale to niewłaściwe, nie?

Nie chciałem odpowiadać.

– Starszy, popatrz na kałuże krwi pod ciałami. Trupy nie krwawią, chyba że rana znajduje się pod ciałem, bo w takim wypadku krew pod wpływem siły ciężenia spływa do najniższego punktu, a później wylewa się przez ranę. Nie cała, jedynie ta, która znajduje się w danej części ciała. Nadążasz?

Nadążał.

– Myślę, że ktoś zabawił się z tymi chłopcami, kiedy byli już martwi.

– Aha.

– Poszarpał ich, rzucał nimi.

– Zaczekaj, co ty mówisz? – Królik podszedł do nas z tyłu.

Starszy pokręcił głową.

– Nie wiem, to wygląda na jakiś atak furii. Ktoś dostał małego rozumu. Ktokolwiek to zrobił, był silnym skurwielem. Ja bym sobie nie poradził, ten tu chłopaczek też raczej nie.

Królik przykucnął i podniósł kilka łusek.

– No, no, no, popatrzcie tylko.

Pokazał stalową łuskę naboju pełnopłaszczowego kaliber 7,62x39mm.

Starszy popatrzył na nią, a później na mnie.

– Rosyjskie. Takie same jak w Wilmington.

Królik przeniósł wzrok na ciała, a później znów na łuskę.

– Do diabła, w jaki sposób to coś jest powiązane z Wilmington?

I w jaki sposób są w to zamieszani Rosjanie?

Właśnie sięgałem po komunikator, kiedy brzęczyk w uchu zapowiedział rozmowę z centrum dowodzenia WDN. Grace.

– To bezpieczne połączenie, Joe. Mam informacje o bieżącej sytuacji.

– Ja też, ale pośpieszmy się. Jesteśmy w lesie wśród niedźwiedzi.

– Zidentyfikowaliśmy dwóch z czterech Rosjan, którzy zaatakowali oddział Echo w Wilmington. Byli agenci Specnazu.

– W porządku. Przyjmuję twoich martwych specnazowców i podbijam o cały oddział zabójców.

Opowiedziałem jej o łuskach i martwych strażnikach. Opisałem plamy krwi i pośmiertne okaleczenia.

– Kurwa mać.

– Grace, do diabła, w co my się wpakowaliśmy?

– Nie wiem.

– Czy są jakieś pogłoski o oficjalnym udziale Rosjan? Czy to może być sprawa polityczna?

Specnaz był ogólnym określeniem na rosyjskie służby specjalne i obejmował agentów Federalnej Służby Bezpieczeństwa, Wojska Wewnętrzne rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i jednostki kontrolowane przez wywiad wojskowy GRU. Po rozpadzie ZSRR i kryzysie rosyjskiej gospodarki wielu z tych żołnierzy zostało zwolnionych ze służby lub zdezerterowało. Rosyjska mafia zatrudniała ich na całym świecie, ale bywali też werbowani przez prywatne firmy ochroniarskie do brudnej roboty wszędzie tam, gdzie przydawali się najemnicy. Co w dzisiejszych czasach oznacza wiele miejsc.

– Wątpię, a w naszej obecnej sytuacji nie możemy zadzwonić do Departamentu Stanu i spytać. Pan Church sądzi, że ci w Wilmington byli najemnikami. Mogą być częścią większego oddziału, ale nie mamy pojęcia, dla kogo pracują. Widziałeś jakieś ślady obecności Hacka albo Jigsaw?

– Nie, ale wciąż jesteśmy na powierzchni. Schodzimy teraz w głąb. Przydałoby się nam wsparcie.

– Nie mogę go udzielić. Pilnują nas bardziej niż zakonnica cnoty. – Po chwili wahania dodała: – Joe, gdybyś chciał przerwać misję, poprę cię.

Chciałem, ale nie zamierzałem tego zrobić. I ona pewnie też to wiedziała.

– Jigsaw. – Nie miałem więcej do powiedzenia.

– Posłuchaj, Joe, w tej chwili głównie mnie obchodzą zasady. Jeśli wpadniecie na dole na kogoś, kto nie jest z WDN... – Nie dokończyła.

– Przyjąłem, pani major.

Prawie powiedziałem „Major Dziecinko”, ale resztki przytomności umysłu jeszcze mnie nie opuściły.

Rozłączyłem się i powiedziałem pozostałym o związkach ze Specnazem. Widziałem, że informacja do nich dotarła, ale ich nie zniechęciła. Mimo to Królik robił wrażenie wstrząśniętego stanem trupów. Jego spojrzenie uciekało w ich stronę, cofało się i znów uciekało. Wiedziałem, co się dzieje w jego głowie. Rozumiał zabijanie, ale cała reszta nie była żołnierską robotą. Miała w sobie prymitywną zajadłość, która wydawała się nieludzka.

– Kapitanie. – Starszy przeszedł na drugą stronę pomieszczenia. – Wygląda na to, że tu nadal działa prąd. Windy świecą się na zielono.

– Telefony?

Zdjął jeden ze ściany, pokręcił głową.

– Komunikacja szybko nam się urwie – zauważył Królik. – Bez stacjonarnych równie dobrze możemy krzyczeć do siebie.

Postukałem w komunikator, żeby połączyć się z Cegłą, przekazałem mu informacje i poleciłem nawiązać kontakt z major Courtland.

– Jeśli windy działają, mogę wejść... – zaczął mówić, ale mu

przerwałem.

– Naprawdę to doceniam, stary, ale musimy poruszać się szybko. Bez obrazy.

– Jasne.

– I upewnij się, że do środka nie wejdzie nikt, kto nie ma karty członkowskiej.

– Macie to jak w banku.

Wsiedliśmy do jednej windy, ale wszystkie sześć posłaliśmy jednocześnie na dół. Zatrzymaliśmy dwie z nich – naszą i jeszcze jedną – na przedostatnim poziomie, a w chwili gdy drzwi się otworzyły i sprawdziliśmy, że teren jest bezpieczny, pochyliśmy się i nasłuchiwalismy odgłosów dochodzących z szybów wind. Usłyszeliśmy, jak pozostałe kabiny się zatrzymują i otwierają się drzwi. Wapienne jaskinie były ogromne i ciemne, śmierdziały stęchlizną i koszmarami sennymi. Nad głowami mieliśmy długie rzędy jarzeniówek, ale oświetlenie nie działało. Windy musiały być podłączone do innego obwodu albo mieć własne zasilanie. Wydawało się logiczne, że intruzi pozostawili działające windy – gdyby musieli skorzystać ze schodów, czekałoby ich półtora kilometra marszu w górę.

Przykucnęliśmy i czekaliśmy, wykorzystując noktowizję, by wyłapać ewentualny ruch, ale niczego nie usłyszeliśmy. Żadnego ostrzału. Żadnych wybuchów.

Co nie znaczyło, że w okolicy nie ukrywali się rosyjscy strzelcy wyborowi – mogli po prostu nie strzelać bez celu do wszystkiego, co się poruszało. Co mogło być dobre albo złe. Wskazałem na drzwi klatki schodowej, sprawdziliśmy, czy nie ma potykaczy, po czym wyszliśmy i spojrzeliśmy w dół.

Wszystkie działające na baterie światła awaryjne zostały rozbite i klatka schodowa była czarną dziurą.

Urządzenia noktowizyjne używane przez WDN były około sześciu poziomów lepsze od czegokolwiek dostępnego na rynku komercyjnym i o generację nowsze od tego, co miała większość

jednostek specjalnych. Wiele ze standardowych noktowizorów wykorzystywało systemy pasywne, które wzmacniały światło obecne w otoczeniu – nasze miały dodatkowo system aktywny, który emitował promieniowanie podczerwone, by zapewnić wystarczające oświetlenie w przypadku całkowitego braku światła. Minusem był fakt, że podczerwień z systemu aktywnego mogła zostać dostrzeżona przez kogoś innego wyposażonego w noktowizję. Było to ryzyko, które jednak zapewniało korzyści, jeśli druga strona nie była wyposażona w coś równie wyrafinowanego, a to było mało prawdopodobne. Alternatywę stanowiły latarki, a one zakłócały naturalne widzenie w ciemnościach i były prezentem dla snajperów. Inną użyteczną funkcją naszej noktowizji była nowa panoramiczna soczewka, która zapewniała pole widzenia równe dziewięćdziesięciu pięciu stopniom, i elementy termowizji. Jeśli tam na dole było coś żywego, zobaczylibyśmy to w całkowitych ciemnościach, i to lepiej niż polująca sowa. W noktowizji wszystko ma odcień upiornej zieleni, ale wszyscy już się do niej przyzwyczailiśmy i automatycznie zmieniliśmy nastawienie mentalne, by działać z maksymalną skutecznością.

Mimo to, kiedy spojrzałem w dół, widziałem jedynie ustawione prostopadle do siebie biegi schodów, które znikają poza zasięgiem noktowizji.

Schodziliśmy powoli i ostrożnie, spodziewając się pułapek. Na pierwszy potykacz natrafiliśmy trzydzieści siedem stopni niżej. W goglach widziałem go jako cieniutką pajęczą sieć zieleni. Ktokolwiek go zakładał, był sprytny, gdyż umieścił go blisko podstopnicy, więc pułapki nie uruchomiłoby postawienie palców, ale dopiero opuszczenie lub uniesienie pięty. Niezła robota.

Pokazałem go Królikowi, który pokiwał głową z aprobatą, ale Starszy jedynie lekceważąco pokręcił głową. Pułapka była sprytna, ale pojawiła się zbyt wcześnie. Lepiej byłoby umieścić

najpierw rzucający się w oczy potykacz, a później ten bardziej wyszukany. Wzbudzić, a następnie wykorzystać oczekiwania osoby, na którą zastawia się pułapkę.

Powoli ruszyliśmy dalej i natrafiliśmy na kolejny drut. Podobnie jak poprzedni, był przymocowany do miny przeciwpiechotnej typu claymore i umieszczony blisko podstopnicy. Królik rozbroił oba. Jeśli ma się pojawić wsparcie, to chcieliśmy, żeby dotarło w jednym kawałku.

Kilka razy natrafiliśmy na coś rozsmarowanego na balustradzie, co w noktowizji wyglądało jak ropa. Ale pachniało miedzią. Krew.

– Może któryś ze strażników drasnął jednego z tych Rosjan – szepnął Starszy, ale ja tak nie myślałem.

Ślady znajdowały się po zewnętrznej stronie balustrady, która otaczała szyb prowadzący na samo dno. Takie plamy mogłyby się pojawić, gdyby ktoś został zrzuty z góry i podczas upadku obijał się o barierki.

Na samym dole rozwiązaliśmy zagadkę. Mężczyzna w pozbawionym oznaczeń czarnym mundurze polowym leżał na dnie szybu, bezwładny jak szmaciana lalka. Najwyraźniej został wyrzucony przez balustradę i zanim uderzył w betonową podłogę, kilka razy się odbił. Jego ciało zostało rozerwane na kawałki. Spojrzałem do góry przez pusty szyb, który otaczały wysokie na półtora kilometra schody. To był naprawdę długi upadek. Zastanawiałem się, czy mężczyzna w tym czasie wciąż żył.

Starszy ukląkł przy ciele. Najpierw poszukał pułapek, a kiedy ich nie znalazł, przeszukał kieszenie mężczyzny. Żadnego dowodu tożsamości ani rzeczy osobistych. Przy sobie miał jedynie pas z kaburą i torbę z wyposażeniem. Kilka granatów i dużo zapasowych magazynków. Naboje pełnopłaszczowe kaliber 7,62x39mm. Rosyjskie.

Starszy z namysłem zważył magazynek w rękę i popatrzył na

mnie.

– Jigsaw? – zasugerował.

– Nie wiem – odpowiedziałem, ale w rzeczywistości sytuacja podobała mi się coraz mniej.

Królik stanął przy drzwiach na poziom J i zaczął szukać pułapek.

– Czysto – powiedział.

Przywołałem rozkład poziomu J na palmtopie i przyjrzałem mu się uważnie. Tuż za wyjściem z klatki schodowej znajdował się szeroki korytarz z windami po jednej stronie i pierwszymi magazynami po drugiej. Widzieliśmy jedynie ogólny plan, więc nie mieliśmy pojęcia, jakie możemy tam znaleźć osłony.

– Fiberoskop – powiedziałem.

Królik wyciągnął z torby fiberoskop i wsunął go pod drzwi.

Kamera przekazywała obraz na ekran wielkości dłoni, który Królik wyciągnął z kieszeni na piersi. Ustawił go na noktowizję, ale to urządzenie nie miało termografii.

Królik obracał fiberoskopem we wszystkie strony. Widzieliśmy rząd meleksów i sterty pudeł na akta. Całe tysiące w rzędach znikających poza zasięgiem kamery.

Nic się nie poruszało.

Zasygnalizowałem, że otworzymy drzwi i od razu zaczniemy ostrzał. Zamierzałem wykorzystać osłonę klatki schodowej, kiedy oni wybiegną i od razu skoczą w prawo i w lewo.

Pokiwali głowami i Królik schował fiberoskop do torby. Odliczyłem palcami do zera i wkroczyliśmy do jaskini.

Nagle wokół nas rozległy się strzały. Wpadliśmy w piekielną zasadzkę.

Rozdział trzydziesty piąty

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
sobota, 28 sierpnia, 15.13***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
92 godziny, 47 minut***

- Jak się czuje prezydent? – spytał pan Church.
 - Niezadowolony, niezdrowy i niechętnie zajmie się tym całym bajzłem – warknął Linden Brierly.
 - Powiedz mu, że ma moje wyrazy współczucia, ale muszę z nim porozmawiać.
 - Pewnie mogę umówić rozmowę na później...
 - Lindenie. Muszę porozmawiać z nim teraz.
- Cisza przepływała między ich telefonami jak lodowata fala.
- Zabijasz mnie, Church. Lekarze i tak już chcą mnie zlinczować, a jeśli poproszę pierwszą damę, żeby pozwoliła mi odebrać telefon, zje na lunch moje jaja.
 - Powiedz jej, że to dotyczy Joe Ledgera.
- Brierly umilkł. Dwa miesiące wcześniej Joe Ledger i oddział Echo uratowali pierwszą damę i pół Kongresu przed terrorystami, którzy chcieli wypuścić zabójczą zarazę. Pierwsza dama widziała Ledgera w akcji, jego bohaterstwo i absolutną zajadłość. Zmieniło to ją jako człowieka, a Brierly nie umiał jeszcze ocenić, czy zmiana ta miała charakter pozytywny, czy negatywny. Brał udział w tej walce, która dla niego oznaczała krok w górę.

Ale Church prosił o wiele.

– Zobaczą, co powie, ale nie spodziewaj się zbyt wiele – ostrzegł Brierly.

* * *

Pan Church siedział w biurze i czekał. Nie robił nic poza tym. Nie zjadł nawet ciasteczka, choć z zainteresowaniem spoglądał na talerz waniliowych wafelków.

Zegar na ścianie tykał, a łodzie w porcie hałaśliwie przebijały się przez wzburzoną wodę.

– Pan Church?

Głos pierwszej damy brzmiał miękko, ale był jak jedwab owinięty wokół ostrza noża.

– Dzień dobry...

– Czy Joe Ledger ma kłopoty?

Bez ogródek. Church to doceniał.

– Tak.

W kilku krótkich zdaniach wyjaśnił, co się działo. Opowiedział jej nawet o misji Joego w Deep Iron. Church umiał oceniać ludzi i rzadko się zawodził.

– I chce pan, żeby mój mąż, który dopiero niedawno został wybudzony po operacji, nie tylko znów przejął władzę, ale i wziął na siebie stres związany z dużym wstrząsem politycznym we własnym rządzie?

– Tak.

Church wiedział, że nie podarowałaby mu, gdyby próbował owijać w bawełnę.

– Czy to pomoże Joemu?

– Ze względu na NSA Joe znalazł się w wyjątkowo niebezpiecznej sytuacji, bez odpowiedniego wsparcia i nadziei na ratunek, gdyby coś poszło nie tak. Nigdy nie powinno do tego

dojść.

– Może mi pan powiedzieć, o co chodzi w tej misji? Nie nieistotne szczegóły, ale ogólnie.

– Mógłbym, ale nie ma pani certyfikatu bezpieczeństwa.

– Panie Church – powiedziała cicho pierwsza dama – rozmawiamy na bezpiecznej linii, a to ja będę miała ostatnie słowo, jeśli chodzi o to, czy mój mąż znów obejmie stanowisko. Nie wiceprezydent, nie lekarze z Waltera Reeda, nie prokurator generalny ani spiker Izby Reprezentantów. Niech mi pan uwierzy, gdy mówię, że musi mnie pan przekonać do powagi tej sprawy, albo inaczej ta rozmowa zaraz się zakończy.

– Dobrze pani to robi.

– Co?

– Rozgrywa atuty.

– Mój Boże, czyżbym usłyszała komplement od pana Churcha?

– Tak. Nazwijmy to szacunkiem jednego zawodowca do drugiego.

– Czyli powie mi pan?

– Tak. Sądzę, że powinienem.

Rozdział trzydziesty szósty

*Magazyn Deep Iron,
sobota, 28 sierpnia, 15.21
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
92 godziny, 39 minut EST*

– Ruchy! Ruchy! – ryknąłem i natychmiast zacząłem strzelać z M4.

Starszy padł na ziemię, zanurkował za meleksem, przetoczył się i przykucnął. Królik rzucił się za osłonę ze sterty skrzyń, ale widziałem, jak jego ciało podskakuje i obraca się w powietrzu, gdy trafiła go przynajmniej jedna kula. Zniknął mi z pola widzenia.

Widziałem błyski z luf w czterech różnych punktach. Para strzelców ukryta za wieżami ze skrzyń i dwaj kolejni na dwóch przeciwnych końcach rzędu meleksów. Klatka schodowa była trochę szersza od drzwi, więc mogłem stanąć za wąską betonową ścianą, ale za każdym razem, kiedy próbowałem wychylić się i strzelać, pociski uderzały w ścianę centymetry od mojej głowy. Gdyby nie noktowizor, odłamki by mnie oślepiły i zerwały mi pół twarzy.

– Oczy! – ryknął Starszy, rzucając granatem błyskawicowym.

Zacisnąłem powieki i usłyszałem cichy łoskot. Wtedy przykląknąłem na jedno kolano, wychyliłem się i rozejrzałem w poszukiwaniu celu. Zobaczyłem ciemną sylwetkę cofającą się

niepewnym krokiem od miejsca wybuchu i posłałem w nią dwie serie po trzy naboje. Tamten zakręcił się, uderzył o ścianę i poleciał do tyłu. Po lewej widziałem Starszego, skradającego się wzdłuż rzędu skrzyń w stronę strzelca daleko na lewo ode mnie. Położyłem ogień osłonowy i cofnąłem się w chwili, gdy strzelec odpowiedział, ale wtedy właśnie Starszy wypadł za róg i wpakował mu dwie kulki w gardło.

Zerwałem się, zanim mężczyzna dotknął ziemi, biegłem nisko pochylony wzdłuż rzędu meleksów – wiedziałem, że strzelec po mojej prawej będzie celował w stronę rozbłysków z lufy Starszego. Nagle dostrzegłem ruch przed sobą i w ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że strzelec biegł wzdłuż rzędu wózków w moją stronę, ale głowę miał obróconą w bok, gdy próbował wymierzyć do Starszego.

Nawet mnie nie zauważył. Podszedłem do niego, przyłożyłem mu lufę pod brodę i zerwałem hełm z głowy.

Ostatni Rosjanin musiał mnie zobaczyć, bo od razu otworzył ogień. Padłem na brzuch, a kule wyrywały odłamki z betonowej podłogi za moimi plecami.

Coś poruszyło się na prawo ode mnie. Dostrzegłem Królika, żywego i przykucniętego, przesuującego się bokiem w moją stronę. Kiedy napotkał moje spojrzenie, wskazał na miejsce, w którym ściana skrzyń oddzielała go od ostatniego strzelca. Pokiwałem głową, a on ruszył naprzód. Strzelec mnie przyszpilił, ale meleksy były dobrą osłoną. Nie miałem pojęcia, gdzie się podział Starszy, ale domyślałem się, że zbliża się do strzelca z drugiej strony.

Kiedy Królik znalazł się na pozycji, postukałem w komunikator i szepnąłem:

– Starszy, mamy biegacza. Czeka na rzut.

W słuchawce usłyszałem dwie krótkie sekwencje szumu, gdy Starszy na potwierdzenie dwa razy nacisnął przycisk.

– Wyrzucić go na bazie – powiedziałem. – Chcę usłyszeć

rozmowy z ławki rezerwowych.

Razem ze Starszym otworzyliśmy ogień i w jaskini rozległo się echo grzmotów, kiedy Królik wypadł zza ściany pudeł i przebiegł pięć metrów otwartej przestrzeni, by zaatakować strzelca od tyłu. Kiedy znalazł się w odległości trzech metrów, wystrzelił dwie serie w jego stronę, a impet rzucił mężczyznę o ścianę. Rosjanin osunął się na kolana, jakby się modlił, a później poleciał bezwładnie do tyłu.

– Czysto! – krzyknął Królik.

– Czysto! – odpowiedział Starszy.

– Czekajcie! – krzyknąłem.

Nie podobała mi się ta sytuacja i trzymałem się cieni, omijając otwarte przestrzenie, by dotrzeć do pozycji Królika. Starszy szedł krok za mną, razem zabezpieczyliśmy okolicę. Starszy przyjął pozycję strzelecką za niedużą stertą skrzyń.

– Ranny jesteś? – spytałem Królika.

Uśmiechnął się szeroko i odsunął poszarpaną połę koszuli, by ukazać długą bruzdę z boku kamizelki kuloodpornej.

– Niech żyją otarcia.

– Tajes – zgodziłem się.

Pochyliłem się i przyjrzałem zabitemu. Żadnego dowodu tożsamości, zupełnie nic, ale jego twarz miała niemal klasyczne słowiańskie rysy, a broń i sprzęt były rosyjskie. Podobnie u pozostałej trójki.

– Kiedy obudziłem się dziś rano – stwierdził Starszy – nie spodziewałem się, że będę w stanie wojny z Mateczką Rosją.

– Jeśli pojawi się okazja – powiedziałem – dajcie mi kogoś, kto oddycha, żebym mógł zadać kilka pytań.

Pokiwali głowami.

Przed sobą mieliśmy morze pojemników. Pudła na akta i wszelkiego rodzaju skrzynie, ustawione w porządnym szeregu znikających w perspektywie. Setki tysięcy skrzyń, miliony ton papierowych dokumentów. W naturalnych

wapiennych jaskiniach były setki komór, tysiące pomieszczeń i skarbców. Kilometry cementowych korytarzy. Zajrzałem do planu poziomemu na palmie, przyjrzelśmy mu się i podjęliśmy decyzje.

– Dobra – powiedziałem cicho. – Nie wiemy, jak wielu ich tam jeszcze jest, ale wiemy, że ci goście są bystrzy i mieli czas na kreatywność. Idziemy powoli i szukamy pułapek. Żadnych odgórnych założeń, żadnego niepotrzebnego ryzyka.

– Tajes – odpowiedzieli.

* * *

Ruszyliśmy dalej, bezgłośnie kroczyliśmy przez niekończącą się ciemność. Natrafiliśmy na kilka pułapek – głównie miny kierunkowe i granaty – ale były dość prymitywne. Jakby przygotowane przez żołnierzy, którym brakowało czasu, by zrobić to właściwie. Rozbrajaliśmy je po kolei i szliśmy dalej, rozproszeni na wypadek, gdybyśmy jakąś przegapili.

A później prawie weszliśmy w ogień krzyżowy, który przygotowali w wielkim skarbcu zastawionym po sufit pudłami dokumentów firm prawniczych z Denver. Ale Starszy nas zatrzymał, nim to zrobiliśmy.

– Co? – szepnąłem do niego. – Widzisz coś?

– Nie, kapitanie – mruknął – ale gdybym to ja zamierzał urządzić sobie strzelnicę, zrobiłbym to w tym miejscu. Może trochę poświecimy i pohałasujemy, sprawdzimy, czy uda nam się wypłoszyć króliki z wysokiej trawy.

Pokiwałem głową i rzuciliśmy dwa granaty błyskawicowo-hukowe. Kiedy tylko blask przygasł, wpadliśmy do środka. Na stercie skrzyń siedział snajper, ale w chwili, gdy wpadliśmy do środka, zaczął się z niej zsuwać z rękami zaciśniętymi na uszach. Spadł z wysokości sześciu metrów i źle wylądował.

Starszy dopadł go jako pierwszy, wykopał mu karabin z rąk i pochylił się, żeby go obezwładnić, zaraz jednak zwolnił i przerwał. Kiedy do niego dotarłem, zrozumiałem powód. Strzelec spadł głową w dół i przyjął całą siłę uderzenia na bok czaszki. Szyja pękła mu jak gałązka.

– Kurwa – mruknąłem.

Szliśmy dalej. Poruszaliśmy się ślimaczym tempem. Znaleźliśmy jeszcze kilka pułapek, ale znaleźliśmy już szlak, siedzieliśmy w ich głowach i zauważaliśmy kolejne, zanim komukolwiek stała się krzywda.

Znajdowaliśmy się półtora kilometra pod ziemią i wchodziliśmy coraz głębiej, skradając się kilometrami nachylonych korytarzy, oddychając powietrzem, które nigdy nie poczuło słońca ani deszczu. To by było paskudne miejsce na śmierć i przez chwilę poczułem ukłucie przesądnej grozy na myśl o moim duchu błakającym się w tych niekończących się ciemnościach.

Na ścianach zamontowano telefony, ale kable zostały przecięte, a skrzynki zmiażdżone. Ruszyliśmy dalej, mijając pomieszczenia, w których firmy prawnicze składowały akta spraw zakończonych przed trzydziestu laty, wytwórnie filmowe – dziesiątki tysięcy szpul filmu, a ludzie przechowywali futra, dzieła sztuki i kto wie co jeszcze. Mijaliśmy pomieszczenia wypełnione klasycznymi samochodami i jedno z pięćdziesięcioma terakotowymi rzeźbami, tymi, które wykopali w Chinach.

Znaleźliśmy jeszcze dwóch strażników i pół tuzina archiwistów. Wszyscy związani, wszyscy zamordowani. Zginęło trzynaścioro niewinnych ludzi. W jakim celu?

– A niech to wszyscy diabli – zaklął Starszy. – Naprawdę chcę dorwać tych skurwysynów.

– Czego oni, do diabła, szukają? – spytał Królik. – Podejmują niewiarygodne ryzyko i zajęło im to piekielnie dużo czasu. Muszą

wiedzieć, że się stąd nie wydostaną.

Nic nie powiedziałem.

– Co to ma być? – mówił dalej Królik. – Misja samobójcza, żeby zdobyć stare archiwa? Na jakim świecie to ma sens?

– Może spodziewali się, że wejdą i wyjdą szybciej niż to możliwe – zasugerował Starszy. – Może przegapili swoje okno czasowe.

– Tam na dole musi być coś cholernie ważnego – stwierdził Królik – skoro wciąż się tym zajmują, mimo że wiedzą, że siedzimy im na ogonie.

– Nie wiemy, ilu ich tam jest – sprzeciwił się Starszy. – Może ich być dwudziestu, a wtedy mają sporą szansę, żeby się przez nas przebić. A mogą też czekać na wsparcie. Na zewnątrz nie było pojazdów, więc jeśli planują się stąd wydostać, ktoś musi po nich przyjechać. A to może również oznaczać wsparcie ogniowe.

To była otrzeźwiająca myśl i żaden z nas nie udawał chojraka tylko dlatego, że udało nam się ominąć kilka pułapek.

Szliśmy dalej. Wykorzystałem plan, by wyznaczyć drogę, a ona poprowadziła nas przez serię mniejszych komór z nowocześniejszym wyposażeniem, które wyglądało, jakby było częścią systemu zarządzania archiwami.

– Czysto! – zawołał Starszy Sims, kiedy z Królikiem sprawdzili pomieszczenie przed nami.

– Dwie minuty odpoczynku – zarządziłem i postukałem w palma. – Jesteśmy pół kilometra od celu.

Malutki ekranik pokazywał biegnącą zakosami drogę do bunkra Haeckla. Na trasie znajdowały się dwadzieścia trzy zakręty i tuzin drzwi. Wprost stworzone do urządzenia zasadzki.

– Mamy jakiś kontakt z Cegłą? – spytał Starszy.

Pokręciłem głową.

– Między nami a sygnałem znajduje się koło miliarda ton skał i stali.

Znów ruszyliśmy, a nerwy mieliśmy napięte jak postronki.

Gdyby moja niezamężna Cioteczka wyszła zza jednej z tych skrzyń, trzymając na jednym ręku szczeniaczka, a na drugim noworodka, moi chłopcy by ją odstrzelili.

Ci łowcy ze specnazu strzelali jako pierwsi, nie zadając pytań. Wydawało się stosowne, byśmy odpowiedzieli im pięknym za nadobne, ale Rosjanie nie zostawili już żadnych niespodzianek. W jednym miejscu natrafiliśmy na łuski – wyłącznie rosyjskie – i mnóstwo krwi, ale żadnych ciał. Ani żadnych śladów wleczenia, więc ranni musieli wyjść o własnych siłach albo zostali przeniesieni.

Wykorzystałem kanał komunikacji między oddziałami, by wywołać kogoś z Jigsaw. Odpowiedzią był jedynie biały szum. Znów spojrzałem na palma.

– Dwa skrety w lewo, a później piętnaście metrów prosto.

Przy pierwszym zakręcie w lewo zatrzymaliśmy się, a Starszy szybko wyjrzał za róg. Zaczął mówić:

– Czysto...

I wtedy nagle rozległ się huk wystrzałów z broni automatycznej.

– Na ziemię! – ryknąłem.

Wszyscy padliśmy na ziemię i rozproszyliśmy się, a lufy naszej broni szukały celów, ale nie widzieliśmy rozbłysków. Kamiennie ściany wzmacniały odgłos strzałów, ale w nic nie wdepnęliśmy. A w każdym razie jeszcze nie.

– To w następnym pomieszczeniu, kapitanie. Za drugim zakrętem. – Starszy prześlizgnął się jak wąż ze swojego stanowiska obserwacyjnego i wcisnął za stertę skrzyń.

– Hej, Jigsaw włączyło się do zabawy! – krzyknął Królik, zaraz jednak zmarszczył czoło i uniósł dłoń do ucha. – Nie, nie, czekajcie, słyszę tylko kałasznikowy.

Starszy, skulony obok mnie, pokiwał głową.

– Chłopaczek ma rację. To jednostronny ostrzał.

– Chyba że... – zaczął mówić Królik, ale zaraz zacisnął wargi

i nie dokończył.

Zrobiłem to za niego.

– Chyba że to egzekucja.

Jigsaw. Chryste, niech to nie będzie prawda.

– Na koń! – krzyknąłem.

Jednakże w chwili, kiedy stłoczyliśmy się przy drzwiach, żeby ruszyć biegiem, coś się zmieniło. Gwałtowny ostrzał trwał przez prawie pół minuty, czasem cichł nieco, gdy magazynki się kończyły i były wymieniane, ale w czasie jednej dziwnej przerwy, gdy sięgałem do klamki, usłyszałem nowy dźwięk.

Ryk.

Żadne inne słowo tego nie opisze. Dźwięk był głęboki, szorstki i pełen niewiarygodnej mocy. Uderzał o ściany, odbijał się wśród cieni i wpadał z wyciem przez szparę w drzwiach.

Brzmiał jak zwierzę. Naprawdę duże i naprawdę wkurwione zwierzę.

– Co to było, do diabła?! – krzyknął Starszy.

– Nie wiem i nie chcę się dowiedzieć – odpowiedział Królik.

– A ja tak. – I otworzyłem drzwi.

Korytarz był pusty, ale usłyszałem kolejny ryk i krzyki dochodzące z jego głębi. Skradałem się pochylony blisko ściany, gotów posłać kulę każdemu, kto wyłoniłby się z następnej komory. Wiedziałem, że Starszy i Królik są za mną, ale poruszali się równie cicho jak ja.

Zatrzymaliśmy się przed bunkrem Haeckla. Metalowe drzwi były nadal zamknięte, ale znaczyły je dziesiątki poszarpanych śladów po kulach, wszystkie na wysokości piersi.

Starszy pochylił się w moją stronę.

– Wchodzimy, kapitanie?

I wtedy właśnie znów zaczął się ostrzał. Padliśmy na ziemię i rozproszyliśmy się. Żadna z kul nie przebiła kamiennych ścian bunkra.

Otoczyłem usta rękami i zaczekałem na chwilę ciszy.

– Jigsaw! – krzyknąłem na całe gardło.

Ostrzał przycichł na chwilę i rozległ się drugi ryk. Żadnej odpowiedzi na mój krzyk. To nie był ludzki głos. Z całą pewnością zwierzę o dużych rozmiarach i ogromnej sile.

– JIGSAW! – krzyknąłem znowu. – ECHO! ECHO! ECHO!

I wtedy ktoś krzyknął w odpowiedzi.

– Pomocy! – Tyle tylko, że zawołał to po rosyjsku: „*Pomogitie!*”.

Nie Jigsaw.

Odkrzyknąłem, używając kryptonimu Hacka Petersona.

– Wielki Pies! Wielki Psie, tu Kowboj!

– *Niet! Niet! Boże moj!*

Nie! Nie! O mój Boże!

– *Zakroj dwieri!*

Zamknij drzwi!

Rozległ się kolejny ryk, ten nieco inny w tonie, nie tak głęboki, ale równie dziki, i nowa seria strzałów.

Starszy popatrzył na mnie, czekając na rozkazy. Nachyliłem się w stronę podziurawionych drzwi i spróbowałem odezwać się po rosyjsku. Zawołałem Hacka. Zadałem ogólne pytanie, co się dzieje.

Nikt mi nie odpowiedział. Zabrzmiały kolejne ryki, strzały, histeryczne krzyki po rosyjsku.

– *On mortwyj!*

Nie żyje! Słyszałem to dwa razy. A później jeden głos:

– *Uchadi!*

Wycofać się! Raz za razem.

– Wchodzimy na tę imprezę? – spytał Starszy, ale pokręciłem głową.

Ostrzał trochę się zmniejszył.

– Mniej karabinów w akcji – zauważył Królik. – Nadal żadnej odpowiedzi, chyba że wszyscy używają kałasznikowów.

Ostatni karabin zużył ostatni magazynek i wtedy usłyszeliśmy coś, co zmroziło nam krew w żyłach. W ciemności rozległ się

kolejny przeszywający krzyk, ale ten był zdecydowanie ludzki – wysoki, pełen bólu i jakby mokry. Wzniósł się do przenikliwego wycia i nagle ucichł, pozostawiając za sobą śmiertelną ciszę.

I nic.

Otworzyłem drzwi i wślizgnąłem się do środka, pochylony nisko nad zimną betonową podłogą. Celowałem z czterdziestki piątki w stronę zakrętu, w każdej chwili byłem gotów zsunąć palec na spust. Po chwili rozległ się kolejny wrzask, ale nie był to krzyk cierpiącego człowieka, lecz ogłuszające, triumfalne zwierzęce wycie. Nawet po grzmocie strzałów wydawało się niewiarygodnie głośne – jego echo odbijało się od ścian i uderzało w nasze uszy jak pięści.

Cisza, która nastąpiła później, była szorstka i pełna straszliwej obietnicy. Wpatrywaliśmy się w stronę zakrętu korytarza, a później, jeden po drugim, członkowie mojego oddziału popatrzyli na mnie w oczekiwaniu na rozkazy.

– Wchodzimy. Ja na szpicy. Macie puścić dwie serie w każdego, kto nie jest z WDN.

– Tajes – szepnęli.

Sięgnąłem po klamkę i nacisnąłem ją szybko. Nie słyszałem strzałów. Wyjąłem ostatni granat błyskowo-hukowy i wrzuciłem go do środka. Zasłoniliśmy uszy, ale ułamek sekundy później wpadliśmy przez te drzwi gotowi zakończyć walkę.

Zatrzymaliśmy się.

To, co zobaczyłem, było jak cios w mózg, ale miałem dość przytomności, by zacisnąć wargi i zatrzymać broń w gotowości. Z tyłu dobiegło mnie ciche sapnięcie Królika. Starszy stanął za nami. Zatrzymaliśmy się i gapiliśmy na oddział Specnazu.

– Matko Boska – szepnął Starszy.

Pomieszczenie nie było duże. Jakieś dwanaście na piętnaście metrów, wypełnione po sufit skrzyniami na dokumenty. Pod ścianą stało kilka starych komputerów na karty perforowane, przykrytych plastikową folią. Były też biurko, krzesło i stół. Na

podłodze leżały sterty łusek. Dym wisiał jak zielone duchy w powietrzu, a na podłodze, rozrzuconi jak śmieci, leżeli Rosjanie.

Wszyscy, cały oddział specnazu. Ośmiu.

Martwi.

I nie tylko po prostu martwi, oni zostali rozerwani na kawałki. Ich karabiny wciąż dymiły, ręce wciąż były zaciśnięte na osadach, palce otaczały kabłąki. Ręce, nogi i głowy leżały rozrzucone jak wyspy na morzu krwi.

Królik podszedł do mnie.

– Boże, co tu się wydarzyło?

Bardziej wyczułem, niż zobaczyłem, że sterta pudeł po mojej lewej zaczyna się poruszać, i już odpychałem Królika i Starszego, gdy tona papieru przechyliła się i przewróciła. Królik próbował obrócić się na pięcie i pobiec, ale poślizgnął się na zakrwawionych łuskach. Zamachał rękami i lewą trafił Starszego prosto w twarz.

– Kapitanie! – krzyknął Starszy. – Po twojej...

Więcej nie usłyszałem, coś bowiem wypadło z cieni za stertą po mojej prawej i uderzyło we mnie. Cios był tak szybki i oszałamiająco mocny, że przez chwilę miałem nierealne wrażenie, jakby wjechał we mnie samochód. Czułem, jak moje ciało odrywa się od ziemi, lecę trzy metry i wbijam się w kolejną stertę pudeł. Przycisnąłem brodę do ramienia, żeby złagodzić impet uderzenia, ale wciąż był tak wielki, że cała góra przechyliła się i przewróciła, zrzuciła mnie na ziemię, a później uderzyła o kolejną wieżę. Nagle poczułem się tak, jakby całe pomieszczenie wokół mnie się waliło – to kolumny zakurzonych pudeł osuwały się na podłogę. Rozległy się strzały, ale nie był to skoordynowany kontratak, gdyż wszyscy próbowali uniknąć zmiżdżenia tonami papieru.

Usłyszałem jakiś odgłos – przypominający ryk goryla – i próbowałem się odwrócić, żeby zobaczyć, co właściwie

znajdowało się w pomieszczeniu razem z nami, ale moje gogle noktowizyjne przekręciły się tak, że jednym okiem widziałem zieleń, a drugim czerń. Miałem niejasne wrażenie czegoś, co bardzo szybko kierowało się w moją stronę, i próbowałem unieść pistolet, ale został wyrwany z mojego uchwytu, tak błyskawicznie i z taką siłą, że przez chwilę obawiałem się złamania nadgarstka. Nawet nie zauważyłem ręki, która mnie rozbroiła.

Za to zobaczyłem gościa – był prymitywem o wielkiej piersi i szerokich barach. Dostrzegłem mignięcie czarnego metalowego hełmu i munduru polowego, a wtedy on ruszył w moją stronę z głową opuszczoną jak bokser i zadał cios, który był rozmytą zieloną plamą. Udało mi się unieść ramię na tyle, by osłonić głowę, ale jego potężna pięść uderzyła w mój hełm i zerwała go z głowy. Usłyszałem trzask pasków. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, kiedy utraciłem noktowizję, ale wewnątrz było inne źródło światła – jedna z latarek Rosjan na podłodze. Kiepskie oświetlenie, ale dość, bym mógł walczyć.

Rzuciłem się na ziemię, przetoczyłem na bok i podniosłem z nożem sprężynowym w rękę. Nie zamierzałem poddać się bez walki, nie tak jak ci Rosjanie, i, o ile ten gość nie był naprawdę bardzo dobry, zamierzałem zabrać go ze sobą. Ostrze otworzyło się w chwili, gdy ten wielki sukinsyn zbliżył się do mnie. Miał na sobie czarny jak noc mundur polowy i kominiarkę, która ukrywała twarz. Widziałem jedynie oczy, małe i głęboko osadzone, oraz szerokie usta. Cofnął wargi, odsłaniając nierówne żółte zęby, i otworzył usta, by na mnie ryknąć.

Tuż przed tym, jak się zderzyliśmy, w mojej głowie pojawiły się tysiące odłamków informacji. Był większy i silniejszy ode mnie. I, o ile nie był gorylem, miał na sobie grubą warstwę pancerza. Coś, co mogło powstrzymać pociski pełnopłaszczowe. Istnieje dużo eksperymentalnych projektów, a niektóre mogą nawet rozproszyć impet uderzenia kuli. U pasa miał pistolet, ja

miałem w ręku nóż. Wokół nas rozlegały się ryki i strzały. Mięśniak rzucił się w moją stronę i był szybki. Cholernie szybki.

Ja jestem szybszy.

Przekręciłem się w bok, a jego paznokcie przesunęły się po mojej kamizelce kuloodpornej. Nie próbowałem się z nim zwrzeć. Jestem w tym dobry, ale też nie jestem głupi. I choć wiem, że noże często przecinają kevlar, nie byłem w nastroju, by sprawdzić, czy jego pancerz mógł zatrzymać ostrze.

Dlatego przekręciłem się i wbiłem je w jego usta.

Wcisnąłem mu w szczękę prawe całą pięść, wbijając nóż głęboko w mięsień języka i podniebienie miękkie, aż dotarł do kości. Przekręciłem nadgarstek i wyrwałem ostrze, a to sprawiło, że wydał z siebie wrzask bólu – najgłośniejszy odgłos, jaki kiedykolwiek słyszałem z ludzkich ust. Przypominał zwierzęcy ryk, który słyszeliśmy wcześniej, ale był teraz przepełniony bólem. Stracił panowanie nad ciałem i zaczął się gwałtownie rzucać. Jego pięści wymachiwały we wszystkie strony. Jednej udało mi się uniknąć, ale druga trafiła mnie w ramię i poleciałem w stronę kolejnej sterty skrzyń.

Osunąłem się na ziemię i zanim udało mi się wycofać, cała góra spadła na mnie.

Rozdział trzydziesty siódmy

Deck,
sobota, 28 sierpnia, 15.22
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
92 godziny, 38 minut EST

Bliźnięta szły pod rękę w stronę samolotu. Była to ich dawna afektacja, zwyczaj, którego nabrały w Europie i który pozwalał im iść na tyle blisko siebie, by swobodnie rozmawiać przyciszonymi głosami.

– Zwolnij. – Hekate lekko pociągnęła brata za ramię. – On patrzy. Otto pewnie też.

– Oni zawsze patrzą – mruknął Parys. – Boże! Nie mogę się doczekać, kiedy wydostanę się z tego miejsca. On wywołuje we mnie gęsią skórkę.

– Kto? Tato czy Otto?

– I jeden, i drugi. Obaj. Para jadowitych węży.

– Aha. Użytecznych jadowitych węży.

Hekate poklepała torebkę, w której miała kilka płyt CD z danymi nagranych dla nich przez Cyrusa. Materiał, który miał albo rozwiązać problemy z wściekłością u Berserków, albo przynajmniej znacznie je zmniejszyć.

Dotarli do odrzutowca. Dwaj z ich strażników stali po obu stronach schodów, na widok Jakoby wyprostowali się jeszcze bardziej.

– Masz coś do zaraportowania, Marcusie? – spytała Hekate

przyciszonym głosem.

– Niewiele, proszę pani. Odrzutowiec został zatankowany i nikt nie wszedł na pokład.

Parys prychnął.

– A ktoś próbował?

– Tak, sir. Pan Otto spytał, czy może wejść na pokład, żeby zostawić dla was kwiaty. Powiedziałem mu, że mamy rozkaz nie wpuszczać gości.

– A kwiaty?

– Zabrał je.

Parys posłał siostrze znaczące spojrzenie.

– Pewnie ukrył w bukiecie urządzenie śledzące.

– Mogę panią zapewnić, że nikt i nic nie dostało się na pokład tego samolotu.

– Dobra robota – powiedział Parys.

Hekate posłała niepewne spojrzenie w stronę samolotu, po czym odwróciła się i wbiegła lekko po schodach. Parys popatrzył ze złością na Deck, miał przy tym nadzieję, że ojciec albo Otto mu się przyglądają. Samym ruchem warg wyszeptał „Pocałujcie mnie w dupę”. Z uśmiechem wszedł na pokład. Kilka minut później odrzutowiec pędził wzdłuż pasa startowego.

* * *

Otto Wirths stał w oknie obserwacyjnym centrum komunikacyjnego Decku.

Po wyjściu Bliźniąt technicy nacisnęli odpowiednie przyciski, a wtedy wielka ściana cofnęła się, ukazując pozostałe dwie trzecie pomieszczenia, w którym znajdowało się o wiele więcej stacji roboczych służących do komunikacji i skanowania. Drewniane panele się rozsunęły, ukazując szklaną podłogę, pod którą sala komputerowa i zbiorniki z wirusami brzęczały

przerażającym potencjałem. Jak obiecał panu Cyrusowi, Bliźnięta zobaczyły tylko to, co chcieli, by zobaczyły.

– Wzniesli się w powietrze, sir – powiedział technik stojący przy pobliskiej konsoli.

Otto spojrział na ekran.

– Zaczekaj, aż wzniosą się na sześć tysięcy metrów. I wtedy uruchom czujniki-meduzy.

– Tak, sir.

Kiedy odrzutowiec bliźniąt został zatankowany, paliwo zawierało dziesiątki czujników nie większych od kropli wody. Unosiły się w benzynie i przekazywały sygnał przez kilkanaście cieniutkich macek. Czujniki wykorzystywały zbiorową nanotechnologię – pojedynczo ich sygnał był słaby, ale już tuzin mógł wysyłać silny, wyraźny sygnał na odległość wielu kilometrów.

– Jaki jest status jednostek pościgowych?

– Ptasek jeden, dwa i cztery znajdują się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Ptasek trzy sunie na wysokości trzystu metrów. Wszystkie stacje zdalne zostały postawione w stan gotowości, a oddziały infiltrujące są na pokładzie. Wszystko jest gotowe, sir.

Otto się uśmiechnął.

– Dobrze.

Obserwował, jak punkcik na radarze wznosi się w niebo i zaczyna powoli skręcać na południowy wschód.

Rozdział trzydziesty ósmy

Sokoto, Nigeria *Sześć dni wcześniej*

Doktor Hans Koertig wypadł przez wahadłowe drzwi polowego oddziału chirurgicznego, zerwał maskę i rękawiczki i wyrzucił je do kosza. Przez dwie minuty stał pośrodku umywalni, jego oczy płonęły wściekłością, a pięści były zaciśnięte. Nie odwrócił się ani nie spojrzął, kiedy drzwi się otworzyły, do środka weszła Frieda Jaeger i zaczęła w milczeniu zdejmować zaplamiony fartuch operacyjny.

– Przykro mi, Hans – powiedziała cicho, ale on nie odpowiedział. Jeszcze mocniej zacisnął zęby. – Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, ale tak już bywa...

Urwała gwałtownie, kiedy odwrócił się w jej stronę.

– Zrobiłem, co w mojej mocy? Tak myślisz, Friedo? Że zrobiłem, co w mojej mocy?

Zrobił krok w jej stronę, a ona się cofnęła.

– To była znakomita robota. Znakomita! – Krzyczał, pryskając naokoło śliną. – Przez cztery lata spędzone w Nigerii przeprowadziłem chirurgię rekonstrukcyjną u dwustu pacjentów chorych na raka wodnego. Dwustu! Ani razu... ani razu... pacjent nie umarł mi na stole operacyjnym. – Wskazał na drzwi. – Ten chłopiec jest szóstym dzieckiem, które umarło pod moim skalpelem w ciągu sześciu dni. Nie waż mi się mówić, że tak już bywa!

– Może jesteś po prostu przepracowany...

W chwili gdy Frieda Jaeger wypowiedziała te słowa, wiedziała już, że popełniła błąd. W oczach Koertiga płonęła niebezpieczna wściekłość i przez chwilę bała się, że ją uderzy, on jednak cofnął się, podszedł do zlewu i zaczął szorować ręce, jakby chciał zmyć ze skóry realność tych wydarzeń.

– Ja nie tracę pacjentów, Friedo – rzucił przez ramię. – Możesz mnie nazwać aroganckim dupkiem, ale fakt to fakt. Nie tracę pacjentów. Ani tutaj, ani w Kenii, ani w domu, w Monachium. Niech mnie diabli wezmą, ja nie tracę pacjentów. Nie dzieci z rakiem wodnym. Na litość boską, to nie są lata pięćdziesiąte. To nie jest punkt pierwszej pomocy leczący zgorzel za pomocą apteczki i modlitwy. To oddział chirurgiczny fundacji AWD. Nikt na kontynencie nie ma lepszych od nas wyników w ratowaniu dzieci.

– Wiem, Hans, ale dzieci umierają. Nie chodzi tylko o ciebie. W ciągu sześciu tygodni zmarło trzydzieścioro.

Koertig odwrócił się w jej stronę. Wydawał się wstrząśnięty.

– Trzydzieścioro? Co ty mówisz?

Rak wodny był straszliwą chorobą, ostrą odmianą zakaźnej zgorzeli ust lub policzków, która dotykała niedożywione dzieci w Afryce, części Azji i Ameryki Środkowej. Niemal wszyscy pacjenci mieli od dwóch do sześciu lat, a choroba dosłownie wyżerała ciało wokół ich ust i policzków, koszmarnie zniekształcając ich wygląd i narażając na infekcje wtórne. Od połowy lat dziewięćdziesiątych AWD-Stiftung Kinderhilfe, holenderska Noma Foundation i Facing Africa wysyłały ekipy medyczne do Nigerii i innych dotkniętych chorobą miejsc. Ekipy, takie jak ta w Sokoto, czyniły cuda, walcząc z chorobą i poprawiając warunki życia. Chirurgi plastyczni z Interplastu jako wolontariusze przeprowadzali setki operacji rekonstrukcyjnych, by dzieci mogły wrócić do normalnego życia. By mogły przeżyć.

Choroba nie była już nieuchronnie śmiertelna, o ile nie

pozostawała nieleczone. Ale istniały terapie, rozdawano środki zapobiegawcze, a organizacje humanitarne z całego świata przysyłały żywność.

A teraz to. Dzieci umierały z powodu choroby, która już nie powinna ich zabijać.

– Dlaczego tak wiele z nich umiera? – spytał ostro.

– Nie wiemy.

– Na litość boską, przeprowadziliście testy?

– Tak. To rak wodny, ale choroba stała się bardziej agresywna.

– Mówisz o mutacji?

Pokręciła głową, a później nią pokiwała.

– Nie jestem pewna, jak to nazwać.

Frieda Jaeger była pielęgniarką pediatryczną, dopiero od czterech miesięcy w Nigerii. Wyraźnie sobie nie radziła.

– Kto się zajmuje testami? – warknął Koertig.

Podła mu nazwę laboratorium. Lekarz skończył szorowanie i wybiegł na zewnątrz, by zadzwonić w kilka miejsc. Rak wodny był starą chorobą. Paskudną, ale stabilną i przewidywalną.

Przerażenie wypełniało mu serce, gdy pobiegł do przyczepy i sięgnął po telefon satelitarny, z którego korzystał w nagłych wypadkach.

Niech Bóg ma litość nad tymi dziećmi, jeśli zmutowała.

Niech Bóg ma litość nad dziećmi na całym świecie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

*Magazyn Deep Iron,
sobota, 28 sierpnia, 15.59
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
92 godziny, 1 minuta EST*

Wykopałem się spod skrzyń, przetoczyłem i przykucnąłem, wyciągając berettę. Starszy Sims klęczał w pobliżu, trzymał M4. Miał niewielkie rozcięcie na grzbiecie nosa i opuchliznę wokół oka.

– Czysto! – ryknął.

– Czysto! – warknął Królik, który właśnie wyczołgiwał się spod kolejnej góry przewróconych pudeł po prawej.

– Gdzie są wrogowie? – spytałem.

Królik włączył latarkę i wskazał na tylne drzwi, które były otwarte. Zamknął je kopniakiem. Nie miały zamka od wewnątrz.

– Gonimy ich?

– Nie. Barykadujemy drzwi.

Pracowaliśmy szybko, ustawiając skrzynie przed oboma wejściami. Starszy przyglądał mi się uważnie, kiedy pracowaliśmy.

– Co? – spytałem.

– Wygląda na to, że ostatnia skrzynia trafiła cię w głowę. Mam przejść przez tę całą listę „wiesz, jak się nazywasz i kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?”, kapitanie?

– Wiem, jak się nazywam, a tak między nami, wiceprezydent

jest fiutem.

Starszy uśmiechnął się szeroko.

– Wyżyjesz.

Królik usiadł na podłodze i zaczął opatrywać długą, płytką ranę na udzie.

– Niezła zabawa. Nie wiem, jak wy, ale ja zaczynam mieć dosyć tego, że atakują mnie goście, którzy nawet nie powinni być na mnie źli. To znaczy, o co tu w ogóle chodzi, do diabła? Czy my się właśnie strzelaliśmy z Hulkiem i Stworem?

Popatrzyłem na krwawe pozostałości rosyjskiego oddziału.

– Coś w tym rodzaju.

– Masz jakieś pojęcie, w co się wpakowaliśmy, kapitanie? – spytał Starszy.

– Zaczynam. – Nie wchodziłem w szczegóły. – Wydaje się jasne, że na dole były przynajmniej dwa oddziały szukające tego samego towaru.

– Trzy – poprawił Starszy – jeśli Jigsaw gdzieś tu jest.

Nie skomentowałem. Jeśli oddział Jigsaw był w Deep Iron i nie przyszedł zbadać, co to za strzelanina, znaczyło to, że nie mogli. Starszy wyczytał to w mojej twarzy i nie naciskał. Królik obserwował nas obu i zaklął pod nosem.

Latarki dobrze oświetlały pomieszczenie. Strzelanina z Rosjanami odbyła się w jednym kącie, przy drzwiach, przez które weszliśmy. Ta część była jedną wielką rzeźnią z kawałkami ciała. Widziałem dużo śmierci i sam dużo zabijałem, ale coś w tym widoku szarpało za zwoje mojego mózgu. Chciałem się odwrócić, ale wiedziałem, że to byłby błąd. Zaprzeczenie jest jak pułapka na niedźwiedzie – zapomina się o niej, a później samemu się w nią wchodzi.

Starszy wyjął magazynek z M4, zobaczył, że zostały w nim trzy naboje, i włożył nowy.

– Kapitanie, albo robię się już zbyt stary na tę robotę, albo właśnie prawie sklepało nas dwóch gości. Wygrywali, dopóki nie

walnąłeś go w pysk.

– To nie żarty – zgodził się Królik. – Jeden z nich wyrwał mi karabin z rąk, a nie chwałąc się, to wcale nie jest takie proste. Dlatego mu przyłożyłem, walnąłem go cztery razy. Dwa haki, sierpowy w żebra i prawą znad głowy. Równie dobrze mógłbym otrzepywać mu mundur.

Królik miał pięćdziesiąt pięć centymetrów w bicepsie, na ławce wyciskał dwieście kilo. Kiedy przywalił w parę rękawic bokserskich, ich właściciel tracił czucie do nadgarstków. Niebieskie oczy Królika wydawały się przerażone.

– Skurwysyn nawet nie chrząknął. Nie pomaga mi to w samoocenie.

– On ma rację, kapitanie. Wpakowałem pełny magazynek w tych dwóch dupków, a oni ledwie się cofnęli. Nie mówiąc już o powaleniu ich na ziemię. Chyba widzimy tu nowy pancerz, który pochłania impet lepiej niż cokolwiek. Dopiero kiedy zacząłem celować w głowę, podkulił ogon i ukrył się za skrzyniami. Aż do tej pory jedynie go spowalniałem, ale nie robiłem mu krzywdy.

– Nikt nie ma tak dobrego pancerza – stwierdził Królik.

– Może trafiłem jednego z nich w nogę, to znaczy tego, którego nie dźgnąłeś, bo kuśtykał, kiedy wychodził przez drzwi. Ale powinien być dziurawy jak szwajcarski ser. A biorąc pod uwagę, jak silni byli ci goście, może mamy do czynienia z egzoszkieletem. Pracują nad tym od...

– Nie ma mowy – przerwał mu Królik. – Był twardy, Starszy, ale waliłem w ciało i kości.

– Gumowe poduszki z komorami powietrznymi na metalowym szkielecie mogą robić wrażenie ciała i kości – zauważył Starszy. – A w tym całym zamieszaniu...

– Nieważne – powiedziałem. – Mieli coś ekstra, a my mieliśmy szczęście, że udało nam się odwrócić sytuację. Może ich nie zabiliśmy, ale nie pozwoliliśmy, żeby urwali nam głowy, więc

umieścimy to w kolumnie „zwycięstwa”.

– Szklanka do połowy pełna... – Królik przytaknął. – Zgadzam się.

Stali obok mnie i patrzyli na ciała. Ja odwróciłem się i rozejrzałem po pomieszczeniu. Krew skupiła się w tym rogu. Rozpryski były wszędzie, ale większość podłogi wyglądała na czystą.

– W porządku – powiedziałem powoli – oto co musimy zrobić. Musimy sprawdzić ciała w poszukiwaniu dowodów tożsamości. Pewnie wiele nie znajdziemy, ale poszukać trzeba.

– Kurwa – mruknął Królik.

– A później chcę, żebyście przenieśli pozostałości pod ten fragment ściany. – Wskazałem na długi na trzy metry odcinek, gdzie nie było skrzyń.

– Dlaczego w ogóle mamy ich ruszać, kapitanie? – spytał Starszy.

– Ponieważ mamy zadanie do wykonania i nie chcemy się o nic potykać. Łapiesz?

Pokiwał głową.

Kucnąłem i zacząłem przeszukiwać martwych Rosjan. Paskudna robota, i choć Królik i Starszy do mnie dołączyli, żaden z nas nie był zbyt szczęśliwy. Królik po chwili przerwał, wyjął z kieszeni miętową pomadkę ochronną, wtarł trochę pod nosem i podał nam. Wszyscy pomazaliśmy wargi. Mięta dość szybko zabija węch, a krew i inne płyny ustrojowe sprawiały, że w pomieszczeniu zaczynało śmierdzieć.

Jak się spodziewaliśmy, przeszukanie nic nie dało. Żadnych dowodów tożsamości. Zupełnie nic.

Bez słowa zaczęliśmy przenosić ciała pod ścianę. Wiedziałem, że Starszy robił podobne rzeczy w Iraku, kiedy po samobójczych atakach wyciągał spod gruzu zabitych. Królik i ja mieliśmy własne doświadczenia. Ja byłem częścią oddziału gliniarzy z Baltimore, którzy pracowali w strefie zero po tym, jak samoloty

uderzyły w wieże. To zawsze było paskudne, zawsze wykraczało poza zdolność racjonalnego umysłu do powiązania czegoś takiego z celowym ludzkim działaniem. Wiem, dziwne słowa w ustach gościa takiego jak ja – kogoś, kto zabijał ludzi za pomocą broni palnej, noży, granatów, garoty i gołymi rękami – ale istnieje różnica między zabijaniem w walce a czymś takim. Nawet nie wiedziałem, jak to nazwać. „Morderstwo” jest określeniem zbyt ogólnikowym, a „okaleczenie” brzmi dziwnie medycznie. To było... co właściwie?

Dwaj prymitywni goście, których wygoniliśmy, zrobili to Rosjanom tutaj i personelowi na górze. Sprawiało im to przyjemność. Może taki był klucz. Nawet kiedy śmierć przeciwnika – powiedzmy, terrorysty trzymającego lufę pistoletu przy głowie szóstoklasisty – dawała mi chwilową satysfakcję, nigdy nie czułem przyjemności. Nigdy nie przepelniała mnie wewnętrzna albo erotyczna rozkosz z powodu śmierci drugiej osoby, a wierzyłem, że to właśnie widzę w tym miejscu.

Kiedy te myśli wypełniały moją głowę, Starszy wymruczał trzy słowa, które mówiły wszystko.

– To jest złe.

Królik i ja popatrzyliśmy na niego, a później na siebie.

Żaden z nas nie odzywał się w czasie pracy, ale wiedzieliśmy, że Starszy dobrze to ujął. To było złe.

* * *

Kiedy skończyliśmy, umyliśmy ręce wodą z manierek i wykorzystaliśmy pokrywę kilku skrzyń z aktami, by jak najlepiej zasłonić trupy.

Odwróciłem się i rozejrzałem po reszcie pomieszczenia. Połowa pudeł spadła na podłogę. Jak na razie wyglądało na to, że magazynowano tu wyłącznie papier.

– Starszy, Królik, ci goście, których przepędziliśmy, coś zabrali? Skrzynie, karty perforowane? Cokolwiek?

– Niczego nie widziałem, chyba że było dość małe, by zmieścić się w kieszeni – odparł Starszy. – Zostajemy czy idziemy, kapitanie?

– Na razie zostajemy. Jeśli ci goście w pancerzach są tutaj, nie chciałbym, żeby deptali nam po piętach aż do wind, a jest nas za mało, żeby zapewnić bezpieczną ucieczkę.

– Zgadza się, kapitanie – przytaknął Starszy. – Nie wiem, jak wy, chłopaki, ale wróg nigdy jeszcze na mnie nie naryczał. Ten hałas ciągle mnie prześladowuje.

Królik pokiwał głową.

– Tak, na moim liczniku dziwaczności to dziesiątka.

– Tym bardziej powinniśmy zostać na miejscu. Jesteśmy tu bezpieczni. Poza tym, skoro niczego nie zabrali, to coś wciąż tu jest. – Podeszedłem do ściany, żeby móc lepiej ocenić rozkład pomieszczenia. – Nadal mamy podstawowy cel misji, więc musimy przejrzeć te archiwa. Wiemy, że jest co najmniej dwóch graczy, Rosjanie i drugi oddział, którzy uważają, że dla tego towaru warto zabić wielu ludzi. Dowiedzmy się dlaczego.

Miny Królika i Starszego wyraźnie wskazywały, że nie podoba im się to tak samo jak mnie.

– Jeśli ci goście postanowili stąd wyjść, to wpadną na Cegłę – powiedział Królik. – On sam przeciwko nim.

Starszy prychnął.

– On w opancerzonym wozie z ciężkim karabinem maszynowym. Do diabła z pancerzami.

Królik uśmiechnął się, ale wyraźnie się do tego zmusił.

– Pewnie masz rację.

– Tak czy inaczej, nie mamy na to wpływu – stwierdziłem. – Niech bogowie wojny zdecydują. Tymczasem zabierajmy się do roboty. Przez cały czas nie mieliśmy pełnego obrazu. Zobaczmy, czy uda nam się zorientować, co się tu, do cholery, dzieje.

Zabraliśmy się do pracy, ale każdy z nas nasłuchiwał wielkiej ciszy poza magazynem. Czekaliśmy na odgłosy wind, znajomych krzyków, tupot nóg biegnących w tym precyzyjnym rytmie, który mają tylko antyterrorysty i jednostki specjalne. Niczego nie słyszeliśmy.

Byliśmy tu sami, a jak długo NSA nadal polowało na WDN, nie mieliśmy szans na przybycie kawalerii.

Próbowaliśmy o tym nie myśleć, próbowaliśmy skupiać się na zadaniu.

Próbowaliśmy.

Rozdział czterdziesty

Bulawayo, Zimbabwe Pięć dni wcześniej

Gabriel Mugabe popijał herbatę i patrzył, jak kierowcy wózków widłowych przenoszą paletę za paletą butelkowanej wody ze składu kolejowego do magazynu. Cieszyła go ta ilość. Amerykanin dał mu niezłą łapówkę, żeby się upewnił, że dostawa szybko przejdzie przez cło.

– Dlaczego tak szybko? – spytał.

– Zainwestowaliśmy dużo w marketing – wyjaśnił Amerykanin. – Nasze reklamy pojawią się w mediach pierwszego września i chcemy, by produkt był dostępny w tym terminie.

– Ale powiedział pan, że będziecie rozdawać wodę. Czemu czas ma takie znaczenie?

– Zakupy impulsowe to jedna z niewielu rzeczy, które wciąż działają w tej gospodarce. Wystarczy trochę rozdać, a kupią znacznie więcej.

Mugabe sądził, że Amerykanin jest trochę głupi. Rozdanie sześćdziesięciu ton butelkowanej wody to jak spuszczenie pieniędzy w toalecie. Ale Amerykanin upierał się, że jeden dzień światowego rozgłosu był wart wielu milionów w chwili wprowadzenia produktu na rynek. Mugabe nie wiedział, czy to prawda, i wcale go to nie obchodziło. Liczyła się dla niego jedynie gruba koperta z pieniędzmi, którą Amerykanin mu dyskretnie wręczył. Mieszana waluta – amerykańskie dolary i południowoafrykańskie randy – żadnych dolarów Zimbabwe,

które były warte mniej niż papier toaletowy. Bardzo ładnie.

Uścisnęli sobie ręce. Mugabe zmarnował niewiele pieniędzy na łapówki dla urzędników celnych. Nazwisko Mugabe wystarczało, by zapewnić współpracę. Niewielką sumę wydał, by posmarować w porcie Beira w Mozambiku. Transportowiec został tam rozładowany, a wodę wysłano koleją do punktu przeładunkowego w Bulawayo, stamtąd zaś do magazynów ludzi, którzy bali się rodziny Mugabe.

Gabriel Mugabe był bratankiem prezydenta Zimbabwe, oskarżanego o naruszanie praw człowieka przez organizacje z całego świata, od Amnesty International po Unię Afrykańską. Gabriel prywatnie się z tym zgadzał, ale jego zdaniem kwestia praw człowieka była próbą podjętą przez słabych, by osłabić silnych. Wierzył, że z siłą wiązały się prawa, które górowały nad wszystkim, co słabi mieli do powiedzenia. Czuł, że historia popierała ten punkt widzenia, i mógł zacytować historyczne precedensy sięgające od Starego Testamentu po amerykańską tak zwaną wojnę przeciwko terroryzmowi.

Choć Gabriel Mugabe nie był lwem ludożercą jak jego wuj, w Bulawayo słusznie się go bano. Woda dotarła bezpiecznie, a większość gotówki, którą dał mu Amerykanin, wciąż spoczywała w jego osobistym sejfie w domu.

Popijał herbatę, świeżo zaparzoną na wodzie z palety, którą Mugabe skonfiskował na użytek osobisty.

– Darmowa woda – prychnął. – Pierdoleni Amerykanie.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Dom Krzyków, Isla Dos Diablos Ranek, piątek, 27 sierpnia

Chłopiec nazywał się Osiemdziesiąt Dwa. Albo KIM, zależnie od tego, kto się do niego zwracał. Otto zawsze używał numeru, ale kiedy Alfa był w dobrym nastroju, czasami mówił do chłopca KIM. On sam rzadko myślał o sobie inaczej niż po prostu „ja”. Nie wierzył, że numer albo imię naprawdę do niego należały. Podejrzewał, że ma prawdziwe imię, ale jeśli się nie mylił, nigdy nie pozwoli mu go używać – i sam nigdy nie będzie tego chciał.

Kulił się na pochyłym terakotowym dachu w cieniu rzucanym przez liście dwóch wysokich palm. Osiemdziesiąt Dwa był drobny i doskonale umiał udawać niewidzialnego. Większość ludzi w Ulu nie miała prawa z nim rozmawiać, a ci, którzy je mieli, przeważnie go unikali. Ci zaś, którzy zwracali na niego uwagę, przerażali go, więc chłopiec ich unikał. Żył wśród nich, codziennie widywał dziesiątki ludzi, ale czasami nawet przez tydzień nie wymienił z nikim choćby pozbawionych znaczenia uwag o pogodzie. Od 10 listopada poprzedniego roku do 2 marca tego roku ani razu z nikim nie rozmawiał. Nawet lekarze, którzy go badali, rzadko odzywali się do niego. Łapali go, obmacywali, przebijali igłami, pobierali próbki, kazali kłaść się pod urządzeniami – i przez ten cały czas nie zwracali się do niego bezpośrednio. Wiedzieli, że on jest świadom, jak powinien się zachowywać, więc wskazywali palcem, gdzie ma usiąść, stanąć albo się położyć.

Przez długi czas go to bolało, ta samotność, ale ostatnio ją polubił. To było lepsze niż prowadzenie rozmów o tym, co się działo w Ulu. I lepsze niż ciągnięcie przez ludzi Ottona na jedno z ich polowań. Osiemdziesiąt Dwa chodził na nie, bo musiał, bo Alfa tego od niego oczekiwał, a Otto żądał, ale jak na razie nie zastrzelił żadnego zwierzęcia. Wiedział, że za rok, kiedy podrośnie, będą oczekiwać, że weźmie udział w polowaniu, zamiast towarzyszyć kamerzyście.

Nikt, nawet kamerzysta, nie wiedział, że Osiemdziesiąt Dwa zabrał własną malutką kamerę, ukrytą w guziku, którą ukradł z wyposażenia poprzedniego kamerzysty.

Łowcy udali się do São Paulo, żeby przez jeden dzień świętować, a Osiemdziesiąt Dwa na czterdzieści minut zniknął z okolic basenu i znalazł kafejkę internetową oddaloną o kwartał od hotelu. Wysłanie maila z nagraniem było najodważniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił, a te czterdzieści minut to był najbardziej przerażający czas w całym jego życiu. Nie mógł poczekać na odpowiedź. Modlił się, by nadeszła, by Amerykanie byli już w drodze.

Teraz wrócił do Ula. Do Domu Krzyków, jak nazywał go Osiemdziesiąt Dwa, choć podejrzewał, że wielu z Nowych Ludzi też tak o nim myślało. W końcu to ich krzyki dniami i nocami wypełniały korytarze budynku.

Chłopiec miał na sobie jedynie kąpielówki. Jego skóra była blada. Nie wolno mu się było opalać, a gdyby pozwolił sobie na oparzenie słoneczne, Alfa kazałby Ottonowi go zbić, a to zawsze trwało bardzo długo. Osiemdziesiąt Dwa podejrzewał, że Ottonowi bicie sprawiało przyjemność i był smutny, kiedy Alfa kazał mu przestać. Kiedy Otto kończył bicie, jego usta zawsze były mokre od śliny, a oczy płonęły jasno jak świece.

W kompleksie troje Nowych Ludzi kopało otwory na słupki kojca dla kur. Chłopiec przyglądał im się z fascynacją. Nowi Ludzie mieli grubo ciosane rysy i sztywne rude włosy, a kiedy

w okolicy nie było nikogo, rozmawiali dziwnie wysokimi głosami. Chłopiec rozpoznał dwóch z Nowych Ludzi. Jeden z nich był najstarszym ze wspólnoty, który wciąż mieszkał na wyspie, miał może dwadzieścia pięć lat, choć jego włosy zaczynały już siwieć, a twarz pokrywały zmarszczki. Wyglądał na sześćdziesiątkę, może nawet siedemdziesiątkę. Młody mężczyzna pracujący obok niego był niewiele starszy od chłopca, ale barczysty, muskularny i wyglądał na co najmniej trzydziestkę. Towarzyszyła im kobieta. Podobnie jak pozostali, miała na sobie cienkie bawełniane spodnie i koszulkę bez rękawów, ale spociała się przy pracy i koszulka przylepiła się do jej piersi tak, że chłopiec wyraźnie widział zarys ciemnych sutków.

Osiemdziesiąt Dwa poczuł drgnienie w lędźwiach i odwrócił wzrok zażenowany, że ją szpieguje. I zawstydzony, że jego ciało tak reaguje.

Kobieta trafiła łopatą na ukryty w ziemi kamień. Pochyliła się szybko i wygrzebała go palcami. Bez zastanowienia wyrzuciła go przez ramię i podniosła łopatę.

Nagle rozległ się ostry krzyk z drugiej strony kompleksu. Chłopiec odwrócił się i zobaczył, jak w stronę pracujących idzie jeden ze strażników, obcięty na jeża blondyn z pasem z bronią wiszącym nisko na biodrach.

– Co ty wyprawiasz, ty paskudna zdziro?! – krzyknął z australijskim akcentem, który czasem utrudniał chłopcu zrozumienie jego słów.

Troje Nowych Ludzi znieruchomiało, na ich twarzach natychmiast pojawiło się przerażenie. Wydawali się przestraszeni i zdezorientowani, niepewni, jaką zasadę złamali, ale świadomi, że coś zrobili. Zareagowali zgodnie z uwarunkowaniem i padli na kolana z opuszczonymi głowami. Australijczyk podszedł do nich. Górował nad nimi, a chłopiec zobaczył, że trzech inni strażnicy schodzą z werandy i rozstawiają się za blondynem. Wszyscy uśmiechali się szeroko.

Australijczyk trącił kamień noskiem buta.

– Co to za gówno? – spytał ostro.

Nowi Ludzie nie poruszyli się, jedynie zadrżeli ze strachu. Australijczyk uśmiechnął się jeszcze szerzej. Podniósł głos.

– Spytałem: co to za gówno?

Żadnej odpowiedzi. Nawet ze swojego miejsca na dachu Osiemdziesiąt Dwa widział, że kobieta zaczyna płakać, widział pierwsze srebrne łzy wypływające z jej oczu na okrągłe policzki.

– Ty! – zawołał Australijczyk. – Tak, do ciebie mówię, ty paskudna suko. Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Kobieta powoli podniosła wzrok na mężczyznę, jej towarzysze wciąż wbijali spojrzenia w ziemię, choć mięśnie im zeszywniały z przerażenia, które przepływało falami przez ich ciała.

– Kto wam powiedział, że macie narobić burdelu na tym całym pieprzonym podwórku? Popatrz tylko na to. – Znow trącił kamień, który miał wielkość jajka. – Zabieraj tu swój tyłek i posprzątaj ten bajzel. Już!

Kobieta ukloniła się kilka razy i pośpieszyła do przodu, trzymając się przy ziemi, tak przerażona, że mogłaby znow zrobić coś niewłaściwego, że szła na czworakach. Kiedy zbliżyła się do strażnika, zwolniła i zatrzymała się prawie poza jego zasięgiem, nim niepewnie wyciągnęła rękę do kamienia.

Strażnik popatrzył na nią z góry i chłopiec widział moment, w którym Australijczyk dostrzegł cienką bawełnianą koszulkę przyklepioną do ciężkich piersi kobiety. Wyraz twarzy mężczyzny się zmienił, brutalna wściekłość ustąpiła czemuś innemu, co wykraczało poza pojmanie chłopca. Wiedział, że mężczyzna może zgwałcić kobietę – widział dość maltretowania, by rozumieć, jak różne formy może przyjmować. Gwałt, sodomia, bicie, nawet zabijanie. Jednak niezależnie od tego, ile razy chłopiec widział te akty albo ich następstwa, nie pojmował ich. Nawet w swojej osobistej ciemności, nawet w głębinach własnych dziwacznych snów, nie czuł więzi z tego rodzaju

głodem. Osiemdziesiąt Dwa pochylił się, napinając mięśnie, i po raz setny zastanawiał się, co by się stało, gdyby krzyknął, kiedy mężczyźni to robili. Czy przerwaliby ze względu na to, kim jest? A może jedynym skutkiem byłoby kolejne bicie przez Ottona? Z tymi myślami tkwił na dachu, gdy poniżej kobieta podniosła kamień. Kłaniała się i mamrotała przeprosiny swoim wysokim, nosowym głosem.

Australijczyk kopnął ją w brzuch. Jedno ostre kopnięcie, które wbiło nosek jego okutego stałą buta w jej miękkie nadbrzusze i pozbawiło kobietę tchu. Nie mogła nawet krzyknąć. Jej ciało zwinęło się w drżący kłębek udreki, strażnicy śmiali się, a inni Nowi Ludzie klęczeli obok i płakali.

Strażnicy pożartowali sobie i poszli z powrotem na werandę, do piwa i domina, pozostawiając kobietę na środku dziedzińca, z kamieniem wciąż ściśniętym w dłoni.

Minęła minuta, a chłopiec patrzył. Siąknął nosem i zamarł, gdy dwaj Nowi Ludzie nagle odwrócili się i podnieśli wzrok.

Osiemdziesiąt Dwa pozostał nieruchomy. Usłyszeli go? Dostrzegli?

Nawet kobieta powoli podniosła głowę i spojrzała w jego stronę.

Strażnicy śmiali się i rozmawiali o piłce nożnej. Niczego nie usłyszeli. Chłopca piekły oczy od łez, powoli uniósł dłoń, by je otrzeć.

Na dole najstarszy z Nowych Ludzi patrzył w górę ze zmarszczonym czołem. Później uniósł rękę i powtórzył jego ruch. A może po prostu otarł własne łzy i był to zbieg okoliczności.

I wtedy drugi Nowy Człowiek zrobił to samo.

Osiemdziesiąt Dwa wstrzymywał oddech i się nie ruszał.

W końcu najstarszy z Nowych Ludzi odwrócił się do leżącej. Spojrzał ostrożnie w stronę strażników, a później powoli podszedł do kobiety, objął ją, pomógł jej wstać i wrócił z nią do towarzysza. Obaj Nowi Ludzie obejmowali ją i całowali, ale jeden

zawsze patrzył w stronę mężczyzn, gdy pozostali się obejmowali. Od czasu do czasu wszyscy posyłali szybkie spojrzenia w stronę cieni na dachu ganku. Później wrócili do pracy.

Chłopiec obserwował dłoń kobiety z nadzieją, że ukradkiem schowa kamień do kieszeni. On by go wziął, by użyć go później, gdy pojawi się okazja. By potraktować nim Cartereta, kiedy spał. Osiemdziesiąt Dwa chciał to zrobić, myślał o tym długo i intensywnie, choć jeszcze nie przeszedł do czynów. Ale kobieta najwyraźniej nie miała takiego pomysłu albo się bała, że zostanie złapana, bo upuściła kamień na stertę ziemi wykopanej z otworu i podniosła łopatę.

Po pięciu minutach chłopiec wycofał się wzdłuż dachu ganku i wszedł przez okno do swojego pokoju. Tam usiadł na skraju łóżka i zastanawiał się, co robić.

Rozdział czterdziesty drugi

***Magazyn Deep Iron,
sobota, 28 sierpnia, 16.06
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
91 godzin, 54 minuty EST***

Jeśli spojrzeć na nie pod właściwym kątem, szczątki to układanka. Można przeprowadzić inżynierię wsteczną. Patrzy się na pokój wypełniony śmieciami i zwraca uwagę na to, co leży na czym, bo dzięki temu prędzej czy później można dojść do tego, co spadło jako pierwsze. Kiedy pracowałem w wydziale zabójstw policji Baltimore, miałem jedną z tych klasycznych spraw z trupem wśród potłuczonych talerzy i rozrzuconych książek. Nowicjusz mógłby pomyśleć, że ofiara wróciła do domu i zastała w nim włamywaczy, a pokój albo był już zdemolowany, albo stało się tak w czasie szarpaniny. Ale dywan pod ciałem był zupełnie czysty, żadnych odłamków, co znaczyło, że na początku doszło do morderstwa. Oczywiście rozważyliśmy możliwość, że pomieszczenie zostało zdemolowane później, ale kiedy popatrzyliśmy na to, co leżało pod czym, stało się jasne, że ktoś chodził dookoła pokoju i rozbijał rzeczy, celowo i systematycznie. I wtedy zaczęliśmy przyglądać się żonie, która zawiadomiła policję, że znalazła ciało męża. Wzór ułożenia szczątków w połączeniu z kątem, pod jakim zadano zabójczy cios, to były całkiem solidne dowody poszlakowe. Później wystarczyło jedynie udowodnić fałszywość jej alibi i porządnie ją przesłuchać.

Ta część misji okazała się zadaniem dla policjanta, więc przestawiłem biegi w głowie, by do roboty wzięła się ta część mojego umysłu. Może nie jestem Jerryem Spencerem, ale radzę sobie na miejscu zbrodni.

Pomieszczenie wypełniały dziesiątki porzrzuconych pudeł. Widzieliśmy w czasie wymiany ognia, kiedy zostały przewrócone niektóre z nich. Większość pojemników zaklejono szeroką na pięć centymetrów przezroczystą taśmą. Na około jednej trzeciej z nich taśma pękła, a niektóre ze skrzyń i papierów wylądowały w kałużach krwi. Zaczęliśmy od najsuchszego kąta.

Musiałem przeliczyć w głowie kilka rzeczy – jeśli sterta dziesięciu pudeł spadła pod takim to a takim kątem i napotkała przeszkodę – dla przykładu nazwijmy tę przeszkodę moją głową – to uderzyły w podłogę z siłą równą x i rozsypały zawartość w taki to a taki sposób. Przeliczanie wzoru, zgodnie z którym papiery wysypały się z pojemników, przypominało sposób, w jaki specjaliści od plam krwi wyliczają rozpryski.

A to sprawiło, że przypominałem sobie poszarpane ciała ukryte pod pokrywami i musiałem stłumić przerażenie, przez które miałem ochotę albo zacząć krzyczeć, albo zwymiotować.

Skrzynie zostały też solidnie uszkodzone przez ostrzał. Każdy z Rosjan opróżnił w środku co najmniej kilka magazynków. W ścianach z pustaków były dziury, a pociski o dużym kalibrze przeryły też zawartość pudeł. Szczęście, że papier doskonale zatrzymuje kule, więc uszkodzenia nie były aż tak wielkie, jak można by się spodziewać. Granaty w ogóle uniemożliwiłyby nam pracę.

Każde z pudeł wyprodukowano z tektury falistej. Większość była ciemnobrązowa, z wzorem drewna orzecha i niewielką metalową kieszonką z przodu, w której mieściła się nieduża karta katalogowa. Na kartach znajdował się kod, najwyraźniej wykorzystywany w Deep Iron.

To Starszy wykombinował, jak działa kod na kartach

katalogowych. Wyciągnął kartę HH/I/3/6-8/051779 i powiedział:

– W porządku, drugie H to pewnie nasz człowiek, Heinrich Haeckel. Pudło pochodziło z tamtego rogu. To drugie pudło było dwa rzędy dalej. Jego karta zawiera „III”. Cyfry rzymskie oznaczają rzędy. Nadążacie?

– Absolutnie – odpowiedziałem z zadowoleniem.

– Dalej sześć kreska osiem. Szóste pudło w stercie ośmiu. Rozumiecie? A ta druga liczba to musi być data. Tkwią tu od bardzo dawna, więc spokojnie możemy przyjąć, że należy to odczytać jako pięć, siedemnaście, siedemdziesiąt dziewięć. Z tym kodem możemy postawić każdą skrzynkę na właściwym miejscu, nie bawiąc się w Sherlocka Holmesa.

– Właśnie zapracowałeś na swoją pensję w tym miesiącu, Starszy – stwierdziłem. – I butelkę cholernie dobrej szkockiej.

– Niech będzie irlandzka i wszystko się zgadza.

– Niech zgadnę – wtrącił Królik. – Lubisz black bush?

Starszy zmrużył oczy jak celujący snajper.

– Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił ci krzywdę, chłopczyku. Znam czterdzieści trzy sposoby na to, żebyś nigdy nie miał dzieci.

Królik uniósł rękę.

– Już dobrze, dobrze.

Wróciliśmy do pracy i teraz jedynym, co nas spowalniało, było decydowanie, które papiery powinny trafić do którego pudła.

– Co to za towar? – Królik sięgnął po plik papierów ze spinaczem.

– Ostrożnie – ostrzegłem go. – Wszystko musi wrócić do właściwego pudła.

– W porządku, ale co to za towar?

Postukał w kartkę na wierzchu, a ja pochyliłem się, żeby spojrzeć. Arkusz wypełniały kolumny liczb, których wartość nie miała sensu. Na szczycie każdej z kolumn znajdował się liczbowo-literowy identyfikator, który też nie miał sensu. Podniosłem pierwszą kartkę, później drugą. Ciągle to samo.

Papier był stary, a pismo ręczne.

– Księgowość? – spytał Królik.

– Nie mam pojęcia.

– Mam coś! – zawołał Starszy, który przeglądał stertę pudeł przy drzwiach. – To nie papier, wygląda na mikrofiszki.

Podał mi kilka arkuszy, a kiedy uniosłem je do światła, widziałem dziesiątki stron mniejszych od znaczka pocztowego. Bez czytnika nie umiałem ocenić, czy wyglądały tak samo jak kartki, które tu mieliśmy, czy były czymś innym. Rozejrzeliśmy się dookoła i znaleźliśmy tylko osiem arkuszy, rozrzuconych, jakby ktoś je upuścił.

– Jeśli to kopie tego towaru na mikrofiszkach – zauważył Królik – to z całą pewnością coś tu się nie zgadza. Myślę, że Stwór i jego kumpel zabrali resztę.

– Tak, niech to diabli.

Sięgnąłem po kolejną skrzynię papierów.

We trzech ponownie pakowaliśmy i ustawialiśmy sterty skrzyń, które spadły w czasie naszej walki. Wszystkie pudła, które spadły na mnie, wypełniały takie same pisane ręcznie notatki. Po jakimś czasie Królik znalazł w jednym z pojemników kartkę z adnotacjami.

– Popatrz na to, szefie – powiedział, a ja kucnąłem obok niego.

Na szczycie jednej z kolumn ktoś napisał ołówkiem: *Zwangs/Trauma*.

– To niemiecki? Co to znaczy? – spytał Królik.

Pokiwałem głową i wyjąłem z kieszeni notatnik, żeby zapisać kod z przodu pudła. Coś zaczęło mnie męczyć z tyłu głowy, ale było zbyt płochliwe, by wyjść na światło dnia.

Pracowaliśmy dalej.

Na zewnątrz panowała cisza. Żadnych trąbek kawalerii.

– Co to ma być, do diabła? – Starszy uniósł plik kart katalogowych. Na każdej znajdowała się notatka zapisana jakimś medycznym kodem, a w lewym górnym rogu widniał odcisk

palca. Starszy przyjrzał im się uważniej. – To nie tusz, kapitanie. Myślę, że to stara, zaschła krew.

– Nie rozmaż ich – ostrzegłem. – Nie wiemy, co tu mamy.

Kilka minut później odezwał się Królik.

– Hej, szefie. Mam tu kolejną ze słowami. I paroma nazwiskami.

Wraz ze Starszym przeszliśmy przez bałagan, żeby zobaczyć, co udało mu się znaleźć. Podał mi staromodną drewnianą podkładkę do pisania, zaznaczając jej miejsce na podłodze swoją manierką. Liczby zostały zapisane innym charakterem pisma, a na dole każdej kartki, po prawej stronie, znajdowały się inicjały „JM”. Do tego u góry po lewej słowa „Zwangs/Trauma”, a nad każdą kolumną albo pojedyncze słowo, albo kilka: „Geschwindigkeit”, „Winkel”, „Druck in Pfund pro Quadratzoll”. Prędkość. Kąt. Ciśnienie w funtach na cal kwadratowy. Dalej pionowo po lewej stronie kartki: „Kette”, „Schläger”, „Pferde-Peitsche”, „Faust”, „Barfuss”, „Gestiefert”.

Przełknąłem, choć gardło miałem suche jak pieprz.

Łańcuch. Pałka. Pejcz. Pięść. Bosa stopa. Obuta stopa.

– O mój Boże – szepnąłem, a pozostali popatrzyli na mnie.

Spoglądali ponad moim ramieniem na kartkę. Przetłumaczyłem, a na ich twarzach zaczęło się malować zrozumienie.

– Kurwa mać. – Starszy wyglądał na starszego niż czterdzieści lat, które w rzeczywistości miał.

– Jeśli to jest to, o czym myślę, to wpakowaliśmy się w chore gównno – dodał Królik. – Kto mógłby zbierać takie informacje?

Nie odpowiedziałem, jedynie przejrzałem resztę papierów, a później oddałem mu podkładkę.

– Zapakujmy to pudło z powrotem. Sprawdźcie wszystko. Chcę zobaczyć każdy kawałek papieru ze słowami, a zwłaszcza ręcznymi adnotacjami.

Zabrali się do pracy, ale w tym pudle niczego już nie było.

Następne z kolei, cóż, ono zmieniło wszystko.

Siedziałem na podłodze i porządkowałem kartki, kiedy znalazłem pisaną ręcznie notatkę wciśniętą w teczkę. Była po niemiecku, co nie sprawiło mi kłopotu. Czytając, czułem, że kręci mi się w głowie i jest mi niedobrze.

Heinrichu,

trzecia faza została zakończona dziś rano i mamy dość materiałów, by rozpocząć kolejny etap naszych badań. W przyszły czwartek przedstawię wyniki prób Herr Wirthsowi. Mam nadzieję, że uda Ci się do nas dołączyć.

Muszę wyznać, że jestem podekscytowany jak uczeń tym, co udało się nam tu osiągnąć i co jeszcze osiągniemy. To Boże dzieło, przyjacielu. Dziękuję Ci za komplementy na temat moich badań nad bliźniętami. Twoje notatki i sugestie miały ogromną wartość, podobnie jak Twoje obserwacje na temat zoonoz i prace nad rakiem wodnym.

Proszę, daj mi znać, czy uda Ci się wziąć udział w prezentacji. Twoje uwagi będą miały ogromną wartość dla widowni i dla mnie osobiście.

List datowano na 22 lutego 1942 roku. Był adresowany do Heinricha Haeckla. Siedziałem i gapiłem się na kopertę, z którą go spięto. List wysłano na berliński adres Haeckla z miasteczka Birkenau.

Poczułem, że przeszywa mnie zimno.

Miłosierny Boże.

Birkenau było małym polskim miasteczkiem, w którym Niemcy wybudowali obóz Auschwitz.

Mężczyzną, który wysłał list, był Josef Mengele.

Rozdział czterdziesty trzeci

Dom Krzyków, Isla Dos Diablos Wieczór, piątek, 27 sierpnia

Przez całe popołudnie i aż do wieczora Osiemdziesiąt Dwa rozmyślał o tym, co wydarzyło się w ogrodzie. Nie po prostu o strażniku kopiącym kobietę – w Ulu takie rzeczy działy się pięćdziesiąt razy dziennie – ale o sposobie, w jaki Nowi Ludzie na niego patrzyli. Jeśli w ogóle go widzieli, czego był pewien. Albo wyczuli. Albo coś.

Słyszeli, jak siąka nosem. Kiedy otarł łzy z oczu, powtórzyli ten ruch. Dlaczego? Co to znaczyło? Czy to w ogóle miało znaczenie, czy zadziałali pod wpływem impulsu naśladownictwa? Osiemdziesiąt Dwa słyszał, jak Otto mówił, że mieli to wdrukowane, że byli naturalnymi naśladowcami. Jak małpy, choć byli bystrzejsi i łatwiej się ich kontrolowało. Zostało to celowo zaprojektowane. Tak ujął to w słowa Otto, kiedy omawiał tę kwestię z jednym z lekarzy.

Ale czy chodziło jedynie o to?

A jeśli było to coś innego? Osiemdziesiąt Dwa miał taką nadzieję. Jeśli Nowi Ludzie byli zdolni do niezależnego działania, to może kiedy dotrą tu Amerykanie, Nowym Ludziom będzie można pokazać, jak przełamać warunkowanie. Jeśli Amerykanie tu dotrą. Minęły dwa dni od czasu, kiedy wysłał nagranie z polowania. Marzył o tym, żeby wślizgnąć się do sali komunikacyjnej i sprawdzić adres mailowy, który założył. Czy technicy by się zorientowali? Czy mogliby jakimś sposobem

ustalić, że to on? A jeśli tak, co zrobiłby Alfa? Co gorsza, co Alfa pozwoliłby zrobić Ottonowi?

Im dłużej chłopiec o tym myślał, tym bardziej czuł się przerażony i zdesperowany i tym bardziej chciał zrobić coś jeszcze, by dotrzeć do mężczyzny znanego jako Diakon.

Sierpniowe słońce zachodziło powoli nad wyspą, a Osiemdziesiąt Dwa siedział na podłodze, w kącie między łóżkiem a toaletką, i patrzył niewidzącym wzrokiem w telewizor. Miał spędzać przed nim sześć godzin dziennie, każdego dnia. Oczywiście nie miał wyboru. Otto ustalał plan i programował jego DVD. W tym tygodniu były to filmy wojenne. Osiemdziesiąt Dwa wolał je od tych związanych z seksem, które musiał oglądać. Nie do końca rozumiał dlaczego, bo w obu typach filmów było mnóstwo przemocy. Przemoc była prawie we wszystkim, co wybierał dla niego Otto. Nawet nagrania operacji chirurgicznych wyglądały gwałtownie. Krew, krzyki pacjentów przypiętych pasami do stołów. Nawet z przyciszonym dźwiękiem były paskudne.

I nie mógł zamknąć oczu ani skłamać, że je obejrzał. Otto zawsze pytał Osiemdziesiąt Dwa o to, co oglądał, a na te pytania chłopiec mógł odpowiedzieć jedynie, jeśli je widział. Osiemdziesiąt Dwa szybko nauczył się, jak nie dać się złapać na kłamstwie.

Słońce zaszło, ale nie włączył lampki. Usłyszał hałasy, podszedł do okna i wyjrzał w mrok, nasłuchując dźwięków, które niemal co noc wypełniały powietrze.

Wrzaski. Krzyki ekstazy, krzyki bólu, czasami nakładające się w sposób, od którego robiło mu się niedobrze. Krzyki z laboratoriów i baraków, w których mieszkali Nowi Ludzie.

Myślał o kamieniu, za którego odrzucenie ta kobieta została skopana. Bolało go, że nie podniosła go i nie zabrała ze sobą. Osiemdziesiąt Dwa wydawało się, że to było najlepsze rozwiązanie. Zachować go. A może użyć.

Ale ona rzuciła go na stertę ziemi wykopanej z otworu, niechętna, by znaleźć dla niego inne zastosowanie, a może niezdolna do tego.

Niewłaściwość tego postępowania nie chciała mu wyjść z głowy. Płonęła w jego myślach jak kropla tłuszczu do smażenia, która spadła na skórę. Dlaczego nie pomyślała, żeby zabrać kamień, z którego powodu została pobita? Co takiego powstrzymywało Nowych Ludzi przed stawianiem oporu? Na wyspie były ich setki, a zaledwie sześćdziesięciu strażników i osiemdziesięciu trzech techników. Nowi Ludzie byli bardzo silni i choć krzyczeli w czasie bicia, Osiemdziesiąt Dwa – który trochę wiedział o cierpieniu i krzywdzie – widział wyraźnie, że mogli znieść wielki ból. Kulili się, krzyczeli, płakali, nawet padali na ziemię, kiedy ktoś ich bił, ale już po kilku minutach wracali do ciężkiej pracy. Osiemdziesiąt Dwa nie wiedział jeszcze, czy częściowo nie udawali bólu i nie krzyczeli głośniej, ponieważ tego od nich oczekiwano, ponieważ strażnicy czuli się zadowoleni, a zadowalanie było jednym z powodów istnienia Nowych Ludzi. Osiemdziesiąt Dwa bawił się tym pomysłem od wielu tygodni i dlatego incydent z kamieniem był tak kluczowy dla jego pojmowania.

W jego snach – w nocy i na jawie – Nowi Ludzie powstawali i rozrywali strażników na kawałki. Niczym zwierzoludzie z powieści H.G. Wellsa *Wyspa doktora Moreau*, w wymarzonym świecie chłopca Nowi Ludzie w końcu odrzucali jarzmo udręki i tortur, i mordowali złych ludzi. Osiemdziesiąt Dwa pragnął, by Dom Krzyków wypełniły te same okrzyki gorączkowej sprawiedliwości, które wstrząsnęły ścianami Domu Cierpienia z powieści Wellsa.

A Osiemdziesiąt Dwa bardziej uwierzyłby w tę możliwość, gdyby kobieta po prostu wzięła ten przeklęty kamień.

Wieczór trwał dalej, a chłopiec odkrył, że nie znieśnie kolejnej nocy bierności.

Wyszedł z pokoju i przeczołgał się po krytym dachówkami skośnym dachu aż do jego końca i poczekał, aż kamera nadzorująca zwróci się w inną stronę. Już od dawna znał na pamięć każde drgnięcie kamer w kompleksie. Kiedy ktoś tak bardzo się nudzi, znajduje sposoby na wypełnienie czasu. Wiedział, że kiedy kamera się odwróci, będzie miał dziewięćdziesiąt osiem sekund na dotarcie do rynsztoka odprowadzającego deszczówkę na drugim końcu tego skrzydła. Udało mu się to bez trudu, znów się zatrzymał, gdy kolejna kamera przechodziła swój cykl. Posuwając się skokami, przez cały czas odliczając i zachowując cierpliwość, Osiemdziesiąt Dwa dotarł od swojego okna do miejsca, w którym siedział tego ranka. Ogród poniżej spowijały fioletowe cienie.

Zeskoczył z rogu dachu na bliższą z dwóch wielkich palm, złapał jej pień w znajomym miejscu i z wypraktykowaną łatwością zsunął się na dół. U podnóża zaczekał, aż kamera na ziemi zatoczy krąg, a wtedy pobiegł wzdłuż nowego kojca dla kur do rabatki po przeciwnej stronie. Żyzna czarna ziemia z otworów została rozsypana cienką warstwą na rabatce. Osiemdziesiąt Dwa pochylił się i zaczekał, aż jego nocne widzenie się wyostri, tak by widział każdy szczegół. Przeciągnął palcami po ziemi, przeszukując ją, aż znalazł grudę. Jego zwinne palce wyciągnęły z gleby kamień wielkości jaja. Zważył go w dłoni. Był to kawałek czarnej wulkanicznej skały, gładki jak szło.

Osiemdziesiąt Dwa kucał i przetaczał go w dłoniach, a jego wzrok przeniósł się na ganek, na którym strażnicy wcześniej grali w domino. Wielki Australijczyk nazywał się Carteret. Osiemdziesiąt Dwa wyobrażał sobie, jak mężczyzna drzemie w hamaku, ogłupiony piwem, telewizor pokazuje porno, a papieros wisi między jego obwisłymi wargami. Obraz był tak wyraźny, jakby chłopiec na niego patrzył.

Inna część umysłu Osiemdziesiąt Dwa odgrywała obraz kobiety zwiniętej w kłębek z bólu. I śmiech strażników, gdy

Carteret odszedł od niej, jakby była mniej niż niczym.

Kamień był uspokajającym ciężarem w jego dłoni.

Podniósł wzrok na niebo – ogromną, potężną wieczność upstrzoną diamentami nad linią drzew – i zastanawiał się, dlaczego człowiek zwany Diakonem nie przybył. Czy mail w ogóle do niego dotarł? Czy miał zamiar przybyć? Czy ktokolwiek przybędzie?

Osiemdziesiąt Dwa zacisnął pięść na kamieniu, czując jego starożytną trwałość i twardość.

Zastanawiał się, czy może zaryzykować i odezwać się raz jeszcze.

Gdyby to się nie udało, co miałby zrobić?

W Domu Krzyków rozległ się wysoki kobiecy wrzask. Czy to była ta sama kobieta? Czy myśli o niej kłębiły się w umyśle Cartereta przez cały dzień, podobnie jak myśl o kamieniu płonęła w Osiemdziesiąt Dwa?

Chłopiec spojrzał zmrużonymi oczyma na kompleks laboratoryjny. Dom Krzyków. Ponad jego głową głośniki umieszczone na palmach zaczęły wyć. Opiekunowie przygotowywali się do wypuszczenia na noc psów.

Czas iść.

Wygładził ziemię, by ukryć miejsce, z którego wyjął kamień, zaczekał, aż kamera na ziemi się poruszy, a później zerwał się gwałtownie. Przebiegł przez ogród, bez trudu wspiął się po pniu palmy i wskoczył na dach. Kamień spoczywał w jego kieszeni.

Rozdział czterdziesty czwarty

***Biały Dom,
sobota, 28 sierpnia, 16.10
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
91 godzin, 50 minut***

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych siedział za biurkiem, ale miał wrażenie, jakby znajdował się pod ostrą lampą na tyłach pokoju odpraw na komisariacie. Przed jego biurkiem stało troje ludzi. Dwaj mężczyźni i kobieta. Nie chcieli usiąść ani napić się kawy. Żadne z nich się nie uśmiechało. Bill Collins przenosił wzrok z twarzy na twarz i wiedział, że w tym pokoju nie ma przyjaciół.

Imprezę prowadził spiker Izby, Alan Henderson. Takie było jego zadanie, jako drugiego w linii sukcesji. Miał na sobie kosztowny garnitur w rozmyte prążki i muszkę, która wyszła z mody przed czterdziestoma laty. Nawet w czasie najcięższych kryzysów spiker zwykle uśmiechał się z lekkim rozbawieniem, co było typowe dla jego doskonale znanego nastawienia „i to przeminie”. Teraz jego twarz była równie smętna, jak u grabarza.

– Cóż, Bill, tym razem naprawdę wypieprzyłeś kotka za pomocą młotka. Nie dość, że wypieprzyłeś kotka za pomocą młotka, to później jeszcze przejechałeś biedaka walcem parowym. Właśnie wróciłem ze spotkania z prezydentem. Prawie doprowadziłeś go do ataku serca, który jego lekarze próbowali powstrzymać bypassami.

Sekretarz stanu odchrząknęła.

– Uważam to za niepokojące, że nie skonsultowałeś się ze mną przed przeprowadzeniem tej operacji.

– Skończyliście? – spytał chłodno Collins. – Zaczniemy od początku. Alanie, kiedy wydałem te rozkazy, byłem pełniącym obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych, więc lepiej, żebyśmy pamiętali o łańcuchu dowodzenia. Choć doceniam twoją lojalność i służbę krajowi, nie podoba mi się, że używasz wobec mnie takiego tonu głosu.

To ich uciszyło.

– Po drugie, zanim podjąłem działania, skonsultowałem się z prokuratorem generalnym. Nathanie?

Prokurator generalny Nathan Smitrovich pokiwał głową, choć wyraźnie nie był pewien, jak to się rozegra.

– Zgadza się, Alanie. Zadzwoił do mnie i rozmawialiśmy o tym. Ja... no... poradziłem mu, żeby wprowadził w sprawę kilku innych ludzi, ale on powiedział, że to kwestia zaufania.

– Zaufania? – Alan Henderson nagle przestał robić wrażenie łagodnego. – Co, do diabła, za kogo ty się uważasz...?

– Uspokój się, Alanie – powiedział Collins. – Nikt nie wysuwa żadnych oskarżeń. A przynajmniej wobec ciebie. Ani nikogo obecnego w tym pokoju. Ale musicie zrozumieć moją sytuację. Otrzymałem poufne informacje z dobrze poinformowanego źródła. Informacje nie tylko przedstawiały zorganizowaną akcję szantażu, której celem był prezydent, ale sugerowały również, że wielu innych kongresmenów może być podobnie kontrolowanych. Nie mogłem ryzykować i omawiać tej kwestii otwarcie. Jeśli ktoś jeszcze był zamieszany, to materiał w posiadaniu pana Churcha mógłby zostać ujawniony publicznie, a to mogłoby doprowadzić do upadku tego rządu. A w najlepszym wypadku by go osłabiło. – Odchylił się do tyłu i popatrzył na nich, jego twarz była spokojna. – Powiedzcie mi, jak wy byście się zachowali? Powiedzcie mi, że postąpilibyście

inaczej.

Sekretarz Stanu, Anne Harcourt, założyła ręce na piersi i przechyliła głowę. Nie wydawała się przekonana.

– Kupiłabym ten kawałek o tajnym informatorze, Bill, a przy pewnej dozie łatwowierności mogłabym zaakceptować twoją racjonalizację, dlaczego nie poinformowałeś nikogo z nas. Ale naprawdę zamierzasz tu siedzieć i mówić mi, że cała ta operacja została wymyślona, zaplanowana i wprawiona w ruch dopiero po tym, jak prezydent został znieczulony?

Collins się roześmiał.

– Oczywiście, że nie. Informacje otrzymałem kilka dni temu. Po tym, jak ogłoszono, że prezydent podda się zabiegowi chirurgicznemu. Mój informator stwierdził, że jego zdaniem to jedyna okazja, która pozwoli mi przeprowadzić szybki i zdecydowany kontratak.

– Kim jest ten informator? – spytał Henderson.

Collins posłał spojrzenie prokuratorowi generalnemu.

– Powiedziałem Nathanowi, że chcę utrzymać nazwisko informatora w tajemnicy do czasu rozwiązania sytuacji. A sytuacja nie została rozwiązana. Owszem, prezydent znów sprawuje władzę, ale to nie usuwa zagrożenia.

– Jeśli zagrożenie w ogóle jest realne.

– Wierzę, że jest realne.

– Dlaczego? – spytała Anne Harcourt. – Co cię przekonało?

Collins odezwał się po chwili wahania.

– Ponieważ informator miał informacje, które mogły pochodzić jedynie z dwóch źródeł: od samego prezydenta albo kogoś, kto jakimś sposobem zgromadził bardzo prywatne informacje na temat prezydenta.

– Jakie to były informacje? – spytał prokurator generalny. – Nie chciałeś mi powiedzieć wcześniej, ale teraz chcę wiedzieć, do cholery.

– Nie ma szans, Nathanie. Za pięć minut jadę do Waltera

Reeda. Omówię tę kwestię bezpośrednio z prezydentem. Jeśli on postanowi zezwolić, by w tej rozmowie brał udział ktoś jeszcze, będzie to jego wybór. Ja nie zawiodę zaufania prezydenta. Nie wobec was i w żadnych okolicznościach, nawet jeśli postawicie mnie przed podkomisją.

Kiedy inni nic nie powiedzieli, dodał:

– Od początku sprzeciwiałem się utworzeniu WDN. Ostrzegałem, że może stać się zagrożeniem, czymś, nad czym nigdy nie zapanujemy.

Alan Henderson westchnął.

– A ja zgadzałem się z tobą, ale zostaliśmy przegłosowani. I nie wierzę, że pan Church szantażował każdego, kto głosował przeciwko nam. Niektórzy uważają, że misja WDN jest cenna, a nawet kluczowa. W chwili obecnej sekretarz obrony i sekretarz bezpieczeństwa krajowego chcą dostać twoją głowę na tacy, a oni nawet nie lubią Churcha. Ale rozumieją wartość WDN. Być może masz problemy z pamięcią krótkoterminową, Bill, ale agenci WDN przed dwoma miesiącami uratowali życie twojej żony. I moje też. I obecnej tu Anne oraz pierwszej damy. Powstrzymali terrorystów przed wprowadzeniem na teren kraju broni nuklearnej i biologicznej. Powstrzymali sześć różnych prób zamachu na życie prezydenta. Powstrzymali porwanie córek prezydenta. I zamknęli czterdzieści trzy komórki terrorystyczne działające na terenie Stanów Zjednoczonych.

– Nie powiedziałem, że nie zrobili nic dobrego – stwierdził Collins. – Powiedziałem, że przekroczyli swoje uprawnienia i są teraz zagrożeniem dla tego rządu.

– Jeśli twój informator się nie myli – zauważyła Harcourt.

– Tak. A kiedy porozmawiam z prezydentem, będę współpracował z wami w każdy możliwy sposób, by potwierdzić te informacje.

– Może tylko ja mam takie wrażenie – mruknął Henderson – ale mnie to śmierdzi bronią masowego rażenia za Saddama.

Collins zignorował jego słowa.

– MindReader może być użytecznym narzędziem w czasie wojny przeciwko terroryzmowi, ale jest też ogromnie niebezpieczny. Ten system komputerowy może się dostać wszędzie, dowiedzieć się wszystkiego. Nawet Church nie ma uprawnień, by wiedzieć wszystko. Myślicie, że nie zbadalem tej kwestii? Nie zadawałem pytań? Ludzie od lat po cichu skarżą się na Churcha, sugerując, że używa swojego komputera, by dowiadywać się o ludziach różnych rzeczy, a później wykorzystuje te informacje jako środek nacisku, by zawsze postawić na swoim. Oni szantażują prezydenta, zmuszają go, by dawał WDN coraz większą władzę!

Alan Henderson przez chwilę patrzył na pozostałych. Sekretarz stanu założyła ręce na piersi, prokurator generalny wzruszył ramionami.

– W porządku, Bill – powiedział Henderson – ale lepiej, żebyś miał rację, bo inaczej cała ta sprawa wróci i ugryzie cię w tyłek.

– Gdybym myślał, że się mylę, nigdy bym tego nie zrobił.

Spojrzał na zegarek.

– Muszę iść. Mój samochód będzie za dwie minuty na dole.

* * *

Kiedy wiceprezydent znalazł się w samochodzie i zamknął dźwiękoszczelne okno między sobą a kierowcą, wyjął komórkę i wybrał numer J.P. Sunderlanda.

– Jak poszło? – spytał Sunderland.

– Czuję się, jakby pracowali nade mną zawodowi bokserzy.

– Kupili to?

– Jak na razie, ale nie są do końca po naszej stronie. Ponieważ nie przyszliśmy z MindReaderem i nie możemy udowodnić, że Church ma coś na prezydenta, będziemy musieli przejść do planu

B i zrobić to cholernie szybko. Jadę do Waltera Reeda na spotkanie z prezydentem. Będzie mi chciał urwać głowę, więc dobrze by było, gdyby jego ludzie dostali wiadomość o naszym koźle ofiarnym. Nie chcę, żeby to przeszło przeze mnie, rozumiesz?

– Pewnie. Nie martw się, Bill. Mam wszystko pod kontrolą.

Rozłączyli się, wiceprezydent usiadł wygodniej i patrzył na mijane szare budowle Waszyngtonu. Wydawał się spokojny i opanowany, ale w duchu wrzeszczał.

Rozdział czterdziesty piąty

*Magazyn Deep Iron,
sobota, 28 sierpnia, 16.22
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
91 godzin, 38 minut*

Telefon satelitarny zabręczał i starszy sierżant Cegła Anderson sięgnął po niego, nie odrywając wzroku od frontowego wejścia do głównego budynku Deep Iron. Zidentyfikował się i odebrał hasło tego dnia. Kiedy je potwierdził, ktoś powiedział:

– Pan Church na linii.

Chwilę później odezwał się Church:

– Raport, sierżancie.

– Po tej stronie nic nowego. Kapitan Ledger i jego oddział są w tej dziurze od siedemdziesięciu jeden minut, a ja przez siedemdziesiąt z tych minut pocilem się jak świnia.

– Jakaś aktywność?

– Nic z ich strony i nic ze strony kogokolwiek innego.

Church milczał przez chwilę.

– Dobrze, proszę mnie posłuchać, sierżancie. Sytuacja się zmieniła. Prezydent się obudził i przejął władzę, choć nadal jest w szpitalu. Wiceprezydent ma polecić NSA, by się wycofało.

– Alleluja mać. I najwyższy czas, sir. Doceniłbym towarzystwo.

– Zgadza się. Poinformowałem Piastę i wsparcie już się toczy. W ciągu trzydziestu minut będziesz miał wsparcie techniczne z własnego biura, a dostałem właśnie informacje, że jednostki

antyterrorystyczne policji stanowej Kolorado są już w powietrzu i kierują się w twoją stronę. Przewidywany czas przybycia trzydzieści pięć minut.

– Jakież rozkazy, sir?

– Siedź na miejscu, dopóki nie pojawi się wsparcie. Antyterrorysty zostali poinformowani, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego i że dowodzisz do czasu, gdy zostaną zlokalizowani kapitanowie Petersen lub Ledger. Jeśli żaden nie pojawi się do przybycia antyterrorystów, chciałbym, żebyś wszedł do Deep Iron, ocenił sytuację, a jeśli nie pojawi się bezpośrednie zagrożenie, zlokalizował naszych ludzi. – Church przerwał. – Wiem, że nie jesteś już w aktywnej służbie, sierżancie, ale potrzebuję na dole jednego ze swoich ludzi, by prowadzili poszukiwania. Poradzisz sobie?

– Sir, straciłem nogę, ale nie palec, którym naciskam spust.

– Doskonale. Informuj mnie.

Church się rozłączył.

Cegła odłożył telefon, spojrzął na zegarek i znów pochylił się nad ciężkim karabinem, patrząc w stronę frontowego wejścia. Ulżyło mu, że problem z NSA został rozwiązany, przynajmniej na razie, ale paskudne przeczucie, które męczyło go przez cały dzień, wciąż tam było. Silniejsze niż wcześniej.

* * *

Po drugiej stronie budynku dwie niekształtne sylwetki wypełzły z kanału wentylacyjnego i odeszły, trzymając się nisko. Jeden kuśtykał z powodu rany uda, drugi zataczał się za nim, zaciskając ręce na rannych ustach. Obaj zostawiali ślady ciemnej krwi. Zatrzymali się na krawędzi dachu i wpatrzyli w pagórki po drugiej stronie obiektu. Nic się tam nie poruszało poza wysuszoną trawą kołyszącą się na wietrze.

Jeden otworzył zamykaną na rzepy kieszeń na biodrze i wyjął z niej dwie małe strzykawki. Podał jedną towarzyszowi i obaj wstrzyknęli sobie w ramiona koktajl morfiny z adrenaliną. Ból od razu złagodniał do poziomu, który mogli wytrzymać.

Ranny w nogę wyjął telefon satelitarny z kabury u pasa, włączył go, sprawdził zegarek i wprowadził częstotliwość przypisaną do tej godziny. Rozmowę odebrała kobieta o zmysłowym kocim głosie.

– Misja wykonana – zameldował ranny żołnierz głosem, który kontrastował z głosem kobiety. Był głęboki i gardłowy, słowa zniekształcone, jakby jego usta i język nie były przystosowane do tego zadania.

– Status? – spytała kobieta.

– Obaj jesteśmy ranni, ale możemy się poruszać. Prosimy o podniesienie z punktu zrzutu.

– Jak szybko?

– Za dziesięć minut.

– Dobrze.

Kobieta się rozłączyła.

Mężczyzna znów schował telefon satelitarny do kabury, zużyte strzykawki do kieszeni i skinął głową towarzyszowi. Zeszli po ścianie, poruszając się najszybciej, jak pozwalały im na to obrażenia, przebiegli przez parking na tyłach, wspięli się na ogrodzenie z siatki i ruszyli w stronę wzgórz, do maksimum wykorzystując naturalną osłonę. W ciągu kilku minut zniknęli.

Rozdział czterdziesty szósty

*Magazyn Deep Iron,
sobota, 28 sierpnia, 17.21
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
90 godzin, 39 minut*

Nagle zapaliły się światła, a po chwili rozbrzmiał hydrauliczny szum wind. Po kilku minutach usłyszeliśmy głosy. Stłumione i odległe. Sprawdziliśmy broń i zajęliśmy pozycje strzeleckie za stertami pudeł. I wtedy usłyszałem starszego sierżanta Cegłę Andersona, ryczącego:

– Drozd!

Przybyła kawaleria.

– I najwyższa pora – mruknął Królik.

On i Starszy zaczęli odsuwać skrzynie od drzwi. Otworzyli je ostrożnie, Starszy otoczył usta dłońmi i krzyknął w głąb korytarza:

– Kanarek!

Usłyszeliśmy krzyki, warkot maszyn i odgłosy kroków. Cegła znów wykrzyknął hasło, a Starszy je potwierdził i otworzył drzwi. Cegła zatrzymał meleks, w poprzek którego spoczywał karabin maszynowy. Otaczał go tuzin mężczyzn z pełnym wyposażeniem antyterrorystycznym, z bronią opartą na lewych rękach. Popatrzyli na nas, a później ponad nami, na martwych Rosjan na podłodze pod ścianą. Pokrywy pudeł nie zasłaniały przerażającej rzeczywistości tego, co spoczywało pod nimi.

– Nie nudziliście się, chłopcy – powiedział Cegła z ponurym uśmiechem.

Pokręciłem głową.

– Nie nasza robota, sierżancie.

Uśmiech Cegły zaczął znikać.

– Kapitan Peterson?

Znów pokręciłem głową.

– Nie natrafiliśmy na ślady oddziału Jigsaw.

Przedstawiłem Cegle i dowódcy antyterrorystów skróconą wersję wydarzeń, pomijając to, co znaleźliśmy w pudłach. Cegła wydawał się wstrząśnięty. Dowódca antyterrorystów przekazał swoim ludziom, że na terenie obiektu znajduje się co najmniej dwóch ciężko uzbrojonych wrogów. Zgodziłem się z podejściem „strzelać bez ostrzeżenia”, ale przemawiało przede mną zdenerwowanie. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że lepiej mieć jeńców, których można przesłuchać. Przydałyby się nam odpowiedzi.

Oddział się rozproszył i wziął do poszukiwań, ale wątpiłem, by wiele znaleźli.

Podciągnąłem kilka pudeł z dokumentami i załadowałem je na meleks Cegły.

– Ustaw paru ludzi przy tych drzwiach. – Wskazałem na bunkier Haeckla. – Nikt tu nie wchodzi i niczego nie dotyka, chyba że wydam takie polecenie.

Cegła przyjrzał mi się uważnie, ale niczego po sobie nie pokazywałem. A w każdym razie tak sądziłem, bo dostrzegł we mnie coś, co sprawiło, że sam spochmurniał. Pokiwał głową i przekazał rozkazy antyterrorystom.

Kilka minut później pojawiło się wsparcie techniczne z biura WDN w Denver, a wraz z nimi przybył kolejny tuzin uzbrojonych żołnierzy z Piasty. Czekaliśmy jeszcze na wsparcie policji stanowej, wraz z pułkownikiem Gwardii Narodowej i dwiema setkami ludzi. Wydawało się, że to dużo, ale wapienne jaskinie

były ogromne. Oficer łącznikowy Piasty powiedział mi, że Jerry Spencer już do nas leci, więc wprowadziłem odpowiednią poprawkę do swoich rozkazów. Niech Jerry pobawi się w tym bałaganie.

Zająłem się wszystkim, ale moje myśli krążyły gdzie indziej. Ten list nie dawał mi spokoju. W każdym innych okolicznościach byłaby to ciekawostka historyczna, na podstawie której jakiś uczoney mógłby napisać książkę. I może tak rzeczywiście było, ale nie czułem się przekonany. Ten dzień obfitował w zbiegi okoliczności, a ja nie kupowałem żadnego z nich. Kiedy ktoś wysyła dwa uzbrojone oddziały, żeby za wszelką cenę coś zdobyć, towar musi być czymś więcej niż materiałem na odcinek specjalny kanału History. Wtedy implikacje robiły się oszalamiające, a kiedy tak stałem z boku i patrzyłem, jak Cegła, oddział z Piasty i antyterroryści robią swoje, usiłowałem nadać temu wszystkiemu jakiś kształt. Mój wewnętrzny glina przejął dowodzenie i zaczął po kolei rozważać osobne wydarzenia tego dnia.

Oddziały Rosjan tutaj i w Wilmington. W Wilmington zlikwidowali gościa, który sprzedawał skradzione wyniki badań medycznych. Czego dokładnie dotyczyły te badania? – zastanawiałem się. Church wiedział, a ja zamierzałem się dowiedzieć. Drugi rosyjski oddział tutaj w Denver, szukający starych archiwów, które okazały się – co za niespodzianka – również badaniami medycznymi... ale prowadzonymi przez nazistowskich lekarzy w Auschwitz. Całe pudła. Statystyki i wyniki. *Zwangs/Trauma*. Te słowa napisano na jednej z kartek. Niemieckie określenie na „uraz tępy”. Notatki sugerowały, że wyniki klasyfikowano według szybkości, kąta i ciśnienia w funtach na cal kwadratowy, jak również narzędzi: łańcuchów, pałek, pejczy, pięści, gołych stóp i obutych stóp. Obszerna, drobiazgowa i wyczerpująca dokumentacja skutków celowego znęcania się. Choć stałem się cyniczny, trudno mi było pojąć

skalę i stopień osobistego zepsucia, koniecznych, by podjąć się takich badań. A trwały one całymi latami.

Jeśli archiwa były autentyczne, to jak, do diabła, Heinrich Haeckel przemycił je po wojnie z Niemiec? Ten towar nie powinien istnieć, a już z całą pewnością nie w prywatnym magazynie w Stanach. A jednak oto był, a ludzie byli gotowi zabijać się nawzajem, by go odzyskać, podobnie jak byli gotowi torturować i zabić Burta Gilpina w Wilmington i strzelać do moich agentów.

Dlaczego?

Kiedy Starszy i Królik opisali mi incydent w Wilmington, wspomnieli, że Rosjanie ściągali informacje z twardego dysku Gilpina. Czyżby Gilpin w czasie swoich hackerskich przygód wpadł na jakieś wzmianki o Haecklu i podążył za nimi do danych spadkowych, które zaprowadziły Rosjan do Deep Iron? Bardzo prawdopodobne. Czasowo pasowało, przynajmniej jeśli chodzi o Rosjan.

Church powiedział, że grupa z czasów zimnej wojny zwana Koterią była zainteresowana takimi rzeczami, był jednak przekonany, że Koteria została wyeliminowana. Mylił się? A może ktoś podjął działania w punkcie, w którym Koteria je zakończyła? Ktoś, kto wynajął albo Rosjan, albo dwóch wielkich mięśniaków, by odnaleźć coś, co było przechowywane wśród tych dokumentów. Wydawało mi się to całkiem prawdopodobne, choć nadal nie odpowiadało na pytanie, kto wysłał drugi oddział.

Moje zamyślenie przerwał Starszy Sims, który podał mi telefon satelitarny.

– Myślaki z Piasty umieściły serię przekaźników na schodach. To pan Church.

Pokiwałem głową i odebrałem.

– Słyszał pan o NSA? – Church nie czekał na odpowiedź. – Jak wygląda sytuacja bieżąca?

Powiedziałem mu, a wtedy po drugiej stronie zapanowała

cisza. Słyszałem poruszające się trybiki, gdy Church wszystko analizował.

– Mam kilka pytań – zacząłem mówić, ale mi przerwał.

– Za czterdzieści minut na lotnisku będzie czekał C-130. Chcę, żeby na jego pokładzie znalazł się każdy kawałek papieru z bunkra Haeckla i jak najszybciej trafił do mnie. Pan też ma się znaleźć na pokładzie.

– Co się dzieje, do diabła?

– Pamięta pan, kiedy powiedziałem, że istnieje najgorszy scenariusz powiązany z mężczyzną na nagraniu?

– Tak.

– To właśnie to.

Rozłączył się.

* * *

Oddałem telefon satelitarny. W porządku, pomyślałem, Church potrzebował trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć. Ja też zaczynałem już dostrzegać zarys tego czegoś. W dziwny i głęboko przerażający sposób zaczął nabierać kształtów, trochę jak potwór wychodzący powoli z mgły. C-130 będzie potrzebował kilku godzin na dotarcie do Baltimore. Mnóstwo czasu na przemyślenia.

Cały problem polegał na tym, że nie byłem pewien, czy chciałem, żeby moje podejrzenia się potwierdziły, czy nie. Jeśli się myliłem, nie trzymaliśmy tego czegoś nawet za ogon i byliśmy równie nieświadomi, jak przed przybyciem do Deep Iron.

Z drugiej strony, jeśli miałem rację... dobry Boże w niebiosach.

Rozdział czterdziesty siódmy

*Wojskowe centrum medyczne Walter Reed,
Waszyngton, DC,
sobota, 28 sierpnia, 17.23
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
90 godzin, 37 minut*

Prezydent Stanów Zjednoczonych leżał opleciony siatką rurek i przewodów systemu monitorującego. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, który nawet w najlepszych momentach wydawał się delikatny, a bezpośrednio po operacji, w szpitalnym szlafroku, powinien wyglądać jeszcze bardziej krucho. Tymczasem wściekłość sprawiła, że robił wrażenie silnego i niebezpiecznego. Jego ciemne oczy wręcz emanowały prawdziwym gorącem.

William Collins stał u wezglowia łóżka – nikt nie zaproponował, żeby usiadł – i znosił to spojrzenie. Minęła prawie pełna minuta od czasu, kiedy zakończył wyjaśnianie swoich działań. Za łóżkiem kardiomonitor pikał z niepokojącą częstotliwością, ale kiedy do środka zajrzał lekarz, prezydent warknięciem kazał mu się wynosić. Jediną osobą, której wolno było pozostać w zasięgu słuchu, był Linden Brierly, dyrektor regionalny Secret Service.

Jednakże kiedy prezydent się odezwał, jego głos był zadziwiająco opanowany.

– Taka jest twoja historyjka, Bill? Dobrze się z nią czujesz?

– Sir – odparł Collins – taka jest prawda. Działiałem

w najlepszych interesach amerykańskich...

– Opuść sobie te bzdury. Bill. Mów szczerze albo kończymy tę rozmowę.

– Powiedziałem panu prawdę. Moje działania opierały się na otrzymanych przeze mnie informacjach, które uznałem za istotne i wiarygodne. Zanim podjąłem jakiegokolwiek działania, poinformowałem o wszystkim prokuratora generalnego i zgodziliśmy się, że to najlepszy i najbezpieczniejszy sposób postępowania.

– Naprawdę wierzysz, że Church ma mnie na smyczy?

– W oparciu o informacje, które otrzymałem, owszem. Na jak wiele sposobów mam to wyrazić? Proszę mnie posłuchać, może mnie pan poprosić o ustąpienie z urzędu, a ja to zrobię. Może mnie pan postawić przed Kongresem, a ja to zrobię, nie powołując się nawet na piątą poprawkę. Jestem gotów pokonać dowolne przeszkody, panie prezydencie, ale moja odpowiedź za każdym razem będzie taka sama. Informacje, które dostarczyło mi moje źródło, były przekonujące. Wciąż są przekonujące.

– Zamierzasz mi powiedzieć, co to za informacje?

– Nie chciałbym tego robić w obecności Lindena.

– Mogę wyjść – zaproponował Brierly, ale prezydent pokręcił głową.

– Jeśli mam jakieś szkielety w szafie, Bill, to Linden już o nich wie. Uważam również, że ważne jest, by ta rozmowa miała świadków.

Collins z niepewną miną patrzył to na jednego, to na drugiego.

– Panie prezydencie, jest pan pewien, że nie ma nic zbyt poufnego...

– Nic – potwierdził stanowczo prezydent.

Collins odetchnął głęboko.

– Dobrze. Moje źródło poinformowało mnie, że pan Church ma dowody na to, że wykorzystał pan rządowe zasoby i personel, by zatuszować powiązania firm, którym doradzała pańska żona, ze

sprzeniewierzeniem funduszy podczas pierwszej serii dotacji dla zagrożonych instytucji finansowych.

Prezydent wpatrywał się w niego. Twarz Brierly'ego była jak z kamienia.

– Gdyby to wyszło na jaw – mówił dalej Collins – zaszkodziłoby to pańskiej wiarygodności jako prezydenta, poważnie zagroziło sytuacji gospodarczej w tym kraju, co mogłoby doprowadzić do jeszcze gorszego kryzysu finansowego niż w roku dwa tysiące ósmym i na początku dwa tysiące dziewiątego, i najprawdopodobniej skończyłoby się impeachmentem. Właściwie zakończyłoby pańską prezydenturę i zaprzepaściło całe dobro, jakie pan uczynił.

– Rozumiem.

– Czego pan ode mnie oczekiwał? Dostrzegłem szansę, by uwolnić pana od szantażysty, a jednocześnie ochronić pana i ten kraj przed katastrofą. Jeśli chce mnie pan za to potępić, proszę bardzo. Jeśli postawi mnie pan przed sądem albo komisją, nie ujawnię tych informacji. Ale nie zamierzam również przeproszać za swoje działania, panie prezydencie.

Prezydent powoli pokiwał głową.

– Czy nazwisko Stephen Preston coś panu mówi?

Collins zeszywniał.

– Widzę, że tak. To pańskie źródło, prawda?

Collins nic nie powiedział.

– Bill, kilka minut przed twoim przybyciem zadzwonił do mnie prokurator generalny. Przez ostatnie osiemnaście miesięcy Stephen Preston był analitykiem danych dla Bezpieczeństwa Krajowego. Ma prawo dostępu do informacji ściśle tajnych i powyżej. Jest szanowany i na odpowiednim stanowisku, więc gdyby ktokolwiek mógł odkryć skandal w rodzaju tego, który pan opisał, byłby to on. Podobnie, gdyby ktokolwiek mógł rozgryźć MindReadera i WDN i dowiedzieć się o trwającej akcji szantażu, byłby to on. Zgoda?

Collins nadal nic nie mówił.

– Dlatego jeśli ktoś taki jak Preston przyszedł do ciebie z informacjami tego rodzaju, jest zrozumiałe, może nawet oczywiste, że dałeś mu wiarę. Rozumiem to, Linden to rozumie. Prokurator generalny musiał to rozumieć, skoro cię poparł.

Collins nic nie mówił.

– Czterdzieści minut temu ochroniarz znalazł Stephena Prestona przy biurku. Strzelił sobie w głowę.

– Co takiego?

– Na biurku miał wiadomość. Nie był to do końca list pożegnalny, raczej długa i rozwlekła epistoła o zepsuciu amerykańskiego systemu i konieczności zmiecenia go z powierzchni ziemi, by zastąpić go systemem stworzonym przez Boga i kierowanym Jego wolą. Coś w tym stylu. Sześć stron. Pismo na pierwszy rzut oka wydaje się jego, ale FBI to sprawdzi. Całe biuro jest teraz miejscem zbrodni i poprosiłem prokuratora generalnego, by współpracował z FBI i dopilnował, by badania kryminologiczne zostały przeprowadzone bez uprzedzeń i drobiazgowo.

– Dobry Boże... – Collins wydawał się wstrząśnięty; Brierly podał mu krzesło. Wiceprezydent usiadł z łoskotem. – Ja... ja nie rozumiem. Miał protokoły, miał dowód...

– Bill, niewielu ludzi lepiej by się nadawało, by sfabrykować tego rodzaju dowód. W tej chwili naszym najważniejszym zadaniem jest określić, czy Preston działał samodzielnie, czy jest to część większego spisku. Zastanawiam się, czy nie poinformować o tym opinii publicznej, kiedy będziemy mieli fakty, by nie pojawiły się żadne podejrzenia, że zatuszowaliśmy sprawę.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć, panie prezydencie. Ja...

Prezydent uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Bill, nie podoba mi się to, co zrobiłeś. Ludziom stała się krzywda, zaufanie zostało nadszarpnięte, pojawiły się napięcia

między NSA i WDN, dwiema kluczowymi agencjami, które muszą ufać sobie nawzajem i współpracować ze sobą bez żadnych oporów. I będę wobec ciebie szczery. Przyjrzę ci się bardzo uważnie. Zostaniesz znów sprawdzony, a jeśli znajdę cokolwiek... cokolwiek... nie na miejscu, wrzucę cię do rowu i zakopię.

Collins pokręcił głową.

– Wierzyłem...

– Wiem. Ufam ci, Bill, ale muszę być pewien.

– Ale Church...

– Bill, gdyby pan Church był naprawdę wrogiem, zniszczyłby cię. Nie myśl, że przesadzam. – Pstryknął palcami tak głośno, że zabrzmiało to jak trzask pękającej suchej gałęzi. – Dokładnie w taki sposób.

– On... MindReader...

– Czy Church zna jakieś związane ze mną sprawy, Bill? Sprawy, co do których wolałbym, by nie ujrzały światła dziennego? Pewnie, że tak. Czy próbował je wykorzystać jako środek nacisku? Nie. Ani razu. Nie zamierzam spekulować na temat tego, co działo się za poprzedniego prezydenta. Jeśli Church miał wtedy tajemnice i jeśli kiedykolwiek próbował je wykorzystać, to ja nic o tym nie wiem. – Spojrzenie prezydenta było przenikliwe, jego uśmiech zniknął. – Czy Church i jego przekłety komputer mają zbyt wielką władzę? Pewnie, i jeśli kiedykolwiek dotrze do mnie, że nadużył tej władzy, stracił nad nią kontrolę albo wykorzystał ją w sposób, który nie służy wspólnie ustalonym najlepszym interesom tego kraju, nie będę się bawił NSA... pošlę Gwardię Narodową na niego i wszystkie jego obiekty.

Collins osunął się na krzesło.

– Ale ja znam tego człowieka. Znam go bardzo dobrze i naprawdę wierzę, Bill, że Church i jego ludzie są jedną z najpotężniejszych i najlepiej wykorzystywanych broni w naszym arsenale. Mało znam ludzi, którym osobiście tak ufam,

jak panu Churchowi.

– Nie zna pan nawet jego prawdziwego nazwiska!

Prezydent znów się uśmiechnął.

– Owszem, znam je.

* * *

Dwadzieścia minut później wiceprezydent Bill Collins znów siedział w limuzynie, z uniesioną dźwiękoszczelną szybą.

– I jak poszło? – spytał Sunderland po drugiej stronie łącza.

– Do diabła, prawie urwał mi jaja.

– Co się stało?

– Kupił to. Bez zastrzeżeń.

Westchnienie ulgi Sunderlanda było tak długie, że brzmiało, jakby ktoś wypuścił powietrze z balonika.

– J.P., nie chcę wiedzieć, jak zaaranżowaliście to samobójstwo. Nigdy więcej nie będziemy rozmawiać na ten temat.

– Nie musimy. Ciebie już to nie dotyczy.

– Mnie już to nie dotyczy – zgodził się Collins. – Teraz musisz uważać na własny tyłek.

Sunderland prychnął.

– Żałuję, że w ogóle spróbowaliśmy, J.P.

– Trochę za późno, żeby nad tym płakać, a wciąż możemy wycisnąć z tego coś przydatnego.

– Ty możesz. Mnie to już nie dotyczy.

Zanim Sunderland zdążył odpowiedzieć, Collins zatrzasnął telefon. Mocno przycisnął ręce do piersi, założył nogę na nogę i zastanawiał się, czy właśnie dźgnął tygrysa kijem. W jego myślach Sunderland nie był tygrysem. Ani prezydent.

Tygrysem był pan Church.

Rozdział czterdziesty ósmy

Deck,

sobota, 28 sierpnia, 21.46

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
86 godzin, 14 minut EST*

– Zlokalizowaliśmy obiekt – powiedział Otto, wciskając serwetkę z irlandzkiego lnu pod brodę Cyrusa.

– Gdzie?

– Na Bahamach. Co za aroganckie bachory. Kupili wyspę. Dogfish Cay. Piętnaście hektarów, wulkaniczna, ale na solidnym podłożu skalnym. Porośnięta bujną roślinnością, z kilkoma budynkami i laguną, która wygląda, jakby mogła zostać pogłębiona, by przyjmować nieduże statki transportowe. Zgaduję, że większość obiektu wykuto w podłożu skalnym.

– Moi młodzi bogowie. – Na twarzy Cyrusa pojawił się uśmiech. – Wiele się nauczyli.

Otto chrząknął i poprawił ułożenie talerza na tacy.

– Zapewnia im łatwy dostęp do Stanów, mogą ukrywać nieduże ładunki pomiędzy statkami turystycznymi i jachtami, ale znajdują się poza amerykańskimi wodami terytorialnymi.

– I dlatego nie mogliśmy ich znaleźć. Byłem przekonany, że wybudują się w Karolinie Północnej albo Południowej. Kupowali tam nieruchomości pod kilkoma różnymi nazwiskami. – Przerwał, podniósł nóż i widelec. – Mmm, teraz, kiedy mam kompletny obraz, widzę, że zakup ziemi miał nas zwieść na

manowce. Plus dla nich.

– Co chce pan teraz zrobić?

– Teraz zjem. Co to jest? Nie dodo?

– Nie. To owczarek niemiecki. Grillowany z cebulą i papryką.

– Lubię psinę, Otto?

– Sam pan o nią prosił.

– Co ja sobie wtedy myślałem? – Odciął kawałek mięsa, nabił na widelec kawałek zielonej papryki i zjadł. Przeżuwał z namysłem. – Hm. Trochę rozczarowujące.

– Co zamierza pan zrobić z Fabryką Smoków?

Cyrus odciął kolejny kawałek mięsa, przebił go widelcem i pomachał do Ottona.

– Przeniknąć do niej, rzecz jasna. Wyślij dwa oddziały, jeden wchodzi, drugi idzie za nim. Chłopcy z Nowego Jorku mogą pójść przodem. Jaka jest pogoda na Dogfish Cay?

– Trzydzieści stopni, słaby wiatr z południowego zachodu. W ciągu kilku godzin pojawią się chmury.

– Czy oddziały są gotowe?

– Były w samolotach pościgowych.

– W takim razie niech ruszą dziś w nocy.

– Dobrze.

– I jeszcze jedno, Otto...

– Sir?

– Niech zabiją Hekate albo Parysa. Jedno albo drugie, ale nie oboje.

Otto patrzył na niego zaskoczony.

– To jeden z pańskich epizodów, panie Cyrusie?

Cyrus się uśmiechnął.

– Nie, wcale nie, a ty się nie wymądrzaj. Boże! Popatrz tylko na siebie, jesteś biały jak ściana.

– Zabić jedno z Bliźniąt?

– Na starość robisz się sentymentalny, Otto?

– Bynajmniej. Po prostu nie rozumiem, dlaczego chciałby pan,

żeby jedno z pańskich dzieci zostało zabite. Jaką korzyść nam to przyniesie?

– Jeśli przeprowadzimy akcję w odpowiedni sposób, jeśli sprawimy, że będzie wyglądać na działania rządowe... co nie jest trudne, biorąc pod uwagę, skąd bierzemy sprzęt... najprawdopodobniej popchnie to pozostałe przy życiu Bliźnię w moją stronę. Rodzina zjednoczona przez wspólny smutek. My przeciwko całemu światu i takie tam. Zamiast wykradać tajemnice Fabryki Smoków, on... a raczej ona... będzie nas błagać, byśmy je wzięli. – Jego oczy błyszczały jak czarne szkło. – A wtedy w końcu zacznie się nasze prawdziwe dzieło.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

***Prywatne lotnisko, Denver, Kolorado,
sobota, 28 sierpnia, 22.59
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
85 godzin, 1 minuta EST***

Jerry Spencer dotarł na lotnisko w chwili, gdy ładowaliśmy ostatnie pudła z archiwum Haeckla na pokład C-130. Pomachałem do niego i uścisnęliśmy sobie ręce.

– Co się dziś, do diabła, wyprawia, Joe? – spytał swoim zwyczajowym szorstkim głosem. – Wyglądasz, jakby ktoś cię właśnie kopnął w jaja. O co chodzi?

Powiedziałem mu o paskudnych tajemnicach, które znaleźliśmy tam na dole, w ciemności. Pobladł.

– Najpierw Rosjanie, a teraz pieprzeni naziści? Jaja sobie ze mnie robisz.

– Chciałbym. Słuchaj, musieliśmy namieszać na miejscu zbrodni, bo Church chce mieć te archiwa w Baltimore, ale postaraj się znaleźć mi jakiś punkt zaczepienia. Zaczynamy robić postępy, ale przydałoby nam się jeszcze parę odpowiedzi. Jeden z chłopaków z Piasty zawiezie cię do Deep Iron. Zjedź tam, człowieku, i czynń cuda.

Jerry wyjął z kieszeni fajkę i postukał cybuchem w paznokcie kciuka. Przed kilku laty rzucił palenie, ale nosił fajkę, żeby mieć się czym bawić. To zawsze lepsze niż obgryzanie paznokci.

– Nie znalazłeś żadnych śladów oddziału Jigsaw?

– Nie. Może tobie się uda...

Wyraz jego twarzy sprawił, że pożałowałem swoich słów. W tym momencie istniała duża szansa, że cokolwiek znajdzie, to będą złe wieści.

– Zrobię, co w mojej mocy, Joe. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę coś miał.

Odszedł ze zwieszoną głową, z niezapaloną fajką w zębach.

Ja ruszyłem w stronę C-130. Mieliśmy startować za dziesięć minut.

Rozdział pięćdziesiąty

***Dom Krzyków, Isla Dos Diablos,
niedziela, 29 sierpnia, 00.43
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
83 godziny, 17 minut***

W kompleksie nigdy nie panowała cisza. Nawet w środku nocy był hałas. Wrzaski papug z dżungli, nieustanne brzęczenie skrzydeł owadów, szelest liści, gdy wiatr przeciskał się wśród palm. I krzyki.

Osiemdziesiąt Dwa kucał w ciemnościach i próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszał tu prawdziwą ciszę, czy był taki czas, kiedy nikt nie krzyczał, nie płakał, nie wrzeszczał. Z całą pewnością musiały być takie chwile, ale nie umiał ich sobie przypomnieć. Życie w Decku wyglądało inaczej. Oczywiście tam też rozlegały się krzyki, ale nie przez cały czas. Osiemdziesiąt Dwa oglądał dużo telewizji – nawet tej zwyczajnej, którą ściągał z satelity – i wiedział, że słuchanie krzyków nie było częścią normalnego życia. Z drugiej strony wiedział już, że jest dziwadłem.

Chłopiec wyslizgnął się po kamień, ale potem wrócił do sypialni, żeby być na miejscu w czasie kontroli o północy. Kiedy pielęgniarka i strażnik – zawsze było ich dwoje – upewnili się, że leży w łóżku i śpi, wychodzili i zamykali drzwi na klucz. To oznaczało cztery godziny do następnej kontroli.

Uniósł róg materaca i wyjął niewielki zestaw narzędzi.

Opakowanie było częścią skórzanego fartucha roboczego, który wyjął ze śmietnika, a narzędzia zgromadził w ciągu ostatnich dwóch lat. Żadne nie było profesjonalne, ale zostały starannie wykonane. Osiemdziesiąt Dwa miał bardzo sprawne ręce. W wieku dziesięciu lat nauczył się wytwarzać narzędzia i nawet asystował Ottonowi przy produkcji narzędzi chirurgicznych dla Alfego. Nie było to coś, co sprawiało chłopcu przyjemność, ale też z drugiej strony mało co sprawiało mu przyjemność. Wytwarzanie narzędzi było czymś, czego mógł się nauczyć, a nigdy nie przegapił okazji do nauki. Wierzył, że jego gotowość – może nawet zapał – do nauki była jednym z powodów, dla których Alfa nie pozwolił Ottonowi go zabić.

Alfa wiązał z nim nadzieje. Tyle wiedział Osiemdziesiąt Dwa, choć nie miał pojęcia, jakie były te nadzieje ani dlaczego Alfa tak agresywnie się ich trzymał. Nie z miłości – tyle chłopiec wiedział z doświadczenia. W Decku było wielu innych chłopców i Osiemdziesiąt Dwa widział, jak przez lata podejście Alfego do wielu z nich zmienia się z aprobaty w dezaprobatę. A jego dezaprobatą była straszliwa. Przed sześcioma tygodniami Alfa kazał Osiemdziesiąt Dwa i tuzinowi innych chłopców siedzieć i patrzeć, jak oddaje Jeden Trzyście i Ozyrysowi. Jeden Trzyście nie radził sobie dość dobrze z liczbami i czasem drżała mu ręka, w której trzymał skalpel. Alfa był nim bardzo rozczarowany.

Osiemdziesiąt Dwa wykorzystał dwa metalowe próbki, by otworzyć zamek w drzwiach sypialni, wyslizgnął się na zewnątrz i znów je zamknął. Później jak duch ruszył pustymi korytarzami głównego budynku mieszkalnego, a następnie zabudowanym przejściem do kwater strażników. Dwa razy mijał skrzyżowania z zamontowanymi kamerami, ale trzymał się zapamiętanego harmonogramu i nikt go nie zobaczył.

Aby dotrzeć do Domu Krzyków, musiał przejść przez kwatery strażników albo wyjść na zewnątrz – a po wypuszczeniu psów to

ostatnie było mało prawdopodobnym rozwiązaniem. Przez okno Osiemdziesiąt Dwa widział cztery psy – dwa wielkie tygrysogary i dwa jakiejś nowej odmiany, której nie znał i nie chciał poznać. Dziękuję, postoję.

Kwatery strażników śmierdziały piwem, potem, seksem, brudnymi ubraniami i testosteronem. Osiemdziesiąt Dwa marzył, by zalać to miejsce benzyną i rzucić zapalną. A w każdym razie tak myślał. Łatwo mu było wyobrazić sobie, że to robi, bo strażnicy doprowadzali go do szału.

Ale czy kiedykolwiek mógłby to zrobić? Odebrać życie?

Wiedział, że tego od niego oczekują. Wiedział, że wkrótce go o to poproszą. Każą mu. Zmuszą go.

Boże.

Wślizgnął się do środka i ukrył w cieniach przy drzwiach, wpatrując się w rzędy łóżek, nasłuchując chrapania.

Z lewej dobiegł go dźwięk – cichy i słaby – a on ostrożnie przesunął się w tę stronę. To nie był odgłos mężczyzny, odgłos strażnika. Wydawało mu się, że wie, co to może być.

Była tam, leżała na podłodze w plamie księżycowego blasku.

Kobieta.

Była naga, kolana podciągnęła do piersi, a głowę częściowo osłaniała rękami. Pot zlepił jej splątane rude włosy, a wygięte plecy przecinały ślady po uderzeniach. Ślady pasa, z ranami w miejscach, gdzie trafiła kłama. Osiemdziesiąt Dwa je rozpoznał.

Carteret.

Kobieta drżała mimo gorąca. Chłopiec poczuł smród moczu i dostrzegł błysk światła na niewielkiej kałuży. Kobieta się zmoczyła. Albo za bardzo bała się poruszyć, albo była zbyt obolała, tak czy inaczej, zmoczyła się. Osiemdziesiąt Dwa poczuł chłód. Wiedział, że kiedy Carteret się obudzi i zobaczy bałagan, skrzywdzi ją jeszcze bardziej.

Było takie wyrażenie, które Osiemdziesiąt Dwa znał z filmów:

„i tak źle, i tak niedobrze”. Tak właśnie musiała się czuć kobieta. Tak właśnie czuła się w tej chwili. Nie istniał sposób, by być w porządku, by zachowywać się właściwie, by postępować właściwie, w oczach strażników. Nawet posłuszeństwo bywało karane. Chodziło o karę, o łamanie woli. Osiemdziesiąt Dwa o tym wiedział. I wiedział, dlaczego to było ważne dla Ottona i Alfya, dlaczego zachęcali strażników do robienia z Nowymi Ludźmi, co tylko chcieli. Szczególnie na oczach innych Nowych Ludzi.

Kobieta otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Przejrzystość tego spojrzenia sprawiła, że Osiemdziesiąt Dwa znieruchomiał. Obrzuciła go spojrzeniem i wiedział, że go rozpoznała. Później przeniósła wzrok na siennik, na którym spał Carteret, a po chwili wróciła spojrzeniem do chłopca. Powoli, uważając na obrażenia i starając się nie wydać żadnego dźwięku, uniosła rękę, wyciągnęła palec i dotknęła nim swojego policzka. Później przesunęła nim poziomo, jakby ocierała łzę. Osiemdziesiąt Dwa od razu rozpoznał ten gest – to samo zrobili dwaj Nowi Ludzie, kiedy zobaczyli, jak ociera łzy po tym, jak kobieta została pobita.

Osiemdziesiąt Dwa poczuł suchość w ustach. Sięgnął do kieszeni, wyjął kawałek czarnej wulkanicznej skały i uniósł go w blasku księżyca, by mogła go zobaczyć. Otworzyła szerzej oczy, wyraźnie przerażona, i skuliła się, ale Osiemdziesiąt Dwa pokręcił głową. Zacisnął dłoń na kamieniu i udał, że rzuca nim w stronę głowy Cartereta. Później zatoczył się do tyłu, jakby został trafiony odłamkiem skały, pokazując gestami przyczynę i skutek.

Kobieta śledziła spojrzeniem jego ruchy i był pewien, że rozumie, o co mu chodziło, ale powoli pokręciła głową. W jej oczach znów pojawiły się łzy, zacisnęła powieki i nie chciała na niego patrzeć.

Osiemdziesiąt Dwa widział, jak kobieta drży, i pragnął coś zrobić, ale zmusił się do odejścia. Czuł wstyd, że ją przestraszył,

i wściekłość, że nie chciała o siebie walczyć, nawet kiedy Carteret był bezradny. Za oczami chłopaka rozległ się odgłos jak trzask rozrywanej tkaniny, a otaczające go cienie rozplynęły się w ognistej czerwieni, wściekłość sprawiła, że poderwał się na równe nogi, uniósł kamień wysoko nad głowę i napiął mięśnie, gotów rzucić nim w nieosłoniętą głowę strażnika.

Osiemdziesiąt Dwa nigdy wcześniej nie chciał zabić żadnego człowieka ani zwierzęcia. Nie tak naprawdę.

Aż do tej chwili.

Ale nie zrobił tego. Całe jego ciało drżało z wysiłku powstrzymania się od zabicia tego mężczyzny. Chłopak nie wiedział nawet, że ma w sobie tyle siły, ile potrzebował do opuszczenia ręki.

Jeszcze nie, powiedział sobie. Jeszcze nie.

Miał inne zadanie do wykonania.

Zmusił się, by odejść, ale kiedy to robił, zobaczył, że kobieta go obserwuje. Nie patrzyła błagalnie, w jej oczach nie było śladu nadziei, że ją uratuje. Widział jedynie ponurą, bezdenną rezygnację, która prawie złamała mu serce.

Gniew był jak płonący węgielek w jego umyśle. Posłał ostatnie spojrzenie ciału rozwalonego na posłaniu Cartereta – śpiącego, pijanego, nagiego – i zmusił się do schowania kamienia z powrotem do kieszeni.

Jeszcze nie, powtórzył w myślach. Ale wkrótce.

Przeszedł na drugi koniec kwater strażników, otworzył zamek i wślizgnął się do Domu Krzyków. Osiemdziesiąt Dwa miał plan, ale ryzyko było przerażające. Już raz spróbował, wysyłając nagranie z polowania. Mógł spróbować jeszcze jednego. Ale gdyby został złapany...

Nie martwił się aż tak bardzo o własną skórę – i tak nie spodziewał się, że osiągnie dorosłość. Większość pozostałych chłopców nie dożyła nawet jego wieku. Musiał być ostrożny, by móc zrobić coś z Carteretem.

Dotarł do Domu Krzyków, wślizgnął się do środka, unikając kamer, i znalazł to, czego szukał. Laptop stojący na biurku technika. Osiemdziesiąt Dwa widział go poprzedniego dnia i miał nadzieję, że nadal tam będzie.

Otworzył go i nacisnął przycisk. Wydawało się, że uruchomienie systemu trwało tysiąc lat, ale kiedy w końcu się załadował, pojawiło się połączenie z internetem. Osiemdziesiąt Dwa oblizał suche wargi i próbował nie słyszeć ogłuszającego dudnienia własnego serca. Uruchomił przeglądarkę, wpisał adres Yahoo, zalogował się na maila i zabrał do pracy. Był w połowie tworzenia wiadomości, kiedy zobaczył, że laptop ma wbudowaną kamerkę internetową.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Osiemdziesiąt Dwa się uśmiechnął.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

*W locie,
niedziela, 29 sierpnia, 00.44
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
83 godziny, 16 minut EST*

Jestem wybrakowany. Tyle o sobie wiem i nie bez powodu mój najlepszy przyjaciel to psychiatra. Spotkaliśmy się z powodu Helen.

Helen była moją dziewczyną na początku szkoły średniej. Pewnego wrześnieowego popołudnia grupa starszych nastolatków napędzanych whiskey i amfą dopadła nas na boisku w pobliżu miejsca, gdzie mieszkaliśmy. Chłopaki skopali mnie prawie na śmierć, uszkodzili organy wewnętrzne i połamali kości, a kiedy leżałem zakrwawiony i nie mogłem nic zrobić, te skurwysyny brutalnie zgwałciły Helen. Fizycznie oboje wróciliśmy do zdrowia. Psychicznie, cóż, a jak myślicie? Ja zagubiłem się we frustracji i bezsilnej wściekłości, a Helen ukryła się w głębi własnej głowy i zagubiła gdzieś w ciemności.

Przez resztę życia moja przyjaciółka znajdowała się pod stałą opieką medyczną i psychiatryczną. Rudy zajął się nią, kiedy Helen i ja skończyliśmy dwadzieścia jeden lat, i w miarę upływu czasu wydawało się, że Helen robi postępy. A później pewnego dnia poszedłem do jej mieszkania, żeby sprawdzić, jak się czuje, a ona odeszła. Jej ciało pozostało, ale było już zimne.

Co można zrobić, kiedy zgasną wszystkie światła?

Jeśli o mnie chodzi, nauczyłem się korzystać z ciemności. Kilka miesięcy po napaści zacząłem ćwiczyć jujitsu i przez lata poznałem wszystkie możliwe wredne i paskudne sztuczki. Stałem się twardy. Nigdy nie brałem udziału w turniejach, po prostu uczyłem się walczyć. Kiedy osiągnąłem odpowiedni wiek, zaciągnąłem się do wojska, a później wstąpiłem do policji w Baltimore. Rudy wiedział, co napaść zrobiła z Helen i ze mną. Zniszczyła ludzi, którymi byliśmy wcześniej. Tamtego dnia straciłem sporo ze swoich ludzkich uczuć, a jeszcze więcej, kiedy się zabiła. Proces podzielił mnie na co najmniej trzy różne i z rzadka pasujące do siebie wewnętrzne tożsamości – cywilizowany mężczyzna, gliniarz i wojownik. Cywilizowana część mnie wbrew wszystkiemu nadal starała się pozostać idealistą. Gliniarz był bardziej cyniczny i mniej naiwny – i na szczęście dla nas wszystkich zwykle to on siedział za kierownicą. Ale kiedy robiło się paskudnie, wojownik chciał wyjść i się zabawić. Siedząc w hałaśliwej ciemności C-130, czułem, jak gliniarz przegląda dostępne dane, ale wojownik chce się wślizgnąć w cienie i zająć złymi gośćmi w bardzo nieprzyjemny sposób.

Wiedziałem, że powinienem pogadać z Rudym o tym, co czułem. O Wielkim Bobie i rzeczach, które znaleźliśmy w bunkrze Haeckla. Czułem, jak krok po kroku tracę panowanie nad sobą. Wiem, że jestem zawodowym żołnierzem, byłym policyjnym detektywem i nauczycielem sztuk walki – a role te wymagają dużej osobistej dyscypliny i panowania nad sobą – ale byłem też wybrakowanym towarem. Goście tacy jak ja nie mogą założyć, że ich panowanie nad sobą jest stabilne.

Rudy pracował jako policyjny psychiatra, zanim został porwany do WDN. Jego zadaniem jest mieć oko na całą gromadę walczących na pierwszej linii frontu – mężczyzn i kobiet, którzy raz za razem muszą pociągać za spust. Jak to lubi powtarzać Rudy, przemoc, choćby najbardziej uzasadniona, zawsze

pozostawia ślad. Dziś zabijałem ludzi i chciałem znaleźć więcej ludzi do zabicia. W moim wnętrzu kłębiło się pragnienie, potrzeba, tęsknota, by znaleźć ludzi odpowiedzialnych za to wszystko i ich ukarać, a to nie jest najlepszy stan przed walką.

Z drugiej strony nie chciałem utracić przewagi, bo to przeszłość sprawiła, że zostałem wojownikiem, na którego zwrócił uwagę Church. Pozostawiła mi użyteczne blizny, cechy, które dają mi przewagę w walce, szczególnie nieoczekiwanej.

Trzeba wiedzieć, że nie zawsze sami możemy sobie wybrać pole walki. Nieczęsto mamy możliwość wyboru jej zasad. Czasami przemoc pojawia się jak grom z jasnego nieba i nie zawsze jest naszym dziełem. Nie prosimy o nią ani się na nią nie umawiamy, ale życie nie pyta, czy to sprawiedliwe i czy jesteśmy gotowi. Jeśli ktoś nie umie tego przyjąć, jeśli nie jest zaprogramowany, by zareagować, kiedy cios nadchodzi z martwego pola, to ginie w pierwszej rundzie. Można też się zasłonić i próbować przetrwać, ale ktoś, kto został przyparty do muru, nigdy nie wygra. Przykra rzeczywistość wygląda tak, że tamci wcale się nie męczą, jeśli zwyciężają, więc człowiek i tak przegrywa, a w trakcie obrywa jeszcze bardziej.

Są też ludzie, którzy w takich sytuacjach rozkwitają. Jeśli ktoś ich zniecka atakuje, odskakują przed drugim ciosem, czują smak krwi w ustach, a później ruszają na złych gości ze złośliwym punkowym uśmiechem i rzucają im się do gardła. Trudno pobić tych gości. Bardzo trudno. Robienie im krzywdy nigdy nie działa, a groźby w ogóle można pominąć. Mają inne okablowanie i trudno przewidzieć, jak skoczą. Wiadomo tylko, że to zrobią.

Żli goście muszą zabić ich od razu albo tamci odwrócą całą sytuację i nagle „myśliwy” i „zwierzyna” przyjmują zupełnie nowe znaczenie. Ten typ nie bawi się w wykorzystywanie sytuacji i ciosy zniecka – od razu stara się zabić. Jest uzależniony od czułego punktu. Rozumiem ten typ ludzi.

Pojmuję, co sprawia, że ich strzaskane umysły działają.

I nic dziwnego.

Jestem jednym z nich. Zabójca we mnie urodził się na boisku w ubogiej dzielnicy Baltimore, kiedy kopały mnie ciężkie buty, a krzyki niewinnej dziewczyny rozerwały materię mojej duszy.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem twarz wojownika w barwach wojennych. Jego oczy nie mrugały, gdy spoglądał przez wysokie trawy, czekając na właściwą chwilę. Szeptał do mnie: zabierz to do nich. Żadnej litości, żadnego miłosierdzia, żadnych ograniczeń.

To nie było dobre myślenie.

Ale choć bardzo się starałem, nie umiałem znaleźć w nim błędów.

Samolot leciał przez płonące sierpniowe niebo.

Interludium

Das Alte Schloss, Stuttgart, Niemcy Pięć dni wcześniej

Conrad Veder stał w cieniach pod jednym z łuków na dziedzińcu Starego Zamku w Stuttgarcie. Żuł cynamonową gumę i przyglądał się gołębiowi na pióropuszu hełmu Eberharda I Wirtemberskiego, wspaniałego pomnika wyrzeźbionego przez Ludwiga von Hofera w roku 1859.

Przed przybyciem w to miejsce Veder poczytał o Starym Zamku, częściowo w ramach przygotowań do zadania, a częściowo z fascynacji niemiecką historią. Nie miał zbyt wielu stałych zainteresowań, ale Niemcy intrygowały go od czasu, gdy przed trzydziestu czterema laty przybył tu po raz pierwszy. W Stuttgarcie nigdy wcześniej nie był, a tego ranka spędził przyjemną godzinę na Karlsplatz, w muzeum poświęconym pamięci Clausa Schenka hrabiego von Stauffenberga, dawnego mieszkańca Stuttgartu, który w roku 1944 próbował dokonać zamachu na życie Hitlera. Veder przed kilku laty widział film *Walkiria*, opowiadający o tym wydarzeniu. Uznał, że Tom Cruise dobrze pasował do roli Stauffenberga, choć nie lubił ani aktora, ani zdrajcy, któremu nie powiodło się tak łatwe zabójstwo. Po przejrzaniu wszystkich danych, w tym planów miejsca planowanego zamachu, Veder doszedł do wniosku, że on zrobiłby to inaczej i właściwie.

Spojrzał na zegarek. Już prawie pora.

Wyjął gumę z ust, owinął ją chusteczką higieniczną i schował

do kieszeni. Veder nigdy nie pozostawiał przydatnych śladów. Nie darzył zbyt wielką estymą policyjnej inteligencji, ale ich zawziętość była legendarna.

Obok przeszła grupa turystów – tłuści Amerykanie w brzydkich koszulach, Anglicy z kiepskim zgryzem, wyniośli Francuzi. Nic dziwnego, że stereotypy nie chciały zaniknąć. Kiedy go mijali, Veder wtopił się w tłum. Miał na sobie dzinsy i lekką bluzę z kapturem z logo drużyny piłkarskiej VfB Stuttgart wyszytym na prawej piersi, a logo stadionu Mercedes-Benz Arena na plecach. Na placu było co najmniej pięciu innych ludzi w podobnych bluzach. Do tego okulary przeciwsłoneczne i rudawy zarost na twarzy. Szedł swobodnie, ale energicznie, jak były sportowiec w średnim wieku, który nie może znieść myśli, że jego najlepsze lata już minęły. Veder potrzebował zaledwie kilku dni, by rozpoznać ten podtyp osobowości wśród tłumów w mieście. Widział ich setki i teraz nie różnił się niczym od pozostałych, którzy kręcili się w sklepach i muzeach wokół Starego Zamku.

Ruszył za tłumem do muzeum Stauffenberga. Kiedy wcześniej tego dnia odwiedził muzeum, miał na sobie inne ubranie, również typowe dla mieszkańców Stuttgartu i tak samo różniące się od prawdziwego wyglądu Vedera.

Najprawdopodobniej, a nawet najpewniej, mógłby zakończyć to zadanie podczas wcześniejszej wizyty, ale lubił zamieszanie wiążące się z obecnością grupy. Rano w muzeum nie było wielu zwiedzających. Gdyby ktoś bardzo bystry obejrzał nagrania z ranka, mógłby znaleźć kilka użytecznych wskazówek na temat prawdziwego wyglądu Vedera. Ale wśród morza turystów był właściwie niewidzialny.

W tłumie mieszały się trzy różne wycieczki, przewodnicy zaprowadzili swoich podopiecznych do jednej z sal, by zaczekali na krótki wykład *Stellvertretender Direktor* Jerome'a Freunda, profesora pełniącego funkcję zastępcy dyrektora muzeum.

Freund wyszedł powoli z zaplecza, wspierając się na lasce ze srebrną rączką zdobioną kwiatowym ornamentem w stylu art nouveau. Veder wiedział, że Freund utykał po tym, jak pocisk o dużej prędkości zmiażdżył jego staw biodrowy. Ten strzał był jednym z niewielu pudeł Vедера, który nie mógł znieść myśli, że nie udało mu się wypełnić zadania. Fakt, że w tym czasie sam krwawił z dwóch ran zadanych pociskami kaliber .22 niczego nie zmieniał. To było jedno z trzech sfuszerowanych zleceń w jego życiu – a wszystkie wiązały się z zadaniami, jakie wykonywał dla swoich dawnych „idealistycznych” pracodawców.

Freund był wysokim mężczyzną o dużych zakolach i zaczesanych do tyłu siwych włosach. Okulary opadały mu na czubek nosa, a artretyzm przygiął potężne bary, ale Veder wciąż widział wilka pod skórą kalekiego starego mężczyzny.

Wykład Freunda brzmiał dokładnie tak samo, jak ten, który wygłosił rano. Nawet gesty profesora się powtarzały. Ach, pomyślał Veder, nie ma nic tak przydatnego jak rutyna.

Zaczekał, aż profesor zacznie opisywać dzień nieudanego zamachu. Jeśli mężczyzna robił wszystko z pamięci, to wkrótce uniesie laskę w stronę dużego zdjęcia zajmującego jedną ze ścian i postuka w nie, by wskazać miejsca, gdzie stali Stauffenberg i Hitler. Przez cały wykład Veder udawał, że robi zdjęcia aparatem cyfrowym. I rzeczywiście, profesor odwrócił się i zaczął stukać w ścianę. Gdyby Veder był innym człowiekiem, mógłby albo czerpać przyjemność z faktu, że poszło mu tak łatwo, albo czuć rozczarowanie z powodu braku wyzwania dla jego umiejętności, ale Veder był obdarzony chłodną skutecznością owada. Owady są oportunistami i nigdy się nie chełpią.

Nacisnął guzik na aparacie i z otworu obok fałszywej soczewki wyskoczyła mała strzałka, napędzana niemal bezgłośnym wybuchem gazu. Poruszała się z prędkością trzydziestu metrów na sekundę. Freund wzdrygnął się i klepnął w kark.

– Komar – powiedział ze śmiechem, a rozgrzani, spoceni turyści zachichotali.

Było upalnie i wszędzie unosiły się chmary much i komarów. Wykład trwał dalej, wszyscy zapomnieli o tym incydencie. Veder pozostał z turystami do zakończenia wycieczki, a kiedy tłum wypadł na dziedziniec, oddalił się i ruszył bez pośpiechu przez bogatą halę targową. Kupował ubrania w różnych sklepach, przebrał się w łazience i zmienił w zupełnie innego turystę, który zniknął w tłumie.

Veder nie zamierzał się ociągać. Nie wątpił w skuteczność patogenu na strzałce i nie musiał widzieć śmierci swojej ofiary. Przeczyta o tym w gazetach. Sprawa trafi do wszystkich gazet.

W końcu jak często niemiecki naukowiec umiera na ebolę?

Nim pojawiły się pierwsze objawy, Conrad Veder siedział już w pociągu do Monachium. Zasnął w ciągu dwudziestu minut od opuszczenia stacji. W tym czasie Jerome Freund zaczął się już czuć chory.

Część trzecia

Bogowie

*Gdyby bogowie słuchali modlitw ludzi,
ludzkość szybko by zginęła, bowiem oni
ciągle modlą się, by innych zło spotkało.*

Epikur

Rozdział pięćdziesiąty drugi

***Fabryka Smoków,
niedziela, 29 sierpnia, 00.51.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
83 godziny, 9 minut EST***

Hekate i Parys stali razem na niewielkim balkonie wystającym z metalowej kładki otaczającej główną halę produkcyjną ich podstawowego obiektu. Poniżej ponad setka pracowników poruszała się i kontaktowała ze sobą w bezmyślnej, gładkiej choreografii pszczoł robotnic. Często rozmawiali o tym obrazie, który zawsze sprawiał im przyjemność. Wszystko zostało zakodowane kolorystycznie, co jeszcze wzbogacało scenę wizualnie. Niebieskie kombinezony dla personelu wsparcia, białe fartuchy laboratoryjne dla starszych badaczy, zielone spodnie i tuniki dla zespołów chirurgów, pomarańczowe dla personelu medycznego, antracytowe dla opiekunów zwierząt i różne pastelowe odcienie dla techników z poszczególnych działów. Hekate podobały się kolory, Parys lubił ruch.

Hala produkcyjna była okrągła, o średnicy trzydziestu metrów, a boczne korytarze prowadziły do laboratoriów, zagród i pracowni komputerowych. Oświetlenie sprawiało, że wszystko robiło świąteczne wrażenie.

Na samym środku niczym iglica wznosiła się rzeźba przedstawiająca tatuaż, który w tajemnicy zrobiły sobie Bliźnięta – kaduceusz z dwoma groźnymi smokami owiniętymi wokół

laski pasterskiej i tworzącymi podwójną helisę. Smoki wyrzeźbiono z doskonałego alabastru, mleczny kamień idealnie pasował do odcienia ich skóry. Laska była marmurowa, a skrzydła wykonano z kutego złota. Bliźnięta nie wyznawały żadnej religii, ale rzeźba była dla nich święta. Ich zdaniem ukazywała aspekty ich prawdziwej natury.

Parys oparł się biodrem o balustradę i popijał przez słomkę wodę z butelki. Oboje zawsze pili wodę z Himalajów z prywatnego magazynu. Obsługa dostawała filtrowaną wodę. Jednak ich magazyn w dokach wypełniały aż pod sufit butelki z fabryki w Asheville, która przez Ottona należała do Cyrusa. Obsługa Fabryki Smoków miała zakaz picia z tych butelek, a Hekate i Parys z całą pewnością nie zamierzali tego robić.

Dostawy wody zwykle szły prosto z fabryki do urzędu celnego, a później na pokładach statków płynęły na cały świat. Ich obecny zapas został przygotowany do dystrybucji na różnych wyspach Bahamów. Statek towarowy miał przypłynąć za dziesięć godzin.

– Naprawdę sądzisz, że tato dodał czegoś do wody? – spytał Parys.

– A ty nie?

Wzruszył ramionami.

– A co niby? Sprawdziliśmy zawartość toksyn, rtęci, zanieczyszczeń, bakterii. To zwykła woda.

– Może – rzuciła obojętnie Hekate. – Może.

– Jeśli tak się przejmujesz, wylej ją do oceanu, a butelki napełnij wodą z kranu.

– Moglibyśmy tak zrobić. Ale nie chciałbyś wiedzieć, co jest w środku?

– Zamówiłaś serię nowych testów, kiedy tylko wróciliśmy. Zaczekajmy do czasu, aż nasi ludzie zakończą analizy. – Zmrużył oczy. – A może wiesz, co w niej jest?

Wzięła od niego butelkę i pociągnęła łyk.

– Wiem? Nie, nie wiem, ale mam podejrzenia. Ogólne.

– To znaczy?

– Czynniki genetyczne.

Parys spojrział na nią zaskoczony.

– Terapia genowa?

– Da się to zrobić za pomocą wody. To trudne, ale tacie by się udało. Nam by się udało.

– Jaki rodzaj terapii genowej?

– Nie wiem. Gdyby tato był po prostu skorumpowanym biznesmenem, pomyślałabym, że dodaje coś, by wywołać uzależnienie od wody. Od tej szczególnej marki wody.

– Sprawdzaliśmy hormony.

– Nie, tato ostatnio zajmuje się głównie genetyką. I wirusami.

– Sprawdzaliśmy pod kątem wirusów – powiedział nerwowo Parys.

– I żadnych nie znaleźliśmy, wiem. Dlatego kazałam poszukać w wodzie DNA.

– Co zrobimy, jeśli coś tam znajdziemy?

– Cóż, braciszku, to zależy od tego, jaki jest cel tej terapii genowej. Jeśli to jedynie czynnik uzależniający, przepuszczamy go, ale prosimy o większy udział w rynku wody.

– A jeśli to coś złego?

– „Złego”? – Uśmiechnęła się na te słowa. – Na przykład?

– Coś niszczycielskiego. Coś, co będzie zabijać ludzi.

Hekate wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Dlaczego pytasz? Brzydzisz się?

– Po tym, co Berserkowie znaleźli w Denver? A jeśli nawet?

– Boże! Trochę za późno, żeby wyhodować sobie sumienie, Parysie!

Spojrział jej w oczy, a później uciekł wzrokiem w bok.

– Zawsze miałem sumienie. Trucizna albo zaraza... to coś zupełnie innego.

Wzruszyła ramionami.

– Ten towar, który odzyskaliśmy z Denver – powiedział Parys.

– To towar z nazistowskiego obozu śmierci. To... to niewłaściwe na zupełnie innym poziomie niż wszystko, co robiliśmy.

– To fascynujące!

– Jezu! To makabryczne. Nie mam nic przeciwko klapsom i łaskotkom. I owszem, od czasu do czasu nie mam nic przeciwko zabijaniu, ale systematyczne torturowanie i eksterminacja milionów ludzi?

Siostra znów wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Do diabła, na co tacie ten towar?

– A na co mógłby się przydać genetykowi? – spytała.

– Ja go nie chcę.

– A ja tak. Żałuję, że nie mamy kart Guthriego. Setki tysięcy próbek krwi, wszystkie porządnie zindeksowane z danymi demograficznymi. Przydałyby się do zbierania markerów genetycznych.

Pokręcił głową.

– Nie wiem, czy chciałbym zbudować nasze imperium na tego rodzaju kościach.

– Co, nie podoba ci się bycie złym geniuszem?

– To nie żarty, Hek.

– Nie żartuję. I nie nazywaj mnie tak.

– Czy tak nas postrzegasz? To znaczy naprawdę? Uważasz, że jesteśmy źli?

– A nie jesteśmy?

– A jesteśmy?

Hekate oddała mu butelkę z wodą.

– Zabijaliśmy ludzi, kochanie. Bardzo wielu. Ty sam własnoręcznie udusiłeś dwie kobiety, kiedy je rznąłeś. Nie wspominając o tych wszystkich ludziach, których zabili Berserkowie. Nigdy nie widziałam, żebyś ich oplakiwał. Źli? Tak, sądzę, że to dobre określenie.

– Jesteśmy zepsuci – powiedział cicho Parys. – Zepsucie nie jest jeszcze złem.

– Z pewnością nie jest świętą cnotą.

Przeszedł na drugą stronę balkonu i wyjrzał przez wielkie sklepione okno na magazyn w dokach. Drzwi były otwarte i widział przez nie palety z wodą.

– Czy istnieje granica? Między zepsuciem a złem? Jeśli tak, to kiedy ją przekroczyliśmy?

Hekate wpatrzyła się w profil brata. Podejrzewała, że to nadchodzi, ale nie oczekiwała, że w głosie Parysa usłyszy tyle cierpienia.

– Co się z tobą dzieje? Jesteś w takim nastroju od chwili, gdy wyjechaliśmy od taty.

– Tato. Alfa – prychnął Parys. – Jeśli jesteśmy źli, Hekate, to dlatego, że takimi nas stworzył. Jest potworem. My jesteśmy... produktami ubocznymi.

– Jabłko i jabłoń, Parysie.

Potrząsnął głową.

Hekate zmarszczyła czoło.

– Chcesz powiedzieć, że gdybyś miał wybór, postępowałbyś inaczej? Że wybrałbyś inną ścieżkę niż kroczenie po śladach ojca?

– Nie wiem. I nie chcę wchodzić w tę debatę natura kontra wychowanie – warknął.

Kiedy nie odpowiedziała, oparł się o balustradę i spojrzał na wodę, jakby już widział płynący frachtowiec.

– Podobało mi się, co robiliśmy. Wiem to o sobie i w pewnym sensie czuję się z tym dobrze, bo wiem, że służy to moim żądom. Może więc istnieje poziom zepsucia... zła... który mi nie przeszkadza. Może nawet definiuje mnie poziom, do którego chcę należeć.

– Ale... – zachęciła go.

– Ale nie wiem, czy chciałbym wierzyć, że nie mam ograniczeń. Że mój mrok nie ma ograniczeń.

– To nieco górnołotne, braciszku.

Odwrócił się i rozłożył szeroko ręce.

– Popatrz na mnie, Hekate. Popatrz na nas. Wszystko w nas jest przerysowane. Nic z tego nie jest prawdziwe, dużo uważano nawet za niemożliwe, ale oto jesteśmy i wyprosiliśmy, pożyczaliśmy i ukradliśmy tak wielką wiedzę, że uczyniliśmy niemożliwe możliwym. W historii nie było nikogo takiego jak my. Tato nazywa nas swoimi młodymi bogami i w pewnym sensie nie bardzo się myli. Naginamy naturę do naszej woli.

Otworzyła usta, by się odezwać, ale Parys pokręcił głową.

– Nie, daj mi skończyć. Pozwól mi to powiedzieć. Hekate, zawsze byliśmy Bliźniętami Jakoby. Ludzie byli gotowi zabijać, aby być z nami. Ludzie zabijali, żeby się do nas zbliżyć. Wiesz, że to prawda, bo mężczyźni zabijali się o ciebie na dwóch kontynentach. Jesteśmy legendami. Wiemy również, że nie jesteśmy normalni. Nie jesteśmy nawet prawdziwymi albinosami. Kolor skóry jest zbyt regularny, zbyt czysto biały. Nasze ciała nie mają żadnej skazy genetycznej. Mamy niebieskie oczy i doskonały wzrok. Nigdy nie dostaliśmy próchnicy. Jesteśmy silniejsi, niż powinniśmy być, i szybsi. I mimo różnicy płci jesteśmy niemal identycznymi bliźniętami.

– Tak, zostaliśmy zaprojektowani genetycznie. Wielka mi niespodzianka, Parysie. Nasz ojciec jest najprawdopodobniej najinteligentniejszym genetykiem na planecie. Chciał mieć doskonale genetycznie dzieci i je dostał. Upewnił się też, że jesteśmy olśniewający i kurewsko inteligentni. Bardziej niż ktokolwiek, może poza pojedynczymi wybrykami natury. Podkreślił nasze DNA, żebyśmy byli lepsi, żeby stworzyć „młodych bogów”, o których zawsze marzył. I co z tego? Żadna mi nowina.

– Granica między doskonałością genetyczną a anomalią jest bardzo cienka. A niezależnie od tego, co mówicie ty albo tato, jesteśmy anomaliami. Gdybyśmy nie zrobili niczego innego, niczego nowego lub innowacyjnego, ludzie i tak pisaliby o nas

książki i rozmawiali o nas przez następne stulecie. Może przez tysiąc lat. Przebiliśmy granice nauki, których nikt nie ważył się tknąć.

Hekate założyła ręce na piersi, ale się nie odezwała.

– Cóż to znaczy dla nas? – mówił dalej Parys. – Zostaliśmy wychowani przez tatę, by wierzyć, że jesteśmy wyniesionymi istotami. Jesteśmy bogami, obcymi albo kolejnym stadium ewolucji, zależnie od tego, która z osobowości taty się wypowiada. Niezależnie od tego, czy ma rację, czy się myli, nie jesteśmy normalni. Jesteśmy jak osobny gatunek.

– Wiem...

– Czy to dlatego robimy to, co robimy? – spytał głosem pełnym nacisku, niemal błagalnym. – Czy dlatego bez skruchy zabijamy, kradniemy i zabieramy? Czy jesteśmy ponad złem, bo zło jest częścią ludzkiego doświadczenia, a my nie jesteśmy do końca ludźmi?

– Czego ode mnie oczekujesz?

Potrząsnął głową.

– Nie wiem. Nie chcę się czuć źle z powodu tego, co robimy, Hekate, a jednak rozdziera mnie to wewnątrz. Czuję się źle, zanim odwiedziłeś tatę, a teraz jest gorzej. Może dlatego, że kiedy go widzę, myślę: „Oto jest prawdziwe zło w najczystszej postaci”. A może chodzi o to, że uważam to wszystko za bzdurne racjonalizacje, a tak naprawdę jesteśmy parą psychotycznych masowych morderców, którzy nie mają prawa żyć.

– Jezu, Parysie – Hekate uśmiechnęła się krzywo – kiedy dopada cię ból istnienia, wcale się nie patyczkujesz.

Podeszła do Parysa i wzięła go w ramiona. Niechętnie oddał jej uścisk i próbował się cofnąć, ale Hekate trzymała go mocno. Przez chwilę wydawało mu się, że jest silniejsza od niego. Pochyliła się i zbliżyła usta do jego ucha.

– Posłuchaj mnie, słodki braciszku. Jesteśmy bogami. Nie dlatego, że tak mówi tato czy pieprzony *National Enquirer*.

Jesteśmy bogami, bo my tak mówimy. Bo ja tak mówię. I tak, jesteśmy źli. Nasze dusze są równie czarne i wypaczone, jak Grincha, ale nie ma żadnej Cindy Lou Who z Whoville, która w trzecim akcie zmieni nas w dobrych gości. Jesteśmy źli, bo zło jest potężne. Jesteśmy źli, bo zło jest rozkoszne.

Zacisnęła ramiona wokół niego z taką siłą, że aż sapnął.

– Jesteśmy źli, bo zło jest silne, a wszystko inne słabe. Słabe jest brzydkie, słabe jest głupie. Zło jest piękne.

Wymruczała ostatnie słowo. A później pocałowała Parysa w policzek i odepchnęła go. Zatoczył się do tyłu i uderzył w balustradę. Gdyby jej nie złapał, mógłby wypaść za barierkę. Stał tam na miękkich kolanach, zdyszany i zaskoczony.

– Co, do kurwy nędzy...? – wysapał. – Co to miało być, do diabła?

Hekate uśmiechnęła się do niego. Jej niebieskie oczy były ciemne i głębokie, tęczęwki zdobiły malutkie złote plamki, których nie dostrzegł nigdy wcześniej.

– Kim ty jesteś, do diabła?

– Jestem twoją siostrą – powiedziała cicho. – I podobnie jak ty, mój słodki braciszku, jestem zła. Jestem potworem.

Hekate oblizała wargi.

– Tak samo jak ty.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 04.09.***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
79 godzin, 51 minut***

Wylądowaliśmy na lotnisku wojskowym, a ładunek – papierowy i ludzki – trafił do śmigłowca MH-47G Chinook. Ten przerzucił nas do miejsca, które stało się moim domem. Magazyn był bazą grupy terrorystów, na którą urządził nalot oddział specjalny policji i Bezpieczeństwa Krajowego, w którym służyłem. To właśnie ten nalot sprawił, że Church zwrócił na mnie uwagę, a parę dni później zostałem zwerbowany. Wszystko wydarzyło się pod koniec czerwca, a od końca sierpnia jeszcze dzielił nas tydzień. W tym czasie wydarzyło się tak wiele, że miałem wrażenie, jakbym był w WDN od co najmniej roku. Przez ostatnie dwa miesiące spędziłem trzy, może cztery noce we własnym mieszkaniu. Nawet mój kot, pulchny pręgowany rudzielec Cobbler, mieszkał w Magazynie. Wszyscy agenci oddziałów Echo i Alfa mieli swoje pokoje, choć paru wracało również do domów – od czasu do czasu – do rodzin.

Kiedy wielki śmigłowiec wylądował, zobaczyłem czekający na nas oddział uzbrojonych strażników – i dwoje ludzi, którzy stali nieco z boku. Rudy Sanchez i Grace Courtland. Moje serce zatańczyło z radości, kiedy zobaczyłem Grace. W imię zasad postarałem się nie pokazać tego po sobie.

Była pierwszym jasnym punktem w tym całym bajzlu, a gdy wyszedłem ze śmigłowca, ruszyła mi na powitanie. Szła nieśpiesznie, z delikatnym uśmiechem na wargach, ale znałem ją dość dobrze, by wiedzieć, że ten diabelski blask w jej oczach znaczył, iż ona również cieszy się na mój widok. Chciałem zaciągnąć ją za rząd black hawków i całować tak długo, aż straci oddech. Z doświadczenia wiedziałem, że ona również potrafiła pozbawić mnie tchu. Rudy, jak zwykle taktowny, trzymał się z tyłu.

– Z dalekiego morza już żeglarz powrócił, a zmęczony myśliwy strzelbę swą porzucił[2] – powiedziała z uśmiechem.

– Nie te wojska, ja byłem Rangerem.

– Nie znam żadnych wierszy o Rangerach.

Ponieważ wszyscy patrzyli, uścisnęliśmy sobie ręce, ale kiedy wypuściła moją, palcami delikatnie musnęła wnętrze mojej dłoni. Przez moje żyły przeszedł prąd.

Ruszyliśmy w stronę wejścia, a wtedy dołączył do nas Rudy.

– Jak idzie wojna? – spytał, wracając do naszej wcześniejszej rozmowy.

– Kule wciąż świszczą, Rude. A jak tutaj?

Chrząknął.

– Witaj w krainie paranoi. To zadziwiające, jak prześladowanie przez całą Agencję Bezpieczeństwa Narodowego może wpłynąć na spokój duszy grupy rządowego personelu. Zasugerowałem, by Church przemówił do wojska tutaj i przez kamerkę internetową w innych obiektach. Oczekują do niego więcej niż rozkazów. Jego spokojne, można by wręcz rzec, że prawie beznamienne zachowanie...

– „Prawie”? – mruknęła Grace.

– ...działał uspokajająco na personel WDN. On jest tak opanowany, że nawet kiedy leci pierze, jeśli tylko Church panuje nad sytuacją...

– ...i pogryza te swoje pieprzone wafelki waniliowe – dodałem.

– ...to personel pozostaje spokojny – dokończył Rudy.

Pokiwałem głową. Miał sporo racji. Church mistrzowsko manipulował ludźmi, a Rudy był pod wrażeniem skali i subtelności jego taktyki. Była we wszystkim, od koloru farby na ścianach po wygodne jednoosobowe sypialnie. I w zachowaniu Churcha. Większość z nas widziała go w samym środku walki, z krwią na podłodze, prochowym dymem w powietrzu i krzykami wszędzie dookoła, a on w tym swoim starannie skrojonym garniturze i przyciemnianych okularach robił wrażenie spokojnego i całkowicie pozbawionego uczuć. W porównaniu z Churchem Spock przypominał rozhisteryzowanego nastolatka z pryszczem w noc balu maturalnego.

– Posłuchaj, Joe – powiedział Rudy. – Chciałem się pożegnać, zanim odjadę. Church chce, żebym poleciał do Denver. Nie wiemy nic o oddziale Jigsaw, ale Church nie jest optymistą. Powiedział, że chce, żebym tam był na wypadek, gdyby przyszły złe wieści.

– A niech to. Mam nadzieję, że się myli. – Moje słowa zabrzmiały słabo. – Church ma o tobie wysokie mniemanie, skoro cię tam posyła.

Rudy wzruszył ramionami.

– Jestem narzędziem w jego rękach.

Ja nic nie powiedziałem, ale Grace się roześmiała.

– W porządku. Słyszałem. Chciałem powiedzieć, że Church postrzega mnie jako użyteczny instrument.

– „Narząd w jego rękach” – powiedziała Grace.

– Boże, czy wy jesteście w przedszkolu?

Uścisnęliśmy sobie ręce, a on powlókł się do śmigłowca, który czekał, by zabrać go na lotnisko.

– Church tu jest? – spytałem Grace, gdy przeszliśmy przez drzwi zabezpieczające do Magazynu.

– Tak – odparł Church.

Prawie na niego wszedłem. Stał tuż za drzwiami, wyglądał, jakby właśnie wyszedł z zebrania zarządu. Podał mi rękę, uścisnąłem ją.

– Cieszę się, że wrócił pan cały i zdrowy, kapitanie.

– Cieszę się, że jestem cały i zdrowy. Jakież wieści o Wielkim Bobie?

– Stan stabilny.

– Proszę posłuchać, skoro o tym mowa. Poznałem Cegłę i wiem, że stracił nogę na służbie. Jeśli Wielki Bob przeżyje, wiem, że już nie będzie pracował w terenie, ale nie chciałbym, żeby został wykopany na bruk. Takie rzeczy robią w Delcie...

– Niech pan pozwoli, że pana uprzedzę, kapitanie. To WDN. Nie mam zwyczaju porzucać swoich ludzi.

– W porządku. Podczas lotu miałem szansę wszystko przemyśleć i mam około miliona pytań.

– Cieszę się, że to słyszę, ale po kolei. Chciałbym spojrzeć na materiały, które wydobył pan w Denver, kapitanie. Doktor Hu przygotowuje prezentację w punktach wszystkiego, co mamy. Spotkamy się za godzinę na odprawie. A w tym czasie sugeruję, żeby się pan ogarnął i trochę odpoczął.

Bez słowa ruszył w stronę lądowiska.

Spojrzałem na Grace, która marszczyła czoło. Zobaczyła moją minę i pokręciła głową.

– Mnie nie powiedział wiele więcej. Próbowałam tuzina sposobów, żeby skłonić go do otworzenia się, ale on trzyma karty przy orderach.

– Spotkanie zapowiada się interesująco. Ciekawie będzie porównać notatki, ale najpierw muszę wziąć prysznic i włożyć coś czystego.

Wokół było dużo ludzi, więc jedynie krótko skinęła mi głową i rozeszliśmy się każde w swoją stronę.

2 Robert Louis Stevenson „Requiem” w przekładzie Teresy Zajewskiej
(przyp. tłum.).

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

***Rezydencja wiceprezydenta, Waszyngton, D.C.,
niedziela, 29 sierpnia, 04.11***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
79 godzin, 49 minut***

Wiceprezydent Bill Collins siedział samotnie w gabinecie z oknem wychodzącym na drzewa w ogrodzie. Zaciskał dłoń na piątej z kolei szklaneczce szkockiej bez lodu. Jego żona spała na piętrze, jakby w ich świecie wszystko było w porządku.

Po opuszczeniu Waltera Reeda cały czas spodziewał się pukania do drzwi. Agenci Secret Service. Albo, jeśli wszechświat był w złośliwym nastroju, NSA. Może uchylił się przed kulką. Może prezydent połknął wszystkie kłamstwa jak gęś kluski. Nie umiał tego ocenić, zwłaszcza przy tym prezydencie. Wszystkie te prasowe komentarze na temat jego spokoju i opanowania w najmniejszym stopniu nie oddawały jego niewzruszonego panowania nad sobą i zimnej bezwzględności, kiedy w konflikcie uderzał w moralizatorski ton.

Collins wiedział, że, o ile cała ta afera nie przycichnie, nie pozostawiając choćby śladu braku legalności, prezydent po cichu, starannie i bezlitośnie rozerwie go na kawałki.

Pociągnął kolejny łyk szkockiej, żałując, że nie może wypalić nią wszystkiego, co miało związek z Sunderlandem, Jakoby i ich wszystkimi planami szybkiego wzbogacenia się na biotechnologii. Wszystko, co wcześniej robiło wrażenie tak

sprytnego i doskonale zaplanowanego, teraz składało się jedynie z kompromitacji i slapsticku.

Z butelki McCalluma, która była pełna, kiedy wrócił do domu, pozostała jedynie połowa. Ale wiceprezydent Collins czuł się całkiem pusty. Nalał sobie kolejnego drinka.

Siedział w fotelu i czekał na pukanie do drzwi.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 04.14.***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
79 godzin, 46 minut***

Moją kwaterą było biuro, które przerobiono na mieszkanie. Mieściły się w nim łóżko, szafa – miałem zbyt mało rzeczy osobistych, by nazwać ją garderobą – i biurko z zabezpieczonym laptopem. Niewielka łazienka z miniaturowym prysznicem zmieściła się w dawnej szafie wnękowej. W drzwiach powitał mnie Cobbler. Kiedy wszedłem do środka, zaczął się ocierać o moje kostki. Jest wspaniałym kotem, a jego mruczenie brzmi jak piła tarczowa.

Przykucnąłem i drapałem go przez kilka minut, jednocześnie rozmyślając nad własnym życiem. Przed dwoma miesiącami byłem policyjnym detektywem z ambicją trafienia do akademii FBI. Jasne, należałem do oddziału specjalnego Bezpieczeństwa Krajowego, ale nigdy się nie spodziewałem, że zostanę tajnym agentem. Wciąż wydawało mi się to nierealne i w pewien sposób absurdalne. W końcu kim byłem? Kolejnym robolem z Baltimore, który znał parę sztuczek jujitsu i trzymał broń pewną ręką. Wielka mi sprawa. Jak to mnie kwalifikowało do takich zadań?

Cobbler ugryzł mnie przyjaźnie w rękę i podkręcił głośność mruczenia.

Podniosłem się, a wtedy pokój nagle zatańczył wokół mnie,

jakby jakaś wewnętrzna ręka nacisnęła przycisk wygaszający resztki adrenaliny w moim organizmie. Wyczerpanie uderzyło we mnie jak ciężarówka, więc powlokłem się do łazienki, włączyłem prysznic i ustawiłem temperaturę na „gotowany homar”. Wciąż miałem na sobie brudne rzeczy, których nie zmieniłem od chwili ucieczki przed NSA na cmentarzu. Od tamtej pory wiele się wydarzyło, a żadna z tych rzeczy nie sprawiła, że pachniałem fiołkami. Rozebrałem się i ustawiłem prysznic na przysmażanie, ale w chwili gdy miałem pod niego wejść, usłyszałem pukanie do drzwi.

Przeklinając pod nosem, złapałem ręcznik, owinąłem się nim w pasie i gwałtownie otworzyłem drzwi, spodziewając się, że będę musiał powiedzieć Rudy'emu albo któremuś z chłopaków z oddziału Echo, żeby się odpieprzyli, ale moje warczenie zmieniło się w uśmiech.

Stała tam Grace Courtland.

Spojrzała mi w oczy, a później wręcz teatralnie przesunęła wzrokiem po moim na wpół rozebranym ciele.

– Miałem właśnie wejść pod prysznic. I uwierz mi, bardzo tego potrzebuję.

– Nie obchodzi mnie, że jesteś brudny – odparła z uśmiechem – bo ja mam naprawdę nieczyste myśli.

Pośpiesznie upewniła się, że korytarz jest pusty, po czym wepchnęła mnie do środka i kopnięciem zamknęła drzwi za sobą. Przyciągnąłem ją do siebie i całowaliśmy się z takim ogniem, że powietrze wokół nas niemal płonęło. Jedną ręką pomogła mi z guzikami swojej koszuli, a drugą rozwiązała węzeł mojego ręcznika. Zostawiliśmy za sobą ślad ubrań biegnący od drzwi do łazienki. Rozpiąłem haftki jej stanika, a ona wysunęła się z niego i przycisnęła mnie plecami do ściany.

– Nie mogłem ci tego powiedzieć wcześniej, nie tak, jak trzeba – powiedziałem, kiedy całowała moją szyję i pierś – ale tęskniłem za tobą.

– Ja też za tobą tęskniłam, ty pieprzony Jankesie – szepnęła, a jej oddech parzył moją skórę.

Po chwili znaleźliśmy się w ciasnej kabinie prysznicowej. Namydaliśmy się nawzajem i spłukaliśmy, ani na chwilę nie przestając się całować. Kiedy była podniecona, jej zielone oczy robiły się zamglone, co uważałem za nieodparcie erotyczne. Uniosłem jej nogę i otoczyłem nią swoje biodro, a później wsunąłem prawą rękę pod udo Grace i uniosłem ją tak, że oparła się plecami o wykafelkowaną ścianę prysznicową. To była chwila rozpalonej doskonałości, która sprawiła, że oboje krzyknęliśmy. Dzień był pełen niepokoju, śmierci, rozpacz i napięcia, a teraz, wśród pary, potwierdziliśmy realność własnego życia, łącząc się z siłą życiową drugiej osoby.

Kiedy doszła, ugryzła mnie w ramię tak mocno, że przebiła skórę, ale mnie to nie obchodziło, bo koziółkowałem w tę samą głęboką otchłań.

Później wszystko było powolne i łagodne. Przez długi czas staliśmy razem pod prysznicem, nasze czoła stykały się, a woda spływała po nagich kończynach, zmywając stres i samotność, które definiowały nas i to, co robiliśmy. Wytarliśmy się nawzajem, a później położyliśmy nago na moim łóżku.

– Jestem padnięta – szepnęła. – Daj mi się przespać parę minut.

Pocałowałem ją w usta i czoło i wsparłem się na łokciu. Zasnęła niemal od razu. Jej ciemne włosy wciąż były wilgotne, lepiły się do kształtnej głowy i otaczały śliczną twarz. Miała zamknięte oczy, a długie rzęsy dotykały gładkich policzków. Ciało Grace było szczupłe, silne, zaokrąglone we właściwych miejscach i sprawne. Wyglądała bardziej jak baletnica niż jak żołnierz. Ale miała wiele malutkich blizn, które zdradzały prawdę. Nóż, kula, zęby, odłamek. Kochałem te blizny. Nieliczni poznali je z tak bliska. Te blizny pośród nieskazitelnej doskonałości czyniły ją bardziej ludzką w sposób, którego nie potrafię wyrazić. Czyniły ją jeszcze pełniej ludzką, jeszcze

potężniej kobietą, jeszcze bardziej spełnioną, niż mogły to uczynić jakiegokolwiek oszustwa z udziałem mody i kosmetyków. Oto była osoba, której siła, uroda i wdzięk nie ustępowały nikomu, przynajmniej w moim doświadczeniu. Kochałem to w niej. Kochałem ją.

I wtedy mój umysł się zatrzymał i jakaś wewnętrzna ręka pośpiesznie nacisnęła przycisk cofania, żebym wysłuchał tego, co właśnie powiedziałem.

Kochałem ją.

A niech mnie.

Nigdy wcześniej tego nie powiedziałem. Nie jej. Nigdy nie powiedzieliśmy tego sobie nawzajem. Przez ostatnie dwa miesiące łączyły nas zaufanie, seks i tajemnice, ale oboje trzymaliśmy się na minimalną bezpieczną odległość od tego słowa. Jakby było radioaktywne.

Jednakże to w półmroku mojego pokoju, w samym środku straszliwego kryzysu, po godzinach bezsenności i stresu, moje nieosłonięte serce wypowiedziało coś, czego wszystkie poziomy mojej świadomości nie dostrzegły ani nie wiedziały.

Kochałem Grace Courtland.

Spała dalej. Podciągnąłem kołdrę, żeby okryć nas oboje, i objąłem ją, kiedy przytuliła się do mojej piersi. Było to tak niewinne – może pierwotne. Potrzeba bezpieczeństwa i bliskości sięgająca tych długich nocy w jaskiniach, kiedy w mroku wrzeszczały tygrysy szablatozębne i wilki straszne. Tylko o to chodzi, powiedziałem sobie.

Choć byłem wyczerpany, nie mogłem spać. Konferencja i tak miała się zacząć za dwadzieścia minut, więc leżałem i myślałem o ogromie tych dwóch małych słów.

Miłość nie zawsze jest dobrem, a jej nadejście nie zawsze ciepłem i pociechą. Nie między wojownikami. Nie, kiedy żyliśmy na polu bitwy. Nie, kiedy mogliśmy zginąć, razem lub osobno, każdego dnia pracy.

Nie, kiedy mogło nas to rozproszyć albo doprowadzić do chwili wahania. W naszej sytuacji miłość mogła kogoś zabić. Nas i tych, którzy na nas polegali. Była nieostrożna, niemądra i głupia.

Ale była. Równie prawdziwa i obecna w moim sercu, jak krew, która wypełniała jego komory.

Kochałem Grace Courtland.

I co miałem zrobić?

Rozdział pięćdziesiąty szósty

*Fabryka Smoków,
niedziela, 29 sierpnia, 4.31.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
79 godzin, 29 minut EST*

Dostali się do kompleksu z góry, opadli bezgłośnie z nocnego nieba w skoku HALO. Było ich dwóch, duży i mały, przez całe kilometry spadali w ciemności, zanim otworzyli spadochrony i wypuścili parolotnie, które pozwoliły im unosić się na prądach termalnych w stronę wyspy. Duży, Pinter, ruszył przodem w świetle gwiazd, a Homler, jego mniejszy towarzysz, podążał za nim. Od stóp do głów okrywała ich czerń. Pinter przyglądał się linii brzegowej i kompleksowi przez gogle noktowizyjne, które wysyłały dane wyświetlające się jako miniaturowy obrazek w rogu lewej soczewki Homlera. Mniejszy mężczyzna ustawił gogle na skanowanie termiczne i liczył ciała, w podobny sposób dzieląc się danymi. Lewa rękawica Pintera została okablowana w taki sposób, że służyła jako urządzenie wejścia, dzięki czemu mógł kontrolować działanie swoich gogli, jednocześnie sterując lotnią. Uruchomił GPS i skierował się w dół i w lewo w stronę wybranego na podstawie zdjęć satelitarnych miejsca zrzutu. Niczego nie pozostawiono przypadkowi.

Dryfowali jak wielkie nietoperze wzdłuż brzegu lasu, w zasięgu wzroku z kompleksu, ale na równi z linią drzew, tak że znikali na ich tle. Ich kombinezony były chłodzone powietrzem,

by ukrywać ślady termiczne, a materiał pokrywający mundury polowe i kamizelki kuloodporne nie odbijał światła. Pinter wysłał sygnał do Homlera i razem wylądowali na nogach, wytracając impet w biegu. Szybko i cicho. Nacisnęli dźwignie na sprzęcie, zrzucili lotnie, złożyli je i schowali pod krzakiem dzikiego różanecznika. Później sprawdzili sobie nawzajem sprzęt i broń. Obaj mężczyźni byli uzbrojeni w noże, materiały wybuchowe, pistolety z tłumikami i broń długą. Nic nie miało numerów seryjnych, nic nie miało odcisków palców. Odciski palców obu mężczyzn nie znajdowały się w żadnej bazie danych poza tą należącą do armii, a w tym systemie zostali oznaczeni jako zabici w akcji w Iraku. Byli duchami i jak duchy wtopili się w dżunglę, nie wydając żadnych dźwięków.

Za pomocą GPS-u dotarli na skraj kompleksu, do słabego punktu, który rozpoznali dzięki obserwacji z dużej odległości. Kompleks miał wysokie ogrodzenie, oświetlane światłem reflektorów, ale był jeden punkt, szeroki na zaledwie sto osiemdziesiąt centymetrów, który co trzy minuty pozostawał w ciemności na dziewiętnaście sekund. Błąd ten pewnie zostałby wyłapany podczas kolejnej rutynowej kontroli systemu, ale teraz działał na ich korzyść.

Uklękli na skraju dżungli i obserwowali reflektory przez pięć cykli, potwierdzając istnienie trwającej dziewiętnaście sekund przerwy.

Założyli maski, które pozwalały im mówić do mikrofonów, ale tłumili każdy dźwięk, uniemożliwiając mu wydostanie się na zewnątrz. Gdyby w odległości trzech metrów stał wartownik, nie usłyszałby ich.

– W porządku, Butch – powiedział Homler – widzę strażnika na murze, czternaście metrów od wschodniego rogu. Porusza się od prawej do lewej. Sześćdziesiąt jeden kroków i nawrót.

– Potwierdzam, Sundance. – Pinter uniósł karabin i wycelował w wartownika. – Na twój sygnał.

– Pa, pa – odezwał się Homler, a wtedy Pinter wpackował dwie kulki w strażnika.

Odległy łoskot ciała strażnika padającego na przejście był głośniejszy od strzałów.

– Drugi wartownik wyjdzie z za zachodniego rogu za pięć, cztery, trzy.

Pinter wycelował i zabił strażnika, gdy ten wyszedł z za rogu.

Czekali na reakcje, krzyki, a kiedy nic nie usłyszeli, ruszyli do przodu i wbiegli w martwą strefę między reflektorami. Dotarli do podstawy muru i znieruchomieli, odliczając sekundy do następnej luki. Wtedy unieśli pistolety strzelające kotwiczkami i wystrzelili w stronę podstawy strażnicy. Podczas trzeciej luki uruchomili hydraulikę. Pistolety nie miały dość mocy, by unieść cały ich ciężar, ale odciążyły ich wystarczająco, by wbiegli jak pająki po murze. Wspięli się po niskim murku strażnicy i przykucnęli, czekając i obserwując.

– Skan termiczny?

– Nic. Czysto.

Zrzucili liny, ześlizgnęli się na ziemię i pobiegli szybko, pochyleni, przez pół hektara otwartej przestrzeni. Czujniki w ich sprzęcie nasłuchiwały pułapek, ale jeśli w okolicy były czujniki ruchu albo inne urządzenia ostrzegawcze, nie nadawały aktywnych sygnałów.

Obaj mężczyźni dotarli do ściany pierwszego budynku w kompleksie. Zapamiętali rozkład całego kompleksu. Dwadzieścia sześć budynków, od budki strażników na nabrzeżu po dużą betonową fabrykę. Pomijając tę ostatnią, wszystkie budynki miały ściany z takich samych szarych pustaków i dwuspadowe metalowe dachy. Na zdjęciach z powietrza miejsce wyglądało jak fabryka w dowolnym kraju trzeciego świata albo jak obóz koncentracyjny. Zupełnie nie przypominało tego, czym musiało być. Homler i Pinter wiedzieli to i domyślali się, że większość obiektu wybudowano pewnie w głębi skalnego

podłoża wyspy. Ich pracodawca upierał się, że centralny obiekt musi mieć co najmniej cztery lub pięć kondygnacji, by pomieścić wszystko, co się w nim działo. We dwóch nieśli dość materiałów wybuchowych, by wysadzić dziesięć kondygnacji budynków do wzburzonego Atlantyku.

Na przemian pozostawali w bezruchu i zrywali się do szybkiego biegu. Tego rodzaju infiltracja nie była dla nich niczym nowym. Robili to setki razy, osobno i w zespole. Przez ostatnie cztery lata to do „Butcha i Sundance’a” uderzano, kiedy trzeba było gdzieś przeniknąć. Jeśli dostali zadanie typu „wejść i wyjść”, nigdy nie zostawiali śladów, a jeśli mokrą robotę, pozostawiali za sobą wypalone budynki i zwęglone trupy.

Homler przyklęknął na jedno kolano i uniósł pięść.

Pinter, idący sześć kroków za nim, zamarł, kierując wzrok i lufę w stronę wskazaną przez towarzysza.

Minęło pięć sekund i nic się nie wydarzyło.

– Co? – szepnął Pinter.

– Dostrzegłem ślad ruchu. Pojawił się i zniknął. Teraz nie ma nic.

– Kamera przeczesująca okolicę?

– Nie! Było ciepłe.

– Nic tam teraz nie ma. Spadajmy.

Poruszali się bardzo szybko, kierując się w stronę głównego budynku i do maksimum wykorzystując osłonę – drzewa, inne budynki – by ukryć się przed czujnikami omiatającymi teren.

Znajdowali się dwanaście metrów od tylnej ściany fabryki, kiedy niespodziewanie zapaliły się światła.

Nagle zabłysły cztery komplety reflektorów stadionowych, wypędzając ostatnie skrawki cienia i przyszpilając dwóch mężczyzn jak czarne chrabąszcze na zielonej macie. Znieruchomieli pośrodku pola, zbyt daleko od linii lasu i osłony budynków.

– Cholera! – Homler rozglądał się dookoła w poszukiwaniu

wyjścia, ale światła były nieznośnie jaskrawe.

Oślepiały mężczyzn i ich czujniki, a choć noktowizory mieli nastawione tak, by pociemniały w przypadku rozbłysku, to światło przenikało pod ich goglami.

– Pozostańcie na miejscu! – zażądał szorstki głos, który zaryczał przez głośniki umieszczone na słupach reflektorów. – Opuśćcie broń i załóżcie ręce za głowami!

– Kurwa! – Pinter otworzył ogień w stronę najbliższego reflektora.

Zużył pół magazynka, nim żarówki zaczęły wybuchać w fontannie iskier.

Homler stanął plecami do niego i strzelał do świateł po drugiej stronie. On i Pinter poruszali się powoli, niszcząc reflektory i czekając na ostrzał w odpowiedzi.

Ostatni z reflektorów wybuchł, a iskry opadły w stronę trawy. Otoczyła ich ciemność.

Natychmiast ruszyli, biegli jak szaleni w stronę ogrodzenia, wymieniając po drodze magazynki. Teraz już nie próbowali się skradać.

Homler nacisnął guzik na kamizelce, która zaczęła nadawać sygnał do oddziału mającego ich podjąć, unoszącego się w łodzi Zodiak gdzieś za linią przyboju. Gdyby udało im się dotrzeć do wody, mogliby się wydostać w cholerę z tego miejsca.

Pinter dostrzegł poruszenie po prawej i wystrzelił dwa razy w tamtą stronę, nie przerywając biegu. Na tej wyspie nie musieli się przejmować, że trafią kogoś ze swoich. Nikt mu nie odpowiedział ogniem. Nie trafił albo się pomylił – nieważne.

Widzieli przed sobą ogrodzenie, Homler dotarł do niego jako pierwszy. Skoczył na nie z odległości prawie dwóch metrów, wyciągając ręce w stronę drutów. I został pochwycony w powietrzu i rzucony trzy metry do tyłu przez coś wielkiego i ciemnego, co wylańiało się z cieni.

Homler uderzył w ziemię, przetoczył się na czworaki, zerwał

maskę i zwymiotował na trawę.

Pinter odwrócił się gwałtownie i wystrzelił w stronę cienia, ale nic tam nie było. Obrócił się i ostrzelał każdy metr zarośli po obu stronach ogrodzenia, ale nic nie wrzasnęło, a jego noktowizja niczego nie pokazywała. Założył nowy magazynek i ukląkł obok towarzysza.

– Sundance – wysyczał – jak bardzo oberwałeś?

Homler zerwał gogle i zwrócił bladą, zdesperowaną twarz w stronę Pintera.

– Ja... ja...

Cokolwiek próbował powiedzieć, urwało się gwałtownie, gdy jego ciało przeszył spazm.

Pinter przez chwilę wpatrywał się w towarzysza i dostrzegł głębokie ukłucie z boku szyi. Strzałka? Ukąszenie przez węża? Przyłożył dwa palce do gardła przyjaciela, poczuł przyśpieszony puls. Ciało Homlera zesztyniało, w kącikach ust pojawiła się biała piana.

Pinter rozpoznał oznaki wstrząsu toksycznego, ale nie umiał ocenić, czy to była trucizna, czy naturalna neurotoksyna. Jasne było, że musiał uciekać, a nie mógł przenieść Homlera przez ogrodzenie.

Nie czuł się z tym dobrze, ale instynkt samozachowawczy był o wiele silniejszy.

– Przepraszam, Sundance – szepnął.

Podniósł się i ruszył tyłem w stronę ogrodzenia, jednocześnie przesuając lufą karabinu w prawo i w lewo i wpatrując się w cienie noktowizją. Przed nim rozciągała się połać trawy, na której poruszały się jedynie dzikie kwiaty kołyszące się na wietrze. To nie miało sensu. Co zaatakowało jego towarzysza?

Kiedy Pinter poczuł, że metalowa siatka ogrodzenia wciska się w jego plecy, odwrócił się i zaczął wspinać. Dotarł aż do szczytu, zanim spomiędzy drzew sięgnęła ciemność i pochłonęła go.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

*Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 04.39.*

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
79 godzin, 21 minut*

Zebraliśmy się wokół stołu konferencyjnego, na którym mógłby wylądować F-18. Siedziałem po jednej stronie z Grace, Hu naprzeciwko nas, Church u szczytu, a resztę miejsc zajmowało kilkunastu kierowników działów i analityków. Wszyscy mieliśmy laptopy i sterty notatek. Jak zwykle na stole stały talerze z ciasteczkami, jak również dzbanki z wodą i kawą.

– Mamy dużo do omówienia, więc od razu zabierajmy się do dzieła – powiedział Church. – Wczoraj mieliśmy bardzo zły dzień, i to nie tylko z powodu zajadłości wiceprezydenta i pechowych obrażeń, które odniósł sierżant Faraday. Wczoraj nikt z nas nie dał z siebie wszystkiego. Zareagowaliśmy na sprawę z NSA, jakbyśmy tylko ją mieli na głowie. Skuteczność naszego działania była tak niska, że nie ma co wspominać o liczbach.

Hu chciał coś powiedzieć, ale Church pokręcił głową.

– Pozwólcie mi skończyć. Sądzę, że zostaliśmy wrobieni. – Patrzył, jak te słowa do nas docierają. – Jak wiecie, niezbyt wierzę w przypadki. Za to zwykle patrzę na wszystko z szerszej perspektywy. Kiedy mówię, że sądzą, że zostaliśmy wrobieni, mam na myśli to, że zbyt wiele ważnych rzeczy wydarzyło się w tym samym czasie, dokładnie wtedy, gdy zostaliśmy zmuszeni

do wycofania niemal wszystkich naszych zasobów. Wyobraźcie sobie, jak by to się mogło rozegrać, gdyby NSA udało się zdobyć MindReadera albo zmusić nas do jego wyłączenia. Równie dobrze mogliby nas skuć i założyć nam opaskę na oczy. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. – Ktoś się nie zgadza?

Pokręciliśmy głowami.

– Właściwie, szefie, nie żebym chciał brzmieć jak wazeliniarz, ale myślę tak samo. Chciałem to panu powiedzieć, zanim wyruszyłem do Denver.

Pokiwał głową, jakby już się tego domyślał.

– Czy zechce pan przedstawić swoje domysły, co się właściwie dzieje?

– Nie. A w każdym razie jeszcze nie – odparłem. – Wciąż pozostało kilka luk, które wymagają zapełnienia. Powiedział mi pan trochę o Koterii i sprawach z czasów zimnej wojny. To musi być powiązane, więc może niech nam pan objaśni tę kwestię, a wtedy pobawię się w zgadywanki. Pasuje panu?

– Tak. – Church nalał sobie kawy i zwrócił się do wszystkich zgromadzonych. – Na podstawie tego, co kapitan Ledger znalazł w Deep Iron, sądzę, że widzimy jedną rzecz, jedną bardzo wielką sprawę. Ponieważ zostaliśmy odcięci od informacji i wytrąceni z równowagi, nie mogliśmy się temu dobrze przyjrzeć. To jak ta opowieść o trzech ślepcach opisujących słonia. Nie wiemy jednak, czy miną jeszcze całe lata, zanim ta sprawa stanie się zagrożeniem dla wszystkich, czy zaraz wybuchnie nam prosto w twarz. Jeśli mam się domyślać, to gdzieś pali się lont, a my musimy go odnaleźć.

– Jak zaczynamy? – spytała Grace.

Wziął ciasteczko z talerza, odgryzł kawałek z brzegu i przez chwilę żuł z namysłem.

– Dla większości ludzi zimna wojna była konfliktem między demokracją a socjalizmem. To uproszczona propaganda, której głoszenie pasowało obu stronom. W rzeczywistości była to walka

o władzę w okresie ogromnych przemian, politycznych i technologicznych. A w czasie jej trwania doszło do gwałtownego wzrostu nakładów na różnorodne badania, od raket po medycynę. Przez te dziesięciolecia wynaleziono wszystko, poczynając od mikroprocesora po telefon komórkowy. Jednak niektóre z najbardziej przełomowych osiągnięć, które posłużyły do rozwoju wielu cudów współczesnej nauki, poprzedzały zimną wojnę i sięgają lat trzydziestych i początku czterdziestych w Niemczech.

– Zdecydowanie – przerwał Bug. – W tamtych czasach działały się szalone rzeczy, jak z powieści s.f. Z1, pierwszy komputer oparty na systemie binarnym, został stworzony przez Konrada Zuse w Berlinie w roku 1936, a jego Z3, skonstruowany w roku 1941, był pierwszym komputerem o zmiennym programie. Dziś ludzie myślą, że komputery zaczęły się od pecetów.

– Zgadza się – stwierdził Church. – Dokonano też podobnych przełomów w medycynie i innych naukach. Po upadku Berlina rozpoczęła się walka o to, kto zdobędzie niemiecką naukę i niemieckich naukowców. Nawet ludzie, którzy powinni zostać osądzeni jako zbrodniarze wojenni, zostawali ułaskawieni... albo po prostu znikali... dzięki rządów, które chciały, by ci naukowcy dalej prowadzili swoje badania. Otwarcie, a częściej w tajemnicy. Wielu, w tym ja, wierzy, że wszystkie informacje zebrane przez nazistowskich naukowców powinny zostać zniszczone. Całkowicie. Jednak rządów często nie obchodzi cena informacji, jak długo sama informacja jest wartościowa.

– Mówi pan, że zachowaliśmy ten towar i z niego korzystaliśmy? – spytała Grace.

– Niestety tak.

– Pewnie – dodał Hu. – Większość naszej wiedzy o tym, jak ciało ludzkie reaguje na śmiertelne lub prawie śmiertelne przemarznięcie, pochodzi z badań prowadzonych w obozach. Właściwie wszystkie badania na temat broni biologicznej z lat

pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych opierały się na eksperymentach prowadzonych na więźniach w obozach i przez japońską Jednostkę 731, ich tajną jednostkę prowadzącą badania nad bronią biologiczną i chemiczną.

– Płacimy przewoźnikowi diabelską monetą – rzuciła Grace.

– W rzeczy samej.

– Można by pomyśleć, że zmądrzejemy, ale w tej kwestii mój optymizm umarł już dawno temu. Wielu lekarzy i naukowców uczestniczących w tych eksperymentach zostało ułaskawionych. Duża część badań była przeznaczona do wykorzystania przez wojsko i wywiad, choć niektóre przyniosły również korzyść ogółowi. Inne stały się własnością korporacji, które wykorzystywały dobroczynne aspekty tej wiedzy, by wprowadzić na rynek przynoszące duży zysk produkty.

– Wielkie koncerny farmaceutyczne – powiedziała szorstko Grace.

– Między innymi – zgodził się Church. – Istniały także grupy wewnątrz rządów lub utworzone przez podobnie myślących ludzi z różnych krajów, które pragnęły, by dokończono również pewne mniej godne szacunku badania, i tu właśnie zaczyna się nasza historia.

Church nacisnął guzik i na dużym ekranie telewizora pojawił się tuzin zdjęć. Twarze należały do białych mężczyzn i kobiet, niektóre zdjęcia wyraźnie zrobiono w kostnicy. Nie rozpoznawałem nikogo.

– Istniała bardzo potężna grupa, działająca od zakończenia drugiej wojny światowej po ostatnie dni zimnej wojny. Sami nazywali się Koterią, a biogramy jej członków znajdziecie w czerwonych teczkach, które wszyscy dostaliście. Nie byli przedstawicielami jednego narodu, choć wielu członków miało powiązania z nazizmem. Co najmniej trzech było wcześniej nazistami, inni, być może sympatycy, byli obywatelami Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Włoch, Argentyny i kilku

innych krajów. Byli to bardzo potężni ludzie, którzy mogli wykorzystywać duży majątek, zarówno prywatny, jak i swoich przedsiębiorstw, do realizacji własnych celów.

– A jakie to były cele? – spytałem.

– Mieli ich kilka. Jednym z podstawowych były czystki etniczne. Prowadzili cichą wojnę z „błotnymi ludźmi”, co jest ogólnym określeniem każdego, kto nie jest potomkiem jednej z bardzo ściśle określonych białych linii genetycznych.

– Pewnie nikt im nie powiedział, że wszyscy wyewoluowaliśmy z gromady małp w Afryce – mruknęła Grace.

Church się uśmiechnął.

– Nie byliby pierwszą... ani ostatnią... grupą, która postrzega ewolucję jako „teorię”. Jeden z kluczowych graczy Koterii, błyskotliwy genetyk znany jedynie pod kryptonimem „Merlin”, najwyraźniej wierzył, że ludzkość została nawiedzona przez obcych, anioły albo bogów... doniesienia na temat jego przekonań nie są jednoznaczne... i najczystsze ludzkie linie genetyczne pochodzą od tych niebiańskich istot.

– O, bracie – powiedziałem i nawet Hu się uśmiechnął.

– Koteria zarobiła setki milionów, wykorzystując wiedzę wykradzioną z Berlina po jego upadku albo badania rozpoczęte w Niemczech w czasie wojny i kontynuowane bez przeszkód przez naukowców, którzy uciekli przed zwycięstwem aliantów. Wykorzystując różne fałszywe nazwiska, firmy-wydmuszki i wsparcie kilku z mniej stabilnych rządów na świecie, zgromadzili ogromny majątek i najbardziej rozwiniętą technikę tamtych czasów. Kiedy taki czy inny kraj robił się zbyt podejrzliwy, zamykali interes, zmieniali nazwiska i znikali, by pojawić się w innym miejscu.

– Powiedział pan, że zostali usunięci. Jak i przez kogo? – spytałem.

– Wszystkie z liczących się siatek wywiadowczych na świecie dostrzegały fragmenty Koterii, ale żaden kraj nie widział dość, by

precyzyjnie określić jej całkowity rozmiar, siłę i cel. Dopiero kiedy grupa agentów z różnych krajów zaczęła potykać się o siebie nawzajem, stało się jasne, że wszyscy pracowali nad różnymi aspektami jednej wielkiej sprawy. Naturalnie, kiedy ci agenci poinformowali swoje rządy o podejrzeniach, nie zostali dobrze przyjęci. Częściowo z powodu samych rozmiarów sprawy, wątpiono w ich słowa. Agenci zostali zmuszeni do zmarnowania czasu i zasobów, by przynieść dowody, których ich rządy nie mogły zignorować. Ci agenci w końcu stworzyli oddział specjalny działający pod wspólnym kierownictwem USA, Izraela, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Było to w czasach znacznie poprzedzających powstanie WDN i Zapory. Oficjalnie ta grupa nie istniała. Ich jedynym kryptonimem była Lista. Lista weszła w tę sprawę podobnie, jak my teraz, dostrzegając fragmenty czegoś, co już się działo, i podobnie jak w naszej obecnej sprawie, doszło do pewnych strat, zanim Lista zmieniła się z outsiderów w aktywne graczy. Kiedy potwierdzono istnienie Koterii, zagrożenie, jakie stanowiła, wstrząsnęło fundamentami supermocarstw. Niektórzy, nieliczni wizjonerzy, rozumieli wtedy, podobnie jak teraz, że koniec drugiej wojny światowej nie oznaczał końca tego wroga. Zmieniła się jedynie natura wojny. Zamiast używać czołgów, żołnierzy i flot okrętów wojennych, Koteria prowadziła wojnę zarazkami, bronią nauki, i pieniędzmi tak wielkimi, że mogły destabilizować rządy. Zamiast wykorzystywać armie, by mordować grupy, które uważali za poślednie, Koteria finansowała konflikty wewnętrzne w niespokojnych krajach w sposób, który doprowadzał do ludobójstwa na tle etnicznym.

Kiedy Church mówił, na sali panowała całkowita cisza. Pochyliłem się, wsłuchując się w jego słowa, a w mojej głowie kolejne kawałki układanki wpadały na swoje miejsce. W moim umyśle powstawał przerażający obraz.

– W ciągu kilku lat Lista zidentyfikowała głównych graczy

z Koterii, którzy zostawali jeden po drugim usuwani z szachownicy. Była to tajna wojna, ale bez wątplenia wojna. – Przerwał na chwilę. – I ponieśliśmy swoje straty. Ponad połowa członków Listy zginęła w czasie zimnej wojny. Do drużyny dołączali nowi gracze, ale rdzeń zespołu zanikał. Wkrótce przed upadkiem Związku Radzieckiego Lista przeprowadziła dużą międzynarodową ofensywę na Koterię i w tamtym czasie byliśmy przekonani, że ich zniszczyliśmy. Zdobyliśmy ich aktywa, wyeliminowaliśmy lub uwięziliśmy członków i personel i przywłaszczylimy sobie raporty z badań.

– Sir – odezwała się ostrożnie Grace – nie jestem uczoną, ale wiem dość na temat nowoczesnych wojen, by zastanawiać się, dlaczego nic o tym nie słyszałam.

– Nic nie trafiło do podręczników historii, a oficjalne raporty już dawno zostały uznane za ściśle tajne. Niektóre wymazano.

– Wymazano? Jak? – spytała.

– Założę się, że wiem – powiedziałem, a wtedy wszyscy odwrócili się w moją stronę. – Postawię błyszczące dwadzieścia pięć centów, że jeden z członków Listy stworzył system komputerowy zaprojektowany specjalnie do tego, by wyszukiwał i eliminował właśnie tego rodzaju archiwa.

– Blisko – stwierdził Church. – Informatyk nazwiskiem Bertolini stworzył dla włoskiego rządu pakiet oprogramowania wyszukiującego i niszczącego, ale zanim go dostarczył, został zamordowany, a oprogramowanie ukradziono. Program ten, zwany Pangea, o dziesięciolecia wyprzedzał swoje czasy. Koteria zabrała Pangeę i wykorzystywała ją, by wykraść wyniki badań z laboratoriów, korporacji i rządów na całym świecie. To umożliwiło im dostęp do ogromnego zasobu zaawansowanej wiedzy. Nie musieli prowadzić badań: kradli informacje, łączyli je w wielkiej bazie danych i później od razu przechodzili do fazy produkcji.

– A Pangea? – spytała Grace.

– Odzyskał ją członek Listy. Strzegł jej Gunnar Haeckel, jeden z grupy czterech zabójców zwanych Bractwem Kosy. Pozostałymi członkami byli Hans Brucker, Ernst Halgren i Conrad Veder.

– Chwileczkę. Bractwo Kosy. – Naszkicowałem kosę w notatniku. Ostrze było zwrócone w lewo. Myślałem przez chwilę, wymazałem ostrze i narysowałem je skierowane w prawo. – Kryptonimem Haeckla była „Północ”, prawda? A pozostali byli Wschodem, Zachodem i Południem?

Church skinął w stronę mojego rysunku.

– Tak. I jest pan na dobrym tropie. Proszę to dokończyć.

Dorysowałem trzy inne kosy, każdą pod kątem prostym do poprzedniej. Północ, Wschód, Południe i Zachód. Church wyciągnął rękę i przekręcił szkic o czterdzieści pięć stopni.

Spojrzałem na rysunek. Cztery kosy wyglądały, jakby obracały się w kręgu. Tworzyły razem obraz swastyki.

Usłyszałem kilka westchnień, chrząknięcie i krótki śmiech doktora Hu.

– Ależ to sprytne – prychnął.

– Wtedy też nie było to szczególnie wyszukane – stwierdził Church. – Pewnie to jeden z tych pomysłów wewnętrznego kręgu, które brzmią dobrze w jaskini oświetlonej blaskiem świec.

– Jezu – jęknąłem.

– Podczas nalotu na laboratorium z Pangeą – Church podjął wątek – Haeckel został kilka razy postrzelony, w tym dwa razy w głowę. Był z całą pewnością martwy, co sprawia, że jego pojawienie się na nagraniu jest tak niepokojące. Tak czy inaczej, Pangea została odzyskana, a Lista wykorzystwała ją w lepszym celu: odszukania i zniszczenia wszystkich informacji, które zgromadziła Koteria.

– Który członek Listy odzyskał Pangeę? – spytałem.

Nie spodziewałem się, że Church odpowie, ale on mnie zaskoczył.

– Ja.

Zaczekał, aż ucichnie szmer rozmów.

– I pewnie przez lata nieco ją pan ulepszył – zauważyła Grace.

– I zmienił nazwę?

– Tak. Nowoczesną wersję, MindReadera, niewiele łączy z Pangeą, poza ogólną budową. Oba komputery zaprojektowano tak, by mogły się dostać na każdy twardy dysk, a przy użyciu serii specjalnych kodów konwersyjnych uczyły się języka systemu docelowego w taki sposób, by mogły udawać, że są docelowym systemem. I oba systemy wydostają się bez zostawiania śladów. Tu podobieństwa się kończą. MindReader jest wiele tysięcy razy szybszy, używa innego systemu rozpoznania wzorca, klonuje hasła i przepisuje kod bezpieczeństwa systemu docelowego, by nie pozostawić żadnego śladu swojej obecności, co oznacza drobne zmiany w znacznikach czasów, logach ściągania danych i całej reszty. Ślad Pangei, choć delikatny, może zostać wykryty przez kilka z najlepszych systemów klasy wojskowej, ale nawet wówczas często wygląda jak błąd komputera, nie zaś wtargnięcie.

– Panie Church – odezwała się Grace – powiedział pan, że informacje odebrane Koterii zostały zniszczone. Nie jestem szczególnie cyniczna, ale trudno mi przyjąć, że rządy, dla których pracowała Lista, pozwoliły na wymazanie tych wszystkich badań.

– Wszyscy tak sądziliśmy, pani major. Spotkaliśmy się w tajemnicy, by omówić tę sprawę, i głosowaliśmy, czy zniszczyć materiał bez oddawania go rządowi, czy oddać go po równo wszystkim rządowi, by żaden naród nie mógł czerpać z niego zysku. Głosowanie było o tyle trudne, że wśród groteskowych pomysłów zebranych przez Koterię ukrywały się również prawdziwie nowatorskie odkrycia. Wiele z nich z pewnością przyniosłoby korzyść ludzkości, byliśmy tego całkowicie pewni.

– I co zrobiliście?

– Siedmioro pozostałych przy życiu członków Listy

zagłosowało, pani major. Siedem za, zero przeciw, więc spaliliśmy wszystko. Protokoły z laboratoriów, tony dokumentacji, próbki, pliki. Wszystko. Niczego nie pozostawiliśmy. Naturalnie nasze rządy były na nas wściekłe. Niektórzy z członków Listy zostali wysłani przymusowo na emeryturę, innym przydzielono inne zadania, które oznaczały właściwie karę.

– Pan przetrwał – zauważyłem – więc domyślam się, że znalazł pan inne zastosowanie dla MindReadera.

Zjadł ciasteczko, ale nic nie powiedział.

– W porządku – odezwał się Hu – widzę teraz, że ta Koteria była wielkim złem w czasie zimnej wojny, ale to już przeszłość. Jaki to ma związek z bajzłem, w którym znaleźliśmy się teraz?

– Ponieważ otrzymujemy informację w sposób, który odpowiada sposobowi, w jaki Lista przed trzydziestu laty odkryła Koterię, a kilku kluczowych graczy z pewnością jest z tym związanych.

Postukał w klawisze i na ekranie za jego plecami pojawiły się inne twarze. W sumie dwadzieścia dwie, w większości mężczyźni i kobiety po trzydziestce. Pięć zdjęć przedstawiało ludzi po sześćdziesiątce lub starszych. Dwa ostatnie kwadraty zostały zaczernione.

– Większość tych ludzi zginęła w czasie zimnej wojny. Inni odeszli na emeryturę.

– A co z ostatnią dwójką? – Grace skinęła na zaczernione kwadraty.

– Cioteczka Sallie i ja. – Uśmiechnął się. – Już wiecie, jak wyglądamy.

Właściwie nigdy nie widziałem Cioteczki Sallie ani nawet nie odwiedziłem kwatery głównej WDN na Brooklynie, ale odpuściłem.

Church nacisnął kilka klawiszy i na ekranie pozostało jedynie pięć twarzy w średnim wieku.

– To byli ostatni pozostali przy życiu członkowie Listy. Lawson Navarro i Clive Monroe z MI6, Serena Gallagher z CIA, Lev Tarnim z Mossadu i Jerome Freund, starszy stopniem agent niemieckiego GSG 9.

Przerwał.

– W ciągu ostatnich sześciu tygodni cała piątka została zamordowana.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

***Fabryka Smoków,
niedziela, 29 sierpnia, 05.03
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 57 minut EST***

Pinter siedział na twardym drewnianym krześle. Ręce miał skute za plecami, a łańcuch przewleczony przez dębowe listwy na oparciu krzesła. Był nagi, a oni zalewali go wiadrami lodowatej wody. Rozkręcona na maksimum klimatyzacja sprawiała, że w pomieszczeniu panowała temperatura około pięciu stopni. Pinter nie panował nad drżeniem, ale mocno zaciskał zęby, żeby stłumić krzyki, które próbowały mu się wyrwać z gardła.

W pomieszczeniu wraz z nim przebywały cztery osoby. Trzy żyły. Czwarta była czerwoną masą powykręcanych kończyn i rozszarpanego ciała, która już nie przypominała człowieka. Była mięsem i kośćmi. Przed dwiema godzinami to mięso było towarzyszem Pintera. Ale później bliźnięta Jakoby i ich asystent wzięli się do pracy. Nawet nie zadawali Homlerowi żadnych pytań. Po prostu systematycznie go bili, zmieniając męczyznę w czerwoną, nieludzką masę. Nim zaczęli, Hekate uruchomiła nagrywanie dźwięku i obrazu, a teraz, gdy prawdziwe krzyki już ucichły, ciało zaś leżało nieruchome, całość rozgrywała się raz za razem na czterech wielkich płaskich ekranach zawieszonych na każdej ścianie.

Pinter zacisnął powieki, ale nie mógł zagłuszyć tych wysokich,

przenikliwych krzyków. Trwało to tak długo, że poczuł, jak w jego umyśle pojawiają się pęknięcia.

I wtedy Hekate przeszła powoli przez pomieszczenie i nacisnęła przycisk, który sprawił, że zapanowała ciemność. Odwróciła się jak tancerka i przeszła z powrotem, mijając brata i przeciągając paznokciami po jego brzuchu. Parys odwrócił wzrok. Nie uczestniczył w torturach, wolał pozostać przy drzwiach z rękami założonymi na piersi, z dala od chlapiącej krwi. Podążył spojrzeniem za siostrą, wargi miał wąskie i zaciśnięte.

Pinter oblizwał usta. Miał wrażenie, jakby gardło mu płonęło i wypełniały je gwoździe.

Hekate oparła się o ścianę i skrzyżowała nogi w kostkach. Miała na sobie rybaczki i górę od bikini. I pokrywała ją warstwa krwi, od pomalowanych paznokci u stóp po pełną dolną wargę. Jej oczy płonęły jak u drapieznika, a pierś unosiła się z wysiłku i ekscytacji.

– Wiesz, kim jestem? – wymruczała.

Były to pierwsze wypowiedziane przez kogokolwiek słowa.

Pinter nic nie powiedział.

– I znasz mojego brata...

Pinter posłał spojrzenie Parysowi, który przyglądał się paznokciom.

– A nasz wielki przyjaciel to Tonton.

Tonton wyszczerzył się. Zęby miał czerwone od krwi. Lubił gryźć.

– Wasze uzbrojenie i wyposażenie jest amerykańskie. Chcecie, żebyśmy wierzyli, że ty i to – trąciła palcem stopy pozostałości Homlera. – Ty i twój przyjaciel chcecie, żebyśmy sądzili, że jesteście agentami specjalnymi. Delta Force, SEAL, coś w tym rodzaju.

Pinter nic nie powiedział.

– Co by się udało, gdybym dziś rano obudziła się głupia.

Uśmiechnęła się, a Pinter pomyślał, że jej zęby wydają się nienaturalnie ostre. Oczy wiedzmy były dziwną mieszanką ciemnego odcienia niebieskiego i złota.

– Oboje wiemy, jak to się skończy.

Pinter popatrzył w prawo i w lewo, jakby istniała jakaś szansa ucieczki. Hekate uśmiechnęła się. Odepchnęła się od ściany i ruszyła w jego stronę, kołysząc biodrami w sposób, który kojarzył się Pinterowi bardziej z polującym kotem niż z kobietą. Wydawało mu się, że czuje żar jej oczu. Później uniosła nogę i usiadła mu na kolanach w taki sposób, że jego twarz znalazła się kilkanaście centymetrów od jej piersi.

– Wszyscy wiemy, że powiesz nam wszystko. Wszystko. Jediną kwestią pozostaje, czy będziesz bystry i zasłużysz na szybkie wyzwolenie, czy będziesz udawał głupiego i zmusisz nas, żebyśmy się napracowali. Koniec będzie taki sam. Tonton umie szybko zabijać, kiedy tego od niego oczekuję, ale wcale mu się to nie podoba. Ma w sobie trochę zwierzęcia. Prawdę mówiąc, ja też.

Hekate sięgnęła za plecy i rozwiązała sznurki góry od bikini. Zdjęła je, a paski prześlizgnęły się między jej zakrwawionymi palcami. Jej sutki były naprężone, piersi zaróżowione. Pochyliła się, przesuając sutkami po jego piersi.

– Wolalabym, żeby to było powolne i trudne. Mamy czas. – Pochyliła się i szepnęła mu chrapliwie do ucha: – Lubię powolne spalanie. Ale jestem uczciwa. Bądź wobec nas szczery, a nawet nie zauważysz, kiedy to się skończy.

Wytrzymał przez długą minutę, zaciskając zęby, by nie otwierać ust, ale kiedy Hekate z uśmiechem zlizwała krew z jego brody, pękł.

Odrzucił głowę do tyłu i krzyknął. Nie z bólu, ale z atawistycznego przerażenia, tak głębokiego, że wykraczało poza jego zdolność pojmowania. Było prymitywne i bezmyślne, wypełnione potrzebą, desperacją i całkowitą bezradnością.

Echo krzyku odbiło się od ścian i zawirowało wokół niego jak trujący opar. Padł do przodu, głową na jej piersi, a jego tors unosił się równie gwałtownie, jak pierś Hekate, choć z zupełnie innego powodu.

– Możesz umrzeć ładnie – powiedziała. – Albo możesz umrzeć brzydko.

Hekate pochyliła się, wsunęła mu palec pod brodę, nachyliła się w jego stronę i pocałowała go w usta. Pinter czuł słonawy posmak krwi na jej wargach. Zakrztusił się.

– Powiedz mi – szepnęła.

Powiedział jej wszystko.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

*Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 05.04.*

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 56 minut*

Na sali panowała absolutna cisza.

– Ostatnią ofiarą był Jerome Freund, który pracował jako zastępca dyrektora w muzeum historycznym w niemieckim Stuttgarcie. Przed jedenastu laty odszedł ze służby w Grenzschutzgruppe 9 i nie uczestniczył w żadnych działaniach. Nie był nawet konsultantem, ale został zamordowany najwyraźniej na wszelki wypadek przez kogoś, kto wskrzesił Koterię.

– Kiedy wydarzyły się te morderstwa? – spytałem.

– W ciągu ostatnich paru miesięcy. Mam w Niemczech swoje kontakty... kapitana Oskara Freunda, syna Jerome'a Freunda... który badał je dla mnie. Oskar jest aktywnym członkiem GSG 9 i to on jako pierwszy zwrócił moją uwagę na tę sprawę. Zadzwoił do mnie dziś rano, żeby powiedzieć mi o śmierci ojca.

Church podniósł ciasteczko, przyglądał mu się przez chwilę, po czym znów je odłożył. W jego wypadku była to oznaka wielkiego poruszenia, a kiedy się odezwał, zrozumiałem dlaczego.

– Jerome Freund był moim najbliższym przyjacielem. Najstarszym przyjacielem. Był dobrym człowiekiem, który służył swojej ojczyźnie i światu w bardzo mrocznych czasach. Mimo

zadań, jakie wykonywał w Liście, zasadniczo był życzliwym i łagodnym człowiekiem, a przez ostatnie jedenaście lat nie nosił broni, nie aresztował żadnych przestępców, nie zrobił niczego, co uzasadniłoby to, co mu się przydarzyło. A jednak został zamordowany bardzo starannie i w sposób, który zagwarantował mu wielkie cierpienia.

– Jak? – spytałem.

– Ktoś ubrany jak turysta przyszedł do muzeum, w którym Jerome pracował, i strzelił mu w kark szklaną strzałką. Oskar przyjrzał się nagraniu z kamer i określił, że bronią był pistolet gazowy na strzałki zamaskowany jako aparat. Sądzę, że nie był to przypadek, ponieważ takiej broni używał jego ojciec w czasie zimnej wojny, kiedy jeszcze był członkiem Listy.

– Co było w strzałce? – spytał doktor Hu z wielkim zainteresowaniem.

– Ebola.

Hu wyszczerzył się i na jego wargach zaczęło powstawać słowo „super”, kiedy posłałem mu spojrzenie obiecujące długą, bolesną śmierć. Nagle odkrył, że bardzo interesują go własne paznokcie.

– Kurwa mać! – powiedziała Grace. – Nie słyszałam o wybuchu epi...

– Nie było epidemii – stwierdził Church – i nikt inny nie został zakażony. Lekarze szybko rozpoznali objawy i umieścili Jerome’a w izolatce. Oskar mógł na niego patrzeć jedynie przez obiektyw kamery. Później niemiecki rząd założył blokadę informacyjną na całą sprawę. Jeśli przyczyna śmierci w ogóle wyjdzie na jaw, zostanie przypisana przypadkowemu zetknięciu w takich czy innych okolicznościach. Nikt poza Oskarem, jego zwierzchnikami i nami w tym pomieszczeniu... oraz zabójcą... nie wie, że to było morderstwo. Oskarowi udało się nawet wydobyć nagrania z kamer w muzeum bez wzbudzania niepokoju.

– Sprytne – zauważył Bug.

– Oskar, na prośbę ojca, już się zajmował zabójstwami członków Listy, a kiedy dostarczył informacje mnie, odkryłem bardzo przemyślany wzorzec. – Pan Church wstał i przeszedł do płaskiego ekranu. Dotknął pierwszego obrazu. – Lawson Navarro, były członek MI6, zginął w wypadku samochodowym. Kiedy pracował w Liście, doprowadził do śmierci kilku członków Koterii, majstrując przy ich samochodach, podkładając bomby w samochodach lub aranżując wypadki przy dużej prędkości.

Postukał w drugie zdjęcie.

– Clive Monroe, również z MI6, był najlepszym snajperem Listy. Został zastrzelony z karabinu o dużej sile na torze wyścigów konnych Sandown.

I następne.

– Serena Gallagher z CIA zginęła od upadku w czasie wycieczki. Jej metodą było aranżowanie „wypadków” dla swoich celów.

Ostatnie.

– Lev Tarnim, jeden z najlepszych agentów Mossadu, był jednym z tuzina ludzi zabitych miesiąc temu przez terrorystę-samobójcę w Tel-Awiiwie. Aż do tej pory o zamach obwiniano Hamas. Jednak Tarnim był w Liście specjalistą od materiałów wybuchowych.

– Czyli nie chodzi tu jedynie o to, że byli agenci giną – zauważyła Grace. – Każda osoba została zabita w sposób odpowiadający szkodom, jakie wyrządzili Koterii.

– Zgadza się – potwierdził Church.

– A Jerome Freund? – spytałem.

– Jerome dokonał kilku starannie wybranych eliminacji za pomocą różnych środków biologicznych.

– Jezu – mruknął Bug.

– Jest jeszcze jedna kwestia – dodał Church – która mogła wpłynąć na wybór broni użytej przeciwko Freundowi. Istnieje wiele patogenów, które mogą zabić, ale wybrano ebolę. Jerome

był historykiem. Opublikował kilka książek o wojnie. Zasłynął książką o próbie zamachu na życie Hitlera, bo jego ojciec współpracował ze Stauffenbergiem i również został stracony. Jednak Jerome napisał również dwie książki o obozach koncentracyjnych. Jedna przedstawiała ich ogólną historię, w drugiej zaś skupił się na tym, w jaki sposób to, co robili naziści, zniszczyło niemieckie dziedzictwo kulturowe. Większość ludzi traktuje wszystkich Niemców z tej epoki jako nazistów i wierzy, że wszyscy naziści byli zamieszani w próby eksterminacji całych narodów. To nigdy nie było prawdą. Wielu ludzi się sprzeciwiało, wielu wypierało ten fakt, a jeszcze inni doznali nieodwracalnych urazów psychicznych, ponieważ bali się odezwać głośno. My, Amerykanie, mieliśmy małą próbkę tego podejścia po jedenastym września, kiedy opinia publiczna była gotowa iść na wojnę, choć Ameryka nie została zaatakowana przez wszystkich muzułmanów. Histeria i strach są przerażające.

– To nie żart, szefie – zgodziłem się.

– Następna książka Jerome’a, w chwili jego śmierci jeszcze niekompletna, była historią obozów śmierci i ideologii... jeśli można to tak nazwać... która sprawiała, że ludzie czuli się jednocześnie przymuszeni i uprawnieni uczynić tak wielką krzywdę całym narodom. Jerome Freund postulował, że nazistowskie ostateczne rozwiązanie służyło jako model dla wszystkich późniejszych przypadków ludobójstwa na tle etnicznym na całym świecie, a szczególnie w Afryce. Twierdził, że masowa eksterminacja całych ras, grup etnicznych i kultur, która obecnie się szerzy, nie byłaby tak silna, gdyby nie doskonale udokumentowana kampania ostatecznego rozwiązania.

– I sądzi pan, że ponieważ tak wiele wspominał o Afryce, wybrano afrykański patogen? – spytała Grace.

Church pokiwał głową.

– Raczej pasuje do podejścia Koterii do wymierzania

sprawiedliwości. Ale to była jedynie połowa tego, co kierowało Koterią. Zajmowało ich również wykorzystywanie najnowocześniejszych osiągnięć techniki, by ponownie rozpocząć program eugeniczny i doprowadzić go do końca.

– *Dios mio!* – sapnął Rudy.

– A niech mnie. – Na twarzy Hu pojawił się uśmiech.

– Cholera – powiedziałem.

– Co to, do diabła, jest eugenika? – spytał Bug.

Rozdział sześćdziesiąty

*Fabryka Smoków,
niedziela, 29 sierpnia, 05.30.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 30 minut EST*

Parys nalał im po martini. Hekate siedziała na krawędzi krzesła, ciało miała napięte, a jej oczy błyszczały złością. Parys odstawił dzbanek i osunął się na kanapę.

– Mówił prawdę – stwierdził Parys. – Po tym, co zrobiłaś jego przyjacielowi, nie miał dość prawdy do powiedzenia. Błagał cię, byś mu uwierzyła.

Na twarzy Parysa wciąż malowała się odczuwana przez niego odrobina odrazy. Nie przeszkadzało mu zabijanie i od czasu do czasu nie miał nic przeciwko odrobinie rozrywkowej przemocy, ale tortury nie były w jego guście.

– Mogę uwierzyć w Ottona – stwierdziła Hekate – ale nie tatę.

Parys spojrzał na nią ponad krawędzią kieliszka i uniósł brew.

– Naprawdę? Nie możesz uwierzyć, że tato, nasz tato, uciekłby się do morderstwa?

– Nie bądź głupi – warknęła. – Wiem, jakim jest potworem. Jeśli podliczyć wszystkie okropieństwa, których się dopuściliśmy, nie możemy się z nim równać.

– W takim razie jakim cudem możesz być zaskoczona, że chciałby śmierci jednego z nas?

Pociągnęła łyk martini.

– Bo jesteśmy jego dziećmi. Jego jedynymi dziećmi.

– Naprawdę?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ten dzieciak. KIM. Ten, którego Otto nazwał „Osiemdziesiąt Dwa”, zanim ojciec urwał mu za to głowę. Nie widziałem zdjęć taty w dzieciństwie, ale KIM wygląda tak, jak wyobrażałbym sobie jego. Takie same oczy, usta i broda.

– Otto powiedział, że chłopiec jest siostrzeńcem taty.

– Pewnie. I oboje wiemy, na ile możemy wierzyć wszystkiemu, co mówi Otto. Poza tym jestem prawie pewien, że dzieciak jest bliźniakiem. Jakiś rok temu widziałem w Decku innego dzieciaka. Szybko uciekł mi z oczu, ale wyglądał niemal dokładnie jak KIM, a ja właśnie wyszedłem ze spotkania z Cyrusem i KIM-em. W niektórych rodzinach bliźnięta zdarzają się częściej.

Pokiwała głową i zagryzła wargę.

– Cyrus pewnie ma legion bękartów, które kręcą się po okolicy, gotowe uzurpować sobie naszą pozycję – stwierdził Parys.

– Mimo to nie mogę uwierzyć, że tato chciałby naszej śmierci.

– Tylko jednego – przypomniał jej Parys. – I nieważne którego, jak twierdził nasz nieżyjący informator. Ale myślę, że bardziej powinniśmy się przejmować tym, jak nas znalazł. Marcus powiedział, że nikt nie wszedł na pokład odrzutowca, kiedy byliśmy w Decku, a ja mu wierzę. Ale wyraźnie ktoś nas śledził. To znaczy, że Otto jakimś sposobem umieścił urządzenie śledzące na pokładzie odrzutowca i zdołał podążać za nami. Jak? Skąd tato zdobył samoloty, o których powiedział nam ten Pinter? Jak wynajął zabójców? Pinter powiedział, że to nie była jego pierwsza misja dla taty. Do diabła, jak tato sobie z tym wszystkim radzi?

Hekate pokręciła głową.

– Pewnie nasza kontrola nad nim nie jest tak ścisła, jak myśleliśmy.

– Ach tak? Tak sądzisz? – Prychnął i wstał, żeby znów napełnić ich kieliszki. – W tej chwili nie wiem, komu możemy zaufać. Z pewnością nie możemy zaufać nikomu w Decku. Boże, żałuję, że nie zainstalowaliśmy tego urządzenia zabezpieczającego, o którym rozmawialiśmy, bo w tej chwili byłbym szczęśliwy, gdybym mógł wysadzić całe to cholerstwo. Tatę, Ottona i całą resztę.

Pokiwała głową. Poważnie rozważali zaminowanie Decku w czasie budowy, ale ostatecznie zrezygnowali. Wtedy sądzili, że mają Cyrusa na smyczy nie do zerwania. Teraz poczuła się jak idiotka.

– Boże, nienawidzę, kiedy ktoś się mną bawi.

– On się nami bawił przez całe nasze życie – mruknął Parys.

– Ale teraz? Wszyscy w Decku należą do nas.

– Najwyraźniej on i Otto znaleźli lepsze środki nacisku.

Zapanowało długie, ponure milczenie.

– Jak myślisz, co by zrobił tato, gdybyśmy posłali mu głowy dwóch zabójców? – zaproponowała Hekate.

– Jezu, ale jesteś krwiożercza. – Parys wyduł wargi. – Ale to interesujący pomysł. Tato by pewnie wybuchł.

– Jak to by wyglądało?

Pociągnął łyk drinka.

– Nie wiem. Jeśli kontroluje Deck, to może być w stanie się z niego wydostać. A to znaczy, że mógłby nas zaatakować, jak tylko zechce.

– Chryste. – W wyobraźni Hekate zobaczyła cały wachlarz możliwości. Wstała, podeszła do okna i spojrzała na ekipy ładujące wodę w butelkach na frachtowiec. – Co mamy zrobić? Udajemy, że to się nie wydarzyło i wysyłamy ładunek? I następny, i jeszcze jeden?

– Zależy od tego, czy chcemy go ostrzec. Na razie on nie wie, że my wiemy. Dowie się co najwyżej, że nasza ochrona zabiła grupkę intruzów. Moglibyśmy udać, że nie wiemy, kto nas

zaatakował, albo nawet trzymać się jego planów i robić wrażenie przerażonych, bo amerykański rząd wysłał na nas oddział speców od mokrej roboty.

– On będzie wiedział, że kłamiemy.

– I co z tego? Jak długo będziemy podtrzymywać kłamstwo, nie będzie to miało znaczenia i opóźni konfrontację do czasu, aż zdążymy zbadać tę sprawę.

Hekate zagryzła pełną dolną wargę. Parys zauważył, nie po raz pierwszy, jak ostre są jej zęby, i zastanawiał się, czy zaczęła je piłować. Takie dziwactwo do niej pasowało.

Przeciągała palcem wzdłuż brzegu kieliszka, raz za razem, aż rozległo się stłumione brzęczenie. Nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– O co chodzi? – spytał Parys.

– Właśnie wpadłam na paskudny pomysł.

– Dla taty?

– Dla taty – zgodziła się. – Posłuchaj, on wie teraz, gdzie jesteśmy. W porządku, zamiast kontratakować, może zagrajmy niewiniątka i zwróćmy się do niego jak para przerażonych dzieciaków, które w chwili kryzysu potrzebują tatusia?

– Chyba nie nadążam...

– Może zaprosimy go tutaj? – Uśmiechnęła się paskudnie. – Powiemy mu, że się boimy i przydałyby się nam jego rady, jak zabezpieczyć Fabrykę Smoków przed kolejnym atakiem.

– Ach, ty przebiegła dziwko. – Parys się uśmiechnął. – A kiedy będziemy go tu mieli...

– Wpakujemy Ottonowi kulkę, zamkniemy tatę w lochu i pošlemy parę drużyn Berserków na Deck, żeby go, no, wysterylizować.

– Nie mamy lochu.

– To go wybudujemy.

Parys patrzył na nią przez dłuższą chwilę oczyma pełnymi uczuć.

– Dlatego właśnie cię kocham, Hekate.
Hekate przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 05.31.***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 29 minut***

Doktor Hu odwrócił się do Buga.

– Eugenika leży w szarej strefie między filozofią społeczną a ewolucjonizmem. Została zapoczątkowana pod koniec dziewiętnastego wieku przez sir Francisa Galtona, krewniaka Charlesa Darwina, i miała wielu liczących się zwolenników. Mówimy o ludziach takich jak H.G. Wells, George Bernard Shaw, John Maynard Keynes i wielu innych. Jej zwolennicy głoszą ideę ulepszenia ludzkich cech dziedzicznych poprzez interwencję.

– „Interwencja” – mruknęła Grace takim tonem, jakim ktoś mógłby powiedzieć „sonda analna”.

Hu ją zignorował.

– Zgodnie z teorią po odfiltrowaniu niepożądanych cech genetycznych, zepsucia i uszkodzeń, wyłoni się wywyższona ludzka istota, której zdolności i potencjał wykraczają poza nasze obecne możliwości.

Nim Bug zdążył zadać pytanie, wtrąciła się Grace.

– Co jest bardzo sprytnym sposobem, w jaki niektórzy naukowcy, a używam tego słowa z największą niechęcią, uzasadniają darwinizm społeczny najgorszego rodzaju. Zwolennicy eugeniki żyją również dzisiaj, ale ukrywają się za

sprawami, które na pierwszy rzut oka wydają się bardzo szlachetne. Na przykład wskazują na określoną wadę wrodzoną i w swoich wnioskach o granty i materiałach prasowych przedstawiają udrękę i cierpienie. Wykorzystują programy telewizyjne i media, by gromadzić wsparcie, i wszyscy się zgadzają.

Hu odwrócił się w jej stronę.

– Oczywiście, że tak! A kto by nie chciał wyeliminowania takiej wady? Każdy rozsądny i współczujący człowiek zgodziłby się...

– I gdyby większe dobro było rzeczywiście ostatecznym celem eugeniki, sama bym o nią walczyła – wtrąciła Grace. – Ale...

– Prr, powoli – odezwał się Bug. – Zgubiłem was dwa zakręty temu. Dlaczego się tak nakręcacie?

Hu go zignorował.

– Chyba nie próbujesz twierdzić, że wszystkie próby usunięcia wad genetycznych są w rzeczywistości dążeniem do stworzenia rasy panów? To niesprawiedliwe. Wiele z poważnych badań genetycznych ma na celu zapobieganie chorobom, poprawianie zdrowia i łagodzenie ludzkiego cierpienia. I nie stoją za tym jedynie wielkie koncerny farmaceutyczne i medyczne. Początkowe fundusze na poważne badania eugeniczne pochodziły z fundacji Rockefellerów, od Kelloggów i Carnegiech...

Grace wyglądała, jakby miała ochotę splunąć.

– Cóż, część z nich z całą pewnością miała dobre intencje, ale, doktorze, z całą pewnością nie możesz być aż tak cholernie naiwny, by wierzyć, że wszyscy uczestniczący w badaniach medycznych są altruistami i leży im na sercu większe dobro.

– W porządku, spróbujmy się nie rozpraszać – wtrąciłem, unosząc rękę jak gliniarz z drogówki. – Nie mamy czasu na debatę na temat bioetyki.

– Nie – zgodził się Church – a poza tym to bez znaczenia. Badania w tych archiwach nie dotyczyły zapobiegania zajęczej wardze czy autyzmowi. Koteria działała w celu dostarczenia

danych, które uzasadniłyby państwową dyskryminację, przymusową sterylizację osób uznanych za genetycznie uszkodzone i zabijanie ludzi umieszczonych w zakładach opieki.

Grace miała triumfalną minę.

– To właśnie, do diabła, mówiłam!

Bug pochylił się w moją stronę.

– To jest... co właściwie? Próba stworzenia rasy panów?

Odpowiedział mu Church.

– Tak. Mówimy o nazistowskich badaniach w rękach naukowców, którzy mieli dostęp do wyników najnowszych prac badawczych i którzy chcieli doprowadzić do końca program eugeniczny.

– A wy, to znaczy Lista, zajęliście się nimi? – spytała Grace.

– Tak – odparł Church.

Bug pokiwał głową.

– A ten towar z Deep Iron? Czy to badania eugeniczne?

– Nie do końca. Jest całkiem sporo danych z eksperymentów dotyczących urazów tępych, to znaczy bicia i innego rodzaju maltretowania, stanowiących element badań Mengele, mających określić granice ludzkiej wytrzymałości na urazy. Rzekomo miały pomóc niemieckim żołnierzom na polu bitwy, ale niewielu racjonalnych ludzi w to wierzy.

Zauważyłem, że kiedy to powiedział, posłał znaczące spojrzenie w stronę Hu, który choć raz nie skomentował. Grace, co dobrze o niej świadczyło, nie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Church mówił dalej.

– Eksperymenty prowadzone przez Mengele i innych lekarzy w różnych obozach nigdy nie miały posłużyć niemieckim żołnierzom. Ci walczący na polu bitwy nic ich nie obchodzili. Jerome Freund przeprowadził wiele wywiadów z ocalałymi z obozów, jak również tymi członkami personelu obozowego, którzy nie zostali straceni po procesach norymberskich. To, co

zrobił Mengele... wszystko, co robił Mengele... wynikało z jego szaleństwa i pragnienia, by brać pełen udział w programie eugeniki.

– Dlaczego? – spytał Bug. – Co z tego miał?

– Mengele wierzył w koncepcję rasy panów. Przez swoje eksperymenty usiłował określić fizyczne słabości różnych ras. Między innymi z tego powodu on i jego panowie wybierali Żydów i Cyganów do większości swoich badań, ponieważ zawierali oni małżeństwa w obrębie bardzo ograniczonej liczby rodzin. Pozwoliło to Mengele zbadać grupę, która miała wiele wspólnych cech fizjologicznych, a to z kolei pozwoliło mu dokonać intuicyjnych przeskoków. Zbiór statystyk nie jest jedynie opisem tego, jak ciało reaguje na uraz, ale jak reagują ciała określonych ras. Pomyślcie o wykorzystaniu tego w czasie wojny przeciwko rasie, którą uważali za podludzi. Wierzyli, że badając blisko spokrewnione rodziny, odkryją słabości pozwalające im stworzyć broń przeciwko całej rasie.

Grace skomentowała to słowami, które wstrząsnęłyby nawet portowym robotnikiem, po czym stwierdziła:

– Tak. I możemy dziękować Bogu, że Mengele nie był genetykiem.

– Dlaczego? – spytał Bug.

Tym razem odpowiedział Hu.

– Bo istnieją pewne choroby i zaburzenia, które dotyczą określonych linii genetycznych. Na przykład choroba Taya-Sachsa dotyka Żydów, których przodkowie pochodzili z pewnego określonego regionu. Głównie Żydów aszkenazyjskich z Europy Wschodniej. Słowo „Aszkanaz” pochodzi ze średniowiecznego hebrajskiego i odnosi się do Nadrenii w zachodnich Niemczech.

Hu zaczął się popisywać, więc wkroczył Church.

– Gdyby Mengele wiedział o chorobie Taya-Sachsa i miał dostęp do badań genetycznych, nie wiadomo, jakiego rodzaju masowy mord mógłby popełnić. Nie jest wcale niewyobrażalne,

że gdyby naziści mieli czas, mogliby opracować broń genetyczną, która rzeczywiście zniszczyłaby wszystkich Żydów.

Bug wydawał się przerażony.

– O mój Boże.

Miałem bardzo paskudną myśl i spojrzałem na Churcha.

– Archiwa Koterii, które zniszczyliście... jakie były kierunki ich badań?

Church milczał bardzo długo i wiedziałem już, że odpowiedź mi się nie spodoba.

– Pracowali nad sposobem przekształcenia chorób genetycznych w broń. I tak, obejmowało to również Taya-Sachsa. Chcieli stworzyć wersję, która byłaby zakaźna, nie dziedziczna.

Grace pokręciła głową.

– Cholerni szaleńcy.

Church nacisnął kilka klawiszy i na ekranie pojawił się znaleziony przeze mnie list, a obok niego angielskie tłumaczenie, które stworzyłem podczas lotu z Denver.

– Ten list powstał w czasie pobytu Mengele w Auschwitz. Wzmiankowany „Herr Wirths” to doktor Eduard Wirths, główny lekarz SS w obozie, zwierzchnik Mengele i bardzo oddany nazista. Wirths był świetnie wyszkolonym lekarzem, który specjalizował się w chorobach zakaźnych, a do obozu skierowano go, by spróbował powstrzymać epidemię tyfusu, która dziesiątkowała personel SS w Auschwitz. Odniósł sukces, a następnie pozostał na miejscu, by nadzorować inne badania. Nie mamy pełnych informacji na temat tego, co robił, ale od ocalałych z obozu wiemy, że szczególnie interesowali go więźniowie wykazujący objawy chorób zakaźnych. To Wirths rekomendował awans Mengele na starszego lekarza obozu.

– Uroczy gość – mruknęła Grace.

– Co ciekawe – Church popatrzył na nią – o Wirthsie mówiono, że zapewniał ochronę tym więźniom, którzy byli lekarzami, i nawet poprawił jakość opieki medycznej nad uwięzionymi

w Auschwitz.

– Co było jak podanie człowiekowi szklanki przyjemnie chłodnej wody, a później wepchnięcie go do ogniska – powiedziałem.

Church pokiwał głową.

– Wirths był skomplikowaną postacią. Upierał się, że więźniowie obozu umierali „z przyczyn naturalnych”, nie zaś w usankcjonowanych przez państwo egzekucjach. Jerome Freund postrzegał go jako złoczyńcę ze względu na jego niezachwiane oddanie trzem aspektom nazistowskiej ideologii: celowi odnowienia rasy niemieckiej, biomedycznej drodze do udoskonalonej rasy panów i wierze, że Żydzi byli poważnym zagrożeniem dla obecnego i przyszłego zdrowia rasy germańskiej. Nie był więc bynajmniej bohaterem, nawet jeśli niektórzy więźniowie w czasie procesów chwalili jego współczucie.

– Co się z nim stało?

– W roku 1945 został uwięziony przez Brytyjczyków, ale po krótkim czasie się powiesił. Możemy się jedynie zastanawiać, czy chciał w ten sposób uniknąć kary, czy dręczyły go wyrzuty sumienia. Jednak to z powodu ludzi takich jak Wirths i Mengele mamy teraz kodeks norymberski regulujący etykę badań medycznych i zasady eksperymentów z udziałem ludzi.

– Czym jest „rak wodny”? – spytałem.

– Rodzaj szpecącej zgorzeli, która często występowała w obozie – wyjaśnił Hu. – Jednym z bodźców do jej rozwoju jest niedożywienie i nadal stanowi znaczące zagrożenie w Afryce i innych krajach trzeciego świata. Wszędzie, gdzie występują złe warunki sanitarne, niedobór żywności i niedostateczna opieka medyczna.

– W porządku, a czym są „zoonozy”? – pytałem dalej.

Na to pytanie również odpowiedział Hu.

– Kategoria obejmująca wszystkie choroby zakaźne, które

mogą przenosić się ze zwierząt na ludzi. HIV, ptasia grypa i tym podobne. Zazwyczaj nie dochodzi do przeskoku między gatunkami, ale czasami mogą do tego doprowadzić zanieczyszczenia, sfuszerowany eksperyment albo zbyt duża poufałość z inwentarzem.

– Przepraszam, ale jak to się wiąże z nazistowskimi badaniami? – spytałem.

– Istnieją pogłoski, że z nimi eksperymentowali – wyjaśnił Hu – ale na całe szczęście nic z tego nie wyszło.

– Koteria prowadziła wiele badań w tym zakresie – dodał Church. – Ich naukowcy zajmowali się zoonozami takimi jak odra, ospa wietrzna, grypa i błonica, by sprawdzić, czy ponowne zakażenie nimi zwierząt wzmocni ich zjadliwość, by mogły zostać wykorzystane jako broń przeciwko ludziom.

– Jezu Chryste – odezwała się Grace. – Bardzo się cieszę, że pańska „Lista” pozbyła się tych fiutów.

Jeśli tak było. Miałem pewne wątpliwości.

– A co ze wzmianką o „bliźniętach”? – spytała Grace.

– Mengele miał obsesję na punkcie bliźniąt – odparł Church. – Oddzielał je od pozostałych więźniów i zapewniał lepsze traktowanie, choć nieliczni przeżyli obozy. Nikt tak naprawdę nie wie, jaki był ostateczny cel tych eksperymentów. O ile Mengele w ogóle jakiś miał.

– Pewnie był po prostu kompletnie ześwirowany – zasugerował Bug.

– Był zły – sprzeciwiła się Grace.

Hu popatrzył na nią protekcjonalnie.

– Zło to abstrakcja.

Church odwrócił się powoli w jego stronę. W powietrzu panowało dziwne napięcie.

– Zapewniam pana, doktorze, że zło istnieje. Wszyscy przy tym stole je widzieli. Mój przyjaciel został zamordowany za pomocą strzałki wypełnionej ebolą. Szaleństwo objawiłoby się inaczej:

podłożeniem bomby, dźgnięciem nożem, może nawet porwaniem i zamordowaniem. Ale staranne stworzenie broni zawierającej patogen, opłacenie zabójcy i dostarczenie tej broni do celu świadczy o chłodnym, być może nieludzko zimnym umyśle i jasnym celu. To zło.

– A jeśli zabójcy wierzą, że ich ideologia jest właściwa? – odparował Hu.

– Jak partia nazistowska? – spytał cicho Church.

– Pewnie. Jak partia nazistowska. Pański przyjaciel był Niemcem. Nazizm narodził się w Niemczech. Z pewnością nie chce pan powiedzieć, że duża część narodu niemieckiego nagle stała się „zła”.

– Oczywiście, że nie. Większość ludzi, czy to w Niemczech, czy w każdym innym kraju, daje się łatwo poprowadzić i łatwo zdeprawować przez grupkę ekstremistów. Widzieliśmy to w przypadku muzułmańskich terrorystów. Islam nie jest zły ani zepsuty, ale zbiera cięgi za to, co niektórzy robią w imię tej religii. Widzimy to również w Stanach. I proszę mnie źle nie zrozumieć, doktorze, nie nazywam każdego ekstremisty „złym”. Nie używam tego określenia nawet w odniesieniu do większości terrorystów. Wielu wierzy, że to, co robią, jest jedynym sposobem, by zapewnić sobie lepszą przyszłość, albo wierzą w słowa swoich przywódców, albo w określoną interpretację pisma. Ludzie z niezliczonych powodów sięgają po broń i występują przeciwko sobie nawzajem. Nie, kiedy określam kogoś takiego jak Joseph Mengele jako złego, mówię o poziomie deprawacji opartym na samoświadomości. Mengele nie był fanatykiem ślepo podążającym za sprawą. Był monstrum. Gdyby nie urodził się w nazistowskich Niemczech, mógłby zostać seryjnym mordercą albo innym rodzajem potwora.

Hu nie wydawał się przekonany, ale nie naciskał.

Church wybrał ciasteczko i odgryzł kawałek.

– Co zaś dotyczy reszty materiału, który pan znalazł, kapitanie

Ledger, większość jest zaszyfrowana, a my nie znamy klucza. Nasi kryptolodzy pracują nad nim, ale może to zająć całe dni i miesiące. Jednak diagramy i tabele świadczą, że jedna trzecia tych skrzyń zawiera wyniki jakiegoś rodzaju badań genetycznych, co oznacza, że to informacje z czasów długo po wojnie. Musimy przyjąć do wiadomości całkiem realną możliwość, że archiwum zawiera kopie materiałów, które Lista zniszczyła.

– Świetnie – powiedziałem. – A te zbiry, które spuściły łomot Rosjanom, uciekły z większością mikrofiszek i pewnie przeklętym kluczem.

Church pokiwał głową.

– W książce, nad którą pracował Jerome Freund, znajdowały się wzmianki o Heinrichu Haecklu. Rodzina Haeckelów miała od ponad stulecia związki z naukami biologicznymi. Zmarły w roku 1919 Ernst Haeckel był znanym biologiem, który wniósł duży pozytywny wkład do nauk przyrodniczych. Jednak syn jego brata, Heinrich, był potworem. Był również naukowcem, ale interesował się eugeniką, a badania Jerome'a z dużą dozą pewności wskazują, że to Heinrich Haeckel był naukowcem, który sprzedał Adolfowi Hitlerowi koncepcję *Unlebenswertes Leben*.

– Jezu Chryste – wydyszałem, a kiedy Grace i Bug popatrzyli na mnie z dezorientacją, przetłumaczyłem je dla nich. Słowa paliły mi usta. – To znaczy „życie niegodne życia”.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

*Deck,
niedziela, 29 sierpnia, 05.32.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 28 minut EST*

– Dlaczego nie mamy jeszcze żadnych wieści?

Otto podniósł wzrok znad komputera.

– Proszę dać im czas, panie Cyrusie.

– Minęło już dość czasu – warknął Cyrus. – Jesteś pewien, że mają odpowiednią lokalizację?

– Oczywiście, że tak. Wszystko zostało zweryfikowane i oddział jest już pewnie na terenie obiektu. To operacja polowa, infiltracja, wymagająca ostrożności i rozwagi. Musimy pozwolić, żeby wykonali swoje zadanie.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje. I chcę zostać poinformowany w chwili, gdy Parys albo Hekate zostaną zabici. Dokładnie w tej chwili, Otto.

Otto pokiwał głową, ale nie odpowiedział. Było to nierozsądne i irracjonalne żądanie. Wyraźna oznaka, że nadszedł czas na kolejną porcję pigułek. Co wymagało delikatności, bo zasugerowanie tego w czasie, gdy Cyrus był w takim nastroju, musiało doprowadzić do ataku morderczej wściekłości. Choć Otto nie bał się Cyrusa Jakoby, istniało całkiem poważne zagrożenie dla ich planów. W ostatnich kilku latach ataki furii Cyrusa doprowadziły do zniszczenia głównych elementów wyposażenia

oraz zabicia lub okaleczenia kluczowego personelu, co negatywnie wpłynęło na płynność produkcji. A to z kolei opóźniło rozpoczęcie Fali Wymierania.

Nadchodząca data 1 września została wybrana, kiedy Cyrus był w kapryśnym nastroju, i miała nawiązywać do odkrycia planetoidy Junony przez niemieckiego astronoma Karla L. Hardinga. Cyrus upierał się, że planetoida nie została odkryta przed tą datą, ponieważ dopiero wtedy się pojawiła, umieszczona przez Boga jako znak. Wcześniejsza data rozpoczęcia Fali Wymierania miała o wiele większe osobiste znaczenie dla Ottona – 20 maja, rocznica rozpoczęcia budowy Auschwitz. Wcześniej był 30 kwietnia, rocznica samobójstwa Hitlera. Otto był zdecydowany uczynić 1 września terminem ostatecznym, nawet jeśli nawiązanie astronomiczne znaczyło dla niego mniej niż nic.

Druga i trzecia Fala Wymierania już czekały i obie miały być gotowe na długo przed pierwotnie zaplanowanymi datami. Gdyby trzymali się harmonogramu, patogeny wymierzone w określone grupy etniczne osiągnęłyby krytyczne nasycenie do maja następnego roku. Modele komputerowe przewidywały, że do września następnego roku liczba ofiar wśród błotnych ludzi powinna sięgnąć miliarda. Po pięciu latach na planecie pozostałby jedynie miliard ludzi, a o ile nie cechowała ich nieznaną obecnie odporność, wśród ocalałych nie byłoby czarnych, Azjatów ani Latynosów. Ta myśl napełniała Ottona seksualną rozkoszą potężniejszą niż cokolwiek, co przeżył z kobietą. Nowy Porządek był nie tylko doskonałym planem, ale też znajdował się w ich zasięgu.

Chyba że Cyrus zbyt długo nie będzie brał pigułek.

Kiedy zdobędą Fabrykę Smoków, Cyrus najpewniej się uspokoi. Będzie miał tak wiele nowych zabawek. Ale póki osiągnięcie tego celu wciąż pozostawało w niepewności, nastroje Cyrusa będą coraz bardziej rozchwiane. Otto musi wymyślić coś, by skłonić go do wzięcia pigułek. Gdyby przyszło co do czego,

zawsze może strzelić do niego z pistoletu strzałkowego. Nie byłby to pierwszy raz.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 05.33.***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 27 minut***

– Życie niegodne życia – powtórzył powoli Bug. – Rany, to brzmi paskudnie.

– To sedno nazistowskiej eugeniki – stwierdził Church. – Odnosi się do tych ludzi... lub grup ludzi... które ich zdaniem nie miały prawa do życia.

– Gdyby tym dupkom się powiodło – powiedział cicho Bug – połowa ludzi przy tym stole nie przeszłaby testów. Nie jesteśmy materiałem na „rasę panów”.

– A kto jest? – spytał Church. – Idea rasy panów należała do nazistów. Nie była i nie jest częścią kulturowych aspiracji Niemców.

– Czyli dlatego Haeckel korespondował z dupkiem takim jak Mengele. – Bug wreszcie połączył elementy układanki. – Grali w tej samej drużynie.

– Ale jakim sposobem archiwa w ogóle wydostały się z Niemiec? – spytała ostro Grace. – Haeckla nie uznano za zbrodniarza wojennego?

– Nie – odparł Church. – Jego związki z nazizmem nie zostały w pełni potwierdzone nawet po wojnie. Rzekomo handlował sprzętem medycznym i nawet współpracował

z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem. Był dość przebiegły, by nie uczestniczyć aktywnie w polityce, i bardzo prawdopodobne, że uciekł z kraju, kiedy sprawy zaczęły się obracać na niekorzyść Niemiec. Wielu nazistów czuło, co się święci. Przegrywali wojnę, ale wielu z nich było tak oddanych... a może fanatycznych... że chcieli zachować fundamenty swoich badań, by móc zacząć je od nowa gdzie indziej. Haeckel mógł się udać do Ameryki Południowej, a może nawet bezpośrednio tutaj.

– Jak, do diabła, mógł odstawić coś takiego? – spytał Bug. – Nie ma szans, żeby nazista tak po prostu wjechał sobie do Stanów w czasie wojny.

Grace pokręciła głową.

– Bug, nie bądź naiwny. W czasie wojny dochodziło do kontaktów, a nawet, w pewnym ograniczonym stopniu, handlu między Niemcami a niektórymi amerykańskimi korporacjami. Oczywiście były bardzo dyskretne. Istnieją ludzie, którzy zawsze, jak to określają, „patrzają na wszystko z dużej perspektywy”, co zasadniczo pozwala im usprawiedliwić wszelkie poczynania, bo wiedzą, że wojny się kończą, a kraje zwykle dają sobie buzi i się godzą. Dziś wy, Jankesi, jesteście kumplami z Niemcami, Rosją, Japonią, a nawet Wietnamem.

– To nie mogło być takie proste – upierał się Bug.

– Nie było – zgodził się Church – ale kiedy w grze pojawia się dość pieniędzy, sposób zawsze się znajdzie. Heinrich Haeckel zniknął przed końcem wojny. Albo nie udało mu się wydostać z Niemiec i znalazł się wśród bezimiennych zabitych, albo dotarł tutaj i osiedlił się pod innym nazwiskiem. Mógłbym się założyć, że w tym przypadku chodzi o to drugie. To, jak rozegrała się cała sytuacja, raczej wskazuje, że umarł tutaj przed przekazaniem danych, które znajdowały się w jego posiadaniu, gdyż inaczej Koteria odnalazłaby je już przed dziesiątkami lat. Przypuszczam, że jego bratanek niedawno odkrył jakieś wzmianki o nich w dokumentach rodziny, a to rozpoczęło wyścig do Deep Iron.

– Rozumiem, dlaczego Haeckel i jego kumple naziści chcieliby zdobyć archiwum – powiedziałem – ale kim była ta druga ekipa? Goście, z którymi się biłem w Deep Iron?

– Nie wiadomo. Może jakiś odłam albo wolni strzelcy próbujący ukraść materiały i sprzedać je na czarnym runku. Wiemy zbyt mało, by się domyślać.

– Czy Gunnar też był naukowcem? – spytała Grace.

– Nie – stwierdził Church. – Był mięśniakiem.

– Sądził pan, że go pan zabił – odezwałem się – a tymczasem on żyje sobie w Brazylii, gdzie zabiera tępaków z klubu rotariańskiego na polowania na mityczne bestie.

– Ale jak to wszystko łączy się w wielkie zagrożenie dla ludzkości? – spytał Bug.

– Jednorożec – odparłem, a Hu przytaknął.

– Dobra, czegoś nie wiem, więc może byście mi to objaśnili?

Odpowiedział Church.

– Od czasów zimnej wojny nauka posunęła się bardzo do przodu, a genetyka wręcz rozkwita. Jednak istnieją granice tego, co można odkryć podczas współczesnych badań. Międzynarodowe prawa i nadzorujące organizacje są całkiem skuteczne, a program badań nad rasą panów wymagałby dużej bazy danych, w tym ogromnej liczby próbek tkanek i obiektów badawczych. W dzisiejszych czasach to by było właściwie niemożliwe bez współpracy ze strony całego rządu.

– Racja – stwierdził Hu. – Naziści w czasie drugiej wojny światowej mieli zapewnioną współpracę ze strony całego rządu, jak również miliony obiektów badawczych. Wszystkich, którzy przeszli przez obozy. Te archiwa, które znalazłeś, zawierają pewnie obszerne informacje na temat pochodzenia etnicznego, płci, wieku i innych zmiennych. Pudła kart z brązowymi odciskami palców to próbki krwi. Trzydzieści lat temu sekwencjonowanie DNA było niemożliwe. Jako pierwszy profilowania DNA dokonał sir Alec Jeffreys z Uniwersytetu

Leicester w Anglii. W tamtym czasie Koteria już nie istniała. To, co powstrzymaliśmy, było pierwszym krokiem w zbieraniu informacji, które mogły zostać wykorzystane, kiedy nauka dogoniła marzenia o rasie panów.

– Czy możliwe jest profilowanie DNA na podstawie wysuszonej krwi? – spytała Grace.

– Pewnie – odparł Hu. – DNA profilowano już na podstawie kart Guthriego, które są powszechnie zbierane w chwili narodzin w celu badania noworodków w kierunku chorób genetycznych, a w wielu stanach również przechowywane. Czytałem o przypadku, kiedy ojcostwo ofiary wypadku samochodowego ustalono na podstawie krwi z siedemnastoletniego plastra.

– Czyli te karty i archiwa pomagają im odzyskać informacje o liniach genetycznych – stwierdziła Grace.

– Tak. Stworzenie rasy doskonałych genetycznie istot jest rdzeniem eugeniki, ale nie jest szybkie. To skrajny darwinizm społeczny, co oznacza, że proces ten trwa przez całe pokolenia. Jest szybszy od naturalnej ewolucji, co nie znaczy, że szybki. Chyba że, rzecz jasna, ma się dostęp do projektowania genetycznego obejmującego transgenikę. Poprzez przekształcenie DNA mogliby stworzyć doskonalszych ludzi w ciągu pokolenia albo dwóch.

– Jednorożce – przypomniał Bug.

– Kapitan Ledger już to rozgryzł – stwierdził Church. – Sposób na zarabianie pieniędzy, który nie jest sprzeczny z mentalnością Koterii. Brać od najbogatszych miliony za możliwość polowania na trofeum, którego nikt inny nie może mieć. Zaspokaja to pewne pragnienia i zapewnia ogromny kapitał operacyjny dla grupy takiej jak Koteria. Ale, co ważniejsze, świadczy o zaawansowanej inżynierii genetycznej, którą mają do swojej dyspozycji.

– Informacje o liniach genetycznych, zaawansowana nauka, pieniądze – powiedziałem. – Najwyraźniej Koteria nie tylko wróciła, ale teraz ma prawdziwą szansę na dokonanie tego,

czego powstrzymanie wymagało wojny światowej i czterdziestu lat zimnej wojny.

– Tak – zgodził się Hu. – Ci szaleńcy mogą mieć do dyspozycji wiedzę konieczną, by zrealizować dwa cele ukryte w ideale eugeniki.

– To znaczy? – spytał Bug.

– Trzeba nie tylko uczynić jedną rasę silniejszą – wyjaśnił Hu – ale też osłabić pozostałe rasy.

Grace popatrzyła na nas ponuro.

– Albo całkowicie je wyeliminować.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w pełnym przerażenia milczeniu, aż w końcu odezwał się Bug.

– Jak to powstrzymamy? Nie wiemy nawet, kto jest zamieszany, jak daleko zaszli albo...

Zanim zdążył skończyć, zadzwonił telefon. Church odebrał, a mimo że zwykle nie okazywał po sobie uczuć, wiedziałem, że to nie są dobre wieści.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

*Magazyn Deep Iron,
niedziela, 29 sierpnia, 05.36.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 24 minuty EST*

Porucznik Jerry Spencer, szef działu kryminalistyki WDN i były policyjny detektyw z Waszyngtonu, siedział na brzegu biurka w głównym biurze Deep Iron. Czuł się stary, zmęczony i zużyty. W jednej ręce trzymał komórkę, a drugą stukał powoli palcami w plastikową obudowę. Oczy miał przekrwione od wielogodzinnej pracy na miejscu zbrodni w Deep Iron – które właściwie było zbiorem powiązanych miejsc zbrodni – a to wszystko tuż po pracy na miejscu zasadzki w Wilmington. Musiał zadzwonić, ale czuł takie ściskanie w żołądku, że wątpił, by udało mu się to zrobić.

Westchnął, przetarł oczy i wybrał numer.

Pan Church odebrał po trzecim dzwonku.

– Znalazłem oddział Jigsaw.

Spencer powiedział to tonem, który mógł oznaczać tylko jedno.

Głos Churcha był cichy.

– Proszę mi powiedzieć.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 05.37.***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 23 minuty***

Church odłożył telefon i umieścił go równo na stole. Następnie podniósł się, przeszedł na drugi koniec sali i zapatrzył się we wzburzoną brązową wodę w porcie. Stał odwrócony plecami do nas i widziałem, jak opadają mu ramiona. Wszyscy popatrzyliśmy po sobie.

– To był Jerry Spencer. – Church nie odwrócił się do nas. – Znaleźli Jigsaw.

Czekaliśmy, nie zadając pytań. Nie chcieliśmy przyśpieszać nadejścia złych wieści.

– Spencer znalazł wśród wzgórz ślady opon. Doszedł do wniosku, że Rosjanie zatrzymali się półtora kilometra od obiektu i dalej poszli pieszo, więc podążył za śladami na wzgórze i znalazł ich pojazdy. Rosjanie przyjechali paroma furgonetkami. Ale były tam również dwa hummery WDN. Spencer powiedział, że wyglądało to tak, jakby hummery zdjęto z granatników ręcznych. Hack Peterson, cały jego oddział. Nie mieli szans, najprawdopodobniej w ogóle nie zauważyli, co ich trafiło. Samochody zostały następnie zalane pianą z gaśnic, pewnie, żeby nikt nie zauważył dymu, a później przykryte gałęziami drzew.

– *Dios mio* – szepnął Rudy.

Bug wydawał się wstrząśnięty i nawet doktor Hu zachował dość przyzwoitości, by robić wrażenie zdenerwowanego.

Grace zamknęła oczy. Jej dłonie, spoczywające na blacie, powoli zaciskały się w pięści, aż zbieleły jej kostki. Hack Peterson był ostatnim z agentów WDN, którzy pracowali dla Churcha tak długo, jak ona sama. Przyjaźnili się i pięćdziesiąt razy walczyli ramie przy ramieniu. Bez odrobiny przesady można by powiedzieć, że razem ocalili Amerykę – i spory kawał świata – przed niektórymi z najgorszych i najohydniejszych zagrożeń, jakie istniały. Hack był prawdziwym bohaterem, a takich nam boleśnie brakowało.

Wziąłem ją za rękę.

– Tak mi przykro – powiedziałem cicho.

Podniosła głowę. Nie płakała, ale oczy miała błyszczące i szkliste, a twarz zarumienioną od wszystkich uczuć, których, jak wiedziałem, nie zamierzała uwolnić. Nie tutaj, nie w pracy. Może w ogóle. Podobnie jak ja, była wojownikiem na polu bitwy.

– Boże – mruknęła – to się nigdy nie skończy, prawda? Będziemy ciągle walczyć w tej zafajdanej wojnie, aż zabijemy wszystkich i wszystko? Jesteśmy rasą szaleńców!

Ścisnąłem jej dłoń.

Church odwrócił się twarzą w naszą stronę. Przyciemniane okulary zasłaniały mu oczy, ale wargi miał zaciśnięte, a mięśnie szczęki napięte. Zaledwie przez chwilę, bo później jego samokontrola powróciła na miejsce ze stalowym trzaskiem.

– Spencer powiedział też, że odkrył, jak drugi oddział wydostał się z obiektu. Podążył za śladem krwi z bunkra Haeckla. Mówił, że były dwa zestawy rozprysków, jeden z wysokości co najmniej półtora metra, czyli pewnie pochodził od tego, którego dźgnął pan w usta, kapitanie, a drugi świadczący o dużej utracie krwi z mniejszą szybkością z niższego punktu. Spencer ocenia, że to rana nogi. Wyjechali windą na powierzchnię. Spencer przypuszcza, że w bunkrze Haeckla byliście zbyt daleko, żeby

usłyszeć jej działanie. Później wspięli się przewodami wentylacyjnymi na dach i zeskoczyli po przeciwnej stronie, niż czekał Cegła. Spencer podążał za śladami krwi przez niecały kilometr aż do bocznej drogi, a tam pojawiły się ślady opon. Znalazł dwa zestawy odcisków stóp. Rozmiar dwanaście i czternaście. Jeszcze nie przeprowadził wszystkich obliczeń, ale ocenia, że mężczyźni ważyli dobrze ponad sto kilo, może nawet bliżej stu trzydziestu.

– Coś takiego wymagałoby dużej zwinności od tak wielkich gości, nawet gdyby nie byli ranni – powiedziałem.

Grace pokiwała głową.

– Jeśli pozostawili tak długi ślad krwi, musieli poważnie krwawić. Mamy więc masywnych mężczyzn, którzy, nawet jeśli byli bardzo muskularni i sprawni, musieli wspinać się przewodami wentylacyjnymi, zejść po murze i biec wśród wzgórz, a przy tym wszystkim byli ranni. I to po tym, jak gołymi rękami zabili tuzin mężczyzn. Trochę trudno mi to przyjąć.

– Może nie – odparł Church. – Zaczynam się skłaniać ku pomysłowi egzozkieletu, o którym wspomniał kapitan Ledger. Jakiegoś rodzaju wzmocniony pancerz bojowy, który zapewnia im siłę i utrzymuje ich ciężar.

– Nie żyjemy w powieści s.f. – sprzeciwił się Hu. – Od czegoś takiego dzielą nas całe lata.

Bug popatrzył na niego.

– Yyy, doktorku. Bronisz naukowców, którzy tworzą jednorożce, a egzozkielet nazywasz s.f.?

Hu przyznał mu rację wzruszeniem ramion.

– Nie mogę uwierzyć, że Hack nie żyje – powiedziała głucho Grace. – I za co? Za nic!

– To nieprawda, Grace – odparłem. – Może nie znamy jeszcze pełnego kształtu tej sprawy, ale poznamy go. A to znaczy, że ich śmierć będzie miała znaczenie, bo są częścią procesu powstrzymania i ukarania tego, kto to zrobił.

– Po co? Żeby oczyścić drogę innemu jeszcze bardziej krwawemu szaleńcowi, żeby poczynił jeszcze więcej szkód?

– Nie – sprzeciwiłem się – ale dlatego, że to, co robimy, ma sens. Przyjmujemy na siebie ciosy, by zwykli ludzie nie musieli tego robić. Ratujemy życie, Grace. Wiesz o tym. To zadanie żołnierzy, a Hack Petersen wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek. I cały oddział Jigsaw razem z nim.

Grace odwróciła wzrok i wiedziałem, że stara się zapanować nad uczuciami.

– Jedynym, co widzimy, jest wojna – powiedziała z goryczą. – Jedynym, co robimy, jest grzebanie przyjaciół.

Nie odpowiedziałem. Wszyscy pozostali obecni na sali milczeli.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzał zastępca kierownika działu komunikacji.

– Panie Church, mamy kolejne nagranie!

Rozdział sześćdziesiąty szósty

***Fabryka Smoków,
niedziela, 29 sierpnia, 05.38.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 22 minuty EST***

Hekate była jednocześnie rozbawiona i zniesmaczona słabością brata. Powinien być silniejszy, ale wcale nie był. Oboje mieli taką świadomość, nawet jeśli nie rozmawiali otwarcie na ten temat. Według standardów zwyczajnych ludzi Parys był potworem o ponadprzeciętnych zdolnościach: bystry, ostrożny, bezwzględny, pomysłowy i okrutny. Według standardów ich rodziny był słabą siostrą, Hekate zaś była prawdziwym drapieżnikiem. Parys zabił własnoręcznie sześć osób i uczestniczył w zamordowaniu kilkunastu kobiet w czasie seksu. Hekate osobiście zamordowała pięćdziesięciu siedmiu ludzi, nie licząc partnerów seksualnych. Parys wiedział o dziewięciu jej ofiarach. Inne go nie dotyczyły, choć nie starała się zbytnio, by je ukryć. Parys wiedział tylko tyle, ile mógł znieść.

Zabawa z dwoma agentami wysłanymi przez Alfę i Ottona pokazała Hekate, jak słaby stał się jej brat. W ogóle nie brał w niej udziału. Przez chwilę miała wrażenie, że zhańbi się wymiotami. Nawet ten mięśniak Tonton to dostrzegł. Spytał Hekate o to później, w łóżku.

– Co z panem Parysem?

Tonton leżał pod nią, jego masywną sylwetkę pokrywały

zadrapania i czerwone ślady. Użyła na nim zębów i paznokci. Lubił intensywność, a kiedy Hekate udawało się wydobyć z niego jęk prawdziwego bólu, dochodziła. Dochodziła wiele razy.

Siedząca okrakiem na wielkim mężczyźnie Hekate wzruszyła ramionami.

– Parys ma inny gust.

Tonton przeciągnął szorstkimi dłońmi po jej małych piersiach. Jej biała skóra była wciąż mocno zaróżowiona po ostatnim orgazmie. On był już na skraju wyczerpania, ale ona wciąż miała w oczach ten ogień.

– On nie jest jak ty – mruknął Tonton. – Nikt nie jest jak ty.

Hekate uśmiechnęła się, myśląc, że miał rację. Na ziemi nie było nikogo takiego jak ona. Już nie.

Tonton miał jedynie częściowy wzwód, ale Hekate poruszyła biodrami w sposób, który już trzykrotnie to zmienił. Tym razem trwało to dłużej. Uśmiechnęła się do siebie, myśląc, że mężczyźni są słabi.

Postanowiła rzucić Tontonowi kość.

– Nikt nie jest też taki jak ty, mój zwierzaczku.

– Nie – mruknął. – Ja jestem tylko zwykłym tępem.

Była to nieprzekonująca pokora. Choć Berserków rzeczywiście były już setki, on wciąż pozostawał o wiele silniejszy fizycznie od pozostałych. Terapia genowa, której poddała go Hekate, wyniosła go na inny poziom. Gęstość jego mięśni wzrosła o 46% w porównaniu ze zwykłymi ludźmi. Miał dwa metry wzrostu i dźwigał swoje 165 kilo żywej wagi z łatwością olimpijczyka. Podciągał się na jednej ręce na drążku w seriach po pięćdziesiąt i mógł to robić godzinami. Wyciskał na leżąco 450 kilo i nawet się nie wysilał. Mógł się wspinać na sekwoję i gołymi rękami łamać kije bejsbolowe.

Tonton uwielbiał swoją siłę. Hekate też. Był jedynym Berserkiem, którego wpuszczała do swojej sypialni, a przez ostatnie kilka tygodni robiła to co najmniej cztery razy

tygodniowo.

– Jak to możliwe, że pan Parys nie jest taki jak ty? – spytał, gdy zaczęła się na nim poruszać, powoli, w górę i w dół.

Zamierzał odwrócić jej uwagę na dość długo, żeby się wyłączyła. Ona może nie miała granic, ale on tak.

Hekate miała zamknięte oczy i skupiała się na tym, co robiła. Tonton pomyślał, że mu nie odpowie, ale wymruczała:

– Jesteśmy jak lwy, mój zwierzaczku.

– Nie rozumiem...

– Samce są tępe i leniwe, leżą rozparte, kiedy samice wykonują prawdziwą robotę. My polujemy, my zabijamy. Jesteśmy prawdziwymi przywódcami stada.

Tonton nie odpowiedział.

Hekate otworzyła oczy, na niebieskich tęczęwkach migotały złote plamki. Uśmiechnęła się – a przynajmniej Tonton pomyślał, że to uśmiech – a w niepewnym blasku świateł jej zęby robiły wrażenie dziwnie ostrych. Bardziej kocie, niż zapamiętał.

– Samce jedynie wyglądają ładnie i rzną.

Przecięgnęła ostrymi paznokciami po gardle Tontona i przyspieszyła ruchy bioder.

Tonton zrozumiał przekaz i choć był bardzo zmęczony, zrobił wszystko, by zaspokoić potrzeby przywódczyni swojego stada.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
niedziela, 29 sierpnia, 05.38.***

***Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 22 minuty***

Church zalogował się z laptopa na swoje stare konto, jego palce śmigały nad klawiszami.

– Ten sam nadawca, co nagranie z polowania. – Zwrócił się do kierownika działu komunikacji. – Wyśledźcie, gdzie zalogował się użytkownik. Natychmiast.

Kierownik wybiegł.

Wciąż nie pozbieraliśmy się po wstrząsie, jaki wywołały wieści o losie Jigsaw, ale fakt, że mogliśmy dostać kolejną wskazówkę, był jak strzał czystej adrenaliny. Pragnąłem śladu, za którym mogłem podążać. Chciałem mieć kogoś na celowniku. Chciałem trzymać kogoś za gardło. Chciałem tego tak bardzo, że miałem ochotę zacząć krzyczeć.

Church wysłał nagranie na serwer sali konferencyjnej i nacisnął klawisze, by wyświetlić je na płaskim ekranie. Telewizor włączył się z białym szumem, pociemniał, a później zobaczyliśmy twarz młodego chłopaka, może czternastoletniego. Ciemne włosy, okrągła twarz, niewielka szpara między lekko wystającymi zębami i brązowe oczy, w których malowała się taka wszechogarniająca rozpacz, że zrobiło mi się zimno.

– Jeśli on dowie się, że to wysłałem, zabije mnie – powiedział

chłopiec. Nagrał to jakąś stacjonarną kamerą, może kamerką internetową. Nagranie było kiepskiej jakości, ziarniste i ciemne. – Ale musiałem spróbować. Jeśli dostaliście ten drugi plik, który wysłałem, to ze słów dwóch Amerykanów wiecie, co się dzieje.

– Ale dźwięk się rwał – zauważył Bug. – Z trudem mogliśmy...

– Cicho – przerwał mu Hu.

– Musicie ich powstrzymać. To, co robią. To... – Dzieciak pokręcił głową, jakby nie umiał ująć grozy w słowa. – Nie mam dużo czasu. Ukradłem laptopa jednemu ze strażników, ale muszę go zwrócić, zanim zauważą, że to zrobiłem. Przeczytałem plik Ottona, więc jeśli jesteś tym, o kim myślę, musicie coś zrobić, zanim cała Afryka umrze. I może więcej. Musicie ich powstrzymać! Jeśli nie uda wam się odnaleźć tego miejsca, to może znajdziecie Deck. To główne laboratorium, musicie je odnaleźć. Wiem, że jest gdzieś w Arizonie, ale nie znam dokładnej lokalizacji. Może uda wam się tego dowiedzieć, kiedy dotrzecie tutaj. A później będziecie musieli coś zrobić z Fabryką Smoków. Nie wiem, gdzie jest, ale Alfa myśli, że gdzieś w Karolinie Północnej albo Południowej. Ja w to wątpię, bo słyszałem, jak Parys mówił siostrze, że muszą wrócić na „wyspę”. Nie wiem tylko, na którą wyspę.

Przerwał, wyglądał na zdesperowanego.

– Nawet nie wiem, czy moje słowa mają sens. O... zaraz! – Najwyraźniej coś zauważył i zniknął z pola widzenia. Usłyszeliśmy szelest, a później wrócił z dużą kartką białego papieru. Obracał ją w rękach, a następnie uniósł do kamery. – Widzicie to? Myślę, że to my. Myślę, że to Ul.

Nagle zeszywniał, opuścił kartkę i siedział z pochyloną głową, wyraźnie nasłuchując.

– Ktoś nadchodzi. Muszę się pośpieszyć. Jeśli to dostaniecie, jeśli przybędziecie, to nadawajcie na tej częstotliwości. – Odczytał liczby. – Ma mały zasięg, ale sam je zrobiłem. Jeśli tu dotrzecie, mogę wam pomóc ominąć strażników, ale musicie uważać na

psy. Psy nie są psami.

Znów odwrócił głowę.

– O nie! Muszę iść.

Z tymi słowami nacisnął guzik i ekran zgasł.

Nie czekając na uwagi, Church znów odtworzył nagranie i zatrzymał je na obrazie mapy.

– Bug! – krzyknął. – Ściągnij ten obraz i znajdź mi tę wyspę. Już!

– Się robi.

– Grace, przygotuj Centrum Operacji Taktycznych. Zanim Bug zlokalizuje wyspę, ptaszki mają już być w powietrzu.

Centrum Operacji Taktycznych, COT, było centrum dowodzenia misji. Miało terminale MindReadera, łączy satelitarne przekazujące obrazy w czasie rzeczywistym, i było podłączone do wszystkich sieci wojskowych i wywiadowczych. I to nie tylko naszych... MindReadera guzik obchodziła narodowość.

Grace się zawahała.

– Chcę...

– Wiem, czego chcesz, Grace – odparł Church – ale wygląda na to, że będziemy mieć kilka różnych celów. To miejsce. Arizona i może Karoliny albo wyspa. Musisz przygotować oddział Alfa do wycieczki na zachód.

Wychodząc, posłała mi złośliwe spojrzenie.

– Pupilek nauczyciela.

Church popatrzył na mnie.

– Pańska kolej, kapitanie.

Pochyliłem się nad stołem.

– Church, dzieciak powiedział, że odpowiedzi są na nagraniu z polowania, ale ten plik był do niczego i zrozumieliśmy może jedno słowo z dwudziestu. Ma pan kogoś, kto czyta z ust? Może oni coś wyłapią...

– Dobry pomysł. A teraz ruchy!

Ale ja już biegłem w stronę drzwi.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

*Deck,
niedziela, 29 sierpnia, 05.38.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
78 godzin, 22 minuty EST*

Otto Wirths stał u wezglowia łóżka, ręce założył za plecami, dzięki czemu czuł uspokajający zarys pistoletu w kaburze na krzyżu. Był cierpliwy, ale ostrożny, i nie mówił ani słowa. Nie, kiedy Cyrus Jakoby wpadł w szal. Na podłodze wokół łóżka piętrzyła się podarta pościel, puch zasłał ją jak śnieg, a małe piórka unosiły się wokół beznamietnej twarzy Ottona. Cyrus zdążył już rozbić dwadzieścia siedem wazonów i zmiażdżyć egzotyczne kwiaty. Zniszczył nawet portret swojego ulubionego rezusa. Teraz klęczał na podłodze i widelcem do sałatki próbował zadźgać jednego ze swoich sobowtórów. A to nawet nie był wtorek.

Sobowtór już dawno przestał krzyczeć, choć nie był jeszcze martwy. Otto uznał, że widelec do sałatki nie jest skuteczną bronią, ale przyznał, że morderstwo nie było aż tak ważne dla Cyrusa, jak zadawanie cierpienia. Otto przeczekał to, z jednym palcem wsuniętym pod koszulę, na wypadek gdyby musiał wyciągnąć pistolet.

Cyrus dźgał, raz za razem.

I nagle, jakby jego pasja nagle uruchomiła jakiś zawór bezpieczeństwa, furia gwałtownie zniknęła. Cyrus osunął się do

przodu, widelec wypadł mu z drżących palców. Sobowtór zakaszłał po raz ostatni i też znieruchomiał.

Otto wykorzystał to jako sygnał, by obejść łóżko. Wziął Cyrusa pod ramiona i podniósł go łagodnie. Cyrus był bierny jak staruszek na środkach uspokajających i pozwolił się zaprowadzić do fotela. Otto przyniósł mu szklanę wody i wyjął dwie pigułki z emaliowanego pudełka, które zawsze miał w kieszeni. Jedna na serce, a jedna na głowę.

– Proszę je wziąć, panie Cyrusie. – Przytrzymał szklanę, kiedy Cyrus je popijał.

Cyrus sapnął i pokręcił głową.

– Nie mogę uwierzyć! Wszyscy z nich? Martwi?

– Wszyscy – potwierdził Otto.

Wieści dotarły na Deck z jednej z jednostek pościgowych. Oba oddziały, które miały przeniknąć do Fabryki Smoków, tam pozostały, a Zodiac ze wsparciem został trafiony z granatnika. Atak był całkowitą porażką.

– Czy ktoś został pojmany żywcem?

Wszyscy ludzie Cyrusa mieli wszczepione pod skórę malutkie nadajniki. Urządzenia były wielkości ziarnka ryżu i nadawały dwa sygnały – jeden GPS, a drugi biometryczny. Drugi sygnał był wysyłany tak długo, jak długo biło serce nosiciela.

– Żadna z jednostek nie jest już aktywna – stwierdził Otto.

– A niech to wszyscy diabli! Skąd Bliźnięta wiedziały?

– A kto mówi, że wiedziały? Oboje są całkowicie zdolni zareagować na niespodziewany atak i nie powinniśmy się przejmować, dopóki się nie dowiemy, że skojarzyli atak z nami.

– Są zbyt bystrzy, do diabła.

Otto klasnął językiem.

– Niech pan da spokój, panie Cyrusie, jesteśmy o wiele bystrzejsi od tych dzieci. Nawet nie wiedzą, kim jesteśmy!

Minęła chwila, zanim Cyrus się przestawił, ale w końcu pokiwał głową.

– Tak! – powiedział ostro Otto. – Mamy tak wiele do zrobienia.
Cyrus pokiwał głową i spojrział na trupa na podłodze.

– Żałuję, że go zabiłem. Kimball był najlepszym z sobowtórów.

– Nie jest niezastąpiony.

– Wiem, po prostu oszczędzałem go na wyjątkową okazję.

– Dziś jest wyjątkowy dzień, panie Cyrusie.

Cyrus popatrzył na niego z dezorientacją.

– Dziś odkryliśmy, gdzie znajduje się Fabryka Smoków. I co z tego, że nie udało nam się do niej przeniknąć albo zabić jednego z Bliźniąt? Wiemy, gdzie jest. Co oznacza, że takim czy innym sposobem odbierzemy ją młodym bogom, a z ich zasobami komputerowymi... cóż, zbudujemy świat na nowo.

Spojrzenie Cyrusa wyostrzyło się, odsłonił zęby.

– Chcę dostać ten obiekt, niech to diabli, i to już.

Otto wyprostował się.

– W takim razie co chce pan zrobić?

– Skontaktuj się ze swoim rosyjskim przyjacielem. Chcę mieć tylu ludzi, ilu tylko może mi dostarczyć. Nie targuj się, Otto. Zapłać mu tyle, ile jest wart, ale chcę, żeby zaatakował Fabrykę Smoków całą armią. Chcę odebrać ją Bliźniętom.

– To zajmie co najmniej dzień albo dwa.

– Chcę to zrobić najpóźniej jutro. Najpóźniej, Otto. Rozumiesz mnie?

Otto Wirths uśmiechnął się.

– Tak, panie Cyrusie, rozumiem doskonale. Ale musi pan zrozumieć, że podczas frontalnego ataku nie możemy zagwarantować Bliźniętom bezpieczeństwa. Żadnemu z nich.

Cyrus odpowiedział prychnięciem.

– Niech tak będzie. Stworzyłem je, mogę stworzyć ich więcej.
I nadal mam KIMy.

– Dobrze.

– I skontaktuj się z Vederem. Chcę, żeby brał udział w ataku.

– On nie pracuje w zespole.

– Jak to mówili w tym filmie? „Złóż mu propozycję nie do odrzucenia”.

– Jeśli ściągniemy go teraz, opóźnimy ostatecznie zabójstwa. Church i ta suka, która mówi o sobie Cioteczka Sallie.

– Niech tak będzie – powtórzył Cyrus. – Zdobycie Fabryki Smoków jest o wiele ważniejsze. Potrzebujemy jedynie dostępu do ich komputerów i sześciu do ośmiu godzin, żeby zgrać ich dane przez satelitę na połączone w sieć twarde dyski, które dostarcza nam nasz przyjaciel. Kiedy to skończymy, możemy je ukryć nawet przed MindReaderem.

Otto wydawał się zadowolony.

– W porządku. – Spojrzał na zegarek. – Lepiej pójde zadzwonić. Będę musiał obudzić Rosjanina.

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

*W locie,
niedziela, 29 sierpnia, 6.01.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
77 godzin, 59 minut EST*

Starszy i Królik jeszcze pakowali sprzęt do black hawka, kiedy w mojej słuchawce rozległ się brzęczyk i usłyszałem głos Grace.

– Joe, Bug zlokalizował wyspę. MindReader powiązał topografię z Isla D’Oro, niedużą wyspą na Pacyfiku, sześćdziesiąt pięć kilometrów na zachód od Playa Caletas.

– Gdzie to jest?

– Kostaryka. Każę mu zgrać wszystko na twojego palma. Macie pozwolenie na przelot do bazy powietrznej Gwardii Narodowej na lotnisku Martin State. Tam przesiądziecie się w ospreya.

– One są piekielnie powolne...

– Nie ten. To prototyp opracowany na potrzeby marynarki. Prędkość przelotowa sześćset kilometrów na godzinę i zasięg prawie dwa tysiące kilometrów, co oznacza, że będziecie tankować w powietrzu.

– Gdzie znaleźliście coś takiego tak szybko?

– Pan Church ma znajomych w branży. Osprey jest w drodze do bazy powietrznej i powinien być już zatankowany, kiedy wylądujecie.

– Mamy jakieś lokalne wsparcie?

– Zadzwoiłam do kumpla z Zapory, a on powiedział, że na

tych wodach znajduje się lotniskowiec *Ark Royal*. Osprey posadzi was na pokładzie, a później polecicie na wyspę westlandem Sea King. Możecie mieć też do dyspozycji Royal Marines, harriery i wszystko, czego będziecie potrzebować.

– Szybko działasz, pani major. Chętnie przyjmę podwiezienie, ale na razie ograniczmy się do mnie, Królika i Starszego. Dopóki nie dowiem się, co i jak, nie chcę ściągać lekkiej kawalerii.

– Wolałabym, żebyś zabrał całą flotę. Ale rozumiem twój punkt widzenia.

Wyraźnie chciała powiedzieć więcej, ale to nie była właściwa pora, a już z pewnością nie było to właściwe miejsce. Dlatego tylko wyciągnęła rękę. A jeśli ścisnąłem jej dłoń o kilka sekund za długo, do diabła z tym.

– Udanych łowów – powiedziała.

– Dzięki.

Black hawk wzniósł się w powietrze w ciągu niecałych pięciu minut.

* * *

Rozłożyłem mapę i zebraliśmy się dookoła.

– To Isla D’Oro. Złota Wyspa. Podobno niezamieszкана, jeśli pominąć stację badań biologicznych ufundowaną dzięki szwajcarskim grantom i prowadzoną przez zespół z Instituto Tecnológico de Costa Rica. Sprawdzamy, czy są czyści. Zdjęcia satelitarne pokazują, że na wyspie jest kompleks budynków pasujący do planów budowy przedstawionych przez uniwersytet. Dane termiczne niewiele nam dadzą, bo wyspa jest umiarkowanie wulkaniczna.

– „Umiarkowanie wulkaniczna”? – powtórzył Królik. – To coś jak „trochę w ciąży”?

– Nie wystrzeliła korka od ponad stulecia, ale ma aktywne

otwory termiczne, więc odczyt termiczny nie pozwoli nam ocenić liczby ludzi. Pewnie będziemy musieli polegać bardziej na swoim wzroku niż na gadżetach. – Postukałem w mapę. – Śmigłowce z *Ark Royal* posadzą nas tutaj. Teren jest skalisty i gęsto zarośnięty. Na czas misji kryptonimy i nie gadać za wiele. Pełny oddział na kanale drugim, bezpośrednio do mnie na pierwszym. Centrum dowodzenia na kanale trzecim. Sygnał wywoławczy dopiero, kiedy wylądujemy.

– Jaki jest plan działania? – spytał Królik.

– Priorytety misji są elastyczne. Najpierw się rozglądamy. Jeśli znajdziemy dzieciaka, który wysłał nagrania, wydobywamy go. Cała reszta opiera się na tym, co znajdziemy.

– Zasady użycia siły?

– Nie naciskamy za szybko na spust. Z drugiej strony nie lecimy trzy tysiące kilometrów, żeby dać sobie w kaszę dmuchać.

– Tajes.

– USS *George H.W. Bush* kieruje się w tamtą stronę na wypadek, gdyby sytuacja się rozwinęła. *Bush* będzie w zasięgu bojowym dwie godziny po naszym lądowaniu. To oznacza dziewięćdziesiąt stałopłatów i śmigłowców gotowych wyciągnąć nam tyłki z ognia, jeśli przyjdzie co do czego.

– Nieźle. Miło, kiedy Waszyngton nas lubi – mruknął Królik. – A powiedz jeszcze szefie, co robimy, jeśli wpadniemy na jednego z tych gości w pancerzach?

– Celuj w głowę – odparł Starszy. – Zawsze byłem fanem tej metody.

– Może być.

Starszy powoli wypuścił powietrze.

– Kapitanie, jeśli chodzi o Jigsaw...

– Tak.

– Nie wiemy, który oddział ich wyeliminował. Rosjanie czy ci drudzy.

– Nie.

– Nie mogę się zdecydować. Z jednej strony chciałbym wiedzieć, kto to zrobił, i dopilnować, żeby dostali za swoje, rozumiesz mnie?

– Całkowicie.

– Z drugiej strony, kiedy ktoś z tamtych, jedni albo drudzy, znajdzie się na moim celowniku, wątpię, bym zapanował nad sobą. Jeśli masz z tym problem, lepiej mi powiedz i wydaj mi rozkaz.

Zastanowiłem się, jak najlepiej na to zareagować.

– Church i myślaki pracują nad połączeniem kropek. Dostaliśmy nowe informacje z drugiego nagrania, a on zatrudnił kogoś czytającego z ust do wydobycia danych z wideo z polowania. Wszyscy mamy nadzieję, że zanim postawimy stopę w Kostaryce, będziemy wiedzieli, kim naprawdę są źli goście.

– To nie zbiry w egzozkieletach umieściły Wielkiego Boba na OIOM-ie – zauważył Bunny.

– Aha – mruknął Starszy. – I to nie zbiry wymordowały personel Deep Iron. Nie rozumiem co prawda, jak rosyjscy najemnicy łączą się z bandą dupków, którzy wciąż uważają Hitlera za autorytet, ale dochodzę do wniosku, że to im należy skopać tyłki do imentu.

– Pewnie tak, ale musimy być otwarci na różne możliwości. Church wysłał nas z misją przeniknięcia i ratunkową, nie na mokrą robotę.

– W porządku, kapitanie, wszystko jasne.

– Królik? – spytałem.

– Ty tu jesteś szefem, szefie.

* * *

Przez resztę lotu omawialiśmy informacje z konferencji, a ja odtworzyłem drugie nagranie. Patrzyłem im w oczy, kiedy

dzieciak powiedział: „Musicie coś zrobić, zanim cała Afryka umrze. I może więcej. Musicie ich powstrzymać!”.

Starszy odchylił się do tyłu, założył ręce na piersi i nic nie mówił. Królik popatrzył na mnie.

– Kurwa, to się dzieje naprawdę?

– Dowiemy się.

Starszy wyjął z kieszeni wykałaczkę, włożył ją do ust i zaczął przygryzać. Nie odezwał się przez resztę lotu.

Rozdział siedemdziesiąty

*Cypr,
niedziela, 29 sierpnia, 11.59.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
72 godziny, 1 minuta EST*

Aleksiej Mogilewicz, bratanek Siemiona Mogilewicza, szefa czerwonej mafii w Budapeszcie, spojrzawszy na nazwisko na ekranie telefonu i uśmiechnął się. Machnięciem ręki odesłał rudą dziewczynę z platynowymi kolczykami w sutkach i otworzył komórkę.

– Witaj, drogi przyjacielu. – W rozmowach telefonicznych nigdy nie używał nazwisk i wolał nazywać każdego „przyjacielem”. Stali klienci byli zawsze „drogimi przyjaciółmi”.

– Witaj, jak tam pogoda? – spytał Otto Wirths.

Pytanie odnosiło się do bezpieczeństwa połączenia i możliwości podsłuchania w miejscu, gdzie znajdował się Aleksiej.

– Piękna pogoda. Na niebie ani jednej chmurki. Słyszałem, że zużyłeś wszystkie produkty, które ci wysłałem.

– Niestety tak.

– Zawsze mam zapas.

Z dwudziestu byłych agentów Specnazu, których Aleksiej wynajął Ottonowi, przy życiu pozostał tylko jeden, ale że był jedynie koordynatorem, nie miał większej wartości.

Ani Aleksiej, ani Otto nie byli szczególnie nieszczęśliwi

z powodu tych strat. Zasoby to zasoby, należy je wykorzystać i albo się ich pozbyć, albo zastąpić, zależnie od potrzeb.

– Cieszę się, że to mówisz, bo potrzebuję więcej.

– Jak dużo i jak szybko?

Otto mu powiedział, a Aleksiej zagwizdał. Dwie dziewczyny opalające się topless na pokładzie przednim *Anżeliki* podniosły wzrok, myśląc, że daje im znak, ale on pokręcił głową. Wstał i ruszył wzdłuż relingu, wpatrując się w bezkres morza.

Elegancki jacht miał pięćdziesiąt metrów długości i dwanaście szerokości, a został wybudowany we włoskiej stoczni Perini Navi. Za pierwszym razem Aleksiej wyczarterował go, płacąc 210 tysięcy dolarów za tydzień. Spodobało mu się tak bardzo, że po zakończeniu wycieczki kupił łódź. Jednostka miała jedenastoosobową załogę i choć była powolna – dwanaście węzłów – Aleksiejowi to nie przeszkadzało, bo nigdy się nie śpieszył. Interesy prowadził przez satelitę, telefony komórkowe i komputer.

Obecnie *Anżelika* unosiła się na ciemnych wodach niecałe pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeży Cypru.

– Czy możesz dostarczyć te zasoby? – spytał Otto.

– Za dostawę ekspresową jest dopłata, sam rozumiesz.

– Rozumiem.

– W takim razie jasne. Mam na Florydzie zasoby, które doskonale się nadadzą.

– Jeśli spełnią oczekiwania mojego zleceniodawcy, wyślę ci jeszcze pięć procent premii.

– Ach, jakże miło jest wiedzieć, że mój drogi przyjaciel jest tak szczodry.

Omówili kilka szczegółów i rozłączyli się.

Aleksiej wpatrywał się w piękną wodę, białe mewy, i myślał o tym, jak cudownie jest żyć. Później usiadł na leżaku i wykonał kilka telefonów, które miały wysłać kilkudziesięciu najbardziej bezwzględnych i twardych wyszkolonych zabójców, jakich znał,

na spotkanie z Ottonem Wirthsem. Przez cały ten czas Aleksiej nie przestawał się uśmiechać.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

*Isla D'Oro,
niedziela, 29 sierpnia, 14.29.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
69 godzin, 31 minut EST*

Śmigłowiec z *Ark Royal* leciał tuż nad falami i posadził nas na drugim końcu wyspy. Wskoczyliśmy i wtopiliśmy się w zielone cienie drzew, dopóki śmigłowiec nie zniknął nad morzem. Byliśmy w pełni wyposażeni w cały standardowy sprzęt plus kilka szczególnych ustrojstw z WDN. Kucaliśmy za kępą gęstych paproci, czekając, aż dżungla się uspokoi. W końcu powróciły dźwięki tła, ptaki i owady otrząsnęły się z zaskoczenia i wróciły do bezustannego trajkotania. Czekaliśmy z nadstawionymi uszami, szeroko otwartymi oczami i bronią w gotowości, czy ktoś przyjdzie sprawdzić.

Nikt nie przyszedł.

Włączyłem palma i wywołałem satelitarne zdjęcie wyspy. Po jej drugiej stronie znajdowało się skupisko budynków, a oprócz tego jedynie gęsty las deszczowy otaczający teren tak nierówny i nieregularny, że wyglądał jak tor z przeszkodami zaprojektowany przez sadystę. Wąwozy, urwiska, połamane wulkaniczne skały, parowy i niemal żadnego płaskiego terenu. Do tego 38 stopni ciepła i 93% wilgotności. Niezła zabawa.

Ustawiłem radio na częstotliwość podaną przez dzieciaka, ale słyszałem jedynie szum. Później postukałem w słuchawkę,

wybierając kanał COT.

– Kowboj do Ziemiarki, Kowboj do Ziemiarki.

„Ziemiarka” była sygnałem wywoławczym COT.

Natychmiast w moim uchu rozległ się głos Churcha. Nasz sprzęt był tak dobry, że miałem wrażenie, jakby ten sukinsyn stał mi za plecami.

– Tu Ziemiarka. Diakon na pokładzie.

– Na ziemi i bezpieczni. Żadnego sygnału od Dzieciaka.

Nie był to szczególnie pomysłowy sygnał wywoławczy dla chłopaka, który się z nami skontaktował, ale musiał wystarczyć.

– Nasi zagraniczni przyjaciele chcieli, żebym przypomniał panu o propozycji wsparcia.

Ark Royal wraz ze swoimi statkami powietrznymi mógłby najechać i zdobyć mały kraj, a gdybyśmy wpakowali się w prawdziwe kłopoty, nie miałbym oporów przed poproszeniem ich o wsparcie.

– Miło wiedzieć. Niech pan im powie, żeby nie gasili ognia, Diakonie.

– Dane satelitarne są aktualizowane co pięć sekund. Skanowanie termiczne negatywne. Zbyt wiele aktywności geotermicznej.

– Zrozumiano. Kowboj bez odbioru.

– Chwileczkę – powiedział Królik. – Myślałem, że to wystygły wulkan.

– Nie, powiedziałem tylko, że od jakiegoś czasu nie wybuchał.

– Świetnie.

Ruszyliśmy, idąc luźnym szeregiem, uważając na teren i możliwe pułapki. Las deszczowy był niewiarygodnie gęsty i rozumiałem, dlaczego mógł zwrócić uwagę biologów albo kogoś, kto chciał się ukryć przed wścibskimi spojrzeniami. Rosły tu setki różnych gatunków drzew i tysiące krzewów, a ja mogłbym przysiąc, że na każdym przeklętym liściu siedział gryzący albo żądający owad. Zanim przeszedłem pięć kilometrów,

musiałem stracić ćwierć kilo ciała i litr krwi.

– Niezłe krzaczory – mruknął Królik.

Jako jedyny z nas nie przeszedł szkolenia w dżungli i ociekał potem. Całą służbę odbył na Bliskim Wschodzie. Do tego był o wiele cięższy od szczupłego i żylastego Starszego, który ważył zaledwie 80 kilo, czy nawet od moich 95 kilo.

Cały czas trzymałem radio nastawione na kanał Dzieciaka, ale po ośmiu kilometrach nadal nie było odpowiedzi.

I nagle szum zmienił się w cichsze syczenie i drżący głos spytał:

– Czy to pan Diakon?

– Nie do końca, Dzieciaku. Ale pracuję dla niego. Kim jesteś?

– Skąd mam wiedzieć, że pracujesz dla niego?

– Nie wiesz, ale to ty rozdałeś karty.

– Powiedz mi coś.

– Ty pierwszy. Powiedz coś, żebym wiedział, że rozmawiam z właściwą osobą.

Po chwili wahania Dzieciak powiedział jedno słowo.

– Jednorożec?

Wyciszyłem mikrofon.

– Mów, Starszy.

Patrzył na swój skaner.

– Zdecydowanie pochodzi z wyspy, kapitanie. Trzy przecinek sześć kilometra stąd. – Pokazał mi na kompasie.

Znów włączyłem mikrofon.

– W porządku, Dzieciaku.

– A teraz ty mi coś powiedz.

Ten Dzieciak szybko się uczył.

– Ktoś słucha?

– Nie.

– W porządku. Wysłałeś nagranie z polowania z kafejki internetowej w São Paulo. Drugie wideo pochodziło z tej wyspy.

– W porządku.

– Skąd znasz Diakona? – spytałem.

– Nie znam. Znam tylko imię. Ze starej teczki, którą ukradłem, żeby ją przejrzeć. Otto i Alfa naprawdę nienawidzą tego gościa, więc uznałem, że jeśli nienawidzą go tak bardzo, musi być ich wrogiem.

– Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem – podpowiedziałem.

– Stare arabskie powiedzenie – odparł bez wahania Dzieciak. – Choć może być też chińskie. Oni mawiają „dobrze uderzyć w głowę węża ręką swojego wroga”.

– Znasz się na przysłowiach.

– Znam historię wojskowości – odparł Dzieciak, a ja zauważyłem, jak zmienił sformułowanie.

Nie powiedział „znam się na historii wojskowości”, co byłoby naturalną ripostą. Zapamiętałem to na później.

– Gdzie jesteś? – spytał. – Jesteś blisko?

– Dość blisko. Masz jakieś imię, Dzieciaku?

– Osiemdziesiąt Dwa.

– Co?

– To moje imię. Ale Alfa czasami mówi mi KIM.

– KIM to przynajmniej imię.

– Wcale nie. Coś znaczy, ale nie wiem co. Alfa wielu z nas nazywa „KIM”.

– Kim jest Alfa?

– Chyba moim ojcem.

– Nie jesteś pewien?

– Nie.

– Czy Alfa to jego imię, czy nazwisko?

– Tak się po prostu nazywa. Zmusza innych, żeby tak do niego mówili. Albo Najwyższy Lord Alfa. Ciągłe zmienia imię.

– Jak się naprawdę nazywa?

– Nie wiem. Czasem używa imienia i nazwiska „Cyrus Jakoby”. Ale wątpię, żeby ono było prawdziwe.

Nazwisko Jakoby coś mi mówiło, więc gestem poprosiłem Starszego, żeby potwierdził, że wszystko idzie prosto do Churcha w COT. Uniósł kciuk.

– Czy Alfa kieruje tym miejscem?

– On i Otto. Ale teraz ich tu nie ma.

– Kim jest Otto?

– Otto Wirths jest... nie wiem, kierownikiem Alfy. Jego brygadziwą, nieważne. Otto wszystkim kieruje dla Alfy. Ulem, Deckiem, wszystkim.

Serce zabiło mi szybciej. Otto Wirths. W liście Mengele pojawił się „Herr Wirths”. Czy ten gość mógł być spokrewniony? Musiał istnieć jakiś związek. W końcu się do czegoś zbliżyliśmy, choć nadal nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Bug skanował las wokół nas w poszukiwaniu śladów termicznych, odczyty pozostawały czyste.

– Ile lat ma ten Otto?

– Nie wiem. Po sześćdziesiątce.

Za młody, żeby być w obozie. Syn, bratanek, nieważne.

Spojrzałem na oddział. Wszyscy nasłuchiwali i zobaczyłem, jak Królik samym ruchem warg mówi „Osiemdziesiąt Dwa”.

– Może na razie będę cię nazywał Dzieciak? To sygnał wywoławczy. Wiesz, co to jest?

– Tak. W porządku. Nie obchodzi mnie, jak ludzie mnie nazywają.

– I jesteś pewien, że nikt inny nie słyszy tej rozmowy?

– Wątpię. Sam zrobiłem to radio. Wybrałem przypadkową częstotliwość zanim wysłałem maila.

– Sprytne. – W rzeczywistości jednak każdy wyposażony we właściwy skaner mógłby odnaleźć ten sygnał. Jednak najpierw musiałyby szukać, a w epoce cyfrowej mało kto skanował fale radiowe. Mimo wszystko powiedziałem: – Dobra, Dzieciaku. Mów mi Kowboj. Od tej pory żadnych prawdziwych nazwisk.

– W porządku, Kowboju.

– A teraz powiedz nam, dlaczego tu jesteśmy. O co w tym wszystkim chodzi?

Uderzenie serca.

– Już wam powiedziałem...

– Nie, Dzieciaku, wysłałeś nam nagranie prawie bez dźwięku. Zobaczyliśmy „zwierzę”, ale więcej nie wiemy.

– A niech to! – W tym przekleństwie Dzieciak umieścił wiele treści. – Nie wiecie o Afryce? O Luizjanie? O niczym?

– Nie, powiedz nam, co powinniśmy wiedzieć.

– Za mało czasu. Jeśli po mnie przyjdziecie, może uda nam się zabrać twarde dyski. Tam na pewno jest wszystko. Więcej niż to, co sam wiem. Może całość.

– Mówisz dość niejasno, Dzieciaku. Jeśli chcesz, żebyśmy ci pomogli, musisz pomóc nam. Wiemy, skąd nadajesz, ale potrzebujemy szczegółów. Czy są strażnicy? Jeśli tak, to jak wielu i jak są uzbrojeni? Psy strażnicze? Ogrodzenia pod prądem? Systemy bezpieczeństwa?

– Nie mogę wam powiedzieć tego wszystkiego z tego miejsca. Muszę się wślizgnąć do sali komunikacyjnej. Tam mam dostęp do systemów zabezpieczeń i mogę was obserwować przez kamery.

– Zrób to. Ile czasu potrzebujesz?

– Nie rozumiesz. Kiedy się tam znajdę, będę musiał się zamknąć w środku. Będą wiedzieć, że tam jestem. W końcu się włamią. Jeśli do tej pory nie dotrzecie, żeby mnie wydostać, będę trupem.

Dzieciak miał rację.

– Teren jest trudny. Bezpiecznie dotarcie do twojej lokalizacji zajmie nam czterdzieści minut. Jak daleko są pierwsze kamery?

– Pięćset pięćdziesiąt metrów od ogrodzenia.

Starszy wyciągnął swojego palma. Powiększył obraz satelitarny kompleksu tak, że widzieliśmy wąską linię podwójnego ogrodzenia.

– Dobra, Dzieciaku, jakie podejście będzie dla nas najlepsze?

Co zapewni nam bezpieczeństwo, a tobie da najwięcej czasu?

– Nie umiem tego opisać...

– Patrzymy na zdjęcie satelitarne kompleksu. Opisz budynek, a ja go znajdę.

– Aha. W porządku. Są trzy małe budynki obok siebie na szczycie wzgórza i kilka średniej wielkości budynków biegnących swoistym zygzakiem po zboczu w stronę głównej budowli.

– Mam.

– To wszystko wsparcie techniczne. Podejdźcie do rogu ogrodzenia. Kamera porusza się w prawo i w lewo co dziewięćdziesiąt cztery sekundy, a kiedy odwraca się z lewej na prawą, drga. Chyba jest źle zamocowana. Jeśli poczekać do chwili, kiedy skręci w lewo, powinniście zdążyć przebiec od ściany lasu do ogrodzenia. Kamera jest zwrócona na zewnątrz, nie w dół.

– Świetnie. Lepiej się wyłącz. Odezwij się ponownie, kiedy będziesz na miejscu. I powodzenia, Dzieciaku.

– Tobie też. – Zawahał się, po czym dodał: – Kowboju.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

*Deck,
niedziela, 29 sierpnia, 14.31.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
69 godzin, 29 minut EST*

Otto Wirths siedział na taborecie na kółkach i patrzył, jak palce Cyrusa Jakoby fruwały po klawiaturze. Cyrus pisał szybciej niż ktokolwiek, kogo Otto znał, nawet kiedy tworzył skomplikowany kod komputerowy, wprowadzał wyniki badań albo tworzył jeden z szyfrów, którymi chronili swoje badania. Czuł się niemal zahipnotyzowany, patrząc, jak wszystkie dziesięć palców rozmywa się w mgiełkę, która przepływała jak woda. Otto uważał to za bardzo uspokajające.

Siedzieli przy wspólnej stacji roboczej, która mogła zostać w niedostrzegalny sposób podłączona do dowolnej stacji roboczej w Decku albo w Ulu, ale którą można było również ukryć za nieprzeniknioną zaporą, kiedy najbardziej potrzebowali tajemnicy. Jak teraz.

W tej chwili Cyrus zapisywał ciągi zakodowanych poleceń, które miały zostać wysłane do kluczowych ludzi na całym świecie. Ludzi, którzy mieli wykonać pewne ściśle określone zadania. Niektórzy mieli rozpocząć dystrybucję darmowej wody w ramach fałszywej akcji promocyjnej, mającej wylansować nowego międzynarodowego gracza na rozrastającym się rynku wody w butelkach. Firma była prawdziwa, a zatrudnione w niej

kilka setek ludzi szczerze wierzyło, że pracuje dla MacNeil-Gunderson Water-Bottling. Wynajęto renomowane agencje reklamowe, by opracowały globalną kampanię wprowadzenia na rynek wody pod różnymi nazwami, w tym Global Gulp, GoodWater, Soothe, Eco-Splash. Do wylansowania produktu zatrudniono gwiazdy, między innymi dwoje zdobywców Oscarów słynących z działalności na rzecz środowiska naturalnego i kilkunastu zawodowych sportowców z sześciu krajów. Setki tysięcy litrów wody obiecano drużynom sportowym w krajach rozwijających się i w gorszych dzielnicach amerykańskich miast. Po początkowej fazie rozdawania wody za darmo część zysków ze sprzedaży miała trafiać do kilkunastu popularnych grup działających na rzecz środowiska naturalnego. Te pieniądze rzeczywiście miały trafiać na ich konta... do chwili gdy gospodarka światowa się załame i zapanuje chaos. Urząd Skarbowy może sprawdzić dowolną z firm powiązanych z MacNeil-Gunderson Water-Bottling, a każdy cent będzie rozliczony.

Inna grupa kluczowych osób miała otrzymać od Cyrusa zaszyfrowane polecenie, by rozprowadzić butelki wody w określonych miejscach w Afryce, Azji i obu Amerykach. Byli też agenci, którzy mieli wlać dziesiątki litrów bogatej w patogeny wody bezpośrednio do rzek, jezior i zbiorników.

Kod miał zostać wysłany również do grupy programistów, którzy stworzyli mailowy wirus nazwany przez Cyrusa „Zawieś i Wypal”, mający wysłać setki tysięcy zakażonych wiadomości do CDC, WHO, NIH, FEMA i dziesiątek innych organizacji zajmujących się zarządzaniem kryzysowym. Wirusy były wyjątkowe i z założenia miały być wysyłane falami, by natychmiast po neutralizacji jednego pojawiał się kolejny. Żadna z organizacji nie miała zostać całkowicie unieszkodliwiona, ale potrzebowali jedynie zamieszania i dłuższego czasu reakcji. Kiedy Fala zostanie puszczona w ruch, działania tych organizacji

nie będą miały już znaczenia. I tak będzie już za późno.

W sumie sto sześćdziesięcioro troje ludzi miało dostać unikatowy zakodowany sygnał „ruszaj” wysłany przez urządzenie wyzwalające. Miał on dotrzeć do celu w formie zaszyfrowanej, a o ile nie pojawiłoby się polecenie odwołujące, program wbudowany w wiadomość miał ją automatycznie odszyfrować i przedstawić jasny i niepozostawiający żadnych wątpliwości rozkaz rozpoczęcia działania. Zabezpieczenie było pomysłem Ottona. W pracy nad projektem pojawiało się zbyt wiele opóźnień, by polegać na jednoznacznym sygnale ruszaj/stop. A Cyrus był, obaj musieli to przyznać, całkiem szalony. Dużo planów zostałoby zniweczonych, gdyby wysłał rozkaz rozpoczęcia w czasie jednego ze swoich ataków szau.

Kod tworzony obecnie przez Cyrusa miał zostać zapisany na pamięci USB z miniaturową sześciocyfrową klawiaturą. Szyfr urządzenia wyzwalającego miał być codziennie zmieniany przez Ottona, który miał o wiele lepszą pamięć od Cyrusa i obaj o tym wiedzieli. Wciąż jeszcze nie zdecydowali, który z nich miał nosić wyzwalacz na smyczy na szyi. Cyrus uważał, że Fala Wymierania była jego pomysłem, więc powinien to być on. Otto zgadzał się, że Cyrus zasłużył, by być tym, który aktywuje urządzenie, ale nie ufał jego wahaniom nastroju. Nie mogli sobie pozwolić, by Cyrus wpadł w furję i zmiażdżył urządzenie młotkiem albo nakarmił nim jednego ze swoich tygrysogarów.

Tym mogli zająć się później.

Na razie Otto pozwalał sobie zatonać w płynnym ruchu palców Cyrusa, które tworzyły liczne wariacje zakodowanego sygnału rozpoczęcia działań. Otto uśmiechnął się z rozmarzeniem, gdy patrzył na tę odrobinę magii, która miała służyć jako połączenie między marzeniem o Nowym Porządku a jego realizacją.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

*Isla D'Oro,
niedziela, 29 sierpnia, 14.57.
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
69 godzin, 3 minuty EST*

Teren bezpośrednio otaczający kompleks był mniej zdradziecki, więc dotarcie na stanowisko zajęło zaledwie dwadzieścia dwie minuty. Dzieciak się nie odzywał, a my czekaliśmy. Kolejne osiem minut minęło powoli. Nasłuchiwalismy krzyków albo wrzasków z wnętrza kompleksu, nasłuchiwalismy ostrzału, nasłuchiwalismy czegokolwiek, co mogłoby wskazywać, że KIM został odkryty. Dżungla, choć bynajmniej nie cicha, brzmiała po prostu jak dżungla. Aż nagle usłyszeliśmy dźwięk syreny.

I wtedy odezwał się KIM.

– Kowboju? Jesteś tam?

– Jesteśmy, Dzieciaku. Gdzie jesteś?

– W sali komunikacyjnej. Wywołałem pożar w pralni na drugim końcu kompleksu. Wszyscy pobiegli w tamtą stronę. Nie mam wiele czasu, zanim wrócą.

– W takim razie ruszajmy.

– Wszystkie kamery działają, ale nie widzę was. Możesz wstać albo coś?

– Nie ma mowy.

Gestem kazałem Królikowi, żeby potrząsnął drzewem. Złapał smukłą palmę, szarpnął ją parę razy i szybko się cofnął, gdyby

ten ruch miał przyciągnąć ostrzał.

– To wy? – spytał Dzieciak.

– Tak. Co teraz robimy?

– Tylko ja patrzę na monitory. Możecie podbiec do ogrodzenia.

Nie martwcie się, wyłączyłem prąd.

– Dużo ryzykujemy. Lepiej, żebyś nas nie podpuszczał, mały.

Nie wspomniałem o amerykańskich i brytyjskich okrętach wojennych, które zmieniałyby tę wyspę w stertę pływających śmieci, gdyby to była pułapka. Chłopak i tak miał dość zmartwień.

– Nie robię tego, przysięgam.

– Trzymaj się. Nadchodzimy.

Podbiegliśmy pojedynczo do ogrodzenia. Starszy dotarł do niego jako pierwszy i przeciągnął czujnikiem.

– Prąd wyłączony. Nie ma śladu min.

Królik wyciągnął parę długich szczypiec i zaczął przecinać druty ogrodzenia. Powtórzyliśmy to przy drugim ogrodzeniu i pobiegliśmy pochyleni w stronę grupy szop.

– Obok szop jest ścieżka wyłożona kamieniami – powiedział KIM – ale strażnicy zawsze się pilnują, żeby na niej nie stanąć. Myślę, że jest zaminowana.

Królik rozpląszczył się przy kamieniach i pokiwał głową.

– Miny naciskowe. Dzieciak jest bystry.

– Jeśli to przeżyjemy – dodał Starszy – możemy się zrzucić i kupić mu szczeniaczka.

– Strażnicy nadchodzą – powiedział KIM z naciskiem. – Po waszej prawej.

Przycisnęliśmy się do ściany szopy. Miałem karabin na ramieniu, a w rękę berettę 92F, wyposażoną w tłumik, którego nie znajdziecie w żadnym katalogu. W przeciwieństwie do modeli dostępnych na rynku miał specjalną polimerową wyściółkę, która sprawiała, że był idealnie cichy. Nawet krótkiego puknięcia. Zabawka od jednego ze znajomych Churcha

w branży.

Zza rogu wyszło dwóch strażników. Mieli na sobie lekkie tropikalne koszulki i bojówki. Uzbrojeni w karabinki Heckler Koch 416, poruszali się szybko, rozglądając się na boki z zawodową precyzją. Sprawdzenie terenu było pewnie standardową procedurą w sytuacjach awaryjnych, a pożar wywołany przez KIMa musiał być dość duży, by zachęcać do ostrożności.

Strzeliłem im obu w głowy.

Starszy i Królik wybiegli i zaciągnęli ich ciała za szopy.

– Chryste Panie! – powiedział Dzieciak.

– Co teraz?

– Na rogu pierwszego budynku są drzwi. Korytarze łączą ten budynek z pozostałymi. Wyłączyłem alarmy na wszystkich drzwiach i wygasilem kamery wewnątrz.

– Zaczynam cię lubić, Dzieciaku. Co mamy robić, kiedy znajdziemy się w środku?

– Yyy... Dobra, na podłogach wymalowano kolorowe linie. Niebieska zaprowadzi was do sali komunikacyjnej, ale będziecie musieli przejść przez warsztat, a później salę wspólną. Przypomina wielki salon, są tam fotele, maszyny z napojami i ekspres do kawy. Jeśli przez nią przejdziecie, znów traficie na kolorowe linie. Idźcie za nimi.

– Potwierdzam, Dzieciaku.

– Chwila! – Rozległ się szelest, a później zdyszany głos. – Chyba wracają!

– Możesz się zamknąć w środku, aż do ciebie dotrzemy?

– Drzwi są drewniane. Wyważą je.

– Twoje radio jest przenośne?

– Tak, mam zestaw słuchawkowy.

– W takim razie zabieraj się stamtąd. Znajdź bezpieczną kryjówkę. Będziemy musieli narobić hałasu.

– Boże...

– Czy są tu cywile, którymi musimy się martwić? Dobrzy goście?

– Tak! – odpowiedział natychmiast. – Nowi Ludzie. Od razu ich rozpoznacie, bo wszyscy są ubrani tak samo. Bawełniane spodnie i koszulki z numerami. Proszę – błagał – nie róbcie im krzywdy.

– Postaramy się, ale jeśli będą stawiać opór...

– Uwierz mi, nie są do tego zdolni.

Powiedział „nie są do tego zdolni” zamiast „nie zrobią tego”.
Interesujące.

– Ktoś jeszcze?

– Nie. Wszyscy inni są zamieszani.

– W takim razie wynoś się.

– Dobrze, ale... Kowboju? Uważaj na psy.

– Jaka rasa i ile?

Tym razem usłyszałem jedynie szum.

– W porządku – powiedziałem do Królika i Starszego – celujcie uważnie i przerywajcie ogień. Jeśli ktoś się podda, pozwólcie na to. Poza tym to czarny dzień w Black Rock.

– Tajes – odpowiedzieli.

– A teraz wyważmy drzwi.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 15.08
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 52 minuty EST*

Zewnętrzne drzwi były stalowe, więc cofnąłem się, kiedy Królik umieścił na zamku ładunek C4 z jednym z nowych wynalazków Hu – polimerową osłoną, która była dość elastyczna, by po złożeniu zmieścić się w kieszeni, ale dość mocna, by zatrzymać odłamki. Była również dość gęsta, by stłumić odgłos, więc kiedy Królik odpalił ładunek, zamek wybuchł z dźwiękiem niewiele głośniejszym od kasznięcia. Drzwi otworzyły się w chmurze dymu.

Żadnych alarmów. Dzieciak wciąż był mistrzem. Jako pierwszy wszedłem do środka.

Korytarz, oświetlony jasnym blaskiem jarzeniówek, miał około dwudziestu metrów, po czym się rozgałęział. Po obu stronach widziałem drzwi. Wszystko było starannie oznaczone, a z korytarza wyraźnie korzystali dozorczy i technicy. Większość pomieszczeń służyła jako magazyny. W tych po lewej znaleźliśmy worki z nawozami, łopaty i inne narzędzia ogrodnicze oraz ubrania robocze. Po prawej był nieduży warsztat, a dalej kotłownia i przebieralnia dla personelu. Zastanowiłem się, czy nie kazać swoim ludziom przebrać się w ubrania robocze, ale nie zrobiłem tego. Miałem przecucie, że

walczyliśmy z czasem, więc oznaczyliśmy każde drzwi papierowym czujnikiem umieszczonym poniżej poziomu, na który naturalnie pada wzrok. Czujniki składały się z cieniutkiego drucika i małego nadajnika. Odślanialiśmy warstwę samoprzylepną i przyciskaliśmy je do szczeliny w drzwiach naprzeciwko zawiasów. Gdyby ktoś otworzył drzwi, rozerwałby papier, a wtedy nadajnik wysłałby sygnał do naszych skanerów. Proste i użyteczne.

Trafiliśmy na pomieszczenie, w którym na łańcuchach wisiało jakieś bliżej mi nieznane urządzenie. Rozrzucone narzędzia i paląca się lampa świadczyły, że praca trwała. W okolicy było pusto. Wszyscy musieli pójść do pożaru, który wywołał Dzieciak, i pewnie jak większość robotników zwlekali przed powrotem do pracy.

Nie wypuszczając z rąk beretty, przechodziłem przez budynek, który był pusty i cichy.

Wszystko zmieniło się w ułamku sekundy.

Kiedy znajdowaliśmy się w odległości pięciu metrów od rozgałęzienia, z prawej odnogi korytarza wyszli dwaj mężczyźni. Obaj mieli na sobie umazane smarem kombinezony i wiedziałem, że musieli być mechanikami pracującymi nad urządzeniem. Rozmawiali po niemiecku z austriackim akcentem, kiedy nas dostrzegli. Znieruchomieli, oczy wyszły im z orbit i obaj otworzyli usta z identycznym wyrazem zaskoczenia, patrząc na lufy trzech pistoletów. Wycelowałem z beretty w czoło większego z mężczyzn i uniosłem palec do ust.

Musiał jedynie nic nie robić. Musiał jedynie milczeć i nie udawać bohatera.

Niektórzy ludzie po prostu nie łapią.

Zaczął się odwracać i wciągnął powietrze, żeby krzyknąć, a ja strzeliłem mu w skroń. Starszy zdjął drugiego dwoma strzałami w środek piersi. Uderzyli o ziemię.

Gdyby Fortuna dała nam choć odrobinę szczęścia,

minęlibyśmy ich i w parę sekund znaleźlibyśmy się w kompleksie. Ale dziś nie była w humorze. Za tamtymi szli kolejni ludzie, poza zasięgiem naszego wzroku, dalej w bocznych korytarzach.

Ludzie zaczęli krzyczeć.

A później zaczęli strzelać.

Po chwili rozległ się alarm.

I tyle, jeśli chodzi o wejście po cichu.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

***Fabryka Smoków,
niedziela, 29 sierpnia, 15.17
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 43 minuty EST***

Trzej biznesmeni z Chin porzucili wszelkie pozory wyniosłości i stali z szeroko otwartymi oczami i ustami. Za szkłem, na powykręcanym konarze smokrzynu, siedział smok ze skrzydłami złożonymi wzdłuż smukłego ciała.

Istota odwróciła głowę w ich stronę i patrzyła przez szkło długą minutę, od czasu do czasu poruszając długimi wąsami. Zamrugła powoli, jakby z pogardą na widok ich zaskoczenia.

Jeden z mężczyzn, starszy kupiec, uśmiechnął się szeroko. Ukłonił się przed smokiem, bardzo głęboko. Jego dwaj młodsi wspólnicy również się ukłonili. Podobnie jak Hekate i Parys, którzy zrobili to, bo czemu nie. Mogło im to pomóc w podpisaniu umowy, choć oboje wiedzieli, że właściwie została już zawarta.

– Czy... czy... – zaczął mówić starszy kupiec, tłusty na twarzy mężczyzna imieniem Chen. – Czy on...

Parys uśmiechnął się.

– Czy umie latać?

Wyciągnął rękę i postukał w szkło. Nagły dźwięk zaskoczył smoka, który zeskoczył z gałęzi, a jego śnieżnobiałe skrzydła rozłożyły się na szerokość większą niż ramiona wysokiego mężczyzny. Istota przefrunęła na sąsiednie drzewo. Wybieg

został zaprojektowany w celu zapewnienia największej widoczności, więc choć smok mógł się odsunąć, nie miał jak się ukryć.

Chen mruknął coś po mandaryńsku, czego Parys nie wyłapał. Żadne z Bliźniąt nie znało tego języka, interesy z tymi kupcami oboje prowadzili po angielsku.

– Jak? – spytał Chen po angielsku, odwracając się do Bliźniąt.

– Tajemnica firmy – odparł Parys.

Właściwie miał pokusę, by zacząć się chełpić, bo stworzenie latającej jaszczurki było jednym z najbardziej skomplikowanych i kosztownych projektów, których podjął się wraz z Hekate. Zwierzę na wybiegu było patchworkiem. Skrzydła pochodziły z albatrosa, wąsy z ogromnego suma z Mekongu, rogaty grzebień z teksańskiej frynosomy, a smukłe ciało w przeważającej większości z warana. Do tej mieszanki dorzucili jeszcze parę innych genów, a projekt był jak na razie tak skomplikowany, że większość zwierząt umierała tuż po narodzinach albo rodziła się z niespodziewanymi zniekształceniami wynikającymi ze źle zakodowanych genów. Ten jako jedyny wyglądał na zdrowego i potrafił latać.

Najtrudniejszym elementem było zaprojektowanie zwierzęcia zdolnego do lotu. Miał puste kości dużego ptaka i odpowiednią sieć naczyń krwionośnych, by utrzymać te kości w zdrowiu. Musieli również dać mu geny zapewniające mięśnie i tkankę chrzęstną, by był zdolny machać skrzydłami. Niestety nie zidentyfikowali genu – lub kombinacji genów – która zapewniłaby mu instynktowne pojmowanie aerodynamiki. Dlatego wiele godzin spędzili w dmuchanym pomieszczeniu podobnym do tych, które wykorzystywano na jarmarkach i kinderbalach, podzuczając stwora z nadzieją, że odkryje, iż te wielkie skórzaste rzeczy na jego grzbiecie są działającymi skrzydłami. Proces był frustrujący i czasochłonny, a istota dopiero niedawno zaczęła machać skrzydłami, więc krótki lot był

maksimum jego zasięgu. Bardziej przypominał przy tym kurę zrzuconą z dachu kurnika niż szybujący bez trudu symbol starożytnej historii Chin. Gęste zarośla na wybiegu pomagały ukryć niezręczność tego lotu. Cały proces był piekielną udręką. Piekielną udręką wartą czterdzieści jeden milionów dolarów. A do tego cholera było mułem, niezdolnym do rozmnażania.

Ale przynajmniej był ładny i mniej więcej latał. Parys miał nadzieję, że ten osobnik pożyje dość długo, by udało im się naprawić wszystkie błędy genetyczne i w końcu jakiegoś sprzedać. Ten był jedynie na pokaz. Obietnica, by skłonić Chińczyków do podpisania czeku na bardzo wysoką kwotę.

Parysowi wydawało się, że już słyszy skrzypienie pióra.

Trzej chińscy kupcy stali przed szybą niemal pół godziny. Prawie się nie odzywali. Parys czekał cierpliwie. Kiedy urok w końcu przestał działać – choć wciąż robili wrażenie oszołomionych – zaprowadził ich do niedużego stołu zastawionego herbatą i ryżowymi ciasteczkami.

Zza stołu mieli widok na smoka, ale nie za dobry. To zasugerowała Hekate.

– Jeśli nie będą widzieli tego cholernego stwora, zrobią się niecierpliwi. Będą chcieli podpisać umowę, by móc wrócić i gapić się na niego.

Parysowi spodobała się ta taktyka.

Zanim herbata została wypita, zanim nawet zaczęła stygnąć, Parys dostał zamówienie na trzy pełne oddziały Berserków. Suma transakcji była równa kosztowi stworzenia smoka z dodanym na końcu zerem. Chińczycy byli zbyt oszołomieni i rozproszeni, by targować się bardziej niż symbolicznie.

Ostatecznym argumentem była obietnica Parysa, że dostarczy im własnego smoka. Jak tylko uda im się stworzyć kolejnego. Co, jeśli o niego chodziło, miało się wydarzyć parę dni przed zamrożeniem piekła.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 15.26
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 34 minuty EST*

Czterech strażników dobiegło do zakrętu i zrobili to we właściwy sposób. Rozpoczęli ostrzał, żeby nas spowolnić, a później wysunęli się zza rogu i wycelowali broń na różnych wysokościach. Ładnie im poszło. Rzuciłem w nich granatem.

Przebiegliśmy przez dym i krzyki i sami zajęliśmy zakręt. W bocznym korytarzu tłoczyli się ludzie, którzy uciekali przed wybuchem, potykali się o siebie nawzajem, tratowali leżących i wchodzili w drogę tym, którzy próbowali stawiać zbrojny opór. Korytarz po przeciwnej stronie kończył się po trzech metrach zamkniętymi drzwiami.

– Wybierajcie cele! – zawołałem.

Sam wycelowałem i strzeliłem do strażnika, który przyjął postawę strzelecką i unosił broń. Impet uderzenia pocisku obrócił nim w chwili, kiedy nacisnął spust i jego pierwszy – i jedyne – strzał wybił czerwoną dziurę w nodze kobiety o ostrych rysach, krzyczącej coś do czerwonego telefonu alarmowego na ścianie. Kobieta wrzasnęła z bólu, ale padając, wyciągnęła pistolet kaliber .32 z kabury na biodrze. Królik ją wyeliminował.

Usłyszałem krzyki i ostrzał z drugiego końca, a później byłem

już zbyt zajęty, żeby gadać, kiedy kolejni strażnicy przeciskali się przez tłum spanikowanych robotników. Ci chłopcy mieli strzelby i HK G36, i otworzyli do nas ogień, choć na drodze stali im ich ludzie. Duża grupa cywilów padła pod gradem kul, a my musieliśmy się cofnąć, bo tych sukinsynów było dziesięciu.

– Odłamkowym! – ryknął Starszy i Królik rzucił dwoma M67.

Większość żołnierzy umie rzucić ważącym prawie czterdzieści deko granatem na odległość ponad dziesięciu metrów, a później lepiej, żeby znaleźli sobie osłonę, bo M67 mają promień rażenia pięć metrów, choć widziałem, jak wyrzucają odłamki do dwustu metrów. Skuliliśmy się za rogiem, a wybuch zupełnie oczyścił korytarz.

Kiedy wyjrzałem za róg, zobaczyłem unoszący się dym, kłębowisko kończyn i żadnego ruchu.

Wstaliśmy i pobieглиśmy, przeskakiwaliśmy nad zabitymi, unikaliśmy umierających, odcinaliśmy się od krzyku i przebijaliśmy przez chmury czerwonego dymu. O ścianę opierał się mężczyzna próbujący przytrzymać twarz połamanymi palcami. Wybuch podarł mu ubranie, a krew zalała resztę, więc nie wiedzieliśmy, czy był technikiem, czy strażnikiem. Posłał nam zdesperowane spojrzenie, ale nic nie mogliśmy dla niego zrobić.

Korytarz doprowadził nas do dużego centralnego salonu pełnego egzotycznych roślin i klatek z dzikimi ptakami. Technicy biegali w panice, tworząc jedno wielkie pandemonium, potykając się o kanapy i tłocząc się w wyjściach tak, że nikt nie mógł się wydostać. Przez podwójne drzwi wpadła do środka grupka dwunastu strażników. Dowodził nimi wielki blondyn o kwadratowej szczęce i oczach zabójcy, który wyraźnie wiedział, co robi. Używał cywilów jako ludzkich tarcz, by nas nimi otoczyć, a my musieliśmy albo zastrzelić techników, albo nie odpowiadać na ich ostrzał.

Nie pamiętam, bym widział słowo „męczennik” w opisie

swoich obowiązków, ale mimo wszystko nie chciałem zabijać nikogo, kto nie musiał umierać. To była koszmarna sytuacja, która robiła się z każdą chwilą coraz gorsza.

– Szefie?! – zawołał Królik.

Strażnicy przyjmowali postawy strzeleckie za wrzeszczącym personelem.

Gdybyśmy się wycofali i zaczęli wojnę o terytorium, mogłoby to zająć cały dzień, a my nie mieliśmy pojęcia, ilu strzelców mogliby jeszcze wezwać. Mogliśmy albo dać z siebie wszystko, albo spadać, więc zrobiłem jedyne, czego strażnicy się nie spodziewali – zaatakowałem ich, z bliska i osobiście. Wiedziałem, że mój oddział podąży za mną.

Jasnowłosa gość krył się za parą kobiet, które kulily się, zatykały uszy i wrzeszczały, ale był zbyt daleko, więc skupiłem się na najbliższym strzelcu, wbiłem mu pistolet w brzuch i wystrzeliłem dwa razy. Impet uniósł go kilkadziesiąt centymetrów nad ziemię, a ja złapałem go za koszulę i obróciłem się gwałtownie, pociągając go ze sobą. Uderzył w gościa z tyłu tak mocno, że obaj wylądowali na zimnym lastryku, a ja butem zmiażdżyłem gardło drugiego.

Po mojej lewej Starszy zbliżył się do dwóch strzelców i wykorzystał tę samą sztuczkę, co oni – krył się za cywilnym personelem. Kiedy znalazł się odpowiednio blisko, uderzył technika w brodę lufą swojego M4, a gdy tamten wpadł na strzelców, strzelił ponad przewracającym się mężczyzną i trafił jednego ze strażników. Drugiemu w czasie zderzenia wypadła broń z ręki, ale odepchnął technika na bok, rzucił się do przodu i złapał Starszego za gardło. Widziałem, że Starszy się uśmiecha. Mam dla was radę – nigdy nie łapcie dobrego wojownika obiema rękami, bo on może was uderzyć w odpowiedzi, a wy nie zablokujecie ciosu. Starszy opuścił brodę, żeby osłonić gardło, a okuty stalą nosek taktycznego buta wbił stanowczo za daleko w jaja tamtego gościa. Ten kopniak musiał połamać kości. Starszy

wyrwał się ze słabnącego uścisku na gardle i uderzył lufą karabinu w tył szyi strażnika. Pozbawienie go przytomności było pewnie aktem miłosierdzia.

Dostrzegłem ruch po prawej, obróciłem się i uchyliłem, kiedy jeden ze strażników wyszedł zza wielkiej paproci w donicze i próbował we mnie wycelować. Jego twarz wybuchła, zobaczyłem jeszcze mrugnięcie Królika.

Kolejni ludzie wpadali do sali. To było jak próba zorganizowania ostrzału w trakcie zamieszek kiboli. Musiała nas otaczać setka wrzeszczących ludzi.

Zabiłem jeszcze dwóch i zamek mojego pistoletu się zablokował. Sięgałem po kolejny magazynek, kiedy wielki blondyn i dwaj inni zaczęli zachodzić mnie z trzech stron. Gdybym się cofnął, otoczyliby mnie jak zaciskająca się pięść, więc rzuciłem się na najbliższego z nich, wielkiego jak łoś rudzielca bez przednich zębów. Odepchnąłem jego broń w bok grzbietem prawej dłoni, a później zamachnąłem się i uderzyłem go w nasadę nosa rozładowanym pistoletem. To sprawiło, że wpadł na mnie, a kiedy jego plecy uderzyły w moją pierś, obróciłem się jak ośka. Zatoczyliśmy ciasny krąg, co pozwoliło mi rzucić nim w mężczyznę w środku. Rudzielec potrzebował sekundy, żeby się wyplątać, a ja wykorzystałem tę sekundę, by rzucić się do przodu, i uderzyłem go w krocze pistoletem. Nie chodziło mi o to, żeby zadać mu ból, ale żeby zatrzymać go w miejscu – wtedy uderzyłem kolbą pistoletu w grzbiet jego stopy i poczułem, jak pękają kości śródstopia. Zanim zdążył krzyknąć, poderwałem się na równe nogi i z całej siły uderzyłem go otwartą dłonią od dołu w brodę. Jego głowa poleciała do tyłu tak bardzo, że stracił przytomność, zanim jeszcze uderzył o ziemię. Może był ranny, może martwy, może gównu mnie to obchodziło.

Gość w środku – wielki blondyn – odepchnął towarzysza na bok. W zderzeniu zgubił pistolet i kiedy ruszył w moją stronę, wyrwał z pochwy u pasa nóż marines, KA-BAR. Mam wiele

szacunku dla tego noża, a on trzymał go, jakby wiedział, jak go używać.

KA-BAR ma trzydzieści centymetrów długości, w tym osiemnaście centymetrów ostrej głowni typu clip point. Czubek był paskudnym smoczym zębem, który mógł przebić kevlar, jakby nie istniał. Marines i marynarka używali go od drugiej wojny światowej, a w rękach eksperta miał siłę przebicia noża Bowie, połączoną z ogromną szybkością. Wyciągnąłem z kieszeni nóż sprężynowy Wilson Rapid Response i krótkim ruchem zablokowałem ostrze. Tak, wiem, że jego ostrze ma zaledwie dziewięć i pół centymetra długości i w porównaniu z KA-BAR-em wygląda jak pilniczek do paznokci, ale, jak mawiają, nie liczy się wielkość okrętu, tylko jego manewrowość na oceanie.

Blondyn – na koszuli miał naszywkę z imieniem „Gunther” – zaczął krążyć w prawo i w lewo, próbując mnie zmusić, żebym poruszał się razem z nim. Ścinał zakręty i za każdym razem, kiedy zmieniał kierunek, zginał łokieć coraz bardziej, żebym myślał, że odległość między nami pozostaje niezmieniona, choć w rzeczywistości się zbliżał. Była to niezła sztuczka, którą sam wykorzystywałem.

Nagle rzucił się do przodu, zrobił bardzo szybko pół kroku i czubkiem ostrza dźgnął moją rękę z nożem. To była sztuczka eksperta. W walce na noże idioci próbują dźgać. I choć czasem uda im się wbić ostrze, drugi gość może zadawać cięcie za cięciem, nim rana w końcu pozbawi go przytomności. Ten gość wybrał „dziabnięcie”, krótkie dźgnięcie, które miało na celu zranić rękę, w której trzymałem nóż, i jednocześnie pozbawić mnie możliwości ataku i obrony. Był szybki jak błyskawica i naprawdę musiałem się poruszyć, żeby uniknąć tego dziabnięcia.

Skreśliłem w lewo, a on znów spróbował, tym razem pochylił się i wysunął bardziej do przodu, po czym poderwał gwałtownie nóż – zamierzał ciąć mnie grzbietem ostrza, kiedy będzie je cofał.

Kolejny gładki ruch.

Ja jednak byłem na niego gotów, a kiedy rzucił się do przodu i wycofał, ciąłem z góry swoim ostrzem. Mój nóż był bardzo lekki, więc musiałem szarpnąć nadgarstkiem, żeby przeciąć skórę, ale wtedy poczułem, jak krawędź stuka o kość. W powietrzu pojawiły się krople krwi, kiedy mężczyzna cofnął rękę.

Na jego twarzy malował się ból i zaskoczenie, ale natychmiast rzucił się do kolejnego ataku, tym razem zrobił dwa zwody i dziabnięcie, które trafiło mnie w łokieć i wywołało palący ból w miejscu, gdzie ciało jest najcieńsze.

Wokół nas wciąż kłębił się spanikowany tłum, ale gdyby któryś z nas się rozproszył, byłby trupem. Wiedziałem, że mój oddział robił swoje. Starszy i Królik byli w samym środku walki, ale trzeba było naprawdę wielu ludzi, żeby zyskać przewagę liczebną nad tym duetem.

Gunther patrzył mi w oczy i wiedziałem, że polega – tak samo jak ja – na widzeniu peryferyjnym, żeby podejmować decyzje i wybierać cele. Cały czas się poruszaliśmy, zawsze na śródstopiu, niczym tancerze w skomplikowanym i niebezpiecznym układzie choreograficznym. Kiedy on się poruszał, ja się poruszałem, kiedy ja się poruszałem, on się poruszał. Dwa razy stal uderzała o stal, ale za każdym razem było to jedynie muśnięcie.

Kiedy walczy się z ekspertem, można zwyciężyć, jeśli drugi gość podda się emocjom, jeśli popełni błąd albo jeśli wprowadzi się do gry jakiś element, którego on nie ma. Jak na razie Gunther nie pozwolił, by uczucia nim kierowały i nie popełnił ani jednego błędu. Krwawił z trzech draśnięć, a ja z czterech.

Przechylił się w prawo, udał, że się cofa, spróbował ciąć mnie w twarz, zmienił to w kolejny zwód i przykucnął, by spróbować przeciąć moją arterię udową. Zwód w górę prawie zawsze sprawia, że człowiek odchyła się do tyłu, by uniknąć ciosu, a to sprawia, że odsłania lędźwie i uda. Było to coś pięknego, jak

z podręcznika.

Nie był to manewr, jakiego należało użyć wobec mnie.

Kiedy próbował ciąć mnie w twarz, wiedziałem, że to zwód. Gunther nie popełnił błędu – po prostu wybrał niewłaściwego gościa do tego manewru. Kiedy przykucnął i sięgnął w stronę mojego uda, ja opadłem razem z nim i jego ostrze prześlizgnęło się po sprzęcie wiszącym mi u pasa. Naśladowałem łuk jego cięcia swoim ostrzem, podążyłem za nim do samego końca, ale sięgnąłem dalej i czubek mojego noża wbił się w miękką szczelinę między dolną krawędzią jego bicepsa a górną krawędzią tricepsa. Moje ostrze zagłębiło się zaledwie na centymetr, ale to wystarczyło, by zrobić otwór w tętnicy ramiennej. Grymas bólu na jego twarzy świadczył, że drasnąłem też nerw pośrodkowy.

Gunther próbował przerzucić nóż i może umiał dobrze walczyć również lewą ręką, ale obaj wiedzieliśmy, że walka nie należała już do niego. To straszliwa rzecz, kiedy człowiek czuje, że opuszcza go szczęście bitewne. Od razu traci się odwagę.

Cofnął się niezgrabnie, by przerzucić nóż do drugiej ręki, ale ja skoczyłem do przodu, a moje cięcie było głębokie, długie i trafiło go w gardło. Musiałem cofnąć się przed krwią bryzgającą z tętnicy. Poleciał do tyłu, a ja wróciłem do walki, strząsnąłem krew z noża, odszukałem wzrokiem pistolet na podłodze, pochyliłem się, wyjąłem nowy magazynek, założyłem go – i to wszystko, zanim Gunther skończył się przewracać.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

*Deck,
niedziela, 29 sierpnia, 15.28
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 32 minuty EST*

Jeden z doradców pędził korytarzem w stronę prywatnej alkowy, gdzie Cyrus i Otto siedzieli przy wspólnej, wielkiej i skomplikowanej stacji roboczej.

Wejście na ten teren było zakazane bez wcześniejszego ostrzeżenia telefonicznego albo mailowego i niejeden pracownik został natychmiast stracony za złamanie jednej z najważniejszych zasad Cyrusa. Jednak słowa, które wykrzykiwał doradca, waląc w drzwi, kazały im zapomnieć o wszelkich karach.

– Atakują Ul!

Otto i Cyrus poderwali się na równe nogi, żądając odpowiedzi.

– Jest na kanale centralnym! – krzyknął doradca, a wtedy Otto nacisnął przyciski, które przekazywały komunikaty na jego głośniki.

– ...powtarzam wiadomość. Grupa uzbrojonych ludzi atakuje Ul. Przebyli ogrodzenie i weszli do budynku. Ponosimy ciężkie straty. Prosimy o rozkazy, prosimy o rozkazy...

Cyrus sapnął.

– To Bliźnięta! To muszą być oni...

– Ale jak?

– Musieli pojmać oddział, który wysłaliśmy. Pinter i Homler wiedzieli o Ulu.

– Są wyszkolonymi agentami – sprzeciwił się Otto. – Nigdy by się nie wygadali.

– Ta wiedźma Hekate, moja droga córeczka, mogłaby zmusić samego szatana do zdradzenia sekretów piekła, a ty cholernie dobrze o tym wiesz.

Otto gestem odprawił doradcę i zatrzasnął drzwi do alkowy.

– Musimy działać szybko – stwierdził Otto.

– Ale musimy podjąć właściwe kroki – odparował Cyrus. – To z pewnością oddział, który wysłali. Jeśli straty są tak wielkie, to musi być jeden z oddziałów Berserków.

Otto pokiwał głową

– Ale w takim razie nie udali się tam osobiście. Parys nie ma jaj do pracy w terenie, a Hekate jest zbyt bystra. Mimo wszystko Berserkowie nie są całkowitymi idiotami. Są dość inteligentni, by wyrwać twardy dysk z komputera. Nie możemy pozwolić, by Bliźnięta zobaczyły, co jest na tych komputerach. Wątpię, by pozwoliły na dalszą realizację Fali Wymierania.

– Wiem, że oni by tego nie zrobili. Nie są prawdziwymi bogami – powiedział Cyrus ze smutkiem i żalem w głosie. – Nie mamy wyboru, musimy użyć systemu zabezpieczającego...

Otto obszedł stację roboczą i położył dłoń na ramieniu Cyrusa.

– Panie Cyrusie – odezwał się łagodnie. – Przyjacielu. Osiemdziesiąt Dwa jest w Ulu.

Cyrus otworzył szeroko oczy, a później zamknął je, gdy rzeczywistość wbiła ostrza bólu w jego serce.

– Nie...

Otto ścisnął ramię Cyrusa i usiadł. Kilkoma uderzeniami w klawiaturę wywołał ekran komend, za pomocą którego miał aktywować system zabezpieczeń Ula. Wysłał dwa zestawy kodów na ekran Cyrusa. Jeden aktywował zabezpieczenia, a drugi po prostu wysadzał centra komunikacyjne i połączenia Ula

z Deckiem.

– Sprowadza się to do tego – powiedział cicho. – Albo pozwolimy Bliźniętom zobaczyć, co robiliśmy, i zaryzykujemy, że nas powstrzymają... a mogliby nas powstrzymać... wtedy błotni ludzie przeżyją, zaś marzenia Koterii i wszystko nad czym pracowaliśmy przez siedemdziesiąt lat obróci się wniwecz, albo wybierze pan chłopca, który uczyni pana nieśmiertelnym. Fala Wymierania albo chłopiec.

Cyrus pokręcił głową. Wpatrywał się ślepo w ekran, w oczach miał łzy.

– Osiemdziesiąt Dwa ma moje serce. Ma moją duszę.

Otto nie odpowiedział.

– Proszę, Boże, daj mi wybór między Bliźniętami a Osiemdziesiąt Dwa, ale nie to...

– Kończy nam się czas. Musi pan dokonać wyboru.

Cyrus otarł łzy z twarzy i pociągnął nosem. Kiedy uniósł dłonie, by umieścić palce nad klawiaturą, miał wrażenie, że są z betonu.

– Cyrusie – szepnął Otto.

Cyrus kursorem wybrał jeden z kodów. Zamknął oczy, próbując powstrzymać napływające łzy.

I nacisnął „Enter”.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 15.38
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 22 minuty EST*

To była rzeźnia. Zużyłem kolejny magazynek beretty, zanim schowałem ją do kabury i przerzuciłem się na M4. Kolejni strażnicy tłoczyli się w przeciwnym wejściu do sali, ale zatrzymali się na chwilę na widok leżących na podłodze. Niektórzy z personelu byli po prostu dość bystrzy, by paść na ziemię i osłonić głowy, żeby nie narażać się na ostrzał – reszta była martwa. Królik położył ogień osłonowy, a ja pobiegłem w stronę ciężkiego bufetu na drugim końcu sali. Poczulem podmuch i usłyszałem świst kilku pocisków wystrzelonych przez strażników, którzy kulili się za stojącymi blisko siebie sofami i pluszowymi fotelami. Rzuciłem się na ziemię, przetoczyłem, podniosłem do kłku, przekręciłem i oparłem ramię o bok drewnianego bufetu. Królik stał za maszyną z napojami, a Starszy prześlizgnął się na drugą stronę sali i strzelał zza ozdobnej kolumny.

Oddział Echo tworzył trzy ściany pudełka, a strażnicy znajdowali się na przeciwległym rogu. Było ich siedmiu i przez jakiś czas jedynie marnowaliśmy naboje, strzelając do siebie. Został mi jeden granat odłamkowy i parę błyskowo-hukowych, ale sala miała wielkość połowy boiska. Żeby ich dosięgnąć,

musiałbym się podnieść i rzucić z całej siły, a podejrzewałem, że nie miałbym większych szans, by to przeżyć. Pozostali przy życiu strażnicy byli przygnębiająco dobrymi strzelcami.

Postukałem w słuchawkę.

– Ktoś ma czystą linię strzału?

Nikt nie miał.

Kule uderzyły w bufet, wyrzucając w powietrze kubki i zalewając mnie gorącą kawą i śmietanką. Kawa parzyła, ale żaden z pocisków się nie przebił. Postukałem w ściankę. Stał w dębowej obudowie. Pchnąłem bufet ramieniem i byłem zaskoczony, kiedy ciężki mebel przesunął się o prawie pięć centymetrów. Nie był przyśrubowany do podłogi i musiał mieć pod spodem kółeczka. Cudownie.

– Próbuje coś zrobić – powiedziałem do mikrofonu – więc zapewnijcie mi osłonę, kiedy będę jej potrzebował.

Pchnąłem bufet całą swoją masą. Poruszył się bez trudu i przesunął o ponad metr, a metalowe kółka zgrzytały jak paznokcie na tablicy.

– Przyjąłem, szefie.

Strażnicy zorientowali się, co robię, i skupili na mnie ostrzał, ale bezskutecznie. Ciągłe uderzenia kul mnie spowalniały, ale nie zatrzymywałem się, popychając bufet po lastryku. Modliłem się do dowolnego boga, który akurat słuchał, by ci goście nie mieli granatów.

– Mamy biegacza, szefie – powiedział Królik.

Wyjrzałem zza rogu i zobaczyłem, jak jeden ze strażników wysuwa się zza osłony i biegnie w stronę przeciwległej ściany. Stał tam rząd kolumn i gdyby udało mu się do nich dotrzeć, mógłby ostrożnie zbliżyć się do mnie.

– Mam go – powiedział Starszy, a biegnący mężczyzna nagle obrócił się i padł.

Ciągły ostrzał sprawił, że nie usłyszałem tego strzału.

Nadal napierałem na bufet, aż przebyłem prawie dziesięć

metrów. Żaden z pozostałych strażników nie próbował podobnego numeru, ale słyszałem skrzek walkie-talkie i wiedziałem, że wzywali wsparcie. To trwało stanowczo za długo.

– Już czas – warknąłem. – Naróbcie hałasu.

Moi ludzie naprawdę dali z siebie wszystko i strażnicy na chwilę wycofali się za osłonę. A ja potrzebowałem tylko chwili. Wyciągnąłem zawleczkę granatu odłamkowego i ryzykując wszystko, podniosłem się i rzuciłem. A później przycisnąłem się do ziemi, gdy wybuch posłał falę uderzeniową, która popchnęła bufet na mnie.

Rozległa się ostatnia salwa, kiedy strażnik, oślepiiony odłamkiem i poparzony, zatoczył się do przodu i wystrzelił cały magazynek w niewłaściwą stronę. Starszy go zdjął i sala należała do nas.

– Ruchy! – ryknąłem.

Wypadłem zza bufetu i ruszyłem biegiem na drugi koniec sali. Królik był za mną, a Starszy trzymał się na dystans, by prowadzić obserwację.

Dotarliśmy do szerokiego korytarza, który skręcał w bok. Kiedy ucichł ostrzał, zorientowałem się, że alarmy Klaxona ucichły. Na sali i w korytarzu panowała niepokojąca cisza.

Wybrałem kanał dowodzenia.

– Kowboj do Ziemianki.

Żadnej odpowiedzi. Królik spróbował, również bez efektu. Starszy spojrzął na skaner. Ekranik wypełniał biały szum.

– Zagłuszają nas.

Dwie rzeczy wydarzyły się jedna po drugiej, a mnie żadna się nie podobała.

Po pierwsze, zgasły światła i na sali zapanowała całkowita cisza.

A później usłyszeliśmy warczenie. Dochodzące zza naszych pleców.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

***Dom Krzyków, Isla Dos Diablos,
niedziela, 29 sierpnia, 15.40
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 20 minut EST***

Mężczyzna z radia – ten, który nazywał sam siebie Kowbojem – kazał mu uciec i się ukryć. I Osiemdziesiąt Dwa prawie to zrobił. Kiedy usłyszał głosy w korytarzu, złapał przenośne radio, uciekł z sali komunikacyjnej, pobiegł bocznymi korytarzami i wypadł na werandę, kierując się w stronę swojego pokoju.

Problem polegał na tym, że między salą komunikacyjną a głównym domem znajdowały się kwatery strażników. Pełen niezdecydowania zatrzymał się gwałtownie na skrzyżowaniu korytarzy. W pewnej odległości usłyszał strzały, a później krzyki. I alarmy. To nie były alarmy przeciwpożarowe, które rozległy się, kiedy rozpalili ogień. Nie, to były głośnie alarmy Klaxona, używane tylko w naprawdę poważnych przypadkach.

Amerykanie atakowali.

Myśl ta przeszła Osiemdziesiąt Dwa dreszczem. Znów ruszył w stronę swojej kwatery, ale zatrzymał się po kroku.

A gdyby po drodze wpadł na Cartereta? Kiedy rozlegał się ten alarm, Osiemdziesiąt Dwa miał polecenie pozostać w swoim pokoju. Cały personel o tym wiedział. Strażnicy pewnie dotarli już do jego sypialni i zastanawiali się, gdzie jest, a informacja o jego nieobecności zostanie przekazana szefowi straży.

Carteretowi. Jak Osiemdziesiąt Dwa mógłby wyjaśnić swoją obecność po drugiej stronie kompleksu, w niewłaściwym budynku? Carteret nie był głupi. Dodałby dwa do dwóch – mały pożar, żeby odwrócić uwagę wszystkich, a później atak.

Czy Otto wydał Carteretowi rozkaz, by zabił Osiemdziesiąt Dwa, gdyby istniało niebezpieczeństwo, że zostanie pojmany? Nie, Alfa nigdy by na to nie pozwolił.

I wtedy pierś chłopca przeszedł drugi dreszcz, ale tym razem nie było to podniecenie, lecz groza. Jeśli doszło do ataku sił rządowych – amerykańskich albo innych – to ich strażnicy z pewnością mieli inne rozkazy. Rozkazy bardziej kluczowe dla planów Alfy i Ottona niż życie Osiemdziesiąt Dwa.

Chłopiec spojrział wzdłuż korytarza w stronę zamkniętych sal komputerowych. Tam, w samym sercu Ula, znajdowały się informacje na temat wszystkich badań prowadzonych na wyspie. Całe lata badań genetycznych i transgenicznych, specjalnych zabiegów chirurgicznych i programów rozrodu, gwałcenia i wypaczenia natury. Dowody, które sprawiłyby, że Otto i Alfa zostaliby na zawsze uwięzieni. Może nawet straceni.

Później Osiemdziesiąt Dwa odwrócił się i spojrział na drugi korytarz, z powrotem w stronę Domu Krzyków. Tam znajdowały się laboratoria i baraki Nowych Ludzi.

Amerykanie przybyli tu z powodu tego, co było w komputerach. Choć Kowboj powiedział, że audio na nagraniu z polowania było kiepskie, musieli wiedzieć, że na wyspie działo się coś koszmarnie złego. Przybyli dowiedzieć się, co to jest, i to powstrzymać. Dane z komputerów mogły ocalić życie milionów.

Z drugiej strony Otto i Alfa nie mogli ryzykować, by Nowi Ludzie wpadli w ręce jakiegoś rządu. Światowy sprzeciw byłby głośny jak okrzyki oburzenia aniołów.

I była jeszcze kobieta.

Kamień w kieszeni Osiemdziesiąt Dwa był ciężki jak kowadło.

Stał i patrzył w głąb korytarza w stronę sal komputerowych,

zagryzając wargi w koszmarnej niezdecydowaniu. A później dokonał wyboru.

Odwrócił się w stronę Domu Krzyków i pobięł.

Rozdział osiemdziesiąty

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 15.42
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 18 minut EST*

Przycisnęliśmy się do ścian i włączyliśmy noktowizję. Przykląknęłam na jedno kolano i obróciłam się, słysząc drugie warczenie. Absolutna czerń zmieniła się w upiorną zielenią.

– Co widzisz, szefie? – syknął Królik, który patrzył w drugą stronę.

– Nic. – Czułem jednak, że w cieniach coś się porusza.

Pozostawiliśmy za sobą spore zniszczenia, ale wszystko wydawało się nieruchome. Jednak coś tam było i moje zmysły brzęczały ostrzegawczo. Echo warczenia rozlegało się raz za razem w moim umyśle. To nie było warczenie psa. Bardziej przypominało kota, choć też nie do końca. Czymkolwiek był ten stwór, warczenie było donośne i głębokie. Kryło się tam coś wielkiego i dość odważnego, by polować na trzech dorosłych mężczyzn.

– Ruchy – powiedziałem i zaczęliśmy się wycofywać z sali wspólnej.

Przeszliśmy tyłem dwa metry, cztery, podążając za łukiem korytarza, aż sala zniknęła nam z oczu.

W tej właśnie chwili wydawało mi się, że dostrzegłem poruszenie na skraju zasięgu mojego systemu noktowizyjnego,

ale mignięcie było zbyt krótkie. Jedynie wrażenie czegoś ogromnego, poruszającego się na czterech łapach, z łbem zawieszonym nisko między potężnymi barkami.

Stanowczo zbyt wielkie na psa.

– Co takiego siedzi nam na tyłku? – spytał Królik drżącym głosem.

– Nie wiem, ale jeśli zaczniesz tu węszyć, zabiję to.

– Pasuje mi.

– Daj mi znać, kiedy złapiesz sygnał, Starszy.

– Potwierdzam, ale na razie linia jest martwa.

– Kiepski dobór słów – mruknął Królik.

Stwór za nami ryknął.

Był to donośny odgłos, wysoki i wypełniony zwierzęcą nienawiścią. Jak u pantery, ale zbyt głośny. A później dobiegł mnie stukot grubych pazurów o płytki.

– Biegiem! – wrzasnąłem.

Moi towarzysze pobiegli korytarzem, ale ja pozostałem na swoim miejscu, uniosłem berettę, trzymając ją obiema rękami, i stłumiłem przerażenie wypełniające pierś. W ułamku sekundy, zanim stwór wyłonił się zza zakrętu, w mojej głowie pojawił się obraz jednoroźca. Jeśli ci szaleńcy mogli stworzyć coś takiego, jakie jeszcze potwory wymyślili w swoich laboratoriach? Oczyma duszy widziałem straszliwe istoty z legend i mitów, a później coś pojawiło się w zasięgu mojego wzroku i było bardziej przerażające niż jakiegokolwiek monstrum z książek albo gawęd przy ognisku.

Biegł jak gepard, jego potężne tylne łapy popychały go do przodu, a długie przednie, zakończone ostrymi pazurami, szarpały posadzkę. Pysk stwora był zmarszczony z wściekłości, długi jak u doga, ale podobnego kształtu co u pantery. W moich noktowizyjnych goglach jego oczy były świetlistymi zielonymi kulami, ale dostrzegłem zwężone kocie źrenice. Istota warknęła, odsłaniając zęby dorównujące długością ostrzu mojego noża

Rapid Response.

Nigdy nie widziałem i nigdy nawet nie wyobrażałem sobie stworzenia takiego jak to. Rozmiarami musiało dorównywać dorosłemu tygrysowi. Od końca tych kłów aż po ogon, którym przecinał powietrze, potwór musiał mieć dobre trzy i pół metra długości, a kiedy znalazł się w odległości niecałych pięciu metrów, wzniósł swoje trzysta kilo żywej wagi w powietrze, prosto na mnie.

Zacząłem strzelać, a jednocześnie usłyszałem własny krzyk. Pociągnąłem za spust i strzelałem, strzelałem, a jednocześnie rzuciłem się w dół i w bok. Stwór już wzniósł się w powietrze i nie mógł skrócić, ale wyczułem nad sobą pęd powietrza i zobaczyłem ciemne plamy, gdy wbijały się w niego kolejne kule. Duże naboje kaliber .45 rozszarpały mięśnie i ciało. Trafiłem sześć razy, a później stwór mnie minął, wylądował ciężko na podłodze, wpadł w poślizg i przesunął się w stronę moich ludzi. Warczał i pazurami szarpał płytki podłogi, a jego krew plamiła ściany.

Potwór skręcił gwałtownie, podniósł się i odwrócił w moją stronę.

Jak, do diabła, mógł jeszcze stać, choć wpakowałem w niego sześć kulek?

Potwór zasyczał na mnie, a ja widziałem, jak jego potężne bary się napięły, gdy zamierzał zerwać się do biegu.

Umieściłem kropkę laserowego celownika w jego lewym oku i stwór drgnął.

Ale był zbyt wolny. Wpakowałem siódmy pocisk w jego oko, a ósmy i dziewiąty przez grube kości czaszki. Zamek zablokował się, magazynek był pusty.

Kiedy istota upadła, rozległ się przerażający ryk. Dźwięk ten nie pochodził od umierającego potwora, lecz dobiegał z za moich pleców.

Te zwierzęta polowały parami.

* * *

Rzuciłem się do tyłu, wyrwałem magazynek i wyciągnąłem następny z kieszeni w chwili, gdy drugie zwierzę skoczyło na mnie z kłębiącej się ciemności. Zatrzasnąłem magazynek, ale ta bestia była szybsza, większa i uderzyła we mnie z impetem pociągu towarowego, zanim zdążyłem umieścić nabój w komorze albo unieść broń.

Uderzenie sprawiło, że poleciałem do tyłu, tak szybko i z taką siłą, że mogłem się jedynie przetoczyć i próbować nie wypuścić broni. Pazury szarpały moją pierś, rozrywając koszulę i wyrywając kawałki kevlaru. Przy życiu zachowała mnie jedynie masa istoty – impet sprawił, że stwór przekoziółkował i spadł za mną. Nie próbowałem się podnieść, lecz umieściłem nabój w komorze w chwili, gdy potwór zawrócił ze zgrzytem pazurów na płytkach i skoczył. Wylądował na mnie całym swoim ciężarem, zrywając mi noktowizor, więc świat stał się czarny i pełen kłów i pazurów. Jego ciężar pozbawił mnie tchu, ale pchałem lufę broni do góry, aż trafiłem na coś materialnego, a wtedy nacisnąłem spust, i jeszcze raz.

Słyszałem inne strzały, ich odgłosy nakładały się na moje, w rykach potwora brzmiały przerażająca furia i cierpienie. A później całym ciężarem opadł na mnie.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

***Dom Krzyków, Isla Dos Diablos,
niedziela, 29 sierpnia, 15.43
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 17 minut EST***

Osiemdziesiąt Dwa biegł ile sił w nogach. W korytarzach odbijały się echem strzały, wydawało mu się też, że słyszy wrzaski tygrysogarów wewnątrz budynku. Na wyspie było ich osiem, w tym dwie pary większe od tygrysów syberyjskich. Gdyby minęły kwatery strażników i dotarły do Domu Krzyków, wymordowałyby wszystkich Nowych Ludzi. Zostały genetycznie zaprogramowane, by postrzegać Nowych Ludzi jako swój główny cel – Osiemdziesiąt Dwa słyszał, jak Otto rozmawiał o tym z jednym z opiekunów zwierząt. Pozwalało im to sprzedawać zwierzęta każdemu, kto kupił dość Nowych Ludzi.

W budynku panowała teraz panika. Mijali go naukowcy w białych kitlach, kucharze i reszta personelu szukali gorączkowo drogi ucieczki z kompleksu. Odgłosy wystrzałów rozlegały się bez przerwy, a towarzyszyły im również wybuchy. Osiemdziesiąt Dwa znał odgłosy broni i uzbrojenia. Rozpoznawał pusty trzask broni ręcznej i karabinów, i głęboki warkot granatów. To był atak na dużą skalę, ale nie umiał ocenić, kto zwycięża. Schował się do szafy, żeby sprawdzić radio, ale słyszał jedynie wysoki pisk. Zagłuszanie. Uruchomione przez automatyczne systemy obronne kompleksu, a konsola sterująca

znajdowała się w kwaterach strażników. Nigdy nie uda mu się go wyłączyć.

Osiemdziesiąt Dwa znów schował radio do kieszeni i wyslizgnął się na korytarz, skręcił w lewo i ruszył w stronę sypialni, w których kulili się Nowi Ludzie. Wyobrażał sobie ich przerażenie i niepewność wywołane tym, co się działo. Alarmy, wystrzały, wrzaski tygrysogarów.

Czy ona tam była? Czy kobieta była w sypialni, czy została zabrana do sali chorych, kiedy Carteret z nią skończył? Wątpliwość sprawiła, że Osiemdziesiąt Dwa zwolnił kroku.

I wtedy właśnie mężczyzna, który za nim podążał, złapał go za włosy.

Rozdział osiemdziesiąty drugi

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 15.45
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 15 minut EST*

Zanim moi ludzie odważyli się zdjąć ze mnie stwora, Starszy podszedł bliżej i przycisnął lufę M4 do jego łba.

– Strzelałem! – ostrzegł i wpakował mu dwie kulki w czaszkę.

Ciało zadrżało po raz ostatni i jego ciężar jeszcze bardziej mnie przytłoczył. Królik i Starszy ciągnęli ze wszystkich sił, a ja popychałem nogami i rękami, żeby przechylić zewłok, aż udało mi się wydostać. Czułem się spłaszony, a zaczerpnięcie tchu było wyzwaniem. Królik włączył latarkę i wszyscy patrzyliśmy na dwa stwory.

– Czym one są, do diabła? – sapnął Królik.

– Trupami – mruknął Starszy.

– Ktoś tu się zabawiał swoim zestawem „Mały genetyk” – stwierdziłem, wymieniając magazynek.

Moje gogle noktowizyjne były uszkodzone, a hełm został zmiażdżony tak, że nie dało się go włożyć. Pazury stwora rozerwały przód mojej kamizelki kuloodpornej i zerwały dwa z pasków, a moją koszulę pokrywały plamy krwi. Zdjąłem ją i wtedy kamizelka po prostu spadła na ziemię. Cudownie. Teraz znajdowałem się na terytorium wroga w samym podkoszulku. To z pewnością musiało dodać mi otuchy.

Z drugiej strony warstwy materiału uchroniły mnie przed pocięciem na plasterki. Mimo wszystko czułem, że zaczynam się trząść.

Adrenalina czyni cuda w ogniu walki, ale kiedy uruchamiają się procesy kognitywne i człowiek uświadamia sobie ogrom tego, co się właśnie wydarzyło, może mu to zaszkodzić. W ciągu ostatnich dziesięciu minut uczestniczyłem w morderczej wymianie ognia, zabijałem ludzi bronią palną i nożem, a później zostałem zaatakowany przez parę zwierząt, które powinny istnieć jedynie w koszmarach sennych. Nic z tego nie wydawało mi się do końca realne, a w każdym razie nie dla cywilizowanego mężczyzny w mojej głowie. Gliniarz próbował znaleźć w tym jakiś sens, ale trudno mu było zaakceptować prawdziwość niektórych rzeczy. Jedynie wojownik był spokojny i opanowany. Wojownik posmakował krwi i chciał jedynie spuścić łomot złym gościom.

Królik trącił jednego stwora czubkiem buta.

– I pomyśleć, że czterdzieści osiem godzin temu grałem w siatkówkę na plaży w Ocean City w towarzystwie dwóch blondynek i jednej rudej.

– Przynajmniej ci się nie nudzi – stwierdził Starszy. – To tutaj jest prawdziwym potworem. Dziewczyny lubią zabójców potworów. Może któregoś dnia nawet uda ci się pójść z jakąś do łóżka.

– Tylko jeśli można im o tym opowiedzieć – sprzeciwił się Królik. – Pytają mnie, co robię w życiu, a ja muszę wymyślać jakieś nudziarstwa. A trudno mi wymyślać jakieś nudziarstwa, bo, bądźmy szczerzy, panowie, od kiedy się zaciągnęliśmy, raczej nie zdarzało się nam nudzić.

– Nie miałbym nic przeciwko odrobinie nudy – mruknął Starszy. – Wcale bym się nie obraził, gdyby przez dłuższy czas nikt nie próbował podpalić świata.

– Pociąg do dziewiętnastego wieku odjeżdża z tamtego peronu

– odparłem.

Zanim wyszliśmy, sprawdziliśmy okolicę. Na sali wspólnej i korytarzu panował całkowity bezruch. Ruszyliśmy korytarzem. Tym razem nikt nie próbował nas zatrzymać, a ja zastanawiałem się, czy personel uciekł, wiedząc, że spuszczone ze smyczy zmutowane psy strażnicze. Żałowałem, że nie działa komunikacja. To by był dobry moment, by poprosić naszych brytyjskich przyjaciół z *Ark Royal* o przysłanie paru śmigłowców wsparcia. Z drugiej strony, mogli być już w drodze. Church kierował COT, a ja wątpiłem, by tam siedział i oglądał *Doktora Phila*, skoro w czasie wymiany ognia zerwało się nam połączenie.

Za zakrętem zatrzymaliśmy się przed ciężkimi podwójnymi drzwiami. Sprawdziliśmy, czy nie ma potykaczy, a kiedy nic nie znaleźliśmy, ostrożnie nacisnąłem na dźwignię otwierającą drzwi i uchyliłem jedno skrzydło. Drzwi musiały być hermetyczne, bo kiedy je otworzyłem, usłyszeliśmy krzyki i zamieszanie. I kilka wystrzałów.

W tej części budynku działało oświetlenie awaryjne, więc było dość jasno. Korytarze były puste, ale wypełniały je śmieci sugerujące panikę i gorączkową ucieczkę – porzucone podkładki, jeden damski but na niskim obcasie, kubki po kawie. Od czasu do czasu plamy krwi, pewnie pozostawione przez ludzi uciekających z sali wspólnej.

Korytarz miał długość około dwunastu metrów i kończył się kolejnymi podwójnymi drzwiami, tym razem otwartymi. Po ich drugiej stronie leżały trzy trupy. Tych ludzi nie zabiły strzały. Ciała zostały rozszarpane. Korytarz znaczyły wielkie czerwone odciski łap.

– Więcej tych jak-im-tam stworów – stwierdził Królik.

– Dzieciak kazał nam uważać na psy – przypomniał mu Starszy. – Nie robił sobie z nas jaj.

– Nie jestem pewien, czy „psy” jest pierwszym słowem, jakie przychodzi tu na myśl, Starszy. – Królik poklepał się po

kieszeniach, upewniając się, że ma zapasowe magazynki. Popatrzył na mnie. – W jakie gówno właściwie wdepnęliśmy, szefie?

– Nie wiem. Znajdźmy dzieciaka, a może dostaniemy jakieś przekłete odpowiedzi.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

*Deck,
niedziela, 29 sierpnia, 15.45
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 15 minut EST*

Cyrus Jakoby stał na szeroko rozstawionych nogach na pokładzie obserwacyjnym, ręce trzymał za plecami. Jego smutek ustąpił lodowatej wściekłości.

Bliźnięta go zdradziły.

Bliźnięta napadły na Ul i próbowały ukraść jego tajemnice.

Myśl ta wiła się jak wąż w jego sercu. Nieważne, że wysłał szpiegów i zabójców do Fabryki Smoków. Miał prawo robić, co zechciał. Uczynił ich Bliźniętami. Stworzył ich, gen po genie. Należeli do niego i mógł z nimi robić, co mu się podobało. Nie dość, że uważali go za szalonego i śmiesznego, że przez ten cały czas wierzyli, że uwięzili go tutaj, w Decku. Wysłali doktorów Changa, Bannerjee i Hopewella, by „nadzorowali” jego pracę, a nie mieli dość rozumu, by uświadomić sobie, że ci ludzie już należeli do Ottona i Cyrusa. Podobnie jak należeli do nich wszyscy w Decku.

Ci pracownicy Bliźniąt, których Otto nie umiał przekupić, przechodzili w końcu na ich stronę pod wpływem charyzmy Cyrusa i wspaniałości jego celów. Jedynym, co Bliźnięta trzymały poza jego zasięgiem, była Fabryka Smoków. Oboje byli tak ostrożni, że nigdy nie pozwalali nikomu, kto pracował w tym

obiekcie, przybyć do Decku.

Wojna tajemnic między Cyrusem a jego dziećmi trwała siedem lat, a teraz doszło do czegoś takiego. Bliźnięta wysłały najemników, by napadli na Ul.

– Bękarty – warknął pod nosem. – Niewdzięczne bękarty.

Bolał go nie tylko afront. Przez lata znosił tysiące drobnych obelg, wręcz udawał, że ich nie dostrzega. Bliźnięta zawsze traktowały go, jakby był domowym skorpionem – niebezpiecznym, ale uwięzionym. Ich brak spostrzegawczości go rozczarował. Nie, prawdziwie bolała go świadomość, że atak na Ul oznaczał poważne zagrożenie dla Planu Wymierania.

A na to Cyrus Jakoby nie mógł pozwolić.

Cyrus poczuł obecność Ottona i odwrócił się. Posiwiasty Austriak wyglądał bardziej drapieżnie niż zwykle.

– I jak? – spytał ostro Cyrus.

– Wysłałem rozkazy. W ciągu dwudziestu czterech godzin możemy wystawić dwustu ludzi na terenie wokół Fabryki Smoków.

– Dobrze. Chcę dostać dane z komputerów, a później chcę, żeby zrównali ją z ziemią.

Otto odchrząknął.

– Bliźnięta zajmowały się dystrybucją wody w butelkach. Musimy mieć pewność, że uda się nam rozliczyć z każdej kopii ich rejestrów dystrybucji. To niezmiernie ważne, panie Cyrusie.

– W takim razie dopilnuj tego – warknął Cyrus z taką złością, że nawet Otto cofnął się o pół kroku.

– A co z Bliźniętami?

Cyrus wychylił się przez balustradę i przez dłuższy czas spoglądał na zwierzęta w zoo, a Otto pozwolił mu rozważyć tę kwestię. Były chwile, kiedy Cyrusem dawało się manipulować, a nawet go popychać, ale były też takie, kiedy przypominało to wkładanie ręki do paszczy tygrysa.

– Spróbujcie pojmać ich oboje, Otto – powiedział w końcu

Cyrus.

– A gdyby nam się nie udało?

– Przynieś mi ich głowy, serca i ręce. Reszta niech zgnije.

Jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

Na balustradzie o kilkanaście centymetrów od dłoni Cyrusa wylądował gołąb wędrowny. Cyrus wyciągnął rękę i delikatnie go podniósł. Ptak wpatrywał się w niego atramentowym okiem.

– Wykonujemy Boże dzieło – szepnął do niego Cyrus. – Człowiek jest tak skażonym i zepsutym zwierzęciem. Miałem nadzieję, że Hekate i Parys będą odpowiedzią, kolejnym szczeblem ewolucji ze śmieci, jakimi stała się ludzkość, do wyniesionego poziomu, jaki musi osiągnąć, by służyć Bożej woli. Widzę teraz, że wcale nie są tym, na co miałem nadzieję.

– Ja...

Cyrus powstrzymał go, kręcąc głową.

– Nie, pozwól mi mówić, Otto. Pozwól mi to powiedzieć. – Pogłaskał gołębia po delikatnej szyi. Ptak nie próbował się wyrywać, wydawało się wręcz, że kontakt sprawiał mu przyjemność. Zagruchał do Cyrusa, który uśmiechnął się lekko. – Wiesz, co zasmuca mnie najbardziej, Otto?

– Nie, panie Cyrusie.

– Wątpię, by Bliźnięta kiedykolwiek zrozumiały, dlaczego robimy to, co robimy. Postrzegają wszystko pod kątem produkcji i zysku, to nastawienie je splugawiło. To naprawdę się dla nich liczy, to naprawdę je motywuje. Nie mają wielkich planów. Ich największą aspiracją aż do tej pory było wypaczyć genetykę, by się wzbogacić. Ja... już dawno utraciłem zdolność do porozumienia z nimi.

– Jeśli mam być szczery, odegrał pan w tym pewną rolę...

– Tak, ale powinny były to przejrzeć i dostrzec wyższy cel. Podobnie jak my przejrzeliśmy głupotę polityki i prowadzenia wojen, by dostrzec boskie piękno eugeniki. Klarowność jest narzędziem, Otto, a postrzeganie próbą. Bliźnięta zostały

wyhodowane, by mieć wysoką inteligencję. Ich IQ jest porównywalne z Einsteinem, z da Vincim. Ze mną. Ale... gdzie jest ich teoria względności? Gdzie jest ich mistrzowskie dzieło? Mógłbyś powiedzieć, że zrobiły coś, co nie udało się nikomu innemu, że wypaczyły DNA i nagięły je do swojej woli, na co ja odpowiem „i co z tego?”. Zgodnie z projektem otrzymały dar wysokiej inteligencji. Dzięki mnie zaczęły od wyższego poziomu i powinny aspirować do bycia czymś więcej niż tylko bystrymi zabawkami dla bogatych głupców. We wszystkim, co zrobiły albo co sobie wyobraziły, nie ma wyższego celu i oceniając ich oboje pod tym kątem, są nieudacznikami.

– Moglibyśmy ich rozmnożyć – zasugerował Otto.

– Hm. Może. Ale to również wiąże się z ryzykiem. Nie, Otto. Myślę, że obaj byliśmy tak zauroczeni ich urodą, ich rozwojem, że straciliśmy z oczu plany, które wobec nich mieliśmy. Nie są młodymi bogami z naszych marzeń. Z moich marzeń. – Odetchnął i westchnął głęboko. – Jeśli oboje zostaną pojmani, weźmiemy jego spermę, jej komórki jajowe i dość DNA, by rozpocząć kolejną fazę. Jeśli zginie jedno lub oboje, będziemy musieli zacząć z samym DNA i mieć nadzieję, że uda się nam je wykorzystać, by poddać KIMy terapii genowej. Wiem, że to próżność, Otto, ale możemy nie przeżyć dość długo, by zobaczyć, jak prawdziwa rasa młodych bogów staje się rzeczywistością. Mogą nas od niej dzielić dwa lub trzy pokolenia i być może jedynie KIMy ją ujrzą.

Otto poklepał Cyrusa po ramieniu.

– Wiem.

– Oczywiście – w głosie Cyrusa zabrzmiał ślad jego dawnej szalonej radości – przynajmniej będziemy tutaj, by oczyścić drogę dla nowych bogów. Będziemy tu, by zobaczyć, jak błotni ludzie, czarni, Żydzi, Cyganie, i wszystkie te plugawe skundlone rasy, zostają zmieceni z powierzchni ziemi. Nie tylko zdziesiątkowani, ale zniszczeni na dobre. Tego dożyjemy!

Otto spojrział na zegarek. Liczby odpowiadały Zegarowi Wymierania. Pokazał je Cyrusowi.

– *Die Vernichtungswelle.*

Fala Wymierania.

Te słowa i liczby na zegarku przeobraziły Cyrusa, którego twarz w mgnieniu oka przeszła od pochmurnego smutku do promiennej radości.

– Nic jej teraz nie powstrzyma – mruknął Cyrus.

– Nic – zgodził się Otto.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 15.51
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 9 minut EST*

Szliśmy długim i wąskim korytarzem, z drzwiami jedynie po prawej. W jednym z pomieszczeń znaleźliśmy kolejnego trupa. Ofiara była mała, chuda i została częściowo zjedzona. Głowa zniknęła.

– Jezu – powiedział Królik. – Mam nadzieję, że to nie Dzieciak.

– Myślę, że to kobieta. To znaczy to była kobieta – poprawił się Starszy. – Nie nasz chłopak.

Ciało otaczały kolejne odciski łap. Były zatarte, ale wydawało się, że mają dwa różne rozmiary. Zatrzasnąłem drzwi i ruszyliśmy dalej za niebieską linią, która miała nas zaprowadzić do Dzieciaka. Tyle tylko, że kazałem mu się ukryć, więc równie dobrze mogliśmy iść w złą stronę, a nie mieliśmy jak porozumieć się z KIMem, by ustalić nowe miejsce spotkania. Pomyślałem o bezgłowym trupie i miałem nadzieję, że Starszy się nie mylił.

Sprawdziliśmy wszystkie pomieszczenia i nie znaleźliśmy nikogo, kto wyglądałby na nastolatka. Trzy razy atakowali nas strażnicy. Trzy razy ich wyeliminowaliśmy. I na szczęście nie natknęliśmy się na te przekłete psy. Czy cymkolwiek były.

Nagle usłyszałem ostre bzyczenie w uchu, a później głos.

– Zagłuszanie ustało. Czujnik działa! – zawołał Starszy. – Wróciło łącze komunikacyjne.

Przełączyłem się na kanał dowodzenia.

– Kowboj do Ziemiarki, Kowboj do Ziemiarki.

Natychmiast usłyszałem głos Grace Courtland.

– Tu Ziemiarka, Kowboju. Amazing na odbiorze. Cholernie dobrze słyszeć twój głos!

– I nawzajem.

– Tu Diakon, Kowboju – powiedział pan Church. – Raport.

Opowiedziałem mu wszystko w kilku krótkich zdaniach.

– Medycy i pełne wsparcie są w drodze – stwierdził Church. – Będą za jakieś piętnaście minut.

– Nie znaleźliśmy naszego miejscowego przyjaciela – dodałem – ale wkrótce powinno dojść do kontaktu. Niech pan przekazuje personelowi medycznemu, by uważał na nieznane zwierzęta. Wyglądają jak psy, ale są większe od tygrysów. Dwa zabiliśmy, ale one są bardzo, powtarzam, bardzo niebezpieczne. To nie mini-zoo, więc strzelać bez ostrzeżenia.

– Przyjąłem – powiedział Church, a w tle słyszałem, jak Grace przeklina pod nosem. – Kowboju, mamy dodatkowe informacje. Daliśmy to nagranie z polowania czytającemu z ruchu warg. Większość z tego, co wydobyliśmy, jest bezwartościowa, uwagi na temat polowania, pogody i komarów. Ale trafiliśmy na żyłę złota, kiedy mężczyźni na nagraniu zatrzymali się, żeby napić się z manierek. Nie rozumiemy jeszcze, co mamy, ale zawartość jest niepokojąca. Wysłałem transkrypcję na pańskiego palma.

– Zobaczę później...

– O ile nie jest pan pod bezpośrednim ostrzałem, proszę zobaczyć teraz.

– Przyjąłem – odparłem z udawanym spokojem.

Wyjąłem palma z kieszeni i nacisnąłem parę klawiszy. Od razu zobaczyłem transkrypcję. Był to urywek rozmowy między jednym z niezidentyfikowanych amerykańców a Haroldem S.

Sunderlandem, bratem senatora.

UWAGA OD TŁUMACZA: Nieznany z nazwiska mężczyzna palił papierosa, co utrudniło tłumaczenie. Niezrozumiałe i niewyraźne słowa zostały oznaczone.

NIEZNANY AMERYKANIN: *Gdzie będziesz w czasie Fali?*

HAROLD SUNDERLAND: *Cholera. Wszędzie, byle nie w Afryce.*

NIEZNANY AMERYKANIN: [niezrozumiałe] *nie z dnia na dzień. [niezrozumiałe] miesiące [niezrozumiałe] żeby zabić tylu czarnuchów.*

HAROLD SUNDERLAND: *Pewnie, ale jeśli przeskoczy? Wystarczy, że jakiś biały, który nie panuje nad swoim kutasem, wydyma jakąś czarną zdzirę, a my...*

NIEZNANY AMERYKANIN: [kręci głową] *Otto powiedział, że to nie [niezrozumiałe] w taki sposób. Inaczej musieliby [niezrozumiałe] pół Południowej Afryki.*

HAROLD SUNDERLAND: *No tak, ale mówili, że AIDS nie mogło przeskoczyć z małp na ludzi, a później jakiś pedał zerznął szympansa albo...*

NIEZNANY AMERYKANIN: *To był rezus, Einsteinie, a ja nie [niezrozumiałe] że tak po prostu przeskoczyło. Spytałem o to Ottona, a [niezrozumiałe] mrugnął przebiegle, jakby coś wiedział.*

HAROLD SUNDERLAND: *Lepiej, żeby ten szkop miał rację, bo, do kurwy nędzy, nie zamierzam umrzeć na jakąś chorobę czarnuchów.*

NIEZNANY AMERYKANIN: *Pełna zgoda. [Następne zdanie jest nieczytelne, bo trzyma dłoń na papierosie, zasłaniając usta].*

HAROLD SUNDERLAND: *Ja też.*

NIEZNANY AMERYKANIN: *Niech mnie diabli, ale zostanę [niezrozumiałe] dopiero po 1 września.*

HAROLD SUNDERLAND: *Myślałem, że ufasz Ottonowi.*
NIEZNANY AMERYKANIN: *Jasne, ale wolę nie ryzykować.*
Kiedy uderzy ta cholerna Fala Wymierania, nie chcę...
UWAGA: Reszta nieczytelna.

Cała krew w moich żyłach zmieniła się w lód. Postukałem w słuchawkę.

- To już wszystko?
- Tak – potwierdził Church.
- Rozumiem, dlaczego Dzieciak uznał, że będziemy zainteresowani.
- Jakież uwagi, reakcje?
- Nie czuję się zbyt dumny.
- Jako biała mężczyzna? – spytała Grace.
- Jako forma życia oparta na węglu. Chętnie bym się zabawił z tymi dwoma żartownisiami.
- Zgoda.
- Jak pewien był tłumacz tej frazy „Fala Wymierania”?
- Bardzo. Co to panu sugeruje?
- To samo, co panu, szefie. Ktoś zamierza wywołać w Afryce wielką zarazę, której celem będą nie-biali. Czy istnieje coś takiego?
- Doktor Hu nad tym pracuje. Większość chorób szalejących w Afryce wynika raczej z warunków życia, braku żywności, zanieczyszczonej wody. Tego typu rzeczy. Choroby typowe dla grup etnicznych mają przeważnie charakter dziedziczny, nie wirusowy czy bakteryjny.
- Ten Otto, o którym wspominali, to musi być Otto Wirths. Co pan znalazł na jego temat?
- Jak na razie nic – odparł Church. – Posłaliśmy za nim MindReadera. Ale mamy coś związanego z drugim nazwiskiem, które podał panu chłopiec. Cyrus Jakoby. Jeśli to ten sam człowiek, jest ojcem Bliźniąt Jakoby.

– To znaczy Parysa i Hekate? Tych albinosów, o których ciągle piszą brukowce? Ona wiecznie gubi ciuchy, a jego ciągle wyrzucają z restauracji. Czy oni nie są przypadkiem naukowcami?

– Tak się składa, że genetykami. Gwiazdami na polu transgeniki.

– Co pan powie? Jakies związki z Koterią albo eugeniką?

– Jak na razie nic. I niewiele o Cyrusie Jakoby poza kilkoma zdawkowymi wzmiankami rzuconymi przez Bliźnięta w wywiadach, w których dawały do zrozumienia, że ich ojciec podupadł na zdrowiu. MindReader znalazł dwunastu Cyrusów Jakoby w Ameryce Północnej i kolejnych trzydziestu czterech w Europie. Zindeksowanie zajmie trochę czasu, ale na razie nie ma żadnych powiązań z niczym, co brzmiałoby znajomo.

– Dobrze. Przeprowadzę naszego młodego informatora i zobaczymy, jakie informacje da się z niego wycisnąć.

– On chyba raczej jest po naszej stronie, Kowboju – wtrąciła Grace. – Nie ciśnij zbyt mocno.

– To, jak mocno będę naciskał, będzie zależeć od jego otwartości, Grace. Słowa „Fala Wymierania” nie wywołują we mnie ciepłych uczuć.

Rozłączyłem się.

– „Fala Wymierania” – powtórzył Królik. – Cholera jasna. Kto wymyśla takie rzeczy?

– Kiedy go spotkam – stwierdził Starszy – mam nadzieję widzieć go w swoim celowniku.

– Pełna zgoda.

Rozległ się kolejny wybuch szumu, a później zdesperowany głos powiedział:

– Kowboju? Kowboju, jesteś tam?

To był Dzieciak, znów mieliśmy połączenie.

– Jestem tu, Dzieciaku. Gdzie jesteś?

– W Domu Krzyków.

– Powtórz?

– Laboratorium warunkowania. Czerwony dział. Popatrz na podłogę. Podążaj za czerwoną linią. Kończy się tuż przy miejscu, gdzie jestem. Musiałem uciekać, a później oni próbowali mnie złapać, ale uciekłem i...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, zostało zagłuszone przez nagły huk wystrzałów i krzyki wielu ludzi. A później nic.

– Dzieciaku! KIM!

Ale mówiłem do martwego połączenia.

Przed sobą widziałem czerwone linie na podłodze.

Pobiegliśmy.

Rozdział osiemdziesiąty piąty

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 15.55
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
68 godzin, 5 minut EST*

Wypadliśmy przez kolejne podwójne drzwi, które otwierały się na atrium pełne egzotycznych roślin i drzew w ceramicznych donicach. Liście roślin, donice i posadzkę plamiła krew. Podłogę zaściełały łuski po pociskach. Wszędzie leżały ciała. Zabici byli do siebie dziwnie podobni – niscy, muskularni, rudowłosi, wszyscy ubrani w bawełniane spodnie i koszulki bez rękawów. Żaden z zabitych nie miał broni przy sobie ani w pobliżu. Z tego, co udało mi się dostrzec w ułamku sekundy, rany wlotowe były na ich plecach, jakby zostali zastrzeleni w czasie ucieczki.

W atrium tłoczyli się ludzie. Dziesiątki rudowłosych próbowały wydostać się przez otwarte drzwi do pomieszczenia oznaczonego „Koszary nr 3”. Tuzin strażników stał w nierównym szeregu, strzelając do uciekających, krzyczących ludzi. Jeden się wyróżniał. Był potężnym, obciętym na jeża mężczyzną i uśmiechał się paskudnie. Szarpał się z nastoletnim chłopcem, który musiał być KIMem. Dzieciak wrzeszczał i kopał wielkiego gościa, ale mimo całej wściekłości niewiele mógł mu zrobić. Strażnik wydawał się wręcz rozbawiony.

KIM wyrwał się i wyciągnął coś z kieszeni – czarny kamień wielkości jajka – a później skoczył z krzykiem i spróbował

zmiażdżyć nim czaszkę strażnika. Mężczyzna odepchnął KIMa w powietrzu, jakby ten był uciążliwym insektem.

Wszystko to wydarzyło się w ułamku sekundy, kiedy pędziliśmy przez atrium. Jakimś sposobem, mimo strzałów i krzyków, strażnicy nas usłyszeli. Odwrócili się i zaczęli kierować broń w naszą stronę.

– Brać ich! – ryknąłem.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Z rudowłosymi ludźmi po drugiej stronie i Dzieciakiem z przodu wymiana ognia nie była najlepszym pomysłem, a my byliśmy tuż przy nich. Dlatego wpadliśmy na nich i od razu zaczęła się walka wręcz.

Królik wpadł pod kątem na szereg strzelców, co przypominało kulę rozbiórkową uderzającą w rząd rzeźb. Impet sprawił, że strażnicy wpadali na siebie nawzajem, i to pewnie uratowało nam życie, bo nagle wszyscy zaczęli wchodzić sobie w drogę. Starszy i ja pozbyliśmy się paru strażników strzałami z niewielkiej odległości, a później byliśmy już zupełnie blisko. Starszy walnął jednego z mężczyzn swoim M4 w brodę i od razu odwrócił się, by wbić lufę w gardło innego.

Ja ruszyłem w stronę KIMa, ale chłopak znów szarpał się z wielkim strażnikiem. Inny strażnik zrobił krok do przodu i uniósł karabin. Gdybym znajdował się dwa metry dalej, postąpiłby mądrze, ale ja byłem za blisko. Chwyciłem za karabin, skierowałem lufę w stronę sufitu, uderzyłem go kolbą pistoletu w gardło, a później kopnąłem tak, że poleciał na ziemię. Strażnik obok wycelował we mnie z karabinu i wybił mi pistolet z ręki, prawie łamiąc mi przy tym nadgarstek. Zawirowałem i zламаłem mu kolano kopnięciem bocznym, a kiedy osuwał się na ziemię, uderzyłem go w gardło kantem drugiej ręki.

Królik wyrwał karabin z ręki jednego ze strażników i odrzucił broń za siebie, a później złapał gościa za włosy i podtrzymał mu głowę, kiedy trzy razy bardzo szybko uderzył go w nos. Mężczyzna zwiśł bezwładnie, więc Królik złapał go i rzucił

bokiem na dwóch kolejnych mężczyzn. Strategią Królika było destabilizowanie szeregu. Pracowaliśmy nad tym w czasie ćwiczeń. Był niewiarygodnie silny, szybki i przez wiele lat ćwiczył judo, więc wiedział wszystko o równowadze. Starszy z kolei był zabójczy na bliski i średni dystans, a jego dłonie i stopy uderzały z minimalnym wysiłkiem i maksymalną skutecznością. Od dziecka ćwiczył karate i nic z tego nie było turniejowymi sztuczkami. Żadnych zabójczych podwójnych kopnięć ninja z półobrotu. Łamał kości, wybijał oczy i miażdżył tchawice.

Jeden ze strażników ruszył na mnie z długim na siedemnaście centymetrów nożem szturmowym Fairbairna-Sykesa. Odebrałem mu go i po chwili padł na plecy z ostrzem wbitym w podniebienie miękkie.

KIM krzyknął z wściekłości i bólu, kiedy wielki strażnik złapał go za włosy i uderzył w twarz. Z nosa Dzieciaka poleciała krew, kolana mu się ugięły. Upadłby, gdyby nie masywna ręka w jego włosach, ale i tak próbował zamachnąć się tym kamieniem. Dzieciak miał mnóstwo determinacji.

Między mną a wielkim gościem był jeszcze jeden strażnik, a ja nie byłem w nastroju do zabawy, więc kiedy próbował zadać cios, złapałem go za rękę, złamałem mu ramię, nadepnałem na stopę, a później uderzyłem kolanem w krocze, tak mocno, że złamałem mu miednicę. Padł z wrzaskiem na podłogę, a ja zbliżyłem się do wielkiego gościa.

Strażnik mnie zobaczył i uniósł chłopca tak, by użyć go jako żywej tarczy, zacisnął potężne ramię na szyi KIMa.

– Rozwalę mu ten pieprzony łeb – powiedział mężczyzna z australijskim akcentem.

Wyciągnąłem nóż Rapid Response i zablokowałem z trzaskiem ostrze.

– Puść go albo pójdiesz do piachu.

Wokół mnie oddział Echo rozszarpał resztki jego ludzi.

Strażnik – według identyfikatora Carteret – uniósł KIMa nad ziemię, by był lepszą tarczą. Twarz chłopca zmieniła odcień z wściekłej czerwieni na siną.

– Zabicie Dzieciaka nie sprawi, że ten dzień skończy się dla ciebie lepiej, stary. Jest jedyną kartą przetargową, która ci została.

– Pierdol się!

Zamierzałem rzucić się na niego, kiedy KIM, choć podduszony i pobity, uniósł obie nogi w moją stronę, a później ugiął je i zamachnął się nimi do tyłu tak, że uderzył obiema piętami w krocze mężczyzny. Oczy strażnika stały się wielkie jak talerzyki i wydał z siebie świszczący wrzask. Chwyciłem KIMa za koszulę i uwolniłem go.

Strażnik zatoczył się do tyłu. Posłałem go na deski ciosem prawej ręki zza głowy, który pozbawił go całkowicie przytomności. Obróciłem się znów do walki, ale ona już się skończyła. Królik i Starszy przykucnęli, obaj byli posiniaczeni i oddychali ciężko, ale żaden ze strażników nie miał siły odpowiedzieć na wezwanie. Większość już nigdy tego nie robi.

KIM zatoczył się w moją stronę. Dolna część jego twarzy była czerwona od jego własnej krwi. Wykrztusił skrzep i splunął nim w twarz Cartereta.

To była dziwna chwila. Mimo całej zajadłej walki i śmierci, które mnie otaczały, w tym akcie kryło się więcej prawdziwej nienawiści niż we wszystkim, co wydarzyło się tego dnia. Chłopiec dyszał i płakał.

– KIM? – spytałem.

Pokiwał głową.

– Jesteś Kowbojem?

– Do usług.

Dzieciak otarł łzy z oczu zakrwawionymi pięściami i odwrócił się w stronę otwartych drzwi, przez które uciekli ostatni rudowłosi ludzie.

– Musimy ich uratować – powiedział niewyraźnie.

– Są jeszcze jacyś strażnicy?

Dzieciak pokręcił głową.

– Nie wiem, ale wcześniej słyszałem ryki tygrysogarów.

– Czyli tak się nazywają – stwierdził Królik. – Dwa zabiliśmy.

– Dwa? A co z pozostałą szóstką?

Jezu.

– Najpierw najważniejsze – powiedziałem. – Kim są ludzie, do których strzelali strażnicy?

– To Nowi Ludzie.

– Dlaczego strażnicy chcieli ich zabić?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Może, żeby ukryć dowody. Nie wiem.

– „Dowody”? – powtórzył Królik. – Czego?

– Tego, co Otto i Alfa tu robili. Rzeczy w komputerach to tylko część.

Królik i Starszy przechodzili między jęczącymi ocalałymi i krępowali im nadgarstki i kostki plastikowymi kajdankami.

Wskazałem na drzwi, przez które uciekli Nowi Ludzie.

– Co tam jest?

– Sale sypialne. Tam trzymają wszystkich Nowych Ludzi.

– Czy oni są niebezpieczni? – Królik podniósł swoje M4 i sprawdził, czy działa. – To znaczy: dla nas?

KIM pokręcił głową.

– Nie będą walczyć. Nie są do tego zdolni.

– Gdzie są komputery? – spytałem.

– Możemy przejść przez sale sypialne i dookoła budynku. Będzie szybciej, niż gdybyśmy wrócili przez budynek, a poza tym, jeśli w środku są tygrysogary, tam będzie bezpieczniej.

– Pokaż nam.

– Czy... czy pomożecie Nowym Ludziom? – spytał.

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Nie wydawał się przybity, ale w jego oczach pojawił się wyraz rozczarowania. Nie znałem jeszcze jego historii, ale zaufanie wyraźnie nie było czymś, czego się spodziewał. To było jasne.

– W porządku.

Podniósł kamień, a po chwili, jakby po namyśle, wyjął nóż zza pasa Cartereta i zatoczył się w stronę otwartych drzwi.

Niczym aktorzy w dziwacznym dramacie, podążyliśmy za nim.

Rozdział osiemdziesiąty szósty

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 16.06
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
67 godzin, 54 minuty EST*

Wkroczyliśmy do piekła.

Baraki były ogromne, ich krańce niknęły w cieniach. Setki składanych łóżek ustawiono w równych rzędach rozciągających się we wszystkie strony. Na wąskich posłaniach leżały albo kuliły się postacie, inni siedzieli na rozchwierutanych krzesłach albo chodzili powoli ze spuszczoneymi głowami. Wszyscy mieli na sobie takie same cienkie bawełniane spodnie, koszulki bez rękawów i pantofle. Ubrania miały przygnębiający szary odcień, przez co wyglądali na więźniów albo pacjentów zakładu dla psychicznie chorych, a ja miałem przygnębiające wrażenie, że są jednym i drugim naraz.

– Najświętsza Panienko – powiedział Starszy.

Nowi Ludzie, którzy uciekli przed ostrzałem, tłoczyli się w odległości kilku metrów. Niektórzy byli ranni, a pozostali otaczali ich, przyciskając własne zwinięte koszulki do ran. Żaden nie patrzył prosto na nas, choć kilku posłało nam ukradkowe spojrzenia, ale za każdym razem, kiedy nawiązywaliśmy bezpośredni kontakt wzrokowy, uciekali spojrzeniem. Nie widziałem śladu złości, wściekłości z powodu tego, co się wydarzyło. Jedynymi uczuciami, jakie udało mi się wyczytać na

tych twarzach, były strach i bezgraniczny smutek.

Wszyscy w koszarach mieli rude włosy, w odcieniach od jaskrawopomarańczowego po prawie brązowy. Byli niscy, nawet mężczyźni, i mocno zbudowani. Jednak największe wrażenie robiły ich głowy. Mieli duże czaszki, co sugerowało większą puszkę mózgową, ale niższe i bardziej wydłużone. Do tego pochyłe czoła, grube wargi i niewyraźnie zarysowane brody.

– Co tu się dzieje, do diabła? – spytał Królik. – Kim są ci ludzie?

– Wyglądają jak... – zaczął mówić Starszy, ale nie dokończył, a żaden z nas nie chciał zrobić tego za niego.

– Musimy ich stąd wydostać. – KIM odwrócił się i chwycił mnie za ramię. – Musimy wydostać ich z wyspy.

Nie odpowiedziałem.

Jeden z Nowych Ludzi – kobieta – oderwał się od stłoczonej gromadki. Popatrzyła na KIMa, odwróciła wzrok i znów na niego spojrzała. Wydawała się przestraszona, ale utrzymywała kontakt wzrokowy dłużej niż reszta. Była równie prymitywna i brzydka jak pozostali, ale miała w sobie wzruszającą niewinność.

– Pan – powiedziała głosem wyższym, niż spodziewałbym się po kimś tak masywnym jak ona. Odwróciła się w stronę koszar i krzyknęła: – Pan!

Okrzyk powtórzono wiele razy takim samym wysokim głosem. Nagle wszyscy w koszarach zaczęli się ruszać. Nowi Ludzie podnosili się pośpiesznie i podchodzili bliżej.

– Szefie? – mruknął Królik.

Zaczął unosić karabin, ale KIM wyciągnął rękę i opuścił lufę do ziemi.

– Nie, to nic takiego. Muszą ustawić się w szeregu. Boją się tego nie zrobić.

Królik i Starszy spojrzeli na Dzieciaka, a później przyglądali się, jak Nowi Ludzie idą niezgrabnie przed siebie, wciąż ze spuszczonej głowami, by stanąć w szeregach przy łózkach. Ponieważ nie podnosili głów, często wpadali na siebie, ale nie

słyszeliśmy zirytowanych warknięć ani ostrych słów. Po każdym zderzeniu rozdzielali się i kiwali głowami, jakby każdy automatycznie brał odpowiedzialność za błąd, i ruszali dalej na przypisane miejsce. Staliśmy jak wrośnięci, niezdolni się odezwać, gdy pięć setek tych dziwnych ludzi ustawiło się w szeregach i powoli wyprostowało, na ile pozwoliły im pochylone, muskularne ciała. Jeden z nich, starszy mężczyzna ze śladami siwizny w rudych włosach, który stał przy pierwszym łóżku w szeregu, zawołał:

– Pan!

Wszyscy padli na kolana i pochylili się, dotykając czołami podłogi.

Królik odwrócił się gwałtownie do KIMa, złapał go za koszulę i podniósł szarpnięciem, aż chłopak stanął na czubkach palców.

– Kurwa, co to za gówno? – warknął niebezpiecznym tonem.

– Powiedz im, żeby wstali – poleciłem.

– Wstać! – zawołał KIM. – Wstać.

Nowi Ludzie podnieśli się, ale wciąż mieli spuszczone głowy, jak zbite psy czekające na aprobatę pana. Czułem mdłości, złość i głęboką dezorientację.

– Ten facet zadał ci pytanie. – Starszy nachylił się nad KIMem, który wciąż stał na czubkach palców.

– Puść Dzieciaka – poleciłem.

Królik otworzył rękę i szorstko odepchnął Dzieciaka. KIM zatoczył się na Królika, który szarpnął biodrem, żeby go odepchnąć. Chłopiec podniósł wzrok i zobaczył wpatrzone weń surowe twarze.

– Powiedz nam – odezwałem się. – Kim oni są? Dlaczego zachowują się w taki sposób?

– Muszą. Zostali zaprojektowani genetycznie, żeby być służącymi.

– To znaczy niewolnikami – poprawił go Królik.

– Tak. Niewolnikami. – Chłopiec przytaknął. – Przeprowadzili

terapię genetyczną, by usunąć geny kodujące agresję i asertywność. Chodzi o stworzenie rasy ludzi, którzy wypełnią każde polecenie i... – Głos mu się załamał, ale zapanował nad sobą i kontynuował: – I przyjmą wszelkiego rodzaju maltretowanie. Niezależnie od tego, jak źle się ich traktuje, jak bardzo poniża, przyjmą to. Otto i Alfa nazywali ich Nowymi Ludźmi.

– Nie pytałem, jak się nazywają. Pytałem, kim są.

– Oni... Otto, Alfa i ich naukowcy... oni wzięli stare DNA, a później odbudowali je, żeby ich stworzyć.

– Nie są ludźmi. Kim są? – spytałem ponownie.

KIM wydawał się przerażony, że musi wypowiedzieć to słowo.

– Neandertalczykami.

Rozdział osiemdziesiąty siódmy

*Fabryka Smoków,
niedziela, 29 sierpnia, 16.09
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
67 godzin, 51 minut EST*

– Co to za towar? – spytał Tonton, kiedy Hekate wstrzyknęła złocisty płyn do kroplówki podłączonej do ramienia Berserka.

– Prezent od mojego ojca. – Hekate opróżniła strzykawkę i wrzuciła ją do czerwonego pojemnika na odpadki medyczne. – Poczujesz się lepiej.

– Teraz też czuję się kurewsko dobrze – warknął Tonton.

Nawet kiedy prowadził zwyczajną rozmowę, jego głęboki głos dudnił jak grom. Przez ostatnie kilka miesięcy terapia genowa zaprowadziła go dalej niż innych Berserków. Czoło Tontona stało się wyraźniejsze, a nos był szerszy i bardziej płaski. Mniej przypominał Brazylijczyka pochodzenia niemieckiego, a bardziej dojrzałego goryla. Hekate zauważyła nawet, że włosy na plecach Tontona zaczynały zmieniać odcień z czarnego na srebrzysty. Była to jedna z rzeczy, które niepokoiły Parysa, bo nie dali Berserkom genów kodujących kolor włosów albo rysy twarzy, a jednak te cechy i tak się ujawniały.

Hekate uważała to za fascynujące i szalenie podniecające. Odzwierciedlało również pewne zmiany, których doświadczała na skutek własnych tajnych eksperymentów. Terapia genowa, której poddawała samą siebie, nie była zakrojona na tak wielką

skalę jak u Berserków i wykorzystywała kocie cechy *Panthera gombaszoensis*, europejskiego jaguara, gatunku wymarłego półtora miliona lat wcześniej, którego DNA odnaleziono jednak w niemieckim bagnie. Jej celem było zwiększenie siły poprzez uczynienie mięśni o dwadzieścia procent gęstszymi, jak również wyostrzenie zmysłów. Nie mogła osiągnąć percepcji zmysłowej dorównującej kotowatym, ale uświadamiała sobie, że wkrótce będzie musiała nosić kolorowe soczewki kontaktowe, żeby ukryć zniekształcenie źrenic i zmiany koloru. Do tego jej zęby stawały się ostrzejsze, co absolutnie nie było częścią planu. Hekate zaakceptowała, że wkrótce będzie musiała je spiłować, ale na razie podobało jej się ostrzejsze ugryzienie.

– Co to właściwie robi? – warknął Tonton.

Hekate spoliczkowała go na żarty.

– Powstrzyma ciebie i twoich chłopców przed dostawaniem małego rozumu w czasie misji.

Przez chwilę na nią patrzył, po czym zrozumiał dowcip. Oboje zaczęli się śmiać.

– Ano – powiedział w końcu – niektórzy chłopcy robią się trochę niesforni. W Somalii Alonso i Girner byli naprawdę popieprzeni. Musiałem trochę im wlać, żeby powstrzymać ich przed zjadaniem ludzi. Tępe sukinsyny.

– To nie ich wina – stwierdziła Hekate. – Terapia ma pewne drobne wady, ale ojciec miał pomysł, co zrobić.

– A ja jestem świnką morską?

– Tak.

– Jezu.

– Boisz się, wielki gościu? – wymruczała.

– Boję się? Nie. Czemu miałbym się bać, kiedy taka zwariowana suka jak ty pompuje we mnie Bóg jeden wie co, zgodnie z sugestiami całkowitego świra.

Hekate znów go spoliczkowała. Mocniej.

Uśmiechnął się do niej. Z kącika jego ust płynęła strużka krwi,

a on ją zlizął. Rana była jednak głęboka, zęby rozcięły delikatne ciało po wewnętrznej stronie ust i pojawiła się nowa kropla krwi. Hekate popchnęła Tontona mocniej na krzesło, wspięła się na niego, objęła go białymi udami, pochyliła się i zlizwała strużkę krwi.

– Drzwi są zamknięte na klucz? – spytał.

– Tak – odparła chrapliwie.

– Dobrze – warknął Tonton.

Po chwili zrywali z siebie ubrania.

Rozdział osiemdziesiąty ósmy

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 16.10
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
67 godzin, 50 minut EST*

- Że co? – spytał Królik.
- Neandertalczycy – powtórzył KIM.
- Powoli – odezwał się Starszy. – Nie ma neandertalczyków. Od co najmniej...
- Od co najmniej trzydziestu tysięcy lat – dokończył KIM. – Wiem. I pewnie nie są to prawdziwi neandertalczycy, ale blisko. Otto i Alfa zaczęli od DNA mitochondrialnego wydobytego ze starych kości, a później zmapowali genom. Następnie naprawili uszkodzenia DNA ludzkim i małp człekokształtnych. Ci ludzie są pierwszym pokoleniem. Badając ich, naukowcy dowiedzą się, jak poprawić model w kolejnym pokoleniu. Pracują też nad poprawieniem wydajności i zachowania poprzez terapię genową i warunkowanie.
- Co masz na myśli, mówiąc „warunkowanie”? – spytał Królik.
- Strażnikom powiedziano, że z Nowymi Ludźmi mogą robić, co tylko zechcą. Bić, torturować, gwałcić kobiety. Niektórzy gwałcą nawet mężczyzn.
- Na miłość boską, dlaczego? – spytał ostro Królik.
- Częściowo ma to na celu sprawdzenie, czy Nowi Ludzie kiedykolwiek zareagują, coś powiedzą, oddadzą cios, zbuntują

się. Albo spróbują uciec. Prospekty twierdzą, że są doskonałymi służącymi, niezdolnymi do niesubordynacji.

Królik patrzył z otwartymi ustami.

– Mają prospekty reklamowe?

KIM pokiwał głową.

– Kim są kupcy?

– Głównie bogaci ludzie. Niektóre korporacje kupują ich, żeby wykonywali pracę, która jest zbyt niebezpieczna dla ludzi albo zbyt dużo kosztuje. Kopalnie, niewykwalifikowani robotnicy przy materiałach radioaktywnych, utylizacja toksycznych odpadów.

Starszy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał, nie mogąc wypowiedzieć tych słów na głos. Czuję gorączkę i zawroty głowy, jakby to był jakiś dziwny sen, a ja się w nim zgubiłem.

– Czy to już wszyscy? – spytałem.

KIM pokręcił głową.

– Nie. W kompleksie są trzy budynki. Pierwszy i trzeci wyglądają tak samo. Pięć setek w każdym. Drugi to przedszkole.

– „Przedszkole”? – Starszy zamknął oczy. Wyglądał, jakby było mu niedobrze. – Boże, miej litość nad mą grzeszną duszą.

Patrzyłem na rzędy Nowych Ludzi.

Na rzędy neandertalczyków.

Słowo wbiło się w mój mózg jak nóż.

– KIM. Jak mam im powiedzieć, żeby się rozluźnili? Żeby... nie stali na baczność?

– Są wyszkoleni do reagowania na słowa klucze. Jeśli chcesz, żeby się rozluźnili, ale nadal słuchali, mówisz „wspólnota”. Jeśli chcesz, żeby robili to, co wcześniej, mówisz „przestój”.

– „Przestój” – powtórzył Królik. – Chryste Panie. Słuchajcie, mam pomysł. Czy możemy im powiedzieć, żeby wyszli, znaleźli resztę strażników i przerobili ich na karmę dla psów?

– Nie – odparł KIM. – Są niezdolni do przemocy. Otto i Alfa tego

dopilnowali. Istnieją pewne geny odpowiedzialne za agresję, które zostały... nie wiem, usunięte albo zdezaktywowane. Ale oni nie robią się gwałtowni, niezależnie od wszystkiego. Jest jedna... kobieta, która została skrzywdzona przez tego gościa, Cartereta.

– Tego, którego zaatakowałeś kamieniem? – spytałem.

– Tak. – Opowiedział nam o kobiecie, która została maltretowana z powodu wyrzuconego kamienia. – Otto mówi, że starannie zaprojektowany program upokarzania pozbawia woli i zmienia naturalne instynkty tak, że ofiara przyjmuje wszelkie rodzaje dręczenia jako coś zwyczajnego.

– Szefie, naprawdę chciałbym spędzić kilka miłych chwil z tym dupkiem Ottonem – stwierdził Królik.

– Ustaw się w kolejce, chłopaczku – warknął Starszy. – Też mam mu parę rzeczy do powiedzenia.

– Dobra, Dzieciaku, czas na odpowiedzi. Co się stanie w Afryce pierwszego września i czym, u diabła, jest „Zegar Wymierania”? – spytałem.

– Nie oglądaliście nagrania?

– Już ci mówiłem. Dźwięk był bardzo kiepski przez większość czasu i przetłumaczyliśmy tylko fragment. – Pokazałem mu transkrypcję na palmie. – Zostało tylko parę dni do pierwszego września. Powiedz mi wszystko, co możesz.

– Dwaj goście gadający w czasie polowania byli przypadkiem. Gdyby Hans ich usłyszał, zrobiłby im coś złego.

– Kim jest „Hans”?

– Facet prowadzący polowanie. Hans Brucker. Jest tutaj, w Ulu. Starszy spojrzał na mnie pytająco, ale pokręcił głową.

– Kim dokładnie jest Otto Wirths? Czy jest krewnym Eduarda Wirthsa?

– Z Auschwitz? Tak myślę. Portrety Eduarda Wirthsa są tu i w Decku.

– Gdzie jest Deck i czym jest?

– To skrót od *Dodecahedron*. Laboratorium Alfego i Ottona

w Arizonie. Nie wiem dokładnie, w którym miejscu. Na pustyni i w większości pod ziemią.

– Alfa. Czy to Cyrus Jakoby?

– Tak. – Popatrzył na Królika. – Mogę dostać swój kamień?

Królik spojrzał na mnie, ja wzruszyłem ramionami i pokiwałem głową. Dzieciak włożył go z powrotem do kieszeni.

– Dobra, a teraz wielkie pytanie, Dzieciaku. Czym jest Fala Wymierania?

– Nie wiem za wiele, ale ma to coś wspólnego z wypuszczeniem jakiejś choroby... a może kilku chorób... która ma sprawić, że wszyscy... – Spojrzał z ukosa na Starszego, a później znów na mnie. – Yyy... wszyscy czarni ludzie w Afryce będą chorzy. Będą naprawdę chorzy. Na coś, co może ich zabić.

– Tylko czarni Afrykanie?

Dzieciak wzdrygnął się, kiedy Starszy się do niego zwrócił. Starszy to dostrzegł i wiedział, że ja też. Do zapamiętania na później.

– Tak. Tylko, yyy, czarni.

– I to coś zostanie wypuszczone pierwszego września?

– No tak. I inne rzeczy też.

– Jakie inne rzeczy? – spytałem.

– Inne choroby.

– W Afryce?

KIM pokręcił głową.

– Wszędzie. Słyszałem coś o Żydach w Luizjanie, ale nie wiem dokładnie, co tam się stanie ani jak zostanie wypuszczone. Dlatego potrzebowałem pomocy. Musimy się dowiedzieć i ich powstrzymać.

– Tak – zgodziłem się. – Musisz pokazać mi, gdzie są komputery i właściwe laboratoria. Potrzebuję informacji i dowodów.

– W porządku.

– Dzieciaku – spytał Królik – dlaczego Otto ma takie anse do

czarnych Afrykanów?

Chłopiec odsunął się lekko od Starszego, jakby spodziewał się, że oberwie za to, co zamierzał powiedzieć.

– Musicie zrozumieć – zaczął drżącym głosem. – To są ich słowa, nie moje, dobrze? Ottona i Alfę. Ja tak nie myślę.

Starszy uśmiechnął się ciepło. Był jedynym z oddziału Echo, który miał dzieci.

– Dzieciaku, pomagasz nam. Gdybyś był jednym z nich, nie byłoby cię tutaj z nami.

Podobał mi się nacisk, jaki położył na słowach „nich” i „nami”, i widziałem, jak te sygnały zmiękczyły Dzieciaka.

KIM pokiwał głową.

– Otto i Alfa zawsze dzielili ludzi na trzy grupy. Jest Rodzina, biała rasa i, yyy, są błotni ludzie.

Popatrzył na Starszego, jakby spodziewał się, że szczerzy uśmiech zniknie, ale Starszy pokiwał głową i lekko poklepał go po ramieniu.

– Tak, Dzieciaku, słyszałem to już wcześniej. I gorsze rzeczy. Ty pewnie też, skoro żyłeś tu z takimi ludźmi.

Oczy KIMa wypełniły się łzami, spuścił wzrok na buty.

– O wiele gorsze – powiedział cicho. – Słyszałem i widziałem. Wy nie rozumiecie, nie wiecie.

– W takim razie pokaż nam, KIM – stwierdził Starszy. – Pokaż nam, co musimy zobaczyć, żebyśmy mogli to powstrzymać.

– Wszystko jest w sali komputerowej.

– Zaprowadź nas tam – poprosiłem.

KIM wydawał się zdesperowany, kiedy odwrócił się w stronę Nowych Ludzi.

– Pomożecie im, prawda?

– Dane są priorytetem.

– Ale pomożecie im?

Pokiwałem głową.

– Tak, Dzieciaku, pomożemy im. Możesz na to liczyć.

KIM spojrzał mi w oczy, żeby upewnić się, że nie kłamię. Łzy spływały po jego posiniaczonej i zakrwawionej twarzy, ale w końcu pokiwał głową.

– W porządku, zaprowadzę was do komputerów.

Odwrócił się do czekających Nowych Ludzi.

– Przystój!

Nowi Ludzie rozproszyli się natychmiast i powlekli do posłań, krzeseł i żalosnej rzeczywistości swojego życia. Została tylko jedna kobieta. Znów uniosła głowę i spojrzała na KIMa. Później dotknęła twarzy palcem i przesunęła go w bok, jakby ocierała łzę. KIM popatrzył na nią i powtórzył ruch.

Kiedy KIM wyprowadzał nas z sali, płakał.

Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 16.14
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
67 godzin, 46 minut EST*

Bez problemu dotarliśmy do sali komputerowej, ale czekała na nas nieprzyjemna niespodzianka.

Komputery zmieniły się w żużel.

Wszystkie, co do jednego. Rzędy połączonych w sieć superkomputerów wypuszczały oleisty dym. Wokół każdego z nich tworzyła się kałuża stopionego plastiku i krzemu.

– Skurwiele – warknął Królik.

Wyjął z plecaka łom i otworzył frontowy panel jednej z jednostek, ale wewnątrz było stopioną masą, która przypominała surrealistyczną rzeźbę.

Starszy pomacał stopioną maź. Wciąż była miękka i gorąca.

– To się właśnie wydarzyło. Spóźniliśmy się o kilka minut.

Nikt nic nie mówił, ale wszyscy byliśmy świadomi, że kiedy przebywaliśmy w koszarach Nowych Ludzi, mogliśmy być tutaj. Powinniśmy być tutaj. Kilka minut mogło zmienić wszystko.

– Co robimy, kapitanie? – spytał cicho Starszy.

– Lepiej miejmy nadzieje, że znajdziemy jakieś dyski albo papierowe archiwa. I to już. Zajmijcie się tym we dwóch.

– A ty gdzie się wybierasz, szefie?

– Chcę porozmawiać z naszym Carteretem.

– Nie pomoże ci – stwierdził KIM. – I nie zagroziś mu. Jest najemnikiem. Naprawdę twardym.

– W takim razie będę musiał porozmawiać z nim bardzo grzecznie. – Uśmiechnąłem się.

Wyszedłem sam, uważając na strażników, tygrysogary i inne nieprzyjemności, jakie mógł rzucić przeciwko mnie Ul, ale korytarze były puste. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o utracie tych wszystkich danych. Jeśli to znaczyło, że nie uda się nam powstrzymać wypuszczenia patogenu stworzonego w celu etnicznego ludobójstwa...

Boże, wołałem o tym nawet nie myśleć.

Rozdział dziewięćdziesiąty

*Centrum Operacji Taktycznych,
niedziela, 29 sierpnia, 16.27*

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
67 godzin, 33 minuty EST*

– Przyjąłem, Kowboju. Bez odbioru.

Church odchylił się do tyłu na fotelu i zacisnął wargi. Otaczali go Grace, Bug i doktor Hu, wszyscy chcieli się dowiedzieć, co się wydarzyło u wybrzeży Kostaryki.

– Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że opracowaliśmy definicję zła – powiedział Church, niemal do siebie – pojawia się ktoś, kto udowadnia, że jesteśmy krótkowzroczni.

– Taki początek rozmowy – zauważył Bug – sprawia, że mam ochotę uciec i gdzieś się schować.

– Komputery w kostarykańskim obiekcie zostały zniszczone. Jakieś urządzenie zabezpieczające oparte na termicie. Kapitan Ledger sądzi, że zostały zdetonowane na odległość. Jednak oddział Echo znalazł trochę papierowej dokumentacji i garść pamięci USB oraz dysków. Był też jeden laptop odłączony od sieci, który nie dostał polecenia samozniszczenia, więc możemy coś tam znaleźć.

– To już coś – stwierdziła Grace.

Ale Church pokręcił głową.

– Na pierwszy rzut oka wszystko, co znalazł kapitan Ledger, to odniesienia do Fali Wymierania i data, ale większość danych na

papierze jest zakodowana, a my nie znamy klucza. Bez niego nie znamy liczby patogenów, ich dokładnych nazw i szczepów, ani nie mamy żadnych informacji, gdzie, jak i przez kogo zostaną uwolnione. Afryka to duży kontynent.

– Kurwa mać. – Grace uderzyła Buga w ramię. – Myślałam, że wasza banda może złamać każdy pieprzony szyfr.

– Po pierwsze, auć! Tak, mając dość czasu, możemy go złamać. Ale czas nie jest po naszej stronie. Zajmują się tym wszyscy moi ludzie, tu i w Hangarze, cała czterdziestka. Do tego musimy zeskanować dziesiątki tysięcy stron, a towar z Kostaryki też ktoś będzie musiał zeskanować. Myślę, że możemy mieć nawet do czynienia z kilkoma różnymi szyframi. Widziałem to już wcześniej, różne szyfry dla różnych aspektów jednej operacji. Ktokolwiek to zorganizował, jest dobry.

– Lepszy niż ty?

Bug nie złapał przynęty.

– Może. Ale ja mam lepsze zabawki, więc go złamię. Pozostaje jedynie pytanie: czy złamiemy go dość szybko, by coś nam to dało? Byłoby miło, gdybyście znaleźli klucz, a jeśli jest kilka wzajemnie powiązanych szyfrów, główny klucz.

– Ptaszki z *Ark Royal* powinny wkrótce tam dotrzeć – powiedziała Grace. – Możemy ich nakłonić, żeby jak najszybciej dostarczyli nam te materiały.

– Prawda – stwierdził Bug – ale jest już dwudziesty dziewiąty sierpnia, a rozpoczęcie Fali Wymierania ustalono na pierwszy września. Musimy nie tylko złamać szyfr, ale też opracować odpowiedź i wprowadzić ją w życie.

– Powinniśmy chyba poinformować WHO i CDC – dodał Hu. – Oraz CERT, Narodowe Instytuty Zdrowia i parę innych organizacji.

Church pokiwał głową.

– Tak, ale ostrożnie. Nie wiemy, czy któraś z nich nie została zinfiltrowana.

Grace wpatrywała się w niego uważnie.

– Mam przeczucie, że jest coś jeszcze. Będziesz nas tak trzymał w niepewności?

Church pokiwał głową.

– To, być może bardziej niż cokolwiek, pozwoli wam wejrzeć w dusze ludzi, z którymi walczymy.

Opowiedział im o Nowych Ludziach.

Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy

*Ul,
niedziela, 29 sierpnia, 16.46
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
67 godzin, 14 minut EST*

Znalazłem Cartereta tam, gdzie go zostawiliśmy. Był przytomny i wściekły, przeczołgał się po podłodze i przekręcił na plecy tak, że udało mu się kopnięciem otworzyć drzwi do sali Nowych Ludzi.

– Chodźcie tu, wy tępe skurwiele! – wrzeszczał. – Chodźcie tu i rozetnijcie mnie.

Podszedłem cicho i zobaczyłem przez niedużą szybę w drzwiach, że kilku Nowych Ludzi rzeczywiście ruszyło powoli w jego stronę. Nawet teraz, nawet po tym, jak ich dręczył i próbował wymordować, byli posłuszni warunkowaniu, które pozbawiło ich wszelkich śladów wolnej woli. Poczułem wściekłość. Gdybym nie potrzebował odpowiedzi, mógłbym poderżnąć Carteretowi gardło i uznać, że po robocie. Tymczasem jednak złapałem go za plastikową taśmę krępującą kostki i odciągnąłem od drzwi.

– Ej! – krzyknął. – W co ty się bawisz, do kurwy nędzy?

– Stul mordę – powiedziałem cicho. Wróciłem do drzwi, otworzyłem je i zawołałem: – Przystój!

To słowo paliło mi język jak kwas, a widok Nowych Ludzi, zwalnających niepewnie kroku, a później odwracających się

z powrotem do posłań, napełnił mnie głębokim smutkiem.

Carteret nadal wrzeszczał, kiedy odwróciłem się w jego stronę, ale wyraz mojej twarzy uciszył go na chwilę.

Przeciągnąłem go za piętę obok martwych lub nieprzytomnych strażników aż do sąsiedniego pomieszczenia, po czym zamknąłem drzwi.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – spytał.

Otworzyłem nóż Rapid Response i ukląknąłem nad nim.

– Spokojnie, stary – powiedział szybko. – Nie róbmy nic, czego obaj możemy pożałować.

Uniosłem palec do ust.

– Ciii.

Dwoma szybkimi ruchami ostrza rozciąłem jego plastikowe więzy. Kiedy uwalniałem mu ręce, zobaczyłem, że na grzbietach obu dłoni miał tatuaże: 88 na lewej, a 198 na prawej. Rozpoznałem ten kod z czasów, kiedy jako glina rozpracowywałem gangi. H było ósmą literą alfabetu, więc 88 oznaczało „HH” – skrót od *Heil Hitler*. Drugie znaczyło „SH” – *Sieg Heil*. Nasz przyjaciel Carteret był neonazistą. Nie czułem zaskoczenia, ale ułatwiało mi to zadanie.

– Wstawaj. – Podniosłem się i cofnąłem, nóż położyłem na stole.

Wstał ostrożnie i rozmasował nadgarstki, wpatrując się we mnie, ale widziałem, z jakim wysiłkiem powstrzymywał wzrok przed uciekaniem w stronę noża.

– Jesteś Jankesem – powiedział.

– A ty geniuszem.

– Pracujesz dla Bliźniąt?

Nie odpowiedziałem.

– Nie, wyglądasz na wojskowego. Siły specjalne, tak?

Nic nie mówiłem.

– Swoje odsłużyłem. Pewnie nie zgodzisz się odwrócić wzroku, kiedy będę pryskał, w imię starego braterstwa broni?

– Mało prawdopodobne. Jeśli już, wolałbym raczej wycisnąć z ciebie jakieś odpowiedzi. Jak ci się podoba taka popołudniowa rozrywka?

Prychnął.

– To obiekt prywatny, stary, a my jesteśmy na wodach międzynarodowych. Sprawdź mapę, znajdujemy się pięć kilometrów od wybrzeży Kostaryki...

– Co oznacza, że nikt nie patrzy, bystrzaku.

– Myślisz, że mnie pokonasz? Lepiej, żebyś miał coś więcej niż nóż.

– Mam wszystko, czego potrzebuję.

Spróbował innego podejścia.

– Myślałem, że Jankesi wyrzekli się tortur.

– Tortury to coś, czemu poddaje się kogoś bezbronego. Jak to, co robiłeś z Nowymi Ludźmi.

– Bzdury, stary. Oni nawet nie są ludźmi.

– Nie jestem do końca pewien, czy ty jesteś człowiekiem.

– Aresztuj mnie albo co, ale nie powiem ani słowa.

Spoliczkowałem go. Szybko i mocno, ale zależało mi raczej na wstrząsie niż na obrażeniach. Zamrugął, całkowicie zaskoczony. Uderzenia w twarz bolą tak bardzo, bo dłoń uderza w wiele centymetrów kwadratowych twarzy i wszystkie te zakończenia nerwowe krzyczą z zaskoczenia.

Uniósł dłonie.

Zrobiłem zwód prawą ręką i spoliczkowałem go lewą. Carteret cofnął się o krok. Był zaskoczony szybkością, ale jeszcze bardziej pieczeniem. Nawet jeśli ktoś jest bardzo twardy, w odpowiedzi na spoliczkowanie pojawia się pewna prymitywna reakcja, która budzi wewnętrzne dziecko. Oczy zaczynają łzawić, a to pobudza określone reakcje emocjonalne, które wprawdzie niekoniecznie mają sens, ale właściwie nie da się nad nimi zapanować.

Uśmiechnąłem się i ruszyłem w jego stronę, powoli i spokojnie. Uderzył prawym sierpowym, który mógł rozbić głowę. Niezły był.

Ładny obrót, dobre uniesienie pięty, by dodać impetu ciosowi.

Nie przestając się uśmiechać, uchyliłem się i spoliczkowałem go prawą ręką.

Carteret zatoczył się do tyłu, odzyskał równowagę i próbował się na mnie rzucić, ale powstrzymałem go, unosząc nogę na wysokość jego uda. Wyglądało to tak, jakby wbiegł na zablokowany turniket. Dolna połowa jego ciała zatrzymała się gwałtownie, przez co pochylił się bardziej i szybciej, niż się spodziewał. Spoliczkowałem go lewą ręką, zablokowałem cios i spoliczkowałem prawą.

Jego policzki zarumieniły się jak dojrzałe jabłka. Wszystkie te zakończenia nerwowe wrzeszczały do niego.

W innych okolicznościach Carteret byłby pewnie niebezpiecznym przeciwnikiem, a ja zwykle nie bawię się z takimi jak on, ale musiałem mu coś udowodnić. I w takich sytuacjach cieszę się, że uczyłem się jujitsu, a nie karate czy taekwondo. Nie chcę umniejszać innych sztuk walki – w końcu Starszy jest ekspertem od karate i potrafi rozłożyć przeciwnika jak mało kto – ale ja nie próbowałem zniszczyć Cartereta. Chciałem go pokonać. Złamać.

W jujitsu chodzi o zapanowanie nad przeciwnikiem. Uniki, pozbawianie równowagi, wykorzystywanie masy i impetu przeciwko napastnikowi. Jego korzenie sięgały starożytnych zapasów z Chin i Indii, połączonych z japońską oszczędnością ruchów.

Kiedy Carteret znów się na mnie rzucił, odepchnąłem jego wyciągniętą rękę na bok i zszedłem mu z drogi. Jednocześnie lekko podciąłem mu nogę wysuniętą do przodu, kiedy opuszczał ją w moją stronę. Potknął się niezgrabnie i poleciał w przód. Od razu próbował odzyskać równowagę, ale machał przy tym gorączkowo rękami, a ja sięgnąłem między nimi i znów go spoliczkowałem.

Dyszał ciężko, oczy miał szeroko otwarte i wilgotne, a jego

pierś unosiła się z nieopanowaną wściekłością wynikającą z całkowitej frustracji. Kiedy się wyprostował, próbował trafić mnie paskudnym kopniakiem wywodzącym się z tajskiego boks, który – gdyby trafił w cel – złamałby mi kolano. Zatrzymałem go podeszwą buta, a jednocześnie wyciągnąłem obie ręce i odepchnąłem jego zasłonę. Spoliczkowałem go szybko – lewa, prawa, lewa.

– Stań i walcz! – krzyknął, a jego głos załamał się w połowie.

Wciąż się uśmiechałem.

– Wiesz co? Pozwolę, żebyś mnie trafił. Co na to powiesz? Będzie sprawiedliwie. – Poklepałem się po brzuchu.

– Pierdol się!

Kiedy warknął, ślina pryskała mu z ust na wszystkie strony, ale wykorzystał okazję i włożył wszystkie siły w hak, który pewnie był jego ulubionym ciosem kończącym walkę. Wciągnąłem brzuch i cofnąłem się odrobinę z ugiętymi kolanami, tak że moje napięte mięśnie brzucha przyjęły jedynie część impetu, a większość prawdziwej siły została rozproszona. Wiedziałem, że on tak tego nie odczuł. Poczul siłę uderzenia, szarpnięcie w kostkach palców i nadgarstku. Po prostu nie uderzył aż tak mocno, jak mu się wydawało. Nauczyłem się tej sztuczki od boksera z West Baltimore zwanego Małym Charlie Brownem. Doskonały trik. Gość cię wali i jest przekonany, że ma cię na talerzu, a ty czujesz jedynie trochę pieczenia.

Spoliczkowałem Cartereta i cofnąłem się, lekko klepiąc się po brzuchu. Przywołałem na twarz wyraz rozbawionego rozczarowania. Gdybym użył pięści i stłukł go na kwaśne jabłko, zareagowałby zupełnie inaczej. To byłby wielki ból, wojownik pokonany w walce. Zebrałby się w sobie, wytrzymał i nic nie mówił. Ta sytuacja wyglądała inaczej. Sprawiała, że stał się kimś innym, bo nie pozwalała mu sięgnąć do zasobów dorosłej siły.

Na poziomie pierwotnym jego gadzi mózg wiedział, że nie może mnie pokonać. Wierzył, że nie może zrobić mi krzywdy.

Dał z siebie wszystko, a ja się nawet nie skrzywiłem. Twarz Cartereta była maską bólu. W podświadomości umysł gorączkowo starał się przypisać emocjonalny powód łzom w oczach. Widziałem napięcie wypełniające jego twarz, ale opuszczające mięśnie.

Znów go spoliczkowałem. Szybko i lekko, jak kropka nad i.

– Jesteś tu całkiem sam – powiedziałem.

Próbował przemknąć obok mnie do drzwi. Stałem mu na drodze, zrobiłem zwód i spoliczkowałem prawą dłoń. Starał się zablokować cios, ale bez przekonania – już wmówił sam sobie, że to się nie uda.

– I powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Spojrzał ponad moim ramieniem na nóż na stole. Rzucił się w jego stronę. Przekręciłem się, by zejść mu z drogi, a biodrem popchnąłem go na ścianę. Kiedy wstawał, złożyłem nóż i schowałem go do kieszeni. Później udałem, że chcę go kopnąć, i spoliczkowałem go z obu stron.

Łzy płynęły mu po twarzy. Skórę na policzkach miał jaskrawoczerwoną.

– Ludzie, dla których pracujesz, ci nie pomogą.

Policzek.

– I nigdy się nie dowiedzą, że mi powiedziałeś.

Policzek.

– Ale to twoja jedyna szansa.

Policzek.

– Przestań! – Jednak głos mu się załamał tak samo jak wola.

Policzek. Tym razem mocniejszy, pokazujący, czym groził brak posłuszeństwa. Carteret osunął się na ścianę. Próbował się od niej odepchnąć. Podszedłem, żeby go spoliczkować, a wtedy kolana ugięły się pod nim. Osunął się po ścianie, potrząsając głową i otwarcie płacząc.

Stałem nad nim, w zasięgu rąk, moja bliskość sugerowała wyzwanie, ale mój uśmiech był obietnicą tego, co by się stało,

gdyby spróbował i mu się nie udało.

Nie spróbował. Policzki miał tak obolałe, że przez pory wypływały kropelki krwi. Wyglądał, jakby płakał krwią.

Stałem tam.

– Popatrz na mnie.

Pokręcił głową.

– Popatrz na mnie – powiedziałem z większym naciskiem, wkładając w swoje słowa straszliwą obietnicę.

Powoli, ostrożnie, podniósł głowę.

Chciałem wierzyć, że w tej chwili wyliczał w myślach straszliwe rzeczy, które zrobił, to maltretowanie Nowych Ludzi. To by było miłe, ale życie to nie film. Przejmował się jedynie, czy uda mu się uratować tyłek – przed dalszym bólem i w ostatecznym rozliczeniu przed karą, jaką zamierzałem mu wymierzyć. Wykorzystywał rozum, o ile go miał, do rozważenia możliwości. Jak to rozegrać. Jak przeżyć tę chwilę. Jak pójść na ugodę.

– Chcę gwarancji bezpieczeństwa.

Nie wiedziałem, jaki sąd mógłby mu je zapewnić. Miał rację, znajdowaliśmy się na międzynarodowych wodach. Może bał się, że oddam go władzom Kostaryki, zabiorę z powrotem do Stanów albo postawię przed jakimś międzynarodowym sądem. Nieważne. Chciał czegoś, co, jak wierzył, miało go ocalić, i wiedziałem, że w zamian powie mi wszystko.

– Chcę gwarancji bezpieczeństwa – powtórzył. – Albo nic ci nie powiem.

– Jasne – skłamałem.

Interludium

W locie

Conrad Veder czuł się nieszczęśliwy.

Prywatny odrzutowiec był luksusowy, jedzenie doskonałe, obsługa pierwsza klasa, ale on nie czuł się zadowolony. Jego łącznik, DaCosta, skontaktował się z nim, dzwoniąc na prywatny numer, który wykorzystywał do jednorazowej komunikacji.

- Plany się zmieniły – powiedział DaCosta.
- W jaki sposób?
- Mój klient chciałby, żebyś zawiesił obecne zlecenie.
- Dlaczego?
- Nie powiedział mi.
- To nietypowe.
- Wiem, ale on nalegał.
- Czy to znaczy, że kontrakt został unieważniony?
- Unieważniony? – DaCosta robił wrażenie zaskoczonego. – Nie. Wcale nie. Najwyraźniej jest jakaś kwestia, którą chciałby z tobą omówić. Robota na boku.
- A ty nie wiesz, co to jest.
- Nie. Powiedział, że chciałby omówić to z tobą osobiście.
- Mogę podać ci numer telefonu...
- Nie. Chce omówić to z tobą twarzą w twarz.
- Nie spotykam się z klientami. Wiesz o tym.
- Powiedziałem mu.
- To dlaczego w ogóle prowadzimy tę rozmowę?
- Kazał mi przekazać, że jeśli się z nim spotkasz, dostaniesz

premię równą połowie ustalonej wartości obecnego zlecenia.

To znaczy trzy i pół miliona dolarów. Mimo wszystko Veder odpowiedział:

– Nie.

– Powiedział, że przeleje pieniądze na twoje konto przed spotkaniem.

Veder nie odpowiedział.

– I kazał ci przekazać, że jeśli przyjmiesz robotę na boku, podwoi całą stawkę za pierwotny kontrakt.

Veder nic nie mówił.

– A premia za spotkanie liczy się osobno.

Veder, mimo całego wrodzonego spokoju, poczuł drżenie w piersi. To by znaczyło, że za całą robotę dostanie siedemnaście i pół miliona dolarów. Myślał nad tym przez całą minutę, a DaCosta czekał.

– Gdzie i kiedy?

– Przyśle prywatny odrzutowiec.

DaCosta podał Vederowi miejsce i czas.

– Wiesz, że ocenię sytuację. Jeśli to sztuczka albo pułapka, pójdę sobie.

– Mój klient to wie.

– I uznam cię za odpowiedzialnego za to, że mnie wystawiłeś.

Tym razem to DaCosta nie odzywał się przez prawie trzydzieści sekund.

– To nie pułapka. Za jakieś trzydzieści minut sprawdź konto. Przelew powinien już dotrzeć.

Veder nic nie powiedział.

– Jesteś tam? – spytał DaCosta.

– Skąd mam wiedzieć, że to w ogóle ten klient?

– Powiedział mi, że spytasz. Powiedział, że jeśli to zrobisz, mam ci odpowiedzieć w następujący sposób: „Jesteś potrzebny na zachodzie”.

Veder nie odpowiedział. To było właściwe hasło. Klientem

musiał być albo Otto Wirths, albo Cyrus Jakoby. Veder już się zorientował, że to oni płacili mu za zamordowanie pozostałych przy życiu członków Listy. Byli jedynymi ludźmi – poza Churchem i kobietą zwaną Cioteczką Sallie – którzy wiedzieli o Bractwie Kosy i znali jego kryptonim – Zachód.

Vederowi się to nie podobało. Oznaczało opuszczenie aseptycznego świata czystych zabójstw bez związków uczuciowych i powrót do bardziej błotnistego świata polityki i ideałów. Veder miał je w pogardzie. Przed trzydziestu laty został zwerbowany do Bractwa ze względu na swoje umiejętności, a w owych czasach był podatny na idealistyczną retorykę i pochlebstwa. Bractwo było najbardziej niebezpiecznym sojuszem świata – czterech najlepszych zabójców. Przestrzegali ostentacyjnych rytuałów dawnego nazistowskiego Towarzystwa Thule. Kiedy członkowie Bractwa się spotykali, nosili maski. Składali przysięgi krwi. Przysięgali lojalność wobec Koterii i wszystkiego, co sobą reprezentowała.

Jakie to głupie, pomyślał. W głębi duszy był zażenowany, że dał się skłonić do wstąpienia do takiej grupy, choć musiał przyznać, że zapewnili mu świetne szkolenie, doskonałe dane wywiadowcze i mnóstwo pieniędzy. I zupełnie dosłownie uczynili go człowiekiem, którym jest teraz, ponieważ w miarę jak Lista systematycznie eliminowała Koterię, Veder nauczył się ostrożności, na której oparł resztę swojego życia.

Od tego czasu świadomie zdystansował się od spraw politycznych i społecznych. Nie podobało mu się, że znów był w nie wciągany.

Ale pieniądze.

Veder zachowywał dość duży dystans, by uświadamiać sobie, że Wirths i Jakoby wykorzystywali pieniądze w dokładnie taki sam sposób, w jaki wcześniej wykorzystywali idealizm i pochlebstwa. To było oszustwo i manipulacja.

Kiedy Veder popijał zieloną herbatę w luksusie prywatnego

odrzutowca, najbardziej zasmucała go świadomość, że ta manipulacja działała.

Część czwarta

Potwory

Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem.

Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*
(tłum. Stanisław Wyrzykowski)

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi

*Magazyn, Baltimore, Maryland,
poniedziałek, 30 sierpnia, 05.01
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
54 godziny, 59 minut*

Grace Courtland leżała naga w moich ramionach. Dyszała równie ciężko, jak ja. Nasze ciała były zlane potem. Materac częściowo zsunął się z łóżka i leżeliśmy z głowami opadającymi w stronę podłogi. Otaczała nas mokra i pozwijana pościel. Jakimś sposobem zgubiliśmy gdzieś wszystkie poduszki, a lampka się potłukła, ale żarówka pozostała cała i rzucała dookoła światło i cienie.

– Dobry Boże... – szepnęła chrapliwie.

Nie byłem zdolny się wysławić.

Grace podparła się na łokciu. Połowa jej twarzy była jasna jak płomień od blasku pozbawionej klosza lampki, a druga całkowicie w cieniu. Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę, zupełnie bez słowa. Zamknąłem oczy. W końcu pochyliła się i pocałowała mnie w pierś, szyję, usta. Bardzo delikatnie, jak duch.

– Joe – powiedziała cicho. – Joe, nie śpisz?

– Nie.

– Strasznie było?

Wiedziałem, co miała na myśli. Kiedy przesłuchałem Cartereta i zaprowadziłem go do sali komputerowej, usłyszeliśmy kolejne

strzały i wybuchy. Zakulem Cartereta, po czym wraz ze Starszym i Królikiem pobiegliśmy to sprawdzić. To, co znaleźliśmy, było rzeczywiście koszmarne. Pozostały personel Ula uciekł na drugą stronę kompleksu. Sierżant straży nazwiskiem Hans Brucker zaprowadził ich wszystkich do zabezpieczonego pomieszczenia, mówiąc im, że zostanie zamknięte i będą w nim bezpieczni do czasu, aż Otto wyśle ekipę ratunkową. Kiedy znaleźli się wewnątrz, Brucker i dwaj inni strażnicy otworzyli ogień z karabinów maszynowych, po czym wrzucili do środka pół tuzina granatów i zatrzasnęli drzwi. Nikt nie przeżył. Nikt, kto mógł mówić, kto mógł nam pomóc.

Brucker następnie zastrzelił pozostałych dwóch strażników, włożył lufę pistoletu do ust i odstrzelił sobie głowę.

To było szaleństwo.

Miałem mętlik w głowie, bo Brucker był z całą pewnością mężczyzną, który prowadził łowy na jednorożca. Mimo tego, co uważał Church, to nie był Haeckel. Kiedy powiedziałem o tym przez łącze Churchowi, polecił mi zeskanować odciski palców mężczyzny.

Idealnie pasowały do Haeckla.

Jak na razie nikt tego nie rozgryzł.

Niedługo potem przybyli Brytole i wróciliśmy do Stanów ze zgromadzonymi archiwami, KIMem i Carteretem. Pozostała szóstka tygrysogarów została zastrzelona przez żołnierzy z *Ark Royal*. Nowi Ludzie zostali zgromadzeni i zabrani na pokład lotniskowca, ale byli tak przerażeni, że kilkoro zemdląło. Jeden zmarł na atak serca. Lekarz okrętowy w końcu dał im wszystkim środki uspokajające, a incydent porządnie wstrząsnął załogą *Ark Royal*.

Wszyscy inni z Ula byli martwi.

Rzeczywiście było strasznie.

– Było źle – przyznałem.

– Jest tak wiele potworów, a my na nie polujemy. – Przytuliła

swój policzek do mojego. – A jeśli tym razem ich nie pokonamy?

– Zrobimy to.

– A jeśli nam się nie uda? Jeśli zawiedziemy? – W półmroku jej głos brzmiał słabo. – A jeśli upadniemy?

– Jeśli upadniesz, będę obok, by cię podnieść. Jeśli ja upadnę, ty będziesz obok mnie. Tak to działa.

– A jeśli oboje upadniemy?

– To ktoś inny będzie musiał zająć nasze miejsce.

Milczała przez długi czas. Ta rozmowa nie miała sensu i oboje o tym wiedzieliśmy. Rodzaj skomplikowanej zagadki, którą umysł zadaje sobie w ciemności, kiedy znikają wszelkie pozory i osłony. Na świecie nie było innej osoby, z którą Grace Courtland prowadziłaby tę rozmowę. Podobnie było ze mną. Są rzeczy zbyt głębokie, zbyt osobiste, by dzielić się nimi nawet z Rudym.

Objąłem ją i mocno przycisnąłem do siebie.

– Tak czy inaczej, Grace, poradzimy sobie. Bug sądzi, że mając to, czego dowiedzieliśmy się od Cartereta, i pliki z Ula, rozgryzie to błyskawicznie. Może nawet przed południem. A wtedy założymy powyginane pancerze, weźmiemy w dłonie poszczerbione miecze, krzykniemy głośno i wyruszymy zabijać smoki.

– Potwory – poprawiła mnie.

– Potwory – zgodziłem się.

Leżeliśmy na przechylnym materacu, pot namiętności stygł na naszych nagich ciałach, i słuchaliśmy, jak nasze oddechy stają się coraz wolniejsze. Sięgnąłem i wyciągnąłem wtyczkę lampki z gniazdka, a wtedy otoczyła nas aksamitna ciemność. Leżeliśmy tak przez długi czas. Myślałem, że Grace zasnęła, kiedy odezwała się szeptem.

– Przepraszam.

Odwróciłem głowę w jej stronę, choć w ciemnościach była niewidoczna.

– Przepraszam? Za co?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Kocham cię, Joe.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, Grace odnalazła dłonią moje usta i przycisnęła mi palec do warg.

– Proszę, proszę, nic nie mów.

Ale ja coś powiedziałem.

– Kocham cię, Grace.

Nic więcej nie mówiliśmy. Znaczenie i cena tych słów były zbyt oczywiste, wypełniały ciemność wokół nas i ciemność w naszych sercach. Pole bitwy nie jest miejscem, w którym można się zakochać. To czyni człowieka podatnym na cios, odchyła głowę i odsłania gardło. Nie musieliśmy tego mówić.

Miałem tylko nadzieję – może się modliłem – by potwory nie słyszały naszych szeptanych słów.

Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci

***Fabryka Smoków,
poniedziałek, 30 sierpnia, 05.02
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
54 godziny, 58 minut EST***

Hekate i Parys leżeli spleceni na łóżku, które dzielili od dziesięciu lat. Młoda czarna kobieta, z którą się zabawiali, spoczywała między nimi, jej czekoladowa skóra pięknie kontrastowała z ich mlecznobiałą. Oparła głowę na ramieniu Parysa, ale twarzą była zwrócona do Hekate, a jej czarna dłoń dotykała idealnie płaskiego brzucha kobiety.

Parys i dziewczyna spali, ale Hekate długo leżała w pełni przytomna. Niebieskimi oczyma wpatrywała się w nieskończoność gwiazd, które widziała przez duże okno nad ich łóżkiem. Nieustające uderzenia fal o plażę na zewnątrz były jak spokojny oddech drzemiącego świata. W tej chwili Hekate czuła spokój. Jej potrzeby zostały zaspokojone, apetyt nasycony, wściekłość uciszona.

Z jednym wyjątkiem. Z wyjątkiem jednego małego dręczącego elementu, który był jak drzazga w jej umyśle.

Przed sześcioma godzinami w końcu dała się przekonać Parysowi, by zaprosić Alfę do Fabryki Smoków. Rozmowa była krótka. Wydawał się bardzo szczęśliwy, jakby pochlebiało mu, że go zaprosili, i bez wahania przyjął ich warunki, bo nie były zbyt dokuczliwe – okna odrzutowca miały zostać zasłonięte.

Zażartowała z Alfą, mówiąc, że nauczył ich, by zawsze zachowywali ostrożność, a ona była ostrożna.

Alfa zgodził się na wszystko.

Zbyt łatwo.

– On wie – powiedziała Hekate do Parysa, kiedy skończyli rozmowę.

– On nie wie – sprzeciwił się Parys. – Nie może wiedzieć.

– Wie.

– Nie ma mowy. Gdyby wiedział, nigdy nie zgodziłby się przybyć tutaj, nigdy nie pozwoliłby sobie na znalezienie się na naszej łasce.

– On wie.

– Nie, kochanie. Alfa gównie wie. Ale dowie się, kiedy tu dotrze. Mogę ci to obiecać.

I na tym skończyli. Hekate musiała pogodzić się z faktem, że Parys był zbyt wielkim idiotą, by rozpoznać subtelną błyskotliwość, która czyniła Alfę tym, kim był. Ona sama nie wiedziała dokładnie, kim był Alfa – ale pojmowała istotę ich ojca w sposób, do jakiego jej brat nie wydawał się zdolny.

– On wie – mruknęła do nieskończonych gwiazd.

Ale i tak przybywał.

Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
poniedziałek, 30 sierpnia, 05.03
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
54 godziny, 57 minut***

Osiemdziesiąt Dwa siedział w ciemności i spoglądał na czarną wodę w porcie. Nigdy wcześniej nie był w Baltimore. Jeśli pominąć Deck, nigdy wcześniej nie był nigdzie w Stanach Zjednoczonych. Czuł się dziwnie. Samotny i przestraszony. I obcy.

Wszyscy traktowali go dobrze. Opatrzyli mu nos, był czysty i miał nowe ubranie – dżinsy, adidas i koszulkę z logo drużyny bejsbolowej. Pozwolili mu nawet zachować kamień. Pozwolili mu jeść, co chciał. Pierwszy raz w życiu zjadł pizzę, ale nie był pewien, czy mu smakowała. Dali mu pokój z telewizorem i kablówką. Mógł oglądać, co tylko zechciał.

Ale wiedział, że jest więźniem. Nikt nie użył tego słowa, ale jak inaczej mogli go określić? Zanim pozwolili mu pójść do nowego pokoju, pobrali jego odciski palców, próbki włosów, krwi i wymaz z wnętrza policzka. Poprosili go, żeby nasikał do kubeczka. Nie różniło się to bardzo od tego, co robili naukowcy w Ulu, choć ci ludzie więcej się uśmiechali i mówili „proszę” i „dziękuję”. Ale tak naprawdę nie prosili o jego zgodę na testy.

Noc była długa, a on nie chciał spać. Duży mężczyzna, który nazywał siebie Kowbojem, obiecał, że zatroszczą się o Nowych

Ludzi, ale nikt nie wyjaśnił mu, co to znaczyło. Osiemdziesiąt Dwa wiedział, że okręty brytyjskiej i amerykańskiej marynarki otoczyły wyspę. Poza tym nie wiedział nic, a nikt nie chciał mu powiedzieć, co zrobiono z Nowymi Ludźmi. Od czasu, gdy Kowboj go uratował, nie widział kobiety.

Osiemdziesiąt Dwa czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Jakie to dziwne, pomyślał, że czuje się bardziej samotny, bardziej obcy, bardziej izolowany, tu w tym miejscu, wśród „dobrych gości”, niż kiedykolwiek wcześniej. Uświadomił sobie ponuro, że już nie ma swojego miejsca. Nie mógł wrócić do domu, nawet gdyby chciał, czego oczywiście nie chciał, a tutaj z całą pewnością nie pasował. Nigdzie nie pasował. Był nikiem.

Ciemność rozciągała się przed nim bez końca.

Rozdział dziewięćdziesiąty piąty

***Magazyn, Baltimore, Maryland,
poniedziałek, 30 sierpnia, 05.04
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
54 godziny, 56 minut***

Pan Church siedział za biurkiem. Przez ponad pół godziny nie poruszył się ani odrobinę. Jego herbata była zimna, a talerzyk z ciasteczkami nietknięty.

Na jego biurku leżały trzy raporty, ułożone równo jeden obok drugiego.

Po lewej raport koronera na temat Gunnara Haeckla, który obejmował jego DNA, grupę krwi, wymiary ciała i odciski wszystkich dziesięciu palców. Pośrodku krótki raport na temat Hansa Bruckera, zawierający wstępne dane i odciski palców. Grupa krwi pasowała, budowa ciała też. Nic niezwykłego. Na świecie żyło wielu ludzi o takim wzroście, wadze, budowie ciała i grupie krwi 0 RH+. Niepokój wzbudzały jedynie karty z odciskami palców. Były identyczne. Church polecił zeskanować odciski i znów je porównać, ale nic się nie zmieniło. Nawet bliźnięta jednojajowe nie miały takich samych odcisków palców, ale te były bez wątpienia identyczne.

Jednakże to nie niewytłumaczalne podobieństwo odcisków palców dwóch martwych mężczyzn tak niepokoiło pana Churcha. Przez ostatnie pół godziny ledwie rzucił okiem na te raporty. Całą uwagę skupił na wiadomości otrzymanej od

Jerry'ego Spencera, który powrócił do WDN i nie wyściubiał nosa z laboratorium kryminologicznego. Wiadomość brzmiała: „Odciski chłopca doskonale pasują do niepodpisanych odcisków, które mi pan wysłał. Jediną różnicą jest wielkość. Niepodpisane odciski są większe, jak u dorosłego, i noszą drobne znaki zużycia w rodzaju niewielkich blizn. Jednak łuki, pętle i wiry pasują do siebie we wszystkich punktach. Bez wątpienia odciski te pochodzą od jednej i tej samej osoby. Pomyłka jest niemożliwa”.

Kiedy pan Church po raz pierwszy przeczytał wiadomość, zadzwonił do Spencera, żeby się upewnić.

– Wydawało mi się, że napisałem wystarczająco jasno – stwierdził Spencer. – Odciski do siebie pasują i koniec.

Ale to wcale nie był koniec, lecz kolejny rozdział bardzo długiej i skomplikowanej opowieści. Malował świat w paskudnych odcieniach.

Pan Church w końcu się poruszył. Wybrał ciasteczko i zjadł je powoli, z namysłem, rozmyślając o chłopcu zwanym Osiemdziesiąt Dwa. Chłopcu, który zwrócił się do niego, który ryzykował życie, by ocalić miliony ludzi w Afryce i życie genetycznie zmodyfikowanych Nowych Ludzi.

Church podniósł kartkę z odciskami palców chłopca i odwrócił ją, by przyjrzeć się zdjęciu przypiętemu po drugiej stronie. Zrobiono je w czasie badania chłopca. Church przez długi czas wpatrywał się w oczy dziecka, szukając kłamstwa, oszustwa, jakiegokolwiek śladu zła, które – jak wiedział – musiało się tam znajdować.

Rozdział dziewięćdziesiąty szósty

*Deck,
poniedziałek, 30 sierpnia, 05.05
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
54 godziny, 55 minut EST*

– Myślę, że ona ma swoje podejrzania. – Cyrus pociągnął łyk wina i przytrzymał rieslinga w ustach, by docenić jego subtelny smak.

– Jakie?

– O Fali. Nie może mieć żadnej szczegółowej wiedzy, ale podejrzewa, że mamy jakiś globalny cel.

– Oczywiście, że ma podejrzania. Nie byłby pan rozczarowany, gdyby ich nie miała?

Cyrus pokiwał głową. To była prawda.

– Ale – mówił dalej Otto – ona może się jedynie domyślać. Nie wiedzieć.

– Nie.

– Nie tak, jak my wiemy.

– Nie.

– Sam pan to jutro zobaczy, kiedy odwiedzi pan Fabrykę Smoków.

Obaj się przez chwilę nad tym zastanawiali, a później zaczęli się śmiać.

– Jesteś zaskoczony, że mnie zaprosili? – spytał Cyrus.

– Odrobinę.

– Myślisz, że to pułapka?

– Oczywiście. Nasz podstęp z zabójcami oszukał pewnie jedynie Parysa. – Otto zacisnął wargi i dodał: – Choć sądzę, że to przede wszystkim sprawdzian. Chce spojrzeć panu w oczy, kiedy będzie mówić o ataku. Pewnie wierzy, że czymś się pan zdradzi.

Cyrus znów się roześmiał. Otto pokiwał głową.

– Ona jest bardzo bystra – zauważył Cyrus – ale chyba obaj możemy się zgodzić, że nie zna mnie tak dobrze, jak się jej wydaje.

– Owszem.

– Czyli sprawdzian z zapadnią, jeśli nie spodoba jej się, co zobaczy? Tak właśnie sądzisz?

– Mniej więcej. Pewnie nic tak sztywno ustalonego. Hekate lubi mieć pole do manewru. Jeśli nie będzie w stu procentach pewna, że to pan wysłał zabójców, spodziewam się, że zaprowadzi pana na bardzo ocenzurowaną wycieczkę. Pozwoli panu zobaczyć tylko to, co jej zdaniem się panu spodoba i być może pochlebi. W tym aspekcie jest nieodrodną córką swojego ojca.

– Nie, Ottonie. Myślę, że to ma po tobie.

Otto wzruszył ramionami.

– Sądzę, że taki jest jej plan.

– A jeśli będzie przekonana, że to ja odpowiadam za wysłanie zabójców? Myślisz, że będzie próbowała mnie zabić?

– Nie. Na to nie ma najmniejszych szans. Może pana trochę torturować, myślę, że sprawiłoby to jej dużą przyjemność.

– Niech spróbuje.

– No właśnie. Ale sądzę, że ostatecznie Hekate będzie chciała zachować pana przy życiu. Jest dość bystra, by wiedzieć, że jest pan inteligentniejszy. Ona i Parys ukradli więcej wyników badań niż sami osiągnęli. Pan, panie Cyrusie, jest nauką. Hekate jest za bardzo pańską córką, by pozbyć się tak cennych zasobów.

– Ale ciebie będzie pragnęła zabić – stwierdził Cyrus.

– Bez wątplenia. I chciałbym wierzyć, że jest zbyt bystra, by

mnie torturować. To ja nauczyłem ją tej sztuki i wie, że odwrócenie sytuacji jest czymś, co, jak ośmielę się stwierdzić, sam wymyśliłem. Nie, jeśli Hekate będzie miała okazję, wpakuje mi kulkę w łeb.

– Jeśli jej pozwolimy.

– Jeśli jej pozwolimy – zgodził się Otto.

Siedzieli na leżakach, które wystawiono na zewnątrz. Wszystkie zewnętrzne światła Decku zgaszono, a znajdowali się wiele kilometrów od najbliższego miasta. Nic nie tłumilo blasku nieba. Widzieli nawet smugę Drogi Mlecznej.

– Veder jest w drodze – stwierdził Otto. – Będzie tu, zanim przyleci po pana odrzutowiec Bliźnięt. Chce pan, żeby panu towarzyszył? Możemy powiedzieć, że jest pańskim lokajem.

– Nie. Może polecieć z oddziałem. Ale kiedy twoi Rosjanie się przebiją, chcę, żeby Veder mnie odnalazł. Chcę, żeby przez cały czas mnie chronił.

– Żaden problem.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

Otto kilka razy spoglądał na Cyrusa i otwierał usta, żeby się odezwać, ale za każdym razem pozostawiał swoje myśli dla siebie. W końcu Cyrus uśmiechnął się i powiedział:

– Mów, zanim doprowadzisz mnie do szau. Chcesz wiedzieć o Ulu. Jak się czuję?

– Tak. Tak wiele utraciliśmy...

– Nie utraciliśmy niczego, co się liczy.

– Nowi Ludzie. Rozpłodowcy.

– Bliźnięta gdzieś ich mają. Są dość bystrzy, by zorientować się, kim są Nowi Ludzie. Będą chcieli z nimi eksperymentować. Kiedy zdobędziemy Fabrykę Smoków, odzyskamy ich. A przynajmniej tyłu, by zacząć od nowa.

– A Osiemdziesiąt Dwa?

– Wątpię, by Bliźnięta go zabiły. Myślę, że on żyje. Czuję to. Jeśli jest w Fabryce Smoków, cały i zdrowy, mogę nawet okazać

Bliźniętom odrobinę litości.

Otto nie musiał pytać, co zrobiłby Cyrus – do jakich skrajności by się posunął – gdyby Osiemdziesiąt Dwa nie żył. Żadne pigułki nie zapanowałyby nad Cyrusem, gdyby tak się stało.

Wtedy Cyrus zaskoczył go słowami:

– Ale w ostatecznym rozrachunku to bez znaczenia.

Otto spojrzał na niego ostro.

– Czuję, że w jakiś sposób wykroczyliśmy poza to – stwierdził Cyrus. – Im bardziej zbliżamy się do Fali Wymierania, tym więcej pozostałych rzeczy traci ważność.

– Nowi Ludzie pełnią ważną rolę. Rasa panów potrzebuje rasy niewolników.

– Możliwe.

– To pańskie słowa, panie Cyrusie.

– Wiem i wierzyłem w nie, kiedy je wypowiedziałem. Ale teraz nie wydają się aż tak prawdziwe. Robimy coś wielkiego, Otto. Robimy coś, czego nikt nigdy wcześniej nie dokonał. W ciągu roku zginie miliard błotnych ludzi. W ciągu pięciu lat, kiedy druga i trzecia Fala dotrą nawet do najdalszych zakątków Azji, na planecie pozostanie jedynie miliard ludzi. Kiedy stworzyliśmy Nowych Ludzi, wymyśliliśmy ich jako rasę służących w czasie uporządkowanego przekazywania władzy. Ale naprawdę sądzisz, że będzie panował porządek?

Otto nic nie powiedział.

– Myślę, że podpaliliśmy lont chaosu. Kiedy błotni ludzie zginą, białe rasy nie zjednoczą się jako jeden lud. Wiesz o tym tak samo jak ja. To było szaleństwem Hitlera, ponieważ wierzył, że biali naturalnie stworzą sojusze, gdy brudne rasy zostaną wyeliminowane. Ty i ja, Otto, daliśmy się ponieść tej żarliwości.

– Skąd taka zmiana nastawienia? Wątpi pan w nasz cel?

Cyrus się roześmiał.

– Dobry Boże, nie. Właściwie nigdy wcześniej nie byłem tak zdecydowany i skupiony. Zdrada Bliźnięt sprawiła, że czuję,

jakby ktoś zdjął mi klapki z oczu i widzę przed sobą większy, wspanialszy obraz.

– Czy znów doszło do incydentu, panie Cyrusie? Mam przynieść pańskie tabletki?

– Nie, nie, nic w tym rodzaju. Zupełnie poważnie mówię, że nigdy nie czułem się tak skupiony.

– W takim razie co chce pan powiedzieć? Jestem stary, jest późno i jestem zmęczony, więc proszę mi opowiedzieć w mniej podniosłych słowach.

Cyrus pokiwał głową.

– W porządku. – Pociągnął łyk wina i postawił kieliszek na stygnącym piasku pustyni. – Znów wyobrażałem sobie świat, jakim się stanie po przejściu Fali... Fal Wymierania. Stare potęgi nie powrócą. Aryjskie narody nie powstaną. To była propaganda, w którą obaj uwierzyliśmy i wierzyliśmy tak długo, że zapomnieliśmy ją przemyśleć. Nie pozwoliliśmy, by starożytne marzenie wyewoluowało, choć nasze plany ewoluowały w miarę zdobywania nowej wiedzy. Śmierć pięciu miliardów ludzi nie doprowadzi do rajy na ziemi. Nie stworzy aryjskiej utopii.

– W takim razie do czego doprowadzi?

– Mówiłem ci. Do chaosu. Masowe śmierci wzbudzą strach. Strach wzbudzi podejrzenia, a podejrzenia doprowadzą do wojen. Nasza Fala Wymierania popchnie świat w epokę wojny totalnej. Narody upadną, imperia się zderzą, całą planetę zaleje krew.

Otto wpatrywał się w niego.

Cyrus podniósł wzrok na niekończące się gwiazdy.

– Zrodziliśmy się w konflikcie, Otto. Nasz gatunek. Darwin miał rację, że przetrwa najsilniejszy. Do tego właśnie dojdzie. Ewolucja przez wyniszczenie. Rozpalimy palenisko, w którym wszystko co słabe obróci się w popiół. Zgodnie z naszymi największymi marzeniami, Otto, jedynie silni przetrwają. Naszym zadaniem jest upewnić się, że miarą tej siły będzie

sprawne posługiwanie się mieczem techniki. Ale nie łudź się, zniszczymy świat, jaki znamy. – Zamknął oczy. – I to będzie wspaniałe.

Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy

*Magazyn, Baltimore, Maryland,
poniedziałek, 30 sierpnia, 09.14
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
50 godzin, 46 minut*

Kiedy się obudziłem, Grace już nie było. Odeszła jak duch wczesnym rankiem. Szukałem jej, ale za każdym razem, kiedy na nią natrafiałem, była zajęta. Zbyt zajęta, żeby rozmawiać, zbyt zajęta, żeby nawiązać kontakt wzrokowy na dłużej niż mikrosekundę. Bolało, ale rozumiałem to. Te dwa krótkie słowa, które wyszeptaliśmy do siebie w ciemnościach, były jak granaty odłamkowe wrzucone w nasze zawodowe relacje. Ranek przypominał pokład *Titanica* dwadzieścia minut po lodowcu.

Opadło mnie spore przygnębienie, kiedy szedłem w stronę sali konferencyjnej na ustalone na siódmą spotkanie z Churchem i doktorem Hu. Obaj byli na miejscu. Church przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, zanim powitał mnie skinieniem głowy, Hu nawet nie podniósł wzroku znad laptopa. Nalałem sobie filiżankę kawy z dzbanka, który pachniał, jakby jego zawartość parzyła się od miesiąca.

– Proszę mi powiedzieć, że jesteśmy gotowi ruszać – odezwałem się. – Czuję gorące pragnienie odrobiny przemocy dla rozluźnienia.

– Przerzuć się na bezkofeinową – mruknął Hu.

– Sprawdziliśmy tych Nowych Ludzi? To znaczy, czy opowieść

Dzieciaka o neandertalczykach jest prawdziwa?

– Na razie jest na to za wcześnie – odparł Hu. – Prowadzimy badania DNA, ale nie dostarczyłeś mi próbki krwi albo okazu.

– Mam nadzieję, że przez „okaz” rozumiesz próbkę moczu – powiedziałem – bo jeżeli nazywasz tych ludzi okazami, to...

– Oni nie są ludźmi – sprzeciwił się Hu. – Jeśli są neandertalczykami, to nie są ludźmi. Nie, zaczekaj, nim przeskoczysz przez stół i skopiesz mi tyłek, pomyśl przez chwilę. Zamierzasz argumentować, że neandertalczycy wyewoluowali od *Homo erectus* tak samo jak my i wspólne pochodzenie czyni ich ludźmi. A choć mogę przyklasnąć twojej hipisowskiej wrażliwości z gatunku „wszyscy jesteśmy jedną rodziną”, pozostaje faktem, że oni znacznie różnili się od współczesnych ludzi. Być może nawet nie krzyżowali się z wczesnymi ludźmi, a nasz ostatni wspólny przodek wyginął około sześciuset sześćdziesięciu tysięcy lat temu. Poza tym Dzieciak mylił się, kiedy powiedział, że odtworzono ich z mitochondrialnego DNA. Mitochondrium ma niewiele ponad szesnaście tysięcy zasad DNA, które kodują trzynaście białek. Aby wyhodować wymarły gatunek, potrzeba DNA z jądra komórkowego, które ma trzy miliardy zasad tworzących ponad dwadzieścia tysięcy białek.

– A kogo to, kurwa, obchodzi?! – ryknąłem. – Są ludźmi. Mówią, myślą, wyglądają jak ludzie...

– Nie wiem, kim oni są, Ledger, ale wciąż pozostają naukowymi osobliwościami. Nie ludźmi.

– Dość – powiedział cicho Church. Popatrzył na mnie. – Nowi Ludzie zostaną przewiezieni do amerykańskiego obiektu wojskowego w Ameryce Środkowej.

– Ma pan na myśli obóz internowania?

– Nie. Tam otrzymają opiekę medyczną i spróbujemy ocenić, jak najlepiej można ich zintegrować ze społeczeństwem, jeśli to w ogóle możliwe. A biorąc pod uwagę warunkowanie i manipulacje genetyczne, którym ich poddano, może się okazać,

że nie da się ich skutecznie zintegrować z naszą kulturą.

– Co się z nimi w takim razie stanie?

– Ostatecznie? Nie wiem. Przedstawiłem ich sytuację prezydentowi, a on zgadza się, że należy tę kwestię potraktować z największą delikatnością i troską o ich dobrobyt i prawa.

– Prawa? – powtórzył Hu. – Jakie prawa?

Church odwrócił się w jego stronę, a Hu skulił się pod zimnym, ostrym spojrzeniem.

– Prezydent zgadza się, że należy ich traktować jak uwolnionych jeńców wojennych. Najpierw zajmiemy się ich podstawowymi prawami, a w swoim czasie ludzie mądrzejsi od nas ocenią, jak najlepiej zaspokoić ich potrzeby. – Przerwał. – Tym ludziom wyrządzono straszliwe krzywdy i w pewnych aspektach to równie wielka zbrodnia przeciwko prawom człowieka, jak obozy śmierci.

– Jasne – mruknął Hu. – Skoro pan tak mówi.

Wrócił do laptopa, a ja wypilem kawę i nalałem sobie kolejny kubek.

Hu rozpromienił się.

– W porządku, może coś mam...

– Co masz? – spytałem. – Sumienie?

Przerwał mi Church.

– Spędziliśmy pracowitą noc, analizując dane z Ula. Wciąż jeszcze nie ustaliliśmy lokalizacji Decku, ale Bug sądzi, że dojdzie do tego dziś rano. Starszy sierżant Sims już przygotowuje oddziały Echo i Alfa do ataku. Jeśli obiekt znajduje się w Arizonie, możemy dostać wsparcie z naszego biura w Los Angeles. Niestety, oddziały Zebra i X-ray przebywają nadal w Kanadzie. Jeśli dziś rano sprawy ułożą się po ich myśli, zamkną tę kwestię i możemy ich wysłać w teren.

– A co z oddziałami z Hangaru?

Obiekt na Brooklynie miał cztery oddziały, Baltimore i LA po dwa, Denver i Chicago po jednym. Wiedziałem, że oddział

z Chicago oberwał na misji przed dwoma tygodniami, zginął ich dowódca i czworo z sześciorga agentów. Sprawdzali właśnie nowych kandydatów z Delty i SEAL.

– Tango i Leopard przebywają poza granicami kraju. Hardball przenosi się właśnie do Denver, by zastąpić Jigsaw. Są w pogotowiu.

W przeciwieństwie do tradycyjnych służb wojskowych, WDN nie używało standardowych rozwinięć liter jako nazw jednostek. Na początku tak było, ale kiedy oddziały ginęły, w ich miejsce powstawały kolejne, o nowych nazwach zaczynających się od tej samej litery. Gdyby Grace i mnie udało się złapać chwilę oddechu, mieliśmy zacząć tworzyć nowe jednostki B i C w miejsce pierwotnych oddziałów Bravo i Charlie, zmasakrowanych w ataku terrorystów pod koniec czerwca.

– Będziemy mieć również wsparcie Gwardii Narodowej, a jeśli okaże się to konieczne, eskadry z 55. skrzydła myśliwców z bazy Davis-Monthan w Tucson. – Pozwolił sobie na półśmiech. – Traktujemy to bardzo poważnie, kapitanie. Poprzedniej nocy długo rozmawiałem z prezydentem, a dziś rano ponownie. Dał nam do dyspozycji dość środków i zasobów, byśmy mogli prowadzić wojnę.

– Bo do tego doszło.

– Owszem. Do tego zdecydowanie doszło.

– A jak wyglądają dane wywiadowcze?

– Niech pan usiądzie, a ja je omówię. Pełny pakiet danych znajdzie się za chwilę na pańskim palmie, ale mamy pewne kwestie do omówienia, a kilka jest prawdziwymi progami spowalniającymi.

Nacisnął klawisz, a wtedy na płaskim ekranie za jego plecami pojawiło się zdjęcie mężczyzny, którego KIM zidentyfikował jako Hansa Bruckera.

– To Gunnar Haeckel. – Church nacisnął inny klawisz i pojawiło się drugie zdjęcie, skan fotografii z identyfikatora

pracownika. – To Hans Brucker. – Postukał w klawisze i pod zdjęciami pojawiły się dwa zestawy odcisków palców. – Oto ich odciski. A teraz proszę popatrzeć.

Postukał w klawisze i karty nałożyły się na siebie, a program komputerowy poprawił kąty ułożenia. W miejscach, w których pętle i wiry nakładały się na siebie, pojawiał się krótki błysk. Przypominało to patrzenie na serię wybuchów petard. Jeden po drugim, kolejne odciski palców rozbłyskiwały bielą, co oznaczało zakończenie porównania. Wszystkie dziesięć odcisków pasowało do siebie idealnie.

– Tak, mówił mi pan, że był jakiś bajzel. Ktoś zrobił bałagan w indeksie odcisków palców.

– Nie – stwierdził Church. – To prawidłowe odciski obu mężczyzn.

Hu w końcu podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

– Przeprowadziliśmy też szybkie profilowanie DNA Bruckera. I wiesz co?

– Wyglądasz na zbyt zadowolonego z siebie, doktoru. To nie mogą być dobre wieści.

– To najbardziej niesamowita rzecz, jaką widziałem od dawna. Mamy tu nowy rozdział w drugich *Gwiezdnych Wojnach*.

– Yyy?

– Drugie *Gwiezdne Wojny*. Po *Mrocznym widmie*, a przed *Zemstą Sithów*.

Minęła chwila, zanim przejrzałem geekowskie dane w mózgu.

– O cholera – mruknąłem.

– Tak. – Hu uśmiechał się tak szeroko, że jego twarz groziła pęknięciem. – *Atak klonów!*

– Daj spokój...

– Niestety, doktor Hu ma rację.

Usłyszałem lekkie drżenie w głosie Churcha, kiedy mówił „doktor”.

– Cóż, mamy już jednorożce i tygrysogary – mruknąłem. –

Czemu nie klony?

Hu wydawał się nieco przybity, jakby spodziewał się większej reakcji z mojej strony. W rzeczywistości bawiłem się tą koncepcją podczas lotu powrotnego z Kostaryki, kiedy dowiedziałem się, że odciski do siebie pasują. Odrzuciłem ją głównie dlatego, że nie chciałem w nią wierzyć.

– Mamy jakichś obcych albo rozbite UFO? – spytałem.

– Nie w tej chwili – odparł sucho Church.

– Dobrze, w takim razie co z tą Falą Wymierania? Co o niej wiemy?

– To jest prawdziwy problem – stwierdził Church. – Doktorze?

– Wygląda na to, że nasi szaleni naukowcy próbowali uczynić choroby genetyczne, to znaczy przekazywane z pokolenia na...

– Wiem, co znaczy „genetyczny” – przerwałem.

Hu prychnął.

– Próbowali wziąć choroby genetyczne i zmienić je w wirusy. To szaleństwo i zdecydowanie wykracza poza najnowsze osiągnięcia nauki. Zasadniczo przebudowują DNA pewnych wirusów, by zawierało geny kodujące chorobę Taya-Sachsa, anemię sierpowatą, zespół Downa, mukowiscydozę, niektóre nowotwory i inne takie.

– Czyli to jest Koteria. Nad tym pracowali w okresie zimnej wojny.

– Zdecydowanie te same cele – zgodził się Church – i niektórzy gracze.

– Różnica polega na tym – wtrącił Hu – że teraz mogą to osiągnąć. Opanowali proces przeobrażenia chorób genetycznych w zakaźne.

– A Fala Wymierania będzie skoordynowanym uwolnieniem tych patogenów? – spytałem.

– Tak – odparł Church.

– Jak ich, do diabła, powstrzymamy?

– Tego się właśnie pan dla nas dowie, kiedy zaatakuje pan

Deck. Jest iskierka nadziei...

– Niewielka – wtrącił Hu, ale Church go zignorował.

– ...gdyż znaleźliśmy kilka pasujących do siebie list krajów i regionów, w których zostaną uwolnione patogeny.

– To wspaniale! Możemy ostrzec...

– Rozmawiałem z Departamentem Stanu. Ambasady w każdym kraju zostały już postawione w stan gotowości. To delikatna kwestia. Musimy ukrywać naszą wiedzę do czasu, aż wyeliminujemy Deck i ludzi za to odpowiedzialnych. Nie możemy ryzykować, że dojdzie do przecieku, który sprawiłby, że ta nowa Koteria się ukryje i zacznie ponownie w późniejszym terminie i innej lokalizacji.

Pokiwałem głową.

Odezwał się Hu.

– To, co czytałem, sugeruje, że musi najpierw zostać wysłany określony kod. Twój partner do tanga, Carteret, powiedział, że kod znajduje się na urządzeniu wyzwalającym, które Otto Wirths lub Cyrus Jakoby zawsze mają przy sobie. Jego zdaniem to niewielkie urządzenie, wielkości pamięci USB, ale z sześciocyfrową klawiaturą.

– Niczego takiego mi nie mówił – stwierdziłem.

Church poprawił okulary.

– Powiedział mi. Wyznał mi wszystko, co leżało mu na sercu.

– Co mu pan zrobił?

W odpowiedzi Church zjadł ciasteczko.

– Musimy dopaść Wirthsa albo Jakoby i zdobyć urządzenie wyzwalające, zanim kod zostanie wysłany do agentów na całym świecie, którzy wówczas uwolnią patogeny – wyjaśnił Hu.

– I tylko tyle? Cudownie, może wcisnę to w swój plan dnia – mruknąłem kwaśno. Poczęstowałem się ciasteczkiem z talerza Churcha. – Będziemy musieli przeniknąć po cichu. Inaczej na pierwszy sygnał uruchomią urządzenie. Cicha infiltracja wymaga czasu do przygotowania, a ja słyszę tykanie tego pieprzonego

zegara.

– Mam pomysł – powiedział Hu. – To urządzenie wyzwalające jest pewnie pamięcią USB. Sprzęt opisany przez Cartereta nie jest dość duży, by mieć łącze satelitarne. Spytałem o to Buga. Zgadza się, że urządzenie wyzwalające najpewniej musi zostać podłączone do portu USB, a kod wysłany przez Internet. To najlepszy sposób, który pozwala również na wysłanie indywidualnych zaszyfrowanych wiadomości.

– W porządku, jaki jest plan?

– EMP. Zanim wpadniecie do środka, a może kiedy już będziecie w środku, ale zanim rzucisz się na tamtych jak Jack Bauer, spuścimy na nich bombę E.

– Co to jest, do diabła?

– Bomba elektromagnetyczna. Super sprzęt. To bomba, która tworzy pole elektromagnetyczne. Nie zabija ludzi, ale powinna usmażyć wszelkie sprzęty elektryczne i wymazać ich systemy komputerowe. Chyba że są specjalnie chronione, ale z tym ryzykiem musimy się pogodzić.

– Mamy taki towar?

– Marynarka bawiła się nimi w czasie pierwszej wojny w Zatoce – wyjaśnił Church. – I użyliśmy jednej na irackiej telewizji w dwa tysiące trzecim roku. Jeśli uda nam się zlokalizować Deck, mogę załatwić zrzuć bombę E.

– Znajomy w branży? – spytałem.

– Znajomy w branży.

– W takim razie to nasza przewaga. – Wstałem i wyciągnąłem rękę do doktora Hu. – Niezła robota, doktoru.

Patrzył na moją dłoń, jakby spodziewał się, że zamierzam go nią zatłuc. Po kilku sekundach wahania uścisnął ją.

– A co z rodziną Jakoby? – spytałem. – Bliźniętami. KIM twierdzi, że są zamieszane. Powiedział mi, że modyfikowany genetycznie jednorozec na polowaniu był ich dziełem, a Cyrusa traktują, jakby był ich więźniem, a nie ojcem. KIM nie zna ich

zbyt dobrze, ale mówił, że mają gdzieś laboratorium, które Cyrus od lat próbował odnaleźć. Bliźnięta nazywają laboratorium Fabryką Smoków.

– Ciekawe, czy udało im się stworzyć smoka? – zastanawiał się Hu.

– W odzyskanych danych nie ma niczego, co wskazywałoby na lokalizację Fabryki Smoków – stwierdził Church. – A MindReaderowi nie udało się odnaleźć miejsca pobytu ani Parysa, ani Hekate Jakoby. Ostatnio widziano ich przed tygodniem na wystawie w Londynie. Ich dziewięć rezydencji, o których wiemy, jest pod obserwacją policji w czterech krajach. W tej chwili, poza dostarczaniem zwierząt do polowań, nie znamy skali ich udziału. Jesteśmy gotowi przejąć wszystkie należące do nich nieruchomości i aktywa, ale nie zrobimy tego, dopóki nie będziemy mieli pewności, że nie przeszkodzi to próbie zdobycia urządzenia wyzwalającego.

– A ich tatko?

– Nigdzie nie ma żadnych zdjęć Cyrusa Jakoby. Żadnych informacji osobistych, poza zdawkowymi wzmiankami Bliźniąt w czasie wywiadów. Jeśli został uwięziony, mogłoby to wyjaśniać, dlaczego stał się tak podejrzanie niewidoczny. Narodziny Bliźniąt były sensacją, ale w żadnej gazecie nie pojawiły się zdjęcia ich ojca.

– Brzmi, jakby nie chciał, by jego twarz była publicznie znana – powiedziałem. – Co pasuje do założenia, że „Jakoby” nie jest jego prawdziwym nazwiskiem. Może być kimkolwiek, od barona narkotykowego po kogoś z programu ochrony świadków.

– Zbyt łatwo spekulować na ten temat. Najważniejsze, że nie wiemy, kim jest, a zadziwiające, że MindReader nie może znaleźć absolutnie niczego, co potwierdziłoby jego tożsamość.

– Jeśli jest powiązany z Koterią, czy ktoś mógł użyć tego starego systemu...

– Pangei? – podpowiedział Church.

- ...by wymazać wszelkie wzmianki na jego temat?
- Tak. A biorąc pod uwagę istniejące powiązania z Koterią, sądzę, że tak się właśnie stało.
- A co z Ottonem Wirthsem?
- To samo. Nic. Nazwiska są pewnie pseudonimami. Istnieje jednak inne możliwe powiązanie z obozami śmierci. Na Eduarda Wirthsa, naczelnego lekarza Auschwitz, w dzieciństwie mówiono „Otto”. Niektórzy bliscy przyjaciele nazywali go tak również później, choć w oficjalnych dokumentach miał wpisane Eduard.
- Myśli pan więc, że ten Otto jest kim? Synem, wnukiem, którego nazwano przezwiskiem Eduarda?
- Warto wziąć to pod uwagę.
- Albo może być klonem Eduarda Wirthsa – powiedział Hu. – Ej, nie patrz tak na mnie, Ledger. Jeśli bawimy się w klony, musimy je uwzględnić we wszystkim. I już wcześniej ktoś o tym pomyślał. No wiesz, *Chłopcy z Brazylii*. Książka Iry Levina. Film z Gregorym Peckiem...
- Oni klonowali Hitlera.
- A czemu nie? Może ktoś sklonował całą górę partii nazistowskiej. Albo całą armię Hitlerów!
- Nawet sobie nie żartuj.
- W porządku, ale jeśli wpadniemy na armię niskich gości z wąsikami, którym nie zeszły jądra, nie mów, że cię nie ostrzegąłem.
- Pokręciłem głową i odwróciłem się do Churcha.
- Jak Dzieciak?
- Church nie odpowiedział od razu.
- Prowadzimy dodatkowe badania.
- Chcę, żeby mi towarzyszył w czasie nalotu na Deck.
- Dlaczego?
- Kiedyś tam mieszkał. Nie mamy czasu samodzielnie uczyć się rozkładu pomieszczeń i innych detali. Na Boga, nie mam ochoty brać dziecka do walki, ale potrzebujemy wszystkiego, co może

nam pomóc.

Church pokiwał głową.

– Możemy wyposażyć cię w kamerę i umieścić chłopaka w COT na stałym łączu. Ale nie weźmie udziału w walce. – Zawahał się. – Nie do końca mu ufam.

– Dlaczego nie? Gdyby nie on, nie dotarlibyśmy tak daleko.

– Jestem świadom, jak wiele zawdzięczamy mu my... i cały świat. Ale niepokoi mnie jego powiązanie z kluczowymi graczami. Omówimy to później. W tej chwili przebywa z nim doktor Sanchez.

– Rudy wrócił?

– Tak. Przyleciał z powrotem wcześniej rano, na moją prośbę. Spędził z chłopcem już kilka godzin. Chciałbym usłyszeć jego opinię, zanim...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Bug. Szczerzył się od ucha do ucha. Grace szła pół kroku za nim. Posłała mi krótkie, podekscytowane spojrzenie, które jednak nie miało nic wspólnego z ostatnią nocą.

– Mamy skurwieli – powiedziała. – Właśnie odezwał się kapitan Smythe z *Ark Royal*. W hangarze w Ulu był niewielki samolot. Jeden z pilotów Smythe'a przeszukał samolot i sprawdził zapisy długości lotów, zużycia paliwa, takie tam.

– Porównałem zapisy długości lotów z danymi kontroli lotów, wykorzystując Arizonę jako prawdopodobną lokalizację – dodał Bug. – Chyba znaleźliśmy Deck. Z całą pewnością jest w Arizonie. Pośrodku niczego w pobliżu Gila Bend, niedaleko granicy z Meksykiem.

– Nigdy nie słyszałem o tym miejscu – mruknął Hu. – Pewien jesteś?

Bug rzucił na stół wydruk zdjęcia satelitarnego. Pokazywało grupę budynków wśród pustynnego krajobrazu. W samym środku znajdowała się konstrukcja o dwunastu ścianach.

– Sukinsyn! – powiedział Hu.

Poklepałem Buga po ramieniu.

– Doskonale!

Church zaczął wstawać.

– Kapitanie Ledger, major Courtland, przygotujcie oddziały. Zawiadomcie wszystkie jednostki. Ja złapię za słuchawkę i załatwię nam bombę E. – Jego twarz była bardziej zacięta i zimniejsza niż kiedykolwiek. – Idziemy na wojnę.

Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy

***Na południowy zachód od Gila Bend, Arizona,
poniedziałek, 30 sierpnia, 17.19
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
42 godziny, 41 minut EST***

Byłem samotny w świecie powietrza migoczącego od upału, skorpionów, dokuczliwych much i niczego poza tym. Sonora może nie jest Saharą, ale ma swoje momenty. Temperatura o pierwszej po południu wynosiła 50 stopni, zaś między rozgrzanym jak piec powietrzem a mną nie było nawet śladu chmurki, jedynie mundur polowy kamo i cienka warstwa kremu z filtrem. Królik i Starszy siedzieli na tyłach klimatyzowanej furgonetki FBI, udającej samochód telewizji kablowej Comcast, zaparkowanej na drodze gruntowej prowadzącej znikąd donikąd. Grace i oddział Alfa siedzieli w black hawku na płaskowyżu jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na północny zachód ode mnie. Gdzieś w błękitnej pustce unosiła się 358. eskadra myśliwców, gotowa spuścić piekło i potępienie na Deck, gdybym tylko dał im znak. Jeden z tych samolotów przynosił bombę E. Plusem był fakt, że udało się nam ją zdobyć, minusem, że moja elektronika mogłaby tego nie przeżyć. Wzmacniana jednostka w moim plecaku powinna ponoć wytrzymać impuls elektromagnetyczny, ale jak słyszałem wiele razy od czasu, gdy zacząłem pracować dla rządu, był to sprzęt skonstruowany przez firmę, która wygrała przetarg dzięki najniższej cenie.

Zachodni wiatr jedynie popychał rozgrzane powietrze obok kaktusów, wysuszonych jałowców, bielunia i szarłatu. Prześlizgnąłem się po stwardniałym gruncie w stronę grani wznoszącej się nad niewielkim zbiorowiskiem budynków ukrytych w płytkiej kotlinie między dwoma niczym się niewyróżniającymi łańcuchami górskimi. Według biura gospodarki nieruchomościami hrabstwa Pima budynki określono jako „przeznaczone na cele badań naukowych”. Urząd Skarbowy powiedział Bugowi, że wszystkie niezbędne podatki opłacała firma Natural White, zajmująca się poszukiwaniem leku na bielactwo, zaburzenie pigmentacji, w wyniku którego zniszczeniu ulegają melanocyty, komórki wytwarzające barwnik w skórze. W efekcie na skórze w różnych miejscach pojawiają się białe plamy.

Urocze. Pewnie nawet psychopatyczni zwolennicy dominacji białej rasy miewają poczucie humoru. Na dokumentach skarbowki i umowach było kilka nazwisk, jak na razie wszyscy okazali się obywatelami Stanów Zjednoczonych bez kartoteki kryminalnej. Organizacji tak dużej jak Koteria pewnie nie brakowało członków gotowych użyć swoich nazwisk dętej firmie.

Bug i jego ludzie pracowali nad zlokalizowaniem wszystkich aktywów i rachunków powiązanych z Natural White, by móc je zamrozić, kiedy zrobimy swój ruch. Czasem bestię łatwiej okaleczyć kradzieżą kieszonkową niż wpackowaniem jej kulki.

Ośloniłem palma przed słońcem i wpatrzyłem się w satelitarne zdjęcie obiektu. Budynek centralny, jak mówił KIM, miał kształt dwunastościanu. Na wschód od niego biegła długa, płaska droga, która na pierwszy rzut oka prowadziła donikąd, ale miała odpowiednią szerokość i długość, by posłużyć jako pas startowy.

Postukałem w słuchawkę.

– Kowboj do Diakona.

– Tu Diakon.

– Jestem na miejscu. Spytaj Dzieciaka, czy używają wschodniej drogi jako pasa startowego.

– Mówi, że tak. Bliźnięta lądują na nim swoim learem, widział też mniejsze samoloty. Mówi, że jest też ukryty hangar. Posyłam ci skany termiczne. Są pouczające.

Na ekranie palma pojawił się nowy obraz, ukazujący skan termiczny kotliny. Deck był gorącym punktem centralnym, ale linie ciepła promieniowały we wszystkie strony, tworząc wzór, który nie miał żadnego związku z budowlami widocznymi gołym okiem. Jeden długi korytarz biegł przez prawie kilometr od środka Decku do innego gorącego punktu, niemal równie dużego.

– Dziewięćdziesiąt procent tego obiektu znajduje się pod ziemią – zauważyłem.

– Tak.

Nie powiedział nic więcej, a ja wiedziałem, że daje mi szansę, by zmienić misję, wycofać się albo poprosić o wsparcie. Ale ja nie chciałem tego zrobić, bo nie mogliśmy ryzykować, że zbyt wcześnie odsłonimy swoje karty.

– Życzcie mi szczęścia. – Staralem się, by mój głos brzmiał wesoło, na ile pozwalało mi na to zdenerwowanie. – I niech Dzieciak będzie pod ręką.

– Jestem tu, Kowboju – powiedział KIM.

– Przyjąłem. Ruszam do środka.

Wziąłem niewielką, mocną kamerę i przypiąłem ją do najwyższej dziurki od guzika. Nie miałem na sobie pełnego ekwipunku, żadnego blaszanego garnka z kamerą na głowie. Ta kamera była jedną z zabawek Buga, wysyłała obrazy do satelity, który przekazywał je do COT. Kiedy umieściłem ją na swoim miejscu, zacząłem zsuwać się po zboczu kotliny w nierównym rytmie. Kiedy niesione wiatrem zielsko się ruszało, i ja się ruszałem. Kiedy wiatr cichł i wszystko nieruchomiało, nieruchomiałem i ja. KIM powiedział, że raczej nie ma tam czujników ruchu, ale są kamery. Podał harmonogram, który był

imponujący, wręcz graniczący z obsesyjno-kompulsywnym. Kiedy zwróciłem uwagę na jego precyzję, KIM wzruszył ramionami i stwierdził, że miał dużo czasu dla siebie, a później, po długim namyśle, dodał: „Poza tym, kiedy chciałem być naprawdę sam w tamtym miejscu, musiałem zniknąć, a to oznacza zniknięcie z kamer”.

Zarumienił się, kiedy to powiedział, bo uświadomił sobie, że zabrzmiało to dziwnie. Ja sądziłem jednak, że jego słowa brzmiały bardzo smutno.

Minęło czterdzieści minut, zanim dotarłem do pierwszej kamery.

Głos KIMa prowadził mnie przez labirynt zabezpieczeń.

– Pierwsza kamera znajduje się na uschłej topoli jakieś osiemnaście metrów przed tobą, po prawej. – On i Church obserwowali moje postępy przez przypinaną kamerkę i satelitę. – Zaczekaj, aż się przesunie, i pobiegnij prosto do czerwonych kamieni, po czym się zatrzymaj. Świetnie! Następna kamera jest na tamtym słupie wyrastającym prosto z ziemi bezpośrednio przed tobą. Obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni, więc kiedy się ruszy, możesz podążyć za nią. Jest tam stary drewniany parkan. Widzisz? Schowaj się za nim i policz do pięćdziesięciu, a później wstań i pobiegnij do pierwszego budynku.

Podążyłem za jego poleceniami, ruszałem, zatrzymywałem się, chowałem i biegłem, aż dotarłem do budynku.

– Drzwi otwierają się na kartę – powiedział chłopak.

– Żaden problem, Dzieciaku.

Kucnąłem przy drzwiach i wyciągnąłem pierwsze z garści urządzeń, które wręczyli mi Bug i doktor Hu. Miało kształt i wielkość listka gumy do żucia. Oderwałem pasek plastiku, by odsłonić klej, i wsunąłem je ostrożnie do czytnika kart. Klej był bezpieczniejszy niż magnes, bo czytnik mógł mieć czujnik magnetyczny. Minus był taki, że urządzenia nie dawało się wyjąć, więc w środku był mechanizm zegarowy, który po

upływie godziny otwierał niewielką buteleczkę kwasu – dość dużą, by usmażyć całą elektronikę – a reakcja chemiczna neutralizowała również klej, więc całość odpadała.

Kiedy urządzenie znalazło się na miejscu, wstukałem kod i czekałem. Było połączone z MindReaderem i błyskawicznie przeglądało wszystkie możliwe kombinacje kodów, podczas gdy oprogramowanie MindReadera usuwało wszelkie ślady. Zaprojektowano je do wykorzystania w czytnikach kart, które uruchamiały alarmy, kiedy ktoś zbyt wiele razy włożył niewłaściwą albo nieaktywną kartę.

– Mam – powiedział Bug przez komunikator.

– Przyjąłem.

Wyjąłem uniwersalną kartę, która otrzymała właściwy kod z MindReadera. Wsunąłem ją do czytnika i wszystkie zielone światelka nad zamkiem zabłyśły uspokajającą zielenią. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, ostrożnie, jak polecił mi KIM.

– Jestem w hangarze z ciągnikami. Nie widzę żadnych drzwi oprócz tych, przez które wszedłem, i dużych drzwi garażu.

– Deck ma cztery tryby działania. – Głos KIMa brzmiał, jakby recytował wyuczone na pamięć materiały ze szkolenia. – W Trybie Codziennym budynki zewnętrzne robią wrażenie niestrzeżonych, ale jest wiele dodatkowych elementów mających powstrzymać niechcianych gości. Wszystkie bezpieczne wejścia do Decku są zamknięte. W Trybie Pracy tylko najważniejsze drzwi są zamknięte, ale wszędzie przebywają strażnicy. Jest też Tryb Gości, który uruchamiają, kiedy przybywają Bliźnięta, on ukrywa różne rzeczy wewnątrz i na zewnątrz. I wreszcie Tryb Obronny, nigdy go nie widziałem.

– I miejmy nadzieję, że nie zobaczymy. Co dalej?

– Widzisz ten opuszczany reflektor po drugiej stronie ciągnika?

– Potwierdzam. Jest wyłączony.

– Kamerę umieszczono na suficie w lewym rogu. Ma czujnik ruchu, ale jeśli wczłogasz się pod ciągnik i wyjdiesz po drugiej stronie, nie uruchomi się.

– Czuję się jak w grze komputerowej.

– Tak, ale tej nie można zresetować.

Potraktowałem ostrzeżenie KIMa poważnie, wślizgnąłem się pod ciągnik i wyszedłem po drugiej stronie.

– Sięgnij do reflektora. Naciśnij dwa razy wyłącznik. Na ścianie otworzy się panel z drugim czytnikiem kart. Ten sam kod otworzy je i dwoje kolejnych drzwi. Nie próbuj z drzwiami oznaczonymi białym kręgiem.

Wykonałem jego polecenie i kalendarz ścienny firmy produkującej ciągniki odsunął się na bok, ukazując zagłębienie z kolejnym czytnikiem. Sprytne. Moja uniwersalna karta uruchomiła go i fragment ściany odsunął się bezgłośnie na bok, ukazując stalowe drzwi. Otworzyłem je kartą i wszedłem do dużego metalowego boksu z kolejnymi drzwiami. Po lewej stronie wisiały fartuchy laboratoryjne w różnych kolorach.

– Obraz jest niewyraźny, nie widzę cię – powiedział KIM. – Gdzie jesteś?

– Między dwojgiem drzwi.

– Czy na ścianie wiszą kurtki?

– Fartuchy, tak.

– Załóż pomarańczowy. Te noszą specjaliści od obsługi komputerów. Jest ich jakiś milion i mogą chodzić wszędzie, jeśli mają odpowiednie karty. Nikt dwa razy na ciebie nie spojrzy.

– Mnie pasuje.

Włożyłem pomarańczowy fartuch laboratoryjny, ale nic nie mogłem poradzić na bojówki. Przypiąłem kamerkę do fartucha i miałem nadzieję, że nikt jej nie zauważy. Jeśli ktoś nie przyjrzał się zbyt uważnie, wyglądała jak trochę za duży guzik. Przeszedłem przez kolejne drzwi i znalazłem się w długim korytarzu prowadzącym do pomieszczeń oznaczonych:

KUCHNIA, PRALNIA, MAGAZYN i kilka innych. Żadne z tych drzwi nie miały zamków na kartę, ale na obu końcach korytarza znajdowały się kamery. Nie dało się ich ominąć, ale KIM powiedział, że liczył się tylko kolor fartucha. Idąc, odsłoniłem klej na kolejnym z gadżetów odczytujących kody, a kiedy dotarłem do drzwi, ukradkowo wcisnąłem go na miejsce.

Udałem atak kichania i zacząłem obmacywać kieszenie w poszukiwaniu chusteczek. Udałem, że wycieram nos rękawem, a wtedy Bug powiedział:

– Możesz iść.

Wyjąłem świeżo zapisaną kartę uniwersalną i otworzyłem drzwi.

Żadnych problemów.

Znalazłem się we wnętrzu Decku.

– Obraz wrócił – stwierdził KIM. – Jesteś teraz w pobliżu dużego korytarza, który biegnie wzdłuż całego górnego poziomu. Personel nazywa go główną ulicą.

Przeszedłem przez drzwi i znalazłem się na szerokim korytarzu wypełnionym ludźmi w tęczowych fartuchach i kombinezonach. Większość mnie ignorowała. Nikt nie zwracał uwagi na moje spodnie albo buty – widziałem obuwie wszelkiego rodzaju, od sandałów przez tenisówki po szpilki. Minęło mnie kilka osób w pomarańczowych fartuchach i oni jako jedyni mnie zauważali, ale kiwali mi głową i dalej zajmowali się swoimi sprawami.

I wtedy tuż obok mnie przeszedł KIM.

Byłem tak zaskoczony, że zacząłem coś do niego mówić, ale od razu zacisnąłem usta. Chłopak był co najmniej rok starszy od KIMa. Mimo to wyglądał zupełnie jak on. Taka sama przerwa między zębami, miękki zarys brody i ciemne oczy. Próbowałem zwrócić kamerę w jego stronę, ale otaczało nas zbyt wielu ludzi.

Kiedy chłopak zniknął, dyskretnie postukałem w słuchawkę.

– Hej, KIM. Chyba właśnie widziałem twojego brata.

– Ja nie mam... – zaczął mówić KIM, kiedy nagle rozległy się trzy głośne sygnały systemu alarmowego.

Wszyscy znieruchomieli.

Zacząłem sięgać pod fartuch po broń, ale wtedy z głośników pod sufitem dobiegł bardzo wzmocniony głos.

– Deck wchodzi w Tryb Gości. Proszę przygotować się na przyjęcie gości.

Powtórzyło się to kilka razy i nagle wszyscy zaczęli się ruszać. Panele ściennie przesuwaly się, odcinając całe skrzydła budynku, dziesiątki członków personelu wychodziły przez ukryte drzwi, które zamykały się za nimi tak gładko, jakby ci ludzie zniknęli z rzeczywistości. Głośna wiadomość powtarzała się raz za razem.

I wtedy w moim uchu usłyszałem głos Churcha.

– Kowboju, zbliża się do was niewielki komercyjny odrzutowiec.

– Wiem. Oczekujemy gości.

Rozdział dziewięćdziesiąty dziewiąty

*Deck,
poniedziałek, 30 sierpnia, 18.13
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
41 godzin, 47 minut EST*

Hekate i Parys uśmiechali się, schodząc z pokładu odrzutowca. Cyrus i Otto włożyli garnitury, które wyszły z mody przed dziesięciu laty, a na elektrycznym wózku czekała sterta walizek. Obok nich stał wysoki, surowy mężczyzna w modnym garniturze.

– Alfa! – krzyknęła Hekate i podbiegła do ojca.

Zamiast się ukłonić, objęła go i przytuliła głowę do jego szyi. Cyrus wydawał się skonsternowany, ale po chwili wahania przytulił córkę.

– Alfa. Tatusiu... – wymruczała.

Cyrus patrzył szeroko otwartymi oczyma na Parysa, który natychmiast przeszedł od uśmiechu zadowolenia do zatroskanej miny.

– Alfo, od kiedy zostaliśmy zaatakowani, Hekate jest bardzo zaniepokojona. Ja też, skoro o tym mowa. Jeśli rząd wysyła przeciwko nam jednostki specjalne, nie wiemy, co robić. My...

Hekate mu przerwała. Miała łzy w niebieskich oczach.

– Potrzebujemy cię. Potrzebujemy cię, tatusiu.

– Ja...

Cyrus robił wrażenie szczerze zagubionego.

– Ona ma rację, Alfo. – Parys podszedł bliżej i pogłaskał Hekate po plecach. – Boimy się, że utracimy wszystko. Cóż... po prostu nie wiemy, co robić. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteśmy wdzięczni, że zgodziłeś się przybyć do Fabryki Smoków. Musimy się dowiedzieć, jak ją lepiej zabezpieczyć albo czy musimy ją porzucić. Wtedy będziemy potrzebować twojej rady, jak zachować wyniki naszych badań.

Hekate odchyliła się i spojrzała ojcu w oczy.

– Gdybyśmy musieli, gdybyś uznał, że nie jesteśmy tam bezpieczni, czy moglibyśmy przesłać nasze dane na twoje komputery tutaj? Musimy je zabezpieczyć.

– Musimy zachować je w rodzinie – dodał Parys.

Cyrus spojrzał na Ottona, który uniósł brew. Twarz wysokiego mężczyzny pozostawała beznamiętna.

– Ależ z całą pewnością – odparł Cyrus, choć jego głos bynajmniej nie brzmiał pewnie.

Hekate znów rzuciła się w objęcia Cyrusa i zapłakała z wyraźną ulgą. Parys przymknął oczy, jakby ktoś zdjął z jego ramion wielki ciężar.

– Dziękuję – wyszeptał. – Alfo. Ojczy. Dziękuję.

W końcu weszli na pokład odrzutowca.

Otto Wirths i drugi mężczyzna zwlekali jeszcze przez chwilę.

– To są jego dzieci? – spytał mężczyzna z nutą niedowierzania w głosie. – To są Bliźnięta?

– Tak.

– Zachowują się bardziej wylewnie, niż się spodziewałem.

– W rzeczy samej.

– Pan Jakoby ściągnął mnie tutaj wyłącznie z ich powodu?

Uśmiech Ottona nie sięgał jego oczu.

– Próbują nas oszukać, panie Veder.

Conrad Veder uśmiechnął się słabo.

– Co też pan powie.

Weszli na pokład. Kiedy odrzutowiec uzupełnił paliwo,

zatoczył krąg i wystartował w stronę Fabryki Smoków.

Rozdział setny

*Deck,
poniedziałek, 30 sierpnia, 18.14
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
41 godzin, 46 minut EST*

– Deck przeszedł w Tryb Pracy – rozległo się w głośnikach. –
Personel na służbie ma powrócić do wyznaczonych zadań.

Po chwili rozległ się kolejny komunikat.

– Uruchomiono protokoły nadzorcze.

Drzwi i ukryte panele znów się poruszyły i wyszły przez nie wielobarwne tłumy. Znalazłem męską toaletę i wślizgnąłem się do środka. Kiedy upewniłem się, że jestem sam, spytałem:

– O co w tym wszystkim chodziło?

– Learjet należący do White Owl, spółki-wydmuszki, którą MindReader powiązał z Parysem Jakoby, wylądował i podjął trzech pasażerów. Na podstawie zdjęć satelitarnych KIM sądzi, że pasażerami byli Otto Wirths i Cyrus Jakoby. Trzeciego mężczyzny nie widzieliśmy dobrze.

– Cudownie. Wygląda na to, że trafiłem na niewłaściwą imprezę.

– Amazing i oddział Alfa są w samolocie pościgowym. Oceniają sytuację i podejmą dalsze kroki, by odnaleźć urządzenie.

– A co ze mną?

– Pański wybór. Jeśli Jakoby kierują się do Fabryki Smoków, Amazing przeniknie do niej i podejmie próbę zabezpieczenia

urządzenia. Kiedy jej się to uda, na Deck opadnie pięć Boga w postaci trzech oddziałów WDN i Gwardii Narodowej.

Wybór był do niczego. Gdybym opuścił obiekt, i tak bym nie dogonił Grace, zanim ona dogoni Jakoby. Gdybym został tutaj, mógłbym się czegoś dowiedzieć, ale mógłbym też zostać złapany.

– Niech KIM pozostanie w kontakcie i oprowadzi mnie szybko po obiekcie. Zobaczę, co się da, a później chcę zabrać Echo i dołączyć do Alfy na imprezie.

– Przyjąłem.

Rozdział sto pierwszy

*W locie,
poniedziałek, 30 sierpnia, 18.36
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
41 godzin, 24 minuty EST*

Major Grace Courtland siedziała pochylona nad laptopem i patrzyła, jak biała kropka przesuwa się nad satelitarnym obrazem Stanów Zjednoczonych. Kropka przebyła Arizone i Nowy Meksyk, cały czas trzymając się amerykańskiej przestrzeni powietrznej w odległości osiemdziesięciu kilometrów od granicy Meksyku, a później przecięła Teksas i na południe od Houston wleciała nad Zatokę Meksykańską. Postukała w łącze.

– Bug, udało ci się już dotrzeć do FAA?

– Właśnie z nimi kończę. Odrzutowiec określił cel lotu jako Freeport na Wielkiej Bahamie. Według archiwów FAA ten sam odrzutowiec przez ostatnie kilka lat dwa razy w miesiącu latał na tej trasie.

– I wszystko jasne. Dzięki, Bug.

Grace odchyliła się w fotelu i zamknęła oczy. Do lądowania pozostało jeszcze parę godzin, a do tej pory nic nie mogła zrobić. Podśluchiwała kanał dowodzenia, kiedy Joe przenikał do Decku, i przez cały czas serce miała w gardle. Częściowo ze względu na przytłaczająco wysoką stawkę, o jaką grali, a częściowo ze względu na Joego.

Joe.

Wcześniej rano, gdy skończyli się kochać, powiedziała mu, że go kocha. Przysięgała sobie, że póki nosi mundur, nigdy nie wypowie tych słów do nikogo. Było to głupie, niewłaściwe i niebezpieczne.

Później tego ranka nie odezwała się do niego ani słowem. Była zbyt zawstydzona i przestraszona, że blask dnia mógł ukazać, do jakich zniszczeń doprowadziła ich intymna rozmowa. A później, rzecz jasna, wszystko zaczęło się dziać.

Grace żałowała, że nie może cofnąć czasu i tych słów. Albo, gdyby to się nie udało, by mieć dość odwagi, pozostać przez całą noc i rano z nim porozmawiać. Ona jednak uciekła – ten jeden akt tchórzostwa w życiu pełnym ryzyka.

Rankiem, kiedy to powiedziała, Joe powinien zrobić jej wykład na temat niebezpieczeństw zbyt bliskiego zbliżania się do towarzysza broni. To nigdy nie było mądre i zwykle kończyło się złamanym sercem, w taki lub inny sposób, co obejmowało również całkiem realną możliwość, że zostanie wyrzucona z WDN i odesłana do Anglii z kończącą karierę naganą w aktach. Już nigdy nie mogłaby pracować w jednostkach specjalnych, o ile nie zdecydowałaby się ruszyć do walki z za biurka.

Zrobiło jej się niedobrze i głupio, że wypowiedziała te słowa. A jeszcze gorzej, o wiele gorzej, że Joe odpowiedział jej tym samym.

„Kocham cię, Grace”.

Słyszała echo tych słów, jakby Joe szeptał je do jej ucha, kiedy ich samolot przecinał niebo.

„Kocham cię, Grace”.

– Boże – szepnęła, a jej zastępca Redman podniósł wzrok.

– Pani major?

Potrząsnęła głową i znów zamknęła oczy.

Rozdział sto drugi

*Deck,
poniedziałek, 30 sierpnia, 18.40
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
41 godzin, 20 minut EST*

Szedłem przez Deck szybko, ale swobodnie. Na pustym biurku znalazłem podkładkę z papierem do pisania i zabrałem ją. Za każdym razem, kiedy widziałem kogoś, kto wyglądał choć trochę oficjalnie, wpatrywałem się w podkładkę i mamrotałem pod nosem, używając bezsensownego żargonu komputerowego. Bug musiał mnie słyszeć, bo w słuchawce rozbrzmiewał jego cichy chichot.

KIM przeprowadził mnie przez sale wspólne w stronę centrów badawczych. Jego znajomość Decku kończyła się w tym miejscu, co mi nie przeszkadzało. Nie zamierzałem zbyt długo kręcić się po okolicy. Deck miał wiele poziomów, a ja poruszałem się po nim, wykorzystując schody ruchome, zwykłe schody i ruchome chodniki. Kilka razy wydawało mi się, że znów widziałem KIMa – albo dzieciaka, który wyglądał jak on – ale za każdym razem wokół byli inni ludzie i nie mogłem ryzykować nawiązania kontaktu. To była tajemnica do późniejszego rozwiązania.

Dotarłem na poziom oznaczony tabliczką NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY, co było trochę zabawne, bo znajdowałem się przecież w tajnym laboratorium maniaka planującego zniszczyć świat. Ale biurokracja pewnie

jest wszędzie.

Wykorzystałem kolejny czujnik Buga, by zresetować uniwersalną kartę, a później wślizgnąłem się do środka. Wzdłuż czterech ścian wielkiego pomieszczenia biegła otoczona szkłem metalowa kładka. Wewnątrz znajdowały się rzędy wielkich zbiorników na potężnych metalowych kołyskach, które poruszały się do przodu i do tyłu. Zbiorniki miały szklane pokrywy z niebieskimi światłkami, które wypełniały pomieszczenie upiornym blaskiem. Zbiorników było co najmniej trzydzieści, wszystkie połączone z komputerami na podłodze i siecią przewodów oraz rurek na górze. Nachyliłem się nad szkłem i zobaczyłem pół tuzina techników w kombinezonach przeciwskażeniowych, ustawiających pokręta, pracujących przy stacjach roboczych albo odczytujących wskaźniki. Wszędzie wisiały wielkie znaki ostrzegające przed skażeniem biologicznym.

– Widzicie to? – szepnąłem.

– Tak. – Church nie wydawał się uszczęśliwiony. – Przejdź dookoła i sprawdź, czy uda ci się pokazać zbiorniki pod lepszym kątem.

Ruszyłem dalej, udając, że coś notuję na papierze, aż znalazłem miejsce, skąd dobrze widziałem najbliższy zbiornik.

– A niech mnie!

Doktor Hu po raz pierwszy wydawał się raczej zaniepokojony niż podekscytowany czymś związanym z nauką.

– Na co patrzę?

– Coś, o czym tylko słyszałem, ale nie spodziewałem się zobaczyć. To urządzenie wygląda jak ogromna wersja bioreaktora do wytwarzania szczepionek, ale ta skala!

– Bioreaktor?

– Urządzenie, w którym podłoże hodowlane i komórki umieszcza się na sterylnej, syntetycznej błonie zwanej Cellbag, którą następnie kołysze się do przodu i do tyłu. Kołysanie

wywołuje fale w płynie zawierającym kolonie komórek i umożliwia natlenienie. Efektem jest doskonałe środowisko dla wzrostu komórek. GE produkowało je już w połowie lat dziewięćdziesiątych, ale o maksymalnej pojemności pięciuset litrów. Te tutaj są wielkości... muszą mieścić...

– „Dwadzieścia tysięcy litrów” – przeczytałem z boku zbiornika.

– Jezu.

– Trochę jakby wątpię, żeby tu wytwarzali szczepionki – powiedziałem. – Czy to może być sposób, w jaki masowo rozmnażają patogeny?

– Możliwe – powiedział Hu z wahaniem – ale jeśli tak jest, ten, kto to zaprojektował, prowadzi produkcję na zupełnie nową skalę. To jest przerażające.

– Uwierz mi, doktorze, że w tej chwili się trzęsę.

– Kapitanie Ledger – powiedział Church – niech się pan stamtąd wynosi. Mamy dość dowodów, by zamknąć ten obiekt, kiedy zabezpieczymy urządzenie wyzwalające. Niech pan opuści budynek i uda się na spotkanie z oddziałem Echo.

– Chcę, żeby oddział Echo zapewnił wsparcie oddziałowi Alfa, kiedy ten zaatakuje Fabrykę Smoków.

– To zależy od sytuacji. Alfa może nie móc poczekać na wasze przybycie.

– Przyjąłem. Wynoszę się stąd.

Chciałem biec, ale musiałem grać swoją rolę. Powoli ruszyłem do wyjścia, ale w drzwiach odwróciłem się i spojrzałem raz jeszcze przez szkło na rzędy powoli kołyszących się zbiorników. Na niezbity dowód, że na świecie istnieje zło. Nie jako koncepcja, nie jako abstrakcja, ale niezaprzeczalna rzeczywistość. Właśnie tu, w tych zbiornikach. I wiedziałem, że Fala Wymierania miała uderzyć w ciągu dwóch dni, że przygotowane do niej patogeny już stąd wyjechały, zostały rozproszone po Afryce i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze.

To było coś więcej. Więcej zła, więcej niebezpieczeństwa, szykowanego w całkiem dosłowny sposób. Kto był następny? Kogo jeszcze planowali zabić ci szaleńcy? Wszystkie rasy poza starannie wybranymi nielicznymi? Boże, wściekłość płonąca w moich żyłach była nie do zniesienia.

Jak można pogodzić się ze światem, w którym istniały potwory takie jak Cyrus Jakoby? Wpatrywałem się w dzieło tego człowieka i próbowałem pojąć ogrom tego, co zrobił, i grozę tego, co zamierzał zrobić. Ten mężczyzna był gotów zabić miliony – dziesiątki milionów – zakazić całe populacje, wyniszczyć całe rasy.

Jak można walczyć przeciwko czemuś takiemu? Hitler od siedemdziesięciu lat spoczywa w grobie, a jego wizje wciąż kalają nasz współczesny świat. Co kieruje człowiekiem takim jak Cyrus Jakoby, by wciąż realizować tak nieludzki program? Wyposażenie tego pomieszczenia świadczyło o ogromnej inteligencji, wyobraźni i determinacji. Przełamał bariery w genetyce, wirusologii, produkcji biologicznej – aspekty nauki, które mogły przynieść korzyść ludzkości, a w jakim celu? By niszczyć. By eksterminować ludzi, jakby byli wszami.

Nienawiść. Coś, co mogę zrozumieć. W tej chwili, kiedy stałem na kładce nad rzędami bioreaktorów, wypełniała mnie nienawiść tak potężna, że od rozgorączkowania przeszedłem do dziwnej lodowatej przestrzeni. Odwróciłem się i ruszyłem do drzwi. Musiałem wydostać się na powietrze. Musiałem być z WDN, kiedy dopadną Jakoby i resztę Koterii, a jeśli było to w mojej mocy, zamierzałem dopilnować, by tym razem zostali powstrzymani na dobre. Powstrzymani, rozerwani na strzępy i rzućeni na wiatr.

Kiedy szedłem korytarzami i wspinałem się po schodach, myślałem, co byśmy zrobili, gdybyśmy pojмали Jakoby żywcem. Jak można ukarać kogoś takiego? Kula wydaje się taka prosta. Zbyt łatwa. Jeden strzał i umiera, znika.

Tortury?

Rany, to była jedna wielka puszka Pandory. Osobiście serce mam po lewej stronie, ale chwilami bywam twardogłowy. Gość taki jak Jakoby, gotów zabić wszystkich ciemnoskórych mieszkańców Afryki. Nienawidzę tego w sobie, ale wiem, że gdybym znalazł się sam na sam w pokoju z tym skurwysynem, nie pozostałbym obojętny. Gdybym mógł sprawić, by trwało to przez rok, by krzyczał w udęce, czy to byłoby wystarczającym zadośćuczynieniem? Kiedy zbrodnia jest tak ogromna, że obejmuje dziesięciolecia, przekracza wszystkie granice, zmienia kultury, pochłania słabych i silnych, jaka możliwa forma kary byłaby stosowna? Gdzie jest sprawiedliwość w obliczu prawdziwego, czystego zła?

Mógłbym wykorzystać jego archiwa, jego wyznania, by wyruszyć na świętą wojnę przeciwko tym, którzy wyznają ideały eugeniki, czystek rasowych i rasy panów. Mógłbym rozpaść ten ogień – ale jak duża była szansa, że powstały pożar spaliłyby tylko winnych? Wojna to szaleństwo, a gdy świszczą kule i wybuchają bomby, wielu ludzi wykorzystuje pożogę, by wyrównać osobiste rachunki, coś zyskać albo po prostu się zabawić.

Nie. Nie mogłem tego zrobić.

Miałem lepszy plan. Nie przyniosłoby pokoju ofiarom Cyrusa Jakoby, ale osiągnąłby coś, co nie udało się kuli ani sznurowi.

Zabolałoby go.

Z umysłem pełnym tych mrocznych myśli ostrożnie opuściłem Deck, przeszedłem tor przeszkód z kamerami, a później przebiegłem resztę drogi do miejsca, gdzie czekali Starszy i Królik.

– Brytole lądują – powiedział Starszy.

Rozdział sto trzeci

***W locie,
wtorek, 31 sierpnia, 01.27
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
34 godziny, 33 minuty EST***

– Panie Church – odezwała się Grace – sądzę, że znaleźliśmy Fabrykę Smoków.

Na Florydzie oddział Alfa przesiadł się do helikoptera marynarki, który wylądował na plaży opuszczonej wysepki piętnaście mil morskich od Dogfish Cay. Czekali na transport na pokładzie USS *New Mexico*, okrętu podwodnego typu Virginia, który patrolował te wody. Oddział Alfa czekał w kabinie dziobowej dużego kutra rybackiego należącego do DEA. Jego kapitan, agent, któremu pozostały zaledwie dwa lata do emerytury, dostał od swojego szefa polecenie „nie zadawać żadnych pytań” i nie miał problemu z jego wypełnieniem. Musiał jedynie stać na kotwicy i udawać, że łowi ryby.

– Mów.

Church siedział w COT i przez ostatnią godzinę rozmawiał przez telefon z prezydentem. W jego głosie brzmiało nietypowe zmęczenie.

– Odrzutowiec Jakoby wylądował na Wielkiej Bahamie, a pasażerowie przesiedli się do wodnosamolotu, który poleciał na Dogfish Cay. *New Mexico* zabierze nas na odległość półtora kilometra, a trzydzieści minut po zachodzie słońca wejdziemy do

wody i resztę przepłyniemy.

– Dobrze. Kapitan Ledger i oddział Echo znajdą się w wodzie około pięćdziesięciu minut po was. Chcecie poczekać na niego?

– Nie ma czasu. Wykonał swoje zadanie w Ulu i w Arizonie. Chciałabym mieć kawałek dla siebie.

– Bądź ostrożna, Grace. Joe miał informacje od kogoś stamtąd, ty ich nie masz.

Grace zaskoczyło, że Church zwrócił się do niej po imieniu. Rzadko to robił, a ona uznała to za jednocześnie wzruszające i odrobinę niepokojące.

– Będę ostrożna. I dorwę to pieprzone urządzenie wyzwalające, choćbym miała obciąć głowę Cyrusowi Jakoby.

– Nie mam nic przeciwko takiemu rozwojowi sytuacji – stwierdził Church i się rozłączył.

Poszła na pokład, a później do sterówki, gdzie kapitan siedział z uniesionymi nogami i butelką zimnej coli na brzuchu. Wskazał na lodówkę, a ona wyjęła kolejną butelkę i usiadła na miejscu drugiego oficera. Morze wyglądało wspaniale, zachodzące za wąską linią chmur słońce rzucało fioletowe i pomarańczowe promienie na wodę. Morskie ptaki wracały nieśpiesznie na ląd, a woda chlupotała cicho o kadłub. Grace odkręciła zakrętkę i popijała chłodny napój. Nic nie mówiła, zatonała w myślach, przygotowując się do tego, co miało nadejść. Jej oddział był w doskonałej kondycji i nie mógł się doczekać walki. Ona też.

Kapitan odchrząknął.

– Wzywała pani taksówkę, pani major?

– Co takiego?

Skinął głową w lewo, gdzie z głębin w zadziwiającej i niepokojącej ciszy wydobywał się potężny kształt. Wyszła na pokład i patrzyła, jak długi na 115 metrów okręt unosi się tak, że jego pokład niemal zrównał się z poziomem morza. Jedynie kiosk wznosił się w blasku zachodzącego słońca jak wielki czarny

monolit. Poruszona woda uderzyła mocno o burtę kutra rybackiego i Grace musiała złapać za reling, żeby nie stracić równowagi.

– Duża łódź – stwierdził agent DEA. – Ale pewnie to jedynie moja wyobraźnia sprawia, że widzę tam okręt podwodny.

– Zmierzch nad oceanem – odparła Grace. – Może wywoływać dziwne złudzenia optyczne.

– Z całą pewnością. – Pociągnął łyk coli. – Pani major, nie wiem, co się dzieje, i pewnie nie chcę wiedzieć, ale pani oddział nie wygląda na rekrutów, a oni nie wysyłają najnowocześniejszych okrętów podwodnych na prośbę byle kogo. Nie proszę więc o informacje, ale czy mogłaby mi pani choć powiedzieć, czy jest coś, czym powinienem się przejmować?

Grace zastanawiała się przez chwilę.

– Jest pan wierzący, kapitanie?

– Kiedy pamiętam, żeby pójść do kościoła.

– W takim razie niech pan udaje, że dziś jest niedziela, i się pomodli. Dobrym gościom może się dziś przydać trochę pomocy.

Pokiwał głową i wyciągnął butelkę. Stuknęli się, a później kapitan wrócił na krzesło i udawał, że nie widzi całej broni i sprzętu przeładowywanych z jego łodzi na oczekującego morskiego potwora, który unosił się na coraz ciemniejszej wodzie. Dziesięć minut później był sam na pokładzie, a słońce opadało w stronę horyzontu wśród tak oszłamiających barw, że wydawało się, jakby cały świat płonął. Po raz pierwszy od czasu, gdy kapitan zaczął pracować w tym miejscu, nie podobał mu się zachód słońca. Czerwienie wyglądały jak krew, fiolety jak sińce, a czernie jak śmierć. Uruchomił silniki i zawrócił szerokim łukiem na północny zachód, z powrotem na Wielką Bahamę.

Rozdział sto czwarty

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 02.18
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 42 minuty EST*

Choć był środek nocy, Hekate trzymała ojca pod rękę i oprowadzała go po obiekcie, który wybudowała razem z Parysem. Jej brat szedł po drugiej stronie Cyrusa, ale go nie dotykał. Otto snuł się za nimi. Za plecami miał dwóch niezwykłych mężczyzn – zimnego i milczącego Conrada Vедера, którego przedstawiono jako bliskiego doradcę Cyrusa – i masywnego Berserka Tontona. Choć Veder był wysoki, Tonton górował nad nim, śmierdząc potem i testosteronem.

– Tatusiu – wymruczała Hekate – chcieliśmy ci pokazać, czego tu dokonaliśmy. Myślę, że będziesz z nas dumny.

Od czasu emocjonalnego wybuchu w Decku Hekate zwracała się do ojca „tatusiu”. Choć w normalnych okolicznościach zostałaby za to ostro złajana, tym razem Cyrus wydawał się pod wrażeniem. A w każdym razie tak uważał Otto. Przez cały lot wpatrywał się w twarz Cyrusa, szukając oznak, że nie dał się całkowicie nabrać na tę farsę dziecinnego uwielbienia Bliźnięt, ale Cyrus unikał kontaktu wzrokowego.

– Oczywiście, zwierzaczkę – powiedział Cyrus uspokajającym i, co najbardziej wstrząsnęło Ottonem, ojcowskim głosem. – Zobaczmy, coście wymyśliły, łobuziaki moje.

Najpierw udali się do magazynu.

– Jest pusty – zauważył Otto.

– Owszem. – Parys uśmiechnął się z dumą. – Ostatnie dostawy już wyszły i wszystko jest gotowe na waszą kampanię reklamową. Bawi mnie, że pieniądze na wasze działania będą pochodzić głównie ze sprzedaży legalnego produktu.

Cyrus z uśmiechem pokiwał głową. Otto nic nie powiedział, ale zastanawiał się, czy Bliźnięta jakimś sposobem odkryły, co jest w wodzie. Miały mnóstwo czasu, by przeprowadzić badania biologiczne i DNA próbek wody, ale czy w ogóle wpadło im to do głowy? Przeciągnął wąskim palcem wzdłuż blizny na twarzy, upewniając się, że Veder to widzi. Był to ustalony wcześniej sygnał do zachowania wyjątkowej czujności. Veder podrapał się po uchu. Wiadomość odebrana i zrozumiana.

Noc była cicha i bezkresna, a na niebie migotały miliardy gwiazd, gdy obsadzoną kwiatami ścieżką przeszli z magazynu na nabrzeżu do głównego obiektu. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale światła kompleksu nie zostały włączone. Drogę oświetlały im płonące pochodnie.

Do głównego wejścia do Fabryki Smoków, całego ze szkła, z dwuskrzydłowymi, wysokimi na trzy metry drzwiami, prowadziły krótkie kamienne schodki. Berserkowie w lekkich czarnych mundurach polowych stali na baczność przed otwartymi drzwiami. Wchodząc do środka, Cyrus uśmiechnął się do nich, ale nic nie powiedział, natomiast Otto dotknął ramienia Parysa.

– To są GMO? Wasi „Berserkowie”?

Parys pokiwał głową.

– Tak samo jak Tonton. Ci strażnicy są z drugiego oddziału.

– Czyli zostali sprawdzeni w terenie?

– Kilka razy.

– A kwestia, którą omawialiście w Decku?

– Och, to się dzieje tylko w terenie. W czasie przestoju są

całkiem sympatyczni.

Parys gestem wskazał Ottonowi wejście do budynku. Veder, który pozostał nieco z tyłu, zauważył lekki uśmiezek na zwierzęcej twarzy Tontona.

* * *

W obiekcie Hekate przeprowadziła ich przez szereg laboratoriów, a choć w większości z nich nie znajdowało się nic nowego ani interesującego, Cyrus przez cały czas uśmiechał się i kiwał głową, jakby wszystko było dla niego nieznanie i ekscytujące jak sklep z zabawkami. Kilka razy wskazywał na sprzęty i pytał, czy mógłby mieć takie w Decku.

Hekate obiecała mu wszystko. Cyrus był niezmiernie zadowolony.

Przeszli przez główny kompleks laboratoriów i Cyrus nagle się zatrzymał, wpatrując się z otwartymi ustami w rzeźbę zajmującą środek pomieszczenia. Kaduceusz z alabastrowej kolumny, złotej blachy i klejnotów. Wokół laski owijały się bliźniacze białe smoki.

– Piękne... – wyszeptał.

Hekate i Parys wymienili ukradkowe uśmiechy.

– Imponujące – mruknął Otto z całkowitym brakiem szacunku. Równie dobrze mógłby oceniać połamaną skorupę małży na plaży.

Wpatrywał się w Cyrusa i pożerały go wątpliwości. Cyrus przez większość czasu był niestabilny, a teraz wydawał się oszołomiony cudami Fabryki Smoków. Czy zdrada Bliźniąt obluzowała coś w jego umyśle? – zastanawiał się Otto. Było to całkiem możliwe. Otto nosił w kieszeni rozmaite tabletki, by radzić sobie z różnymi skrajnymi stanami uczuciowymi, ale jeśli miał być szczery, nie wiedział, która z nich nadałaby się w takiej

sytuacji – jeśli w ogóle konieczna była pigułka.

– A teraz, tatusiu – powiedziała Hekate, gdy zatrzymali się przed potężnymi wzmocnianymi drzwiami pilnowanymi przez dwóch kolejnych Berserków – przechodzimy do prawdziwego serca Fabryki Smoków. Sala Mitu. Tu tworzymy prawdziwe cuda!

Cyrus zaklaskał.

Hekate położyła dłoń na skanerze i zaczęła, aż laser odczyta każdą linię, łuk i płaszczyznę jej dłoni i palców. Zapaliło się zielone światełko i ze ściany wysunął się nieduży czytnik kart. Hekate sięgnęła za dekolt swojej brzoskwiowej bluzki, wyciągając kartę magnetyczną na smyczy. Przesunęła kartę i ciężkie zamki otworzyły się przy akompaniamencie hydraulicznych syków. Jeden z Berserków chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Były grube jak w bankowym skarbcu, ale otworzyły się bezszelestnie.

Hekate weszła do środka i gestem wezwała ojca. Cała wycieczka przeszła przez drzwi i od razu się zatrzymała. Nawet Otto zapomniał na chwilę o cynicznej pogardzie, gdy rozglądali się wokół, patrząc na rzeczy stworzone przez Bliźnięta. Na ożywione niemożliwe.

Pomieszczenie zaprojektowano tak, by wyglądało jak las z fantastycznej opowieści. Na ścianach wymalowano fotorealistyczne łańcuchy górskie. Holograficzne projekcje chmur unosiły się na niebie, które przypominało obrazy Maxfielda Parrisha. Tysiące egzotycznych roślin i drzew rozmieszczono na wzgórzach wyrzeźbionych z prawdziwych skał i ziemi. Na gałęzi pobliskiego drzewa przycupnął skrzydlaty, upierzony wąż, wpatrywał się w nich bursztynowymi oczami. Idealnie oddawał wyglądem Quetzalcoatl z azteckich mitów. W pewnej odległości para śnieżnobiałych jednoroźców pasła się na polu żubrówki. Obok przeszło kilku malutkich ludzi, żaden nie miał więcej niż pół metra wzrostu. Mieli zielone ubranka i spiczaste uszy. Mijając ich, uchylili kapeluszy przed Hekate,

która dygnęła. Rozległo się szorstkie parsknięcie, a kiedy zebrani się odwrócili, obok nich przebiegł koń. Dumnie odrzucił głowę do tyłu, a wzdłuż jego muskularnych boków leżały złożone złote skrzydła.

– Czy... czy to coś umie latać?

– Jeszcze nie – przyznał Parys – ale to pierwszy okaz, u którego w pełni wykształciły się skrzydła. Musimy znacznie zmniejszyć gęstość mięśni koni, by wyposażyć je w puste kości. Inaczej skrzydła będą jedynie dekoracją.

Owadzi chłód Conrada Vedera zniknął, mężczyzna patrzył z uśmiechem na tłustego europejskiego smoka, który przeszedł obok kołyszącym krokiem. Stwór wyglądał jak brontozaur wielkości jamnika, wyposażony w błoniaste skrzydła.

Parys uśmiechnął się do niego.

– To prototyp. Smok arturiański. Jak na razie udały się nam jedynie miniatury. Ten tu George jest najstarszy z szóstki, którą mamy. Ma cztery lata.

Smok George podszedł do Parysa i uderzał łbem o jego udo, aż mężczyzna wyciągnął z kieszeni smakołyk i pozwolił, by smok zjadł mu go z dłoni.

– To baton musli. Dużo białka i witamin, ale też cukier, sezam i orzechy. Uwielbia je, dlatego jest taki gruby. No dalej, sio...

Smok odszedł powoli, żując przekąskę.

Obok nich przejechał z głośnym tętentem większy kształt. Dolna połowa wyglądała jak piękny koń rasy clydesdale, ale górna była mężczyzną o szerokiej piersi. Popatrzył z przerażeniem na obcych i szybko odjechał.

– Tworzycie ludzko-zwierzęce hybrydy? – spytał Otto.

– Kilka – odparł Parys. – Centaur był jedną z pierwszych, ale nie przystosował się psychologicznie. Nie jest prawdziwym okazem. Wymagał dużo chirurgii i szeroko zakrojonej terapii genetycznej, zarówno przed zabiegiem, jak i po nim. Włożyliśmy dużo pieniędzy w tę linię, ale myślę, że to może być ślepa uliczka.

Zbyt dużo problemów z genami, które kodują w niespodziewany sposób.

– Odnieśliście jakieś sukcesy z ludzko-zwierzęcymi organizmami transgenicznymi? To znaczy poza Berserkami.

– Kilka – powiedziała krótko Hekate. – I jeśli mam być szczerą, one trochę niepokoją kupców. Ludzie pragną egzotycznych zwierząt. Jednorożce, miniaturowe gryfy, smoki, tego typu rzeczy. Choć elfy i koboldy są całkiem popularne. Teraz, kiedy wieści rozeszły się pocztą pantoflową, dostajemy zamówienia na egzotyki, o których sami nie pomyśleliśmy.

– Na przykład? – spytał Cyrus.

– Mieliśmy kilkanaście zamówień na Cerbera, ale nie udało się nam go stworzyć. Za to dla koreańskiego kupca zrobiliśmy samjoko, ptaka o trzech nogach. Rok temu sprzedaliśmy diabła z Jersey, mamy też zamówienia na chupacabry. I gargulce. Dostajemy na nie sporo zamówień.

– To... – zaczął mówić Veder, ale nagle przypomniał sobie, gdzie się znajdował i z jakiego powodu, i nie dokończył.

Parys uśmiechnął się do niego.

– Wielu ludziom brakuje słów. Powinniście widzieć miny grupy chińskich kupców, kiedy pokazaliśmy im prawdziwego latającego chińskiego smoka. Był mały, rzecz jasna, ale kupcy oniemieli.

Cyrus oddalił się o kilka kroków od grupy i pochylił, by pogłaskać po łbie węża morskiego wielkości łabędzia, który wzniósł się ponad sadzawką ze złotymi rybkami. Zwierzę cofnęło się z początku, ale Cyrus mówił do niego przyjaźnie, aż znów się przybliżyło.

– To nasz prototyp Nessie. Łatwy projekt. Chcemy, żeby osiągnęły wielkość konia, nim zaczniemy je sprzedawać.

– Cudowne – wymruczał Cyrus. – Absolutnie cudowne.

Hekate się rozpromieniła, a Parys uśmiechnął. Otto i Veder wymienili znaczące spojrzenia.

– Macie klientów na całym świecie? – Cyrus drapał węża morskiego po szyi.

– Tak.

– Co za pech.

– Przepraszam? – spytała Hekate.

Cyrus uśmiechnął się i nie odwracając się powiedział:

– Co za pech, ponieważ za niecałe dwa dni pomożecie mi zabić większość z nich.

– Co takiego? – spytał Parys.

– Naszych klientów? – spytała Hekate.

Cyrus odwrócił głowę. Jego uśmiech nie był już mdłym grymasem ojca zadowolonego z wyczynów bystrych dzieciaków. Przypominał wyszczerzone zęby czaszki, a przepełniała go taka nienawiść, że Bliźnięta cofnęły się o krok.

– Nie, moi młodzi bogowie – powiedział Cyrus cicho – jutro w południe wy i ja rozpoczniemy Falę Wymierania. Obawiam się, że za rok o tej porze większość waszych klientów będzie martwa.

Wyciągnął rękę, złapał węża morskiego za smukłą szyję i gwałtownym szarpnięciem nadgarstka złamał mu kręgosłup.

– A martwi nie potrzebują pieprzonych zabawek.

Rozdział sto piąty

Ocean Atlantycki, trzy kilometry od Dogfish Cay Godzinę wcześniej

Przemierzali bezgłośnie czarne wody Północnego Atlantyku. Dziewięć postaci w kombinezonach nurkowych, ze zbiornikami, każda skulona nad kadłubem skutera podwodnego K-101 Hydrospeeder, który przecinał wodę z prędkością niemal piętnastu kilometrów na godzinę. Skutery nie były wersją dostępną w sprzedaży – te prototypy testowali marines i jednostki marynarki w oceanach i jeziorach na całym świecie. Pan Church zadzwonił i tuzin trafił na pokład USS *New Mexico*. Grace była przekonana, że nikt poza Churchem nie mógł zrobić tego tak szybko. Trzy skutery pozostawili na wypadek, gdyby Joe i jego oddział ich potrzebowali. Oddział Alfa opuścił okręt podwodny trzydzieści minut po zachodzie słońca. Nurkowie z *New Mexico* chcieli pójść z nimi, a kapitan okrętu chciał ich wysłać, Grace jednak dała im do zrozumienia, że była to sytuacja z gatunku „im mniej, tym lepiej”.

– Ale, kapitanie – dodała w zaufaniu – niech pańscy chłopcy mają na sobie kombinezony, bo w pewnej chwili najprawdopodobniej zrobi się bardzo głośno. A wtedy będę potrzebowała całego wsparcia, jakie może pan wysłać.

– Dostaniecie je – obiecał kapitan.

Sam był kiedyś w SEAL, a gdy się zestarzał, wrócił na okręty podwodne. Miał błysk w oku i Grace opuściła okręt pewna, że jej

nie zawiedzie.

Zanim wślizgnęła się do wody, wykonała dwie ostatnie rozmowy. Na początek skontaktowała się z Churchem, by dowiedzieć się, jak wygląda kwestia wsparcia.

– Pani major, proszę zwrócić uwagę, że w waszej okolicy jest wyjątkowo dużo łodzi wszelkiego rodzaju. Sprawdzamy teraz, czy pojawiły się niezwykle duże stada ryb.

– Żaden problem. Przepłyniemy pod nimi, ale będziemy uważać na sieci i haczyki. Jak moje wsparcie?

– Każdy agent WDN z kontynentalnych Stanów Zjednoczonych zbliża się do was, pani major. W ciągu godziny będziemy mieli na wyspie czterdziestu sześciu agentów. Oddziały Piąty i Szósty SEAL również kierują się w tę stronę, będziemy mieli także dwudziestu agentów z Delty, jeśli będziemy ich potrzebować, ale to dopiero za godzinę dziesięć. Joe i oddział Echo dotrą jako pierwsi, ale on wciąż jest czterdzieści minut za wami. Prosił, żeby ci przekazać, że macie mu zostawić coś do zrobienia.

– Pieprzony Jankes – powiedziała, a po chwili dodała: – Czy mogę prosić o bezpieczne połączenie z Ledgerem, zanim wyruszymy?

Church zawahał się.

– Jak bezpieczne?

Pytanie przekonało Grace, iż Church jest świadom romansu dwójki swoich najstarszych rangą dowódców. Cieszyła się, że Church nie widzi jej twarzy. Pieprzyć to, pomyślała.

– Bardzo.

– Załatwię to.

– Panie Church, nie chcę kolejnych ludzi na wyspie, dopóki nie zdobędę tego urządzenia wyzwalającego. Nie możemy pokazać się za wcześnie, nie w sytuacji, w której naciśnięcie guzika może doprowadzić do dnia sądu ostatecznego.

– Przyjąłem. Ale proszę to zrozumieć, pani major, jeśli nie dostaniemy od was tego sygnału w ciągu trzydziestu minut od

lądowania na wyspie, to zrzucimy na nią bombę E. Wasza elektronika zostanie usmażona razem z całą resztą.

– Wtedy wystrzelę flarę. Niebieską, jeśli będę miała urządzenie, czerwoną, jeśli nie.

– Wolałbym zobaczyć niebieską flarę. – Po chwili Church dodał: – Grace, nie możemy pozwolić, by Cyrus wysłał ten kod. Jeśli jest na wyspie, a ja nie zobaczę w ustalonym czasie niebieskiej flary, to EMP może nie być jedyną bombą, którą będę zmuszony zrzucić.

– Rozumiem. W słowie „zespół” nie ma „ja”.

Zaśmiał się.

– Udanych łowów, pani major.

Rozłączył się, a po minucie odezwał się do niej Bug z informacją, że nawiązał bezpieczne połączenie z Ledgerem.

– Tu Kowboj – powiedział Ledger.

– Joe, to bezpieczne połączenie. Tylko my. Żadnych uszu.

– A niech mnie. Dobrze usłyszeć twój głos.

– Joe, przepraszam za dzisiejszy ranek. Nie chciałam cię ignorować...

– Nie przejmuj się. To były dziwne dni.

– A co się tyczy dzisiejszego ranka... tego, co powiedziałam.

– Tak.

– Ja... czy możemy udawać, że tego nie powiedziałam? Czy możemy cofnąć zegar i zresetować system?

– Nie wiem. Możemy?

– Musimy.

– Naprawdę?

– Wiesz, co robimy.

Ledger nic nie powiedział.

– Joe, gra toczy się o zbyt wysoką stawkę. Kiedy dotrzesz na wyspę, musisz być mądry. Jestem tylko jednym z żołnierzy. Ty też. Jesteśmy zawodowcami, nie parą dzieciaków. Jeśli dziś w nocy będzie gorąco, musimy przestrzegać procedur, trzymać

się tego, czego nas nauczono, i nie pozwalać, by kierowały nami emocje. I tyle.

Doliczyła do pięciu w ciężkiej ciszy, a później Ledger stwierdził:

- Słyszałem cię.
- Nie to chciałam usłyszeć. Rozumiesz?
- Tak – powiedział ze smutkiem. – Misja jest najważniejsza.
- Misja jest najważniejsza, Joe. Zobaczymy się na miejscu.
- Będę tam. Aha, Grace...?
- Tak?
- Udanych łowów, pani major.
- Udanych łowów, kapitanie.

Rozłączyła się.

To wydarzyło się przed godziną.

Teraz leżała na Hydrospeederze, który przecinał wodę, kierując się w stronę Fabryki Smoków. Za przezroczystym szkłem gogli oczy Grace Courtland były twardymi, bezlitosnymi oczyma drapieżnika. Były oczyma żołnierza idącego na wojnę.

Były oczyma zabójcy.

Rozdział sto szósty

W locie nad Północnym Atlantykiem Trzydzieści pięć minut wcześniej

Stałem za pilotem, a jeśli moje palce zaciskały się odrobinę za mocno na miękkiej skórze jego fotela, do diabła z tym. Wyglądałem przez okno kokpitu na czarny ocean poniżej.

– Kapitanie – powiedział pilot – pańskie życzenia nie sprawią, że ten ptaszek poleci szybciej.

– Kto wie? – odparłem, a on się roześmiał.

Drugi pilot trącił mnie w ramię.

– Ma pan rozmowę na bezpiecznym kanale drugim.

Wróciłem do kabiny pasażerskiej i założyłem słuchawkę.

– Tu Kowboj.

– Ryby są w wodzie – powiedział Church. – Dwie minuty do wyjścia na brzeg. Jaki jest wasz przewidywany czas przybycia?

– Cel za dwadzieścia, później zrzut.

– Udanych łowów, kapitanie.

– Jasne. – Rozłączyłem się.

Starszy i Królik byli już gotowi, założyli spadochrony i po trzy razy sprawdzili broń. Wszyscy mieliśmy mnóstwo dodatkowych magazynków, granatów odłamkowych i błyskowo-hukowych, noży i wszystkiego innego, co mogliśmy ze sobą zabrać. Gdybyśmy wylądowali w morzu zamiast na lądzie, zatonęlibyśmy jak kamień.

– Oddział Alfa dotrze na wyspę za niecałe dwie minuty.

– Chciałbym być tam z nimi, szefie – powiedział Królik.

Starszy wpatrywał się we mnie przez kilka sekund.

– Nie wypada mi udzielać rad oficerowi, w końcu jestem jedynie skromnym starszym sierżantem i w ogóle.

Posłałem mu spojrzenie.

– Ale jestem pewien, że kiedy dotrzemy do tej beczułki, zostanie w niej jeszcze dość piwa.

– Lepiej, żeby tak było – warknąłem.

Rozdział sto siódmy

***Sala Mitu,
wtorek, 31 sierpnia, 02.21
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 39 minut EST***

Hekate i Parys patrzyli wstrząśnięci i przerażeni, jak ich ojciec odrzuca na bok martwego węża morskiego i wstaje.

– O... o czym ty mówisz? – spytała Hekate.

Parys jąkał się niezdolny wypowiedzieć ani słowa.

Cyrus szyderczo naśladował bełkot syna.

– T-t-tak mi przykro, Parysie, czy mówiłem zbyt szybko? Użyłem zbyt wielu skomplikowanych słów? A może po prostu jesteś tak głupi, jak się obawiałem przez te wszystkie lata?

Jeśli Parys zamierzał coś powiedzieć, te słowa sprawiły, że umilkł gwałtownie.

Cyrus odwrócił się do Hekate.

– A ty, ty dzika suko. Do tej pory miałem o tobie lepsze mniemanie. Naprawdę sądziłaś, że mnie oszukałaś. „Tatusiu”? – wypluł to słowo z pełną odrazą. – Mam nadzieję, że kiedy zdziecinnieję tak bardzo, że dam się nabrać na pochlebstwa, Otto wpakuje mi kulkę w mózg.

Otto uśmiechnął się i uklonił, po czym obaj z Cyrusem zaczęli się śmiać.

Hekate patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– Chwileczkę, co się tutaj dzieje?

– Amerykanie nazywają to chyba „zapłata”.

– Za co? – Parys w końcu odzyskał głos.

– A ile czasu macie? – spytał szyderczo Cyrus. – Za te wszystkie lata, kiedy wasza dwójka uważała, że uwięziła mnie w Decku. Za traktowanie mnie jak nudnego starego głupca. Za brak szacunku, jaki okazujecie mi każdym swoim gestem, nawet kiedy udajecie szacunek. Za próbę kradzieży archiwów Heinricha Haeckla. Za próbę kontrolowania mnie poprzez zatrudnienie w Decku swoich przydupasów.

Otto się roześmiał.

– Chwileczkę... to wy wysłaliście Rosjan do mieszkania Gilpina? I Deep Iron?

– Oczywiście. Te archiwa miały trafić do mnie. Nieszczęśliwy przypadek sprawił, że Heinrich zmarł, zanim zdążył mi przekazać informację, gdzie przechowywano archiwum. Nawet jego rodzina nie wiedziała, co zmagazynował ani gdzie. Przez lata sądziliśmy, że te wszystkie cudowne badania zaginęły. Później w jednej z tych szczęśliwych chwil, które potwierdzają istnienie sprawiedliwego i kochającego Boga, Burt Gilpin zwrócił się do jednego z agentów Ottona z informacją o archiwum wczesnych badań genetycznych. A co odkryliśmy? Że Gilpin pracował kiedyś dla Bliźniąt Jakoby, że doradzał im w sprawach informatycznych. Nasi rosyjscy przyjaciele zachęcili go do mówienia i opowiedział nam, jak pomógł legendarnym Bliźniętom Jakoby zainstalować rewolucyjny system komputerowy zwany Pangeą. Wiecie, że stworzył dla siebie klona Pangei? Że wykorzystywał go, by kraść wyniki badań medycznych dokładnie tak, jak wy je kradliście? Tyle tylko, że popełnił błąd, usiłując sprzedać je hurtowo... i próbował sprzedać je Ottonowi.

Cyrus powoli pokręcił głową.

– Bardzo nieładnie, że ukradliście mi schemat Pangei, ale jest to coś, za co was przynajmniej podziwiam. Zrobiliście chociaż coś

inteligentnego, ale później całkowicie przekreśliliście to głupotą, jaką było zaprzyjaźnienie się z tym pasożytem Sunderlandem i próba kradzieży MindReadera.

– Skąd...

– Skąd o tym wiem? – przerwał mu Cyrus. – Bo większość ludzi, którym ufacie, pracuje dla mnie. Wiem o głupim pomysle, by poszczuć Agencję Bezpieczeństwa Narodowego na Wojskowy Departament Nauki. Jakie prochy braliście, kiedy wpadliście na ten pomysł? Naprawdę myśleliście, że uda się wam powstrzymać Diakona, skoro nie udało się to całej Koterii?

Hekate i Parys robili wrażenie oszołomionych.

– Wy nawet nie wiecie, o czym mówię, czyż nie? Nie wiecie, kim jest Diakon, prawda? Nie wiecie o Koterii... o tym, co powinno być waszym dziedzictwem. Jesteście tak piekielnie głupi, że naprawdę mnie rozczarowujecie. Myśleliście, że kiedykolwiek byłem waszym więźniem? Kiedykolwiek? Należą do mnie wszyscy, których postawiliście na straży. Od samego początku. Myślicie, że jesteście tacy sprytni, moi młodzi bogowie, ale przybyłem, by powiedzieć wam, że bawicie się w dziecięce gierki z dorosłymi.

– My nigdy nie... – zaczął mówić Parys.

Cyrus jednak podszedł szybko do niego i spoliczkował go tak mocno, że Parysa obróciło. Upadłby, gdyby Tonton nie podszedł i go nie złapał.

– Nigdy się przede mną nie usprawiedliwiał, chłopcze. To jedyne, co robiłeś. Jako dziecko byłeś rozczarowaniem, a jako mężczyzna jesteś żartem. Przynajmniej twoja siostra ma dość opanowania, by nic nie mówić, kiedy nie ma nic użytecznego do powiedzenia.

Kiedy Tonton się poruszył, Conrad Veder wykorzystał tę okazję, by zmienić pozycję. W kaburze ukrytej pod spodniami miał plastikowy czterostrzałowy pistolet. Do tego amunicja ceramiczna, bezłuskowa, zaprojektowana, by wybuchnąć

wewnątrz ludzkiej czaszki. Mógł go wydobyć i wystrzelić w ciągu niecałej sekundy.

– Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że zamierzasz zabić naszych klientów? – spytała Hekate.

Cyrus się uśmiechnął.

– Widzisz, Parysie? Kiedy ona się odzywa, zadaje inteligentne pytanie. – Założył ręce za plecami. – Z pewnością zastanawialiście się nad wodą. Czy coś w niej jest. – Kiedy Hekate przytaknęła, spytał: – Sprawdziliście ją?

– Oczywiście. Nie znaleźliśmy śladów trucizn ani patogenów.

– Naturalnie, że nie. W wodzie nie ma patogenów.

Hekate pokiwała głową.

– Geny. Wymyśliłeś, jak przeprowadzić terapię genową za pomocą filtrowanej wody.

Cyrus wydawał się zadowolony.

– Zawsze byłaś moją ulubienicą, Hekate. Nie jesteś tak całkowitym rozczarowaniem, jak twój brat. Przeprowadziliście badania DNA?

– Zaczęliśmy. Nie skończyliśmy.

– Jak myślisz, co umieściłem w wodzie?

– Jeden z genów, który zwiększa podatność na uzależnienia. Allel A1 genu receptora dopaminy DRD2 albo coś w tym rodzaju.

– Gdybym był czarnuchem, który sprzedaje na ulicy crack, to może – powiedział ostro Cyrus. – Miej więcej szacunku.

Pokręciła głową, nie chciała udzielić błędnej odpowiedzi.

– Wraz z Ottonem... i kilkoma bardzo utalentowanymi przyjaciółmi... poświęciliśmy dziesięciolecia, by zmienić choroby typowe dla określonych grup etnicznych w broń biologiczną. Przed dziesięcioma laty udało nam się rozwiązać problem przeobrażenia chorób dziedzicznych takich jak choroba Taya-Sachsa czy anemia sierpowata w patogeny zakaźne. U każdego z genetycznymi predyspozycjami do tych chorób najmniejszy nawet kontakt z patogenem wywoła rozwój choroby.

– Ale w wodzie nie było patogenów! – sprzeciwił się Parys.

– Nie. Patogeny trafią do jezior, strumieni i zbiorników na całym świecie. Woda w butelkach zawiera gen choroby. Wystarczy wypić wodę z butelki, nawet ugotować na niej herbatę, a u określonych grup i podgrup etnicznych rozwinie się choroba genetyczna. Już po kilku tygodniach staną się podatni na patogeny w zwyczajnej wodzie pitnej. Albo zarażenie przez chorego. Nikt nie będzie szukał genów w wodzie w butelkach, bo nikt nie umie przeprowadzić terapii genowej za pomocą wody.

– Nikt poza nami – wtrącił Otto. – Co zabawne, to nie było tak trudne, jak sądziliśmy.

– Ale dlaczego? – spytała Hekate. – To potworne!

– To wola Boga – odparł Cyrus. – Początek Nowego Porządku, który oczyści świat, usuwając nieczyste rasy. Czarnych, Żydów i Cyganów, i...

– Czy ciebie pojebało? – spytał Parys. – To jakieś nazistowskie bzdury!

Cyrus uśmiechał się coraz szerzej.

– Nazistowskie. Oto kretyn wykazuje przebłysk inteligencji, używając doskonale dobranego słowa.

Hekate robiła wrażenie zdezorientowanej.

– Chwileczkę... jesteś nazistą? Od kiedy?

– Od zawsze, zwierzaczu. Od samego początku.

– Od początku czego?

– Od początku narodowego socjalizmu. – Cyrus pozwolił, by w jego głosie zabrzmiał niemiecki akcent. – Od początku narodowego socjalizmu w Niemczech. Jeśli o mnie chodzi, przyjąłem te ideały, kiedy pracowałem w służbie medycznej piątej dywizji pancerniej SS Wiking. Ale dopiero kiedy w Auschwitz poznałem Ottona, odkryłem pełen potencjał idei partii.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – spytał Parys. – To jakieś gówno z okresu drugiej wojny światowej. Ciebie nie było wtedy

jeszcze na świecie...

Otto i Cyrus zaśmiali się głośno.

– Idioto – powiedział Cyrus – byłem starszy od ciebie, kiedy zacząłem pracę w Auschwitz. Byłem starszy od ciebie, kiedy sprawiłem, że świat nie zapomni mojego imienia.

Parys pokręcił głową niezdolny pojąć tego wszystkiego.

– Ojcie, coś ci się pomieszało – stwierdziła Hekate. – Urodziłeś się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym.

– Nie. – Uniósł palec. – Cyrus Jakoby urodził się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Podobnie jak tuzin innych pseudonimów w sześciu różnych krajach. Ale urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset jedenastym.

– To niemożliwe! – sprzeciwił się Parys.

Cyrus rozejrzał się dookoła.

– Stoimy tu pośród jednorożców i latających smoków, a ty mówisz mi, że terapia genowa zapobiegająca starzeniu się jest niemożliwa? Otto i ja majstrowaliśmy przy tych genach od dziesięcioleci. Oczywiście czasem pojawiają się pewne... – uniósł rękę do głowy – psychologiczne efekty uboczne, ale sobie z nimi radzimy.

– Ale... ale... – wykrztusiła Hekate – skoro Cyrus Jakoby to pseudonim, kim w takim razie jesteś?

– Jest człowiekiem, któremu powinniście na kolanach oddawać cześć – powiedział Otto. – Wasz ojciec jest najodważniejszym, najbardziej twórczym badaczem medycznym ze swojego i z każdego pokolenia.

Bliźnięta wpatrywały się w niego, nawet w oczach Vedera pojawił się błysk zainteresowania.

Cyrus dotknął twarzy.

– Pod efektami wszystkich operacji plastycznych, pod zmienionym terapią genową kolorem oczu i włosów, pod tą fasadą, jestem byłym naczelnym lekarzem szpitala Auschwitz-Birkenau. Jestem *der weisse Engel*, „białym aniołem”, którego

Żydzi bali się bardziej niż Boga albo szatana.
Uśmiechnął się demonicznie.
– Jestem Josef Mengele.

Rozdział sto ósmy

Fabryka Smoków Dwadzieścia minut wcześniej

Strażnik nic nie usłyszał. Chodził w jedną i drugą stronę po drodze między dokami a głównym budynkiem. Żuł miętową gumę i od czasu do czasu spoglądał na gwiazdy.

Służba patrolowa była nudna. Pomijając noc ataku, miesiące służby w Fabryce Smoków były wielkim rozczarowaniem, a tamtej nocy akurat miał wolne. Napastników zdjął pies-Żądło i jeden z Berserków.

Strażnik nienawidził Berserków. Te paskudne zbiry dostawały wszystko, co najlepsze. Wszyscy myśleli, że są tacy świetni. Pieprzone transgeniczne małpiszony.

Nic nie usłyszał, a poczuł jedynie krótkie palenie na szyi, kiedy Grace Courtland zaszła go od tyłu i poderżnęła mu gardło od ucha do ucha.

* * *

Grace opuściła trupa na ziemię, a dwaj z jej ludzi odciągnęli go w krzaki, z dala od światła pochodni.

Przebiegła jak ciemny podmuch wzdłuż skraju dróżki. Schowała nóż do pochwy i wyciągnęła pistolet .22 z tłumikiem. Kiedy wyszła za róg, dostrzegła dwóch strażników – jeden pochylał się, by odpalić papierosa od zapalniczki, którą drugi trzymał osłoniętą dłońmi. Strzeliła im obu w głowy, po dwa

strzały na każdego.

Dróżka prowadziła ku wejściu do budynku, gdzie dwóch potężnych mężczyzn strzegło wysokich szklanych drzwi. Wewnątrz było zbyt jasno, by dało się podejść ukradkiem. Grace dała znak Redmanowi, swojemu zastępcy. Wskazała na strażników i dwa razy poruszyła palcem, którym naciskała spust. Redman gestem wezwał innego agenta, obaj przycisnęli się do ziemi po obu stronach dróżki i założyli noktowizję na lunety karabinów snajperskich. Oba karabiny miały tłumiki. Zmniejszyło to impet uderzenia, ale przy tak niewielkiej odległości nie miało to większego znaczenia.

Redman wystrzelił ułamek sekundy przed Fayedem. Dwa strzały, dwa trupy. Potężni strażnicy uderzyli o szklane drzwi i upadli.

Grace Courtland uśmiechnęła się lodowatym uśmiechem zabójcy i pobięła do przodu.

* * *

Niecałe pięćdziesiąt metrów za nią inna grupa cieni wyłoniła się ze ściany ciemności pod drzewami. Kierowali się w stronę drugiego końca kompleksu i nie widzieli, jak Grace i oddział Alfa eliminują strażników i wchodzi do budynku. Ale nawet gdyby tak się stało, ich dowódca, szorstki mężczyzna nazwiskiem Borys Iwenko, uznałby, że to jeden z licznych oddziałów Specnazu, które atakowały wyspę ze wszystkich stron.

Rozdział sto dziewiąty

W locie Szesnaście minut wcześniej

– Osiem minut do zrzutu, kapitanie! – zawołał pilot.
Najwyższa pora, pomyślałem.

Kątem oka zobaczyłem, jak Królik trąca Starszego i obaj patrzą po sobie. Musiałem mieć niezłą minę. Odwróciłem się i zapanowałem nad sobą.

W moim uchu zabrzmiał brzęczyk, a później usłyszałem pana Churcha.

– Kowboju. Nasi obserwatorzy dostrzegli aktywność wokół wyspy. Ponad dwa tuziny małych kutrów rybackich zbliżyły się do Dogfish Cay i wypuściły łódki.

– Co to, do diabła, ma być? Niech mi pan nie mówi, że marynarka się pośpieszyła.

– Nie. To nie nasi.

– W takim razie kim, do diabła, są?

– Na razie nie wiadomo.

– Rosjanie?

– Możliwe, ale jest ich dużo. Wstępnie oceniamy, że ponad setka.

– Jezu. Jakież wieści od Grace? Mamy urządzenie wyzwalające?

– Odezwała się tuż przed tym, jak skontaktowałem się z panem. Jeszcze nie ma urządzenia. Sytuacja nadal jest niepewna.

Cholera.

– W porządku, niech wsparcie będzie w gotowości. Od zrzutu dzieli mnie siedem minut. Odezwę się, kiedy tylko znajdę się na ziemi.

Rozdział sto dziesiąty

*Magazyn, Baltimore, Maryland,
wtorek, 31 sierpnia, 02.21*

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 39 minut*

Rudy Sanchez odkręcił butelkę napoju imbirowego i nalał Dzieciakowi do szklanki. Obok stał nietknięty talerz kanapek i leżała otwarta paczka ciastek, z których jedno zostało wyjęte, nadgryzione i odłożone na bok. Chłopiec spojrział krótko na gazowany napój, odwrócił głowę i znów wpatrzył się w swoje odbicie w wielkim lustrze zajmującym całą ścianę.

– Nie mogłeś spać? – spytał Rudy.

Chłopiec pokręcił głową.

– Pewnie masz dużo pytań. Dotyczących tego, co się będzie działo. I twojej przyszłości.

Wzruszenie ramionami.

– KIM?

– To nie jest moje imię.

– Przepraszam. Wolałbyś, żebym ci mówił Osiemdziesiąt Dwa? Nie? Wolałbyś jakieś inne imię? Masz wybór. Możesz wybrać dowolne imię, jakie tylko chcesz.

– Ten Joe nazwał mnie Dzieciakiem.

– Podoba ci się to? Chciałbyś, żeby ludzie tak do ciebie mówili?

Wzruszenie ramionami.

– Powiedz mi, czego chcesz.

Chłopiec powoli odwrócił głowę i przyjrzał się Rudy'emu. Był całkiem przystojny, ale w tej chwili w oczach miał gadzi chłód. Brąz jego tęczówek był tak ciemny, że oczy wydawały się czarne, a ich powierzchnia dziwnie lustrzana.

– A dlaczego pana to obchodzi?

– Obchodzi mnie, bo jesteś nastolatkiem, a Joe powiedział mi, że wiele przeszedłeś.

Chłopiec prychnął.

– „Wiele przeszedłem”.

– Wolałbyś inne określenie?

– Nie wiem, jak to określić, proszę pana.

– Obchodzi mnie to również dlatego, że jesteś dobrym człowiekiem.

– Skąd pan wie? – W głosie chłopca brzmiało szyderstwo, oskarżenie.

– Podjąłeś wielkie ryzyko, by ostrzec nas przed Falą Wymierania.

– Skąd pan wie, że nie próbowałem jedynie ocalić własnej skóry?

– Naprawdę? Ryzykowałeś tak wiele, wysyłając te dwa nagrania i mapę tylko po to, by ocalić własną skórę? Naraziłeś się na wielkie niebezpieczeństwo, by pomóc innym. To bardzo odważne.

– Niech pan da spokój.

– I bohaterskie.

– Zwariował pan.

– Nie. Wiesz, czym jest odwaga?

– Pewnie tak.

– Powiedz mi.

– Ludzie mówią, że ktoś jest odważny, kiedy robi coś, nawet jeśli się boi.

Rudy pokiwał głową.

– Domyślam się, że się bałeś. Pewnie byłeś bardzo

przestraszony, a jednak podjąłeś ryzyko i wysłałeś nam te informacje.

Chłopiec nie odpowiedział.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Głupie pytanie.

– Naprawdę?

– Jest głupie, bo musiałem to zrobić.

– Dlaczego musiałeś to zrobić?

Chłopiec nie odpowiedział. Jego ciemne oczy były wilgotne.

– Dlaczego musiałeś to zrobić? – powtórzył Rudy.

– Bo musiałem.

– Dlaczego?

– Bo się boję.

– Czego się boisz?

Łzy wypełniły oczy chłopca, który znów się odwrócił. Przez długi czas siedział i wpatrywał się w swoje odbicie. Światła były przygaszone i tę część pokoju spowijały cienie. Zniekształcały odbicie chłopca, postarzały go, jakby lustro było oknem, przez które chłopiec mógł zobaczyć swoje przyszłe wcielenie. Łza spłynęła mu po policzku.

– Boję się, że pójdę do piekła.

Rudy się zawahał.

– Do piekła? Dlaczego tak myślisz? Dlaczego miałbyś pójść do piekła?

– Bo – powiedział cicho chłopiec – jestem zły.

Rozdział sto jedenasty

*Sala Mitu,
wtorek, 31 sierpnia, 02.22
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 38 minut EST*

Hekate i Parys stali otoczeni cudami, które stworzyli, i oboje czuli się tak, jakby świat usunął im się spod nóg.

– Mengele? – wyszeptał Parys. – Ja nie... – Potrząsnął głową niezdolny dokończyć.

– Wciąż nie rozumiecie, prawda? – Oczy Cyrusa błyszczały. – Wszystko, co robiłem, miało jeden cel. Oczyścić świat. Jutro wyślę zakodowaną wiadomość do agentów na całym świecie. Jedni zaczną rozprowadzać wodę w butelkach, inni wypuszczą patogeny do zbiorników wodnych, jeszcze inni wyślą wirusy komputerowe, które zawieszają systemy CDC i innych organizacji. W jednym skoordynowanym posunięciu zostanie rozpoczęty proces, którego nie da się zatrzymać. Nic na świecie nie może zapobiec rozprzestrzenianiu się patogenu, który został wypuszczony wśród populacji błotnych ludzi.

– „Błotni ludzie” – wymamrotała Hekate. Spojrzenie miała nieprzytomne, oczy szkliste.

– Dlaczego? – spytał Parys. – Dlaczego to robicie?

– Aby ukończyć dzieło, które ja i Otto rozpoczęliśmy pół wieku temu. Widzicie, Otto to jego przydomek z dzieciństwa. Tak naprawdę nazywa się Eduard Wirths. Był naczelnym lekarzem

całego obozu. Był moim szefem. – Cyrus się roześmiał.

– Cóż, tylko przez chwilę. – Otto popatrzył na Bliźnięta. – Wasz ojciec był i jest błyskotliwy. Kiedy przybył do obozu jako młody kapitan, od razu byłem pod wrażeniem jego wizji, jego przenikliwości. Każdego dnia eksperymentowaliśmy na więźniach w obozie, a następnie do późna w nocy omawialiśmy nasze badania, podekscytowani kierunkiem, w jakim się rozwijały, możliwościami, jakie się pojawiały. Prowadziliśmy działania, które mogły urzeczywistnić marzenie eugeniki. Ale nawet wtedy wiedzieliśmy, że wiedza, jaką mamy do dyspozycji, nie wystarczy do realizacji naszych zadań. Dlatego planowaliśmy. Zbudowaliśmy sieć naukowców i sympatyków, którzy mieli pracować długo po zakończeniu wojny Hitlera. Niemal od początku wiedzieliśmy, że Niemcy nie zwyciężą w tej wojnie. Ale to nie miało znaczenia. Nasz plan Nowego Porządku ludzkości był o wiele większy niż aspiracje jednego narodu.

Cyrus podjął wątek opowieści.

– Wiedzieliśmy, co musimy zrobić. Zatrudniliśmy szpiegów, by mieli na oku wszystkich, których działania mogły wspomóc naszą sprawę. Nie tylko Niemców, ale też Rosjan i Amerykanów. Nawet Żydów. Każdego, kto prowadził postępowe badania. Kiedy sytuacja na wojnie się pogorszyła, nasz przyjaciel Heinrich Haeckel przesmuglował kopie naszych badań poza granice kraju. Niestety Haeckel przeszedł serię udarów i nie mógł poinformować nas o lokalizacji materiałów. Ale nawet wtedy się nie zatrzymaliśmy, nie zawahaliśmy. Stworzyliśmy Koterię, sieć naukowców, szpiegów i zabójców, jakiej wcześniej nie widział świat. Nawet dziś Koteria ma swoje macki w każdym kraju, każdym rządzie. Wasz patron Sunderland. Jego brat jest członkiem Koterii, podobnie człowiek, którego nazywaliście Hansem Bruckerem, którego zatrudniliście, żeby organizował wasze polowania. Brucker to produkt naszego programu klonowania, podobnie jak wielu innych, którzy dzielą jego

wyjątkowe umiejętności.

Tu Cyrus posłał spojrzenie Conradowi Vederowi, który jednak je przegapił. Obserwował Tontona, przesuwającego się powoli w stronę telefonu bezpieczeństwa umieszczonego na ścianie. Gdyby potężny mężczyzna zrobił jeszcze dwa kroki, Veder by go zastrzelił.

Parys potrząsnął głową.

– Tego jest... zbyt wiele. Dlaczego to robicie? Co możecie zyskać na zabiciu tylu ludzi?

– Zmiana – wyjaśnił Cyrus. – Fala Wymierania w końcu zabije wszystkich nie-białych. Wszystkich. A biali, którzy przeżyją, będą musieli walczyć o prawo do zdominowania i odbudowania świata.

– Jesteś pierdolonym świrem! – ryknął Parys. – Obaj jesteście. Chcecie zabić miliony ludzi?

– Nie, Parysie, nie miliony. Miliardy. Miliony już zabiliśmy.

– Co... co masz na myśli?

– Fala Wymierania nie jest naszą pierwszą próbą – wyjaśnił Otto. – Jeśli policzyć wszystkie próby, które przyniosły jedynie skromne efekty, to nasza dziesiąta faza. Faza szósta była naszym największym sukcesem.

– Ta będzie o wiele większym – stwierdził Cyrus.

– Czym była faza szósta? – spytała Hekate.

Otto uśmiechnął się jak sęp.

– Wasz ojciec wziął chorobę, która pojawiła się u kilkunastu szympanów i rebusów, i zmodyfikował ją, by rozwijała się u ludzi. W późnych latach siedemdziesiątych wprowadził ją do pewnych populacji testowych. Nie przyjęła się tak szybko, jak byśmy chcieli, ale w latach osiemdziesiątych rozwinęła się całkiem dobrze.

Parys pobladł.

– Boże... mówisz o AIDS.

– HIV – poprawił go Otto – ale owszem. Zarażono nią

homoseksualistów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, a później ogół mieszkańców Afryki. Okazała się całkiem skuteczna.

– Jesteś szalony.

– Ciągłe to powtarzasz – stwierdził Cyrus. – I choć przyznam, że zdarzają mi się pewne „momenty”, to jeśli znów nazwiesz mnie szalonym, każę obciąć ci ręce.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam tego wcześniej? – spytała Hekate.

Cyrus wzruszył ramionami.

– Czekałem, żeby zobaczyć, jak dojrzewacie. Chcieliśmy sprawdzić, czy macie cechy, na które liczyliśmy. Cechy, które próbowaliśmy w was wbudować.

Gdy te słowa dotarły do Hekate, otworzyła usta.

– Jesteśmy częścią twojego eksperymentu, prawda?

– Wszystko, co robię, służy Nowemu Porządkowi.

Parys się zakrztusił. Jego szeroko otwarte oczy błyszczały gorączkowo, gdy zaczynał rozumieć.

Hekate wpatrywała się w czystą biel swojej dłoni.

– Zawsze mówiłeś, że jesteśmy wyjątkowi. Kosmiczne dzieci i tak dalej. Ale jesteśmy jedynie częścią programu hodowlanego, mającego na celu stworzenie ponadprzeciętnych ludzi.

– Ponadprzeciętnych białych ludzi – poprawił ją Otto. – Zachowajmy właściwą perspektywę.

Parys odwrócił się i z wymiotował w krzaki. Skrzydlaty wąż na gałęzi drzewa zasyczał i odleciał.

– Zawsze mówiłem, że brak mu siły – powiedział Cyrus do Ottona, który pochylił głowę. – Już piętnaście lat temu wiedzieliśmy, że jesteś słaby, Parysie. Byłeś dowodem, że programy hodowlane nie są rozwiązaniem. Nawet z manipulacją genetyczną, która dała ci dodatkową siłę i inteligencję, wciąż jesteś słaby. Dlatego KIMy są tak ważne.

– „KIMy?” – powtórzyła Hekate. – Chłopiec, który wygląda jak

ty, ten w Decku. Jestem pewna, że widziałam innego, który wyglądał jak on. Czy to twoi synowie?

– Nie. Dzieci okazały się wielkim rozczarowaniem.

– W takim razie czym?

– On jest mną. Dlatego nazywam go KIM. Dlatego każdego z nich nazywam KIM. KIM. To akronim.

Hekate pokręciła głową.

– KIM. Kopia Identyczna Mnie.

Zrozumiała i otworzyła szeroko oczy.

– Są... klonami?

– Tak. I mam ich dużo. Całą rodzinę. Klony z transgenicznymi ulepszeniami. Istoty wyższe. Będą ojcami nowej rasy, rasy, która wyłoni się z chaosu po tym, jak Fala Wymierania oczyści świat.

Rozdział sto dwunasty

*Magazyn, Baltimore, Maryland,
wtorek, 31 sierpnia, 02.22*

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 38 minut*

– Zły? – powiedział Rudy. – Dlaczego myślisz, że jesteś zły?

– Z powodu tego, kim jestem. Z powodu tego, czym jestem. – Chłopiec potrząsnął głową. – Ten mężczyzna, dla którego wszyscy pracujecie, ten, o którym myślałem, że nazywają go „Diakonem”, on wie. Pan też wie.

– Pewnie tak. – Rudy zachował beznamiętną minę. – Wierzysz, że jesteś klonem.

– Bo jestem!

– Klonem Josefa Mengele.

– Tak. – Słowo zabrzmiało szorstko jak pięść uderzająca w nieosłonięte ciało. – Jest nas wielu. Dlatego nazywam się Osiemdziesiąt Dwa.

Rudy popchnął szklankę napoju imbirowego bliżej chłopca. On jej nawet nie dotknął. Rudy czekał. Bąbelki w napoju pękały. Wskazówka sekundowa na ściennym zegarze bezgłośnie zataczała kręgi. Raz, dwa razy.

– Pewnie... – zaczął mówić chłopiec. Zakaszłał i odchrząknął. – Pewnie tak naprawdę mam na imię Josef.

Chłopiec ze złością otarł łzy z policzków.

– Wiesz, kim był Josef Mengele?

- Jest mną.
- Nie. Ty masz czternaście lat. Josef Mengele urodził się sto lat temu.
- Nieważne. Jesteśmy tym samym człowiekiem.
- Naprawdę?
- Tak.
- Czy Josef Mengele był dobrym człowiekiem?
- Nie! – powiedział chłopiec takim tonem, jakby Rudy był idiotą.
- Rudy się uśmiechnął.
- Cóż, tu się zgadzamy. Czy Josef Mengele był człowiekiem, który ryzykowałby własne życie, by pomóc innym?
- Chłopiec pokręcił głową.
- Czy ten człowiek zrobiłby to, co ty zrobiłeś, by skontaktować się z panem Churchem... Diakonem... i poprosić o pomoc?
- Żadnej odpowiedzi.
- Zrobiłby to?
- Pewnie nie.
- Rudy zmienił podejście.
- Czyli istnieją osiemdziesiąt dwa klony Josefa Mengele?
- Nie – odparł chłopiec.
- Ja nie...
- Jest ich znacznie więcej.
- A ty jesteś jednym z nich?
- Skinienie głową.
- Czy wszyscy inni są tacy jak ty?
- Jesteśmy klonami, mówiłem panu.
- Nie. Pytałem, czy są tacy jak ty. Czy mają taką samą osobowość?
- Niektórzy tak.
- Dokładnie taką samą?
- Żadnej odpowiedzi.
- Proszę, odpowiedz na moje pytanie. Czy wszyscy mają taką

samą osobowość?

– Nie.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem.

– Jak wielu z nich zrobiłoby to, co ty zrobiłeś? Jak wielu z nich ryzykowałoby życie, by spróbować nas ostrzec?

Żadnej odpowiedzi.

– Czy niektórzy z nich są okrutni?

– Tak myślę.

– Czy ty jesteś okrutny?

– Nie.

– Czy sprawia ci przyjemność robienie ludziom krzywdy? Czy lubisz krzywdzić i...

Chłopak popatrzył na niego ostro, z bólem.

– Nie!

– Nie podoba ci się, że zadałem ci to pytanie?

– Oczywiście, że tak! Jest głupie.

– Dlaczego jest głupie? Powiedziałeś, że jesteś tym samym, co Josef Mengele. Powiedziałeś, że on był zły. I powiedziałeś, że pójdziesz do piekła.

– Jestem nim, nie rozumie pan tego?

– Rozumiem, że jesteś klonem. Przyznam, że nigdy wcześniej nie rozmawiałem z klonem, i aż do dzisiaj mógłbym sądzić, że klon może mieć pewne cechy charakteru osoby, z której komórek został sklonowany. A jednak jesteś tutaj, nastoletni chłopak, który kilka razy ryzykował życie, by powstrzymać złych ludzi przed zrobieniem bardzo złych rzeczy. Chłopak, który zaatakował potężnego strażnika, żeby powstrzymać rzeź bezbronnych ludzi. Chłopak, który mógł spokojnie nie zrobić nic.

Chłopiec nie odpowiedział.

– Mogłeś zostać sklonowany z komórek złego człowieka. Badania DNA przeprowadzone przez naszych naukowców to sprawdzą. Jeśli to prawda, nic się nie zmienia. Josef Mengele był

potworem. Właściwie jest potworem, jeśli Cyrus Jakoby to naprawdę on.

– Jestem tego całkiem pewien.

– Jest tak okropnym człowiekiem, a jednak ty zaryzykowałeś wszystko, by uratować ludzi, których on chciał zniszczyć.

Chłopiec spojrzał na niego.

Rudy się uśmiechnął.

– Nie jesteś nim.

– Jestem.

– Nie, nie jesteś. Właśnie udowodniłeś coś, o co ludzie spierali się od stuleci. Właściwie możesz być żyjącą odpowiedzią na fundamentalne pytanie o naszą ludzką egzystencję.

– O czym pan mówi?

– Wielu zadaje sobie pytanie „natura czy wychowanie?”. Czy człowiek rodzi się z pewnymi cechami umysłowymi i emocjonalnymi, które są po prostu wbudowane w jego kod genetyczny? A może środowisko, wystawienie na inne przekonania i opinie, jak również doświadczenie życiowe determinują, kim jesteśmy? Powiedziałbym, że jesteś żyjącym dowodem, iż do tego równania należy dodać na stałe jeszcze jeden element.

– Jaki?

– Wybór.

Chłopiec wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Nigdy wcześniej nie istniała taka sytuacja. Nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji obserwować kłona i sprawdzić, czy ta osoba jest, lub pragnie być, dokładnie taka sama jak jednostka źródłowa.

– Chcieli, żebym był. Każdego dnia musiałem się uczyć o życiu i dokonaniach Mengele. Musiałem uczyć się chirurgii i o torturach i wojnie. – Po jego twarzy spływały łzy. – Każdego dnia. Dzień po dniu.

– A jednak wybrałeś inną drogę niż ta, którą dla ciebie

zaplanowali.

Chłopiec łkał.

– Nie jesteś nim – powiedział łagodnie Rudy. – On nigdy nie zrobiłby tego, co ty. A ty nigdy nie mógłbyś zrobić tego, co on.

Rudy wyciągnął z kieszeni marynarki plastikową paczkę chusteczek i podał je chłopcu, który wyjął kilka, wydmuchał nos i otarł oczy. Rudy nie próbował dotykać chłopca, nawet poklepać go po ramieniu. Zrobił to instynktownie. Chłopiec był samotny, pocieszenie musiało przyjść z wewnątrz.

Siedzieli razem w sali rozmów, a minuty mijały w ciszy.

– Powinieneś rozważyć jeszcze jedno – powiedział Rudy.

Chłopiec popatrzył na niego zaczerwienionymi oczami.

– Josef Mengele jest jednym z najgorszych zbrodniarzy ostatnich setek lat. Potworem, który skrzywdził mnóstwo ludzi, a teraz chce zniszczyć duży procent ludności świata. Archiwa, które zdobyliśmy, wskazują, że zaczął epidemię AIDS i nową epidemię gruźlicy w Afryce. Nawet jeśli dziś go powstrzymamy, będzie znany jako największy masowy morderca w historii.

– Wiem.

– A ty z kolei... – Rudy się uśmiechnął.

– Co...?

– Ty pewnie zapiszesz się w annałach historii jako największy bohater wszech czasów.

Chłopiec gapił się na niego.

– Nie mieliśmy pojęcia o Fali Wymierania. Najmniejszego. Gdyby nie twój odważny czyn, twój wybór, zginęłyby miliony... może nawet miliardy. Aż do wczoraj nie wiedzieliśmy nawet, że trwa wojna. Ty to zmieniłeś. Dokonałeś wyboru. Zaryzykowałeś. A jeśli nam się uda, jeśli Joe Ledger, major Courtland i inni odważni mężczyźni i kobiety, którzy walczą w tej właśnie chwili, by powstrzymać to szaleństwo, odniosą sukces, wszystko to będzie twoją zasługą.

– Ja tylko wysłałem dwa maile!

– O wartości wyboru świadczy nie wielkość podjętego działania, ale jego skutek. Być może ocaliłeś cały świat. – Rudy uśmiechnął się i pokręcił głową. – Ledwie mogę objąć to umysłem. Jesteś bohaterem, mój młody przyjacielu.

– „Bohaterem”? – Chłopiec potrząsnął głową niezdolny pojąć tego słowa.

– Bohaterem – zgodził się Rudy.

Chłopiec otoczył głowę rękami, położył je na stole i zaczął płakać.

* * *

Pan Church oglądał to wszystko na ekranie laptopa, ustawionym tak, by nikt inny go nie widział. Otaczały go hałas i zamieszanie COT.

Zdjął okulary, wytarł soczewki chusteczką i założył je z powrotem.

– No, no – mruknął.

Rozdział sto trzynasty

Fabryka Smoków *Dziesięć minut wcześniej*

Grace Courtland i oddział Alfa poruszali się szybko i cicho korytarzami Fabryki Smoków. Kiedy mogli, unikali ludzi, a gdy nie mogli, zabijali ich. Redman i pozostali wciągali ciała do schowków albo ukrywali je pod biurkami. Oddział szedł dalej, szukając Cyrusa Jakoby, popędzany przekonaniem, że kończy im się czas.

Zobaczyli dwóch kolejnych potężnych strażników stojących po obu stronach potężnego wjazdu wielkości bankowego sejfu. Wjazd stał otwarty, a strażnicy byli czujni. Grace kucnęła za krzaczastą rośliną doniczkową na drugim końcu korytarza i przyjrzała im się przez celownik karabinu. Strażnicy robili wrażenie nienaturalnie wielkich, bardziej umięśnionych i potężnych niż napakowani sterydami kulturyści. Mieli też podobne rysy twarzy – cofnięte czoła z wielkimi łukami brwiowymi, płaskie nosy i usta niemal pozbawione warg. Musieli być tymi mięśniakami, na których Joe wpadł w Deep Iron – i nie zdziwiło jej, dlaczego oddział Echo sądził, że stawia czoło żołnierzom w egzozkieletach. Strażnik po lewej miał ze dwa metry w torsie i siedemdziesiąt pięć centymetrów w bicepsie.

Redman pochylił się i szepnął:

- Co to jest, do diabła?
- Transgeniczni żołnierze.
- Wyglądają jak goryle.

– Bez jaj – rzuciła oschle Grace, a wtedy Redman zrozumiał.

– Cholera jasna.

– Zabawy z nauką – mruknęła Grace.

Właz, którego pilnowali żołnierze, wyglądał zapraszająco, a ona była gotowa postawić następną pensję, że ktokolwiek znajdował się wewnątrz, był ważny. Była również gotowa założyć się, że w środku przebywa Cyrus Jakoby. Strażnicy byli skrajnie czujni, mieli idealną postawę.

– Muszę się tam dostać – powiedziała.

– Nie mamy dość osłony dla dwóch snajperów. Musimy eliminować ich jednego po drugim.

Pokręciła głową.

– Nie. To się nie uda.

Szybko naszkicowała plan, ale Redman zaczął kręcić głową, zanim skończyła.

– To nie była sugestia – syknęła Grace. – Rób, co ci powiedziano.

Redman pokiwał głową, ale na jego twarzy malował się wyraz niezadowolenia.

Grace wycofała się za zakręt korytarza i szybko zrzuciła z siebie sprzęt i kurtkę, aż pozostała w butach, spodniach i czarnym podkoszulku bez rękawów. Wyjęła gumkę z włosów i potrząsnęła głową. Wsunęła nóż do kieszeni, a pistolet kaliber .22 za pasek bojówek.

– Bądźcie gotowi – szepnęła do Redmana, a później wyszła na środek korytarza i ruszyła spacerowym krokiem w stronę strażników.

Strażnik po lewej zauważył ją jako pierwszy i postukał towarzysza. Obaj odwrócili się i zobaczyli wysoką, smukłą, piękną kobietę kierującą się w ich stronę. Idąc, Grace kołysała lekko biodrami, na tyle, by zwrócić na siebie ich uwagę, a kiedy się zbliżyła, uśmiechnęła się do nich.

– Tu nie ma wstępu, proszę pani – odezwał się strażnik po

prawej.

– Wiem. Ale chciałam wam coś powiedzieć.

– Co takiego? – spytał strażnik po lewej.

Jednocześnie pochylił się, nie kryjąc się z tym, że zagląda jej w dekolt.

– Popatrzcie, co tu mam – odezwała się Grace konspiracyjnym szeptem.

Strażnicy nachylili się jeszcze bardziej.

Wyciągnęła pistolet i strzeliła w oko strażnikowi po lewej. Ułamek sekundy później Redman wpakował kulkę w czoło tego po prawej.

Grace uśmiechnęła się i gestem przywołała oddział, myśląc sobie, że mężczyźni – nawet zmutowani żołnierze z genami małpy – byli tacy sami. Pokazać im dekolt, a tracą rozsądek.

Podeszła do wjazdu i ostrożnie zajrzała do środka. Widziała grupę ludzi stojących w odległości niecałych trzydziestu metrów na ścieżce otoczonej roślinnością. Od razu rozpoznała Bliźnięta Jakoby.

Nagle rozległy się ostrzegawcze brzęczyki, a z głośników zabrzmiało nagranie „Uwaga, intruz! Uwaga, intruz!”. W korytarzu zabrzmiał grzechot karabinów maszynowych, natychmiast uruchomiły się zabezpieczenia i wjazd zaczął się zamykać.

Nie było czasu na zastanowienie – Grace wskoczyła do środka i schowała się za gęstym krzakiem w chwili, gdy wielkie drzwi się zatrzasnęły.

* * *

Na zewnątrz Redman krzyknął, gdy wjazd się zatrzasnął. W powietrzu rozlegały się wystrzały i krzyki, gdy z bocznych pomieszczeń i korytarzy wybiegali ludzie. Niektórzy byli

nieuzbrojonym personelem, inni mieli broń.

Wszyscy krzyčili, a później strażnicy ich dostrzegli i zaczęli strzelać.

Nie było czasu na zastanowienie. Redman i reszta oddziału Alfa poszukali osłon i odpowiedzieli ogniem.

Rozdział sto czternasty

Nad Dogfish Cay Pięć minut wcześniej

Prześlizgiwaliśmy się przez mrok, bezgłośnie jak nietoperze, noktowizja malowała świat pod nami w odcieniach zieleni i czerni. Nasza trójka wypadła z samolotu kilkanaście kilometrów nad wyspą i przez długi czas spadaliśmy w całkowitej ciemności. Skoki spadochronowe w nocy są niebezpieczne – po tym, jak człowiek przyzwyczai się do pędu powietrza, traci wszelkie wrażenie ruchu i czuje się, jakby się unosił. Bez wysokościomierza, który pokazuje, jak szybko zbliża się ziemia, istnieje spora szansa, że jej pojawienie się będzie całkowitym zaskoczeniem w ostatniej mikrosekundzie.

Nie było prawie wiatru, więc rozłożyliśmy parolotnie na wysokości trzech tysięcy metrów. W jednej chwili opór spadochronu wstrząsa całym ciałem, a później parolotnia się rozwija i człowiek znów czuje się, jakby się unosił, nie spadał. Z parolotnią wiążą się inne niebezpieczeństwa, bo w ogóle nie czuć spadania, wszystko jest takie gładkie i spokojne.

W wojsku przeszedłem szkolenie powietrznodesantowe, więc ktoś mógłby uznać, że lubiłem wyskakiwać z samolotów. Myliłby się. Jestem dobry, ale nie sprawia mi to przyjemności. Starszy i Królik byli o wiele bardziej doświadczeni. Starszy kiedyś uczył skoków spadochronowych, Królik robił to w czasie wolnym. Skok w nocy, z wysokości jedenastu kilometrów, w miejscu, gdzie nie ma żadnych świateł, na które można by się kierować, nie

stanowił dla mnie definicji doskonałej zabawy. Z drugiej strony skok z dużej wysokości, z otwieraniem spadochronu nisko nad ziemią, oznacza, że źli goście zwykle nie zauważają skoczka, co oznacza mniej kul do uniknięcia w powietrzu. Można to uznać za pewną zaletę.

Zobaczyliśmy punkt lądowania, który wybraliśmy na podstawie zdjęć satelitarnych, więc przechyliłem paralotnię do przodu, by wypuścić trochę powietrza i opaść, ale nagle dostrzegłem jasne błyski i usłyszałem głucho grzechotanie wystrzałów z karabinów maszynowych. W tej samej chwili usłyszałem w słuchawce głos Churcha.

– Diakon do Kowboja, Diakon do Kowboja, wyspa została zaatakowana. Tożsamość i liczebność wroga nieznana. Wstępna ocena ponad stu wrogich żołnierzy. Potwierdź odbiór.

– Potwierdzam, niech to diabli. – Postukałem w słuchawkę i zidentyfikowałem się. – Oddział Alfa, podajcie lokalizację.

– Oddział Alfa jest w kompleksie, ostrzeliwują nas – powiedział Redman.

– Trzymajcie się. – Wróciłem na kanał dowodzenia i krzyknąłem: – Diakonie, czy wokół kompleksu są nasi?!

– Nie. Oddział Alfa jest w środku, inne jednostki dopiero się zbliżają. Żadnych naszych wokół kompleksu.

– Przyjąłem. – Postukałem w słuchawkę. – Oddział Echo, na terenie wokół kompleksu nie ma naszych. Zabawmy się.

Okrążyliśmy linię drzew i skierowaliśmy się z powrotem do punktu lądowania.

Kiedy znajdowałem się dziesięć metrów nad ciemnym trawnikiem, zobaczyłem czterech mężczyzn w tych samych nijakich mundurach polowych, które widziałem u Rosjan w Deep Iron. Nie widzieli mnie. Mieli pecha.

Zastrzeliłem ich.

Z naszej prawej ktoś wystrzelił, ale znajdowałem się już poniżej linii drzew. Zwolniłem, dotknąłem stopami ziemi,

nacisnąłem mechanizm zwalniający i odbiegłem od parolotni. Nie mieliśmy czasu na zrobienie tego elegancko. Ruszyłem w stronę pobliskiej kępy palm, by się za nią ukryć. Słyszałem, jak pociski przecinają powietrze wokół mnie.

– Odłamkowy! – krzyknął Królik i rzucił granatem w stronę błysków wystrzałów.

Nie widziałem, czy dostał któregoś z tamtych, ale wybuch pozwolił Królikowi i Starszemu spokojnie wylądować. Rozdzielili się i zniknęli wśród drzew po obu moich stronach.

Główny budynek znajdował się po naszej lewej, trawnik i kolejny rząd drzew po prawej. W pobliżu biegła wyłożona kamieniami dróżka oświetlona blaskiem pochodni, ale połowa z nich została przewrócona albo rozszarpana przez ostrzał. Widziałem tuzin ciał na ziemi między nami a wejściem i kolejne rozciągnięte na schodach.

Odwróciłem się i skierowałem w stronę budynku, zakosami od drzew do krzaków, i strzelałem do wszystkiego, co się ruszało. Zabiłem parę egzotycznych paproci, które kołysały się na wietrze, ale też kilku wrogów.

– Granat! – krzyknął Królik.

Skoczył i obalił mnie na ziemię z taką siłą, że obaj przetoczyliśmy się do podnóża schodów, a w tym czasie wybuch wybił otwór kilkadziesiąt centymetrów od miejsca, gdzie przed chwilą stałem. Nawet nie zauważyłem, jak leciał. Starszy obrócił się i skosił żywopłot, a wtedy rozległ się krzyk i na ziemię padł mężczyzna.

Schody nie zapewniały osłony, ale główne szklane drzwi były nietknięte mimo dziesiątków trafień pociskami przeciwpancernymi. Szkło kuloodporne o dużej gęstości. Poderwałem się na równe nogi i wbiegłem do środka, przykucnąłem instynktownie, gdy pociski dużego kalibru uderzyły w szkło. Wytrzymało. Dlatego odwróciłem się i ukląknęłem, by zapewnić ogień osłonowy, kiedy Królik, a później

Starszy wypadli z za osłony i zaryzykowali bieg przez otwartą przestrzeń przy schodach. Od otwartych drzwi odbił się rykoszet i przez przerażającą chwilę odbijał się po przedsionku, aż zagłębił się w ścianie kilkanaście centymetrów od głowy Starszego.

– Jezu – mruknął.

Broniłem wejścia, kiedy oni sprawdzali korytarz za moimi plecami. Drzwi awaryjne otworzyły się i na korytarz wypadło sześciu mężczyzn w mundurach ochrony. Starszy i Królik wyeliminowali ich krótkimi seriami, a ja przetoczyłem się do drzwi i wpakowałem pół magazynka w następną czwórkę, która biegła w górę po metalowych schodach prowadzących na ten poziom.

– Czysto! – zawołał Królik, a ja się wycofałem.

Postukałem w słuchawkę.

– Kowboj do Amazing. Kowboj do Amazing.

Żadnej odpowiedzi.

– Łowca Główny do Kowboja – usłyszałem po chwili.

Łowca Główny był kryptonimem Redmana.

– Tu Kowboj.

– Słyszymy strzały za plecami. Brzmi jak M4.

Opisał swoją lokalizację.

– Przyjąłem – powiedziałem.

– Przydałby się nam jakiś rozgrywający.

– Potwierdzam. Jesteśmy w drodze.

Pobiegliśmy korytarzem, mijając kilkanaście przeszytych kulami ciał i ślady masowej paniki. Mnóstwo ludzi uciekało wtedy, upuszczając kubki z kawą i podkładki, tratując zabitych.

Zwolniliśmy. Jeśli Redman słyszał nasze strzały i umiał odróżnić M4 od HK używanych przez strażników Fabryki Smoków oraz kałasznikowów Rosjan, mogli to zrobić również ci, z którymi walczyli. Korytarz miał kształt długiego łuku, a zasadzka znajdowała się dokładnie tam, gdzie można się jej

było spodziewać – na szczycie łuku, gdzie ozdobne drzewka w doniczkach zapewniały osłonę.

Wraz ze Starszym obrzuciliśmy ich prezentami, a granaty odłamkowe przerobiły zasadzkę na mielonkę.

– Gra w klasy! – zawołałem, używając aktualnego hasła.

– Skakanka! – Głos Redmana.

Wyszliśmy z za rogu, a jego ludzie wyłonili się z zza mizernych osłon, jakie udało im się znaleźć. Jedynie sześcioro z oddziału Alfa mogło chodzić. Dwaj zostali poważnie ranni – jednego wielokrotnie trafiono w nogi, a drugi miał twarz poranioną odłamkami szkła. Trzeci – niedawno przyjęty SEAL – leżał rozciągnięty na ziemi w pozie, która mogła oznaczać tylko jedno.

– Raportuj – poleciłem. – Gdzie wasz dowódca?

Redman odwrócił się w stronę masywnych drzwi.

– Coś tam zobaczyła i weszła do środka w chwili, gdy uruchomiły się alarmy. Drzwi zatrzasnęły się automatycznie.

– Jakież ślady Cyrusa Jakoby?

– Major rzuciła się do środka, więc chyba musiała coś zobaczyć.

– Możecie to otworzyć? – spytał Starszy.

– Jasne, gdybym miał dwie godziny i dużo C4.

– Tam jest klawiatura. – Wskazałem palcem. – Połączcie się z Bugiem, niech on się tym zajmie. Jeśli to coś jest sterowane komputerowo, niech MindReader weźmie się do roboty.

– Ej! – zawołał Królik stojący na łuku korytarza. – Mamy towarzystwo.

– Ilu?

– Cholernie dużo. Zaraz będą mieli ogromną przewagę liczebną.

Spojrzałem z desperacją na zamknięty właz. Nie mieliśmy czasu się włamywać. Niech to wszyscy diabli. Nacierający Rosjanie zaczęli strzelać, a rykoszety zmieniły korytarz w pole śmierci.

– Wycofać się! – krzyknąłem, pociągnąłem członków oddziału Alfa i popchnąłem ich korytarzem w stronę drzwi wyjściowych.

Królik podniósł jednego z rannych i biegł z nim z taką łatwością, jakby żołnierz był małym dzieckiem. Dwaj inni agenci z Alfy chwycili drugiego. Zabitego musieliśmy na razie zostawić. Oddział Alfa wydawał się niezadowolony i wściekły. Nie chcieli porzucać Grace tak samo jak ja, ale nie mogliśmy w żaden sposób utrzymać tej pozycji.

Strzelaliśmy, rzucaliśmy granaty, ale wycofywaliśmy się, metr po metrze, w głąb korytarza, aż nie widzieliśmy już wjazdu.

Nie trafiły mnie żadne kule, ale kiedy znalazłem się za rogiem, czułem się, jakbym został trafiony w samo serce.

Grace.

Rozdział sto piętnasty

*Sala Mitu,
wtorek, 31 sierpnia, 02.23
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 37 minut EST*

Grace przesuwała się za rzędami egzotycznych roślin, szerokim kręgiem zbliżając się do Jakoby. Sztuczny teren był nierówny, czasami musiała wsuwać pistolet za pasek, żeby wspiąć się na skałę lub zejść do wąwozu. Ssaki i ptaki uciekały przed nią, Grace z początku nie zwracała na nie uwagi, ale później na jej drodze stanął na chwilę stwór, którego widok zmroził jej krew w żyłach i niemal wyrwał okrzyk zaskoczenia z ust. Istota miała krzywe nogi kozy, tors o niemal ludzkim kształcie, czarne nietoperze skrzydła, spiczaste rogi i wyszczerzony pysk jak z koszmaru.

To był gargulec.

Grace gapiała się, nie wiedząc, co robić. Z wysiłkiem przypomniawszy sobie, gdzie się znajduje. Ci ludzie tworzyli potwory. To było jedynie kolejne wypaczenie transgeniki, ale mimo wszystko przeszła ją fala atawistycznego strachu, kiedy potwór wspiął się na skałę i wpatrzył w nią bezdennymi czarnymi oczyma.

Jednakże w ciągu kilku sekund podejście Grace zupełnie się zmieniło. Gargulec miał niecały metr wzrostu i poruszał się, niezręcznie szarpiąc kończynami, jakby sprawiało mu to ból. Kiedy Grace wspinała się powoli w górę zbocza, stwór uciekł, ale

nim zniknął pod paprocią, rzucił jej jedno przenikliwe spojrzenie. W tej chwili Grace ujrzała w błyszczących czarnych oczach ludzką inteligencję i głębię przerażonej samoświadomości, która zmroziła ją do szpiku kości. W jakiś groteskowy sposób transgeniczne zwierzę było częściowo ludzkie i fragmenty jego umysłu były całkowicie świadome swojej żalostnej egzystencji. Odprowadzała je wzrokiem i czuła, jak przytłacza ją przygnębienie. Po chwili smutek całkowicie zastąpiła płonąca wściekłość, gdy Grace uświadomiła sobie ogrom splugawienia natury. Zacisnęła zęby, wyciągnęła broń i ruszyła dalej polować na prawdziwe potwory w tej sali.

Próbowała nawiązać kontakt z COT albo Ledgerem, ale ze słuchawki dobiegał jedynie cichy szum. Zagłuszenie. Musiało się uruchomić, kiedy ogłoszono alarm w budynku. Grace miała nadzieję, że Church zorientuje się, co się dzieje, i poleci zrzucić bombę E.

Znalazła ścieżkę, która wyglądała, jakby korzystał z niej personel, i pobiegła nią, zbliżając się coraz bardziej, próbując podsłuchać rozmowę. W końcu dotarła za naturalną zasłonę, którą tworzył skraj ozdobnego wodospadu, i tam się zatrzymała. Wodospad wybudowano na skałach, ale jego tył tworzył pomalowany metal. Przeciągnęła po nim dłońmi i wyczuła krawędź drzwi tak doskonale wpasowanych w fasadę, że były niemal niewidoczne. Drzwi albo jakiś panel. Zapamiętała to na później.

Widziała teraz całą szóstkę zebranych w pomieszczeniu. Bez trudu rozpoznała Bliźnięta Jakoby – wysocy, biali jak śnieg i piękni. Potężny mężczyzna stojący obok nich był jednym z transgenicznych strażników, choć robił wrażenie znacznie większego od tych, których widziała wcześniej. Dwóch starszych mężczyzn nie знаła, ale mogła się domyślać, że jeden z nich był Cyrusem Jakoby, a drugi najpewniej Ottonem Wirthsem. Widok ostatniego mężczyzny ją zaskoczył, a jednocześnie sprawił, że

poczuła, jak ziemia usuwa jej się spod nóg.

Jeśli zdjęcia, które pokazał jej pan Church były właściwe, widziała Gunnara Haeckla.

Albo Hansa Bruckera.

Obaj nie żyli.

Kim więc był ten wysoki mężczyzna z wyrachowaną miną? Kolejny klon?

Klony, transgeniczne potwory, patogeny skierowane przeciwko określonym grupom etnicznym.

Otaczały ją potwory.

Grace wyciągnęła pistolet i pochyliła się, by nasłuchiwać.

* * *

– Wasz czarodziejski zamek wkrótce się zawali – powiedział Cyrus Jakoby.

Hekate prychnęła.

– Może się to okazać trudniejsze, niż ci się wydaje, ojcze. Nie jesteśmy tu do końca odsłonięci.

– I dlatego sprowadziłem dość ludzi, by przebić się przez wasze osłony – stwierdził Otto.

– Może – zgodził się Parys. – A może wasi strzelcy do wynajęcia napotkają kilka niespodzianek.

– Oddziały wiedzą o waszych Berserkach. Małpie DNA nie chroni przed pociskami przeciwpancernymi.

Parys się uśmiechnął.

– Owszem, ale Berserkowie nie są naszą jedyną obroną. Zobaczycie.

Otto wzruszył ramionami.

– Zgadza się, zobaczymy.

– Chciałabym wiedzieć – odezwała się Hekate – dlaczego to robicie. Dlaczego nas w ogóle atakujecie?

- Zemsta, panno Jakoby. Zaatakowaliście Ul.
- Ul? Czym, do diabła, jest Ul? – spytał Parys.
- W Kostaryce – podpowiedział Otto, ale Bliźnięta pokręciły głowami.

Cyrus przyglądał się Bliźniętom, ich mowie ciała i ruchom gałek ocznych. Zmarszczył czoło.

- Naprawdę nie zaatakowaliście Ula – stwierdził w końcu.
- Nadal nie wiemy, co to jest.

Cyrus im nie wyjaśnił. Jego twarz, z początku skonsternowana, szybko spochmurniała.

– W takim razie co się stało z Osiemdziesiąt Dwa? Kto zaatakował Ul? Kto go zabrał?

– To musiało być wojsko. – Otto zmarszczył czoło. – Pytanie brzmi jedynie, którego rządu.

– Możliwe, że Niemiec. – W głosie Cyrusa brzmiała wściekłość.

– Nasza była ojczyzna z radością zatknęłaby nasze głowy na pikach. Albo mogli to być Amerykanie.

– W takim razie dlaczego nie zaatakowali też Decku?

Cyrus potrząsnął głową.

– Jeśli wojsko zajęło Ul, możliwe, że Osiemdziesiąt Dwa zginął z resztą personelu.

– To lepsze, niż gdyby został pojmany.

Głos Ottona mówił jedno, ale oczy przekazywały inną wiadomość. Wszystkie psychologiczne profile Osiemdziesiąt Dwa wskazywały, że chłopak nie miał drapieżnej natury, że brakowało mu siły, by stał się zabójcą. Była to tak wielka anomalia, że Cyrus nie chciał przyjąć jej do wiadomości, zabił lekarzy przeprowadzających badania i zmuszał Ottona do podejmowania kolejnych prób udowodnienia, że Osiemdziesiąt Dwa był naprawdę częścią Rodziny, że lojalność chłopca była niezachwiana. Teraz ta wiara mogła zostać poddana próbie na przesłuchaniach w Stanach Zjednoczonych. Chłopaka już mogli złamać. Wojsko może zbliżyć się do Decku.

Cyrus robił wrażenie głęboko zranionego i dopiero po chwili zapanował nad głosem na tyle, by się odezwać.

– Musimy przyśpieszyć harmonogram.

– Prawdziwe pytanie brzmi – przerwała mu Hekate – dlaczego wysłałeś agentów, żeby nas zabili.

– Tylko jedno z was.

– Dlaczego? – powtórzyła.

– Możesz to nazwać eksperymentem z darwinizmu.

– Chwileczkę... wykorzystalibyś śmierć jednego z nas, by ocenić, które z nas ma większy instynkt samozachowawczy, a później próbował zawrzeć ugodę z ocalałym?

Cyrus zaklaskał.

– Widzisz, Otto? Zawsze mówiłem, że ona jest bystrzejsza.

– Ty stary kutasie – warknął Parys i opuścił dłoń do kieszeni.

Conrad Veder błyskawicznie wyjął pistolet i wycelował w Parysa. Ruch był tak szybki i płynny, że wydawało się, iż broń pojawiła się w jego dłoni za sprawą magii.

– Nie łudź się – powiedział Cyrus. – Conrad rozwali ci głowę, jeśli mu każę. A teraz wyjmij dwoma palcami ten pistolet na strzałki i wrzuć go do stawu. Ty też, Hekate. I powiedz swojemu małpoludowi, żeby się nie ruszał.

Tonton wygiął wargę.

– Ten pistolecik gównu może.

Twarz Vedera pozostała beznamiętna.

– Możemy to łatwo sprawdzić.

Cyrus się roześmiał.

– Zabij każdego, kto się poruszy, Conradzie.

Berserk został na miejscu. Parys ostrożnie wyjął pistolet gazowy i wyrzucił go zgodnie z poleceniem. Broń wpadła do wody w pobliżu martwego węża morskiego.

– Ojczy. – Hekate zignorowała pistolet Vedera i polecenie, by pozbyła się swojego. – Czego od nas chcesz? Dlaczego tu przybyłeś? Dlaczego teraz mówisz nam to wszystko? Dlaczego

nas tym zaskakujesz, zamiast wprowadzić nas wcześniej w swoje plany?

– To właściwe pytania, zwierzcisku. – Cyrus pokiwał głową z aprobatą. – Założę się, że Parys nawet nie pomyślał, by je zadać. To proste, Hekate. Musicie dokonać wyboru. Fala Wymierania zaraz się zacznie. – Wyciągnął spod koszuli urządzenie, przerośniętą pamięć USB na jedwabnej smyczy. – To wysyła zaszyfrowane wiadomości, które rozpoczną nieodwołalne zmiany. Zaprawdę jedynie silni przetrwają. Jasne, wy jesteście biali i zaprojektowałem wam odporność na wszystkie patogeny i choroby genetyczne, których używamy, ale później będzie wojna. Przetrwają najsilniejsi. Otto i ja przygotowaliśmy się na wojnę. Przeżyjemy. Jeśli dołączycie do nas... z własnej woli się do nas przyłączycie... możecie skorzystać z naszej ochrony i razem, jak jedna Rodzina, wprowadzimy Nowy Porządek.

– Przyłączyć się do was – powiedziała Hekate w zamyśleniu.

– Jesteś pierdolonym szaleńcem – stwierdził Parys. – Stoisz tu i mówisz nam, że zacząłeś epidemię AIDS. Chwalisz się tym? Później mówisz, że chcesz zabić cztery piąte ludzi na świecie?

– Raczej sześć siódmych – poprawił go Cyrus.

– Chryste Panie. Myślisz, że to jakiś pierdolony dowcip? Próbujesz zniszczyć świat.

– Nie próbujemy niczego zrobić – powiedział Otto. – My go przeobrazimy.

Parys splunął na ziemię u stóp Cyrusa.

– Nienawidzę cię – warknął. – Nienawidzę, że w moich żyłach płynie twoja krew. Nienawidzę...

– Zamknij się, Parysie.

Wszyscy odwrócili się w stronę osoby, która się odezwała. Hekate.

Jej niebieskie oczy otaczały złociste żyłki.

– Co... co ty...? – spytał Parys.

– Kazałam ci się zamknąć. Ojciec ma rację. Kiedy otwierasz

usta, zawstydzasz nas. Przynosisz wstyd Rodzinie.

Parys podszedł bliżej do niej, ale wskazał Cyrusa.

– Czy ty też oszalałaś? Przyjmujesz te bzdury? Mówisz, że popierasz tego pierdolonego potwora...

Hekate uderzyła go w twarz. To nie był policzek. Uderzyła go pięścią tak mocno i szybko, że obrócił się w miejscu ze zwichniętą szczęką, a zęby poleciały spomiędzy jego warg. Przez krótką chwilę stał wyprostowany, a później padł na kolana. Z jego zmiażdżonych ust płynęła krew. Z wywróconymi oczami padł twarzą na trawę.

Wszyscy patrzyli na nią wstrząśnięci. Hekate przeszła nad ciałem brata, podeszła do ojca i zatrzymała się dopiero, gdy ich twarze dzieliły centymetry. Veder przesunął się lekko, żeby w nią celować. Otto stał z boku, na jego twarzy wciąż malowały się wstrząs i niepewność.

Hekate pochyliła się do ojca, aż jej wargi znalazły się cal od jego ucha.

– Ojcie. Dlaczego mamy czekać do jutra? Jeśli zamierzamy podpalić świat, dlaczego nie zrobić tego od razu?

I pocałowała go w policzek.

Z piersi Cyrusa Jakoby wyrwało się łkanie, które przerwało napięcie tej chwili. Objął Hekate i przycisnął ją do siebie.

– Mój zwierzaczek.

W oczach miał łzy.

* * *

Grace Courtland wyszła z za wodospadu i uniosła broń trzymaną w obu rękach.

– Wszystko to jest kurewsko wzruszające, ale masz dwie sekundy, żeby oddać mi to jebane urządzenie wyzwalające albo rozwalę twój wypaczony mózg po całej okolicy.

I wtedy zgasły światła.

Rozdział sto szesnasty

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 02.24
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 36 minut EST*

Drzwi wyjściowe były stalowe i tam postanowiliśmy się bronić. Rosjanie wciąż nadchodzili. Tłoczyli się w korytarzu, a pierwszy szereg miał tarcze balistyczne. Podeszli do wjazdu i tam się zatrzymali. Był to wyraźnie ich cel, a mieli dość ludzi, żeby go zdobyć i utrzymać. Nie widziałem, co robią, usłyszałem jedynie wizg wiertła. Nie miałem pojęcia, czy przywieźli je ze sobą, czy znaleźli na terenie, ale atakowali wjazd.

Postukałem w słuchawkę.

– Kowboj do Diakona.

– Tu Diakon.

– Jesteśmy pod ostrzałem i ponosimy duże straty. – Przekazałem mu złe wieści o Grace. – Nie umiemy ocenić, czy urządzenie wyzwalające zostało uruchomione. Jeśli ma pan tam kawalerię, proszę zadać w róg.

– Już się zbliżają. Trzy oddziały WDN dotarły na wyspę. Quicksilver zajął południową plażę. India i Hardball są w dokach. Oddział piąty SEAL znajduje się w odległości pięciu minut.

– Urządzenie wyzwalające.

– Nie możemy dłużej ryzykować, Kowboju. Musimy usunąć elektronikę.

To by uszażyło również nasz sprzęt komunikacyjny, o czym obaj wiedzieliśmy. Ale on miał rację. Nie pozostał nam inny wybór.

– Niech pan to zrobi! – krzyknąłem.

Kule uderzały w metalowe drzwi, a ja musiałem krzyczeć do swoich ludzi.

– Church uruchamia EMP. Za kilka minut koniec łączności radiowej!

To nie były dobre wieści. W ciemnościach bez łączności, w walce, w której wszyscy nosili czarne mundury polowe, ostrzał przez swoich szybko stawał się takim samym zagrożeniem, jak ogień wroga.

Starszy pochylił się w moją stronę.

– Jeśli te skurwysyny ze Specnazu przedostaną się przez właz...
– Nie dokończył.

– Widzieliśmy strażników wychodzących z dołu – przypomniał Królik. – Może da się jakoś zająć tych palantów z boku.

Chwyciłem Redmana i przyciągnąłem go do siebie.

– Utrzymajcie tę pozycję. Ja zabiorę oddział Echo na dół i zobaczę, czy uda nam się wyjść po drugiej stronie, złapać tych dupków w krzyżowy ogień. Oddziały WDN i SEAL są na wyspie i zostały poinformowane o waszym położeniu. – Zaczął się sprzeciwiać, ale nie dopuściłem go do głosu. – Chroń swoich rannych i utrzymaj ten koniec korytarza. Musimy wrócić do tego włazu. Wszystko od tego zależy.

– Nie zatrzymuj się tylko na kawę, kapitanie – powiedział Redman.

Mrugnąłem do niego i zbiegłem po schodach, a Starszy i Królik deptali mi po piętach.

* * *

Zeszliśmy w dół po dwóch biegach metalowych schodów, tak szybko, że ścinaliśmy zakręty w kwestii bezpieczeństwa. Wiedzieliśmy, że mamy bezpieczne tyły, więc wszyscy skierowaliśmy lufy M4 w dół. Kiedy w końcu pokazał się strażnik, posiekaliśmy go na kawałki, zanim zdążył choć raz wystrzelić.

Wzmacniane drzwi na następnym podejściu były zamknięte. Królik próbował otworzyć je wytrychem, ale choć zapadki się poruszyły, drzwi nawet nie drgnęły.

– Muszą mieć sztabę albo coś w tym rodzaju.

– Zejdźmy jeszcze poziom niżej, a jeśli to nic nie da, wrócimy na górę i spróbujemy wyważyć te drzwi.

Zeszliśmy po kolejnych dwóch biegach w podziemia budynku. Poziom techniczny. Kiepsko oświetlony, na suficie płatanina rur, dudnienie wielkich generatorów. Na dole było gorąco i wilgotno, z sufitu kapłała woda. Poziom techniczny też miał wzmacniane drzwi, ale blokowało je krzesło. Na podłodze leżała popielniczka i egzemplarz magazynu *Popular Mechanics*. Niech Bóg błogosławi wszystkim leniwych konserwatorów. Wewnątrz znaleźliśmy drugie, podobnie zablokowane drzwi, ale czuliśmy podmuch i słyszeliśmy odległe strzały. Poświeciłem latarką i zobaczyłem długą betonową rampę, która prowadziła aż na powierzchnię.

– Zaczekajcie tutaj – powiedziałem i pobiegłem w górę.

Na końcu znajdowały się ciężkie, zakratowane drzwi z opuszczaną sztabą, która jednak stała pionowo, a same drzwi były otwarte. Wyrząłem na zewnątrz i zobaczyłem co najmniej pięćdziesięciu Rosjan zajętych wymianą ognia z jakimiś innymi siłami. Z rampy nie widziałem, czy walczyli ze strażnikami Fabryki Smoków, czy z naszymi chłopcami, a nie mogłem wziąć udziału w tej walce. Dlatego wróciłem do Starszego i Królika.

Stali zwrócenii plecami do siebie i celowali w głąb poziomu technicznego, cali spięci.

– O co chodzi? – szepnąłem.

– Nie wiem, kapitanie – odparł Starszy. – Usłyszałem coś dziwnego.

– Dziwnego?

Zanim odpowiedział, w pobliżu rozległ się stukot pazurów na betonie.

– Pies stróżujący – stwierdził Królik.

– Nie szczeka – zauważył Starszy.

– Nie wszystkie szczekają.

Spojrzałem wzdłuż lufy i rozejrzałem się powoli dookoła. Nagle coś poruszyło się z lewej do prawej, wypadło zza stalowej obudowy wielkiej dmuchawy i ukryło się za stertą skrzyń.

– Kurwa, co to było?

– Pies? – Tym razem w głosie Królika brzmiało pytanie.

– Dla mnie nie wyglądało na psa – stwierdził Starszy.

Musiałem się z nim zgodzić. Sylwetka wydawała się niewłaściwa. Ciało było wielkie, jak u mastyfa, z potężnymi przednimi i tylnymi łapami, ale kształt głowy był niewłaściwy, a ogon wyglądał... dziwnie. Za duży i wygięty do przodu, aż za pysk.

Znów rozległo się stukotanie. Tym razem po prawej.

– Dwa – stwierdził Starszy.

I wtedy usłyszeliśmy je z tyłu.

– Trzy – poprawił Królik.

Odwróciłem się.

– Więcej – powiedziałem.

Co najmniej cztery dziwne kształty wypełniały ciemność rampy prowadzącej na zewnątrz. Pobiegly w naszą stronę z przerażającą szybkością.

– Jezu Chryste – jęknął Królik.

Odwróciłem się, a jeden ze stworów wszedł w plamę światła.

Był to pies. A raczej na początku. Bóg jeden wie, jak należało go nazywać teraz. Wielkością i masą ciała dorównywał

bulmastyfowi, a sierść miał czarną jak noc. Jego pysk był wypaczoną parodią psiego, ale nos i łeb okrywało coś, co na pierwszy rzut oka uznałem za pancerz, jaki setki lat temu nakładano walczącym psom. Przeżyłbym mastyfa w psiej zbroi. To było przerażające, ale nie koszmarnie.

Kiedy jednak stwór cofnął się w blasku lampy, zobaczyłem, że pancerz biegnie po całym jego grzbiecie i bokach, gdzie w końcu stawał się cieńszy i znikał wśród sierści. Płyty pancerza błyszczały jak wypolerowana skóra. Jednak dreszczem aż do szpiku kości przeszło mnie to, co wznosiło się nad nim. To nie był psi ogon. Nad potężnym grzbieciem i barkami psa wyginał się wielki, segmentowy ogon skorpiona.

Było ich teraz co najmniej dziesięć, zbliżały się ze wszystkich stron.

Ten w plamie światła zatrzymał się, ogon drżał nad jego głową, a z żądła kapał jad. Otworzył pysk, ukazując rzędy ostrych zębów, i wpatrywał się w nas oczyma czarnymi jak u samego diabła.

Z potwornym rykiem nienaturalnej nienawiści stwór pobiegł w naszą stronę.

I wtedy pozostałe zewsząd rzuciły się na nas.

Rozdział sto siedemnasty

*Sala Mitu,
wtorek, 31 sierpnia, 02.28
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 32 minuty EST*

Rozległ się głośny trzask i kula przecięła ciemność tak blisko, że Grace poczuła gorąco. Rzuciła się w bok i wpadła w rząd ciernistych krzaków. Kolce wbijały się w nią i szarpały jej ubranie, kiedy przetoczyła się nad zaroślami i zaczęła szukać po omacku twardego gruntu. Cudem utrzymała pistolet, co ją cieszyło, kiedy wymacywała drogę w absolutnych ciemnościach. Wszędzie wokół egzotyczne istoty krzyczały głosami słyszanyymi wcześniej jedynie w koszmarach.

– Co się stało ze światłami?

– Zabezpieczenie – wyjaśniła Hekate. – Jeśli w budynku rozlegają się strzały, cały obiekt zostaje zamknięty.

– Trafiłeś ją? – spytał ktoś.

Grace wydawało się, że Otto.

– Nie wiem – zabrzmiała odpowiedź.

Oba głosy rozlegały się po prawej, więc Grace ruszyła w lewo. Zbocze opadało w dół, a ona skuliła się i wolną ręką wymacywała przeszkody.

– Wkrótce uruchomi się oświetlenie awaryjne.

Jakby dla podkreślenia słów Hekate zapaliło się kilka świateł pod sufitem.

Oświetlenie było słabe, ale wystarczające, by móc się rozejrzeć. Grace skoczyła za porośnięty koniczyną kopiec i przycisnęła się do ziemi.

Hekate zaprowadziła ojca do szczeliny w skale. Otto wcisnął się za nimi. Tonton i Veder znaleźli osłonę za pobliskimi zaroślami.

– Kim była ta dziwka? – spytał ostro Otto. – Jedna z waszych?

– Nie – odparła Hekate. – Myślałam, że to ktoś od was.

– Nie obchodzi mnie, kim ona jest – warknął Cyrus. – Veder, zabij ją.

Zabójca odszedł bez słowa, zniknął wśród zarośli, nie pozostawiając śladu.

– Tonton – poleciła Hekate. – Poluj.

Berserk uśmiechnął się szeroko i pobiegł w stronę, gdzie wcześniej znajdowała się Grace, pochylił się i pociągnął nosem. Później odwrócił się i pobiegł.

– Co on robi? – spytał Otto.

– Ma więcej niż siłę małpy – wyjaśniła Hekate. – Eksperymentowaliśmy z nimi, dawaliśmy im inne umiejętności przydatne w walce. Jego zmysł węchu jest o wiele bardziej rozwinięty niż u człowieka. Wywęszy ją.

* * *

Grace usłyszała nadejście potężnego mężczyzny. Zużyła kilka nabołów, więc szybko wymieniła magazynek i znalazła miejsce z ograniczonym dostępem od tyłu, skąd mogła się rozglądać na trzy strony. Jednocześnie rozważała to, czego się dowiedziała. Jedno to nazwisko mężczyzny, który wyglądał jak Haeckel i Brucker. Cyrus najpierw zwrócił się do niego per „Conrad” a później „Veder”. Conrad Veder był kolejnym zabójcą z Bractwa Kosy.

Przyszła jej do głowy dziwna myśl, a Grace jakimś sposobem wiedziała, że jest prawdziwa. Haeckel i Veder byli dwoma z czterech zabójców Bractwa. Wyglądali identycznie i w obecnej sytuacji nie było przesadą uznać, że są klonami z tej samej linii komórkowej. Uznała za prawdopodobne, że wszyscy czterej zabójcy z Bractwa byli klonami. Posiadali te same umiejętności, bo w gruncie rzeczy byli tą samą osobą. Czy zabójcza precyzja i lodowata obojętność były zakodowane w genach? Nie wiedziała i uznała, że musi któregoś dnia omówić tę kwestię z Hu i Rudym.

W tej chwili musiała skupić się na wielkim zabójcy, który zbliżał się do niej. Tym, którego Hekate nazwała Tontonom. Berserk poruszał się z zadziwiającą ekonomią ruchów, przeskakiwał nad skałami, wspinał się z małpią swobodą, prześlizgiwał z kamienia na kamień w strumieniu. Grace wycelowała i czekała, aż znajdzie się w idealnej odległości do strzału.

* * *

Tonton zatrzymał się nagle i przykucnął, wpatrując się w ziemię. Podążał drogą, którą musiała przejść kobieta, i wiedział, dokąd prowadziła. Jeśli weszła do szczeliny przy południowym rogu, to miała za sobą skały i dogodne pole ostrzału. Uśmiechnął się. Gdyby zrobił jeszcze trzy kroki, jego głowa wzniosłaby się nad najbliższy pagórek i byłoby po wszystkim.

– Sprytna suka – mruknął.

Odwrócił się i skręcił w prawo w krzaki. Może i miała lepszą pozycję, ale on znał każdy centymetr Sali Mitu.

* * *

Veder nie zamierzał śledzić kobiety w gęstej dżungli porastającej

tę salę. To by była głupota i marnowanie jego umiejętności. Natomiast rozejrzał się po okolicy i wybrał trzy albo cztery najlepsze miejsca na zorganizowanie zasadzki. Jeśli ta kobieta jest bystra, znajdowała się w jednym z nich. Veder uważnie przyjrzał się każdemu. Wszystkie były dobre, ale jedno – półka częściowo osłonięta przez pędy oplątwy – pozwalało obserwować pozostałe dwa. Jeśli kobiety tam nie było, mógł wspiąć się na półkę i czekać, aż ten małpiszon ją znajdzie. Gdyby Berserk ją zabił, tym lepiej. Vederowi nie płacono za to ekstra. Gdyby kobieta zabiła Berserka, dostrzegłby miejsce, z którego strzelała, i wtedy ją wyeliminował.

Decyzja była pragmatyczna. Kiedy ją podjął, schował pistolet i zaczął się wspinać.

Rozdział sto osiemnasty

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 02.35
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 25 minut EST*

Stwory zbliżały się do nas, wyjąc jak demony. Najbliższy był niecałe trzydzieści metrów od nas, jego ogon kołysał się do przodu i do tyłu, uderzał z brzękiem o rury pod sufitem. Trafiłem go krótką serią i stworem rzuciło na bok, a krew i odłamki pancerza poleciały w powietrze. Pozostałe zatrzymały się na ułamek sekundy, ale później ranny zasyczał i podbiegł do przodu, zakrwawiony, ale bynajmniej nie martwy.

- Kurwa mać – zaklął Królik i otworzył ogień w stronę istot.
- Odłamkowym! – ryknąłem.

Nasze M4 wyposażono w najnowszy jednostrzałowy granatnik M203, kaliber 40 mm, zamocowany pod lufą przed magazynkiem. Miał osobny kabłąk i spust, więc złapałem je lewą ręką, prawą zaś wciąż trzymałem karabin. W ten sposób korzystałem z dwóch broni jednocześnie, a potrzebowałem całej siły ognia, jaką miałem do dyspozycji. Szkoda tylko, że granatnik był jednostrzałowy.

Wycelowałem w środek największego zgrupowania stworów i wystrzeliłem.

Wybuch rozerwał trzy z nich na kawałki. Pewnie powinienem uznać za uspokajające, że pod tym owadzim pancerzem kryło się

zwierzę z krwi i kości. Nie byłem pewien, czy mogłem nazwać je psem, ale przynajmniej dawało się je zabić.

Starszy odwrócił się i wystrzelił w górę betonowej rampy. Ograniczona przestrzeń zmaksymalizowała siłę wybuchu, który rozerwał stwory i posłał w naszą stronę gorący, wilgotny podmuch, który zachlapał nas krwią.

Wysoko nad nami rozległ się grzmot i nagle wszystkie światła w podziemiu rozbłysły i zgasły.

– EMP! – krzyknąłem.

– Kurwa, to nie jest dobry moment! – ryknął Królik.

Gorączkowo sięgnął do kieszeni i wyjął garść flar chemicznych. Złamał je, potrząsnął i rzucił kilka wokół nas. Istoty były równie zaskoczone nagłą ciemnością, jak my, a ja uświadomiłem sobie, że oczy miały psie. Psy widziały w słabym świetle, ale w całkowitej ciemności były równie ślepe jak ludzie.

– Chyba właśnie włączyłeś neon restauracji – stwierdziłem.

Stwory znów ruszyły w naszą stronę.

– Odłamkowy! – krzyknął Królik i rzucił granat.

Ten odbił się od grzbietu jednego ze zwierząt w chwili, kiedy machnęło ogonem, i granat tuż przed wybuchem lekko podskoczył. Wybuch spłaszczyl jednego stwora i rozerwał rury pod sufitem. Woda i para spadły na zwierzęta, które zaczęły wyć, kiedy zalewał je wrzątek. Dwa zdezorientowane i rozwścieczone skorpionopsy zwróciły się przeciwko sobie w morderczej furii, ich żądła uderzały raz za razem, aż oba odtoczyły się na drżących łapach i padły.

Starszy stał zwrócony plecami do mnie, strzelaliśmy bez ustanku, gdy kolejne istoty wyłaniały się z mroku.

– Celujcie w łby! – krzyknąłem.

Z początku było ich tak wiele, że ich fala popychała przed sobą zewłoki potworów, które zabiliśmy, i wtedy do gry wszedł Królik. Rzucił granat ręczny najpierw po stronie Starszego, a później po mojej. Wybuchy nas ogłuszyły, ale zdziesiątkowały istoty.

Pierwsze szeregi po obu stronach zostały rozerwane, a stwory znów cofnęły się na krótką chwilę, po czym ruszyły do ataku.

– Awaria! – zawołał Starszy.

Królik zaczął strzelać, kiedy Starszy zmieniał magazynek. W chwili gdy on znów zaczął ostrzalać, ja zużyłem magazynek i tym razem Królik osłaniał mnie.

Zostało dziesięć.

Opróżniliśmy po kolejnym magazynku.

Zostało siedem. W odległości pięciu metrów.

Za blisko na kolejny granat. Królik otworzył ogień ze swojego karabinu.

Cztery. Trzy metry.

Starszy wystrzelał cały magazynek, a one prawie dotarły do naszej pozycji.

Dwa. Jeden zamachnął się na mnie ogonem i ostre żądło utknęło w kevlarowej osłonie piersi.

Królik przycisnął lufę do jego łba i pociągnął za spust.

Stwór skoczył na Starszego i rzucił go na ziemię. Ogon skorpiona krążył wokół Starszego, kiedy ten krzyczał i przekręcał się na boki, to w jedną, to w drugą stronę. Nie mogłem ryzykować strzału, więc kopnąłem stwora w pysk, raz, drugi, aż do krwi. Zraniłem go, ale on warknął z bólu i wściekłości i próbował ugryźć mnie w nogę.

I wtedy Królik zrobił coś niewiarygodnie odważnego. Albo niewiarygodnie głupiego. Skoczył na potwora i ciężarem ciała przycisnął potężny ogon do grzbietu psa. Żądło drżało całe od twarzy Starszego.

– Zdejmijcie go ze mnie! – krzyknął Starszy, a w jego głosie brzmiał ból.

Nie wiedziałem, jak i gdzie został ranny. Mastyf – nawet pomijając wielki ogon – musiał ważyć dobrze ponad sto kilo, a cała ta masa miażdżyła Starszego. Na wierzchu zaś spoczywało potężne ciało Królika. Ciężkie krople jadu ściekały z żądła

i rozchłapywały się na czole i policzkach Starszego.

Cofnąłem nogę i kopnąłem bestię jak nigdy niczego wcześniej. Czuję, że jej bok zapada się pod uderzeniem. Popękały żebra i bestia wydała z siebie zadziwiająco psie skomlenie, ale kopniak pomógł i stwór przechylił się na bok. Podeszedłem bliżej i znów go kopnąłem, równie mocno. Skorpionopies przewrócił się, a wtedy Królik zaczął odciągać go od Starszego. Potężny młody mężczyzna i pies przetoczyli się kilka razy, aż Królik otoczył ramieniem gruby kark potwora. Warczał przy tym bardziej zajadle niż pies. Widziałem, jak mięśnie jego ramienia napinają się pod rękawem koszuli. Królik nagle szarpnął całym ciałem do góry i do tyłu. Rozległ się głośny trzask i potworny pies osunął się i znieruchomiał.

Królik stoczył się z niego, dyszał i mamrotał:

– O cholera, o cholera, o cholera...

Ukląknę nad Starszym, który usiłował się podnieść. Pamiętałem o jądzie na jego twarzy – otworzyłem zestaw pierwszej pomocy, żeby znaleźć kompresy i go zetrzeć.

– Jesteś ranny? – spytałem.

– Ano. – Skrzywił się. – Chyba mam połamane żebra.

Rozpiąłem keklarową kamizelkę i obmacałem mu boki. Syczący oddech powiedział nam obu wszystko.

– Masz popękany cały bok. Pięć, może sześć żeber.

– Kurwa mać. – Próbował sięgnąć prawą ręką, żeby samemu się obmacać, ale wtedy przeszła go kolejna fala bólu. – A niech to wszyscy diabli...

Obmacując go dalej, poczułem wilgoć pod palcami.

– Krwawisz.

Bardzo ostrożnie uniosłem koszulę i spojrzałem na jego plecy. I prawie tego pożałowałem. Brązowa skóra jego boku była śliska od czerwonej krwi, a w samym środku wystawały dwa poszarpane kawałki białej kości, które przebiły mięśnie i skórę.

– Źle jest?

– Nie najlepiej.

– Mów, kapitanie.

– Masz parę skomplikowanych złamań żeber. Mogę zatamować krwawienie, ale teraz ich nie nastawimy.

– A niech to wszyscy diabli. Chcę brać udział w tej walce.

– Człowieku – Królik stał tuż nad nami i rozglądał się czujnie – właśnie walczyłeś ze zmutowanymi potworami. Będiesz się mógł chwalić tym cholerstwem przez całą wieczność.

– Jeśli będę się miał komu chwalić, chłopaczku. Jeszcze nie dopadliśmy tych nazistowskich psycholi, a może zapomniałeś?

– Przyjąłem.

– Chcesz coś przeciwbólowego, Starszy? – spytałem, kiedy skończyłem go opatrywać.

– Powiedz nie narkotykom – mruknął.

– Zobaczymy, czy uda ci się wstać.

Pomogliśmy mu się podnieść, ale nie mogliśmy zrobić tego w sposób, który nie sprawiał mu bólu. Starszy bluzgał na nas tak, że nie będę tego powtarzał. Królik go podtrzymywał, kiedy próbował iść. Udało mu się, ale nie miał szans wrócić do walki. Wszyscy o tym wiedzieliśmy.

– Posłuchaj, kapitanie, ty i chłopaczek musicie ruszać. Ja będę pilnował schodów.

– Nie możesz strzelać... – zaczął Królik, ale Starszy mu przerwał.

– Poradzę sobie z pistoletem, synu. Chcesz, żebym ci pokazał? Założę się, że z tej odległości rozwalę ci rzepkę.

– Dobra, dobra, ty stary zrędo.

Starszy odwrócił się do mnie.

– Zegar tyka. Musicie się zmywać.

– Zmywamy się.

I odwróciłem się w stronę kompleksu. Po chwili usłyszałem kroki Królika.

Obejrzałem się raz i zobaczyłem Starszego stojącego w wejściu.

Otaczały go martwe potwory, a on wyglądał jak starożytny wojownik na legendarnym polu bitwy. Pomachał nam lekko, a później wraz z Królikiem wyszliśmy za róg i zniknął nam z oczu.

Rozdział sto dziewiętnasty

COT,

wtorek, 31 sierpnia, 02.39

*Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 21 minut*

- Czarne Skrzydło Trzy do Diakona.
 - Tu Diakon.
 - Paczka została dostarczona – powiedział pilot. – To noc, gdy światła zgasły w Georgii.
 - Przyjąłem. Dobra robota, Czarne Skrzydło.
- Church odchylił się do tyłu na krześle i wpatrzył w szereg ekranów, które jeszcze przed chwilą pokazywały obrazy z kamer na hełmach wszystkich agentów WDN na Dogfish Cay. Teraz wszystkie ekrany były czarne poza obrazem noktowizyjnym z satelity.
- Usłyszał, jak ktoś podchodzi do niego od tyłu.
- Co się stało? – spytał Rudy Sanchez.
- Church wyjaśnił mu działanie bomby wysyłającej impuls elektromagnetyczny.
- Jeśli będziemy mieli szczęście, Cyrus nie będzie miał dostępu do działającego terminala komputerowego, by wysłać zaszyfrowane wiadomości rozpoczynające Falę Wymierania.
 - Jeśli będziemy mieli szczęście? – powtórzył Rudy. – *Dios mio.*
- Obraz satelitarny pokazywał setki jasnych punktów na wyspie. Co kilka sekund rozbłyskał jaśniejszy punkt.

– Co to?

– Skanowanie termalne bitwy. Każda kropka to walczący. Rozbłyski to wybuchy, najpewniej granatów.

– Które są nasze?

– Straciliśmy wszystkie dane telemetryczne z wyspy.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie wiemy, które są nasze.

Zderzenie setek kropek nie miało sensu dla Rudy'ego. Wydawali się tak stłoczeni. Wszyscy ci żołnierze, każdy w czerni, pozbawieni komunikacji nawet z resztą swojego oddziału. Ta myśl go przerażała, a mógł jedynie wyobrazić sobie grozę ludzi na wyspie.

– Jest pan religijny.

Słowa pana Churcha nie były pytaniem, ale Rudy i tak pokiwał głową.

– Tak.

– Teraz nadszedł dobry moment na modlitwę.

Rozdział sto dwudziesty

*Sala Mitu,
wtorek, 31 sierpnia, 02.41
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 19 minut EST*

Po raz drugi w czasie dwudziestu minut w Sali Mitu zgasły światła.

– Co znowu? – warknął Cyrus.

– Ja... nie wiem – odparła Hekate.

– To ta kobieta – stwierdził Otto.

– Nie. Światła awaryjnych nie da się obejść. Musiałyby zostać wyłączone z centrali bezpieczeństwa. Twoi ludzie musieli to zrobić.

– Nie – sprzeciwił się Otto. – Mają ściśle rozkazy, by nie zakłócać działania żadnego systemu.

– Dlaczego? – Hekate zaraz odpowiedziała na własne pytanie. – Och. Potrzebujecie działającego terminala komputerowego dla swojego urządzenia.

– Może powiesz to jeszcze głośniej? – rzucił Otto lodowatym tonem. – Na wypadek gdyby agentka cię nie usłyszała.

Hekate go zignorowała. Po chwili spytała:

– Posłuchajcie... słyszycie wentylację?

Wszyscy milczeli w całkowitej ciemności.

– Nie słyszę niczego poza paroma ptakami – odezwał się w końcu Cyrus.

– A niech to diabli. Wentylatory się wyłączyły. – W głosie Hekate brzmiało napięcie. – To osobny system z własnym generatorem, sterowany z mojego gabinetu. – Zawahała się. – Co znaczy, że nie działa główny generator, jak również systemy awaryjne i pomocnicze. Wszystkie naraz?

Cyrus otworzył komórkę. Nie świeciła się.

– Otto, sprawdź swój telefon. Zobacz, czy się uruchomi.

– Jest martwy.

– Coś jednocześnie wyłączyło całą elektronikę – powiedział Cyrus przyciszonym głosem. – Albo na wyspę zrzucono bombę atomową, albo ktoś zaatakował nas bardzo precyzyjnym EMP.

– Nasze oddziały nie mają niczego takiego – zauważył Otto.

– W takim razie na wyspie są Amerykanie. Jeśli użyli bomby E, to wiedzą o urządzeniu wyzwalającym. Nic innego nie ma sensu.

W jego głosie brzmiała wyraźna nuta paniki.

– Musimy się stąd wydostać – szepnął z naciskiem Otto. Macał w ciemnościach, aż odnalazł ramię Hekate i ścisnął je gwałtownie. – Musimy się stąd wydostać, zanim nas powstrzymają, albo utracimy wszystko, co próbowaliśmy osiągnąć.

– Mam w gabinecie zabezpieczony laptop – odparła Hekate. – Wytrzyma każdy impuls elektromagnetyczny, a znajduje się w wyłożonym ołowiem sejfie razem z przenośnym dyskiem z kopiami zapasowymi naszych badań.

– Ale jak dostaniemy się do twojego gabinetu? – spytał Cyrus. – Jesteśmy tu uwięzieni.

Hekate roześmiała się, a dźwięk ten w ciemnościach dziwnie kojarzył się z kotem.

– Ja zaprojektowałam to miejsce, ojcze. Myślisz, że byłabym na tyle nieostrożna, by zmienić je w swój grobowiec?

– W takim razie zabierz nas stąd.

– Muszę odnaleźć wodospad. Tylna ściana to imitacja. Są tam drzwi prowadzące do tunelu serwisowego. A teraz bądźcie cicho

i pozwólcie mi się zorientować.

* * *

Conrad Veder potraktował ciemność z filozoficznym spokojem. Nie był sfrustrowany, bo nie traktował zabójstwa emocjonalnie. Zmiana okoliczności znaczyła jedynie, że potrzebował nowego planu.

Pamiętał proces wspinaczki, więc zejście na dół byłoby dość proste. Mimo to nie ruszył od razu. Na górze nic mu bezpośrednio nie zagrażało, a światła mogły za jakiś czas znów się włączyć.

Jedną z największych zalet owadziego umysłu jest brak skłonności do pośpiechu.

* * *

Tonton nie lubił całkowitych ciemności. One jako jedyne sprawiały, że czuł się odsłonięty.

Wciąż czuł zapach kobiety i gdyby był ostrożny, mógłby ją wysledzić. Ale jeśli miała noktowizję? Jak była ubrana? Spodnie od munduru polowego, buty i czarna koszulka bez rękawów. Czy miała pas ze sprzętem?

Chyba nie, ale nie był pewien.

Minęło kilka sekund.

Nie, uznał. Nie nosiła pasa ze sprzętem. Z drugiej strony być może miała plecak, który zostawiła w zaroślach. Nie widział jej po tym, jak wbiegła w krzaki. Mogła mieć czas, by złapać plecak i ruszyć dalej. Co robić?

Gdyby miał jednego z nowych rekrutów, poleciliby mu wstać i zobaczyć, czy ta dziwka wpakuje mu kulkę w łeb. Tonton nie zamierzał nadstawiać własnej głowy.

Panna Jakoby mogła mieć jakąś sztuczkę w zanadrzu. Tonton sięgnął do kieszeni po komórkę, ale aparat nie działał. Nawet ekran nie świecił. Co, do diabła?

Pogrążony w niezdecydowaniu Tonton nie zrobił nic.

* * *

Grace Courtland nie bała się ciemności. Wolałaby mieć noktowizję albo jakieś użyteczne źródło światła, ale nie potrzebowała ich. Miała w sobie zbyt dużo z drapieżnika, by mrok jej przeszkadzał.

Skoro ona nic nie widziała, to żaden z dwóch mężczyzn, którzy na nią polowali, też jej nie widział. A do tego rozumiała, dlaczego nagle zrobiło się ciemno. Church spuścił EMP, co dawało jej trochę wytchnienia. Ale miała też ściśle określony cel. Na wyspie mógł się znajdować zabezpieczony terminal albo laptop. Wątpiła, by jakiś był w tym pomieszczeniu, ale to znaczyło, że musi powstrzymać Cyrusa Jakoby przed wydostaniem się z sali.

Wyszkolenie agenta sił specjalnych stało się częścią natury Grace. Została przyjęta do SAS jako jedna z pierwszych kobiet i była pierwszym agentem Zapory w terenie. Church nie zwerbował jej do WDN dla jej urody. Przyjął ją, bo była najlepsza z najlepszych. Teraz nadszedł czas, by spełniła oczekiwania, i Grace uśmiechnęła się w absolutnych ciemnościach.

Gdyby ktokolwiek zobaczył ten uśmiech – nawet zabójca taki jak Tonton – zawahałby się.

Wyszła ze swojej niszy, odliczając kroki, które wcześniej zrobiła. Szkolenie nauczyło ją zapamiętywać kierunki, przebiegnięte metry, zakręty w prawo i w lewo, wysokość. To nie był czas na broń palną. Nie widziała celu, a gdyby spudłowała, błysk z lufy zdradziłby jej pozycję. Pistolet wrócił za pas, a Grace kilkanaście razy przeciwiczyła wyciąganie noża z prawej

kieszoni, aż wiedziała, że może go wyjąć i zablokować ostrze w niecałą sekundę.

Dzięki tej świadomości odważyła się zachować wolne ręce, kiedy cofała się po własnych śladach. Zatrzymała się na chwilę, by pomacać po ziemi w poszukiwaniu małych kamieni. Kilka wsunęła do lewej kieszeni.

Gdzieś na trzeciej słyszała szepty Cyrusa, Hekate i Ottona. Dokładnie w tamtą stronę się kierowała.

Z największą ostrożnością stawiała stopy, upewniała się, że każdy krok był lekki jak piórko, a dopiero gdy była pewna, że nie straci równowagi, płynnie przenosiła ciężar z jednej nogi na drugą. Trochę przypominało to wykorzystywanie tai chi do tropienia zwierzyny w ciemności – długie, powolne, opanowane kroki.

* * *

Tontonowi wydawało się, że coś usłyszał. Odwrócił głowę i pociągnął nosem. Powietrze wypełniał gęsty odór strachu transgenicznych zwierząt, z których część wpadła w panikę, kiedy zgasły światła. Przytłaczały jego węch, ale był pewien, że doszedł go świeży podmuch woni kobiety. Ludzie nie pachną jak zwierzęta, a choć Tonton w przeciwieństwie do małych człokształtnych nie miał genów niezbędnych do przetwarzania tysięcy osobnych woni, przez wiele godzin ćwiczył węch.

Był pewien, że to kobieta. Poruszyła się.

Nagle usłyszał dźwięk daleko po swojej przeciwnej stronie i odwrócił się gwałtownie, celując pistoletem w ciemność. Co było źródłem tego hałasu? Kobieta? Veder? Jedno ze zwierząt?

Rozległ się drugi dźwięk. Ostry i krótki, jak kamień poruszony przez biegnącego.

I trzeci.

Wszystkie daleko po jego prawej. To musiała być ona. Jakimś sposobem go oszukała i zamiast wracać tą drogą, pod osłoną ciemności przechodziła przez otwartą przestrzeń.

– Mam cię, suko. – W przyciszonym głosie Tontona zabrzmiała złośliwość.

Podniósł się z pozycji leżącej. Zrobił ostrożny krok, a później kolejny.

I wtedy coś otarło się o jego nogę, a on odwrócił się gwałtownie, lecz nagle jego udo przeszła fala bólu. Poczł dezorientujące wonie. Kobieta – blisko! – i ostry, miedziany zapach krwi.

Zamachnął się gwałtownie w ciemności, ale trafił jedynie w powietrze.

Kolejna fala bólu przeszła tył jego kolana i nagle odkrył, że przechyla się w tamtą stronę, gdy noga ugięła się pod nim.

Tonton krzyczał, gdy ból uderzał w niego falami, raz za razem, z uda i kolana. Obmacał udo i poczuł wilgoć, a później coś gorącego zachlapało jego dłoń. Krwawił. Obficie. Z tętnicy.

Suka go cięła!

Znalazła go w ciemności i cięła.

– Ty jebana ci... – zaczął krzyczeć, ale dostał w twarz.

Jego policzki płonęły nieznośnym bólem, a kiedy dotknął twarzy, poczuł coś dziwnego, coś straszliwie niewłaściwego. Jego usta rozciągały się szeroko, absurdalnie szeroko. Tam, gdzie powinny się znajdować ich kąciki, były dwie poszarpane rany.

Machał rękami w ciemnościach, a jego wnętrze wypełniał strach. I wtedy poczuł, jak ktoś chwyta go za włosy, i jego głowa poleciała gwałtownie do tyłu. Twarda krawędź ostrza dotknęła gardła. Wbiła się mocno, ale nie cięła.

Coś musnęło jego ucho i uświadomił sobie, że to miękkie wargi.

– To za tych biednych sukinsynów z Deep Iron – szepnęła kobieta głosem miękkim jak szept namiętności.

Nie rozumiał. Nie było go w Deep Iron. Tamto zadanie wykonało dwóch jego ludzi. Nie zabił tamtych. Otworzył usta, by jej powiedzieć, by ją błagać. I wtedy jego gardło przeszła fala gorąca jak lawa i zabrakło mu głosu. Słyszał słabe, odległe bulgotanie, jakby dochodzące spod wody. Poczł gorącą wilgoć w ustach, a później leciał w ciemność bardziej absolutną i wieczną niż chwilowe cienie Sali Mitu.

Rozdział sto dwudziesty pierwszy

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 02.44
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 16 minut EST*

Jeśli na dolnym poziomie było więcej skorpionopsów, nie napotkaliśmy ich. W zniszczonym biurze znaleźliśmy jednak trupy kilku gości w poplamionych smarem kombinezonach. Wyglądało na to, że próbowali stawić opór potworom, zablokowali drzwi biurkiem i ściskali w rękach klucze francuskie. Zabili jednego transgenicznego stwora, miażdżąc mu czaszkę, ale wygląd pomieszczenia wskazywał, że inne wpadły do środka. Każdy z robotników musiał zostać użądłony dziesiątki razy.

– Biedne sukinsyny – mruknął Królik.

– Biedne sukinsyny, które pracują dla złych gości – odparłem.

Poziom mojego współczucia sięgnął dna.

Biegliśmy dalej, goniąc za światłem latarek. Impuls elektromagnetyczny usmażył nam noktowizję, ale dlatego właśnie każdy z nas miał latarkę i dodatkowe baterie zawinięte w ołowianą blachę.

– Schody! – Królik pokazał palcem.

Skreśliśmy w prawo i przebiegliśmy przez drzwi najszybciej, jak się odważyliśmy. Klatka schodowa była pusta, więc zaczęliśmy wchodzić na górę, na zmianę osłaniając się na

zakrętach, ale nie zatrzymując się. Jeśli oddział Alfa wciąż utrzymywał pozycję na końcu korytarza, miałem nadzieję zaskoczyć Rosjan. Kilka granatów błyskowo-hukowych, a później odłamkowych wyrównałoby stosunek sił. Tamci działali dosłownie po omacku, co mogliśmy wykorzystać przeciwko nim.

Dotarliśmy na główny poziom i ostrożnie otworzyliśmy drzwi. Z wnętrza budynku nie dochodziły odgłosy strzelaniny. Nie umiałem ocenić, czy to dobry znak, czy wręcz przeciwnie. Na zewnątrz trwała jednak gorączkowa wymiana ognia.

Następna część była ryzykowna, bo nie mogliśmy używać latarek, ale musieliśmy pójść korytarzem.

Nachyliłem się do Królika i powiedziałem mu, co chcę zrobić.

– Przyjąłem – szepnął.

Zarzuciłem karabin na ramię i wyciągnąłem beretę. Poruszając się ostrożnie, odnalazłem lewą dłoń przeciwną ścianę. Królik trzymał dłoń na moim ramieniu. Szliśmy przed siebie niczym para ślepych żebraków pokonujących uliczkę. Przesuwałem palcami wzdłuż ściany i nie poruszałem się szybciej, niż pozwalała na to moja orientacja w przestrzeni. Za każdym razem, kiedy trafiałem na otwór – korytarz albo drzwi – zatrzymywałem się, dwa razy klepałem dłoń Królika, a później poruszałem się noga za nogą, aż moje palce znów napotkały długą, zakrzywioną ścianę. Przebywanie w całkowitej ciemności uświadamia, jak wiele zależy od wzroku. Osoba widząca, którą nagle otoczy ciemność, czuje się ogromnie odsłonięta. Ruchy są niezgrabne i powolne. Aby to przezwyciężyć, trzeba opracować system poruszania się i ciągłej analizy. Szybkość jest wrogiem orientacji bez użycia wzroku.

Dlatego minęło trochę czasu, zanim przebyliśmy korytarz, ale udało nam się dotrzeć aż do głównego wejścia. Wielkie szklane drzwi były zamknięte, więc podążyłem wzdłuż nich na drugą stronę i znów natrafiłem na ścianę. Teraz wiedziałem, gdzie jesteśmy i jak daleko od wjazdu.

Przebyliśmy kolejne trzydzieści pięć metrów i zatrzymaliśmy się. Odnalazłem dłoń Królika i postukałem ją trzy razy – sygnał, że mam zamiar wydać mu polecenie – a później poprowadziłem jego rękę w górę jego ramienia do piersi i granatów wiszących na uprząży. Następnie odnalazłem jego wielką dłoń i narysowałem na niej serię liter. Stukał mnie w nadgarstek za każdym razem, kiedy chciał, żebym powtórzył.

Kiedy skończyłem, poklepał mnie po nadgarstku, dwa razy po dwa razy. Wiadomość odebrana i zrozumiana.

Znów zorientowaliśmy się w przestrzeni i ruszyliśmy dalej korytarzem, aż usłyszeliśmy głosy. Szepty kilkunastu ludzi. Ciche i po rosyjsku. Rozumiałem, co mówili, ale nie miałem czasu przetłumaczyć Królikowi. Poza tym ich słowa nie miały znaczenia taktycznego. Jeden mężczyzna spytał drugiego, kiedy wrócą światła, a szorstki głos – pewnie sierżant albo dowódca oddziału – kazał mu stulić pysk.

Schowałem pistolet do kabury i wyjąłem dwa granaty. Błyskowo-hukowy w lewej, a odłamkowy w prawej. Słaby szelest powiedział mi, że Królik zrobił to samo.

– Światło! – syknąłem i wyciągnęliśmy zawlecзки błyskowo-hukowych.

Jeśli Rosjanie mnie usłyszeli, nie miało to znaczenia. Wyrzuciliśmy granaty w pustkę przed sobą, zacisnęliśmy powieki i zasłoniliśmy uszy najlepiej, jak się dało. Mimo to wybuch i ogniki za oczami były jak nóż wbijający się w mózg.

Rosjanie oberwali znacznie gorzej.

Granaty wybuchły w powietrzu tuż nad nimi, a ja otworzyłem oczy sekundę po wybuchu. Zobaczyłem ich – w sumie może dwudziestu – cofających się przed gwałtownym blaskiem, krzyczących z bólu w uszach, zbyt wstrząśniętych i dezorientowanych, by zrobić cokolwiek.

Ostatnie iskry błysku pozwoliły mnie i Królikowi ocenić odległość i kąt.

– Odłamkowy!

Rzuciliśmy.

Oni zginęli.

Nie wszyscy. Trzech musieliśmy zastrzelić. Ale reszta dostała szrapnelami prosto w twarze. Głupcy przestraszyli się ciemności i stłoczyli razem dla bezpieczeństwa. Głupi błąd, ale pewnie myśleli, że są panami tego korytarza.

Teraz stał się ich grobowcem.

Echo wybuchu przetoczyło się korytarzem, aż zadzwoniło mi w uszach. Nawet przyciskanie dłoni do małżowin może zablokować jedynie część hałasu.

Włączyłem latarkę i przesunąłem promieniem po rzeźni.

– Boże Wszchemogący – westchnął Królik.

Uniosłem dłonie do ust.

– Gra w klasy! – krzyknąłem.

– Skakanka! – dobiegła po chwili odpowiedź.

Redman. Oddział Alfa przeżył.

Zebrałiśmy się przy włączu. Wyjęliśmy chemiczne flary i rzuciliśmy się na ziemię – spotkaliśmy się w połączonym niebieskozielonym blasku. Jeden z Alfy przyszedł po chwili, prowadząc Starszego, który wyglądał blado i źle.

Królik od razu do niego podbiegł.

– Jak się trzymasz?

– Pięknie, kurwa, pięknie, chłopaczku. Trochę wam to zajęło.

– Ta, wpadliśmy na piwo do baru z panienkami.

– Wcale by mnie to nie zaskoczyło.

Redman podszedł do mnie, kiedy przyglądałem się włazowi.

– Starszy sierżant sztabowy Sims odmawia przyjęcia leków przeciwbólowych. Zagroził, że odstrzeli rękę pierwszemu sukinsynowi, który spróbuje mu podać morfinę.

– Jest dziś nie w humorze. Zostawcie go w spokoju. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Musimy przedostać się przez ten właz.

Zanim Redman został awansowany na zastępcę Grace, był w oddziale Alfa specjalistą od materiałów wybuchowych. Przeciągnął dłonią po włączniku, a później przesunął się w bok i postukał w ścianę.

– W porządku, kapitanie. Tego włącznika nie wywalilibyśmy nawet granatnikiem przeciwpancernym, ale ściana jest z kamiennych bloczków. Jeśli wybijemy w niej dość duży otwór, umieścimy w nim ładunek skompresowany i może uda mi się zrobić dla nas wejście. Mamy dość C4 do tego celu, problemem będzie otwór.

– Potrzebuję rozwiązań, nie problemów.

Redman spojrział na martwych Rosjan, po czym zwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

– Beth, obszukajcie ciała. Potrzebuję granatów i materiałów wybuchowych. Jeśli jakieś mają, to na pewno semtex. I zapalników. Ten, który ma najwięcej semteksu, ma też zapalniki. Do roboty.

Oddział Alfa poruszał się metodycznie i przed upływem dwóch minut Redman miał dwadzieścia granatów i cztery tuby plastikowego materiału wybuchowego. Trzy z czterech rosyjskich zapalników były uszkodzone, ale powiedział, że potrzebuje tylko jednego.

Zabrał się do umieszczania granatów wokół kuli z połowy semteksu. Owinął je trzema warstwami polimeru tłumiącego wybuchy, ostrożnie umieścił zapalnik i zaczął się cofać, rozwijając przewód. Zagonił wszystkich za ostry zakręt korytarza i przycisnęliśmy się do podłogi przy ścianie.

– Uwaga, wybuch! – krzyknął Redman i nacisnął detonator.

Wybuch był ogromny. Korytarz wypełniły dym i kurz.

Kiedy wszystko ucichło, poderwałem się na równe nogi i ruszyłem biegiem. Przyciskałem kawałek materiału do twarzy i mrużyłem oczy w dymie. W ścianie ział krater głęboki na co najmniej dwadzieścia centymetrów, a otaczały go pęknięcia biegnące na boki i od podłogi do sufitu.

– A niech mnie – mruknął Redman. – Dobry jestem.

Zabrał się do drugiej części zadania, wyłobił popękany kamień, żeby przygotować wąską szczelinę na C4. Zapakował ją ciasno. Skompresowany ładunek wywołuje większe uszkodzenia, a my potrzebowaliśmy uszkodzeń. Potrzebowaliśmy otworu wystarczająco dużego, bym przez niego przeszedł.

Kiedy skończył, znów się wycofaliśmy, a on nacisnął detonator.

Ten wybuch był większy, ale nie głośniejszy. Duża część energii weszła w kamienną ścianę z taką siłą, że poczuliśmy wibracje biegnące wzdłuż podłogi.

Znów się podniosłem i pobiegłem, a kiedy dotarłem do ściany, wiedziałem, że Redman przebił się na drugą stronę. Wśród dymu poczułem podmuch wilgotnego i gorącego powietrza. Gorączkowym ruchem rozproszyłem chmurę pyłu i zaświeciłem do środka.

Redman przebił się na wylot.

Ale otwór nie był dość duży.

Nie dla mnie. Ani dla żadnego z nas.

A zużyliśmy wszystkie materiały wybuchowe.

Rozdział sto dwudziesty drugi

*Sala Mitu,
wtorek, 31 sierpnia, 02.53
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 7 minut EST*

Grace odeszła od trupa Berserka i wróciła do ścieżki. Z ciemności dobiegała szeptana rozmowa Hekate z ojcem. Już nie stali w miejscu. Grace przykucnęła i nasłuchiwała, śledząc dźwięk, choć nie rozumiała słów. Dźwięk poruszał się przed nią, z lewej do prawej. Brakowało punktów odniesienia, by ocenić odległość, zwłaszcza w przypadku szeptów, ale nie mogli znajdować się w odległości większej niż dwadzieścia metrów.

Co było po prawej?

Dźwięk jej podpowiedział. Cichy szmer wodospadu. Tam kierowała się Hekate. Grace przypomniała sobie metalowy panel na tyłach. Drzwi albo panel dostępowy. Była gotowa założyć się o wiele, że drzwi.

Ruszyła w tamtą stronę, ostrożnie wymacując drogę. Odnalazła rząd małych kamieni i rozpoznała je jako kamienie ułożone wzdłuż ścieżki dla obsługi. Doskonale.

– ...daj mi chwilę...

Fragment rozmowy sprawił, że Grace zamarła. Ktokolwiek to powiedział, znajdował się najwyżej cztery metry od niej. Wyciągnęła pistolet i nasłuchiwała.

– ...tu jest! – szepnęła Hekate. – Dźwignia jest tuż pod...

Grace wystrzeliła w stronę głosu. Wiedziała, że jej pierwszy strzał pewnie nie trafi, ale błysk z lufy pokaże jej, gdzie celować za drugim razem.

Po absolutnej ciemności od rozbłysku zabolą ją oczy, ale obraz wypalił jej się w umyśle. Tył wodospadu. Hekate sięgająca pod nawis mchu, jej smukłe ciało wyciągnięte. Cyrus za nią, zaciskający pięść na czymś wiszącym na smyczy na szyi. Otto Wirths z tyłu, pochylony w stronę panelu.

Błysk. Pojawił się i zniknął.

Grace uśmiechnęła się i wystrzeliła jeszcze pięć razy. Usłyszała krzyk.

I wtedy ściana półtora metra od niej wybuchła, zasypując ją gruzem. Kawalek kamienia wielkości pięści uderzył ją w bok ramienia i jej ostatni pocisk poleciał w bok.

Grace upadła, a jej pistolet zniknął w ciemności.

Chwilę później Hekate wpadła na nią, warcząc i plując w szaleńczym ataku furii, i z niewiarygodną siłą złapała ją za ramiona.

– Ty jebana suko! – warknęła Hekate, rzucając Grace na ziemię.

Przetaczały się w ciemności, toczyły w dół zbocza z dala od wodospadu.

Hekate ciągle warczała i Grace czuła jej gorącą ślinę na twarzy i policzkach. Kobieta była bardzo silna, jej palce zaciskały się na ramionach Grace z siłą żelaznych obręczy, dość mocno, by zmiażdżyć skórę i mięśnie.

Grace wbiła przedramię pod brodę Hekate, by utrzymać te ostre białe zęby z dala od gardła. Drugą ręką napierała na ramię kobiety, próbując zrobić sobie trochę miejsca.

Przekręciła się i uniosła kolano, wykorzystując długą kość udową jako rozpórkę, by odepchnąć Hekate.

Z czym, do diabła, walczyła? Czy ta ześwirowana suka prowadziła eksperymenty genetyczne na sobie?

Wszystko w Hekate przywoływało na myśl wielkiego kota. Nawet syczała jak pantera.

Hekate nagle puściła ramiona Grace i chwyciła ją za gardło. Przypominało to miażdżenie w imadle. Grace nie mogła oddychać.

Natychmiast przestała odpychać ramię Hekate i uderzyła ją w twarz – raz, dwa razy, i jeszcze raz, w bok policzka i oczodołu kobiety. Nacisk zmniejszył się odrobinę.

Grace zaczerpnęła łyżkę powietrza, ale Hekate zwiększyła nacisk, nałożyła kciuki na siebie, by zmiażdżyć jej krtań. Grace nacisnęła brodą na kciuki, opuszczając je w stronę mostka, by spowolnić duszenie, a jednocześnie wciąż zadawała ciosy. Płaską dłonią uderzyła Hekate w ucho.

Jej przeciwniczka natychmiast zawyła z bólu i przewróciła się na bok. Grace przekręciła się na ziemi i kopnęła obiema nogami, trafiając Hekate w biodro i brzuch. Odepchnęła ją jeszcze dalej. Nie chciała uciekać, musiała jedynie złapać oddech i zebrać siły. Przekręciła się i przykucnęła.

* * *

Otto Wirths oderwał roślinność i przeciągnął dłońmi po panelu. Mech ukrywał cztery nakrętki motylkowe. Złapał za pierwszą i próbował ją przekręcić. Stawiała opór, a on zawył z wściekłości i frustracji – i wtedy się poruszyła. Obracał ją, aż dotarła do końca śruby i spadła.

– Pośpiesz się! – polecił Cyrus. – Przebijają się przez ścianę.

– Śpieszę się, do diabła. – Otto zaatakował drugą śrubę, która była równie zapieczona, jak pierwsza. – A co z Hekate?

Cyrus, choć stał obok, był niewidoczny.

– Dogoni nas.

Druga nakrętka zaczęła się poruszać.

– A jeśli nie?

– Mamy dużą rodzinę, Otto.

Otto wyrzucił drugą nakrętkę i zaczął obracać trzecią. Ta była luźniejsza i natychmiast się poruszyła. Z czwartą było trudniej, ale naparł na nią z całej siły i też drgnęła.

– Otto – syknął Cyrus. – Coś słyszę...

* * *

Rozległ się drugi, silniejszy wybuch i do sali wpadł gruz. Poszarpany odłamek kamienia zagwizdał w powietrzu i uderzył Grace w bok głowy. Obróciła się, padła twarzą na trawę i już się nie poruszyła.

Rozdział sto dwudziesty trzeci

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 02.55
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 5 minut EST*

W chwili gdy nachyliłem się do otworu w ścianie, usłyszałem męski głos.

– Przebijają się! Wydostań nas stąd...

Inny męski głos krzyknął:

– Hekate, zabiłaś tę sukę?

– Nie wiem – warknął kobiecy głos z głębi ciemności. – Otto, wyprowadź stąd mojego ojca. Schodami na górę. Do mojego gabinetu. Szara obudowa.

– A co z...?

– Upewnię się, że nikt nie będzie szedł za nami. Idźcie!

Chryste.

Wiedziałem, że Grace jest w tarapatkach. Może martwa. Ale Jakoby zamierzali uciec. Nie umiałem ocenić, czy odwrócenie ich uwagi w tej chwili pomoże, czy zaszkodzi. Jeśli Grace nadal żyła i się ukrywała, mogłem ją zabić. Z drugiej strony musiałem wiedzieć, co robili Jakoby.

W głowie słyszałem głos Grace. „Misja jest najważniejsza”.

Wiedziałem, czego wymagała misja. Wsunąłem latarkę i lufę beretty do otworu, co sprawiło, że pozostało mi jedynie kilkanaście centymetrów, przez które mogłem zajrzeć do środka.

Modliłem się, bym podjął właściwą decyzję.

Włączyłem latarkę i skierowałem promień w stronę męskich głosów. Kobieta powiedziała Ottonowi, żeby wyprowadził jej ojca. Cyrus miał urządzenie wyzwalające.

Promień latarki przesuwiał się po wszelkiego rodzaju tropikalnej roślinności i przez chwilę nie widziałem niczego innego, później jednak dostrzegłem coś na skraju promienia. Natychmiast cofnąłem latarkę i zobaczyłem starego mężczyznę o twarzy sępa, który mrużył oczy w blasku. W dłoniach trzymał płaski kawałek metalu, który najwyraźniej wyjął właśnie z prostokątnego otworu w ścianie. Wystrzeliłem do niego, pierwsza kula trafiła pod kątem w metalową płytę i poleciała w ciemność. Znowu wystrzeliłem, kiedy mężczyzna popchnął drugiego, stojącego bliżej otworu. Czy to byli Otto i Cyrus Jakoby? Z całą pewnością. Strzelałem, pewien, że trafiłem przynajmniej jednego z nich, ale obaj wpadli do otworu. Wystrzeliłem cały magazynek, po czym wyrwałem Królikowi M4, wepchnąłem lufę w otwór i nacisnąłem spust. Chciałem wypełnić ich kryjówkę rykoszetami, które posiekają tych szaleńców na kawałki. Oddałem broń Królikowi, żeby przeładował, i poświeciłem latarką.

– Gra w klasy! – ryknąłem.

Jeśli nawet Grace usłyszała moje hasło, nie była zdolna odkrzyknąć odzewu.

Poczułem ściskanie w żołądku.

Odwróciłem się i chwyciłem Redmana za ramię.

– Na wyspie jest pełno agentów WDN i SEAL. Znajdź ich. Zabierz tyle C4, ile uda ci się zdobyć, i wywal mi pierdoloną dziurę. Królik, wracam na schody, żeby sprawdzić, czy uda mi się znaleźć gabinet Hekate. Cyrus i Otto idą na górę. Hekate wspominała coś o szarej obudowie...

– Cholera, myślisz, że ma zabezpieczony laptop?

– Niech to diabli, właśnie tak myślę. Muszę znaleźć ten gabinet.

– Idę z tobą.

– Nie. Redman potrzebuje wsparcia, żeby przebić się do naszych ludzi na zewnątrz. Potrzebujemy tego otworu. Kiedy Redman będzie bezpieczny, znajdź mnie.

Królik chciał się sprzeciwić, ale ja już ruszyłem.

Rozdział sto dwudziesty czwarty

***Sala Mitu,
wtorek, 31 sierpnia, 02.57
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 3 minuty EST***

Grace Courtland obudziła krew. Sączyła się z rozcięcia na głowie i spływała po jej policzku do nosa. Zakrztusiła się i ten nagły spazm wyrwał ją z oszołomienia. Przetoczyła się na brzuch i wykaszła krew z nosa i ust. Miała wrażenie, że jej głowa jest dziesięć razy większa niż zwykle i wypchana tłuczonym szkłem. Mdłości były jak zatrute powietrze kłębiące się w żołądku.

Po prawej nagle dostrzegła ruch, hałas i światła. Odwróciła otępiałą głowę w tamtą stronę i spróbowała zrozumieć, co się dzieje. Kolorowe światełka trzaskały i leciały w powietrzu, ale Grace była tak zdezorientowana, że nie wiedziała, na co patrzy. I nagle powróciła jej jasność umysłu. W ścianie Sali Mitu był otwór i ktoś wrzucał do środka flary chemiczne. Jakoby nie zrobiliby czegoś takiego. To musiał być...

– Joe! – zawołała, ale jej głos zabrzmiał chrapliwie.

Grace podniosła się z trudem. Jej pistolet zginął gdzieś w mroku. Nie widziała śladu Hekate ani pozostałych.

– Kurwa mać! – warknęła i zaczęła wspinać się po zboczu pagórka w stronę wodospadu i otworu w ścianie.

Niepewnie stawiała stopy, a zawroty głowy kazały jej sądzić, że doznała wstrząsu mózgu. Trudno jej było myśleć, ale zmusiła

się do pamiętania, gdzie była i co musiała zrobić.

Kiedy znajdowała się trzy metry od otworu, krzyknęła.

– Gra w klasy!

Po chwili znajomy głos odpowiedział:

– Skakanka! Majorze, to ty?

– Beth... Bogu niech będą dzięki...

Grace z trudem zrobiła kilka kroków i oparła się o ścianę. Zobaczyła, że Beth wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczyma i uświadomiła sobie, jak koszmarnie musiała wyglądać. Twarz miała zalaną krwią.

– Beth... co się stało? Gdzie poszli Jakoby? Gdzie jest...

Sierżant sztabowy Beth Howell, numer dwa w oddziale Alfa, wyjaśniła jej wszystko w kilku krótkich zdaniach.

Grace odwróciła się, sięgnęła po latarkę Beth i skierowała ją na tył wodospadu. Zobaczyła otwarte przejście.

– Niech to diabli.

– Daj mi latarkę i pistolet – poleciła, a Beth podała je razem z zapasowym magazynkiem.

– To ostatni, który mam.

– Jeśli kapitan Ledger albo ktokolwiek inny nawiąże kontakt, powiedz mu, że gonię Jakoby.

– Majorze... kapitan Ledger poszedł schodami. Też próbuje znaleźć gabinet tej Jakoby.

– W takim razie lepiej, żebym go przegoniła. Cała chwała nie może spłynąć na oddział Echo.

Beth uśmiechnęła się, ale wydawała się napięta i zdenerwowana. Grace też się tak czuła.

– Udanych łowów! – zawołała Beth.

Grace nie odpowiedziała. Odbezpieczyła sig sauera, oparła rękę z pistoletem na nadgarstku ręki trzymającej latarkę i przeszła przez otwór. W jej umyśle to nie było proste polowanie. Przekłęci Jakoby nie byli jedynymi zdolnymi do eksterminacji.

Schody prowadziły do góry w mrok.
Trzymając pistolet w dłoni, Grace zaczęła się wspinać.

Rozdział sto dwudziesty piąty

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 02.58
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 2 minuty EST*

Wyszedłem na klatkę schodową, oczyściłem ją i zacząłem się wspinać. Nad głównym poziomem były jeszcze dwa piętra, a ja musiałem sprawdzić je oba. Serce waliło mi w piersi, a nerwy szalały. Obrazy Grace, samotnej i rannej w ciemności, wciąż próbowały wepchnąć mi się do głowy, a ja je wyrzucałem.

Misja jest najważniejsza.

Odczuwałem presję niemal nie do zniesienia, bo cena porażki była niewyobrażalnie wysoka. Globalne ludobójstwo o charakterze etnicznym. Jak to możliwe, że ludzki umysł jest w stanie pojąć taką koncepcję, nie wspominając już o podjęciu próby jej realizacji? Nawet dla rasisty ta idea powinna być tak obca dla umysłu, by nigdy nie powstać, a jednak tych szaleńców zaledwie minuty dzieliły od wprowadzenia jej w życie. Zło nigdy nie powinno rozkwitać, ale to wykraczało poza zło. Nie wiem nawet, czy istniało na to właściwe określenie.

To dawało siłę moim mięśniom, to pozwalało mi się skupić.

Na pierwszym podeście otworzyłem drzwi, cicho i powoli. Korytarz był ciemny jak smoła. Zaryzykowałem uruchomienie latarki, przesunąłem promieniem w górę i w dół, a później ją wyłączyłem i szybko przesunąłem się w bok.

Żadne strzały nie przeszły otworu wejściowego.

Jak na razie nie było źle.

Znów włączyłem latarkę i pobiegłem ostrożnie przez korytarz. Po dwudziestu metrach natrafiłem na ciało. Rosjanin, nawet z odległości kilku metrów widziałem, że coś jest z nim nie tak, ale dopiero kiedy znalazłem się tuż przy nim, zorientowałem się, że nie miał rąk. Zostały wyrwane ze stawów.

Drugi mężczyzna leżał oparty o ścianę w odległości kilku metrów, a uszkodzenia jego ciała i plamy krwi świadczyły, że ktoś pobił go na śmierć.

Kurwa mać.

Ktoś oderwał ręce pierwszemu Rosjaninowi i użył ich, by pobić drugiego na śmierć. Kiedy to zrozumiałem, wiedziałem, że to musieli być...

Coś uderzyło mnie w bok tak mocno, że uniosłem się w powietrze i wpadłem na ścianę. Latarka i pistolet wyleciały mi z rąk. Uderzyłem, spadłem i przetoczyłem się, a gdybym tego nie zrobił, ciężka stopa zmiażdżyłaby mi czaszkę.

Cofnąłem się, gdy coś wielkiego i potwornego wypadło na mnie z cieni. Miało ludzki kształt, ale było stanowczo zbyt wielkie.

Jeden z transgenicznych żołnierzy Bliźniąt Jakoby. Ważąca sto pięćdziesiąt kilo maszyna do zabijania o małpiej twarzy i torsie dwa razy szerszym niż u Królika.

Żołnierz podniósł stopę, żeby znów tupnąć, a ja podciąłem jego drugą nogę. Przewrócił się z odgłosem przypominającym grzmot, ja zaś poderwałem się na równe nogi. Mój pistolet leżał na ziemi trzy metry dalej, ruszyłem w jego stronę, ale małpolud złapał mnie za kostkę i przewrócił. Kiedy upadałem, wyciągnął drugą rękę w moją stronę i złapał za pasek kamizelki kuloodpornej.

Przetoczyłem się w jego stronę i uderzyłem go łokciem w twarz, z taką siłą, że usłyszałem trzask kości. Jego głowa poleciała do tyłu i uderzyła o marmurową posadzkę, a ja

obróciłem się, wciąż leżąc na plecach, uniosłem nogi i uderzyłem go z góry w usta. Obcas mojego buta zmiażdżył jego przednie zęby i Berserk nagle zaczął się krztusić odłamkami kości.

Podniosłem się i wyciągnąłem nóż Rapid Response. Nie jestem jednym z tych idiotów, którzy czekają, aż ich przeciwnik się podniesie, by mogła się odbyć druga runda. Rzuciłem się na niego i wbiłem mu nóż w oczodół. A później poderżnąłem gardło, bo miałem kurewsko zły dzień.

Fontanna krwi zalała mi twarz i ramię. Pieprzyć to.

Podniosłem się w chwili, gdy z cieni wyłonił się drugi Berserk. Z pistoletem byłoby znacznie łatwiej, ale nie miałem czasu.

Kiedy się do mnie zbliżał, w pewnym momencie przeciął promień światła latarki, a ja uświadomiłem sobie, że kiedy rozmawialiśmy o dwóch mężczyznach, z którymi walczyliśmy w Deep Iron, Królik miał rację, a Starszy się mylił. To nie były egzozkielety. Królik po prostu walił pięściami w coś tak cholernie dużego i silnego, że jego ciosy nie robiły mu większej krzywdy.

Nie myliliśmy się jednak w kwestii pancerza. Okrywał tych gości od stóp do głów. Wątpiłem, żeby to było coś supernowoczesnego, co rozpraszało impet kul. Ci goście po prostu go ignorowali. Nie chodziło o to, że byli potężni – jeśli mieli DNA małą cząłeczką kształtujących, byli również o wiele silniejsi, a ich tkanka mięśniowa miała znacznie większą gęstość.

Te myśli przeleciały przez mój umysł w ułamku sekundy. Kolejne kawałki układanki wpadły na swoje miejsce i ruszyłem na spotkanie bestii.

Próbował mnie złapać, ale domyśliłem się, że właśnie coś takiego robi, więc przykucnąłem, wbiłem nóż w grzbiet jego stopy i uderzyłem barkiem w krocze. Zawył z zaskoczenia i bólu i instynktownie próbował mnie odepchnąć. Mocno ścisnąłem rękojeść noża i wyrwałem go, kiedy cios Berserka sprawił, że ślizgając się po podłodze, poleciałem trzy metry w głąb

korytarza. Pod koniec podciągnąłem kolana pod brodę, zrobiłem przewrót do tyłu i poderwałem się na równe nogi tuż obok porzuconej ręki Rosjanina.

Berserk zrobił krok do przodu, ale wtedy ugięła się pod nim noga. Złapałem rękę Rosjanina i rzuciłem nią w małopolda, a kiedy on odpychał ją na bok, ja już się ruszałem. Ciąłem go na ukos od brwi po szczękę, mocno, rozcinając nos. Wrzasnął z bólu i przycisnął obie dłonie do twarzy. Rzuciłem się do przodu i wykorzystując wąską szparę między jego przedramionami, dźgnąłem go w gardło, przekręciłem ostrze o ćwierć obrotu i wyrwałem je.

Upadł.

Podniosłem pistolet, obmacałem kieszenie w poszukiwaniu magazynków, znalazłem jeden oraz to, co miałem w beretcie.

Musiało wystarczyć.

Wytarłem i złożyłem nóż, podniosłem latarkę, sprawdziłem, czy pistolet się nie zaciął, i ruszyłem biegiem.

Dotarłem do końca korytarza i nie natrafiłem na żadne pomieszczenie, które wyglądałoby na gabinet. Były tam warsztaty, jadalnia i sale komputerowe, ale nic poza tym. Cholera. Na drugim końcu znalazłem klatkę schodową, wpadłem do środka. Gabinet Hekate musiał znajdować się na najwyższym piętrze.

W połowie schodów usłyszałem krzyki, wrzaski i strzały. Promienie latarek przecinały mrok, a ja zaryzykowałem spojrzenie przez balustradę. Dwa poziomy niżej grupa Rosjan przegrywała ze stadem skorpionopsów.

– Kurwa mać – mruknąłem i pobiegłem do góry.

Gdyby został mi granat, posłałbym go na dół z pozdrowieniami od Wujka Sama. Co za szkoda.

Wbiegałem po dwa stopnie i wkrótce znalazłem się na najwyższym piętrze. Blask latarki ukazał o wiele bardziej elegancki korytarz, z mosiężnymi kinkietami, dziełami sztuki na

ścianach i wystrojem skupionym raczej na wartości dekoracyjnej niż użyteczności. Gabinet Hekate musiał tu być, ale kiedy poświeciłem latarką, zobaczyłem co najmniej dwadzieścioro drzwi.

Jak również małpie twarze pół tuzina Berserków.

Na mój widok wyszczerzyli zęby.

I rzucili się na mnie.

Rozdział sto dwudziesty szósty

*Jakoby,
wtorek, 31 sierpnia, 03.00
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
33 godziny, 0 minut EST*

Spiralne schody, które prowadziły z Sali Mitu do gabinetu Hekate, były jednym z kilku tajnych przejść wbudowanych w kompleks. Parys wiedział o większości z nich, ale nie o wszystkich. Nie miał pojęcia o tym i o jeszcze jednym, prowadzącym do tunelu pneumatycznego, w którym Hekate mogła wsiąść do kapsuły, by udać się prosto na nabrzeże. A tam czekały wodnosamolot i długa na osiem metrów motorówka ZT-280 Checkmate z silnikiem o mocy 496 KM, rozwijająca prędkość do 120 kilometrów na godzinę. Ostatnia prywatna klatka schodowa prowadziła do niewielkiego laboratorium, którego budowę zleciła w czasie jednej z wycieczek Parysa na południe Francji. W tym właśnie osobistym laboratorium Hekate pracowała nad genami pantery i tygrysa na potrzeby własnej terapii genowej.

Kiedy Hekate była w lepszym humorze, czasem łajała się za marnowanie czasu i zasobów na tajne przejścia, jak również paranoję, która doprowadziła do ich stworzenia. Teraz, gdy w ciemności podążała za Ottonem i Cyrusem, czuła się usprawiedliwiona.

– Nic nie widzę – warknął Cyrus z góry.

- Nie musisz nic widzieć – odwarknęła. – Po prostu się wspinaj.
- Chwileczkę... Schody się skończyły... czuję drzwi.
- Jesteśmy na miejscu. Otwierają się w szafie w moim gabinecie.

Jedno po drugim wyszli ze spiralnych schodów i znaleźli się w szafie, w której również panowała ciemność.

Hekate precyzyjnie się obok Ottona i Cyrusa do drzwi i weszła do gabinetu. Z braku punktów odniesienia pomieszczenie wydawało się obce, ale w końcu zlokalizowała biurko, co pozwoliło jej zorientować się w przestrzeni. Kilka rozproszonych błysków światła podświetliło od tyłu rolety. Hekate podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

– Boże! Popatrzcie na to.

Po lekkim uniesieniu rolety błyski ostrzału i wybuchów zapewniły im dość światła, by przeszli przez pokój i dołączyli do niej. Wyjrzała na zewnątrz. Trawnik poniżej był polem bitwy. Po jednej stronie zebrało się co najmniej sześćdziesięciu pozostałych przy życiu Rosjan. Mieli bardzo bezpieczne stanowisko strzeleckie wśród ozdobnych głązów. W pewnej odległości na lewo od nich stali strażnicy Fabryki Smoków – zwykli ludzie i Berserkowie. Obie te grupy nie strzelały do siebie nawzajem. Choć Hekate i Cyrus nie mieli okazji powiedzieć swoim oddziałom, żeby się wycofali, że konflikt między dwoma domami Jakoby – Deckiem i Fabryką Smoków – się zakończył, jakimś sposobem wypracowali tymczasowy sojusz przeciwko wspólnemu zagrożeniu. Po drugiej stronie trawnika tłoczyli się zbrojni. Z tej odległości nie dało się dostrzec szczegółów, ale ich precyzja i taktyka oznaczały tylko jedno. To były amerykańskie jednostki specjalne. Całe mnóstwo.

Między walczącymi stronami płonął wrak śmigłowca Black Hawk. Mogli się jedynie domyślać, czy został zestrzelony, czy też rozbił się, gdy po wybuchu EMP jego systemy zawiodły. Na trawniku leżały sterty ciał.

– Tej walki nie wygramy – stwierdziła Hekate.
– Gdzie jest reszta twojego personelu? – spytał Otto.
– Jeśli postępowali zgodnie z procedurami, to w jaskiniach pod poziomem serwisowym. Mają tam pozostać do czasu, aż dostaną sygnał, że mogą wyjść. – Uśmiechnęła się smutno w słabym blasku. – Oczywiście, jeśli dotarli do jaskiń i zamknęli się w nich przed EMP, to mogą mieć problem. Wszystkimi systemami podtrzymywania życia sterują komputery.

Cyrus odwrócił się do córki.

– Posłuchaj mnie, Hekate... nie umiem wyrazić, jak głęboko wzrusza mnie twoja lojalność. Chciałbym spędzić całe lata, współpracując z tobą, by zmienić obraz świata po tym, jak oczyści go Fala Wymierania. Ale... – Skinął na bitwę na zewnątrz.
– Nie wiem, jak możemy się stąd wydostać.

– Mam łódź. I wodnosamolot.

– I mieliśmy też impuls elektromagnetyczny – przypomniał jej.

Hekate przymknęła oczy.

– Cholera.

– Nie wydostaniemy się stąd – stwierdził Cyrus. – Myślę, że wszyscy możemy się co do tego zgodzić.

Otto otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale jedynie westchnął i pokiwał głową.

– Możemy spróbować – upierała się Hekate. – Nie możemy po prostu przewrócić się na grzbiet i pozwolić, żeby zwyciężyli.

– Zwyciężyli? – powtórzył Cyrus z uśmiechem. – A dlaczego sądzisz, że mogą zwyciężyć? Mogą co najwyżej nas zabić.

– Ale...

Sięgnął za koszulę i wyciągnął urządzenie wyzwalające.

– Na wojnie ludzie giną. Liczy się jedynie zwycięstwo. A teraz, zwierzaczkę, weźmy ten laptop.

Rozdział sto dwudziesty siódmy

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 03.01
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
32 godziny, 59 minut EST*

Uniosłem pistolet i wystrzeliłem.

Wszyscy mieli pancerze i byli szybcy. Musiałem trafić w głowę albo byłem trupem. Berserkowie wrzeszczeli jak goryle – zupełnie nieludzki dźwięk.

Trafiłem pierwszego w czoło, a on poleciał do tyłu i pociągnął za sobą dwóch innych. Wystrzeliłem jeszcze trzy razy i zabiłem kolejnego. Następne dwa naboje na trzeciego.

Wtedy zaczęli strzelać do mnie.

Skoczyłem w bok i wpadłem przez drzwi do gabinetu, uderzyłem w ziemię, przetoczyłem się i podniosłem do postawy strzeleckiej klęczącej w chwili, kiedy tamci próbowali wcisnąć się przez drzwi. Rolety były uniesione, widziałem Berserków w nierównym świetle z pola bitwy na zewnątrz. Ich masa działała przeciwko nim, kiedy walczyli między sobą o to, który jako pierwszy mnie dopadnie. Wystrzeliłem i trafiłem pierwszego w szyję, ale on otworzył ogień z pistoletu maszynowego Skorpion vz. 61, który przeorał pół pokoju. Padł martwy, nie przerywając ostrzału.

Kolejny z Berserków sięgnął nad nim i wystrzelił. Odsunąłem się z drogi pierwszego pocisku, ale drugi i trzeci wbiły się we

mnie i popchnęły mnie do tyłu. Czułem, jak pękają mi żebra. Ból przeszył moje ciało jak błyskawica, kiedy uderzyłem w ścianę i ześlizgnąłem się po niej.

Wykorzystałem ból. Pozwoliłem, by oczyścił mi umysł. Berserk wszedł do pokoju, a ja przestreliliłem mu górną wargę. Kula wyleciała z tyłu jego głowy i oberwała ucho Berserkowi z tyłu. Uśmiechnąłem się szeroko i znów wystrzeliłem. Ten z rozerwanym uchem uniósł rękę, by się zasłonić, i choć kevlar odbił kulę, krzyk bólu świadczył, że siła uderzenia złamała mężczyźnie rękę. Mało mnie to obchodziło. Wpakowałem w niego dwa pociski. I wystrzeliłem ostatni w pozostałego przy życiu Berserka, po czym zamek mojej broni się zablokował. Upuściłem magazynek i wyjąłem ostatni. Ruch sprawił, że przeszły mnie sztylety bólu. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny, wyczerpało mnie, a uszkodzone żebra nie pomagały. Głowa mnie bolała od hałasu ostrzału, a wciąż jeszcze nie znalazłem Grace ani Jakoby.

Ostatni Berserk był ranny, wciąż jednak warczał, kiedy wspinał się po trupach blokujących wejście. Wykrzykiwał groźby po afrykanersku i angielsku, obiecywał, że urwie mi głowę. Myślę, że mówił poważnie.

Podniosłem się z trudem i oparłem tyłkiem o biurko, żeby mieć pewniejszą rękę. Połamane żebra miałem po prawej, po stronie ręki, którą strzelałem.

– Dalej, ty paskudny skurwysynu! – ryknąłem.

Uśmiechnął się do mnie, ukazując zakrwawione zęby, i skierował na mnie lufę karabinu. Wpakowałem w niego cztery kulki, nim zdążył pociągnąć za spust. Jego głowa niemal rozpadła się na kawałki, poleciał do tyłu.

Ruszyłem do drzwi, ale już pierwszy krok uświadomił mi, że coś jest nie tak z moją lewą nogą. Kiedy upadłem, musiałem sobie coś skręcić. Cudownie. Zacisnąłem zęby i pokuśtykałem do drzwi. Berserkowie leżeli w wejściu i musiałem przejść po nich, żeby

wydostać się na korytarz.

Moja latarka leżała na podłodze. Z połamanymi żebrami pochylenie się, by ją podnieść, nie było zabawne.

Wciąż miałem dużo gabinetów do sprawdzenia. Musiałem ich znaleźć.

Pierwsze pomieszczenie było puste. Drugie też. I trzecie.

Kiedy sięgnąłem do klamki czwartego, drzwi się otworzyły i Berserk uderzył mnie pięścią w twarz.

Rozdział sto dwudziesty ósmy

*Jakoby,
wtorek, 31 sierpnia, 03.02
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
32 godziny, 58 minut EST*

Hekate zaklęła i uderzyła pięścią w ścianę obok sejfu.

– Co się stało? – spytał ostro Cyrus.

– Nie widzę cyfr na tarczy. Sprawdźcie w szufladach mojego biurka, znajdźcie zapalniczkę, cokolwiek!

Otto i Cyrus zaczęli przeglądać szuflady, rozrzucając naokoło papiery i długopisy.

– Zapałki! – wykrzyknął Otto. – Znalazłem pudełko zapałek.

Hekate przeszła przez gabinet, korzystając z blasku bitwy. Rozległy się drapanie i syk i na końcu papierowej zapałki pojawił się niewielki płomyk. Cyrus złapał plik raportów i zwinął je w rulon. Otto uniósł do niego zapałkę, a gdy papier zapłonął, blask wypełnił pomieszczenie.

Cyrus wykrzyknął z radością, jakby z całej techniki, którą on i Otto stworzyli albo ukradli, to najprostsze z ludzkich narzędzi – ogień – było cudem wszech czasów. Obaj pośpieszyli do ściany i patrzyli, jak Hekate znów rzuca się na sejf. Tym razem zapadki trzasnęły trzy razy i szarpnięciem otworzyła drzwi.

Sejf był duży, wewnątrz znajdowały się sterty papierów, pliki banknotów, skrzyńeczki biżuterii i kilkanaście dużych pamięci USB złączonych razem gumkami. Jedną stroną sejfu zajmowała

duża walizka z metalową pokrywą. Była bardzo ciężka i Hekate sapnęła, gdy ją wyciągała. Razem przenieśli ją na biurko. Otto zrzucił resztę dokumentów na podłogę, a Hekate postawiła skrzynkę i otworzyła ją. Nacisnęła guzik i wszyscy wstrzymali oddech.

Pojawiło się małe zielone światełko, a ekran z czarnego stał się niebieski.

– Dzięki Bogu! – westchnął Cyrus.

– Ołowiana skrzynia w wyłożonym ołowiem sejfie – stwierdziła Hekate. – Ojciec nauczył mnie wyjątkowej ostrożności.

Cyrus popatrzył na nią, a w jego oczach była taka głębia miłości, że Hekate poczuła, że jej własne oczy robią się wilgotne.

– Chcę, żebyśmy to przeżyli – powiedziała.

– Nie możemy...

– Nie możemy uciec z wyspy – stwierdziła Hekate. – Ale pod całą wyspą jest labirynt jaskiń i tuneli. Może uda nam się ukryć do czasu, gdy będziemy mogli uciec.

– Jakie są szanse? – spytał Otto z wykalkulowanym chłodem.

– Małe. Ale lepsze niż żadne.

Otto patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym pokiwał głową.

– Twój ojciec i ja bywaliśmy w trudniejszych sytuacjach.

– Na przykład kiedy sfingowaliśmy moją śmierć w Brazylii – dodał Cyrus. – Wtedy po raz pierwszy ktoś z „Rodziny” musiał zostać poświęcony dla sprawy.

– Co masz na myśli?

– Utopiliśmy klona i pozwoliliśmy, żeby znaleziono jego ciało. W tym czasie przebywaliśmy już w Cabo i czytaliśmy o tym w gazetach.

System skończył się ładować.

Na zewnątrz rozległ się nagły hałas. Krzyki i ostrzał.

– Są tutaj! – krzyknął Cyrus.

Hekate podbiegła do drzwi, wyjrzała i pokręciła głową.

– Nie. To wygląda na pojedynczego żołnierza. – Odwróciła się z uśmiechem. – Na tym piętrze zawsze mam tuzin Berserków. Rozerwą go na strzępy. Mamy czas.

Cyrus wyciągnął pamięć przenośną spod koszuli i przełożył smycz przez głowę. Ucałował urządzenie z miłością i oddał Ottonowi, który wprowadził kod aktywujący.

– Jak go prześlemy? – Otto podał pamięć Hekate. – EMP zniszczyło twój router.

– Łącze satelitarne. – Wpięła urządzenie do portu USB i postukała w klawisze. – Wbudowane w komputer. Stąd możemy zhakować trzy różne meksykańskie satelity.

Odwróciła laptop klawiaturą w stronę Cyrusa.

– Dobrze – stwierdził Cyrus. – Następne kroki są krytyczne. Muszę załadować te zaszyfrowane polecenia dystrybucji, a później przesłać je dalej. Sygnał zawiera również automatyczną sekwencję weryfikującą. O ile nie wprowadzę z klawiatury sekwencji odwołującej, polecenia dystrybucji zostaną odszyfrowane w chwili, kiedy Zegar Wymierania dojdzie do zera.

– Czyli kiedy?

Hekate dała się pochłonąć planowi ojca.

– Jutro w południe.

Strzelaninie w korytarzu towarzyszyły głośne krzyki umierających. Hekate zagryzła wargę. Krzyki pasowały raczej do Berserków niż zwykłych ludzi. Na to piętro musiało dotrzeć więcej żołnierzy.

– A jeśli ci żołnierze dostaną się tutaj i zabiorą urządzenie wyzwalające?

– Wątpisz w to, że twoje transgeniczne zabawki są niepowstrzymane? – spytał Cyrus z uśmiechem.

– Nie chciałabym ponieść klęski, kiedy jesteśmy tak blisko.

– Tak się nie stanie. Kiedy to wyślemy, nic już nie musimy robić. O ile nie znają sekwencji odwołującej, nie będzie to miało

znaczenia.

– Nawet ja jej nie znam – dodał Otto. – Pan Cyrus jest jedynym, który może to powstrzymać, a dlaczego miałyby to zrobić?

– Jest twój, ojciec. Zmieńmy świat.

– Lepiej nie – zabrzmiał kobiecy głos.

Odwrócili się i zobaczyli Grace Courtland stojącą w drzwiach szafy.

Rozdział sto dwudziesty dziewiąty

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 03.04
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
32 godziny, 56 minut EST*

Upadłem i prawie straciłem przytomność.

Uratowała mnie jedynie uszkodzona noga.

Kiedy tylko zobaczyłem Berserka, który się na mnie rzucał, przeniosłem ciężar do tyłu i noga ugięła się pode mną. I tak mnie trafił, ale nie z całej siły. Wystarczyło jednak, bym przeleciał przez korytarz i uderzył w przeciwną ścianę. Miałem wrażenie, jakby w mojej głowie dzwoniły popękane dzwony kościelne, a za oczami wybuchały fajerwerki.

Słyszałem, jak Berserk się śmieje.

Wychodząc z gabinetu, wyciągnął pistolet. Uniosłem broń i wystrzeliłem kilka razy, próbując wycelować mimo mgiełki i zniekształconego pola widzenia. W wojsku mówi się, że jeśli wystrzeli się dość amunicji w kierunku celu, z pewnością się w coś trafi. Wpakowałem pół magazynka w powietrze w miejscu, gdzie moim zdaniem powinna znajdować się jego głowa.

Nie odpowiedział ogniem.

Zamrugalem i spojrzałem. Berserk oparł się o futrynę i powoli, bardzo powoli usiadł. Oczy miał szeroko otwarte i pełne zaskoczenia, a nad prawą brwią czarny punkt.

Wystrzeliłem osiem razy, a trafiłem go raz.

Raz wystarczył.

Głos w mojej głowie powiedział „tik-tak”.

Podniosłem się na kolano. Później na całe nogi. Miałem wrażenie, że lewą nogę mam z plasteliny, a w piersi płonie mi ogień. Moja głowa była workiem kamyków.

– Grace – powiedziałem.

Ruszyłem dalej korytarzem. Zostały tylko jedne drzwi, a kiedy sięgnąłem do klamki, usłyszałem krzyki, a później strzały. Próbowałem wyważyć drzwi kopnięciem, ale wtedy uszkodzona noga ugięła się pod mną.

– Tam! – krzyknął ktoś.

Odwróciłem się i zobaczyłem więcej tych przeklętych Berserków biegnących korytarzem w moją stronę. Oparłem się o drzwi gabinetu, uniosłem pistolet i wystrzeliłem.

I wtedy po drugiej stronie drzwi usłyszałem krzyk Grace Courtland.

Rozdział sto trzydziesty

*Grace,
wtorek, 31 sierpnia, 03.05
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
32 godziny, 55 minut EST*

Dla Grace Courtland wszystko sprowadzało się do tego. Tej jednej chwili w czasie, kiedy to, kim była i co robiła, liczyło się najbardziej.

Długo wspinała się w mroku po schodach, po czym wyłoniła się w ciemności szafy w gabinecie Hekate. Prawie wybiegła na zewnątrz, ale kiedy usłyszała, jak rozmawiają o urządzeniu wyzwalamym, zatrzymała się, żeby posłuchać. Rozumiała, co należało zrobić.

– Jest twój, ojciec – powiedziała Hekate. – Zmieńmy świat.

Grace wyszła i wycelowała w twarz Cyrusa Jakoby.

– Lepiej nie – powiedziała.

Cała trójka znieruchomiała wstrząśnięta, ale ich oczy wypełniła nagle, niezmierna nienawiść.

– *Mein Gott!* – krzyknął Cyrus.

Grace strzeliła.

Nie w Ottona, Cyrusa czy Hekate. Strzeliła do laptopa. Ale komputer w ołowianej obudowie był twardy i kula odbiła się rykoszetem, trafiając Cyrusa w lewy biceps. Krzyknął i poleciał do tyłu, zaciskając rękę na krwawiącej ranie.

– Nie! – wyszeptał chrapliwie Otto.

Rzucił się do klawiatury, a wtedy Grace strzeliła do niego. Pierwszy pocisk trafił Ottona Wirthsa w ramię i obrócił nim, a drugi wybił otwór w jego piersi. Mężczyzna upadł na biurko, a później stoczył się z niego, pociągając za sobą laptop.

I wtedy Hekate rzuciła się na Grace. Albinoska skoczyła trzy metry przez gabinet i popchnęła Grace na ścianę. Warcząc z nieludzką furią, wbiła zęby w jej ramię. Grace krzyknęła, zatoczyła się do tyłu i grzmotnęła obolałą głową w kant drzwi szafy. Ból był niemal nie do zniesienia, ale mimo to uderzyła Hekate lufą pistoletu, jednak zaledwie trochę ją spowolniła. Hekate zawarczała, jej wargi były czerwone od krwi płynącej z rozerwanego ramienia Grace.

Grace uderzała ją raz za razem, ale Hekate zdzieliła ją tak mocno w twarz, że pośród całej ciemności świat pobiełał.

Grace upadła ciężko na ziemię, pistolet wysunął jej się z dłoni. Hekate patrzyła to na Grace, to na broń i przez sekundę nie mogła się zdecydować.

Grace próbowała skupić wzrok, ale wszystko widziała podwójnie. Mimo to się nie wahała. Kopnięciem podcięła Hekate, a kiedy ta upadła, przetoczyła się w stronę pistoletu. Hekate zerwała się, przykucnęła jak kot i znów się rzuciła, ale Grace odzyskała broń. Wystrzeliła z przyłożenia, rozrywając brzuch albinoski.

– Nie! – krzyknął Cyrus, kiedy jego córka poleciała do tyłu.

Grace podniosła się z trudem i wycelowała w Cyrusa.

– Odejdź od tego jebanego komputera! – poleciła.

Ktoś zaczął walić w drzwi gabinetu, a później rozległy się strzały. Grace nie wiedziała, kto to mógł być – jednostki specjalne, Rosjanie, Berserkowie – i nie mogła ryzykować.

– Cofnij się albo cię zabiję! – krzyknęła Grace.

Rana głowy sprawiała, że robiło jej się niedobrze, do tego cały czas widziała podwójnie.

Cyrus się zawahał. Spojrzenie miał oszalałe, otwarte usta,

z jego dolnej wargi zaczęła ściekać ślina.

– Nie możesz – błagał. – Całe życie pracowałem, żeby to osiągnąć. To cel mojego życia!

– Odejdź od klawiatury...

– Ty idiotko... jesteś biała! To, co robię, będzie ocaleniem dla całej rasy. Nie rozumiesz? To będzie ocalenie białej rasy!

Grace zmrużyła oczy. Jej dłonie drżały, ale głos był stanowczy.

– A to będzie ocalenie rasy ludzkiej.

Pociągnęła za spust.

Rozległy się dwa strzały.

Pierwszy trafił Cyrusa Jakoby wysoko po lewej stronie piersi i obrócił go do ściany.

Drugi pocisk niemal dokładnie w tej samej chwili wbił się w plecy Grace. Impet rzucił ją do przodu na krawędź biurka. Uderzyła w nie mocno i osunęła się na kolana. Głęboko wstrząśnięta odwróciła się i zobaczyła sylwetkę wyłaniającą się z cieni w szafie.

Conrad Veder. Trzymał w ręce dymiący pistolet i uniósł lufę, by wycelować w głowę Grace.

Rozdział sto trzydziesty pierwszy

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 03.06
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
32 godziny, 54 minuty EST*

Wystrzeliłem trzy razy, dwa do Berserków – jednego trafiłem w głowę – a później wycelowałem w drzwi i wywaliłem zamek. Naparłem ramieniem na skrzydło i zobaczyłem coś, co sprawiło, że serce niemal przestało mi bić.

Grace klęczała, na wpół osunęła się na duże biurko. W słabym blasku ekranu laptopa widziałem, że jest cała zakrwawiona. Jej twarz była czerwona, plecy miała śliskie i mokre. Hekate Jakoby pełzła powoli w stronę biurka – ona również krwawiła. Otto Wirths leżał martwy na podłodze, a Cyrus Jakoby podnosił się z trudem, krew płynęła mu z ramienia i piersi.

A jedna osoba stała pewnie na nogach. Znałem go jako Hansa Bruckera i Gunnara Haeckla. Ale ci mężczyźni nie żyli. To była doskonała kopia. Kolejny klon. I trzymał w dłoni pistolet.

– Joe... – powiedziała Grace chrapliwym szeptem. – Kod...

Zabójca do niej strzelił.

Chyba krzyknąłem. Nie pamiętam. Czuję, jak pistolet podskakuje mi w dłoni. Widziałem, jak zabójca wskakuje z powrotem do szafy, a z ościeżnicy odrywają się drzazgi. Zatoczyłem się do środka, krzycząc, gdy Grace osuwała się na ziemię.

Skręciłem do drzwi szafy, ale była pusta. W podłodze znajdowała się otwarta kłapa, którą otaczały rozbryzgi krwi. Trafiłem go. Ale zniknął.

Odwróciłem się znów do środka i strzeliłem Cyrusowi Jakoby w brzuch. Poleciał do tyłu i osunął się na ziemię. Hekate wyciągnęła rękę do laptopa. Strzeliłem jej w głowę. Zamek pistoletu się zablokował, zużyłem cały magazynek.

Słyszałem nadchodzących Berserków.

Jeśli miałem jakąś szansę, by ocalić Grace, musiałem coś zrobić. Rozejrzałem się gorączkowo dookoła. Do gabinetu przylegał drugi, pokuśtykałem w jego stronę. Wyglądał niemal identycznie, pewnie należał do brata Hekate. Zatoczyłem się do Grace i podniosłem ją. Była prawie nieprzytomna. Drugą ręką złapałem laptop i jakimś cudem zaciągnąłem nas wszystkich do sąsiedniego pomieszczenia. Opuściłem Grace ostrożnie na krzesło, po czym pobiegłem z powrotem i podniosłem jej pistolet z podłogi w chwili, gdy Berserkowie zaczęli tłoczyć się w drzwiach. Trafiłem pierwszego w czoło, ale widziałem, że w korytarzu jest ich więcej.

Wycofałem się do gabinetu Parysa, zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem je na klucz. Na drzwiach znajdowała się sztaba, ją również opuściłem. Niemal dokładnie w tej chwili Berserkowie zaczęli walić w drzwi. Cała futryna drżała. Wiedziałem, że nie wytrzyma.

Zatoczyłem się do Grace. Zza okna wpadał ostry biały blask. Jeden z żołnierzy wypuścił racę. Ostrzał nie cichł nawet na chwilę.

Grace osunęła się na krześle. Została trafiona dwa razy w plecy, a rany wylotowe na brzuchu i piersi wyglądały koszmarnie. Zerwałem kamizelkę kuloodporną i poszarpałem podkoszulek, żeby zatamować upływ krwi. Jej głowa opadła i przez przerażającą chwilę myślałem, że odeszła, ale kiedy przycisnąłem palce do jej szyi, wyczułem puls. Słaby, ale był.

- Grace – odezwałem się ostrym głosem, by wyrwać ją z szoku.
- Grace, zostań ze mną... dziecinko, dalej, zostań ze mną.
Uniosła odrobinę powieki i oblizwała wargi.
- Major... Dziecinko... – Uśmiechnęła się krzywo.
- Tak, tak, kochanie. Tak.
Walenie w drzwi nie ustawało.
- Joe... laptop.
Leżał na biurku. Przyciągnąłem go bliżej. W małym szarym okienku widniały dwa słowa.
„Wiadomość wysłana”.
- Grace... czy Cyrus wysłał kod?
- Ja... nie...
Rozkaszała się. Na wargach miała krew.
- Grace, kochanie, zostań ze mną. Pomoc jest w drodze.
Modliłem się, bym jej nie okłamywał. Słyszałem śmigłowce, co znaczyło, że przybywała pomoc spoza zasięgu impulsu elektromagnetycznego. Wkrótce wylądują setki żołnierzy. Ale czy to wszystko poszło na marne?
- Joe – szepnęła – posłuchaj... – Wyciągnęła słabą rękę i chwyciła mnie za koszulkę, próbując przyciągnąć mnie bliżej. – Joe... jeśli kod został wysłany... jest...
Znów przerwał jej atak kaszlu. Wykorzystałem kolejny kawałek materiału z koszulki, żeby otrzeć krew z jej warg. Chciałem krzyknąć. Chciałem zrobić cokolwiek, by wydostać się z tego pomieszczenia, znaleźć dla niej lekarza.
- Joe... jeśli kod został wysłany... nadal jest czas.
- Co chcesz powiedzieć, Grace? Jak możemy go powstrzymać?
- Kod... odwołujący... – Znów kaszel, znów krew. – Cyrus zna. Jeśli nie... MindReader...
Berserkowie wybijali gips ze ściany. Cały pokój się trząsł.
- Zabierz pamięć... do Buga... powiedz mu...
Jej powieki opadły.
- Grace, daj spokój, nie rób mi tego. Nie opuszczaj mnie...

Otworzyła oczy.

– Nigdy... cię nie... opuszczę...

Ale to zrobiła.

Zamknęła oczy i oparła się o mnie. Głowa opadła jej do przodu i Grace umarła z policzkiem przytulonym do mojego. Wykrzyknąłem jej imię. Krzyczałem i krzyczałem, aż moje gardło również zaczęło krwawić.

Ale wszelkie krzyki świata nie mogły sprowadzić jej z powrotem z nieskończonego morza ciemności, w którym teraz pływała. Czuję, jak odchodziła. Było to jak szept na moich wargach. Jej ostatni oddech, gdy trzymałem ją w ramionach.

Przycisnąłem ją do piersi i kołysałem, gdy wszystkie światła powstrzymujące moją osobistą ciemność, jedno po drugim migotały i gasły.

Rozdział sto trzydziesty drugi

*Fabryka Smoków,
wtorek, 31 sierpnia, 03.08
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
32 godziny, 52 minuty EST*

Kuliłem się w ciemności. Krwawiłem i miałem połamane kości. A może i coś nie po kolei w głowie. Grace leżała w moich ramionach, ale i ona odeszła.

Ja też odszedłem.

Powoli, z niezmierną ostrożnością i łagodnością, zsunąłem się z krzesła i położyłem ją na podłodze. Wyprostowałem jej ręce i nogi, pochyliłem się, ucałowałem jej czoło, oczy i wargi. Przez długą chwilę klęczałem z głową na jej piersi, modląc się, by raz jeszcze usłyszeć, jak bije to szlachetne i pełne miłości serce.

Ale słyszałem jedynie ciszę i wrzeszczące szaleństwo kłębiące się w mojej głowie. Drzwi były zabarykadowane, ale Berserkowie wkrótce dostaną się do środka. Wiedziałem o tym.

Podniosłem się. Miałem pistolet Grace. Zwolniłem magazynek i sprawdziłem jego zawartość. Zostały mi trzy naboje. I nóż.

Walenie w drzwi brzmiało jak grzmot. Wiedziałem, że nie wytrzymają.

Tamci dostaną się do środka.

Zaszyfrowana wiadomość została wysłana. Wyjąłem pamięć USB z portu komputera i schowałem do kieszeni.

Gdzieś wciąż tykał Zegar Wymierania. Jeśli nie opuszczę tego

pomieszczenia do czasu, gdy zakończy odliczanie, zginie więcej ludzi niż w czasie Czarnej Śmierci i wszystkich innych pandemii razem wziętych.

Sądziłem, że uda mi się ich powstrzymać. My – ja, Church, WDN, Grace – myśleliśmy, że uda nam się ich powstrzymać.

A teraz poza mną nie było nikogo. Musiałem dostarczyć pamięć Bugowi i modliłem się, by on i MindReader zdołali odczytać ukryte wewnątrz kody i wysłać sygnał odwołujący. Być może był to próżny wysiłek. Ale Grace zginęła, byśmy mogli dotrzeć tak daleko, a w ostatnich słowach wyznaczyła mi to zadanie.

Jeśli istniała jakaś sprawiedliwość w tym wszechświecie, to tak odważna ofiara nie mogła – nie powinna – pójść na marne.

Nie nasza wina, że zajęliśmy się tym tak późno. Ścigali nas, mieszały nam w głowach i zwodzili na manowce, a kiedy zorientowaliśmy się, czemu mamy stawić czoła, czas prawie się skończył.

Próbowaliśmy. Przez ostatni tydzień pozostawiłem za sobą ślad trupów – od Denver, przez Kostarykę, po Bahamy. A teraz Grace Courtland nie żyje.

Walenie stało się głośniejsze. Drzwi wyginały się do środka, podobnie jak zasuwa. Jeszcze kilka sekund i albo zamek, albo zawiasy się poddadzą. A wtedy tamci wpadną z wyciem do środka. I staną naprzeciwko mnie.

Byłem ranny. Krwawiłem.

Miałem trzy naboje i nóż.

Podniosłem się i stanąłem twarzą do drzwi, w lewej ręce trzymałem pistolet, a w prawej nóż.

Uśmiechnąłem się jak zabójca.

Niech przyjdą.

Rozdział sto trzydziesty trzeci

*W piekle,
wtorek, 31 sierpnia, 03.09
Czas pozostały na Zegarze Wymierania:
32 godziny, 51 minut EST*

Kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie, było ich pięciu. Zużyłem trzy naboje, zabijając trzech z nich. Strzały w głowę. Chciałbym myśleć, że jakaś siła kierowała moją dłonią. Nie wiem. Ale zabiłem pierwszych trzech, którzy stanęli w drzwiach.

Kiedy czwarty przeszedł po ciałach, czekałem na niego z nożem uniesionym do gardła. Dźgnąłem go kilkanaście razy. Krzyczałem. On też krzyczał, próbował się wycofać. Popelzłem za nim i go zabiłem.

Ostatni z Berserków rzucił się na mnie i uderzył. Poczułem, że pęka mi kość policzkowa, a zęby chwieją się w dziąsłach. Nie wiem, co sprawiło, że się nie przewróciłem. Nie wiem, co dało siłę mojej ręce, bym ciął go przez gardło. Raz za razem. Na chwilę straciłem przytomność, a gdy znów mogłem myśleć, ja byłem zalany krwią, a Berserk... zmasakrowany.

Zatoczyłem się przez gabinet do biurka i powlokłem wokół niego.

Cyrus Jakoby leżał na podłodze. Krwawił z kilku ran. Wszystkie były poważne. Żadna śmiertelna.

Wielka szkoda. Dla niego.

Podniósł wzrok na mnie, na moją twarz, spojrzał w moje oczy

i zobaczył w nich coś, co wyrwało krzyk z jego ust.

Może w tej właśnie chwili dostrzegł nieustępliwego, bezdusznego, niepowstrzymanego potwora, którego zawsze widziały w nim jego ofiary. Może uświadomił sobie, że z życiem łączy go tylko jedna cienka nić.

Znał kod odwołujący.

Wiedział, że nie mogę go zabić, dopóki go ma.

Myślał, że będzie się mógł targować.

Powinien spojrzeć głębiej w moje oczy.

Stałem nad nim zalany krwią – której część należała do Grace – i pokazałem mu nóż.

Nie musiałem prosić go o podanie kodu.

W końcu podał go chętnie.

Co nie znaczy, że bez wysiłku.

Epilog

1.

Sześć dni później siedziałem na wózku inwalidzkim w kaplicy pod Baltimore. Grace Courtland nie miała rodziny w Anglii. Pan Church poprosił jej rząd, by pozwolili jej spocząć tutaj, blisko przyjaciół. Sprzeciwiali się, ale pan Church wygrał.

Przybyli wszyscy. Nie wiem, jak wiele tysięcy ludzi się pojawiło. Grace Courtland była pewnie najsłynniejszym człowiekiem na świecie. Piękna agentka rządowa, która ocaliła świat przed Falą Wymierania. To była historia na pierwsze strony gazet, wymarzona opowieść dla Hollywood. Zostaną napisane na jej temat książki, nakręcone filmy. Większość będzie fikcją wymyśloną przez dział PR WDN. Łotrów jest zbyt wielu – świat potrzebuje bohatera.

Moje nazwisko zostało całkowicie pominięte, co było stosowne. Podobnie WDN. Zasługi przypisano Bezpieczeństwu Krajowemu i kilku innym agencjom, Church zaś wymazał wszelkie ślady naszego udziału z każdej bazy danych. Kluczowi gracze znali prawdę, co Churchowi wystarczyło, by zachować pozycję WDN. Nikt w rządzie nie odważyłby się nas teraz zaatakować.

Myślałem o tym wszystkim, siedząc w kaplicy kilka metrów od Grace spoczywającej w przepychu jak królowa-wojowniczką.

Procesja do jej trumny szła przez wiele godzin. Po mojej lewej siedział prezydent Stanów Zjednoczonych. Pierwsza dama siedziała po prawej i przez cały czas trzymała mnie za rękę. Przybyła większość kongresmenów, ambasadorzy ponad stu

krajów i głowy państw będących celem pierwszego etapu Fali Wymierania. Prezydenci i kanclerze, królowe i królowie. Nad kaplicą przeleciały wojskowe myśliwce w formacji czterech palców.

Całą sekcję za nami wypełniali Rudy, Królik, Starszy, Redman, pozostali przy życiu członkowie oddziału Alfa i wszyscy agenci WDN, którzy mogli się pojawić. Przedstawiciele mediów mieli zakaz zbliżania się do kaplicy na odległość mniejszą niż pięćset metrów. Sądzę, że Church poprosił Lindena Brierly'ego o tę przysługę, a on zrobił to w imię „bezpieczeństwa narodowego”.

Przyjechał także Oskar Freund, syn zabitego współpracownika Churcha, i usiadł z nami. Jego rząd mianował go dowódcą międzynarodowej jednostki specjalnej, której zadaniem było wytropienie pozostałych członków Koterii. Ten ogień być może został rozpalony w Niemczech na początku dwudziestego wieku, ale współczesne Niemcy go nie podtrzymywały. Ruszyli w pogoń za Koterią z brutalnością, która czasami wstrząsała światowymi mediami. Ale opinia publiczna w przeważającej większości popierała polowanie na czarownice.

Na moją prośbę trumna pozostała zamknięta. Ci, którzy znali Grace, powinni pamiętać ją taką, jaka była, nie taką, jaką pomalował pracownik zakładu pogrzebowego. Jej trumnę przykrywały flaga angielska i amerykańska.

* * *

Nie pamiętam wiele z tego, co wydarzyło się po mojej walce z Berserkami. Jedynie fragmenty. Kilka słów i obrazów.

Pamiętam Królika wyłaniającego się z dymu z całym oddziałem Hardball za plecami. Królik był posiniaczony i zakrwawiony po walce z grupą Berserków.

Pamiętam, jak wnoszono mnie na pokład śmigłowca.

I pamiętam, jak przez mikrofon mówiłem Churchowi i Bugowi o kodzie odwołującym. Pamiętam, że urządzenie wyzwalające było umazane krwią. Grace i moją.

Pamiętam, jak wyglądałem przez okno śmigłowca na fale amerykańskich żołnierzy zalewające wyspę. Ktoś powiedział mi później, że w walce zginęło 164 wrogich żołnierzy. Liczba ta obejmowała rosyjskich najemników, strażników Fabryki Smoków i Berserków. Ktoś inny powiedział mi, że SEAL oczyścili gniazdo skorpionopsów – jak dowiedzieliśmy się później, nazywano je Żądłami. Nikt nie próbował wziąć żadnego z transgenicznych psów żywcem.

Pamiętam, jak zapadałem w morfinowy sen i śniłem, że to wszystko było snem. Kiedy się obudziłem, cierpienie było sto razy gorsze. Nawet koszmary są lepsze od niektórej rzeczywistości.

* * *

Szereg żałobników przesuwał się do przodu, a dzień się włókł. Nie powiedziałem ani słowa. Skuliłem się w sobie. Ciemność wewnątrz była zachęcająca.

2.

Kod odwołujący podany mi przez Jakoby był prawdziwy. W tamtej chwili Cyrus nie potrafił już kłamać. Kiedy nasze oddziały zrobiły nalot na Deck, znalazły tykający Zegar Wymierania. Dotarł do zera w południe 1 września, ale dystrybucja została odwołana. Nie było to zakończenie w stylu Jamesa Bonda, w ostatniej sekundzie. Kiedy Bug włamał się do systemu i wprowadził kod odwołujący, wciąż pozostawało

jeszcze siedemnaście godzin. Wydaje się, że to mnóstwo czasu, ale wcale tak nie jest. W filmie pewnie to zmieniają.

WDN współpracowało z Departamentem Stanu, Interpolem i innymi agencjami, by zidentyfikować i zlokalizować agentów na całym świecie, którzy byli gotowi rozpocząć dystrybucję skażonej wody i patogenów. Tej historii nie dało się ukryć przed mediami. Im większy zasięg miało polowanie na czarownice, tym więcej przecieków się pojawiało. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych przemówił w telewizji, wszyscy zatrzymali się, by go wysłuchać. Zgodnie z tym, do czego przyzwyczaił nas od czasu objęcia urzędu, prezydent mówił spokojnie, jasno i szczerze. Powiedział to, na co pozwalały mu względy bezpieczeństwa – eugenika, transgenika, terapia genowa, patogeny stworzone z chorób dziedzicznych, klony. Na tle tego wszystkiego nawet fakt, że terapia genowa uczyniła Cyrusa Jakoby i Ottona niemal nieśmiertelnymi, wydawał się mniej fantastyczny niż świadomość, że ogólnoswiatowa epidemia AIDS została wywołana celowo.

Co oczywiście sprawiło, że wylegli wszyscy specjaliści od teorii spiskowych i szaleni fanatycy religijni, którzy co chwila pojawiali się w wiadomościach. Przestałem je oglądać i kazałem odłączyć telewizor w swojej sali szpitalnej.

3.

Podczas nalotu na Deck oddziały WDN znalazły niezbite dowody, że zabójca, który zamordował Grace, nazywał się Conrad Veder i że był jednym z czterech klonów niejakiego Hansa-Ulricha Rudla, najsłynniejszego pilota bombowców Stuka z okresu drugiej wojny światowej. Rudel był asem wśród zawodowych zabójców i jedynym, którego odznaczono nazistowskim Krzyżem

Rycerskim ze Złotymi Liśćmi Dębu, Mieczami i Brylantami.

Znaleźli również dwudziestu dziewięciu chłopców, którzy wyglądali dokładnie jak Osiemdziesiąt Dwa. Rudy poświęcił wiele dni na rozmowy z nimi. Niektórzy, jak mówił, byli bezpowrotnie straconymi psychopatami, inni wykazywali cechy osobowości chwiejnej typu borderline. Wszyscy mieli zaburzenia psychiczne. Jedyńm, który okazywał oznaki normalności, był Osiemdziesiąt Dwa.

Jednakże nikt go już tak nie nazywa. Rudy zachęcił go do wybrania imienia, ale chłopiec poprosił, by to Rudy mu je wybrał. Rudy nazwał go Helmutem, co po niemiecku znaczy „odważny”. Do tego chłopak przyjął nazwisko Deacon.

Helmut Deacon siedział za mną przez cały długi dzień w kaplicy.

Chłopak poprosił Rudy’ego, by ten przekonał Churcha do udzielenia mu zgody na współpracę z przedstawicielami Czerwonego Krzyża i WHO, którzy opiekowali się Nowymi Ludźmi. Sądzę, że Church się zgodzi.

4.

Kiedy oddziały WDN na Dogfish Cay przebiły się do Sali Mitu, odnalazły Parysa Jakoby. Mocny cios połamał mu szczękę i zwichnął szyję, ale na ile umieli to ocenić lekarze polowi, wciąż żył, kiedy transgeniczne zwierzęta z sali zaczęły się nim pożywiać.

Zwierzęta, które przeżyły bitwę, przebywają w zabezpieczonym obiekcie do czasu, aż ktoś zadecyduje, co z nimi zrobić.

Oddział marines znalazł podziemną jaskinię, w której w czasie walki ukrywał się personel Fabryki Smoków. Zaczynało

brakować im świeżego powietrza, ale przeżyli. Wielu twierdziło, że nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, co robili Parys i Hekate, a badania wykrywaczem kłamstw i testy psychologiczne w niektórych wypadkach to potwierdziły. Pozostali mieli pewną wiedzę i brali mniejszy lub większy udział we wszystkim.

Ludzie w Decku byli bardziej zamieszani w plany Cyrusa i Ottona, choć nieliczni wiedzieli, jaki był ich ostateczny cel. Mimo to obrona „my tylko wypełnialiśmy polecenia” wcale nie pomogła im w czasie procesów, które nastąpiły.

Te procesy nadal trwają. Zajmą jeszcze lata.

5.

Większość z tego mnie ominęła. Śmigłowiec medyczny zabrał mnie do szpitala na Florydzie. Spędziłem tam jedenaście dni. Miałem popękana kość policzkową, pięć połamanych żeber, zerwane ścięgno w kostce, pękniętą szczękę i uszkodzenie czaszki, którego następstwem był krwiak podtwardówkowy. Kilka godzin później badania obrazowe pokazały niebezpieczne gromadzenie się krwi pod oponą twardą, więc zawieźli mnie na chirurgię i zrobili mi dziurę w czaszce, żeby zmniejszyć ciśnienie. Lekarze ostrzegali mnie, że mogę utracić część wspomnień. Żałuję, że się mylili, bo pamiętam wszystko. Może pewnego dnia będę się z tego cieszyć.

Starszy Sims leżał na sąsiedniej sali i wracał do zdrowia po operacji nastawiania połamanych żeber. Nie było pewne, czy kiedykolwiek zdoła wrócić do służby czynnej. Królika wyleczono i wypisano, ale został w szpitalu prawie przez tydzień. Rudy też. Przyjaciele z WDN przynosili im czyste ubrania i ciepłe posiłki w styropianowych pudełkach.

Wypuścili mnie na jeden dzień, żebym mógł uczestniczyć

w pogrzebie, ale następnego dnia czekała mnie operacja kostki.

Po nabożeństwie, kiedy wróciłem do szpitala, Rudy usiadł na jednym z dwóch krzeseł dla odwiedzających. Pan Church wszedł do środka i zajął drugie.

– Ile pan pamięta?

– Wszystko.

– W takim razie wie pan, że Cyrus Jakoby wciąż żyje – stwierdził Church.

Pokiwałem głową.

– Nie zabił go pan.

– Nie.

– Dlaczego?

– Kiedy wyzdrowieje, kiedy rany się zagoją, chcę, żeby stanął przed sądem.

– Skażą go na śmierć – zauważył Church.

– Nie powinni.

– Dlaczego nie?

– Powinni wystawić go na pokaz. W zoo. W cyrku dziwolągów.

– Czy publiczne upokorzenie naprawi krzywdy, które wyrządził?

– Nie wiem. Niech pan spyta filozofa.

– Pytam pana.

Nie odpowiedziałem. Co mogłem powiedzieć?

Church wstał.

– Porozmawiamy później.

– Nie. Skończyłem. Odchodzę. Już nie mogę tego robić.

Poprawił krawat.

– Porozmawiamy później.

Kiedy wyszedł, zorientowałem się, że zostawił mi na stoliku nocnym paczkę ciastek. Oreo.

Rudy milczał przez całą tę rozmowę.

– Naprawdę chcesz odejść? – spytał.

– Muszę. Jestem skończony.

– Zostałeś poważnie ranny, Joe, ale mówią, że wrócisz w pełni do zdrowia.

Odwróciłem wzrok.

– Jestem skończony.

6.

Pewnego pięknego ranka w połowie września wyjechałem na wózku ze szpitala. Rudy czekał w samochodzie, żeby zawieźć mnie na lotnisko. Nie widziałem pana Churcha ani nikogo innego z WDN. Rudy milczał przez większość drogi, aż w końcu się odezwał:

– Jak sobie radzisz, Kowboju?

Pokręciłem głową.

– Wojna się skończyła – stwierdził. – Żołnierze wrócili do domu z pola bitwy. Czas porozmawiać.

Minęła dłuższa chwila, zanim udało mi się znaleźć właściwe słowa.

– Dlaczego to robimy, Rude?

– Dlaczego walczymy? Walczymy, bo ktoś mu...

– Nie. Dlaczego nienawidzimy?

– Nie wiem. Są na to długie i krótkie odpowiedzi. Ludzie przeważnie nienawidzą, bo ktoś się od nich różni albo jest taki sam. Wszystko sprowadza się do strachu. Strach zawsze motywował nasz gatunek. Boimy się tego, czego nie znamy albo nie rozumiemy, boimy się różnic, a prymitywna część naszej świadomości demonstruje strach poprzez przemoc. To sprawia, że jesteśmy tak agresywni. Strach i chciwość.

– Czy to wszystko? Czy to wszystko, co konieczne, by wyjaśnić istnienie potworów takich jak Otto Wirths i Cyrus Jakoby? – Mimo wszystko nadal myślałem o nim, używając tego nazwiska.

Jako Jakoby był gorszym potworem niż jako Mengele. – Oni kochali to, co robili. Czerpali z tego radość. Nie chodziło o strach przed innymi rasami, lecz nienawiść.

– To było zło, Joe. A zło nie ma prawdziwej definicji. Możemy co najwyżej starać się je rozpoznać, kiedy je widzimy, a później próbować je powstrzymać.

– To nie wystarczy, Rude.

– Wiem – odparł.

7.

Kiedy przeszukano archiwa odzyskane z Fabryki Smoków, znaleziono wyraźne powiązanie między rodziną Jakoby a rodziną Sunderlandów. Harold Sunderland został aresztowany przez policję, gdy wysiadł z samolotu w São Paulo. W świetle powiązań z masowym ludobójstwem nie było problemów z ekstradycją.

Kiedy agenci FBI pojawili się w biurze J.P. Sunderlanda z federalnym nakazem, senator przeszedł rozległy zawał. W szpitalu klinicznym Georgetown uznano go za zmarłego. Sunderland był niezaprzeczalnie powiązany z byłym analitykiem Stephenem Prestonem, który dostarczył wiceprezydentowi fałszywe informacje, na podstawie których ten podjął działania. Jednak nawet drobiazgowo przeszukanie papierowych i komputerowych archiwów Sunderlanda nie pozwoliło na odnalezienie niczego, co mogłoby pogrążyć wiceprezydenta.

Wiceprezydent Bill Collins uchylił się przed ciosem, a nic na temat podjętej przez niego próby rozwiązania WDN nie trafiło do mediów. Jednak CNN jako pierwsze zauważyło, że Collins i prezydent odnosili się do siebie chłodniej niż w czasie kampanii, a Jon Stewart żartował, że Collinsa ukrywano przed

opinią publiczną bardziej niż swego czasu Dicka Cheney'a.

Wiceprezydent spędzał dużo czasu poza Waszyngtonem.

Podczas jednego z lotów do rodzinnego stanu wiceprezydent siedział sam na pokładzie wojskowego odrzutowca. Założył słuchawki, włączył iPod'a i usadowił się wygodnie. Dwadzieścia minut po starcie ktoś wyłączył jego iPod'a.

Wiceprezydent obudził się i zaczął żądać wyjaśnień. Ale nie dokończył zdania. Naprzeciwko niego siedział mężczyzna. Po sześćdziesiątce, wysoki i krępy, w przyciemnianych okularach. Na siedzeniu obok niego leżała wąska teczka.

– Co pan tu, do cholery, robi?

Pan Church otworzył teczkę i wyjął małą paczkę wafelków Nilla. Wybrał ciastko i odłożył paczkę na bok. Nie poczęstował wiceprezydenta.

– Lepiej, żeby miał pan cholernie dobre wyjaśnienie...

– Sunderland – powiedział Church.

– Bzdura – prychnął Collins. – Podtrzymuję swoje...

– Sza. – Pan Church położył palec na ustach. – Lepiej, żeby pan posłuchał.

Zasłona przedniej kabiny się odsunęła i o futrynę oparł się Linden Brierly. Nowo mianowany dyrektor Secret Service uśmiechnął się lekko, ale jego oczy pozostały zimne jak lód.

– Panie wiceprezydencie – powiedział Church – czeka nas długa rozmowa na temat pańskiej przyszłości w polityce i stanu pańskiego zdrowia.

8.

Kilka tygodni później, gdy mogłem już chodzić bez kul, pojechałem do Magazynu, żeby spakować swoje rzeczy. Rudy zajmował się moim kotem, ale w swoim pokoju miałem ubrania

i sporo rzeczy osobistych. Chciałem zabrać je do domu, żeby zamknąć ten rozdział swojego życia.

Strażnicy przy bramie zamachali, żebym przejechał, i zaszalutowali mi. Królik czekał na mnie przy wejściu dla personelu, ale widział, że nie jestem w nastroju do rozmowy, więc jedynie otworzył mi drzwi.

Szedłem korytarzami Magazynu, obok laboratoriów, w których pracowali Hu i Bug. Obok laboratorium kryminalistycznego Jerry'ego Spencera. Obok biura, z którego korzystał Church, kiedy przebywał na miejscu. Obok sali konferencyjnej i strzelnicy.

Drzwi pokoju Rudy'ego były zamknięte i nie wiedziałem, czy już spakował swoje rzeczy. Nie rozmawialiśmy o tym, czy zamierzał zostać.

Odnalazłem swój pokój, otworzyłem go kluczem i zatrzymałem się w wejściu.

Nie byłem w nim od tamtego ranka, kiedy po raz ostatni kochałem się z Grace. Ktoś wyprostował materac, założył czystą pościel. Wymienił uszkodzoną lampkę.

W środku znalazłem dwie rzeczy. Pod ścianą stała sterta pudeł, rolki taśmy i etykiety. Wszystko, czego potrzebowałem, by usunąć z tego miejsca wszelkie ślady swojej obecności. Skończyłem z polowaniem na zło. Byłem skończony, zużyty, zniszczony nie do naprawienia. Rudy się nie zgadzał, ale tylko ja mogłem zajrzeć do środka i zobaczyć ruiny, a wśród nich żadnej wyraźnej ścieżki.

Druga rzecz leżała na łóżku. Teczka.

Otworzyłem ją. W środku było zdjęcie z monitoringu przedstawiające wysokiego mężczyznę o surowej twarzy. Za nim znajdował się znak reklamujący wycieczkę po Riviera dei Fiori. Rzeka Kwiatów. Popularna miejscowość turystyczna na włoskiej Rivierze. Ktoś narysował flamastrem czarne kółko wokół twarzy mężczyzny, a obok niego napisał „dwa dni temu”.

Podniosłem zdjęcie. Pod nim w teczce znajdował się mój paszport, bilety na samolot, karta kredytowa na moje nazwisko i inne przydatne dokumenty.

Mężczyzną na zdjęciu był Conrad Veder.

Usiadłem na brzegu łóżka. Trzymałem zdjęcie obiema rękami i wpatrywałem się w twarz mężczyzny, który zabił Grace Courtland. A później spojrzałem na stertę pustych pudeł.

Church pozostawił decyzję mnie, choć dał mi wszystko, czego potrzebowałem, niezależnie od tego, którą ścieżkę bym wybrał.